NA DZIŚ

PISMO ZBIOROWE

POŚWIĘCONE

LITERATURZE, NAUKOM, SZTUCE,
Gospodarstwu krajowemu, Handlowi
i Przemysłowi.

Tom I.

W KRAKOWIE.
Wydawca Jan Wałęgórski.
1872.

W drukarni „KRAJU" pod zarządem St. Gralichowskiego.

— „Jedno „dziś“, warte dwa „jutra“.

Franklin.

„O jutrze“ wiecznie radzi.

W. Pol.

„Nie ma lepszéj rady „na jutro“, jak praca „na dziś“.

August Cieszkowski

(z listu).

W piśmie „Na Dziś“ biorą udział:

Anczyc Władysław Ludwik.
Au Juliusz Dr.
Bałucki Michał.
Baraniecki M. Al. Dr.
Berlicz Sas.
Bielowski August.
Brzozowski Karol.
Bylicki Franciszek Dr.
Chojecki Mieczysław kand. pr. i ad.
Chmielowski Piotr.
Doliński G. Lek.
Estreicher Karol Dr.
Godlewski Mścisław mag. pr.
Godlewski Emil mag. asys. botaniki.
Hankiewicz Klemens Dr.
Hłasko Wiktor.
Jarochowski Kazimierz.
Jan ze Śliwina.
Kętrzyński Wojciech Dr.
Kolberg Oskar.
Korotyński Wincenty.
Kostecki Antoni.
Kraszewski Józef Ignacy.
Kremer Józef Dr. b. rektor Uniw. Jagiell.
Libelt Karol Dr. prezes tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.
Liske Ksawery Dr. prof. hist. powszechnéj na wszechnicy lwowskiéj.
Leśniewski Jan.
Łoziński Wład.
Maciejowski Aleks. Wacław.
Majer Józef Dr. prezes c. k. tow. nauk. w Krakowie.
Malinowski Lucyjan mag. nauk filol.

Michałowski Feliks Dr.
Miklaszewski Juljusz mag. fil.
Odyniec Antoni Edward.
Ochorowicz Juljusz kand. nauk przyr.
Oreł Dominik Ks.
Otto Dr. fil. Ks.
Paszkowski Kazimierz.
Pawłowicz Edward.
Pol Wincenty Dr.
Plebiński Edmund kand. p.
Rakowicz F. T. Dr.
Roszkowski Gustaw Dr. docent uniw. Jagiell.
Sadowski Jan N.
Schmitt Henryk.
Serwatowski Wal. Ks.
Swidziński Karol.
Świętochowski Aleks.
Ślósarski Antoni mag.
Szarłowski Aloizy.
Szczaniecki K.B.Dr. praw.
Szymański Roman Dr.
Tretiak Józef.
Wegner Leon.
Wolniewicz.
Wolski Kalikst.
Wołowski Bronisław.
Zacharjasiewicz Jan.
Zakrzewski Wincenty Dr.
Zaleski Antoni.
Żathey Hugo.

Spis Rzeczy.

PAMIĘTNIKI

Dra JÓZEFA FRANKA

profesora uniwersytetu wileńskiego,

STRESZCZONE I UZUPEŁNIONE

przez

Dra MICHAŁA HOMOLICKIEGO

profesora uniwersytetu wil.

Józef Frank był synem Jana Piotra Franka, znakomitego lékarza i pierwszego pracownika na polu policyi lekarskiéj, nadwornego lékarza cesarza Aleksandra I, od r. 1804 do 1808, zmarłego w Wiedniu w r. 1821.

Józef Frank urodził się w Rastadt, w wielkiém księstwie badeńskiém r. 1771. Umarł w Como d. 6 grudnia 1842 r. — W r. 1804 wezwany został do Wilna na profesora patalogii w uniwersytecie tamecznym. Opuścił Wilno w roku 1823 i osiadł niedaleko Medyolanu pod miasteczkiem Como, nad jeziorem tegoż nazwiska, w nabytéj przez siebie pięknéj willi i tam mieszkał aż do śmierci.

Naukowe prace Franka wiekopomną mu sławę zjednały. W Wilnie zaś, i w ogóle na Litwie do dziś dnia pamiętają Franka.

Pamiętniki Franka noszą tytuł: „Mémoires biographiques de Jean Pierre Frank et de son fils Joseph, redigés par le dernier. Ouvrage posthume, confié au chevalier Jean de Carro, docteur en méd., praticien à Carlsbad etc. Six voll. MS.“ — Po śmierci Franka, szacowne te Pamiętniki nabyte zostały przez Rajnolda hrabiego Tyzenhauza, a dziś są własnością cesarskiego Towarzystwa lékarskiego w Wilnie.

Z tych tedy Pamiętników, Dr. Michał Homolicki ułożył niniejszy artykuł, skréślając w nim to wszystko,

co tylko znalazł o Wilnie i Litwie, a nadto uzupełniając wiele szczegółów z własnych wspomnień, bo też był naprzód uczniem a późniéj kolegą i przyjacielem znakomitego Franka [1]).

Niniejsze przeto Pamiętniki mają doniosłe znaczenie dla litewskich prowincyj szczególniéj, z głębokiém znawstwem wykazujące wypadki i odźwierciadlające życie społeczne i towarzyskie z epoki od r. 1804 do 1823, — uzupełniając też z wielu względów dzieje uniwersytetu wileńskiego. **Red.**

I.

Wspomnienia człekolubnych zasług Franka dla miasta Wilna.

Czytelnicy W i z e r u n k ó w i r o z t r z ą s a ń n a u k o w y c h przypomnieć sobie mogą, z jakich pobudek umieszczone tam były dwie apologije uczonych cudzoziemców, wezwanych przez rektora biskupa Hieronima Strojnowskiego do zajęcia różnych katedr w b. uniwersytecie wileńskim, wnet po jego w r. 1803 odnowieniu i najświetniejszéj dobie jego istnienia. Jednę z tych apologij podał Jan Gwalbert Rudomina, doktor filozofii, radzca stanu, członek honorowy uniwersytetu, ostatni prezes komisyi sądowéj edukacyjnéj litewskiéj, a zażyły niegdyś przyjaciel Józefa Franka. Ale rzecz dziwna, że w niéj dosyć słabo i niedostatecznie ocenił wielkie i różnostronne zasługi tak znakomitego profesora [2]). Drugą zaś obronę, dzielną wprawdzie i wymowną napisał był sam redaktor Wizerunków, Ignacy

---

[1]) Michał Homolicki, profesor fizyologii w uniwersytecie wileńskim, znakomity filolog i badacz dziejów ojczystych, urodził się w powiecie słonimskim w r. 1791, umarł w Wilnie 20 stycznia w 1861 r. Wiele prac i badań jego historycznych, szczególnie tyczących się Wilna wydrukowano w „Wizerunkach i Roztrząsaniach naukowych". Nadto wiele ciekawych i nader ważnych medycznych rozpraw ogłosiły Pamiętniki Tow. Lek. w Wilnie i inne czasopisma lékarskie.

[2]) Wizerunki i roztrząsania naukowe, poczet nowy drugi. Tom XV, Wilno 1840, stronica 148 i nast.

Szydłowski [1]). Atoli część jéj, wprost i wyłącznie odnosząca się do pochwał Józefa Franka [2]), ponieważ była z pośpiechem, z samych tylko przypomnień i za jednym prawie pociągiem pióra skreślona, nie zaś wyczerpnięta ze źródeł wierzytelnych, albo skrzętnie z ust naocznych świadków zebrana, ztąd téż wcisnęło się do niéj kilka uchybień. Prostując je tutaj, przydajemy niektóre szczegóły obszerniejsze, z autentycznego zródła pośmiertnych nieogłoszonych Pamiętników samegoż Franka wyjęte, które chociaż nie ściągają się bezpośrednio do wielkich jego zasług i niezmordowanych prac w nauczycielskim zawodzie; z innych atoli względów może nie będą obojętne dla ogółu czytelników, zwłaszcza zaś dla mieszkańców Wilna. Przypomną im albowiem czynne i skuteczne usiłowania i zabiegi, jakie ten filantrop, wespół z żoną swą, uprzejmą i pełną rzadkich talentów damą, przez cały ciąg dwudziestoletniego w Litwie pobytu, nie przestawał podejmować ku ratunkowi i wsparciu ubogich chorych naszego miasta i ku zasilaniu, trzeciego zwłaszcza wydziału Towarzystwa Dobroczynności.

Że Frank na konsyliach czyli naradach lekarskich nie brał tonu wyższości, ani uporczywego zarozumienia, usiłującego koniecznie postawić na swojém; że z dawnymi uczniami obchodził się po bratersku; że nie bodła go żadna zawiść na widok nagłéj kilku z nich wziętości i nadzwyczaj prędkiego panoszenia się z praktyki lékarskiéj; — to wielka prawda. Ale bardzo niewczesny i nietrafny, niewiedzieć zkąd i jakim sposobem pochwycony przydatek Redaktora: że Frank „chętnie ustępował drugim, kiedy się zobaczył we własnym błędzie“. Nie wiémy, aniśmy słyszeli o żadnéj takiéj omyłce Franka, o któréjby go aż drudzy na konsyliach ostrzegać musieli. Wszyscy owszem lekarze wileńscy, znając biegłość profesora kliniki w dyagnostyce i nieprzebrane zasoby w obmyślaniu pomocnych środków, tem skwapliwiéj polegali na jego radzie; że nigdy nie narzucał jéj tonem stanowczym i wyrokującym, ale raczéj podawał w sposobie zapytywania się i wzajemnego porozumienia. Jeżeli czasem ustąpił coś ze swego zdania, mianowicie Jędrzejowi Śniadeckiemu, albo staremu Jakó-

---

[1]) Tegoż pisma i pocztu Tom XVI, str. 148 i nast.

[2]) Tamże od str. 164 do 175.

bowi Lieboschitzowi, dwóm praktykom najwięcéj przez siebie szacowanym; nie przeto już sam zbłądził w rozpoznaniu albo leczeniu choroby. Świadomi celów i sposobu narad lekarskich najłatwiéj to osądzić mogą.

Niedokładnie téż powiedziano w Wizerunkach, że Frank wiele świadczył „D o m o w i Dobroczynności wileńskiemu“. Prawda że wnosił nań coroczną, osobistą ofiarę i że nieraz na jego dochód, mianowicie już po wojnie 1812, urządzał koncerta amatorskie. Ale bez porównania więcéj świadczył t r z e c i e m u albo l é k a r s k i e m u Towarzystwa Dobroczynności w y d z i a ł o w i, którego był prawdziwym założycielem, a który, chociaż pod inném nazwiskiem, poprzedził o dwa blizko lata zawiązanie się samego Towarzystwa.

Już albowiem roku 1805, we cztéry zaledwo miesiące po przybyciu do Wilna, Józef Frank, kiedy był jeszcze profesorem patologii i praktycznie dwa razy na tydzień objaśniał ją demonstracyami przy łożu chorych w szpitalu Sióstr Miłosierdzia; na wspomożenie tegoż szpitala, zbytecznie przepełnionego naówczas a nie dość starannie utrzymanego, urządził koncert amatorski w sali kasynowéj, domu niegdyś Müllerów. Wzięły w nim uczęstnictwo znakomitsze osoby płci obojéj. Baronowa de Benningsen, z domu Andrzejkowiczówna, małżonka litewskiego gubernatora wojennego, odegrała piękną sonatę na fortepianie; panna zaś Laskowiczówna, córka prezydenta, popisywała się na harfie. Towarzyszyli im hrabia Kazimiérz Grabowski z Sierakowskim i podpułkownik Merlini ćwiczoném graniem na skrzypcach i wiolonczeli. Pani Frankowa śpiewała wielkie dwie arye włoskie i jeden polonez. Pomimo trudności kierowania ówczesną muzyką teatralną, koncert dobrze się powiódł i publiczność przyjęła go z wielkiém upodobaniem. Czystego zbioru przyniósł 703 dukatów holenderskich, chociaż sala nie mogła ogarnąć w sobie nad 400 osób. U jéj podwojów przyjmowały ofiary od wchodzących dwie urodziwe damy, Lachnicka prezydentowa i starościanka Chrapowicka. Sam książę Platon Zubow sypnął garść złota. Powszechne uniesienie obudził śpiéw pani Frankowéj, a kuryer litewski z dnia 17 stycznia 1805 roku, największe dawał mu pochwały, które od tych słów poczynał: „Imie Franków, tak miłe już dla naszego kraju i tak pocieszające dla cierpiącéj ludzkości, nabyło przez koncert wczo-

rajszy nowego jeszcze blasku...“ Dwie piękne panie, które się trudziły zbieraniem ofiar, same też miały przyjemność złożyć je na ręce uradowanych sióstr Miłosierdzia. Ale panny zakonne użyły tego, dosyć znacznego daru publiczności nie zupełnie w myśl Franka, ani wyłącznie na cel, przez niego zamierzony [1]).

W następnym więc roku (1806), kiedy dla wojny i drożyzny wzmogła się nędza w uboższéj klasie mieszkańców, a cena wielu lekarstw, dla utrudzonego handlu, znacznie się była podniosła; Frank postanowił, w inny już sposób i wprost od niego samego zależący, nieść pomoc ubogim miasta nieobłożnie chorym, których właśnie jeszcze nieprzyjmowano do szpitalów, albo też sami z domów i od rodzin swoich oddzielać się nie mogli lub nie chcieli, a na lekarstwa im nie starczyło. Na ten koniec pani Frankowa, w towarzystwie celniejszych amatorów muzyki, dała w wielkim teatrze koncert, w którym pomagał jej przejeżdżający do Petersburga dosyć dobry śpiéwak niemiecki Ellmenreich. Dobroczynne użycie talentów niepowszedniéj śpiewaczki wielbili w gładkich rymach owcześni poetowie [2]). Zebrany z koncertu, po odtrąceniu wszystkich wydatków, czysty dochód 1,200 rubli srebrnych dostarczył Frankowi najpiérwszego zasobu do założenia instytutu domowéj pomocy dla chorych (L'Institut des secours à domicile), czyli tak zwanéj kliniki ruchoméj to jest przychodniéj albo wędrownéj (Clinicum ambulatorium), otworzonéj dnia 15 kwietnia 1806 roku.

Niedostatni chorzy, mogący się podźwigać, opatrzeni świadectwem plebana swojéj parafii o niemożności kupienia sobie lekarstw, trzy razy na tydzień, o godzinie dziesiątéj zrana, przychodzili do kliniki. Wypytani i wybadani przez samego Franka w obecności uczniów, otrzymywali poświadczone przez niego recepty, za któremi wydawano im bezpłatnie lekarstwa z apteki uniwersytetu. Niektórych polecał dojrzalszym kandydatom do odwiedzania i pieczołowania w domu, pod swoim zawsze dozorem, opatrując ich lekarstwy z tegoż samego źródła. Utrzy-

---

[1]) *Mémoires biographiques*. T. II, p. 462—465. MS.

[2]) Wiérsze na pochwałę Wielmożney Imci Pani Frankowey. Z okoliczności koncertu na wsparcie cierpiącey ludzkości, w Wilnie dnia 23 marca 1806.

mywano i protokół z krótkiemi historyami chorób tychto wędrownych pacyentów. Niektórych wszakże, z cięższą lub rzadszą chorobą, wybiérano i do samego zakładu klinicznego, jeźli sobie tego życzyli. Takim sposobem Frank połączył dobroczynność z wielką naukową korzyścią swoich uczniów. Obok stałéj kliniki, zaprowadził ruchomą; pogodził zalety i niedogodności obydwóch. Pierwszą dosyć trafnie porównał do botanicznego ogrodu; drugą do herboryzacyi lub wycieczek botanicznych [1]).

Nie możemy tu pominąć przygody, jawnie pokazującéj, jak litośnym i tkliwym był Frank na nędze i cierpienia spółludzi, jak skwapliwym w niesieniu im ratunku i pomocy. Pod koniec 1806 roku, równo z nastaniem tęgiéj zimy, zaraźliwa gorączka dur (thyphus epidemicus), przyniesiona i stopniowo rozpostarta przez wojska z pod Austerlitz powracające, nawalnie dotknęła cały klasztór PP. Maryawitek, już i przedtém dosyć ubogi, a w owéj klęsce pozbawiony nietylko lekarstw, ale nawet opału, światła, dostatecznéj żywności i posługi. Oprócz saméj tylko przełożonéj, jeszcze się jakożkolwiek na nogach dźwigającéj, wszystkie zakonnice i większa część neofitek, które poświęcając się wychowaniu, były już złożone chorobą: inne zaś prawie upadały od niewygód ustawicznego posługiwania chorym i bezsenności. Frank ledwie co uwiadomiony o takiéj niedoli przez profesora Spitznagla, zwyczajnego PP. Maryawitek lekarza; natychmiast pospieszył do odległego za przedmieściem rudnickiém ich klasztoru, i naprzód zapewnił mu lekarstwa z zasobów kliniki swojéj ruchoméj, niedawno wtedy jeszcze zaprowadzonéj. We wszelkie zaś inne zasiłki i pomocy opatrzył go przez hojne i ochocze ofiary wezwanych do tego zamożniejszych mieszkańców Wilna i niektórych bogatszych klasztorów; tak, że po niedostatku rychło nastąpiła obfitość wszystkiego. Dla urządzenia należytéj posługi, uprosił biskupa I. N. Kossakowskiego do przysłania dwóch Sióstr Miłosierdzia z kilką służebnicami. Namówił jednego z celniejszych uczniów swoich, Stanisława Kossowskiego, ochotnie przyjmującego to niebezpieczne zlecenie, do ciągłego dozoru i czuwania nad kilkądziesięcią, w niewielkim klasztorze, zaraźliwie choremi osobami, które i sam, naprzemian

[1]) *Mém. biogr.* T. II, p. 519—522.

ze Spitznaglem pilnie odwiedzając, — oprócz jednéj tylko staruszki, zmarłéj z samego raczéj wyniszczenia *(marasmus senilis)*, niż z gorączki, — wszystkie inne wyratował [1]). Opowiada pomyślny ten wypadek z pewném wzruszeniem i ze szlachetną samowiedzą spełnionego dobrego czynu *(mens conscia recti)*. Szkoda tylko, że niedbały przepisywacz Pamiętników, zakonnice polskie reguły księdza proboszcza Stefana Turczynowicza, Maryawitki (od wyrazów *Maria vitae)* przemienił na Maryonitki [2]).

Na rzecz kliniki ruchoméj, w początkach drugiego roku (1 marca 1807) Frank urządził znowu w sali kasynowej koncert amatorski, w którym nasamprzód wykonano Łowy młodego Henryka (z opery Méhula) arcydzieło godne przejść do potomności. Pani Frankowa śpiéwała aryą z opery *Alonzo e Cora*, a potém z hrabiną Wiktoryą do Choiseul-Gouffier, z domu Potocką duet z *Artemizyi* Cimarosy. Hrabia Stanisław Tyszkiewicz pięknym swym głosem tenorowym, wykonał sławną aryą: *Pria che spunti in Ciel l'aurora* z opery *Matrimonio Segreto* tegoż kompozytora. Hrabia Antoni Plater grał koncert na klarynecie, a pan Krukow na fortepianie. Ale publiczność szczególniéj unosiła się nad polonezem, przez panią Frankową śpiéwanym, którego muzykę i słowa umyślnie dla niéj napisał senator książę Michał Ogiński. Dziwiono się, że cudzoziemka, tak niedawno jeszcze przybyła, czyściéj i dobitniéj wyśpiéwuje polskie wyrazy, od wielu śpiéwaków krajowych. Świadomi poznali w tem szkołę włoską, o tyle przywięzującą wartości do śpiewu, o ile on daje dobrze zrozumieć i dobrze uczuć same słowa. Świetny ten koncert przyniósł czystego dochodu 1,812 rubli srebrnych [3]). Salę napełniał wybór towarzystwa litewskiego, tak, że hrabina Meerveldt, a w pierwszém stadle Kińska, udając się przez Wilno do swego męża, ambasadora austryackiego w Petersburgu z podziwem wychwalała smakowny prze-

---

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 82—85

[2]) Dobrze jeszcze, że nie na maryonetki.

[3]) Cenę biletu wejścia naznaczono było po dukacie; lecz wiele osób płaciło daleko drożéj. Hrabina Choiseulowa i senator książę Michał Ogiński dali po pięćdziesiąt dukatów.

pych, bogactwo i wdzięk strojów damskich, i dobry ton jaki panował w tém zebraniu [1]).

Cnotliwy biskup wileński Jan Nepomucyn Kossakowski, około tegoż czasu (r. 1807), zakładając Towarzystwo Dobroczynności, żądał po Franku, ażeby wcielił w nie i zespolił utworzony przez siebie instytut domowéj pomocy dla chorych. Na co, po niejakim oporze, zgodził się Frank ale pod warunkiem: że dawniejszy jego instytut, zamieniony na trzeci albo lekarski wydział Towarzystwa, będzie miał swoją osobną kasę, i że, oprócz udzielania lekarskiéj pomocy ubogim, którzyby już w samém przytulisku Domu Dobroczynności zaniemogli, nigdy się nie oddali od pierwotnego celu, opatrywania lekarstwami niedostatnich chorych, do kliniki po radę się udających; on zaś ze swojéj strony, przyrzeka temu wydziałowi i dalsze potrzebnych zasobów obmyślanie [2]).

Jakoż niedługo potém (d. 21 lutego 1808 r.) pani Frankowa, w towarzystwie hrabin: Benningsenowéj, Choiseulowéj i siostry jéj Kossakowskiéj, łowczynéj wielkiéj litewskiéj [3]), na korzyść trzeciego wydziału Dobroczynności dała wielki koncert głosowy i narzędziowy, w którym mieli téż udział aktorowie teatru wileńskiego i uczennica Frankowéj, panna Namajłowska, córka dyrektora muzyki teatralnéj i kościoła katedralnego. To dało możność wykonania, z opery Zingarellego: *La Secchia rapita*, pysznego finału, który pozostanie utworem muzyki wiekuiście pięknym. Scena doktorów bonońskich, wysłanych do Modeny w celu wymiany jeńców, szczególniéj ubawiła publiczność. Ale nic nie wyrówna uniesieniu, wzbudzonemu przez aryą

---

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 95—96.

[2]) *Mém. biogr.* T. III, p. 97—98.

[3]) Frank zowie ją wprawdzie podczaszyną; lecz, jak się zdaje, przez prostą omyłkę. Może w pośpiechu lub roztargnieniu przyszła mu na myśl podczaszyna kowieńska, Anna Kossakowska, żona Józefa członka honorowego uniwersytetu a przez czas dyrektora gimnazyum wileńskiego. Aleź ta niezawodnie była z domu Terebeszówna. Hrabianka zaś Ludwika Potocka, córka Szczęsnego jenerała artyleryi koronnéj a rodzona siostra Wiktoryi Choiseulowéj, była za hrabią Józefem Kossakowskim, wojewodzicem witebskim, Szymona ostatniego hetmana litewskiego synowcem, a łowczym wielkim litewskim. (Wiadomość powzięta od łaskawego na nas P. Mikołaja Malinowskiego).

i marsz z opery *Pirro* tegoż kompozytora, śpiéwane przez Panią Frankową. Zebrano 1,938 r. s. czystego dochodu [1]).

Z natchnienia Franka i za jego staraniem zawiązany w roku 1808, jak odnoga trzeciego wydziału Towarzystwa Dobroczynności, Instytut Macierzyństwa (nie zaś położniczy, stanowił i sam bardzo nieliczne Towarzystwo znakomitszych i zamożniejszych niektórych matron, pod prezydencyą baronowej de Benningsen z wiceprezydentką łowczyną litewską Kossakowską, a przybraną za sekretarkę panią Frankową. Celem zaś jego było, z dobrowolnych ofiar i składek, opatrywać wszelką pomoc sztuki i potrzebne wsparcie ubogim położnicom, mężatkom lub w ciągu już brzemienności owdowiałym, a to we własném ich pomieszkaniu; — ale nigdy takim, któreby, jak się podobało przydać redaktorowi apologii w Wizerunkach, „przekroczywszy prawidła wstydu, znajdowały się w stanie blizkim rozpaczy“. Żadna ze szlachetnych i dostojnych matron ani na jednę chwilę niepostałaby w takiém Towarzystwie, którego celem, z obrazą moralności publicznéj, byłoby wspieranie i niby ośmielanie bezwstydu i nierządu, zwłaszcza przy rozpasanych i rozwiązłych obyczajach ówczesnéj młodzi [2]). Już i tak nawet, pomimo wszelką ostrożność w ułożeniu ustaw Zakładu Macierzyństwa, wyższa publiczność wileńska przyjęła dobroczynne to przedsięwzięcie z wielką obojętnością i nie-

---

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 188—192.

[2]) Frank w ogólności przystępny, łagodny, uprzejmy i cierpliwy w obchodzeniu się z choremi, samych tylko dotkniętych wstydnym przyrzutem od takiej powolności odsuwając, zarówno w klinice jak i w prywatnéj nawet praktyce, przyostrzéj nieco i przytwardziéj z niemi sobie poczynał. Co jedynie czynił dla tego, żeby się nie zdawał ze swéj strony pobłażać zbytnie pod owe lata rozpustnym i niesromieźliwym obyczajom młodzieży. Wstępne opowiadania jakiegoś młodzika, że na nieszczęście uległ kawalerskiéj chorobie, z niechęcią przerwał Frank: „a my lekarze nazywamy to świńską chorobą *(syphilis)*“. Tak i Jędrzéj Śniadecki, jedynakowi znakomitéj rodziny, przyznającemu się, że wypłacił dług naturze..... wręcz powiedział: „wolałbym żebyś waćpan był zbankrutował.“ W wielkich zaś szpitalach surowsze obchodzenie się z podobnego rodzaju pacyentami, trzymanie ich w ryzie, Frank i z téj jeszcze miary uznawał za potrzebne: że, (jak przynajmniéj postrzegał w oddziale wiedeń-

dowierzaniem, ba nawet z szyderstwem i przekąsami na karb założyciela. Lecz gdy w następnym roku dowiedziano się, że cesarz Napoleon I, z okoliczności małżeństwa swego z Maryą Ludwiką Rakuszanką, utworzył podobny zakład w Paryżu; dopieroż obsypywano Franka pochwałami. Towarzystwo zaś damskie poczęło coraz więcéj rozciągać obręb swego działania, jakkolwiek liczba członków jego cale się nie powiększyła. Podpomógł mu Frank urządzeniem balu maskowego w sali kasynowéj, z loteryą na kilka niemałéj ceny sprzęcików, przez baronową de Benningsen na ten cel podarowanych. Atoli wojna 1812 r. nagle przerwała i zakończyła trwanie wileńskiego zakładu domowéj pomocy dla ubogich położnic, równo z oddaleniem się najgorliwszéj jego przewodniczki i opiekunki, żony znakomitego jenerała [1]).

Do posługiwań trzeciego wydziału Towarzystwa Dobroczynności należało i bezpłatne zaszczepianie wakcyny dzieciom ubogich rodziców w mieście Wilnie. Na czém nie przestając Frank 17 Maja 1808, w rocznicę urodzin doktora Jennera, założył Instytut wakcynacyi, mający na celu rozszérzanie i upowszechnienie dobrodziejstw ochronnéj ospy po całym okolicznym kraju, a tak uorganizowany iż wprawdzie zależał od trzeciego wydziału, ale żadnego mu wydatku nie przyczyniał. W mowie mianéj przy uroczystém otwarciu tego zakładu, w obec zaproszonych władz i przedniejszych mieszkańców Wilna, wyrzekł pamiętne dla nas słowa: „Za bytności méj w Londynie, pięć już lat temu, miałem przyjemność znajdować się na uczcie, którą królewskie towarzystwo do upowszechnienia wakcyny dawało dla doktora Jennera, obchodząc rocznicę dnia tak pomyślnego i miłego dla ludzkości. Jeszcze pod wrażeniem téj świetnéj uczty, zaszczyconéj obecnością kilku osób z królewskiéj rodziny, przejęty oraz czcią i powodzeniem dla tych innych ustanowień człekolubnych, świéżo w Wielkiéj Brytanii widzia-

---

skiego szpitala, którego przez kilka lat był naczelnym lekarzem), zarażeni wstydnym przyrzutem zwykle bywają gniewliwi, krnąbrni, do ustawicznych swarów i kłótni pomiędzy sobą i z dozorcami pochopni: co przypisywał szczególnemu działaniu rtęci na organa żółciowe. (*Mém. biogr.* T. II, p. 30.)

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 306—313, 596—597. T. IV, p. 156.

nych, nieraz mówiłem sobie w duchu: — Zaprawdę kraj ten w dziełach dobroczynności jedynym jest i nienaśladownym. Gdzież drugi naród, któryby chciał lub zdołał nawet zdobyć się na podobne? — Jeszcze nie znałem wtedy uczuć dobroczynności, tak wybitnie znamionujących i właściwych polskiemu narodowi. Nikt zapewne nie posądzi mię o pochlebstwo, jeżeli powiém: że w całéj Anglii lub w innym jakimbądź kraju, trudno a może i niepodobna byłoby znaleść choć jedno miasto, któreby, w miarę liczby i zamożności swych mieszkańców, na cele miłosierdzia i pomocy ubogim uczyniło tyle, co Wilno w ostatnich kilku leciech" [1]).

Gdy po śmierci biskupa J. N. Kossakowskiego, Tomasz Wawrzecki chorąży litewski, niegdyś naczelnik narodu po wzięciu w niewolą Tadeusza Kościuszki, obrany został prezydentem Towarzystwa Dobroczynności i w srogiej zimie 1809 r. obmyślał środki nadzwyczajnego zasiłku dla ubogich mieszkańców Wilna; Frank przyszedł mu w pomoc, złożeniem w sali kasynowéj, dnia 15 stycznia, amatorskiego koncertu, z którego dochód w połowie tylko miał się obrócić na korzyść trzeciego wydziału. Piękna uwertura z *Fingala*, wykonana przez Józefa Kozłowskiego, mistrza cesarskiéj kapeli; wymagała towarzyszenia, mało wtedy jeszcze znanego u nas instrumentu wschodniego Tam-Tam. Użyczył go anglik Robertson, zabawiający w ówczas publiczność wileńską wzlatywaniem na balonie, wystawianiem ruchomych obrazów i wyprawianiem sławnych sztuk fantazmagorycznych do których i Tam-Tam, sprowadzony umyślnie z Jndyj Wschodnich za 2,000 franków, był mu potrzebny. Mocny dźwięk tego instrumentu, podobny do brzmienia największego dzwonu, potężnie wstrząsnął nerwami słuchaczów. Frank uspokoił przewidziane od siebie wrażenie następującą tuż

---

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 215—219. I ten instytut rozchwiał się w wojnie 1812. Wszelakoż, na wezwanie Franka, lékarz piérwszéj klasy Piotr Sułkiewicz, członek towarzystwa medycznego, a dawniejszy chirurg kliniczny, rychło potém wziął na siebie obowiązek utrzymywania świeżéj zawsze wakcyny i bezpłatnego jéj zaszczepiania dzieciom ubogich rodziców (*Mém. biogr.* T. II. p. 217). Poczciwy pan Piotr obowiązku tego święcie dopełniał, aż do śmierci, zaszłej w kilka już lat po wyjeździe Franka.

po niem łagodną, z opery *Alonzo e Cora* Mayera kawatyną, którą śpiéwała pani Frankowa z uczęstniczeniem tylko harfy i dwóch altówek. Niespodziana ta sprzeczność sprawiła przedziwny efekt. Dwaj artyści, bracia Ham, popisali się téż w koncertach na fagocie i waltorni. Publiczność, która z początku stroiła sobie żarciki, wyczytując w ogłoszeniu nazwiska niesłychanego narzędzia Tam-Tam i obok niego dwóch braci Ham-Ham, była prawdziwie oczarowaną tym wieczorem muzykalnym, który przyniósł na część lekarskiego wydziału Towarzystwa Dobroczynności 900 rubli srebrnych i tyleż na sam przytułek dla ubóstwa. Gubernator zaś wojenny jenerał Korsakow dziękował pani Frankowéj, w uprzejmym liście, za tak gorliwe i skuteczne jéj poświęcanie się ku wsparciu ubogich miasta [1]).

Tegoż samego roku (1809), przez niesłychane zabiegi i długie usiłowania Franka, pod jego przewodnictwem, głównie zaś przez udział pierwszego rzędu talentów jego żony, nie bez porady téż przejeżdżającego przez Wilno sławnego fortepianisty i kompozytora Steibelta, podwakroć było wyprawione, na korzyść trzeciego wydziału Towarzystwa Dobroczynności, podczas przypadających wyborów obywatelskich w wielkim poście, sławne oratoryum Haydena: S t w o r z e n i e ś w i a t a. Tak śmiałe przedsięwzięcie rozpoczął Frank od wystarania się o dobry przekład niemieckiego tekstu oratoryum [2]) na język polski. Podjął się tego stary wojewoda mścisławski Ksawery Chocimski, znany tłumacz poezyj francuzkich i niektórych łacińskich, autor jednego wiérsza, przez długi czas przyznawanego Trembeckiemu. Uprzedził jednak, z dowcipem wieku Stanisława Augusta, że człowiek śmiertelny nie może tak prędko wyśpieszyć dzieła stworzenia, jak Bóg, ani zaręczyć nawet za jego dokończenie. Zgadł wieszczym duchem zacny wojewoda: bo zaledwie wygotował część pierwszą przekładu, kiedy go śmierć prędka zaskoczyła.

---

[3]) *Mém. biogr.* T. III, p. 295—297.

[2]) Tekst niemiecki oratoryum: S t w o r z e n i e ś w i a t a napisał baron van-Swieten, syn znakomitego lekarza, radzca tajny cesarsko-austryacki i dyrektor cesarskiéj biblioteki w Wiedniu (*Mém. biogr.* T. II, p. 135).

Umiejętnie ukończył jego pracy profesor ks. Jan Kanty Chodani. Ale obaj tłumacze nie potrafili, na usilne naleganie Franka, zastąpić niemieckiego wyrazu Licht równobrzmiennym i jednosyllabnym wyrazem polskim; co zniweczyło piękność sławnego w tym utworze miejsca. Es werde Licht (niech się stanie światło). Mybyśmy rozumieli, że tu dobrowolnie mógłby się im był nastręczyć wyraz Swit, tém stosowniejszy, że w cerkiewnym i rosyjskim dyalekcie świt i świét właśnie oznacza światło.

„Mając już przekład polski (powiada Frank) jąłem się podkładać go pod muzykę Haydena. Wziąłem zaś sobie za prawidło, jak najściśléj przestrzegać prozodyi: czego dotąd, w przekładzie oper, po większéj części zaniedbywali Polacy. U nich to za obojętną rzecz uchodziło śpiewać dobrý, zamiast dobry; sercé, zamiast serce; szczęśliwý, zamiast szczęśliwy i t. p. Prawda, że dla dopięcia tego celu musiałem czasami zmienić walor (czas trwania dźwięku) nót samych. Ale ta zmiana była bardzo nieznaczna; kiedy tymczasem naruszenie prozodyi zepsułoby piękność mowy polskiéj, z kąd inąd tak przydatnéj do śpiewu".

Również i pani Frankowa zawsze uważała język polski, po włoskim, za najpodatniejszy i najlepiéj naginający się do metodycznego śpiewu. Raz nawet, o téj śpiewności polskiego języka, poważyła się sporu, mogącego się wydawać zuchwałością. W roku albowiem 1806, bawiąc przez kilka miesięcy w Petersburgu, przy teściu swoim Janie Piotrze Franku, była wezwaną na wieczór przez cesarzową Elżbietę Aleksiejownę i na jéj rozkaz śpiéwała kilka aryj, wyjątków z oper i t. p. W tém nadszedł i sam cesarz Aleksander I, który słuchał śpiéwaczki z upodobaniem i pochwałą. Po niejakiéj chwili zadał pytanie: który z dwóch języków przydatniejszym jest do śpiewu, rosyjski, czy téż polski? Pani Frankowa, bez wahania się, przyznała pierwszeństwo polskiemu; a to z téj uwagi, że w języku rosyjskim akcent po większéj części przypada na ostatnią syllabę wyrazów, z kąd wynika zbyt wielkie jego podobieństwo z francuzkim, jak najmniéj sprzyjającym śpiewowi. Przeciwnie wyrazy polskie, mając w ogólności akcent na przedostatniej syllabie zbliżają się przez to do języka włoskiego, który ze wszyst-

kich innych najlepiéj się podaje i nagina do umiejętnego śpiéwu. Twierdzenie to swoje usiłowała poprzeć śpiéwając początek piérwszego duetu z opery Salierego Axur, na przemiany w oryginale włoskim i w przekładzie polskim Wojciecha Bogusławskiego. Cesarz ze swojéj strony, obstając za pierwszeństwem rosyjskiego języka, zakończył spór ze zwykłą sobie łaskawością: *Madame! dans votre bouche chaque langue devient harmonieuse* [1]. Ale powróćmy do oratoryum wileńskiego.

Teraz więc (powiada Frank, trzeba było pomyśleć o wyszukaniu śpiewaków i złożeniu orkiestry. Pani Frankowa zachowała też same role, Archanioła Gabryela i Ewy, które Hayden w Wiedniu umyślnie dla niéj był napisał [2]. Role na tenor i baryton powierzone były dwóm artystom teatru miejscowego, Palczewskiemu i Wolskiemu. Do chórów głosowych, kościoły wileńskie, teatr i towarzystwo dostarczyło Frankowi dwudziestu czterech śpiéwaków. Arcybiskup miński (książę Potemkin) na jego prośbę, przysłał dwanaścioro pacholąt ze swéj cerkiewnéj kapeli. W okolicach Wilna jeszcze wynaleziono cztérech dobrych śpiéwaków, nawet z podoficerów niektórych pułków. Łatwiéj przyszło już złożyć orkiestrę ze sta osób. Oprócz albowiem amatorów i artystów miejscowych, obywatele, udający się na wybory do Wilna, przywiedli z sobą najlepszych, jakich na swym dworze mieć mogli, muzyków, a niektórzy i sami do orkiestry się przyłączyli.

Z tak różnorodnych żywiołów, jak z owego starożytnych zamętu przed stworzeniem świata, przez częste repetycye, pod przewodnictwem Franka i Steibelta, udało się wreszcie wyprowadzić sworną i harmonijną całość. Steibelt, który niedawno słyszał kreacyą Haydena w konserwatoryum paryzkiém, przybywszy do Wilna już w połowie tych przygotowań, wymagał mniéj śpiewu a więcéj deklamacyi w recytatywach; więcéj ożywienia i uczucia w części instrumentalnéj. Zwracał uwagę, że co się tknie saméj deklamacyi, nie tylko Niemcy, lecz ani nawet Włosi [3] nie dopisują Francuzom. Zalecał śpiéwakom nie trzymać

---

1) *Mém biogr.* T. III, p. 46—47.

2) *Ibidem* T. II, p. 134.

3) Tak przynajmniéj było w r. 1809.

bez przerwy oczu wlepionych w nóty, lecz ile tylko można, śpiéwać z pamięci i podnosić ekspressyą śpiéwu, jeżeli nie giestami odpowiedniemi, to przynajmniéj taką miarą mimiki, ile jéj koncert dozwalać może. Pod stérem więc Steibelta chóry nowym duchem się ożywiły. Muzycy, lepiéj kierowanem i pojętem spółdziałaniem narzędzi, wzmagali wyrażenie słów śpiewu. Każdy spółpracownik (jak się podobało rzec Steibeltowi) stał się malarzem i aktorem.

Ku tém lepszemu oddaniu poważnéj i jak religijnéj kompozycyi obrano nie teatr, ani miejsce zwyczajnych zabaw, lecz wielką salę ratuszową mogącą w sobie ogarnąć tysiąc i z górą osób, i niby na kościół jaki zakrawającą [1]. Przybrano też ją i oświetlono w odpowiednim poważnym rodzaju. Wszystkie śpiewaczki w bieli, a wszystkich śpiewaków w jednostajnym, czarnym ubiorze, umieszczono na przygotowaném wzniesieniu. Żeby publiczność tém snadniéj zakosztować mogła piękności oratoryum, do polskiego przekładu tekstu przydano i potrzebne objaśnienia. Chciwi usłyszeć arcydzieło zbiegli się tak gromadnie, że wkrótce zabrakło już miejsca w przestronnéj sali. Na powszechne więc żądanie musiano zaraz nazajutrz, powtórzyć oratoryum, które z równymże zapałem i entuzyazmem, jak i piérwszego razu, było przyjęte. Owo zgoła, wykonanie tego wielkiego utworu, chociaż ze względu na miejscowe środki zdawało się być prawie niepodobném; je-

---

[1]) Rokiem dopiéro późniéj, kiedy się niepowiódł podawany przez Franka i senatora Michała księcia Ogińskiego (d. 29 Lipca 1810) projekt założenia narodowego teatru litewskiego w pałacu Ogińskich przy Rudnickiéj ulicy (gdzie teraz klub szlachecki), dawniejsza przedsiębiorczyni wielkiego a coraz upadającego teatru w po Radziwiłowskim pałacu przy ulicy Wileńskiéj, Marcyanna Morawska, na podanie i za orędownictwem gubernatora, urządziła już była w sali ratuszowéj, mały teatrzyk, bardzo krótko pod jéj zawiadywaniem trwający: gdyż wielki teatr znowu się jeszcze był podźwignął. W tymże samym czasie Frank usilnie doradzał księciu Kuratorowi uniwersytetu zaprowadzenie przy głównem seminaryum duchownem, szkoły śpiewu kościelnego, organistów i parafialnych nauczycieli. (*Mém. biogr.* T. III, p. 489-494, 553-554). Szkoła ta zaledwo aż w dziesięć z górą lat późniéj była rzeczywiście otworzona, a trwała do roku 1833.

dnakże nie zawiodło oczekiwania i takich nawet znawców, którzy je w Wiédniu pod kierunkiem samego Haydena słyszeli i przyniosło, gwoli ubogim chorym miasta, 3,000 r. sr. czystego zysku [1]).

Zacna pani Frankowa ochoczo zawsze poświęcała rzadkie swoje talenta i wyższe usposobienie w sztuce pięknéj śpiewania na ratunek schorzałych bliźnich. Ale ciemne i dwuwykładne wyrażenie się Wizerunków, że Frank szedł w pomoc niedostatnim chorym miasta „przez koncerta, oratorya, teatra i opery, wespół z żoną wyprawiane“ zostawiałoby w niepewności: jakie w tych teatrach, oratoryach i operach mogło być osobiste uczestnictwo znakomitego professora? Frank znawca i zwolennik muzyki, wybiérał lub sprowadzał kompozycye sławniejszych mistrzów, wzywał lub zmawiał artystów i amatorów, rozdawał role, dobiérał i urządzał chóry śpiéwaków, obecnym bywał na poprzednich doświadczeniach, nadkładał czasem kosztu na kostiumy i dekoracye, wreszcie dyrygował orkiestrą. Ale rzecz widoczna, że sam nigdy nie występował na scenę teatralną, czegoby nie mógł uczynić bez ubliżenia powołaniu i uczonemu zgromadzeniu, do którego należał.

Jednakże, święta miłość prawdy i zeznanie samego Franka nie dozwala nam zamilczeć, że raz o małoco nie przyszło już do tego. Ale tu po nici do kłębka iść musimy.

Upodobanie Franka w nadobnym śpiéwie było prawdziwie nadzwyczajne. Sam przyznaje się w Pamiętnikach, że odstępując od zamierzanych dawniéj świetniejszych związków, mimo trudne i prawie niechętne przyzwolenie ojca, wiedziony raczéj przywiązaniem i urokiem talentu, aniżeli namiętną miłością, dość młody jeszcze pojął w Wiédniu (1798) zacną wprawdzie, starannie wychowaną, miłą

---

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 298—304. Z tém wszystkiem, jak często u nas bywa, znaleźli się złośliwi przyganiacze. Krążył tedy po rękach i z ust do ust przechodził jadowity dowcipny dwuwierszyk, nieznany jak widać Frankowi, bo-by go pewnie, z taką wszędzie, jak filozof genewski, wynurzając się otwartością, w pamiętnikach swoich nie pominął:

„W stworzeniu świata opak poszły rzeczy;
„Doktor Haydna skaleczył, Hayden nędzę leczy.“

i żywą, lecz ani posażną, ani zbyt jaśniejącéj urody, pannę Krystynę Gerhardi, któréj śpiéw czarowny zachwycał go i upajał w oratoryach i koncertach, wykonywanych prywatnie po salonach magnatów wiédeńskich i w dobraném towarzystwie amatorów muzyki. Przez poślubienie takiéj żony, chciał on przywiązać się do domu i oddać swobodniéj pracom naukowym, od jakich mimowolnie odrywało go czasem zasługiwanie się słynnym śpiéwaczkom opery, u których z trudnością niekiedy wyżebrane łaski artystyczne rozdrażniały raczéj, niż zaspakajały jego pragnienie.

Krystyna Gerhardi [1]) miała fizyognomią zupełnie włoską: bo i matka jéj, chociaż urodzona w Aschaffenburgu, pochodziła z familii włoskiéj de Monti. Ojciec rodem z Buxweiler w Alzacyi, osiadł był w Lettowitz w Morawii, gdzie wspólnie z drugim przedsiębiorcą założył był fabrykę wyrobów bawełnianych; umarł zaś w niewiele lat po ożenieniu. Troskliwa matka, przy pomocy przyjaciół i krewnych zeszłego męża, dała w Wiédniu jak najstaranniejsze wychowanie młodéj Krystynie, okazującéj wcześnie już niepowszednie zdolności do muzyki a zwłaszcza śpiéwu. Przy miłym, dźwięcznym i mocno rozwiniętym organie, krzepkiéj a szérokiéj budowie piersi, potęga głosu stanowiła szczególniejszą sprzeczność z drobną urodą śpiéwaczki. Byłto rozległy sopran (soprano sfogato), obejmujący półtrzeciéj oktawy, a kończący się na ut w oktawie wysokiéj. Zadziwiała w nim równość i okrągłość wszystkich tonów, potoczystość w r u l a d a c h, giętkość w s o l f e g g i a c h, rozciągłość w trelach, mogących się przedłużać prawie do nieskończoności i dających wyraźnie słyszeć dwa tony, jednostajnéj równości i mocy, jak u słowika. Nie mniejszą téż była wytrwałość i ciągłość głosu w a d a g i a c h. Zaledwie dostrzegałeś, iż śpiewaczka nowego tchu nabiéra. Kiedyś go sądził już wyczerpanym; alić niespodziana r u l a d a i trel przekonywały o jego dostatniości [2]). Wygłaszanie syllab i wyrazów nie zostawiało nic do życzenia. Rzymianka, któraby przywłaszczyła sobie toskański dyalekt, nie zdołałaby jéj przewyższyć.

---

[1]) Pamiętniki piszą téż G h e r a r d y i G e r h a r d y.

[2]) Miejsce to i z parę innych, ku sprawdzeniu i sprostowaniu obcego mi słownictwa muzycznego, przeglądał uproszony odemnie pewien znany a uprzejmy artysta.

Z takiemi zaletami głosu szybkie i nadzwyczajne postępy w sztuce umiejętnego śpiéwania pod stérem Adambergera, sławnego niegdyś tenorysty na przedniejszych teatrach włoskich, a potém nauczyciela śpiéwu w Wiédniu, tudzież Haydena i nieco późniéj Paëra, wsławiły ośmnastoletnią Krystynę. Od pierwszego zaraz wystąpienia w oratoryum Haydena Stworzenie świata, na sali pałacu księcia Schwartzenberga wyprawioném, równie jak w niektórych kompozycyach Haendela, w oratoryum Debora i Sisara Guglielmiego i w kilku innych prywatnych koncertach towarzyskich, obudziła entuzyazm powszechny. Najpiérwszy śpiéwak owego wieku Ludwik Marchesi, wnet po przybyciu do Wiednia 1798 roku, jak skoro usłyszał kilka śpiéwanych przez nią aryj, nie posiadał się z zadziwienia, że znalazł w Niemczech artystkę, zupełnie podług najlepszéj szkoły włoskiéj ukształconą. Przepowiadał jéj i zaręczał, jeźliby chciała się poświęcić teatrowi, jak najświetniejsze powodzenie. Namawiał ją nawet i zalecał na prymadonnę w genueńskim teatrze, pod bardzo korzystnemi warunkami, które przedsiębierca już przyjmował. Lecz w tymże samym czasie Józef Frank oświadczył się o rękę młodéj Krystyny, ku wielkiemu uradowaniu jéj matki, która nigdy nie życzyła swéj córce oddawać się teatralnemu zawodowi. Nie trafił téż na niewdzięczną. Krystyna najtkliwszém zawsze przywiązaniem, rządnością i pokojem domowym, zupełném stosowaniem się do woli męża, czarując swoim talentem swobodne jego chwile od prac i zatrudnień uciążliwych, umiała odpłacać i usprawiedliwić niespodziewany jego wybór [1]).

Wszakże i sam Frank, od młodych lat dobrze wyuczony w muzyce i śpiéwie przez najpierwszych mistrzów włoskich, a pięknym głosem męzkim (tenor, w potrzebie zaś niekiedy i baryton) obdarzony, chętnie się téj zabawie, na domowych i towarzyskich wieczorach, naprzód w Pawii a potém w Wiédniu [2]) oddawał. Owszem już i w Wilnie śpiéwywał czasem wieczorami samowtór, mianowicie

---

[1]) *Mém. biogr.* T. II, p. 129—144.

[2]) Tu śpiéwywał we dwóch z Drem Malfatti, basistą wyśmienitym.

z opasłym trzebieńcem, Tarquinio dobrze niegdyś znanym na Litwie soprano neapolitańskim [1]).

Owoż tedy w roku 1810, podczas kontraktów Świętojerskich, za staraniem Franka, miano dawać w wielkim teatrze, na zysk lekarskiego wydziału Towarzystwa Dobroczynności, operę włoską Zingarellego Giulietta e Romeo. Główne w niéj role wzięli: pani Frankowa i Tarquinio; jednę zaś z drugorzędnych, ojca Julietty, śpiewak miejscowego teatru Fiszer, który nie mając i tak mocnego głosu, na kilka dni przed piérwszą reprezentacyą niespodzianie dostał chrypki. Frank przewybornie zastąpił go na repetycyach prywatnych, które się we własnym jego domu, na pokojach pani Frankowy odbywały. Czém rozochocony zbiérał się już zastąpić go i na publicznéj reprezentacyi; tém bardziéj, że niedawno w Fedrze Rasyna, przełożonéj na polski język i po dwakroć już (r. 1808 i 1809) na korzyść Domu Dobroczynności, w wielkim teatrze dawanéj przez towarzystwo amatorów pod przewo-

[1]) Przywiózł go z Paryża do Wilna w r. 1809, książę Gabryel Ogiński. Po wojnie 1812—1813 r., Tarquinio mieszkał przez niejaki czas w domu Franka i raz posłużył mu za narzędzie dosyć trafnego żartu. U stołu, pod koniec Marca 1814 r., wszczęła się była rozmowa o powszechnym niemal w całéj Europie zwyczaju, niewinnego oszukiwania czyli zwodzenia swych przyjaciół w pierwszy dzień Kwietnia, co Francuzi *un poisson d'avril*, a my Polacy *prima-aprilis* nazywamy. Frank utrzymywał, że taki zwyczaj wtedy tylko może zabawić i zająć, kiedy kto potrafi rzecz jakąś lub zdarzenie, z natury swéj niepodobne, tak zręcznie udać za prawdę, że uwiedziony przyjaciel łatwo temu uwierzy. Podchwycił inny rozmówca, że tak możnaby tylko ułowić dudków, ale nie szczwanych lisów; nie ludzi rozumnych, przezornych i ostrożnych. Proszę mi dokazać, naprzykład, żeby pan Jędrzej Śniadecki uwierzył jakiemu wymysłowi, z istoty swéj lub przydatkowych okoliczności dalekiemu od prawdy. Na to Frank powiedział obojętnie: „a co wiedzieć? możeby się i udało". Z nadejściem zaś dnia 1go Kwietnia, napisał taki bilecik do Śniadeckiego: „Okropne nieszczęście przydarzyło się w moim domu. Dziś Tarquinio, goląc się, poderznął sobie gardło. Pośpieszajże mi na pomoc". Jędrzej Śniadecki przybiegł cały zadyszany. Frank do podzięki za uprzejmą jego usłużność, przydał uwagę: że soprani włoscy, jak mu zapewne wiadomo, nie mają brody, nawet w dniu pierwszym apryla. *(Mém. biogr.* T. IV, p. 238—239).

dnictwem hrabiny Choiseulowy, oprócz innych poważnych osób, uczęstniczył i prezydent sądu głównego.

Zaledwie posłyszawszy o tém wierny i prawdziwy przyjaciel Franka, professor chirurgii J. F. Niszkowski, wszelkiemi sposobami starał się odwieść go od zamysłu, tak niezgodnego z powołaniem lekarskiém i z obyczajmi naszego kraju: bo we Włoszech sami nawet księża miewają bezpośredni udział w kantatach i koncertach na dobroczynne cele wyprawianych [1]. Frank długo się opiérał. Niszkowski acz był powolnego i zimnego temperamentu, jął mówić z taką mocą i zapałem, tak żywo i dobitnie wystawił wszystkie następstwa kroku, który mógłby okryć śmiesznością profesora kliniki, popisującego się na publicznéj scenie, a możeby naraził go nawet na uszczerbek wziętości i zaufania w praktyce; wreszcie tak gorąco błagał i zaklinał, że Frank, aż do łez rozrzewniony, odstąpił pokwapliwego zamiaru, uściskał Niszkowskiego, ciesząc się i winszując sobie, że znalazł takiego przyjaciela [2]. Odłożono reprezentacyą do wyzdrowienia Fiszera, które w sam czas jeszcze nastąpiło.

W przygotowaniach do téj opery Frank przełamywał wiele trudności. Dla aktorów miejscowych równie jak i dla chórów, nie umiejących ani słowa po włosku, wszystkie role musiano przepisywać podług samego ich, w zgłoskowaniu polskiém, wymawiania: co powiodło się należycie [3]. Mały balet, wchodzący do opery, ułożył Dziewoni, nau-

---

[1]) Dowód tego w Pamiętnikach Franka, T. V, str. 177.

[2]) Zdarzenie to, o którém i w Pamiętnikach, z bardzo małą odmianą, nie zamilcza (*Mém. biogr.* T. III, p. 460 et 466), Frank opowiadał przedemną, ze wszystkiemi przywiedzionemi tu szczegółami, w roku 1816, kiedyśmy razem powracali z pogrzebu professora Niszkowskiego.

[3]) O aktorach tutejszych Frank daje zaletne świadectwo: że w ogólności zarówno zdatni do komedyi, opery, tragedyi i baletu, przy dobrém sposobieniu się, a przy zachęcie i ocenianiu swych talentów ze strony publiczności, nie daliby się wyprzedzić artystom dramatycznym jakiegobądź kraju (*Mém. biogr.* T. II, p. 410; T. III, p. 489). Grę zaś Ledóchowskiéj, sławnéj artystki tragicznéj warszawskiéj, która latem 1821 r. występowała na wileńskim teatrze, w roli lady Makbet, a mianowicie w scenie somnambuliczki, nazwał przecudowną, daleko wyżéj stawiając ją od widzianéj przez

czyciel tańców przy uniwersytecie; usposobiwszy do tego ośm panienek i cztérech młodzieńców, wybranych przez Franka. Że do jéj wystawienia należało jeszcze i kilka bitew; na wezwanie więc Franka nauczyciel fechtów Hullet wyćwiczył w téj sztuce Tarquiniego, który ku powszechnemu zadziwieniu, potykał się jak mężny i sierdzisty walecznik, pomimo głos swój niewieści, opasłą tuszę i niedostatek brody. Wyuczono téż i wprawiono do teatralnéj walki dwudziestu cztérech dobornych grenadyerów.

Znaczna część przygotowań odbywała się w samym domu Franka, na ten raz wcale niepodobnym do mieszkania lekarza, wprawdzie nad pomocą ubogim chorym przemyślającego. Śpiéwano w jednym pokoju, w drugim tańcowano, w trzecim bito się na floresty, w czwartym i piątym krawcy i szwaczki pracowały nad kostiumami od aksamitów i atłasów, złotem lub srebrem wyszywanych, które prócz ubioru pani Frankowy kosztowały do tysiąca rubli srébrnych. Trzy nowe dekoracye, pod kierunkiem professora Rustema, wygotował, wtedy już wsławiający się dekorator Głowacki. Najtrudniéj byłoby znaleźć podpowiadacza (suflera), zarówno język włoski jak i muzykę dobrze znającego; gdyby do téj zbyt skromnéj ale istotnéj posługi nie dał się był namówić doktor Antoni Vicini. Zwyczajną orkiestrę teatralną prawie w dwójnasób powiększono. Dyrygował nią sam Frank, czemu Niszkowski wcale się już nie sprzeciwiał.

Pierwsze wystawienie odbyło się dnia 27 Kwietnia 1810 r. Wielka opera, w któréj śpiéw włoski jednoczył się z deklamacyą francuzką, jakby cudem w stolicy litewskiéj wyprawiona, wzbudziła podziw i niewymówne powszechne uniesienie. Przybyły zaś niedawno z Paryża książę Gabryel Ogiński, który słyszał ją wykonaną w Tuilleryach przez panią Grassini i Crescentiniego, głośno się odzywał, że wyrównali im pani Frankowa i Tarquinio.

Dla usposobienia widzów do wrażeń aktu trzeciego, w którym scena miała okazać grób Julietty, Frank przed podjęciem zasłony, dał na parterze zapalić pogrzebowe

siebie na teatrze londyńskim w 1803 roku (*Ibid.* T. IV, p. 476). Zkąd inąd wiadomy jest względem tego pierwszeństwa, wypadek zakładu między dwoma Anglikami.

niby kadzidła, co dziwnie powiększyło jeszcze złudzenie [1]). Chcąc zaś ożywić walkę między Capuletti'mi a Montechi'mi, kazał ostrzédz, tajemnie i z osobna, grenadyjerów każdéj strony, że przeciwnicy gotują się dać im porządne cięgi. Przez taki fortel wojenny bitwa na chłodny oręż tak dalece się rozpaliła, że nie tylko zewsząd sypały się z niego i pryskały rzęsiste iskry, ale przyszło nawet do niejakiego krwi rozléwu. Szczęściem, że obrażenia nie były wcale niebezpieczne, i że Frank wcześnie już, na wszelki przypadek, postawił za kulisami chirurga Maryańskiego.

Po skończeniu widowiska, publiczność w swoim zachwycie zapomniała się do tego stopnia, że poczęła wielkiemi głosy wywoływać panią Frankową. Co skoro postrzegł gubernator wojenny Korsakow, wnet posłał adjutanta, zapraszając ją do swojéj loży, z któréj miała się ukazać zgromadzeniu; ale było już za późno. Pani Frankowa powróciła na scenę, prowadząc pod rękę Tarquiniego, i jemu przyznając dank oklasków i całe powodzenie sztuki.

Widowisko, gwoli powszechnemu żądaniu dwukrotnie jeszcze (30 Kwietnia i 1 Maja) na korzyść trzeciego wydziału Towarzystwa Dobroczynności ponowione, szczodrzéjby zapomogło jego kassę; gdyby znaczny koszt przedsięwzięcia nie pochłonął blisko połowy całego zbioru: pozostało zaś 1976 rubli [2]).

Roku 1811, zbieg w Wilnie znamienitych artystów: Romberga wiolonczelisty, Escudero wybornego skrzypka, de Ferlandisa odznaczającego się oboisty i jego żony dobréj śpiéwaczki, Tarquiniego, Duporta sławnego tancerza, a ztąd pewne przesycenie się mieszkańców zabawami tego

---

[1]) Póżniéj Frank zapytywał się żony: jakie smutne myśli przychodziły jéj do głowy w przeciągu pół godziny, które przepędzić musiała w trumnie? Myśliłam, że po teatrze zapewne przyprowadzisz z sobą Tarquiniego; że obadwaj będziecie mieli wyśmienity apetyt, a jam zapomniała zostawić dyspozycyi względem wieczerzy. Ach! jakże to czule!

[2]) Chociaż bilet parterowy oznaczony był na dwa, a cena loży na piętnaście rubli srebrnych; niektóre jednak osoby płaciły nierównie więcéj. Hrabia Ignacy Tyzenhauz, szef dawnéj gwardyi litewskiéj, przyjaciel domu Franków, dał za swą lożę sto czerwonych złotych. (*Mém. biogr.* T. III, p. 459—469).

rodzaju, nie zostawiło Frankowi innego środka do zasilenia instytutu domowéj pomocy, albo trzeciego wydziału Towarzystwa Dobroczynności, nad śpiew pani Frankowy w polskim języku; czemu publiczność zawsze, niewymownie była rada. Tym końcem, podpułkownik Merlini przełożył z włoskiego na polski język operę Salierego: Angiolina. Ale że nikt z miejscowych amatorów nie okazał się sposobnym w niéj uczęstniczyć; trzeba więc było uciec się do aktorów teatru i odstąpić im część przychodu. Mimo to wszakże, widowisko, dane dnia 16 Maja, prócz niezliczonych oklasków dla pani Frankowy, przyniosło dwieście czerwonych złotych dla wydziału lekarskiego Dobroczynności [1]).

Z tegoto wydziału Towarzystwa Dobroczynności, w ciągu piérwszych lat sześciu, tysiące ubogich chorych, zwłaszcza udających się o radę do kliniki, albo i w domu niemocami złożonych, otrzymywało lekarstwa, czasem i inny zasiłek. Ale po wojnie 1812—1813 r. zasoby jego były już bliskie wyczerpania. Ograniczyć się więc przyszło do udzielania pomocy niektórym tylko najbiedniejszym kobietom [2]). Gdy zaś po roku 1817 wydział trzeci znowu dźwigać się począł i przez osobistą ofiarę założyciela nieco zapomógł; Frank użył téj pory do otworzenia kliniki ruchoméj dla dzieci. Ubogie matki i piastunki przynaszały je podczas zwykłych wizyt klinicznych. Frank egzaminował je przed wszystkimi uczniami; udzielał rad matkom i dyktował przepisy na lekarstwa bezpłatne. Dzieci już wychodzące z niemowlęctwa, umiał tak przygłaskać i ośmielić, że do razu oswajały się z nim i spoufalały. Do wstydzących się lub ociągających z ukazaniem języka mawiał: — „Aha! nie chcesz pokazać języka, bo zapewne go nie masz. Patrz a ja go mam". I pokazywał własny język; a dziecko szło natychmiast za tym przykładem. Niektóre powierzał i w domowy dozór celniejszym ze swych uczniów. Przez co wszystko dawał im sposobności praktycznego obeznawania się z chorobami dzieci, na które w nauczaniu teoretyczném największą zawsze zwracał uwagę: dziwiąc się i ubolewa-

---

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 596—597.

[2]) *Ibidem.* T. IV, p. 216.

jąc, że ta tak ważna i istotna część usposobienia lekarskiego, po wielu szkołach, puszczaną bywa w zaniedbanie [1]).

Doradzane przez Franka i usilnie popierane, za powrotem jego z Wiednia w r. 1817, zaprowadzenie specyalnego kursu i kliniki oftalmiatrycznéj, nie dla tego chybiło skutku że, jak powiada redaktor Wizerunków „uniwersytet był już prawie na schyłku ostatecznym“: bo i owszem kwitnął wtedy jeszcze i słynął w całej swietności. Niepowodzenie zamysłu Franka wynikło ztąd jedynie, że pierwiastkowy etat 3,000 r. sr., nieostrożnie podany przez rektora Strojnowskiego na utrzymanie trzech razem klinik, medycznéj, chirurgicznéj i położniczej okazał się, wcale niedostatecznym. Dopełniono go więc z ogólnych pozostałości i oszczędzeń od innych potrzeb uniwersytetu, słowem ze źródeł nadzwyczajnych i niestałych. Aże tak dopełnianiany wynosił corocznie od sześciu lub siedmiu, niekiedy aż do dziewięciu lub dziesięciu tysięcy rubli srébrnych [2]), a naturalnie większą część jego pochłaniała klinika medyczna; ztąd więc bywały już sarkania na niepomierny koszt w utrzymaniu tego zakładu. Sam też książę kurator, z którym Frank, powracając od ojca, widział się osobiście w Radzyminie, zezwolił wprawdzie na wysłanie adjunkta Herberskiego do Wiédnia, w celu sposobienia się na okulistę. Ale względem osobnéj kliniki oftalmicznéj, chciał wiedzieć zdanie całego oddziału nauk lekarskich [3]). Ten zaś uznając wielką i niezaprzeczoną użyteczność oftalmiatrycznego instytutu, osądził jednak większością głosów; iż pożądane jego zaprowadzenie mogłoby nie inaczéj spełnić się i dokonać; aż chyba wespół lub równo z wyjednaniem i potwierdzeniem nowego a dostatecznego etatu na trzy już istnące kliniki, na pełną katedrę fizyologii, jeszcze tylko do nadzwyczajnych lub przydatkowych kursów liczonéj, tudzież na szkołę praktyczną weterynaryi, ktemu zaś Rada uniwersytetu, któréj w zamierzanym nowym etacie nie chodziło o sam tylko oddział lekarski, ale i zaprowadzenie kilku niedostawających katedr, jak mianowicie języków oryental-

---

[1]) *Mém. biogr.* T. IV p. 358—359, T. V, p. 439.

[2]) Wiadomość powzięta od kasyera uniwersytetu Stanisława Rodziewicza.

[3]) *Mém. biogr.* T. IV, p. 338—339, 350—351.

nych, upatrywała jeszcze sposobnéj pory [1]). Zresztą zaś, nieodzowną potrzebę osobnego kursu i kliniki oftalmicznéj przy każdym należycie opatrzonym, a dobrze urządzonym uniwersytecie Frank, w wielkiém dziele swojém, dowodnie i wymownie pokazał [2]).

Ku zasileniu lekarskiego wydziału Towarzystwa Dobroczynności, a mianowicie zasobów nowéj kliniki ruchoméj dla dzieci, pod koniec 1818 roku pani Frankowa dała koncert, w którym popisywały się nowe jéj uczennice. Nie przestawała bowiem zacna ta dama na usposobieniu, jeszcze przed wojną 1812, dla teatru wileńskiego dwóch śpiéwaczek: Bogusławskiéj i Wojciulewiczówny [3]). Lecz jak skoro postrzegła, że głos jéj nieco się już osłabiać poczyna, chcąc wspiérać i nadal dobroczynne męża swojego przedsięwzięcia, wyuczyła znowu zasad sztuki śpiewania trzy młode panienki: Przemieniecką, Balbiani i Opitzównę, które w tym koncercie, po raz piérwszy, z pochwałą wystąpiły. Sama zaś pani Frankowa, odzyskawszy nad własne spodziewanie dawną świeżość i giętkość głosu, śpiewała jednę aryą *(Di tanti palpiti)* Rossiniego. Publiczność, grzmiącemi

---

[1]) W szacowném dziele: Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce przez Dr. L. Gąsiorowskiego T. IV, 1835, str. 411, wyczytuję wzmiankę: że w roku 1819, dr. Antoni Sławikowski, podówczas jeszcze asystent w Wiedniu sławnego Beera, późniejszy zaś oftalmiator całéj Galicyi, a następnie profesor okulistyki w Jagiellońkim uniwersytecie, miał już sobie ofiarowane miejsce przez Józefa Franka przy uniwersytecie wileńskim. Musiała tu zajść jakaś omyłka w czasie. Bo Frank, w roku 1819, nie mógł nikogo wzywać, a przynajmeiéj fakultetowi lekarskiemu nie podawał do zajęcia posady okulisty w Wilnie: kiedy widział, że sam jego wniosek, zaprowadzenia instytutu oftalmiatrycznego, już w r. 1817, odłożono do nieokreślonego czasu; a z drugiej strony, kiedy adjunkt Herberski, pod koniec tegoż roku wysłany do Wiednia dla sposobienia się na okulistę, otrzymał w następnym zaraz roku 1818 chlubne świadectwo nauczyciela swego Beera, robił już w jego klinice operacye katarakty i sztucznéj źrenicy, w krótce zaś potém zyskał wielkie pochwały profesora Walthera w' Landshucie (*Mém. biogr.* T. IV, p. 360—361, 380, 392, 407.).

[2]) *Prax. med. univ. praecepta.* Pars. II, Vol. I, Sect. II, p. 605—607.

[3]) *Mém. biogr.* T. III, p. 487.

oklaskami i głębokiem wzruszeniem chciała téż jéj okazać, że umié z wdzięcznością oceniać jéj trudy, podjęte dla kształcenia młodych Litewek w sztuce, zajmującéj niepoślednie miejsce w staranniejszém wychowaniu kobiéty [1]). Koncert ten, dany w sali dawniejszego pałacu gubernatorów cywilnych (gdzie teraz Rząd gubernialny), przyniósł trzeciemu wydziałowi Dobroczynności 600 rubli srébrnych [2]).

Dla przysporzenia zaś uszczuplających się dochodów samego Domu Dobroczynności, Frank na prośbę Towarzystwa postarał się o wystawienie, dnia 18 maja tegoż roku, opery: *Amor marinaro* Wejgela, wytłumaczonéj na język polski przez pułkownika Merliniego. Chociaż w téj sztuce głos nie posłużył pani Frankowy tak świetnie jak w dawniejszych; przyniosła jednak czystego zbioru dwieście czerwonych złotych [3]).

Również na korzyść samego Domu Dobroczynności, a nie trzeciego już wydziału Towarzystwa, Frank 1 lutego 1820, zebrał koncert amatorski w sali Müllerów. Pani Frankowa śpiewała aryą, z chórami, z opery *L'Italiana in Algeri* Rossiniego, a jéj uczennice: panny Przemieniecka, Balbiani i Opitzówna aryą z *Gazza ladra* tegoż samego mistrza: aryą Julii i hymn wielkiéj kapłanki z *Westalki* Spontiniego. Kantata wybrana z *Fernanda Cortez* tegoż wielkiego kompozytora zakończyła koncert, z którego było dochodu 813 rubli srebrnych [4]). Towarzystwo Dobroczyn-

---

[1]) Za bytności Franka w Neapolu zimą 1839 roku, księżna de Canzano, opiekunka najsławniejszéj tam pensyi szlachetnych panien zwanéj *I. Miracoli*, zaprosiła go do zwiedzenia téj szkoły, celem skorzystania ze światłych jego rad i przestróg. Pochwaliwszy ogólne urządzenie zakładu, naganiał wszelako, że za mało w nim troszczono się o naukę śpiéwu, przestając na samém niemal ćwiczeniu dziewic w muzyce instrumentalnéj. Zdaniem jego w nadobném wychowaniu kobiety talent śpiewu, kiedy potemu organ, piersi i zdrowie, tém ważniejszą rzecz stanowi, że w muzyce instrumentalnéj bardzo jest trudno, bez długiéj i usilnéj pracy, przyjść do wielkiéj biegłości, a mierność u znawców nie popłaca; gdy przeciwnie śpiew, byleby metodyczny, nawet w granicach mierności może się podobać. (*Mém. biogr*. T. VI, p. 587).

[2]) *Mém. biogr*. T. IV, p. 397—398.

[3]) *Ibidem*. T. IV, p. 397.

[4]) *Mém. biogr*. T. IV, p. 438—439.

ności postanowiło w ówczas właśnie umieścić portrety Franka i jego żony w sali swoich posiedzeń.

Tu pobłażliwi czytelnicy niechaj nam wybaczą ustęp zdaleka tylko wiążący się z treścią opowiadanéj dotąd rzeczy. W tymże więc roku (1820) przed kontraktami Święto-Jerskiemi, przybyła do Wilna zawołana owa Catalani, z mężem swym niejakim Valabregue, wielkim oryginałem i synowicą Wolicką. Wnet rozbiegło się z Wilna mnóstwo gońców na wszystkie strony, donoszących o przyjeździe królowéj śpiéwu i śpiewaczki królów (bo tak ją nazywano) i o czasie dwóch koncertów [1]) które wydawać miała w sali dawniejszego pałacu gubernatorów cywilnych. Zewsząd kwapiono się do Wilna tak tłumnie, że na stacyach pocztowych zabrakło koni.

Słusznego wrzostu, mocnéj i sudannéj budowy ciała a oliwkowéj cery włoszka, w całém obejściu się swojém okazująca znajomość wielkiego świata, upraszała Franka, z którego żoną prędko się zaprzyjaźniła, ażeby jéj przy wchodzeniu do sali koncertowéj i ukazaniu się publiczności, przy wstępowaniu na urządzone, dwustopniowe, okrągłe wzniesienie (estradę) i z niego zstępowaniu, włoskim obyczajem, niby jak rękodajny kawaler towarzyszył. Chociaż nie mógł odmówić prośbie tak sławnéj artystki; ale sam czuł to dobrze i z tém się nie taił, że taka posługa nie zupełnie się zgadzała z ważnością stanowiska i urzędu jakie w społeczności zajmował. Miała przy sobie kapelmistrza Lemoch, jak mówiono w Krzemieńcu przyjętego, który kierował bardzo szczupłą, ale wybraną orkiestrą, do jakjéj chciała się ograniczyć.

Na piérwszym koncercie śpiéwała arye: Dunque si vada Guglielmi'ego; Placida campagna Puccity; Mio bene Portogalla i waryacye Rodego. Po każdéj aryi zasiadała w gronie najpierwszych dam litewskich, które dla niéj zatrzymywały miejsce i z któremi swobodną prowadziła rozmowę. Wypoczynki te trwały tak długo, a błyskotliwe arye pani Catalani migały się i przelatywały z taką szybkością, że śpiéw jéj w całym koncercie, nie trwał nad trzydzieści najwięcéj może minut. Że zaś i od biletu wejścia płacono po złotych polskich trzydzieści; niektórzy więc z drobniejszéj szlachty kontraktowéj, wiedzieni po-

[1]) Dnia 29 i 23 kwietnia.

dobno nie tak lubownictwem i znawstwem, jako raczéj prostą ciekawością, skrzętnie wyliczyli, że każda minuta śpiéwu pani Catalani kosztowała każdego ze słuchaczów po złotemu.

Na drugim koncercie śpiéwała arye: Ombra adorata Zingarellego; Della tromba Puccity; waryacye na aryą Sul margine d'un rio, hymn God save the King i znowu powtórzyła waryacye Rodego; a to na wyraźne żądanie publiczności [1]), ale nie Franka, który nie cierpiał waryacyj w śpiéwie, jak przeciwnie lubił je w muzyce instrumentalnéj.

Talent pani Catalani, pomimo nadzwyczajną, i prawie srébrną dźwięczność organu, a potęgę, rozległość i szczególniejszą czystość głosu, pomimo silne wrażenie, które za pierwszém zaraz usłyszeniem wywarł na tak biegłego, jakim był Frank, znawcę i ceniciela, nie zewszystkiém jednak odpowiedział jego oczekiwaniu, ani też, jak mu się zdawało, w pełni dorównywał tak powszechnie słynącéj, tak rozgłośnéj wziętości. Znawcze jego oszacowanie i ocenienie zamyka ogólnym wnioskiem: że śpiéw pani Catalani zdejmował podziwieniem, ale nie wzruszał i nie chwytał za serce: Son chant surprenait, mais n'allait pas au coeur. Co zaś najwięcéj niepodobało się Frankowi, że Catalani miała zwyczaj nadawać szybki ruch podnoszenia się i zniżania, albo wahania się i kołysania szczęcc dolnéj w ruladach i trelach, które przez to przybiérały niejakieś podobieństwo do szczekania albo skowyczenia psa uderzonego.

Publiczność wileńska nie dostrzegała takich niedostatków. Z wielkiemi owszem oklaskami i zapałem przyjęła oba koncerta rozsławionéj śpiéwaczki, które przyniosły jéj tysiąc trzysta czerwonych złotych.

Bardzo skromna, gładka i obciśle opadająca suknia pani Catalani, z jakiéjś mienionéj, ciemno-zielonawéj i niby wypłowiałéj materyi, w któréj widziałem ją na drugim już koncercie, dziwnie odbijała od blasku brylantów, jaśniejących na bogatéj przepasce i dyademie.

---

[1]) Trzej podówczas najlepsi skrzypkowie wileńscy, Nejmajłowski, Kamiński i Wincenty Borowski, w zdumieniu i prawie w osłupieniu przygrywali tym śpiéwanym waryacyom Rodego, którym sami zaledwie zdążywali wtórzyć na instrumentach.

Nieprzezorne Towarzystwo Dobroczynności posłało kwestarki do pani Catalani wnet po jéj przybyciu, kiedy jeszcze ani złamanego szeląga w Wilnie nie zarobiła. Dostały wprawdzie dziesięć dukatów; ale natrętność niewczesna tak zraziła artystkę, że potém nie chciała już wydać umyślnego koncertu na korzyść Towarzystwa Dobroczynności, do czego Frank napróżno ją namawiał [1]). Natomiast posłała dwieście dukatów urzędowi policyjnemu, dla uwolnienia za drobniejsze długi uwięzionych. Autor Pamiętników z pewném niedowierzaniem zapytuje: czy ta szlachetna ofiara dosięgła swego celu?

Na obiedzie przez Franka danym dla Catalani, na który, prócz senatora księcia Michała Ogińskiego, zaprosił i innych celniejszych lubowników muzyki, osobliwie smakowały jéj przewyborne pstrągi (łososio-pstrągi?) z Wilii. Zdziwiła się, kiedy jéj powiedziano, że mieszkańcy używają tych ryb niemal w same tylko dni postne i nie wszyscy nawet znają się na ich wartości. Nawzajem wielu zadziwił inny szczególniejszy gust pani Catalani. Przechadzając się bowiem, w towarzystwie Franka i drugich jeszcze osób, po Sapieżyńskim ogrodzie, chciwie zjadała mrówki, na których tam wówczas nie zbywało, po oderwaniu im wprzód główek. Przez ciekawość skosztował ich i Frank, i wydały mu się dość przyjemnego, kwaskowatego smaku [2]). Ale, co nie żartem obchodzić może śpiewaków i

---

[1]) Frank zawsze był przeciwny kwestowaniu po domach ku wsparciu ubóstwa i żebractwa. Nazywał to żebraniną innego rodzaju, tém naganniejszą; że nieraz samo natręctwo urodziwych, wystrojonych i bogatych żebraczek wymusza datki u takich nawet osób albo rodzin, które ledwieby już same nie potrzebowały zasiłku i pomocy od Towarzystwa Dobroczynności. Ofiary lub składki w celu człekolubnym powinny być chętne i dobrowolne, ale nie z musu lub przynuki.

[2]) Wszakże i u nas nie są nadzwyczajne takiego mrówkożerstwa (myrmecophagia) przykłady. Opowiadał mi poźniéj uczony nasz naturalista Pan Stanisław Górski, profesor-adjunkt b. akademii medyko-chirurgicznéj wileńskiéj, że obywatel powiatu bielskiego w gubernii grodzieńskiéj, hrabia Ossoliński, mógłby był w tym rodzaju łakotnictwa iść o lepszą, nietylko z panią Catalani, ale z mrównikami, mrówkojadami i mrówkołowami zoologów. W oczach samegoż opowiadacza, za specylny przysmak, zjadł dużą szklankę ży-

śpiéwaczki; to zwierzenie się pani Catalani: że nic tak nie odświeża, nie wzmacnia i nie utrzymuje w czerstwości głosu, jak miazga strączystego owocu kassyi cewkowatéj albo piszczelistéj (Cassia fistula), który też na wszystkich koncertach swoich zawsze miała przy sobie i po każdéj aryi kosztowała go albo raczéj smakowała po trosze.

Gościnny Frank dał jeszcze i wieczór dla pani Catalani, na którym pani Frankowa wyprowadziła przed nią młode swe uczennice. Wiedziała już o nich Catalani: gdyż na oba koncerta swoje przysłała im była bilety bezpłatne. Biedne panienki drżały na samą myśl, że mają śpiéwać w obliczu tak wielkiéj artystki. Przychylnie i uprzejmie ośmielała je i dodała zachęty pobłażającemi pochwałami. Frank nauczony doświadczeniem, miał sobie za prawidło, nigdy nie wyzywać lub nie upraszać natrętnie wirtuozów do popisania się ze swemi talentami w jego domu. Szczególniéj zaś pamiętał o wadzie wspólnéj wszystkim śpiewakom, przez samego już Horacego dostrzeżonéj: że proszeni od przyjaciół niechętnie biorą się do śpiewania lub cale odmawiają, a nie proszeni gotowi śpiewać i śpiewać bez ustanku [1]. Poznała się na téj delikatności Catalani i sama wyzywała gospodarza do śpiewania z nią duetu: Crudel perchè finora, z Nozze di Figaro Mozarta. Po przełamaniu pierwszych lodów tak się przeciw swemu zwyczajowi rozdobruchała, że aż do godziny drugiéj po północy śpiéwała wiele aryj sopranem, a jednę nawet (Non più andrai farfallone amoroso Mozarta) barytonem. Przyłożyło się do téj ochoty i pochlebne dla gospodarza zapewnienie artystki że oprócz jednego tylko Paëranikt, jéj tak dobrze, jak Frank akompaniować nie umiał. Powiedziała to w oczy kapelmistrzowi swemu Lemochowi, który z wielką zaledwie trudnością mógł jéj dogodzić. Szkoda tylko, że nie było tam owychto rachmistrzów kontraktowych z zegarkiem w ręku,

---

wych mrówek. Nie tracił czasu jak owa Włoszka, na odrywaniu im główek, ale prosto wysypał je na miskę, ocukrował porządnie i pełną łyżką spożywał. Najsmaczniejsze zaś mają być na wiosnę, kiedy kupami z mrowisk wysypywać się poczynają.

[1]) *Commune hoc est vitium cantoribus, inter amicos*
Ut nunquam inducant animum cantare rogati,
Injussi nunquam desistant.

Satirarum Lib. I, Satira III.

dla obliczania minut śpiéwu, już nie płaconych od każdéj pary uszu po złotemu.

Zapytywał ją Frank dla czego we wszystkich swoich koncertach, publicznie dawanych, śpiewa pewne tylko, zawsze jedne i też same arye, których ogólna liczba zaledwie do kilkunastu dochodziła? — A Pan, dla czego zapisujesz takie właśnie formuły leków, które Ci, w pewnych przypadkach, najlepiéj posłużyły? Porównanie, jeżeli nie zupełnie trafne, to przynajmniéj dowcipne.

Wyjechała z Wilna, jak i przybyła, książęcym prawie szyrmem, dwoma pojazdami i z wielkim pod służbę i sprzęty podróżne tarantasem. Wkrótce potém Valabregue pisał do Franka z Moskwy, donosząc o wielkiém w Rosyi powodzeniu swojéj Anielki, która nigdy nie zapomni tego kraju i gdyby nie obawa mrozów, chętnie pozostałaby w nim daleko jeszcze dłużéj; zwłaszcza iż bojarzynowie tamtéj stolicy ofiarowali jéj dwieście czterdzieści tysięcy rubli, jeżliby tylko zgodziła się dawać wieczory śpiewające w ciągu zimy. Mąż-sługa uwiadamiał nadto, że jego żona zamyślała już usunąć się z turnieju i posadzić gdzie na ustroniu swoje laury: bo nie pozostałoż jéj sadzić kapustę [1]). Wiadomo, że później kupiła piękną willę niedaleko Florencyi.

W kilka miesięcy późniéj gruchnęła była w Wilnie pogłoska: że kiedy Catalani opuściwszy granice Rosyi, zwróciła drogę ku Lipskowi, u rogatek spotkało ją poselstwo urzędu miejskiego, z zapytaniem: czy do nich przybywa tylko jak podróżna i gościa; czy téż z zamiarem wydawania koncertów? W takim albowiem razie urząd miejski uprzedza ją, że nie dozwoli brać, od biletów wejścia na koncert drożéj, jak po talarze. Artystka naprzód oburzona i nadąsana, w końcu jednak, spuściwszy z górnego tonu, śpiewała po talarze od biletu wchodowego. Jakaż to zbawienna byłaby nauka dla naszej publiczności, gotowéj wówczas sypać dukatami, nie samym jedno wielkim i europejskiej sławy artystom, do jakich niewątpliwie należała Aniela Catalani, lecz nawet włóczęgom zagranicznym, nie mającym rozgłosu i powodzenia w swojéj ojczyźnie. W ogólności zaś nie była jeszcze tak hojną dla prawdziwych talentów własnego kraju, zwłaszcza też dla

---

[1]) Z Pamiętników Franka (T. IV, str. 439—443), z jego rozmów i z osobistych przypomnień.

artystów sztuk obrazowych, których zachęcać, wspierać i ośmielać świętym jest obowiązkiem wszystkich zacnych a dostatniéjszych obywateli.

Zamilczam o drugiéj oklepanej gadce, niegdyś i w Wilnie krążącéj: że Anglicy, za życia jeszcze pani Catalani, byli już wcześnie stargowali i zakupili a może tylko obstalowali, dla zachowania w brytańskiém muzeum, jéj krtań (*larynx*), z wydatnością od przodu tak znaczną, jak grdyca czyli jabłko Adamowe u mężczyzny. Ale podobno targ nie poszedł im na rękę: gdyż Catalani umarła w Paryżu na cholerę w roku 1849, słusznie więc godzi się powątpiewać, azali jéj zwłoki otwierano. — Powracamy do ciągu opowiadania.

Ostatni więc i jak pożegnalny koncert, na zysk Domu Dobroczynności, złożył Frank dnia 21 Grudnia 1822 roku, także w sali dawniejszego pałacu gubernatorów cywilnych. Wykonano na nim: klasyczny kwartet z *Gerusalemme liberata* Righiniego; aryą z *Cenerentola* Rossiniego; tercet z *Zelmiry* tegoż kompozytora; tercet *Matrimonio segreto* Cimarosy; chór z Mojżesza w Egipcie Rossiniego; duet z Eroe z Lankastru Nicoliniego; duet z Somnambuliczki Beauplana; tercet z *Virtuosi ambulanti* Fioravantego. W koncercie tym, oprócz pani Frankowy i jéj uczennic, panien Przemienieckiéj i Balbiani, wzięli téż udział: kapelmistrz Palliani, artysta teatru wileńskiego Żyliński, panny Rewieńskie i Róża Nejmanówna. Sonatę na skrzypcach odegrał obywatel Pomarnacki; sonatę zaś na dwóch wiolonczelach, pan Henryk Romer i Parisini. W przerwie koncertu Ignacy Szydłowski, nauczyciel wymowy i poezyi w gimnazyum wileńskiém, deklamował piękną odę o dobroczynności, napisaną na umyślne wezwanie Franka [1]). Byłto jeden z najświetniejszych koncertów przez niego urządzonych i kierowanych; nie przyniósł jednak więcéj nad 600 rubli srébrnych.

Owoż co Frank, jako filantrop zdziałał i wyświadczył dla naszego miasta. Ani na chwilę wątpić nie można, że zaprowadzony przez niego w początkach roku 1806, Instytut domowéj dla chorych niedostatnich pomocy, albo kliniki ruchoméj, obudził najpiérwszą myśl i ukazał zachęcający przykład zacnemu biskupowi J. N. Kossakowskie-

[1]) *Mém. biogr.* T. IV, p. 521—522.

mu do rozciągnienia na większą skalę i utrwalenia źródeł pomocy dla ubogich przez zawiązanie Towarzystwa i założenie Domu Dobroczynności w starych murach Radziwiłłowskich z obszérnym placem przy ulicy wileńskiéj, szczodrobliwie na ten cel podarowanych przez młodego księcia Dominika Radziwiłła. Frank, spółzałożyciel Towarzystwa, prawdziwym był twórcą lékarskiego w niém wydziału. Sam on wyłącznie, aż do roku 1819, obmyślał środki zasiłku dla tego wydziału, które wszakże w ostatnich swego pobytu latach, i do właściwego Domu Dobroczynności rozciągał. Zawsze jednak ubolewał i z goryczą narzekał, że Towarzystwo Dobroczynności bardzo prędko odstąpiło, albo raczéj dla napotkanych trudności nie zdołało osięgnąć głównego i najważniejszego celu swego założenia, (celu, już przez komisyą szpitalną w roku 1795 zamierzanego); jakim być miało: zupełne wytępienie żebractwa z profesyi, żebractwa domowego i ulicznego, téjto haniebnéj plagi i ropiącego wrzodu każdéj społeczności, któréj cywilizacya nie jest jeszcze wszechstronnie rozwinięta i dojrzała [1]).

Jakim zaś Frank był człekolubem w sprawowaniu saméj sztuki leczenia; na to możnaby przywieść mnogie świadectwa, już ze wspomnień i opowiadania żyjących jeszcze osób, już z ciągłego podania, już wreszcie z pośmiertnych jego Pamiętników. Przestaniemy tu jednak na króciuchnym wyjątku, z jego Prawideł wszystkiej sztuki leczenia wiernie zebranym, w którym Frank, podając ogólne rady człekolubne postępowania lekarskiego, mimo wiedzy i niechcący skreślił, w piérwszych zarysach, własny swój wizerunek: — „Niechaj będzie oblicze twoje pogodne, jednające ufność, zwiastujące nadzieję. Niechaj chory nic nie widzi ani słyszy, coby w nim niemiłe jakie albo przykre uczucie obudzić, coby jakie bolesne wspomnienie odnowić lub odświeżyć, a tém bardziéj, coby płonną jaką obawę nasunąć, lub trwogę grożącego niebezpieczeństwa

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 96—100; T. IV, p. 117—218, 357. Ku zapobieganiu, ile możności, tej klęsce ustanowiony został przy komitecie więziennym, od roku 1852, osobny komitet, trudniący się rozpoznawaniem i opatrzeniem wsparcia dla prawdziwie ubogich a do żadnéj pracy niezdolnych żebraków. Obacz Pamiętnik (*Pamiatnaja knižka*) gubernii wileńskiéj na rok 1860, str. 142—143.

powiększyć mogło... Nadewszystko zaś w tajemniejszą przyczynę złego przezornie wglądać i głębiéj wnikać należy. Zali frasobliwy smutek, zali tłumione ciężkie osobiste lub domowe a zgryźliwe troski, albo zawiedzione nadzieje, alboli długotrwała, nieukojona żałość po stracie drogich osób, albo tęsknica do kraju lub rodziny, albo niepokoje lękliwego lub wyrzutami szarpanego sumienia, albo skrywany wstydem rozpaczliwy niedostatek i t. p. nie wywołały lub nie przedłużają choroby. Wtenczasto szczére spółczucie, dodanie serca i odwagi, wlanie nadziei i moralnéj pociechy, przyjacielskie rady, przychylne a uprzejme usługi, wyjednanie, nastręczenie lub udzielenie materyalnego zasiłku, daleko więcéj nadadzą, niż najwytworniejsze z aptek przyprawy [1])". Tu już Frank mistrzem był niezrównanym. Błogosławieństwa rodzin, zwłaszcza mniéj dostatnich albo na pomyślniejszém niegdyś mieniu podupadłych, którym niósł lékarską, moralną, opiekuńczą i materyalną pomoc, towarzyszyły mu na ziemi, poszły za nim do lepszego żywota.

II.

Postępowanie Franka z uczniami w klinice. Rady i przestrogi. Uwaga nad stopniem cywilizacyi kraju.

Józef Frank bardzo prędko, osobliwie w ćwiczeniach klinicznych, przeznawał zdolnosci i usposobienia swoich uczniów. Nic nie było zaniedbaném, żeby zdatniejszych i pracowitszych do wytrwania i coraz większego rozmiłowania się w nauce zapalić, lękliwych, skromnych i sobie niedowierzających ośmielić, a mniéj sposobnych lub opieszałych do usilności i spółubiegania się podniecić: pochwały, zachęty, przestrogi, napomnienia, publiczne zawstydzenia, ostre i do żywego częstokroć dojmujące wyrzuty i strofowania, zawsze jednak sprawiedliwe i zasłużone, których i celniejszym po trosze się dostawało.

Za nieuctwo i opieszałość lékarzom dozornym (*medici assistentes*) odbiérał w klinice chorych, a powierzał ich pil-

---

[1]) *Praxeos medicae universae praecepta*, Part. I, Vol I, Sect. II, p. 222—226; Part. II, Vol. I, Sect. I, *De morbis systematis nervosi, passim, passim.*

niejszym. Odegnani wszelkich dokładali usiłowań, żeby przejednać zagniéwanego mistrza, nie utracić swojéj klinicznéj praktyki, albo przynajmniéj drugi raz na podobną zelżywość nie zarobić.

Uczniom znowu, których szacował, w nagrodę pilności i w oznakę zaufania, najtrudniejsze zawsze zadawał prace, najcięższe lub rzadsze powierzał im w pieczą choroby [1]).

---

[1]) Przestanę na dwóch tylko przykładach. Słusznie uważając Adolfa Abichta ze wszystkich uczniów swoich, pomiędzy rokiem 1813 a 1816, za najgłębszego myśliciela, prócz innych ważnych chorób oddał mu w dozór rzadszy jeden przypadek obłąkania *(mania)*, z warunkiem określenia w dyagnozie: które mianowicie władze umysłowe jakiemu i do jakiego stopnia ulegały zboczeniu? Mnie zaś, prócz kilku innych, dostały się były: 1, Puchlina ostra mózgu *(hydrocephalus acutus)* z rodzimą łuszczycą czyli rybioskórem *(ichthyosis)* u dorodnego człowieka, którym chodząca jeszcze matka rybaczka, wyciągnąwszy spory więcierz z Wilii, mocno przelękniona i omal że nie obalona została nagłém zeń wyskoczeniem i długiém po brzegu miotaniem się ogromnego szczupaka. 2, Głęboka melancholia albo zaduma u młodéj mężatki po nieszczęśliwym, jak jéj się zdawało, wyborze męża. 3, Otrętwienie, bezczułość albo znieczulenie *(anaesthesia)* obudwu rąk i przedramion, przy władzy ruchu w niczém nie nadwerężonéj. 4, Gościec albo reumatyzm ostry stawów, splątany z chorobą syfilistyczną, i kołtunową u kobiéty, która, po ucięciu zaledwo zwiniętego kołtuna, ulegała szczególniejszemu słuchowego zmysłu a bardzo przykremu złudzeniu: jak gdyby świérszcze wkradły się do jéj głowy i bez ustanku wednie i w nocy świerkają. Czucie to było tak nieznośne, że późniéj pomimo zapuszczenie nowego kołtuna, przyprawiło ją o pewien gatunek obłąkania. 5, Tętniak albo rozszerzenie *(anevrysma)* aorty brzuchowéj, podźwignieniem ciężkiego tłumoka z miedzianym i cynowym sprzętem, i pośpieszną przed rabownikami francuzkimi w r. 1812 ucieczką u młodéj ochmistrzyni wiejskiej sprowadzone, a długo tające się pod zgrają szczególnych przypadków konwulsyjnych. 6, 7, 8, Dwa przykłady pląsawicy wielkiéj (*chorea S. Viti*), a jeden cząstkowéj *(chorea partialis)* tylko w muszkułach szyjnych i członkach wyższych; ostatni na pysznym ułanie polskim, w bitwie pod Chateau-Thierry roku 1814 kulą działową w pędzie już prawie ustającą, w kark rażonym i długo leczonym bezskutecznie w paryzkim szpitalu przez dra Larreya. W każdym trzeba było szczegółowie opisać zboczone a rozliczne kierunki ruchu wszystkich muskułów (mięśniów) w pląsawicy udział biorących, i pochodzenie nerwów, które się w nich

3*

Czujnie dbał o to, aby lekarze dozorni bez przewłoki i porządnie wpisywali, w osobną dla każdego łóżka księgę, historye doglądanych przez siebie chorób, z dziennikami i epikryzami publicznie wprzód czytane i wedle jego uwag poprawione. Ale najściśléj rozbiérał i surowie osądzał historye i wywody chorób, pisane przez kandydatów lub magistrów medycyny ubiegających się o wyższe stopnie i o wolne sztuki lekarskiéj sprawowanie. Każdy w tęskném oczekiwaniu i niepewności sposobił się, z trwogą i z bijącém sercem przybliżał do usłyszenia téj stanowczéj recenzyi czyli osądu. Ale za to, jak droga, jak pamiętna, jak przez innych zazdroszczona, publiczna uwielbianego mistrza pochwała! Nic go téż nie radowało więcéj nad rozwijające się talenta i wydatniejsze zdolności, pod jego przewodnictwem kształcone; kazał sporządzić, ozdobnie oprawioną, księgę złotą albo wzorową *(liber normalis)*, w którą dozwalał celującym uczniom wpisywać wybrańsze historye chorób, za przykład innym podawane [1]). Nigdy żaden patrycyusz wenecki tak się nie pysznił, gdy jego nazwisko w złotą księgę było zapisane. Ilekroć jednak zarozumiały lub chełpliwy pieczołownik, zamiast coby miał być skromnym opowiadaczem, wyraźnie w swojéj historyi godził na pochwałę i z pewnością jéj oczekiwał; tylekroć przezorny nauczyciel zbywał go wyrazem obojętnym twarzy albo zimném milczeniem, i wstępu do złotéj księgi niedopuszczał.

---

rozkrzewiają. 9, Zrośnienie cząstkowe serca z osierdziem; a które Józef Frank *symphisis cardiaca* nazywał. 10, Fistuła kałowa z wypadnieniem tylnéj ściany kiszki miąższéj albo okrężnicy poprzecznéj *(colon transversum)* od częściowego wyrwania przodowéj ściany przez ranę postrzałową, z drugim drobnym otworkiem fistułowym w dolnéj części dwunastnicy, przez który sączył się zrana obficie sok żółciowo-pankreatyczny, w ciągu zaś trawienia wymykały się cząstki pokarmów, zrazu mało zmienione, a potém stopniami gąszcz pokarmowy *(chymus)*, coraz lepiéj wyrobiony. 11, Sinica czyli choroba błękitna *(morbus coeruleus)* przyrodnia u dojrzałéj panny, chociaż inny pieczołownik miał nad nią dozór, a jam tylko pisał historyą, z anatomiczno-fizyologiczném przyczyn i skutków téj wady wyjaśnieniem.

[1]) Nasamprzód weszły do téj księgi niektóre historye Adolfa Abichta i kilka moich, pod względem czystości i poprawności stylu łacińskiego bez porównania niższych.

Uczniów na rządowym lub własnym koszcie, którzy przed ukończeniem piątego roku otrzymawszy stopień doktora przychodzili jeszcze na klinikę, zwykle zgromadzał i stawiał koło siebie składając z nimi, po wysłuchaniu lekarza dozorującego, prawdziwe konsylium medyczne w każdém ważniejszém zdarzeniu: co niezmiernie młodych doktorów ujmowało.

Żadnej nieomijał zręczności do wpajania w uczniów prawideł etyki lekarskiej, któréj piérwsze zasady obejmuje przysięga Hippokratesa, a któréj sam Frank żyjącym był wzorem i przykładem. Zamiast powtarzania znanych jéj przepisów, których treść wyłożył w mowie przy wynoszeniu do stopnia doktora medycyny dwóch pierwszych uczniów swoich [1]), przywiodę tu raczéj jednę tylko uwagę, do któréj dał pochop Frankowi pospolity w naszym języku sposób mówienia.

Nieraz się zastanawiał, że zwyczajna w kraju naszym i tak często słyszeć się dająca gadka, o chorych, których już doktorowie odstąpili, jeżeli nie ma się uważać w przenośném znaczeniu (to jest: że stracili już wszelką ocalenia ich nadzieję), niedawałaby zaletnego świadectwa o gorliwości praktyków miejscowych. Jak gdyby lékarzowi godziło się odstępować chorych, pokładających w nim zaufanie, o których pieczą raz już przyjął na siebie! Osłodzenie cierpień, do czego nigdy prawie na sposobach nie schodzi; przeciągnienie, jeźli być może, życia do odleglejszego krésu; uzbrojenie męztwem długo i upornie walczących ze śmiercią, których przytomność umysłu jeszcze nie odbiegła; zgoła, wszelkie starania ściągające się do błogoskonu *(euthanasia)*; — te są smutne obowiązki, jakie lékarzowi w ostatecznym razie do spełnienia zostają. Nikt téj sztuki w wyższym od Franka stopniu nie posiadał, ani téj powinności z większém i prawdziwszém współczuciem nie wypełniał. Bo ciągły widok i przestawanie z chorymi

---

[1]) *Discours sur les devoirs des médecins, prononcé le 22 Juin 1806 par Joseph Frank, à l' occasion du grad de docteur en médecine conferé solennellement à Mrs. Borsuk et Puczkowski dans l'université de Vilna. Vilno 1806 in 8vo.*

nie stępiło w nim i nie zatwardziło czułości na nędze i cierpienia człowieczeństwa [1]).

Obok prawideł naukowych sztuki, Frank, za każdą upatrzoną sposobnością, udzielał wychowańcom swoim tysiącznych przestróg w obejściu się z chorymi, tysiącznych rad w zachowaniu się lekarza z osobami różnego stanu, wieku, płci, i wykształcenia, wielorakich szczegółów na piérwszy rzut oka mało ważnych, od których jednak pozyskanie ufności, wyśledzenie przyczyn choroby i sam pomyślny wypadek leczenia, w znacznéj części zależeć może. Kładziemy kilka z tych jego przestróg, ale powybieranych umyślnie, dla pokazania, jak daleko zachodziła, do jak drobnych częstokroć i błahych na pozór rzeczy rozciągała się ojcowska jego troskliwość.

„Nigdy nie noście przeraźliwie skrzypiącego (a podówczas bardzo modnego) obuwia, które z daleka już o przybyciu lekarza, jakby o zbliżaniu się grzechotnika, ostrzega a słuch gorączkowie zaostrzony i lżejszego nawet szelestu niecierpiący, u biednych pacyentów i pacyentek nieznośnie razi i rozdziera. Nie trefcie włosów ani napawajcie sukien tęgiemi wonnościami, od których czulsze lub hysteryczne niewiasty w mdłości i drgawki wpadają. Nie oczepiajcie palców obrączkami lub kosztownemi pierścieniami, któreby w doświadczaniu tętna rażącym połyskiem przed oczyma chorych migotać, delikatną rękę kobiét nieprzyjemnie drasnąć, albo na chore trzewa brzuchowe, podczas ich wybadywania, bolesny nacisk wywierać mogły. Nie wywieszajcie i nie miejcie nawet u łańcuszków od zegarka jakich bawidełek, dewizek, sygnetów, tak zwanych rajskich jabłek i tym podobnych brzękadeł lub wisiorów zegarkowych: bo ludzie dobrze wychowani wezmą was za szarlatanów [2]).

„Wystrzegajcie się w obejściu, ruchach i postawie ciała nabierać osobliwszych jakichś nawyknień, któreby was wystrychnąć mogły na dziwaków lub oryginałów. Tak naprzy-

[1]) O nieuleczonéj i nader bolesnéj chorobie cywilnego gubernatora wileńskiego Rykmana w 1806 roku, pisze Frank w Pamiętnikach: *Je ne vis aucune possibilité de le guérir; raison de plus pour redoubler de soins. (Mém. biogr.* T. III, p.61—62).

[2]) Była to przymówka osobista do jednego na własnym koszcie ucznia, który się ustawicznie z témi brzękadłami bawił i popisywał.

kład (niech to zostanie między nami) pan dr. Jakób Sz.... ma ten naganny zwyczaj, że kiedy w egzaminie chorych usłyszy na swe pytanie potwierdzającą odpowiedź; za każdym razem trafność swoję w zgadywaniu obwieszcza głośnym dobroduszym śmiechem: a biedacy nieświadomi takiego narowu, słysząc za każdą niemal swoją odpowiedzią, regularnie powracający chychat doktora, sądzić mogą, że się z ich cierpień raduje lub najgrawa. Tak znowu, sławny praktyk i profesor królewiecki dr. Elsner, w ciągu opowiadania chorych, ustawicznie zżyma i wznosi barki, jakby w oznakę zdziwienia, litości lub zupełnego zwątpienia: a nie przestrzeżeni o takim zwyczaju pacyenci, z tej niemej gry muskułów cierpliwości doktora, wnosić zapewne muszą, że już po nich i t. p.

„Nie wdawajcie się z chorymi w rozprawy o polityce a tém bardziéj nie roznoście od domu do domu politycznych nowinek: bo to i nie przystoi na lekarza, i truje mu korzystniejsze dla chorych użycie czasu i w nielada kłopot wprowadzić może“. Frank doznał tego na sobie samym. Wiosną roku 1807, posłyszawszy zrana, od swego pacyenta hr. Józefa Mostowskiego fałszywą nowinę o wzięciu przez Francuzów Królewca, za powrotem do domu powtórzył ją w obec żony i jednego tylko zaufanego przyjaciela. Aż tu, zaledwo upłynęło z parę godzin, przybiega zadyszany adjutant wojennego gubernatora Korsakowa, pułkownik hr. Tołstoj, nalegając na Franka, w imieniu swego jenerała żeby koniecznie wyjawił, od kogo ma tę wiadomość, nieznaną jeszcze naczelnikowi tak blizkiéj gubernii, a tyle obchodzącą jéj bezpieczeństwo i spokojność. Odparł mu Frank, że wieść tę, zapewne płonną, jak tyle ich krąży podczas wojny, powziął od jednego ze swoich pacyentów. Ale nazwiska jego nie wyjawi i nie mógłby wyjawić bez uchybienia przysiędze lekarza, obowiązującéj go zachować w najgłębszéj tajemnicy wszystko, coby słyszał lub widział u chorych, obcego zwłaszcza sprawowaniu saméj sztuki, a coby ich, w jakikolwiek bądź sposób, narazić lub zniesławić mogło. Wszelakoż, sam adjutant wpadał na domysł, że nowina wyjść musiała od hrabi Mostowskiego. Aże był wielkim jego przyjacielem, oświadczył więc Frankowi: „Oceniam i pochwalam szlachetne znalezienie się pana; po-

trafię dać je uczuć jenerałowi i zasłonić pańskiego pacyenta“ [1]).

„Zachowując jak najstaranniejsze ochędóstwo, żebyście nie obnosili przyczepionéj do was jakiéj zarazy, unikajcie wszelkiéj przysady i wykwintności w ubiorze: bo to się nie zgadza z przyzwoitością i powagą naszego powołania. Daleko zaś niegodniéjsze są lekarza, jak i w ogólności nieprzystojne, ile w obchodzeniu się z pacyentkami, lekkość, trzpiotowstwo, nadstawność, wydwarzanie, mizdrzenie się i zalotnictwo. Patrząc na postępki młodych niektórych lekarzy nieraz przychodziło mi na myśl, czy nie lepszy był i przystojności *(decorum)* lekarskiéj odpowiedniejszy dawnych owych czasów obyczaj, kiedyto, jak dziś wojsko bez munduru i szpady, tak medycy bez peruki, czarnéj togi i wysokiéj laski Eskulapa ani za próg z domu wychylić się nie mogli [2]). Obowiązujący ten zwyczaj, w swoim czasie, przypadał do innych urządzeń społeczeńskich, i z pewnego względu mógł mieć jakieś zalety. Bo niepodobna, żeby nawet wymuskany trefniś [3]), nawet fircyk i i wiercipięta, nie nabrał w takim stroju nieco statku i powagi. Ale w obecnym stanie społeczności, lekarstwo to byłoby gorszém od choroby. Bo dzisiaj, gdyśmy już od

[1]) *Mém. biogr.* T. III, p. 114—116.

[2]) Tak czynił, jeszcze za Stanisława Augusta czasów, stary i poczciwy praktyk warszawski, dr. J. B. Dupont (L. Gąsiorowski Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiej w Polsce, T. III, str. 169). Gdy Jan Piotr Frank, roku 1766 otrzymał w uniwersytecie lotaryngskim w Pont-à-Mousson potwierdzenie stopnia doktora medycyny, przyznanego mu już w Hejdelbergu; bedele przynieśli mu natychmiast czarną togę i aksamitny biret albo czapkę, w kształcie wysokiéj głowy cukru. Józef Frank, roku już 1800, w przejeździe przez Padwę zwiedzając tameczny uniwersytet, zaproszony był, wraz z żoną, na publiczny akt doktoryzacyi. Młodziuchny licencyat uginał się i prawie był zagrzebany pod ciężarem ogromnéj piętrzastéj peruki z długim harcopem. Na ten widok, pani Frankowa parsknęła pustym a głośnym śmiechem, ku wielkiemu zgorszeniu fakultetu, którego wszycy członkowie w podobneż peruki byli oczapieni. (*Mém. biogr.* T. I, p. 32; T. II, p. 167).

[2]) Takim był za młodu doktór Siro Borda, jeden z nienajpilniejszych niegdyś uczniów starego Franka (1785—1789) i w Pamiętnikach *un petit maître fardé* nazwany, któremu jednak przylgnięcie

tylu dawnych form odwykli, lékarz, przybywający w takiém obrzędném uroczystém przybraniu wyglądałby na surowego inkwizytora lub wykonywacza i przerażałby trwogą osoby niebezpiecznie chore, albo zbyt czułe i bojaźliwe. Kiedy przeciwnie lekarz, wyglądający jak wszyscy inni ludzie, przychodzi raczéj w postaci przyjaciela i zaufanego doradźcy; a bardzo ciężko chorych, po kilka razy na dzién, bez żadnego ich zatrwożenia, niby z przypadku i mimochodem, odwiedzać może.

„Chociaż niezmiernie lubię muzykę i uważam ją w pewnych zdarzeniach za skuteczny środek lekarski; nie radziłbym jednak samemu medykowi zbytecznie jéj się oddawać. Bo przechodząc w zamiłowanie namiętne, albo goniące już za mistrzostwem, mogłaby mu zawiele odkradać czasu od zatrudnień i obowiązków powołania. Oprócz tego długie lub ustawiczne niektórych instrumentów muzycznych traktowanie, przytępiać może wytworniejszą czułość brzuśców (końców) palcowych, tyle potrzebną do oceniania mocy stateczności i rytmu pulsów [1]).

„Unikajcie, moi koledzy *(commilitones)*, gry w karty. Próżniacza to zabawa umysłów jałowych, nie umiejących inaczéj poradzić sobie w nudach. Nie sprzyja ona zdrowiu i nieraz się w niebezpieczną, hańbiącą lub zgubną pasyą wyradza. Jak dziwnie znowu musi się wydawać, kiedy w gwałtownéj potrzebie przybiegną wieczorem po doktora; a on siedząc nad kartami, których widocznie żal mu opuścić, zmarszczy się lub ociąga:"—Jan Piotr Frank ani widoku kart w domu swym ścierpieć nie mógł. Pomimo to wszakże młody nasz Józef w Pawii, ukradkiem i nocami zniewolonym był grywać w taro ze swoją biedną matką, ulegającą czasowym przystępom obłąkania, która w téj grze wielką rozrywkę i uspokojenie znajdowała. Potém już nigdy

---

i gardłowanie za nauką przeciw-pobudek czyli przeciw-bodźcową Rasorego nadało późniéj było wielki rozgłos, ogromną praktykę i katedrę w uniwersytecie pawijskim. (*Mém. biogr.* T. I, p. 193).

[1]) Insi odradzają muzykę chirurgom, utrzymując, że nabyta w graniu na jakim instrumencie łatwość i wprawa do stosownego rozłączania lub kojarzenia ruchu muskułów ręki, czyni ją mniéj sposobną do wykonywania delikatniejszych zwłaszcza operacyj, gdzie též same muskuły w odmienném a coraz inném rozdzieleniu lub połączeniu i kierunku ruchów działać muszą.

kart do rąk nie wziął, i żadnéj gry kartowéj u siebie składać nie dozwalał [1]).

„Gra w bilard, to mi krzepiąca siły gimnastyka, dobra jest w swobodną chwilę, zdrowa i w niektórych chorobach pomocna. Ale tymczasem dla was najlepszą, w dogodnéj porze roku, gimnastyką wycieczki botaniczne, usługujące zarówno zdrowiu jak i nauce [2]).

„Nie szarzajcie się i nie sponiewierajcie, gdzie was powinność nie zawoła, po ladajakich towarzystwach z ludźmi niższego od was stanu i wychowania: gdyż toby dowodziło żeście i sami lepszego od nich stanu nie warci albo lepszéj od nich edukacyi nieodebrali. Garnijcie się raczéj do wykształceńszych towarzystw i do osób stojących na wyższym od was szczeblu społeczeństwa. Zresztą, jeżeli ludzie położeniem towarzyskiém i wykształceniem umysłowém wznoszący się nad gmin pospolity, zatrzymują jednakże gminne skłonności i obyczaje, albo na pozór tylko wydają się z nich otrząśnieni; zwykle to bywa skutkiem i najpewniejszą oznaką niedojrzałéj jeszcze cywilizacyi“ [3]).

Takie twierdzenie Franka przeprowadza nas do innych jego postrzeżeń i wniosków, jakie nastręczało mu porównywanie wyższego stopnia uobyczajenia, oświaty i dobrego bytu jednych krajów z niedojrzałą jeszcze w drugich na wpół tylko rozwiniętą i powierzchowną cywilizacyą, która zbyt łatwo pozór nad istotę rzeczy przekłada. Za przedmiot zaś do tych porównań posługiwało mu bliższe rozpatrzenie się w stosunkach społecznych, sposobie życia i obyczajach naszego kraju, do którego przywiązanym był

---

[1]) *Mém. biogr.* T. I, p. 328—329. T. V, p. 189.

[2]) Różna od zwyczajnych ćwiczeń gimnastycznych właściwa G i m n a s t y k a L e k a r s k a, obejmująca pewne ruchy, jużto czynne, czyli wykonywane przez samych chorych, już nawpółbierne i bierne, przez tak zwanych gimnastów, w części lub całkiem nadawane, a wielorako podług istoty i siedliska chorób rozmaicone, stopniowane i kierowane, w nowszych dopiéro czasach, głównie zaś najpiérwéj za sprawą szwedzkich lékarzy, była w użycie wprowadzona.

[3]) Drobnostkowe te przestrogi Franka, których liczby powiększać nie chcemy, wybrane są częścią z notat klinicznych, i z przygotowań do nauki o chorobach niewiast; częścią zaś z pogrobowych jego Pamiętników. Myśl wszędzie, a czasem i same wyrażenia wiernie zachowane.

szczérze, lecz któremu, z pewnych miar, nie chciał jeszcze przyznawać wysokiéj i różnostronnie już rozwitéj cywilizacyi. Oczywista, że Frank oceniał tu, wyższy lub niższy jéj stopień i wpływ ze stanowiska prosto hygienicznego i lekarskiego, nie zaniedbując jednak, gdy się podała okoliczność, i moralnego podczas zastosowania. Niektóre z tych jego uwag, jakie się naprędce zebrać lub przypomnieć dały, przytaczamy.

Litwini (mawiał), mianowicie do średniéj klassy należący, sadzą się często nad stan i możność, na wykwintne ubiory; a nie zawsze miewają podostatkiem i dobréj bielizny, dla częstego zmieniania, tak istotnie ochędóstwu i zdrowiu usłużnego [1]). W ubraniu tém przekładają nieraz połysk i cenę tkanin, dziwaczną częstokroć modę, krępującą latem, nie dosyć osłaniającą w chłodzie, nad odzież wygodną, do klimatu i wieku zastosowaną. Szczególniéj młodzież miejska, nie wyjmując uczniów uniwersytetu i niektórych młodych lekarzy, nawet w zimowym przyodziewku upędzają się raczéj za powierzchowną wystawą, niż za rzetelną, dobrze zrozumianą potrzebą, któréjby z mniejszym kosztem, przystojnie, skromnie a otulnie, bez narażania się na reumatyzmy, zapalenie płuc, lub rozwinięcie się suchót, dogodzić mogli.

Drudzy, w tejże klasie, osobliwie miasta mieszkańcy wolą przestawać na ladajakiém, nieposilném, źle przyrządzoném, niezdrowém jadle; wolą narazić wątłe swe dzieci na wywiązanie się skrofuł lub angielskiéj choroby albo krzywicy, powszedniém używaniem grubych i niestrawnych pokarmów; byleby nosić się mogli z pańska i strojno; byleby też w pewne dni lub rocznice domowe wystąpić ze zbytkownem nawet przyjęciem licznych gości. W tym zaś ostatnim względzie tak wielkiego niestosunku między lichym, codziennym, a w pewne tylko świątki na próżny popis okazywanym trybem życia, nie zobaczy u ludów rzeczywiście ucywilizowanych.

Krajowcy rzadko mają wygodne, dostatecznie szerokie i długie łóżka; a przecież człowiek przepędza w łóżku przynajmniéj trzecią część życia. Takie niedbalstwo zno-

---

[1]) *Invenietis hic multos, qui habent vestes pulcherrimas lintea vero sordida et lacerata.* (Własne słowa Franka, z notat klinicznych).

śne dla nich za zdrowia, opłacają w obłożnéj chorobie, oprócz lżejszych niedogodności, rzetelném nieraz powiększeniem cierpień z téj jedynie przyczyny. Pod bytność Franka w Petersburgu 1806 r., lekarz cesarski baronet Jakób Wylie ukazywał mu szpital jeden wojskowy, wzorowie z innych miar urządzony, ale z przykrótszemi łóżkami, na których wpółskurczeni grenadyerowie ani się wywczasować, ani nawet wyciągnąć, bez wysunienia nóg daleko za przedstopek łóżka nie mogli. Wkrótce potém, na udzielonéj audyencyi, zapytany przez cesarza Aleksandra I, jak mu się podobało urządzenie tego zakładu? Frank odważył się powiedzieć: — „Doskonałe, Najjaśniejszy Panie! Radziłbym tylko, żeby grenadyerowie Waszéj Cesarskiéj Mości nie byli tak słusznego wzrostu.“ Śmiały ten żarcik bynajmniéj nie obraził łaskawego błogiéj pamięci cesarza, który natychmiast rozkazał sporządzić wygodniejsze łóżka do szpitala [1]).

Znajdziesz takiego z pomiędzy drobniejszych nawet właścicieli, co odmawiając sobie innych wygód lub porządków domowych, daleko potrzebniejszych do dobrego bytu, a ztąd i utrzymania zdrowia, kupuje, choćby za pożyczone pieniądze, wytworny pojazd, ażeby w nim, z młodą osobliwie żoną, trochę pobłyszczéć. W ogólności jednak, za przybycia Franków, Wilno nie wiele jeszcze liczyło świetnych i dobornych ekwipażów. Nieraz, u pięknego pojazdu, widziałeś nędzne i różnomaściste szkapy; albo też, przy ladajakiém pudle, dzielne i rosłe konie; albo znowu, przy pięknym powozie i uprzęży, woźnice i sługi licho odziane. Odznaczały się tylko poczwórne na sposób rosyjski (à la russe) zaprzęgi, z brodatym woźnicą i piskliwym forysiem, trzymającym na wodzy lewego, przodowego konia, zawsze w galopie, z głową na bok zawróconą, a z grzywą prawie aż do ziemi spływającą [2]).

Niektórzy dostatniejsi nawet obywatele, zamiast budownych dworów, na jakie staćby ich mogło i jakich nie mało jest w kraju, wolą mieszkać w domach zbutwiałych, wilgotnych, nieza bezpieczonych d ciągu w chłodnéj porze, albolitéż zbytecznie ciasnych dla liczniejszej rodziny. W innych znowu, przy tłumnéj ciżbie niezdarnych, leniwych, niechluj-

---

1) *Mém biogr.* T. III, p. 31 et 45.

2) *Mém. biogr.* T. II, p, 401 — 402.

nych i opiłych służalców, braknie należytéj, rześkiéj i ochoczéj posługi, domownikom i przychodniom wygadzającéj [1]). Po niektórych zaś dworach braknie nawet ochronnych, zimą i latem, miejsc dla koniecznéj potrzeby: co zawsze niepomału dziwiło i gniewało Franka [2]). A cóż mówić o niewygodach wszelkiego rodzaju, jakich podróżni doświadczają w brudnych karczmach krajowych, po największéj części (wtedy jeszcze) żydom wypuszczanych?

Skłonność do nałogowego pijaństwa, płodnéj matki zbyt wielu chorób, które wznieca lub gotuje, do których potomstwo nawet w opiłości poczęte uspasabia, — ta tak sprosna i upadlająca wada, w krajach rzetelnie cywilizowanych, zaledwo między samym motłochem, i to niewielu miewa hołdowników [3]). Ale w tutejszym kraju z podziwieniem natrafisz na nią u osób, daleko już nad równią pospolitego gminu wystających, u osób różnego stanu, powołania i umysłowego wykształcenia, bez wyjątku czasem wysokich urzędników, uczonych, nauczycieli, duchownych i niektórych nawet lekarzy [4]).

---

[1]) *Mém. biogr.* T. II, p. 402.

[2]) Za powrotem z praktyki lekarskiéj po takich dworach, użalał się Frank: *Pro latrina et trulla ostendunt mihi campos, longe lateque patentes.*

Miejsc tych i do dziśdnia daje się czuć brak po wielu dworach; ale co dziwniejsza, brak ich i tu, w Krakowie i w ogóle w Galicyi. *(Przyp. Red.)*

[3]) Z pomiędzy krajów stałego lądu wysoko cywilizowanych, w jednéj tylko Anglii pospolita wada pijaństwa zwykle się uważa za skutek ponurego, ciągle wilgotnego klimatu, tęsknocie, śledziennicy (*spleen*) ba nawet i mierżieniu się życiem sprzyjającego, niemniéj jak długich morskich podróży i nawyknień żeglarskich. Wszakże i tam, przepowiadania i namowy ojca Mathews, w przeciągu lat kilku, odwiodły od niéj przeszło 5,000,000 ludności.

[4]). *Josephi Frank Prax. med. univ. praecepta Part. II, Vol. I, Sect. I. De morbis systematis nervosi p.* 36, 73, 676 — 678. W krajach północnych, dla ludzi oddanych ciężkiéj pracy cielesnéj, skromne używanie napojów wyskokowych nie byłoby szkodliwe gdyby tak łatwo, tak często i nieuchronnie prawie, nie przechodziło w srogie nadużycie i nałogowe pijaństwo, niszczące zarazem zdrowie, rozsądek, moralność i chudobę roboczéj klassy. Za czasów Franka, samiż właściciele litewscy wielką moc karczem, dla

Pod tym jednakże względem, po wyjeździe Franka, zaszła pomyślna w obyczajach krajowych zmiana. Pijaństwo nałogowe, bardzo niegdyś pospolite w średniéj mianowicie klasie ludności miejskiéj, od trzydziestu lat prawie, stopniami coraz szybszemi, widocznie i ciągle zmniejszało [1]. W kilku zaś ostatnich latach gorliwość światłych

---

zysku coraz jeszcze pomnażanych, puszczali w ręce żydów, którzy rozmaitemi przebiegami nęcąc włościan, zkąd inąd już do opilstwa skłonnych, ostatni im grosz i dorobek wydzierali (*Ibidem*, p. 678, *nota* 19).

[1]) Niezbyt jeszcze dawno naprzykład, kiedy po domach prywatnych podawano herbatę wieczorną (bo ranna nie była prawie w użyciu), zjawiła się przy niéj i nieodstępna karafka z rumem: dziś ten zwyczaj już do wyjątków należy. I pijanie też (zwłaszcza kilkakrotne) gorzałki przed objadem coraz to rzadsze. W pamięci zaś tylko starszych mieszkańców Wilna pozostały: owe późne wieczory mecenasów w kardynalii, nad pełnemi wazami zabijackiemi ponczu, czasem aż do białego dnia przeciągnione. Owe sławne nieco już bliższe śniadania adwokackie u Żorża, prócz wielorakich wódek, tuzinami szampana i porteru oblewane, na których podchmieleni rzecznicy (jak mamy z ust jednego spółbiesiadnika), nie prędko się spostrzegli, że zamiast cietrzewi dawano im pieczone wrony, z buraczkami smakownie przyrządzone. Owe schadzki pospolitych piwoszów u Trębacza za Ostrą-Bramą, albo i w gospodach miejskich na tak zwane Trębackie i trąbą wywoływane piwo, w oka mgnieniu durzące i zawracające twarde łby nawet, innych zaś o ciężki ból głowy, nieraz udarem zakończony, przywodzące, w którem jednak (powiedzmy mimochodem), dziwnie sobie byli zasmakowali starzy gwardyacy tak zwanéj wielkiéj armii Napoleona I, nieproszeni goście wileńscy r. 1812. Oweto znowu u mniéj dostatnich kmotrów i kumoszek, piekielne krupniki t. j. gorzałki z miodem i ostremi korzeniami przepalane. A oweż, często już raniuchne jak dzień boży, zebrania szlachetniejszych pijaków u Winiarza Szwarca, u Kopsza pod Trójkątem, u Tymowskiego pod ślicznie rzeźbioném i suto pozłocistém Winogronem, na rogu Święto-Jańskiéj ulicy niby wiecha zatkniętém, a tak bujném, jakie snać szpiegowie Izraelscy, wysłani dla przejrzenia ziemie obiecanéj, przynieśli na drągu Mojżeszowi. . . Wszystko to w pełnym rozwoju i w całéj sile trwało jeszcze za pobytu Franka i nieco dłużéj się przeciągnęło. Opoje nałogowi, mający zkąd inąd jakiekolwiek zalety, lub przynajmniéj wolni od innéj wady

pasterzy, ożywionych pochwałą i błogosławieństwem daném apostołowi trzeźwości ojcu Mathews przez naczelnika powszechnego kościoła, dzielnie się już przyłożyła do pohamowania obmierzłego nałogu pijaństwa pomiędzy pospólstwem, a bogdajby z gruntu i na zawsze wytępić go mogła. Takiéj właśnie posługi, lat temu z górą już czterdzieści domagał się i oczekiwał Frank od naszego duchowieństwa, które duszą społeczności i przewodnikiem jéj uobyczajenia nazywał [1]). Ale rzecz godna uwagi, że już ustawy bractwa Ś. Anny samotrzeciéj, które założył w Wilnie r. 1580 przy kościołku gotyckim, ks. Jan Dymitr Solikowski, ówczesny scholastyk włocławski, kustosz sandomierski, sekretarz króla Stefana (późniejszy arcybiskup lwowski), w artykule V, obowiązywały wszystkich braci i sióstr: „strzedz się pijaństwa.“

Naganiał też właściwy naszemu tylko krajowi zwyczaj robienia na Wielkanoc, jakoby zasobów na długie oblężenie, — zbyt obfitego święconego, które, prócz uciążliwego dla mniéj dostatnich w mieście rodzin wypadku, po każdéj Wielkiejnocy sprowadza mnóstwo chorób gastrycznych (to jest: z niestrawności albo skwarny), czasem i bardzo niebezpiecznych. Treść do podobnych uwag w klinice podawały Frankowi niemal każde minione święta Wielkanocne. Ale już za Stanisława Augusta zacny praktyk warszawski, wyżéj wspomniony Jan Chrzciciel Dupont słusznie powstawał na niewstrzemięźliwość Polaków w jedzeniu święconego, odwodząc od niéj wszystkich swych pacyentów, nawet już zdrowych, których w tym celu statecznie przed każdą Wielkanocą obchodził z przestrogą i napomnieniem [2]). Za mojéj pamięci zdarzyło się w Wilnie

---

nie tracili podówczas w opinii publicznéj miana słusznych, uczciwych i cale przyzwoitych ludzi; chociażby nawet zdarzało im się, jak niegdyś uczonemu rektorowi u La Sagéa, szwankować na nogi w późnym powrocie do domu i przeleżeć część nocy w rynsztoku.

[1]) *Ibidem* p. 678, *nota* 15. — O początku i szybkich postępach bractw trzeźwości w tutejszym kraju, wyborny artykuł, lubo nie wszystkie stawiane im z razu przeszkody wyczerpujący, znajdzie się w Pamiętniku wileńskiéj gubernii na rok 1860, str. 157-168.

[2]). Dr. L. Gąsiorowski; Zbiór wiadomości do historyi sztuki lekarskiéj w Polsce. T. III, str. 169—170 (z Sobieszczańskiego historyi m. Warszawy).

kilka przypadków, dobrze mi wiadomych, prawie nagłéj śmierci jedynie tylko od samego przesytu święconém. Epidemiczna zaś cholera w r. 1831 straszliwie była się wzmogła pomiędzy pospólstwem wileńskiém od wielkiéjnocy do przewodniéj niedzieli, zwłaszcza téż pod koniec święta, wyraźnie od pożywania chłodnych, nadpsutych już i spleśniałych mięsiw. Oby i tu nauki i przykłady światłego duchowieństwa przyjść mogły w pomoc przepisom hygieny! Bo sam nawet postęp cywilizacyi nie łatwo wykorzenić zdoła przesądy i zadawnione zwyczaje gminne. U pospólstwa zaś naszego, ba nawet i w wyższéj poniekąd klasie, obfitość i różnorodność święconego i pożywanie go aż do przewodniéj niedzieli włącznie, uchodzi jeżeli nie za wyraźne przykazanie kościelne; to przynajmniéj za jakiś święty obrządek religijny, lub za chwalebny zabytek dawnéj przodków pobożności. Ztąd też, w niektórych okolicach, nazywać je zwykli: Święconém Pańskiém które przecież zbyt często służy za podnietę wielce szkodliwego obżarstwa, do grzechów śmiertelnych przez sam kościół święty policzonego [1]). Na nieszczęście, niektórzy poważniejsi nawet pisarze nasi, jak mianowicie Stefan Witwicki naganny ten zwyczaj, przedmiot podziwu i pośmiewiska dla cudzoziemców, słusznie zowiących go barbarzyńskim, chcieliby uważać jak niegdyś przodkowie nasi liberum veto, za perłę naszéj narodowości, i troskliwie pielęgnować go zalecają. Biednaż to narodowość, któréj podobne mają być podstawy.

Powszechniejsza jeszcze, za pobytu Franka, przywara zaciekłego pieniactwa, pochodząca nie tyle z charakteru narodowego, ile z braku szlachetniejszego zajęcia lub korzystniejszych zatrudnień umysłu, tudzież spółubiéganie się na wyborach obywatelskich i zawody doznane na kontraktach, uspasabiać miały do rozwijania się chorób i wad

---

[1]) Pospólstwo nasze potrzebę robienia święconego na wielkanoc, prócz zadawniałego zwyczaju, tak jeszcze sobie pojmuje i usprawiedliwia; że téj naczelnéj uroczystości czekali przez rok cały. Wszakże i rocznicy każdego w szczególności dnia, o który Bóg dobrotliwy przedłużać raczy pobyt nasz na téj ziemi, również długo czekamy, niepewni azali dożyjemy jutrzejszéj. Wreszcie, co innego jest skromny zwyczaj; a co innego szkodliwy zbytek i nadużycie zwyczaju.

organicznych serca: co wszakże na nielicznych i niedość stanowczych opierał postrzeżeniach.

Nagła, rozgłośna wziętość i ślepe zaufanie jakie na czas potrafili zjednywać sobie byli, nie tylko u samego pospólstwa, lecz i między wielu osobami klas wyższych, dwaj cudowni czy natchnieni lekarze albo znachary (wiaduki) litewscy: Antosiek, prosty pastuch, a za jego przykładem przebiegły chłop Antoni, o kilka zaledwie lat przed wyjazdem Franka, posługiwały mu za nowy dowód niedojrzałéj jeszcze cywilizacyi naszego kraju [1]. Utrzymywano nawet, że podług jéj stopnia w różnych krajach i warstwach społeczności, dokładnie mierzyćby można i samę w nich użyteczność, a przynajmniéj wziętość i powodzenie właściwéj sztuki lekarskiéj. Bo ludy jeszcze grube, surowe i nieukształcone, jak i zbliżająca się do nich klasa ludności w jakimbądź kraju, nie znają jeszcze lub nie czują potrzeby uciekania się do lekarskiéj pomocy umiejętnéj. U nich lekarzami są: czarodzieje, wróżbici, guślarze, zaklinacze, znachary czyli wiaduki, obieżyświaty, olejkarze i matacze rynkowi. Wszelakoż, sama mniéjsza lub większa liczba osób, zawierzających takim samorodnym lekarzom, mogłaby tylko służyć za przybli-

---

[1]) Jak siła u Samsona do włosów, jak lekarska moc i natchnienie u Antoszka przywiązane było do jakiegoś znaku rodzimego na którym trzymał ręke dając wyrocznie o użyciu wewnętrzném lub zewnętrzném; mchu ze ścian starych cerkwi, rosy przed wschodem słońca z żyta obijanéj, szpiku z gnatów końskich, kretowin, gliny, ogierowego pomiotu, tyzanny, z wiórów albo trocin jakiegoś drewna; drudzy powiadali, że z prostéj ławki, na któréj sam wprzód siadywał i t. p. Gdy jego naśladowca i cale niezdrobniały cioska, Antoni wieziony już był przez Wilno dla oddania, z rozkazu zwierzchności do szeregowéj służby; radził się go jeszcze niestety! chociaż potajemnie, zdzieciniały emeryt F. N. G. Rozeszła się jednak była w mieście pogłoska, że cudowny lekarz, potrzykroć z lekka uderzał pacyenta pięścią w grzbiet pomiędzy łopatkami, powtarzając za każdym razem magiczne słowa; *Budziesz zdaroŭ jak rybka.*

żoną i bardzo niepewną skazówkę stopnia ogólnéj cywilizacyi jakiego kraju. Chcemyż jawnych téj rzeczy dowodów? Oto w oświeconéj Germanii, niedługo po Antośku i Antonim na Litwie, daleko większą od nich i trwalszą wziętość były sobie pozyskały dwa proste, podobne im lub mało od nich różne chłopy niemieckie i samozwańce leczuchy: Prysznic, wodopójca i wodoléjca, a Johan Schrot, bułkochwał szczędziwoda. Omijam nowszych jeszcze podobnego rzemiosła samorodków Sargunów i owcarzy o których niedokładna tylko wieść nas dochodzi. Pospólstwo rade się zawsze ubiega za niezwyczajnością i dziwnością; w innych zaś klasach społeczeństwa, zniedołężnieni na umyśle lub o swym stanie rozpaczający chorzy mogą czasem podzielać łotwowierność, przesądy i uprzedzenia gminu.

Za inny już, bardzo w prawdzie wybitny, ale téż razem najrzadszy i snać wyjątkowy dowód powierzchownéj, źle zrozumianéj cywilizacyi, ze zgrozą stawiał przykład jednéj, znacznie już na pomyślniéjszém niegdyś mieniu z ubożałéj matki, która przecież zamyślała dać przystojnéj, zaledwie dojrzewającéj córce wyższą i świetniejszą, od prostéj i domowéj edukacyą, odważając na ten cel piérwszą zasadę moralnego wychowania dziewic, któréj żadna powierzchowna ogłada zastąpić ani wynagrodzićby nie mogła. Nie wiadomo nawet, azali potrafiono, w porę jeszcze, odwieść występną matkę od tak mądrze ukartowanéj, cywilizacyjnéj imprezy. Takto (przydaje Frank w innéni miéjscu), zepsucie obyczajów nierzadkiém bywa następstwem opacznie pojętéj cywilizacyi krajowéj [1]).

Zadziwi może nie jednego, że Frank uważał Żmujdź naszę, niesłusznie upośledzoną przez sąsiadów, nie tylko za ludniejszą, lecz i daleko wyżéj w cywilizacyi posuniętą

---

[1]) *Morum depravatio culturae nationalis male intellectae consueta sequela.* (Prax. med. Part. II, Vol, I, Sect. I, p. 74).

od innych prowincyj Litwy [2]). Ale widoczna, że w tém ostatniém porównaniu miał tylko na względzie samę niższą, włościańską klasę ludności, i wcale się nie omylił. Z innego zaś powodu i w innéj okoliczności, powiedział: że naród, ktorego uobyczajenie i ukształcenie społeczeńskie jest jeszcze w dzieciństwie, chcący do razu zaprowadzić u siebie niektóre tylko instytucye i wynalazki, będące już owocem wysokiéj i wszechstronnie rozwiniętéj cywilizacyi, podobnym jest do żebraka, któryby napróżno usiłował przykryć łachmany swoje bogatą suknią haftowaną.

O żebractwie uliczném, jak objawie niedośpiałéj i do wyższego rozwoju nie posuniętéj cywilizacyi, wyżéj już było powiedziane. Inny zaś jeszcze zarzut naszego przyganiacza, również za skutek i dowód niższego jéj stopnia uważany, nie daje się oddzielić od treści następnego artykułu.

Wiernie, bez ogródek i w całéj ich szczérości przywiodłem tu celniejsze uwagi Franka (w zakresie hygienicznym i lekarskim mianowicie), nad ówczesnym stanem uobyczajenia naszego kraju, którem tylko mógł spamiętać lub zapisane znaleźć u siebie: natrafić w wielkiém jego dziele i w pozgonnych Pamiętnikach. Ale w sądzeniu o nich, nie należy ani na jednę chwilę zapominać, że od wyjazdu Franka w r. 1823, wiele się już rzeczy stopniami na lepsze u nas przemieniło, i dzięki Bogu coraz przemienia.

Tém mniéj jeszcze mógłbym zamilczéć o drugiéj, nie nowéj zapewne myśli, lecz nad którą Frank ze szczególniejszém upodobaniem, i na lekcyach, i w klinice, i w wielkiém dziele swojém lubił się rozwodzić: o zbawiennym wpływie religii na stan zdrowia. Jasno i wymownie pokazywał, iż zasady moralności i przepisy religii chrześciańskiéj, należycie pojęte i wypełniane, mogłyby uchronić

---

[2]) *Mém. biogr.* T. II, p. 517.—Trzebaż ostrzegać, że Litwa bierze się tu nie w ścisłém i piérwotném, lecz w najobszerniéjszém znaczeniu, czyli w granicach dawnego W. Ks. Lit.

prawych jéj wyznawców od mnogich niemocy ciała i sroższych nad nie częstokroć udręczeń i niepokojów ducha, które same stają się znowu obfitém źródłem najoporniéjszych sztuce lékarskiéj chorób [1]). Ustne zaś dowodzenia zwykle kończył budującym dla uczniów przykładem: iż najsławniéjsi w umiejętności i sztuce lekarskiéj nowożytni mistrzowie, których długi poczet wymieniał, bylito oraz najgorliwsi czciciele zasad moralnych religii Chrystusowéj i wierni jéj przepisów, każdy w swojém wyznaniu, przestrzegacze. (D. c. n.)

[1]) *Praxeos medicae universae praecepta* Part. I, Vol. I, Sect. I, p. 170, 177—178. Part. II, Vol. I, Sect. I. p. 30, 73, 677—678, 711—712, 736--737, 796.

Melodya hebrajska

Z TOMASZA MOORA

PRZEZ

A. E. ODYŃCA.

Nie obwiniajcie barda, że mu tam najmiléj,
Kędy rozkosz wesoło uśmiecha się z chwały.
Do wyższych stworzon celów, w pomyślniejszéj chwili
I on by świętsze w sercu obudził zapały.

Stróna wpółodstrojona, co na arfie drzémie,
Mogłaby zginać łuki i miotać z nich groty;
Usta, co miłość tylko w tęsknym głoszą rymie,
Zdolneby zabrzmieć hymnem uczuć patryoty.

Lecz ach! jego ojczyzna! w więzach i sromocie,
Przeszłość jej nawet kirem przemoc chce zasłonić,
Płakać na grobie matki niewolno sierocie,
Zdrajcą jest, kto ją kocha, zbrodniem, kto chce bronić.

Kto Boga ojców swoich, kto ziomków nie zdradzi,
Złota mu brama losu na wieki zamknięta;
Pochodnia, która do niéj blaskiem swym prowadzi,
Zapala się u stosu, gdzie ojczyzna kona.

Nie wińcież barda, jeźli na niezgojne blizny,
Leje z kielicha uciech balsam niepamięci!
Niech tylko świt nadziei przerwie sen ojczyzny,
Ujrzycie, jak ją kocha — co dla niej poświęci.

Wszystko, wszystko, czém serce i ku czemu płonie,
Wszystko co zdobi życie, i dla czego żyje.
Wieniec, co biesiadnicze przyozdabia skronie,
Jak bluszcz Harmodiusza na miecz się przewije.

Teraz nawet w pomroku nadziei i sławy,
Cześć twa luby Erynie! żyje w jego rymie.
W upojeniu radości, śród godowéj wrzawy,
Pomni on twe nieszczęścia, i sławi twe imię.

Pieśń chlubą wspomnień twoich i żalem natchnięta,
Przez głębie oceanu głośny lot roztoczy,
Aż same pany twoje, kując dla cię pęta,
Wstrzymają się, by słuchać — i z łez otrzeć oczy.

NAPRZÓD.

Romans we dwóch tomach

przez

SPIELHAGENA.

CZĘŚĆ PIÉRWSZA.

ROZDZIAŁ I.

Książę wstał od stołu wcześniéj niż zwykle, chcąc się przygotować do przyjęcia gości oczekiwanych dnia następnego. Przy kawie podawanéj na tarasie, miał zwyczaj z dwoma swymi gośćmi robić pobieżny przegląd całéj rozmowy odbytéj przy stole. Zwróciwszy się zatém do starszego mówił:

— Koniec końcem, kochany Iflerze, odwiedziny te drogo nas kosztować nie będą.

— Dzięki oszczędności Waszéj Eminencyi, nie jesteśmy w tém położeniu, żebyśmy nie mogli pozwolić sobie jakiéj przyjemnostki wolnéj od myśli o jutrze, odparł Radzca dworu.

— Zdaje mi się, rzekł uśmiechając się książę, żeś wbrew zwyczajowi, szczérszy dzisiaj kochany Iflerze....

— Jeżeli się to zgadza z życzeniem Waszéj Książęcéj Mości....

— Wiem co pan chce powiedzieć, przerwał książę: Nie z pańskiéj inicyatywy pochodzą zaprosiny i nie starałeś się pan o to. Byłoby to wymagać od pana za wiele. Boję się, czy Pan potrafisz przekonać hrabiego, że książęta von Roda, mają prawo oparte na setkach dyplomów do głosu, w radzie niemieckich książąt.

— Pan — ciągnął daléj książę, zwracając się ku młodszemu ze swych gości, — kochany panie Cejzel, jesteś w tym razie w zupełnie inném położeniu. Mówiąc otwarcie, Prusy pana nie wiele obchodzą, ale pan jesteś młody, jednostajność naszego życia musi pana już męczyć, pan pragnąłbyś zmiany, a ze zmianą: burzy, gwaru, chaosu. — Nieprawdaż?

Książę nie czekając odpowiedzi odszedł na drugą stronę tarasu. Dwaj towarzysze spojrzeli po sobie.

Pan Cejzel ruszył ramionami. Radzca miał coś na języku, ale nie śmiał zbliżyć się do kawalera, z obawy, aby książę odwracając się, nie dostrzegł zbliżenia. Trzeba było odłożyć zwierzenia, do pomyślniejszéj chwili. Radzca więc uznał za stosowne wzruszyć ramionami i zachmurzyć jasne swe czoło.

Książę tymczasem stał nieruchomy, wśród marmurowych filarów tarasu i patrzał na rozległe pola i na góry, w oddali wychylające swe wierzchołki, skąpane w jaskrawo-różowém tle nieba. Na najdalszéj wyżynie góry, u krańców lasu, świéciły domki małéj wioseczki rozsypanéj wśród łąki. Bystry wzrok starca, ciągle był jeszcze wytężony w tę stronę; wreszcie zwrócił się szybko do Radzcy i rzekł:

— Mówisz pan, że wolno nam się nietroszczyć o dzień jutrzejszy. Spojrzże pan na Hünerfeld. Tam grosz potrzebny i bardzo potrzebny! Pan znasz moją słabość: Hünerfeld to mój barometr. Gdy tam na górze swobodni i szczęśliwi, i ja tu na dole swobodniéj oddycham. Ale oni dziś nie weseli, nieprawdaż?

— Trudno mi przeczyć W. K. Mości, odparł Radzca — powiem nawet, że słuszne mają powody niezadowolenia. Wioska zgorzała przeszłéj zimy, dla mieszkańców wielkie to nieszczęście; teraz nawiedziło ich nowe, nieurodzaj ziemniaków.

— A na domiar niedoli tyfus grasuje.

— Tak, tak — pół wsi wymarło, dorzucił książę.

— Pięć i pół procent, wtrącił Radzca; ale hojność W. K. Mości przeszła wszystkie oczekiwania biedaków; najenergiczniejsze środki dziś już przedsięwzięte, aby zapobiedz ich niedoli; wszakże podobne postępowanie zawsze było zwyczajem, pod rządami Waszéj K. Mości.

Usta księcia zarysowały się ironicznym uśmiechem.

— Wyborne rządy, mówił, którémi trzeba się dzielić z landratem i to jeszcze nie po bratersku! Czémże jest nasza praca, kochany Iflerze, jeżeli nie przelewaniem wody, w Danaid beczki! Ledwie nam się uda zakneblować którą i podnieść pożądany poziom wody; wnet się pojawia jakiś reskrypt landracki i znów dziura. W głowie wszechmocnego ministra zjawia się jakiś najmiłościwszy reskrypt i wysadza nam dno całe. Czyżeśmy nie widzieli tego w roku 1866, kiedy nam było potrzeba i ludzi i piéniędzy! Ale ministrowi, jak utrzymywał, jedno i drugie było potrzebniejszém, trzeba więc było porzucić wszystko i iść wymiatać dziedzińce u tych, którzy nie potrafili utrzymać ich w czystości. Jużto ja osobiście nie mam prawa

się żalić.... *Solamen miseris socios habuisse malarem.* Wbrew deklaracyi państw gwarantujących na kongresie wiédeńskim; z Hanowerem i Hessyą zdarzyło się to samo co z moim ojcem; piorun wypadł z téj saméj brandeburskiéj dłoni, któréj w roku 1723 sejm w Regensburgu poruczył straż nad domem książąt von Roda, i pieczę nad ich prawami, przeciw przemocy i gwałtowi cesarza lub cesarstwa. Ale, *tempora mutantur.* Zostawiono nam przynajmniéj nasze posiadłości; możemy zatém z wszechpoddańczą pokorą nieść do stóp tronu podzięki za tę ojcowską karę.

— Sześćdziesiąty szósty rok W. K. M. nie prędko się powtórzy, zauważył Radzca.

— Tak pan sądzisz? Dla tego, że wszystkie karczochy zjedzone, oj kochany Iflerze, — *l'appétit vient en mangeant* — i dwa listki pozostałe byłyby już dawno przeżute, gdyby nie obawa połknięcia własnych zębów z niemi. Czyż pan myślisz, że Francuzi będą odkładać swój odwet za Sadowę *in saecula saeculorum?* Donoszą mi z jak najlepszych źródeł, że wpływowe kółka we Francyi dniem i nocą myślą o Sadowie, i mam nadzieję, że jednego pięknego poranku zbudzimy się i ze zdziwieniem będziem przecierać oczy, bo krzyk galskiego koguta, zastąpi nam swarzenie naszéj poczciwéj kury niemieckiéj. Śmiejesz się kochany von Cejzel? Panu, jako byłemu żołnierzowi wojna miła, choćby dla saméj wojny. Nie zapominaj tylko jednéj rzeczy, że teraz przyjdzie wam się bić pod dowództwem ludzi, przeciwko którym w 1866 r. samiście walczyli. A nie chcesz dobrowolnie, to znajdziemy środek, powie przebiegły minister i zabierze *à la remorque* Saksonię i inne państwa. Miéj pan na uwadze i postaraj się, żeby twoja nominacya porucznikowska nie poszła za wiatrami.

Pomów pan z hrabią jutro, jak nas odwiédzi.

— Nie wiedziałem, że moje błahe usługi zprzykrzyły się już Waszéj Książęcéj Mości, odparł kawaler — kraśniejąc jak wiśnia.

— Przebacz mi kochany Cejzel, rzekł książę zbliżając się do kawalera i podając mu z serdecznością rękę; nie chciałem cię obrazić a tém mniéj dać oznakę niezadowolnienia. Przeciwnie, jestem ci wdzięczny za sumienną i przywiązaną służbę; zresztą od roku, jak szybko czas bieży, nigdy mi więcéj pańskie usługi nie były potrzebniejszemi jak teraz. Pan jeden zostałeś, co znasz obyczaje wielkiego świata. Bez pana któżby mi pomógł przyjąć naszych gości? Te dworskie ceregiele zawsze mi były wstrętnemi, a teraz tém więcéj, wszystko się zapomina.... Tu urwał książę. Szukał widać wątka własnéj myśli. To mu się często zdarzało w ostatnich chwilach. Zawsze jednak, choć z wysileniem, ale umiał powrócić na tok rozu-

mowania. Stał więc chwilę śledząc błędnemi oczyma, kręgi szybujących koło pałacu jaskółek; wreszcie jakby się ocknął ze snu tak ciągnął daléj:

— Nie to, żeś pan odbył dobrą szkołę przy dworze waszego panującego. Ale wróćmy do rzeczy kochany Cejzel; chciałem ci się zapytać, czyby nie było lepiéj, żebyś się sam udał z karétą na stacyę.

Obawiam się, czy Poret dobrze się sprawi, więc myślę, żebyś pan sam pojechał. Jak sądzisz?

— Jeźli sobie W. K. M. życzy, odpowiedział kawaler.

— A zatém zgoda, rzekł książę. I jeżeli panowie nie macie mi nic więcéj do powiedzenia....

— Radzca się skłonił. Kawaler zaś:

— Ośmielam się zapytać W. K. Mości, jakie będą ostateczne Jego rozkazy, co do bażantowego dworku.

Radzca przystąpił do stołu, jakby nigdy nie miał zamiaru wychodzić, wziął z niego album i udawał, że je z zajęciem przeziera; choć patrzący z boku byłby dostrzegł, że mieszkańcy albumu mieli tam nogi, gdzie głowy mieć należało.

— Myślałem, żeśmy już skończyli tę kwestyę przy stole — rzekł książę.

W słowach księcia dźwięczała nuta rozdrażnienia.

Radzca był bez ustanku zapatrzony w albumie.

— A więc W. K. M. poleca mi się zająć przerobieniem bażantarni, odparł kawaler nieśmiało; a gdy książę nieodpowiadał ciągnął daléj ze zwykłém ożywieniem:

— Dziś więc należy mi wydać wszystkie rozkazy. Sztachety trzeba poprawić, oczyścić ścieżki, bo w istocie zarosły trawą. Jeżeli damy Prohaticowi ze dwudziestu pięciu robotników, wszystko powinno być gotowe na jutro, a najdaléj na pojutrze. Z pałacyku herbacianego widać tylko sam zamek od strony południowéj, ze strony zwierzyńca należałoby wyciąć kilka drzew, a bardzo mi ich szkoda....

— To nie rąb, przerwał książę niecierpliwie.

Radzca spokojnie położył album. Kawaler zmięszany patrzał na niego.

— Albo pomów pan jeszcze z Jadwigą, dodał książę. Masz pan słuszność kochany panie Cejzel: w rzeczy saméj nie o wszystkiém mówiliśmy przy obiedzie, teraz sobie przypominam. Ale czyż warto w istocie tak się kłopotać o ten pałacyk? Czyż często będziemy w nim pić herbatę? dwa lub trzy razy i to wątpię. Wreszcie pomów pan o tém z Jadwigą — lub ja sam pomówię, jeźli pan

wolisz. W każdym razie czekaj pan na moje rozkazy. Bądź zdrów kochany Cejzel. Pana, kochany panie Ifler, radbym jeszcze zatrzymać chwilę. Kawaler skłonił się i wyszedł. Radzca został, oczekując z obawą, czego żądał książę. Przypuszczał, że go najprędzéj zapyta może o zdanie jego, co do zmian w bażantarni. Naprzód więc postanowił odpowiedzieć stosownie do tonu, jakim mu miłościwy książę tę kwestyę postawić raczy.

— Zmuszony jestem, rzekł książę — iść prosto do rzeczy. Radzca się uśmiechnął.

— W jakich Pan jesteś stosunkach z doktorem — to jest pan i wasze panie?

Radzca ani się spodziewał takiego pytania; zmięszał się, nie przewidywał dokąd ono dąży, odparł więc nie bez pewnéj obawy:

— O naturalnie w bardzo dobrych, jak zawsze!

— Jak zawsze? podjął książę z przyciskiem.

— Tak mi się przynajmniéj zdaje — W. K. Mość.

— Taka skromność z pańskiéj strony każe mi ubolewać nad moją otwartością.

— Nie myślę udawać skromnego, odpowiedział Radzca; ależ na prawdę sam nie wiem....

— Ha, jeżeli pan nie wiész kochany panie Iflerze, no to trudno; mnie się tak zdawało, należy mi przerwać moje zbyt szczére wystąpienie. Do widzenia kochany panie Ifler. Jutro przyjdź pan z raportem, o godzinę wcześniéj. Zaproszeni przyjadą o 1széj. Trzebaby więc rano pomyśleć jeszcze i o tém i o owém.

Radzca skłoniwszy się wyszedł przygnębiony i zły na siebie samego, że nie potrafił uchwycić na razie prawdziwego znaczenia słów księcia. Jak tu się było nie domyślić, w jaki tu sposób powiédzieć kobiétom? Doktór wszystkiemu winien. Po co te tajemnice? Dla czego już się przecie raz nie oświadcza? Nareszcie powinien natychmiast się oświadczyć. Obiecał być u mnie powracając z Hünerfeld. — Tak sam z sobą rozmawiał Radzca.

— O czémże z panem mówił, zapytał kawaler oczekujący Radzcę na dziedzińcu pałacowym.

— Nic ważnego.

Kawaler się zaśmiał.

— Spodziewam się, ciągnął daléj, że wieczorem zechcesz pan być więcéj otwartym, będę u pana o ósméj, jeżeli nie idziesz pan do klubu i jeżeli panie nie zajęte.

— Prawdziwą zrobisz pan nam przyjemność, mruknął Radzca zmięszany.

— A zatém do miłego widzenia — zawołał kawaler, uderzając Radzcę po ramieniu, do widzenia — i zwrócił się ku pałacowi.

— Nowe głupstwo, przecedził przez zęby Radzca, zdejmując ostrożnie kapelusz i ocierając fularem pot z chmurnego czoła. Znowuż obadwaj na karku. Djabeł wié co tu począć?

I złorzecząc samemu sobie ruszył ku domowi. Radzca mieszkał o jakie tysiąc kroków od zamku a kilkaset od miasteczka Rotebul, położonego na bitej drodze do zamku i wyzierającego powabnie z wianka łąk i ogrodów.

Po wyjściu radzcy książę długo siedział na miejscu pogrążony w głębokiéj zadumie.

Pół szczéry, pół ironiczny uśmiech, którym jaśniała twarz jego podczas rozmowy z kawalerem i radzcą, zamienił się w szatę tęsknoty.

— Wszyscy mnie opuszczają; mówił. Ifler, który całe życie szpérał w archiwach, żeby dowieść, że prawa naszego domu nie ustępują w niczém prawom innego panującego domu niemieckiego, on, który zaręczał, że nie może cierpieć hrabiego za poniżanie się przed chciwemi władzy Hohenzolerami, dzisiaj przycichł i poskromniał! Kto wié, może już gotów rozwinąć sztandar i przejść do nieprzyjacielskiego obozu! Nie mam jednego przyjaciela, jednego powiernika, trzeba liczyć na samego siebie — to poniżające.

Z ogromnéj łąki, przerżniętéj rzeczką Rody, po któréj swobodnie igrały jelenie, powiał wietrzyk zimniejszy.

Książę chciał zadzwonić na kamerdynera o cieplejsze ubranie, ale zatrzymał rękę w pół drogi do jedwabnego sznura, nowa myśl stanęła przed oczami: Ona wejść może, lepiéj niech zastanie mnie w lekkiém ubraniu; tém bardziéj teraz, nie należy pokazywać się starcem.

Wprawdzie mógł wejść do gabinetu, którego podwoje na rozcież były otwarte. Ale ztąd widać było szerokie łany—zieloność łąk i lasów, góry oblane światła promieniem i złocistych kilka obłoczków nad głową. A oni tak lubili ten krajobraz, tak się w nim rozmiłowali, kiedy cztéry lata temu przepędzali tutaj pierwszą czarującą wiosnę.

Tak, cztéry lata temu.

Oparłszy się na kamiennéj balustradzie, książę utkwił wzrok nieruchomy w zachodzące słońce. Ale dziś nie zwrócił już uwagi ani na zieloność łąk, ani na barwę kwiatów. Cztéry lata temu, życie błysnęło mu tutaj w piérwszych promieniach wiosennego słońca. Były to promienie jakiegoś innego lepszego świata, czarująca wiosna na życia jesieni, pełne uroku i szczęścia chwile.

— Jeżeli minęły, któż winien? Ja sam. Któż chmurami niepowodzeń zakrył słońce, kto zagasił ogień, kto wiośnie odebrał jéj romantyczny urok i krasę? Ja — ja sam! Ależ czyż moja wina, że przeciw mnie wszystko się sprzysięgło, co innym służy i idzie w pożytek? Ona miała lat siedmnaście — dziś dwadzieścia i jeden. Ja miałem lat 62. Więc lata przeciwko mnie. W tém cała moja wina.

Na tarasie zaszeleściała suknia, książę drgnął od tego szelestu. Przeciągnął szybko ręką po czole i zwróciwszy się do młodéj kobiéty, twarz ubrał uśmiechem.

Stała przed nim w ciemno-zielonéj aksamitnéj amazonce — w prawéj ręce trzymała rękawiczki i szpicrutę, lewą podtrzymywała z gracyą ogon spływającéj sukni.

— To ty Jadwigo! Jakże późno wyjeżdżasz dziś na przejażdżkę, mówił książę — składając pocałunek na czole młodéj kobiéty.

— Miałam dużo zajęcia, odpowiedziała Jadwiga, trzeba było odbyć naradę z modniarką, co do drobnych zmian w tych prześlicznych strojach, któreś dla mnie sprowadził, następnie przenosiny z moich pokoi.

— A to z jakiego powodu?

— Wszakżeś kazał przygotować, dwa pokoje dla gości, w czerwonéj wieży?

Blade oblicze księcia pokraśniało od gniewu, miasto odpowiedzi przycisnął konwulsyjnie złoty guz dzwonka i krzyknął do wchodzącego kamerdynera.

— Zawołać Poreta — natychmiast.

— Poret pojechał kuchennym furgonem do miasta, z rozkazu W. K. M. odpowiedział kamerdyner.

— Ha! pogadamy z nim jak powróci, wołał książę tracąc cierpliwość. Ależ i ty przecie byłeś, kiedym mu dawał rozkazy rano. A przecież on twój zięć, nic nie robi bez twéj porady, więc sam nie wiem na którego wina spada. Kto wam kazał wtrącać się do czerwonéj wieży? No mówże, kto wam kazał!

— Może to, mój przyjacielu, wtrąciła młoda kobiéta, tylko niezrozumienie....

— Wcale nie — wcale nie, nie jest to niezrozumieniem, ani omyłką; oni umyślnie nie chcieli zrozumieć, ani słuchać, ja to dobrze pojmuję.

— W. K. M. raczyła rozkazać, mruknął kamerdyner, żeby przygotować pokoje, miłościwéj księżnéj Pani, a ponieważ pokoje czerwonéj wieży....

— Wszystkie pokoje — wszystkie, ale niezamieszkane, wołał gorąco książę, rzecz prosta, że tylko nie te, które żona moja zajmuje od chwili naszego tu przybycia.

— Daj pokój — drogi przyjacielu, prosiła Jadwiga, na któréj widocznie cała ta scena robiła przykre wrażenie.

— Daruj mi — pozwól, mówił książę, wyrywając jéj drżącą rękę. Cóż mi po służbie, która przeinacza wszystkie moje rozkazy, dane jasno i wyraźnie. Żeby mi pokoje księżnéj były po dawnemu uporządkowane do jéj powrotu z przejażdżki — rozumiesz — Teraz odéjdź!

— Czyż warto o takie drobnostki unosić się — zaczęła Jadwiga po wyjściu Andrzeja Glejha.

— Twoja wygoda, twój spokój Jadwigo, to dla mnie nie drobnostki, mówił książę, rozgarniając drżącą jeszcze ręką włosy młodéj kobiety, tym więcéj teraz, kiedy i tak przyjdzie mi zakłócić spokój nasz domowy. To już nieuniknione. Ależ przecie niepowinni iść daléj, ograniczając naszą swobodę, nasze nieodzowne potrzeby, niepowinni zmieniać naszych nawyknień. — Gdzież to jedziesz dzisiaj moje dziecko?

— Do bażantarni — mówiła Jadwiga, sama zawiozę moje rozkazy. Prohatic tak przywykł do nich, że wierzaj mi, do niczego się nie ruszy, póki mię nie zobaczy.

— Ach prawda, ja już zapomniałem o tem — mówił książę prawie zmieszany.

— Właśnie bym cię prosiła, żebyś zapomniał zupełnie o tym dziecinnym kaprysie. W saméj rzeczy, że to istne dzieciństwo chcieć zachować ten pałacyk herbatni; w tym stanie w jakim go zastałam temu lat cztery: z jego pożółkłemi miedziorytami, zapylonemi zwierciadłami, ze staremi czerwonemi i ztoczonemi przez móle meblami rokoko, a wszystko to otoczone małym parkiem o zardzewiałych kratach, zarośniętych ścieżynach, z powywracanemi posągami.

— Ależ to, naprawdę jakaś romantyczna sentymentalność, która może być do twarzy siedmnastoletniéj dziewczynie, a jam już przecie na kobietę wyrosła. Śmiejesz się. Lecz śmiechem nie zniweczysz lat czterech.

— Czyż nie posiadasz i téj tajemnicy? Zdaje mi się, że posiadasz. Tylko do kogo ty ją zastosujesz? Do mnie, do siebie, czy do nas obojga? Z twarzy księcia wyglądał uśmiech przez jakieś febryczne drżenie.

— Czas na mnie, mówiła młoda kobieta — już późno. Więc mi pozwolisz kochany przyjacielu dać ostatnie rozkazy Prohaticowi?

— Przeciwnie, bardzo byś mię zobowiązała, żebyś chciała zostawić wszystko tak, jak jest, i żebyś uwiadomiła o tém Cejzla. Do pokojów czerwonéj wieży wrócisz znowu', nieprawdaż? No, do widzenia, a nie cwałuj, proszę cię, na złamanie karku. Wieczorem nikogo nie mamy, przepędzisz zatem wieczór tylko w mojém towarzystwie.

— Tylko w mojém? powtórzyła Jadwiga. — Mówisz to jakby z wymówką.....

— Ależ nie, odparł książę z pośpiechem.

— A mnie się tak jakoś dziwnem zdało, wszakże wiesz, że wieczorne godziny najmiléj ci zchodzą: wszak w nich tylko możemy pogwarzyć otwarcie.

— Czy tak, mówił cichym głosem książę, trzymając rękę młodéj kobiety w swych dłoniach i namiętnie spoglądając na nią. Usta drgnęły mu jakby do słowa, lecz słowo zamarło, westchnął tylko i wypuszczając rękę młodéj kobiety:

— Nie zatrzymuję Cię dłużéj — powiedział.

Jadwiga zwróciła się już, dochodziła do drzwi sali, gdy książę znowu zapytał:

— Słówko jeszcze Jadwigo. Czy ci nie mówił doktór, że się podaje do dymissyi?

— Czy już się podał? zapytała Jadwiga.

Zwracając się na słowa księcia, ogon jéj sukni w drzwiach się zaplątał, schyliła się więc zręcznie, a gdy się podniosła, twarz jéj pokryła się żywym rumieńcem.

— Istotnie zażądał dymissyi, mówił książę — podchodząc ku drzwiom. Mówił mi dzisiaj o tém, po obiedzie, gdyśmy zostali sam na sam, wprawdzie nie urzędownie, ale stanowczo.

— Ty go uwolnisz? — spytała Jadwiga.

— Z jakiegoż powodu miałbym przystać na ten kaprys? — a przecież to kaprys — nic innego. Pracować dla dobra ludzkości, tak zwykle mówią ludzie, gdy prawdziwym powodem jest jakaś osobista nieprzyjemność; ale co większa nieraz nawet wierzą, że w téj chwilowéj zmianie, znajdą istotny kierunek ku wyższemu celowi. Wyciągałem dziś trochę na słowo Iflera i zdaje mi się, że Eliza musiała doktorowi zrobić minkę, ale Ifler nic o tem nie wié. Wprawdzie to jeszcze niczego nie dowodzi, bo on, prawie nigdy nie wié o tém o czémby wiedzieć należało. Czy niepodjęłabyś się ty zbadać téj rzeczy?

Twarz rozpłomieniona młodéj kobiety pochmurniała; po ostatnich słowach księcia błysnęła gniewnemi oczami, wzniosła dumnie głowę i utkwiwszy śmiały wzrok w obliczu księcia mówiła:

— Na cóż to wszystko? doktór przecież nie jest człowiekiem, któryby się w takim razie chciał uciekać do pierwszych lepszych wymyślonych powodów. Wreszcie czyż powody, które przytoczył nie są wystarczającemi?

— Mówisz tak, jakbyś znała te powody, zagadnął książę.

— Mylisz się, nie znam ich zupełnie, mówiła ożywiając się coraz bardziéj, doktór mi ich nie oznajmił, ale sama pojmuję co może wyganiać z tąd takiego jak on człowieka; rozumiem dobrze, że mu się uśmiecha, spróbowanie sił własnych i własnéj wiedzy na obszerniejszém polu, jak również pojmuję jak mu tutaj musi być duszno wśród naszego mrówczego świata.

I spłonęła cała — książę przeciwnie był blady i usta mu zbielały.

— Rzeczywiście, — mrówczy świat! ależ świat z któregom go wyciągnął przed trzema laty, był jeszcze ciaśniejszy od naszego. Tylko to znowu prawda — że nie wiele ludzi zatrzymuje w pamięci dobrodziejstwa, jakich doświadczyli.

— Jak również nie wielu jest takich, którzyby posiadali godną zazdrości cnotę, zapominać wyświadczone.

— Sądzę Jadwigo, że mówiąc to, nie do mnie stosujesz twe słowa. —

Nogi pod księciem drżały, zaledwie mógł ustać, pod strasznym ciężarem obawy, że zagadka która w ostatnich szczególnie chwilach zatruwała mu spokój i chmurzyła czoło, blizką jest rozwiązania.

— Wcale nie! znasz moje niedorzeczne przyzwyczajenie, — mówiła dalej Jadwiga — wtrącać wszędzie i zawsze moje uwagi. Jakiż stosunek może mieć moja uwaga do podobnego wypadku? Bierzmy tylko rzecz, jak ona jest istotnie. Wziąłeś doktora na trzy lata, termin trzechletni kończy się. Nie zechcesz więc zatrzymywać go wbrew woli.

— Mylisz się kochana Jadwigo. Otwarcie ci powiem, że nie chciałbym pod żadnym pozorem pozbywać się doktora. On mnie już zna, gdy inny musiałby dopiero zaznajamiać się ze mną; przyzwyczaiłem się do niego, nawet przywiązałem. Nie mówiąc już wreszcie o mnie, jak sama wiesz, hrabinie Stefanii potrzebna pomoc doktora. Jenerałowa w strasznych obawach — sam ją upewniłem o biegłości mego nadwornego lekarza, i przyrzekłem, że będą mogły w każdéj chwili z jego rady korzystać. Byłoby mi nadzwyczaj przykro niedotrzymać danego słowa.

— Ale doktór przecie nie zaraz nas opuszcza.

— Kto wie, zawrócono mu zupełnie głowę na zjéździe naturalistów. Teraz będzie się spieszył. Wcale mi to nie na rękę.

— A jednak nic ci innego nie zostaje do wyboru. Jestem przekonana, że gdybyś tylko zechciał ocenić rzecz spokojnie, zgodzisz się ze mną.

Książę się uśmiechnął.

— Dobrze, dobrze, zastanowimy się spokojnie. W rzeczy saméj po co się dręczyć przed czasem. No, jedź już Jadwigo, ja do roboty jeszcze na jaką godzinkę. Przy herbacie pomówimy. Do widzenia Jadwigo.

Pocałował ją w czoło i przeprowadził aż do podwoi sali. Tam zatrzymał się przy oknie, żeby ją zobaczyć wsiadającą na konia, którego koniuszy trzymał za cugle. Wsiadłszy na koń, młoda kobieta skłoniła mu się szpicrutą, on jéj ręką, ale nie odszedł, chciał ją jeszcze zobaczyć przejeżdżającą mostek w dolinie. Patrząc z tego punktu, zwykle w dwie minuty chyża amazonka dojeżdżała do mostu.

Książę stał i patrzał, przeszło pięć, dziesięć minut, a amazonka nie ukazała się; nagle jakiś dreszcz przebiegł po ciele i książe zatrzasnął okno i postrzegł, że drzwi do tarasu były na oścież otwarte, stał więc na cugu, dostrzegłszy to, zrobiło mu się jeszcze gorzéj. Wszedł do gabinetu i zadzwonił.

— Co W. K. M. rozkaże, spytał wchodzący kamerdyner?

— Chciałem żeby można zapalić na kominku. Albo nie — daj pokój lepiéj, po co się tu pieścić.

— Nie warto też pieścić i drugich, bez urazy W. K. M.

— A to co znaczy?

— Chciałem właśnie powiedzieć, że jam przez czterdziestoletnią służbę u W. K. M., jéj dobrocią i szlachetnością zostałem również rozpieszczony tak, że dziś boli mnie i dręczy każde przykre słowo W. K. M., i jeżeli służba, która nie umie zrozumieć ani wykonać rozkazów W. K. M.

— I ty także! wybuchnął książę. I ty już chcesz porzucić! Ależ wyście chyba głowy potracili? Albo może to wasz sposób przedstawienia się dobrze nowemu panu, pozbywając się starego grubijaństwem i niewdzięcznością. Nie wylewajcie staréj wody, póki świeżéj niezaczerpniecie. Poczekajcie trochę, a ja was sam przedstawię Hrabiemu, żeby przecie wiedział komu się dostaje w ręce. Wreszcie dosyć tego. Podaj mi cieplejsze ubranie, bom stał na cugach i coś mi niedobrze. Drząc rzucił się w fotel, otulając się starannie.

— W. K. M. należało zostać na tarasie, wtrącił kamerdyner twierdząco.... Księżna pojechała do bażantarni.

— Czyś widział?

— Widziałem z okna, prosto pogalopowała do bażantarni. Jużto mnie się zdaje, że księżna pani za prędko jeździ po tych krętych drożynach.

— Byłbym długo czekał, zauważył książę. Ale po cóż ona tam pojechała? Przecież jak sobie przypominam, rzecz była skończona.

— Być może, że księżna pani przejedzie tylko bażantarnią, żeby się dostać do Hünerfeldskiéj drogi, z tamtąd prześliczny widok na zamek i dolinę Rody.

Po słowach tych Glejh podniósł powoli oczy i zatopił badawczy wzrok w oblicze swego pana.

— Wątpię, zauważył książę.

— A ja myślę, że może księżna pani, miała coś polecić doktorowi, bo on w tę porę, zawsze się tam znajduje.

— Nie sądzę, mruknął książę. Nie mówiłem jéj nic, że doktór tam jedzie.

— Ale ja słyszałem, pan doktór mówił o tém księżnéj pani przy obiedzie.

— A! To ty jak widzę wszystko słyszysz co się mówi na sali.

— Prawie wszystko. . . . . Czy Wasza K. M. nie ma innych rozkazów?

Książę siedział oparłszy głowę na ręku i myślal. Kamerdyner nie odbierając odpowiedzi, chciał się wyśliznąć po cichu, ale u drzwi zatrzymał go głos księcia.

— Jak księżna powróci, poprosisz odemnie, żeby była łaskawa zostać na herbacie we własnych pokojach. Mnie coś niedobrze, a jutro muszę być zdrów i rzeźwy, więc chciałbym odpocząć... przytem mam jeszcze dwa listy do pisania.

— Stanie się według rozkazu W. K. M., mówił Glejh zamykając starannie drzwi za sobą.

Po wyjściu kamerdynera, książę siedział nieruchomy i pogrążony w dumaniu. Myślał o dniu jutrzejszym, który niechybnie zakłóci ukochany spokój, napędzi mu do domu ludzi obcych, których nienawidził duszą całą, wyrwie mu możność pomyślenia w samotności o rzeczach sercu drogich.

— Dziwnego to rodzaju szczęście, mówił sam do siebie — oddawać się tym marzeniom, które mi się wloką przed oczyma wyobraźni, jak konie ciągnące karawan. A kogoż one wiozą, przecież ja sam tym nieboszczykiem! Pocóż było wskrzeszać je w pamięci? — sam nie wiem... Wtedy był jeszcze czas... byłbym miał jeszcze dosyć siły. Wszak to wyrytém było na jéj czole; błyszczało w oczach, w każdem słowie, w dźwięku jéj głosu! A teraz! Jak ona

o tém mówiła, jakby o rzeczy zwykłéj, prosto, otwarcie, a jednak była tam myśl, był cel. „O gdyby śmiechem to można było zniweczyć lat cztéry!“ Cztery lata.... jak to rozumieć? A choćby i czterdzieści — jabym ją zawsze kochał; zawsze jednako, miłością dwudziesto-letniego młodzieńca, bardziéj... więcéj, jabym ją kochał tak, jakby ją nikt nie potrafił ukochać na świecie! — Boże mój, Boże! jak ja ją kocham!

I biedny starzec miotał się konwulsyjnie w fotelu, straszna walka wewnętrzna gnała mu krew do głowy. Nagle prawą ręką uchwycił za lewą, i badał puls swój przyspieszony. „Rozdrażnienie nerwów i gorączka.“ Następca mój nie będzie długo czekał. To Herkules w porównaniu ze mną. Dzięki bezustannemu ruchowi, musztrom, przeglądom, ci ludzie jak lwy silni, choć pustki w głowach. Pod tym względem ani słowa, on wyżéj odemnie, tem większe ma prawo do méj nienawiści. Prawdziwa przyjemność, napawać się obrazem moich świetnych następców, jak tu zaczną bawić się, śmiać, wybuchać radością w mych oczach. Nawet się już postarali o następcę następcy.

Książę, wybuchnął śmiechem ale nie był to śmiech wesołości, to też po śmiechu przyszło głębokie westchnienie. Glejh stojący za drzwiami przyłożył ucho do klucza i kiwnął z zadowoleniem głową.

Z nim zawsze tak bywa, mówił Glejh prostując się, byłbym już dawno doszedł po nitce do kłębka, żeby Dytrych nie był takim bałwanem. Mówił mi zawsze, że nic nie widział szczególnego w owych przejażdżkach sam na sam, że ani razu nie mógł podsłuchać o czem oni szczebiocą.... Już to gdybym ja był na jego miejscu, wiedziałbym ja, co podsłuchać i jak podpatrzyć.

ROZDZIAŁ II.

Tymczasem Jadwiga pędziła chyżo malowniczą drogą, która kręcąc się wężowemi sploty wiodła do bażantarni; Dytrych choć dobry jeździec, ledwie mógł za nią zdążyć. Księżna nie przemówiła do niego ani słowa, Dytrych miał poślubić tegoż lata Meti Prohatic, córkę ogrodnika, księżna o tem wiedziała, a nie pytała ani o ślub ani o wiano. Dytrych jeszcze nigdy jéj nie widział taką milczącą. Milczała gdy podwodził konia, milczała gdy jéj pomógł

siadać, ust nie otwierała w drodze, nawet starych babek z wiązkami drzewa na plecach, co się usuwały z poszanowaniem z drogi i życzyły dobry wieczór, nie udarowała ani jedném słowem, ani nawet spojrzeniem.

— A to licho jakieś ją pędzi, mruknął Dytrych, ściskając konia ostrogami. Od takiéj łaźni szkapy chyba nogi wyciągną.

Właśnie w téj chwili księżna skróciła cugle i stępo jechała na ostatni pagórek.

Nie chciała przybywać do bażantarni, nie zebrawszy w myśli szczegółów rozporządzeń, ale wbrew zwyczajowi szło jéj to oporem. Jakże jéj wszystko zdało się teraz marném, lichém.... bezbarwném, w obliczu uczucia, co straszną burzą napełniło jéj duszę.

Chce wyjechać, prosił nawet o uwolnienie! I właśnie zdecydował się w chwili, kiedy przyjazd gości postawi ją w najtrudniejszém, w najnieznośniejszém położeniu, gdzie jéj właśnie potrzeba będzie wszystkich sił, całéj woli zapanowania nad sobą, właśnie wtedy kiedy ona najwięcéj liczyła na pomoc przyjaciela... on chce ją opuścić! No i cóż... nic naturalniejszego! niech jedzie. Jakież miała prawo wymagać ofiar, trzebaż już mu było przecie dać wolność za którą tak tęsknił gorąco!

Jadwiga zaledwie powstrzymać mogła łzy cisnące się do oczu, myśląc, że należało rozstać się z nim i może nie ujrzeć więcéj. A przecież raz na zawsze ona się wyrzekła szczęścia, pocóż było wypraszać znowu u nieubłaganego losu, to półszczęście, przecież marzenia jéj i nadzieje przepadły już bezpowrotnie.

Koń Jadwigi zatrzymał się właśnie u drzwi kratowych parku otaczającego bażantarnię. Ocknęła się z téj głębokiéj zadumy i sama nic nie wiedziała gdzie jest i czego szuka.

Koniuszy podjeżdżając wybawił ją z kłopotu. Kazała mu otworzyć wrota i pokłósowała ku domkowi cienistą aleją, zarosłą trawą. W domku tym schowanym w bluszcze i jaśminy, od trzech lat mieszkał samotnie Prohatic, to jest od chwili w któréj córka jego Meta poszła za pokojówkę do młodéj Pani; całe towarzystwo jego żyjące, ograniczało się jak na teraz, na dość poważnéj liczbie kur, indyków i bażantów.

Staruszka nie było w domu. Jadwiga znalazła go pod odkrytym szałasem. Tam napawał się widokiem niedawno wylęgłych bażantów zbierających żér, i kur poważnie przechadzających się koło swoich piskląt, ze sznurkiem u nogi.

— Rad witam moją miłościwą Panią, spotkał ją staruszek zdéjmując małą strzelecką czapeczkę z głowy. Anim się spodziewał.... bo też dawno miła Pani nie raczyła mię nawiedzić, a tu

pisklęta wylazły, dziewięćdziesiąt cztery sztuki. A byłaby setka prawie, gdyby nie ta rabuśnica, co mi tak podchwyciła pięć sźtuk. — I mówiąc to Prohatic podniósł za długie skrzydło zabitą kanię.

Jużem z dawna miał ją na oku, ale to przebieglejsze od człowieka, i za nic nie popadnie w sidła, choćby posadzić jéj na zanętę z pół tuzina gołębi.

Staruszek przyzwyczajony widzieć w Jadwidze powolnego słuchacza swych myśliwskich gawęd, bardzo był zdziwiony, że nie raczyła nawet rzucić okiem, na straszne zabite przez niego ptaszysko, a tylko niecierpliwie wywijała szpicrutą, aż wreszcie rzekła:

— Bardzo dobrze Prohatic, wybornie, ale mamy jeszcze o czém inném pomówić. Wszak już wiesz, że hrabia przyjeżdża tu z żoną. Książę życzy sobie, żeby dworek bażantarni był przyprowadzony do porządku. Weź ile chcesz robotników i do wieczora należy wszystko przygotować, będzie tu jeszcze pan von Cejzel, to pomówisz z nim dokładniéj. Naturalnie, że domek herbatni także przygotować należy. Wszystkie moje przybory do rysunków, bądź dobry zabierz do siebie. Wszak klucz od domku jest u was?

I nie czekając na odpowiedź zdumionego strzelca, poszła ku większemu pawilonowi domku, który swą strukturą przypominał wiek ubiegły. Szerokie podwójne schody w podkowę prowadziły do niego, u wchodu ubrane czterema sfinksami, daléj schody podnosiły się nad grotą ozdobioną Neptunem, grupami Nereid i Trytonów.

Jadwiga szybko wbiegła na schody, starzec kwapił się za nią kiwając głową i otwierał jéj drzwi, po których niecierpliwie siekła szpicrutą. Przeszła, nie zatrzymując się, salę, do narożnego pokoiku, który służył za pracownię.

— Wszystko trzeba zabrać, wszystko, powtarzała, wskazując Prohaticowi na porozrzucane pędzle, paletry, farby i szkice; wszystko zabierzecie i zamkniecie u siebie — rozumiecie? A teraz bądźcie dobrzy powiedzieć Dytrychowi żeby konie podawał.

— Czy się co złego nie przytrafiło Jasnéj pani, albo Jego Książęcéj Mości? — pytał się starzec.

Jadwiga nie odpowiedziała. Starzec nie śmiał powtórzyć pytania, wysunął się więc po cichu.

Ona podeszła powoli do stołu i skrzyżowawszy ręce patrzyła na rozpoczęty szkic krajobrazu, na który tak często i pod inném wrażeniem patrzała z tegoż samego okna.

— Fe! jak to zbladło przez dwa tygodnie — rzekła. A ja myślałam, że to jeden z najlepszych mych szkiców. Jaka bazgranina! Choć mi mówią, że mam talent. On nigdy mi tego nie mówił, bo on to inaczéj rozumié; on wié co to zapracować własnemi rękami,

na kawałek zlanego potem chleba. Może i jabym była doszła do doskonałości przez pracę, gdybym była pracowała jak inne kobiéty, ale mnie to służyło za zabawkę przez 4 lata. O! gdybym mogła je powrócić!—Upadła jakby wysilona w krzesło i siedziała ponura, milcząca, utkwiwszy oczy w siną przestrzeń, usta jéj pobladły a zapalone rumieńcem policzki drgały nerwowo. On pojedzie i cóż jéj zostanie? Pustka i życie bez celu. Straszna, nieograniczona pustka! A czuła ją już koło siebie, niedawno, kiedy on wyjechał na dni parę. Jakże strasznie wlekły się jéj godziny, zwiędłym i nudnym starcem wydał się jéj książę, mordowały ją do znużenia etykieta i formy otaczającego świata. Teraz już życie całe widziała bez celu i bez radości. Zerwała się z krzykiem przestrachu, zdawało się, że tchu jéj braknie. Pobiegła do okna i otworzyła.

Przed nią roztaczał się cudowny krajobraz gór, oblanych półjasném tchnieniem majowego wieczora. Słońce już zaszło, a jednak było jeszcze widno. Na wyniosłościach pagórka łączącego górę bażantarni z innemi spoczywał różowy odblask przeźroczystego światła wyższych sfer eteru. On miał tamtędy przejechać wracając drogą z Hünerfeld.

Nagle stanęło jéj przed myślą to, o czém dawno już nie wspomniała; przed trzema laty na tém samém miejscu pierwszy raz go ujrzała w jeden czarowny wieczór czerwcowy. Wracała z przejażdżki z księciem, a on stał tam na skale pod drzewem, pod tém samém, co tak wyraźnie rysuje się na tle jasnego nieba — stał i patrzał na dolinę i na jedyną skałę, na któréj wznosił się zamek, a tak był zadumany, że gdy nadjechali tuż na niego, dopiero odwrócił głowę. Książę był w szczególnie dobrém usposobieniu, więc zapytał o coś młodego podróżnego; grzeczna i pełna uprzejmości odpowiedź była powodem zagajenia dłuższéj rozmowy. Książę zsiadł z konia i rozmawiając szli przez całą dolinę. Rozmową swoją młody człowiek tyle wzbudził w księciu interesu, że pod koniec zaproponował mu zmienić hotel pod „Trzema minogami“ na mieszkanie w jego własnym zamku. Młody człowiek podziękował i przyjął, a książę użył wszystkich najgrzeczniejszych sposobów, ażeby wymódz na nim przyrzeczenie osiedlenia się chwilowego i spróbowania, czy nie będzie się mógł przyzwyczaić do miejscowych warunków. Spróbował i próba trwa już trzy lata, i dopiero teraz zdobył się na wysiłek odwagi i... ucieka.

Jadwiga zaśmiała się szyderczo i przelękła się własnego śmiechu.

— „Zdaje mi się, że ja zmysły tracę“ — szepnęła po cichu. Zdawało jéj się, że od wyjścia starego sługi cała wieczność ją dzieliła; spojrzała na zégarek — nie podobna, pięć minut zaledwie —

zdawało jéj się, że dawała Prohaticowi jakiś rozkaz. Ale jaki? — A! żeby przyprowadził konie. Po co? — jechać na jego spotkanie; z jakich powodów? żeby mu powiedzieć, że ona żyć bez niego nie może; wyśmienite wyznanie, cóż on z niém zrobi? chyba każe jéj nie pić herbaty wieczorem, żeby ułagodzić wzburzone nerwy, przecież niedawno już jéj radził podobny środek.

Znowu wybuchła tak silnym śmiechem, że Prohatic, który podchodził do drzwi, stanął jak wryty i z wyrazem niemej bojaźni prowadził za nią oczyma, gdy znów wybiegła z herbatniego domku, mignęła mu przed oczami, wskoczyła na konia i galopem popędziła przed siebie.

— Zdaje mi się, mówił koniuszy, podciągając rzemieni u popręgów, że jéj by się chciało zostać bez świadków. Nie mogę spuszczać jéj z oka — a ona radaby pozbyć się natręta — co tu począć? sam niewiem?

— Kto tobie kazał żebyś ją z oka nie spuszczał? spytał Prohatic.

— Jak wydacie za mnie Metę i będę już waszym zięciem, to wam wtedy powiem. Marsz liza!!

I Dytrych poskoczył galopem za swoją panią, przez otwarte wrota bażanciego dworku. Od wrót tych droga szła w dwie strony, jedna kręcąc się i podnosząc szła pod górę, między skały okryte lasem, do Hünerfeld, zkąd znikała między górami; druga szła ku bitemu gościńcowi, który prowadził do zamku.

Dytrych, niedomyślając się coby jego pani mogła robić w górach, zwrócił się ku bitéj drodze i jak mógł pospieszał, dziwiąc się w jaki sposób pani mogła go tak daleko zostawić.

Tymczasem Jadwiga doścignęła jodłowego lasu, nie zauważywszy nawet że Dytrycha za nią nie było — wjechawszy dopiéro w las spostrzegła, że była sama.

Zatrzymała więc konia — w lesie po za nią było głucho, przed nią gdzieś w dali brzęczały polne koniki, a wysoko nad głową, tam gdzie iskrzył się jeszcze ostatni blask zaszłego słońca, dolatywał śpiéw skowronka. W téj miękkiéj i przeźroczystéj atmosferze wieczora jeszcze wyraźniéj odbijała twarz jéj zamglona cierpieniem; w miejscu téj zachwycającej przyrody tylko jedno jéj serce czuło i cierpiało.

Długo stała nieporuszenie. Niewymowny smutek opanował ją; niewstrzymane łzy potoczyły się z oczu; Jadwiga jeszcze nigdy tak nie płakała; jak gdyby chciała we łzach cały swój smutek utopić, ażeby potém raz na zawsze mieć spokój.

Cugle z rąk jej wypadły; piękny koń okryty pianą zmęczenia wyciągnął długą swą szyję i po szybkiéj jeździe odpoczywa; nagle podniósł głowę, zwrócił błyszczące oczy na pagórek, nastawił uszy i z cicha zarżał.

Jadwiga wyprostowała się.

Lewą ręką chwyciła za cugle — prawą otarła łzy i skierowała się do lasu. Przestraszała ją myśl, żeby on jéj nie zastał w tém położeniu.

Ale już było za późno. Widać ją spostrzegł, bo dobiegał ją tentent szybko cwałującego konia. Trzeba było zatrzymać się i poczekać. W parę minut był już przy niéj. Zdobyła się na pół uśmiechu, który przy jéj rumianych licach i czarném oku był jéj bardzo do twarzy i robiąc pół obrotu na siodle:

— „A, to pan, doktorze?“

Herman osadził konia i unosząc lekko kapelusz rzekł:

— Tak późno i tak daleko od zamku i sama pani?

— Byłam w bażantarni i nie wiem, jakim sposobem zgubiłam Dytrycha.

— Niech mi więc pani pozwoli towarzyszyć sobie — wszak jedna droga.

— Z przyjemnością.

Herman skrócił cugle i jechał z lewéj strony młodéj kobiety— milczeli chwil kilka.

— A jakże w Hünerfeld, — spytała nakoniec Jadwiga.

— Lepiéj, mam tylko jednę chorą, a i tę mam nadzieję wyprowadzić szczęśliwie.

I znowu milczeli.

Jadwiga nie chciała się zdradzić, Herman doświadczał tegoż samego prawie uczucia. On popróbował wyrwać się z tego położenia, które miało rozstrzygnąć, jeżeli już nie rozstrzygło jego losu. Próba ta prawie że się nie udała; sam nie wiedział, czy złorzeczyć sobie czy się cieszyć. A cóż ona powié? czy przyjmie ze współczuciem ofiarę jego, czy odrzuci?

Takiemi myślami napełniona była jego dusza, gdy wyjeżdżał do samotnéj wioski; te myśli towarzyszyły mu, gdy wracał przez las zatrzymując się pod owym dębem, pod którym to przed trzema laty — ujrzał ją po raz pierwszy.

I tu właśnie pod tym dębem — uczuł silniéj jak kiedykolwiek, że życie jego było tylko odbiciem jéj życia — widział jasno, że ta wszechsilna i bez nadziei namiętność pochłonie jego przyszłość; w każdym razie — czy każe mu zostać, czy odjechać.

— Czy mógłbym się poradzić pani w sprawie osobistéj?— zapytał drżącym głosem.

Po tém zapytaniu, które mimowoli z ust mu się dobyło, Herman przestraszył się własnego głosu — szumiało mu w głowie, serce biło gwałtownie jakby chciało wyskoczyć z piersi.

— Co pan mówi? spytała Jadwiga.

Herman ociągał się z odpowiedzią.

Jadwiga po pewném wysileniu mówiła daléj:

— Wreszcie pytanie moje zbyteczném. Mówisz pan zapewne o rzeczy, o któréj wiem już od księcia.

Prosiłeś pan o uwolnienie. Właśnie książę, który ma zwyczaj w trudniejszych razach zasięgać méj rady, polécił mi odwiéść pana od tego zamiaru.

Herman nie śmiał podnieść oczu — czuł bowiem, że ostatnie jéj słowo rozstrzygnie jego przyszłość.

— Odpowiedzialność którą biorę jest tem większą—czuję to dobrze — mówiła Jadwiga, zdobywając się na uśmiéch.—Przyznam się panu, żem myślała o tém przez całą drogę i ważyłam na szali rozumu wszystkie za i przeciw.

— Pani wiesz, mówił Herman przytłumionym głosem, jak ja wysoko cenię pani zdanie, żem zawsze gotow iść za niém — i przekonałaś się pani, że należy mi wyjechać — nie prawdaż?

— Istotnie przyszłam do tego przekonania.

Powiedziawszy to — Jadwiga podniosła oczy. Doktór był blady, strasznie blady — patrzał przed siebie z wyrazem niemé rozpaczy — policzki mu drżały jak dziecięciu co ma płaczem wybuchnąć. Ciemno się jéj zrobiło w oczach. Chciała się rzucić mu na szyję i powiedzieć:

— Wszak żyć rozdzielonym — niepodobna, lepiéj umrzéć jak się rozstać. Jéj przykro było, że on słabszy od niéj, że na nią zwala cały ciężar odpowiedzialności. Najsprzeczniejsze walczyły w niéj uczucia — a jednak gdy przemówiła znowu, toń jéj głosu był spokojny, prawie chłodny.

— Wiem — że możnaby wiele, jeźli pan chcesz, bardzo wiele powiedzieć, za tém żebyś pan pozostał.... Tu w naszych drogich górach wszak znalazłeś pan szczęście, którego nigdzie nie znajdziesz, w którąkolwiek zajdziesz stronę.

Prawda, że pan jesteś związany pewnym rodzajem zależności przez księcia,— ale służąc księciu, zgodzisz się pan, że służysz także setkom ludzi, którzy od niego zależą i którzy w panu tracą rozumnego i troskliwego opiekuna. Czyż z tego nie wypływa wdzięczność i poszanowanie, którém pana otaczają i starzy i młodzi — uznanie serc

czystych i dusz szlachetnych? świat który pana otacza być może że nie odznacza się głębokim rozumem i uczonością — ależ z temi cichemi i słodkiemi ludźmi spędzić godzinkę, wszak czasem miło, a a przecież prócz tego niepodobna, byś pan nie ocenił przychylności i przyjaźni takiego doświadczonego monarchy, jak książę. Co tu długo rozważać i wyszukiwać przymioty pańskiego położenia, — pan sam to widzisz i nieraz już przyznałeś. A mimo to wszystko....

— A mimo to....

— Pan powinieneś oddalić się — i dla bardzo prostéj przyczyny. Tutaj nie możesz pan stać się tém, czém powinieneś — nie możesz pan oddać tych usług, które są w pańskiéj mocy, a których nie oddając zadłużyłbyś się społeczeństwu. Pan przyjechałeś tutaj trzy lata temu — z szerokim planem i pragnieniem naukowéj działalności; — plany te zostały planami, pomimo tego, że pan masz wiele wolnego czasu do pracy naukowéj. Dla czegóż to? Oto dla tego, że pana, jak i nas samych usypia jednostajność naszego cichego bez wrażeń życia, — dla tego, że panu potrzebne są pewne bodźce, których człowiek nie znajduje jak tylko w gronie ludzi tych samych dążności, ludzi walczących pod tym samym sztandarem — nie pański to świat -- nie jest to sfera dla takich jak pan umysłów. Przykro mi było patrzeć na smutną i przygnębioną twarz pańską, kiedyś pan powrócił z tego zjazdu naukowego. Tam pan przekonałeś się o téj złotéj prawdzie, któréj nas uczą w szkołach: że kto nie idzie naprzód, musi się cofać. Tam młodsi ludzie od pana, błysnęli pracą, zdolnościami, zasługą — a pan musiałeś stać na uboczu i mówiłeś sobie: gdy inni pracowali i szli coraz wyżéj po szczeblach umiejętności — ja, trawiłem czas daremnie....

Twarz Jadwigi zapłonęła. Udany spokój zawiódł ją i burzliwa namiętność coraz wyraźniéj malowała się w każdém jéj słowie. Nie czekając odpowiedzi towarzysza, ciągnęła daléj, jakby mówiła do saméj siebie: — Wiem jak ciężko rozstawać się z ideałami, które nam błysnęły w zaraniu naszéj młodości, jak boleśnie jest widzieć, gdy one zaczną znikać nam powoli, zamieniać się w mgłę, w mgliste widziadła, które choć nam jeszcze widome — ale już niezadowolnią serca i duszę tylko przepełnią cierpieniem. Jestem córką sługi — poddanego hrabskiéj familii — więc już tego doświadczyłam. A przecież ja jestem kobietą, a nam niewolno rozwijać żadnéj działalności, żyć pełném życiem; my skazane jesteśmy zginać głowę w pokorze, przed naszém przeznaczeniem i z niém się godzić. Ale jeżeli na chwilę zechcę się postawić w roli mężczyzny — jeżeli mi się zdaje, że mój przyjaciel, mój brat znajduje się w podobném położeniu i nie ma odwagi pokruszyć własnych pęt téj niewoli — niech co

chce będzie — ale mi się wydaje, żebym przestała kochać i brata i przyjaciela i wyrzekłabym się tego, który się sam siebie wyrzeka. Jadwiga mówiąc to, szarpnęła cuglami, koń jéj wyciągnął piękną swą głowę i szyją swą, prawie już dotykał szyi swéj towarzyszki, klaczy Hermana.

I to wszystko jest zaledwie przedstawieniem jednéj strony téj bezczynności, na którą skazany pan jesteś w domu księcia. Ale jest i druga strona, która w mém rozumieniu równie jest ważną. Pan dziś jesteś zmuszony zostawić innym rozwiązanie wszystkich naukowych i społecznych kwestyj, które wywołują czynność i działalność naszego pokolenia. Czy masz pan prawo to uczynić? czy panu wolno się wyrzéc tego współuczestnictwa, które każdy człowiek myślący powinien wziąść w téj ogólnéj pracy i walce? A czyż pan byłbyś zdolnym do walki tutaj? Otaczające nas zacisze, nasza szkółka rzemieślnicza z trzema uczniami, nasz instytut wychowania dziewczynek, któryśmy zamknąć musieli z braku współczucia.... jakże to wszystko jest bolesne! jak musi ciężyć człowiekowi, który aby tylko chciał, a otworzy mu się inne, obszerne, pełne nadziei pole. Czyż pracować dla ojczyzny nie jest wyższym nad inne obowiązkiem?

— Ja już nie mam ojczyzny, zauważył Herman.

— Dla tego żeś pan Hanowerczyk? i że Hanower przestał istnieć jako samodzielne Państwo? Dla tego że pan nie chcesz zgiąć karku przed przemocą? Dla tego że panu się zdaje, że przyjąwszy zajęcie u księcia, już tém samém znalazłeś wyjście z tego dillematu, oderwania się od Niemiec północnych, do których pan jesteś przywiązany, jeżeli nie chcesz zostać Prusakiem, w ciasném znaczeniu tego słowa.

Co za łudzenie samych siebie. Czyż książę jest udzielnym panującym, dla tego że chwytamy się tego marzenia, albo udajemy, że się chwytamy? Czyż my nie ci sami Prusacy, chociaż złościmy się na dynastyę Hohenzollerów? W końcu, nie myślę pana przerabiać na Prusaka, aleś pan Niemcem być powinien! powinieneś pan pracować dla téj ojczyzny germańskiéj, którą wszyscy od dzieci nosimy w naszych sercach. A czyż praca podobna jest możliwą, w téj dolinie, pośród tych gór, przez które nawet słabego motyla skrzydła przeniosą, ale które niestety oddzielają od nas, czynią nam niewidomym, cały świat podnioślejszych dążeń, życia, myśli i walki? nie! nie! to nie dla pańskiego charakteru, to byłoby niegodne pana. Dla tego więc mówię panu jedź; trudność już przełamana, — paneś zrozumiał, trzeba jechać. Proszę, zaklinam pana — myśl

tylko o sobie — zapomnij o nas i o księciu i o mnie. Wszak pan wiesz:

Czyż serce drużby szczérego,
Towarzysza więziennego
Od ucieczki wstrzymać zechce....

Wiersze te wyrwały się z ust Jadwigi; ona chciała niemi dowieść, że panowała nad sobą, że umiała podtrzymać swe siły, choć tak drobną cytatą, ale słowa poety brzęknęły po strunach uczuć własnego jéj serca, ostatnie słowo umarło na ustach oblane łzą, któréj już wstrzymać nie mogła. Uderzyła konwulsyjnie konia szpicrutą, koń drgnął i rzucił się naprzód galopem; w téj saméj chwili koniuszy wyjechał z za skały. Dytrych przejechawszy cały las i zbadawszy okiem całą przestrzeń drogi od lasu do zamku, przekonał się, że jego pani pojechała drugą drogą i w téj właśnie chwili, puścił przed sobą Jadwigę i doktora i jechał za nimi. Ale napróżno skrócił dwadzieścia kroków jak mu nakazywała etykieta, napróżno nadstawiał ucha, żeby uchwycić każde słowo, choćby nawet dźwięki ich głosu.

Patrząc na Jadwigę zdawać się mogło, że była wyłącznie zajęta drogą — ani słowem, ani wzrokiem nie szukała odpowiedzi towarzysza, który milczący jechał tuż koło niéj. Zresztą cóż on mógł odpowiedzieć? że pojedzie, kiedy serce jego, ona o tém wiedziała, było najsilniéj przeciwne temu postanowieniu, bo mu mówiło: „nie mogę jechać i jeżeli mógłem był kiedyś, to dziś już zapóźno!“

Herman wściekał się sam na siebie, że nie ma siły ani woli do postanowienia, że oderwać mu się niepodobna i że nawet nie potrafiłby ścisnąć konia ostrogą, przeskoczyć płot i zginąć w przepaści.

Tak wyjechali na bitą drogę i minęli dom zejezdny „pod trzema minogami“. W drzwiach zajazdu stało kilku przejezdnych, którzy zaczęli pytać lokaja, czy to nie książę z księżną przyjechali. Lokaj objaśniał ich, że księżna zmarła już lat temu dwadzieścia pięć i że ta pani.... ot tak sobie pani, żona księcia w morganatycznym związku; ten pan zaś który jechał z nią, to doktór, bardzo dobry, uczciwy usłużny człowiek, który każdemu rad dogodzić i wszyscy go kochają, choć on nie tutejszy, tylko Hanowerczyk.

Tymczasem Jadwiga i doktór nie mówiąc więcéj ani słowa wciąż galopowali — aż na dziedziniec zamkowy. Herman zeskoczył z konia i podał jéj rękę — podziękowała mu skinieniem głowy, nie podniosłszy oczu, i znikęła w drzwiach zamkowych.

ROZDZIAŁ III.

— Znowuż zpłatałeś jakieś głupstwo — skrzeczała nad głową nieszczęśliwemu naczelnikowi kancellaryi jego szanowna połowica, idąc z nim aleją winogradową, po za którą z iednéj i drugiéj strony zasadzone były szparagi. Córka ich Eliza, w oczekiwaniu gości, zapalała lampy na stole nakrytym już do obiadu i wyniesionym na taras przed dom.

— Ależ łapeczko moja, podniósł żwawo naczelnik kancellaryi.

— Pozwólże mi choćraz skończyć, mówiła zgryźliwym tonem żona. Jeżeli jesteś takiego zdania, jeżeli istotnie przeznaczasz ją doktorowi, trzeba było dać poznać delikatnie von Cejzlowi, żeby się go pozbyć na dzisiejszy wieczór, rozumiesz? To prawdziwe skaranie boże, że ty nigdy nie chcesz robić tego co należy i sam nie wiesz czego chcesz. Wczoraj przecie mówiłeś mi jeszcze, „że gdyby von Zeizel chciał pisnąć słówko“, a dziś!

— Ależ łapeczko moja, spróbował przerwać mąż.

— Ależ dajże mi powiedzieć choć jedno słowo!... Dziś ci w głowie znów co innego i mówisz „że gdyby doktór pisnął tylko słowo“ a zmieniłeś zdanie tylko dla tego, że cię książę spytał, w jakich my stosunkach z doktorem. Jutro może cię znów spyta w jakich my stosunkach z von Cejzlem.

— Ależ to niepodobna, wtrącił naczelnik kancellaryi.

— A zkąd ty to wiesz? w jaki sposób możesz wiedzieć, że jemu niechodziło o to, że pomiędzy doktorem a nami nic nie ma? i że może byłoby mu bardzo przyjemnie dowiedzieć się, że i z panem von Zeizlem także nic nie ma, że jeżeli on, jednem słowem....

— Jednem słowem? zapytał zdziwiony radzca. Żona urwała i spojrzała niespokojnie ku tarasowi.

Eliza właśnie wchodziła do domu.

Pani Ifler schwyciła swego męża pod rękę ale z takim zapałem, że biédne serce naczelnika zaczęło walić jakby młotem pod białą kamizelką.

— Tam u wielkiego ołtarza, już ja to wiem, inaczéj rzecz się ma, jak wy utrzymujecie. Szczęściem, że ja mam oczy nie od proporcyi w głowie i że sama się odrobinkę domyślam; a stary Gleih, przecież on także nie bez kozery taki tajemniczy. Jabym ci coś powiedziała Ifler, ale na miły Bóg słuchaj tylko i zrozum choć raz, jedyny raz w życiu.

Dzisiaj rano Eliza poszła tam, żeby grać z nią na cztéry ręce; w przedpokoju nie znalazła nikogo, ktoby ją mógł oznajmić, więc

prosto weszła 'do sali. Ona siedziała przed otwartym fortepianem, zakrywszy oczy rękami. Liza myślała, że ona zasnęła nad nutami i dlatego podeszła cichutko, ale ona podniosła głowę. — Twarz jéj była zalana łzami. Spostrzegłszy Lizę zarumieniła się cała, ale natychmiast roześmiała się i powiedziała jéj, żeby się nie dziwiła temu wzruszeniu, bo sama niewié jakim sposobem i dla czego, ale grając jakiś tam kawałek rozrzewniła się strasznie. Liza twierdzi, że tam była inna przyczyna; bo przecież niepodobna, żeby ktoś płakał od muzyki; i właśnie w jaki kwadrans napadł ją niby to ból głowy, prosiła więc Lizę, żeby przyszła innego dnia.

— Ale ty widzę nic a nic nie słuchasz Ifler?

— Ależ słucham, słucham — odpowiedział radzca, tylko nic nie rozumiem.

— Poczekajże chwilkę, mówiła daléj. Liza tedy poszła, a ponieważ miała czas, poszła tedy w około, żeby przejść przez park. Tym więc sposobem idąc ku rzéce i myśląc coby to wszystko miało znaczyć, aż tutaj przechodząc koło łabędziéj skały — wiesz przecie naprzeciwko leśnéj ścieżki, gdzie droga tak wązka, — cóż widzi, siedzącego w grocie księcia; kapelusz jego leży obok na ławie a twarz zakrył rękoma, jota w jotę jak tamta przed nutami — Lizie wypadało iść koło niego, przelękła się strasznie i nie wiedziała sama co robić, aż tu książę podnosi głowę i patrzy na nią. Liza przysięga, że oczy jego były pełne łez, tak samo jak u tamtéj, a wyraz miał taki dziwny, że nawet opowiedzieć tego nie potrafi. Rozumie się, że książę zaraz twarz rozjaśnił i zaczął rozmowę o pogodzie, pytał zkąd szła i tym sposobem szedł z nią aż do brzegów Rody, aż do budki, gdzie stoi warta u drzwi parku, a mówił o samych dziwnych niepojętych rzeczach, że on zna tylko jedno nieszczęście, — kiedy nikt człowieka nie kocha, — że jak Liza wyjdzie za mąż, naturalnie, że będzie kochała swego męża, bo ona taka dobra, taka szlachetna dziewczyna; a kiedy Liza, żeby przecież coś odpowiedzieć, powiedziała, że nigdy nie pójdzie za mąż, on zatrzymał się i patrząc na nią dziwnym wzrokiem mówił: że ona powinna iść za mąż, bo jéj mąż, będzie niezawodnie z nią szczęśliwy. To powiedziawszy — uścisnął jéj parę razy rękę i wrócił powoli. Liza powiada, że parę razy jeszcze stawał i obcierał oczy chustką. Czyż to wszystko nie dziwne?

— Bardzo dziwne, zauważał radca. — Ale cóż ty z tego wnosisz?

— A to, odpowiedziała radczyni; — że ja mam słuszność, że dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie. I że kto wié, co się stać może.

— Tak, zapewne; mówił radzca, ale....

— Ty mię zadręczysz twojemi ale — oprysnęła radczyni męża. Jużem oddawna przecie powinna wiedzieć, że ty nie masz odrobiny miłości dla naszego dziecięcia. Samże mi sto razy mówiłeś, że książę tak jakby nieżonaty — bo król nie dał pozwolenia na ich szlub, więc mogą każdéj chwili rozłączyć się bez rozwodu, a pamiętasz jak przeszłéj zimy na balu wszyscy to zauważyli, że rozmawiał z Lizą więcéj jak pół godziny. A powiedzże mi, czém to nasza Liza gorsza od niéj? śpiéwa — gra na fortepianie — czyta po francuzku i po angielsku, pisze wiérsze, czémże ona gorsza od jakiéjś tam pani, któréj nieznane ani urodzenie, ani pochodzenie — i żeby Lizę ubrać w ciemno-zieloną aksamitną suknię, powiadam ci, żeby wyglądała jak księżniczka. Że nie umié jeździć na koniu, nie wielka w tém biéda. Nie umié, ale będzie umiała, już ja się o to postaram. Przypomnijno sobie, że przecież mój ojciec był nadwornym kaznodzieją, ale co w tobie, zawsze przebija się syn pisarza małego miasteczka: jabłko niedaleko pada od jabłoni.

I udarowawszy męża pogardliwym wzrokiem ruszyła ku domowi, zkąd dochodził donośny głosik von Zeizla, który tylko co przyszedł i rozmawiał z Lizą.

Radzca stał jakby rażony piorunem; błyszczący horyzont przyszłości, który przed chwilą pokazała mu żona, oślepił go do reszty. Przeczuwał, że cały plan, którym zachwycała się żona, był w najwyższym stopniu głupi, dziki i niemoralny. Poprawił okulary i spojrzał na zamek. Tam w oknach od ogrodu świeciły się jeszcze ostatnie promienie zachodzącego słońca.

— Biorąc rzeczy ściśle, prawda, że oni nieżonaci mruczał radzca, a Liza ślicznieby wyglądała w ciemno-zielonéj aksamitnéj sukni.... Cóżby jéj szkodziło nauczyć się jeździć konno.

— Papo! papo — rozległ się miły głosik dziewiczy prawie nad samem jego uchem.

Radzca ocknął się ze swych marzeń.

Przed nim stała Liza, blade jéj policzki pokraśniały, a niebieskie oczka jaśniały jakiémś szczególném światłem.

— Cóż ty tak stoisz tutaj papo? pan Cejzel już oddawna tutaj i opowiada takie śmieszne anegdoty i doktor Gorst także przyszedł. Co ty się na mnie tak dziwnie patrzysz papo? Czy ci się nie podoba moja suknia? a przecież pan von Cejsel nagadał mi o niéj samych tylko komplementów.

— Tyś warta moje kochanie chodzić w jedwabiach i aksamitach, zaczął radzca rozstrójonym głosem.

— Co ty mówisz papo?

— Biedne niewinne dziecko! biedna dziecina! mruczał radzca przyciągaiąc Lizę za rękę i całując ją w czoło.

— Ach Boże mój! papo! ty zemniesz mi kołnierzyk, zawołała gniewnie Eliza — wyrwała się z ojcowskich objęć i pobiegła do domu.

— O! święta niewinności! mówił powoli radzca poprawiając kołnierzyki. Dziwne położenie, godne uwagi położenie.

Dwóch kawalerów do wyboru — a w perspektywie....

Trzeba się trzymać w pozycyi wyczekującéj — nie ma się co spieszyć — należy poczekać ze stanowczém zdecydowaniem się, należy koniecznie czekać.

Towarzystwo zebrane w domu radzcy, siedziało przy kolacyi. Pan von Zeizel opowiadał najzabawniejsze anegdoty: rozprawiał z ożywieniem i od czasu do czasu, nócił swoim miłym tenorem nowe, a takie ładne piosenki, które sam skomponował i podłożył do nich muzykę, że serce Elizy rwało się w stronę, gdzie siedział miły kawaler, podkręcający z fantazyą swego jasnego wąsika. Liza jednak sama jeszcze nie wiedziała, coby jéj przyszło odpowiedzieć von Zeizlowi, gdyby stanowcze zapytanie, zjawiło się wcześniéj z surowych i obrosłych ciemnemi wąsami ust ponurego doktora.

Po jéj ojcu doktór był bez wątpienia najważniejszą osobą nietylko w zamku Roda, ale i w całém miasteczku Rotebull, w całéj okolicy doliny Roda, nawet w porozrzucanych leśnych wioseczkach mówiono z poszanowaniem: „nadworny medyk“ prześliczny tytuł a również dobrze brzmiący: „żona pierwszego medyka“, tém bardziéj, że pan von Zeizel, przy niewielkiém utrzymaniu kamerjunkra, które miał od dworu (a inszych resursów nie posiadał) — nie byłby w stanie nabyć takiéj własności, lub stanąć w takiéj pozycyi, któraby równoważyć mogła tytuł: „żony pierwszego medyka“.

Eliza przyjęła więc za zasadę w postępowaniu z obydwoma kawalerami być równie ujmującą dla jednego jak i drugiego i choć jéj to przychodziło nie bez pewnéj trudności — utrzymywała się jednak na téj stopie, sądząc, że nawet takie postępowanie podoba się rodzicom.

W téj chwili była także panią całéj swéj uwagi: z doktorem niezwyczajnie dziś ponurego nastroju, mówiła o trudnościach lekarskiego powołania i w téjże saméj chwili — z przebiegłością skończonéj dziewczyny, odpowiadała na żarty von Ceizla. Grając z prawdziwém zadowoleniem tę tak trudną rolę, zdziwiła się niepomału, ujrzawszy oblicze swéj matki nachmurzone, głowę w ruchu, oczy mrugające na nią, słowem pokazującą jéj, że postępowanie to jest niestosowném, a ojciec, u którego zmięszana szukała wzrokiem

pomocy, odpowiedział jéj temiż samemi mruganiami, kiwaniem głowy i najeżonemi brwiami.

Eliza starała się zmienić nastrój, śmiała się z melancholiczności doktora i zrobiła zręczną uwagę von Cejzlowi, że winien być poważniejszym, tak jak na mężczyznę przystało. Ale widać biedna Liza, straciła instynkt dogodzenia rodzicom. Znaki nieukontentowania matki przybierały coraz trwożliwszy charakter, a brwi jéj ojca zdawało się, spotkają się z peruką. Nie wiedząc sama co robić, Liza zupełnie umilkła i nie sprzeciwiała się nawet matce, gdy ta oświadczyła że miłe jéj dziecko cały dzień cierpiało bardzo na głowę a więc czas udać się na spoczynek.

Von Cejzel rozgorączkowany, zauważył wreszcie że tak piękny wieczór nie należało kończyć tak smutno i wartoby wypić specyalną buteleczkę za zdrowie pięknych dam. Doktór był tak chmurny, że prawie nie zwrócił uwagi na wyjście kobiét. Radzca pomimowoli musiał wyciągnąć butelkę i zabrać się do wypicia jéj z młodymi ludźmi.

— Bardzo jestem szczęśliwy, mówił von Cejzel, że możemy jeszcze spędzić chwilkę razem, cały wieczór zbierałem się pomówić o pewnéj rzeczy, ale mi jakoś nie wypadało przy damach. Na miły Bóg, powiédzcie mi téż panowie, jeżeli możecie — co miało znaczyć to dziwne nastrojenie — w rozmowie księcia z żoną dziś rano?

Radzca, którego pożérała straszna ciekawość o rozwiązanie téj zagadki, kiwał tajemniczo głową. Herman powstał żywo z krzesła i zaczął chodzić tam i napowrót ścieżyną przed tarasem.

— Czyli mówiąc inaczéj, choć to zawsze na jedno wychodzi *hinc illae lacrimae*, jakeśmy kiedyś mówili w szkole. Trudno zrozumieć z jakiego powodu jego książęca Mość zaprosił właśnie gości w chwili, kiedy to było tak *contre coeur* jego żonie?... Przecież życzenia jéj były mu zawsze prawem; istotnie co do zaproszenia, nie widzę żadnéj ważnéj przyczyny. Pojmuję że Jego Książęca Mość musi zwracać pewną uwagę na hrabiego, bo przecież on jest jego następcą — ależ nie widzę żadnéj konieczności tych odwiedzin. Domyślić się w żaden sposób nie mogę, dla czego książę robi takie zabiegi o uporządkowanie téj Tirklickiéj sukcessyi, bo jeźli dla podupadłego pruskiego hrabiego cztery czeskie wioski stanowiące całą jego spuściznę — są przyzwoitą posiadłością, to dla Jego Książęcej Mości jest to prawdziwa bagatela. Pan jako radzca kancelaryi — musiałeś już mieć prawdopodobnie ważne rokowania w téj materyi. Kawaler zamilkł — widocznem było jednak, że żaden z obecnych nie chciał albo nie mógł odpowiedzieć na jego pytania.

6

— Panowie jak widzę, okrywacie się także płaszczykiem tajemnicy, mówił śmiejąc się szyderczo kawaler. Wcale to niestosowne z waszéj strony, prawdziwie nie macie panowie powodu kryć się przedemną gdy idzie o pewne kwestye.

— Ależ panie Cejzel, jakże pan możesz przypuszczać podobne rzeczy, odparł radzca. Któż może więcéj odemnie dbać o tę solidarność, która nas łączy z osobą najmiłościwszego naszego panującego? kogóż więcéj odemnie mogą obchodzić te niespodziewane odwiedziny?

— Kogo? przerwał mu von Cejzel, z obłudnym uśmiechem— Mnie się zdaje... że żona księcia....

— Czy nieczasby było już do domu, wtrącił Herman podchodząc do stołu.

— Poczekaj pan chwilkę — prosił von Cejzel, chcąc wstrzymać Hermana. Zakładam się, że i pan, panie doktorze, djabelnie byłbyś ciekawym dowiedzieć się, dlaczego nasza piękna pani, zwiesiła tak smutnie od pewnego czasu prześliczną swą główkę i dlaczego czarowne jéj oczęta tak posmutniały od chwili odebrania wiadomości o śmierci młodego hrabiego Kazimierza Tirklica i o przejściu sukcesyi na Szteinburga. Zdawałoby się, że ją niepowinno bardzo obchodzić kto tam po kim nastąpi, — Tirklicka czy Szteinburgska dynastya? Ale tutaj wszechstronnie rzecz biorąc, muszą grać rolę jakieś osobiste powody, ale jakie? Już to nikt nie potrafi lepiéj nas w tym względzie objaśnić, od naszego szanownego gospodarza, który był w Wissbaden i widział od początku do końca całą sprawę.... No bądźno pan szczerszym szanowny radzco! przecież my tu wszyscy swoi! czy istotnie prawdą jest, że Jego książęca mość, chciał w początkach zawrzeć związek prawowity i że mu Szteinburg wszystko zakłócił?

— W życiu naszego miłościwego pana była stanowcza chwila, zadeklamował radzca, pociągając wina z kieliszka.

— Ach ja przepadam za stanowczemi chwilami, zawołał kawaler, — kochany radzco, błagam cię, zaklinam cię, na księżyc który tak uroczo przez te bluszcze na nas spoziera, na słowika, który tak zachwycająco śpiewa w parku, nieoceniony radzco — zmiłuj się! opowiedz nam o téj stanowczéj chwili w życia naszego księcia.

ROZDZIAŁ IV.

Von Cejzel zanadto serdecznie tego wieczora chodził koło butelki, co mu niepozwoliło zwrócić uwagi na dziwny wyraz jaki oblekła twarz doktora, kiedy on mówił o żonie księcia. Herman przechodził przez lód i ukrop, zdawało mu się występkiem zostać i słuchać téj rozmowy, ubliżającéj drogiéj dla niego kobiecie. Ale widział zarazem, że zdradziłby i siebie i ją gdyby nieumiał zachować pozorów spokoju i nie zwracał uwagi na okoliczności, które tak mało obchodziły jego towarzyszów. Co do radzcy, ten był nad wyraz szczęśliwy, że rozmowa przyjmowała tak pomyślny dla niego obrót. Od rana trafiały się mu tylko same pudła, czuł że nadchodziła chwila odwetu, w któréj będzie mógł błysnąć swoją przenikliwością. Radzca ważył cały wieczór w swéj myśli historyą tego dziwnego związku o którego wyjaśnienie obecnie go proszono; związek z tak dziwnym początkiem, że wątpić nienależało o jego tragicznym końcu, radzca uczuł niewypowiedzianą chęć wylania swoich spostrzeżeń w rozmowie i miał nadzieję, że w niéj znajdzie myśl przewodnią zagadki, która ćwiekiem siedziała mu w głowie, a którą przed kilkoma godzinami, ukochana żona obdarzyć go raczyła. Poprawiwszy więc kołnierzyków radzca odkrząknął poważnie, położył pulchną dłoń na stole i tak zaczął: spodziewam się panowie, że znacie mój promemoryał.

Herman oparł głowę na ręku i nie odpowiedział, von Cejzel skłonił głowę.

— Pytam się panów o to z pewnym zamiarem, mówił daléj radzca. A chociaż dokument był napisany według wskazówek prawa i pod kierunkiem Jego Książęcéj Mości, jednakże mogę sobie przypisać honor autorstwa, ponieważ uczone motywa i redakcyjna praca, mojem jest dziełem. Memoryał ten wydany w roku 1867, to jest wtedy, kiedy kierunek wypadków usprawiedliwił już nasze przepowiednie, ale był on właściwie napisanym w roku 1866 zaraz po wojnie i przed wyjazdem Jego Książęcéj Mości do wód, który to miał sprowadzić takie ważne dla nas wszystkich następstwa. Wspominam o tych drobnostkach jedynie dlatego, żebyście panowie zrozumieli że następne zdarzenia, zupełnie nie miały wpływu na naszego panującego; przeciwnie, właśnie wtedy kiedy cały świat chylił głowę przed złotym cielcem powodzenia, książę tem więcéj był przejęty świętością i nienaruszalnością praw własnych. Przyjechaliśmy do Wissbaden i dowiedzieliśmy się ze zdziwieniem, że mieszkanie, które

książę od dwudziestu już lat, podczas sezonu zajmował, zostało wynajęte pewnéj rodzinie przybywającéj z Berlina, jakiéjś generałowéj hrabinie Turłow z córką i towarzyszką. Właściciel domu zawiadomił nas uprzejmie, że przygotował dla księcia cały szereg pokoi nierównie lepiéj położonych i umeblowanych z wielkim komfortem. Uwaga ta wcale mię nie zadowolniła, bo książę nie potrzebował przecież jeździć po wodach, żeby mieć mieszkanie urządzone z komfortem!... Glejh który zawsze towarzyszy Jego Książęcéj Mości oburzył się strasznie na gospodarza, ja dorzuciłem także słów parę, ale książę gorzko się uśmiechnął tylko i zauważył, że całe to zdarzenie jest wyrazem ducha czasu, że teraz stare rodzime prawa w kąt poszły — że stare ustąpić dziś musi nowemu, że nowe sito na kołek a stare pod ławkę — a tém bardziéj gdy to nowe z Berlina pochodzi, a wreszcie, że się nam należy co prędzéj przyzwyczaić do podobnego porządku rzeczy. Żartował również w podobny sposób wieczorem, gdym miał honor pić z nim herbatę; w toku rozmowy przyszła kolej i na naszych przybyszów z Berlina, którzy zabrali nam mieszkanie. Pan wiesz dobrze kochany panie von Cejzel, że mi jest nieobcą heraldyka wszystkich domów szlacheckich w Niemczech, nie trudno mi więc było odpowiadać na zapytania Jego Książęcéj Mości. Turłowy nie wiodą swego pochodzenia z najstarszych rodzin szlacheckich; nie było o nich ani słychu ani śladu, kiedy naprzykład imię pańskiéj rodziny von Cejzel spotykać było można na kartach wspomnień rycerskich i turniejowych....

— Pomimo to rodzinie Turłowów nierównie lepiéj się wiodło jak naszéj — zauważał wzdychając kamerjunker.

— Ani słowa, jednakże wszystko zależy od zapatrywania się na te rzeczy, odpowiedział radzca. Turłowy wiele razy posiadali znaczne fortuny, do ich rodu nawet należały duże rycerskie osady; dom Brandeburski, któremu w ciągu ostatnich trzech stuleci służyli, nieraz ich obsypał swemi łaskami. Pomimo to nigdy prawie nie zostawały długo w ich rękach spadkowe mienia; ledwie który się wzbogacił, zaraz syn jego puszczał z dymem ojcowiznę i schodził przykładem dziada na biédaka.

Z tych to powodów w prowincyi z któréj pochodzi ród Turłowów jest przysłowie: „goły jak Turłow“, tak jak w innych miejscach mówią znowu: „goły jak szczur kościelny“. Słowem Turłowy przedstawiają typ młodego, w wojnach biorącego początek szlachectwa, które może tylko kwitnąć przy dworze takich zażartych zwolenników wojennéj wrzawy jak są Hohenzolerny, gdzie wszystkie zmiany feodalnego pana odbijają się jak w zwierciedle na jego wazalach....

— Mów pan co chcesz, ale to wcale niezłe życie, zamruczał von Cejzel podkręcając wąsika.

— Zupełnie się zgadzam, pospieszył dodać radzca, tego zdania jest i nasz książę, który najlepiéj umie oceniać wierność sług własnych. Wieczora więc tego o którym mowa, książę słuchał z ciekawością, opowiadań moich o rodzinie Turłowów, a szczególnie historyę Hansa von Turłowa, który w czasie siedmioletniéj wojny tak się odznaczył, że Fryderyk nadał mu tytuł hrabiego, a pamiętniki armii pruskiéj dotąd go wspominają, Równie walecznym był zabity pod Sadową ostatni hrabia Turłow, dzielny kawalerzysta, nad którego zgonem ubolewał sam nasz książę. Jego ks. Mość w swojéj nieograniczonéj dobroci raczył na drugi dzień uprzejmie rozmawiać z wdową, niezważając na to, że mąż jéj bił się za niesłuszną sprawę, ale na to, że poległ w boju dzielny oficer i wierny wazal swojego monarchy.

Pomówiwszy tak jeszcze ze mną to o tem, to owém, Jego ks. Mość pozwolił mi oddalić się, spałem wybornie téj nocy i nie przeczuwałem co się nazajutrz stać z nami miało. Wreszcie któż mógł przewidzieć, takie dziwne i niezwyczajne zdarzenia. Od wielu lat już służąc u księcia, wiem z jaką ostrożnością zawiera on stosunki, a mianowicie w podróżach i na wodach, jak zwykle stroni i unika towarzystwa. Naturalnie że jenerałowa Turłowa nazajutrz oświadczyła chęć, przedstawienia się Jego ks. Mości.

Przedstawiłem tedy hrabinę i jéj córkę księciu — a ta z uprzejmością przepraszała za zrobioną mimowoli przykrość. W innych okolicznościach, ta prezentacya byłaby się skończyła zimnym ukłonem księcia na przechadzce. Tutaj inaczéj się stało i wierzcie mi panowie, nawet teraz, gdy posiadam już klucz tego dziwnego zjawiska, nawet teraz zdaje mi się rzeczą niepodobną, a jednak tego samego wieczoru piliśmy już herbatę w naszym salonie z hrabiną.

Po tym wieczorze przeszło innych wiele, któreśmy spędzili razem to w salonie to na wycieczkach. Nie mogłem się wydziwić usposobieniu księcia choć błogosławiłem mu w duszy, bo ono zmieniło i rozweseliło nasze zwyczajnie monotonne życie u wód. Jego ks. Mość zrobił raz delikatną uwagę hrabinie, żeby była ostrożniejszą w zawieraniu znajomości; hrabina zastosowała się do uwag księcia z taką skwapliwością i robiła tak trafny wybór w znajomościach, że sam książę nie byłby umiał lepiéj znaleźć się w tym względzie. Ta delikatność ze strony hrabiny, nabierze jeszcze więcej w oczach panów wartości, skoro wam powiem, że podówczas u wód, było bardzo wiele zgromadzonéj szlachty pruskiéj, a szczególniéj oficerów, którzy przybyli do wód, po skończonéj dopiero wojnie,

żeby pokrzepić zwątlone trudami siły. Tym panom byłoby bez zaprzeczenia bardzo miło, spędzać wieczory w towarzystwie tak przyjemnych dam, tém więcéj, że wielu z nich znało osobiście albo hrabinę albo jéj męża. Pomimo to jednak, prawie nikt z téj szlachty i tych oficerów, nie otrzymywał zaproszenia hrabiny.

W ten to sposób przeszło nam szczęśliwie siedem dni, ósmego rano przychodzi do mnie rozdrażniony książę i mówi:

— Trzeba mi będzie z tąd wyjechać — przyjeżdża bowiem tu ten pan, z którym niemogę zostać razem, u wód gdzie ciągle się trzeba spotykać.

Zgadnijcież panowie kto?

Tym panem był właśnie hrabia Rode-Steinburg; ale co gorsza hrabia przyjeżdżał do wód — nietylko dla wyleczenia się z ran otrzymanych pod Sadową, ale głównie dla zobaczenia się z naszemi paniami, a nowinę tę sama generałowa zakomunikowała Jego ks. M. Długo wahała się ona, powiedzieć księciu o tém, znała bowiem jego nienawiść dla krewnego pruskiego. Hrabia Henryk Rode-Steinburg był w ostatniéj wojnie adjutantem hrabiego Turłowa, a tém samém w przyjaźni z jego rodziną, możecie więc panowie sobie łatwo przedstawić, jakie było z tego powodu rozdrażnienie Jego ks. M. Wiecie panowie, że książę nielubi także swoich czeskich kuzynów i niema też za co, ale przynajmniéj Tirklice zawsze pozostali wiernymi dobréj sprawie. W ostatniéj wojnie z czterech, dwóch poległo w obronie cesarza i cesarstwa i tym sposobem okupiło może nie nazbyt cnotliwy żywot. Wiadomo wam także panowie, że Tirklice odznaczali się zawsze pragnieniem życia i użycia i byli bardzo burzliwego i awanturniczego usposobienia. Tymczasem hrabiowie Szteinburgi, niewyłączając i dziada Eryka XXXIV, głównego protoplastę trzech gałęzi domu Rode, zdradzili cesarza i cesarstwo, dlatego też książę nigdy nie chciał ich przyznać za swoich kuzynów, unikał rozmowy o nich, a jeżeli wypadkiem się zdarzyło, że musiał wyrazić swoje zdanie, nazywał ich poprostu zdrajcami. Pojmujecie więc panowie, z jaką przykrością dowiedział się książę, że trzeba mu będzie się spotkać z głównym przedstawicielem téj nienawistnéj dla siebie rodziny. On, co dotąd nie uścisnął nigdy ręki żadnego Szteinburga a przy teraźniejszem spotkaniu naturalnie że będzie zmuszonym, bo przecież przy ludziach niepodobna, bo przecież wszyscy wiedzą że oni krewniaki. Przykre to były panowie chwile dla księcia, a tem musiało mu być boleśniéj jak rozważył, że po śmierci dwóch Tirkliców hrabia Henryk nabierał większego prawa do sukcesyi. Co większa, hrabiowie Tirklice polegli w wojnie z któréj Henryk Steinburg wyszedł zwycięzko, obsypany łaskami, orderami przez Jego Król. M. Króla

Pruskiego, uczestnikiem wszystkich uroczystości dawanych na cześć zwycięzkiéj armii.

Muszę wyjechać — mówił książę po kilkakroć — a mimo to nie wyjechał. Zostaliśmy w Wissbaden; hrabia Henryk przyjechał niebawem i zaczął z całą starannością ubiegać się o względy reprezentanta swego rodu, spotkanie ich pierwsze było zimne, ceremonialne, ale mimo to młody hrabia niemiał powodu skarżyć się na surowość swego krewnego; panowie znacie dobrze naszego księcia, więc wiecie, że jak kogo nienawidzi, to więcéj głową jak sercem; a jeżeli jeszcze spotyka podobnego człowieka i może mu pomódz, wnet zapomina o wszystkiem i jego zwyczajna dobroć i wspaniałomyślność bierze górę.

Właśnie zdarzyło się, że nasz miłościwy pan mógł przyjść z pomocą hrabiemu w nadzwyczaj ważnéj dla niego sprawie. Należy mi tu wspomnieć niektóre okoliczności dla związku jakie one mają z następnemi wypadkami, chociaż ja o tem wówczas nic nie wiedziałem, jak również i wiele innych okoliczności, które nie były mi komunikowane dla słusznych zresztą powodów.

Hrabia Henryk był już narzeczonym hrabianki Stefanii córki generałowéj. Ale hrabia nietylko że nic nie miał, tak jak na prawdziwego Turłowa przystoi, ale co ważniéjsza, miał ogromne długi, nie mógł więc myśléć o postawieniu na przyzwoitéj stopie domu nowożeńców. Prawda, że z drugiéj strony żywo się interesowała tém małżeństwem księżniczka pruska, która znała jenerałową i która zaraz po śmierci jéj męża mianowała ją ochmistrzynią swojego dworu. Jak również należało się spodziéwać, że i król nie opuści swego wiernego sługi. Wszystko to jednak opierało się tylko na nadziejach, które nie rozjaśniały ponurego horyzontu teraźniejszości. Tegoż samego zdania był i książę i niebawem przyszedł do przekonania, że wypadało mu jako najstarszemu z rodu i dysponującemu ogromną fortuną, zająć się losem swego młodego krewnego. Być może, że zdaniem księcia w tym względzie kierowały również polityczne przyczyny, nawet sądzę, że tak było, ale co jest niezawodném była jeszcze i trzecia przyczyna (inaczéj wszystko byłoby niezrozumiałem), przyczyna ta jednak wtedy nie była mi jeszcze znaną, niepodejrzywałem jednak zupełnie, a lepiej powiedzieć, że podejrzywałem księcia, ale wcale o co innego i obawiałem się, ażeby Jego ks. M. nie obraził się czasem o to, że hrabia był zanadto uprzedzający dla hrabianki Stefanii i posuwał tę grzeczność może daléj jakby na to pozwalać mogły zwykłe towarzyskie stosunki. Téj to przyczynie przypisywałem smutek, który tak często nawidzał księcia podczas naszych wieczornych zebrań. Ale nigdy nie mógłem przypuszczać, że

wydarzy się rzecz, którą uważałem za niepodobną.... Radzca zatrzymał się chwilkę, piękna twarz von Cejzla przyjęła wyraz jaki spotykamy u wyżła, który po długich i mozolnych poszukiwaniach na trop zwierzyny znów wpada; nawet na poważnéj twarzy doktora można było wyczytać naprężoną uwagę. Radzca zdawał się być zupełnie zadowolonym z wrażenia jakie wywarł na swych słuchaczów, bo pociągnął dobry haust wina, poprawił kołnierzyków i tak ciągnął daléj:

Jednéj nocy — (długo pracowałem i miałem się już zabierać do spoczynku) — książę wszedł do mego pokoju: mówił mi, że spostrzegł u mnie światło, a że nie mógł jakoś zasnąć, przyszedł pogwarzyć ze mną godzinkę. Poprosił mię tedy o cygaro — co mnie niesłychanie zdziwiło, bo przecież panowie wiécie, że książę nigdy nie pali — następnie zapaliwszy, zaczął chodzić wzdłuż i wszérz po pokoju. Zaczynałem z nim rozmowę w rozmaitych przedmiotach, alem w żaden sposób nie mógł trafić na jego nutę. Książę był prawie milczący, zbywał mię monosylabami, tak żem i ja wreszcie, niewiedząc z jakiéj tu począć beczki, zamilkł zupełnie. Zdawało się, że książę nie zwrócił nawet uwagi na przerwanie rozmowy, chodził bez przestanku tam i napowrót po pokoju z cygarem, które już dawno zagasło, pogrążony cały w jakiémś dziwném dumaniu — nareszcie cisnął cygaro w komin i zwracając się do mnie, takie mi rzucił pytanie:

— Cóż byś pan myślał panie Ifler, gdybym ja się drugi raz żenił?

— Zaliczyłbym dzień, w którymby to nastąpiło — do najszczęśliwszych dni mojego życia, odpowiedziałem.

— A cóżby świat na to powiedział?

— Świat musiałby przyznać, że książę jak najlepiéj zrobiłeś, znów odrzekłem. Pierwsze małżeństwo Waszéj Ks. M. z księżniczką Ernestyną — nie dało ci potomstwa i teraz Wasza Ks. M. masz nader ważne przyczyny opłakiwać to nieszczęście. Któżby mógł znaleść teraz nienaturalném, że Wasza Ks. M. chcesz poprawić tę próżnię własnego życia.

— Czy niezapóźno zabieram się do téj poprawy? rzekł znowu książę.

— Zupełnie niezapóźno, twierdziłem. Wasza Ks. M. zaledwie liczysz sobie 62 lat; siły jeszcze nie osłabły a panujący dom, który już raz powierzył Waszéj Ks. M. jednę ze swych dostojnych cór, naturalnie że i teraz z radością....

— Nie o to chodzi, nie o to chodzi przerwał mi żywo książę; późniéj wziął mi ze stołu świecznik i poszedł — zostawiając mnie

zupełnie ogłupiałego — jak to sobie możecie panowie łatwo przedstawić.

Związek krwi z jednym z panujących domów mógł jedynie zrodzić się w głowie autora (memoryału o panującym hrabiowskim domu Rode). Powtórny związek księcia z jaką księżniczką krwi, był mianowicie w bieżących okolicznościach bardzo na czasie; związek ten stawał się polityczną koniecznością, ponieważ w owym czasie chodziło nam o ustalenie prawa do głosu i rady w północno-niemieckim związku: w memoryale moim, który wtedy jeszcze nie był wydanym, właśnie powoływałem się na te niezaprzeczalne nasze powody i prawa. Książę w téj chwili mógł liczyć na współczucie wywłaszczonych książąt, których interesem również było dowieść, że prawo zostaje prawem, bez względu na gwałt i przemoc....

Nie o to idzie, mówił książę wychodząc. Ale cóż? prawie całą noc okam nie zmróżył ze strachu. Z niecierpliwością oczekiwałem rana, bom się spodziewał, że książę przy herbacie da mi pewne objaśnienia.

Wbrew jednakże moim domysłom, wyjaśnień nie było; książę ze zwykłém towarzystwem był na przechadzce, z któréj wróciliśmy wieczorem. Byłem wieczorem zaproszony na herbatę do jenerałowéj. Towarzystwo było zwyczajne. Ostatnich dni towarzystwo nasze bywało więcéj ożywione.

Jenerałowa rozumna i miła kobiéta, była duszą rozmowy; hrabianka Stefania grała i śpiéwała, Jego Książęca Mość nie odchodził prawie od fortepianu, widocznie był zachwycony uprzejmością gospodyń i wynagradzał je z właściwą sobie zręcznością najwykwintniejszemi komplementami. Hrabia był coś milczący. Co do młodéj towarzyszki ona mogła milczeć, ile się jéj podoba, bo zapewne nikt na nią nie zwracał żadnej uwagi. Słowem o jedenastéj godzinie wieczorem wróciliśmy do domu, a prawie byłem przeświadczony, że wybór księcia padł na hrabiankę Stefanią, z czego łatwo było wywnioskować powody dziwnego usposobienia księcia przeszłéj nocy, mając na względzie stosunek hrabiego Henryka, z hrabianką Stefanią.

Panowie, ja nie wstydzę się mojéj pomyłki, każdy inny na mojém miejscu byłby bezzawodnie pomylił się tak samo, powtarzam więc żem nie miał i nie mogłem mieć jasnego pojęcia o sytuacyi i gdybym był dziesięć razy przenikliwszym jak jestem, to byłbym i wtedy zatrzymał się na przypuszczeniu, że książę z hrabią rywalizowali o jedne. Zostawało mi tedy rozważyć rzecz całą ze stanowiska politycznego. Bo jeżeli Jego Ks. M. decydował się zaślubić hrabiankę Stefanię, to byłto naturalnie krok nader ważny w dzisiej-

szych okolicznościach. Tym krokiem wyrzekał się drogi po któréj szedł dotąd tak sam jak i jego przodkowie. Ale okoliczności zmieniają często stan rzeczy i dla mnie samego jako dla człowieka politycznego, chociaż te wszystkie domysły były nowością — pojmowałem jednakże politykę księcia. Zdawało mi się, że jego postępek był ofiarą na ołtarzu nowego porządku. Mając wzgląd na bieg wypadków mogłem przypuszczać, że dzięki przewrotowi, który niedawno odbył się w naszych oczach i nam się uśmiechnąć może nowa era. Wielki Boże! nietylko mnie samemu ale i największym ludziom na świecie zdarzały się chwile, w których musieli się godzić z okolicznościami.

Wszystkie te uwagi i przypuszczenia napełniały mi głowę od chwili, kiedym powrócił do siebie. Zadumałem się o moim memoryale, który już był gotów do druku, a który zapewne teraz trzeba było zmienić i nawet w myśli zacząłem go już przerabiać. Było bardzo późno, a mimo to nie kładłem się spać myśląc, że może książę znów do mnie zabłądzi i da mi wyjaśnienie owéj zagadki. Przeczucie mię nie zawiodło.

Była godzina druga — (przypominam sobie wszystkie szczegóły téj pamiętnéj nocy!) — kiedy nagle usłyszałem pospieszny chód w korytarzu i gwałtowne pukanie do dzwi; zdołałem odpowiedzieć „proszę“, Jego Ks. Mość stał już przedemną. Nie zapomnę nigdy téj chwili. Parę godzin wcześniéj widziałem go we fraku, rozmawiającego z damami, uśmiechał się z tą powagą i słodyczą zarazem, która zwykła cechować wyższych ludzi, a która jemu jest tak do twarzy; teraz był bez krawata, koszula na piersiach rozpięta, rozczochrane włosy, widać nie miał poczucia ani o czasie, ani o miejscu, czém są zwykle dotknięci wszyscy lunatycy.

Jak lunatyk ze zmienioną twarzą i nieruchomym wzrokiem, zaczął chodzić ponury po pokoju nie mówiąc do mnie ani słowa — i byłby niezawodnie wyszedł znowu nie przemówiwszy ani słowa, gdybym był go nie zaczął prosić i błagać o przerwanie tego nieznośnego milczenia i o zaszczycenie zaufaniem starego i oddanego mu sercem sługi. Pozwoliłem nawet sobie zrobić mu uwagę, że podzielam najzupełniéj jego obawy, ale że również z całą uniżonością i z silném przekonaniemośmielam się być za jego wyborem, który usprawiedliwić się daje obecnym politycznym nastrojem Niemiec.

— To mnie cieszy mówił, — tém więcéj cieszy, żem się tego po panu nie spodziewał.

— Związek Waszéj Ks. M. z hrabianką Stefanią zacząłem znowu....

— Pan żartujesz? krzyknął książę, podskoczywszy na krześle jakby ugodzony przez gadzinę, przed chwilą bowiem usiadł zmęczony. Co pan tam mówisz o hrabiance Stefanii! ona wychodzi za hrabiego Henryka, to już zupełnie skończone, jeszczem wczoraj ostatecznie wpłynął na to, robiąc wszystkie ustępstwa memu wnukowi. Powiadam panu, że skończone, zupełnie skończone. Dla nich przynajmniéj! ale dla mnie.... o mój Boże! mój Boże!

Możecie panowie sobie wyobrazić mój przestrach! nawet mu myśl przychodziła, że książę dostał pomięszania... Pan śmiejesz się, kochany panie Cejzel a jestem pewny, że gdybyś był na mojém miejscu jeszcze więcéj straciłbyś głowę. Jest temu godzina pan straszyłeś moje kobiety, pokazując im światło z tyłu zamku i utrzymując, że to jest łuna pożaru, a teraz kiedy księżyc zeszedł i świeci nam nad głową, naturalnie że panu łatwié jutrzymywać, że nie było żadnego pożaru i że światło pochodziło od ksaiężyca. Kto dziś widuje żonę księcia w ciemno-zielonéj aksamitnéj mazonce na koniu, lub w białej bengalowéj sukni z dyademem na czole podczas balów zimowych, ten naturalnie, że nie pozna owéj skromnéj siedemnastoletniéj, ubranéj w czarną sukienkę dzieweczki, która na wieczorach u hrabiny stała za samowarem i nalewała herbatę — a otwierała usta tylko wtedy, gdy ją się o co pytano. Któż mógł przypuszczać że to ona oczarowała naszego księcia, zazwyczaj nieśmiałego, a zawsze ostrożnego i niedowierzającego w stosunkach z kobietami. Już to moi panowie tylko potęgą czasów mogę sobie wytłumaczyć te dziwne zdarzenia. Bo proszę sobie wystawić, z jednéj strony córka jakiegoś tam sierżanta, który wyszedłszy do dymisyi, był coś tak w rodzaju burgrabiego w domu jenerała, — dziewczyna (mówię z przyjaciołmi na których dyskretność liczę), — którą niepodobna było stawiać wyżej od zwykłéj panny dworskiéj i która pod on czas zajmowała jakieś nieokreślone stanowisko, między panną dworską a towarzyszką hrabianki Stefanii; a z drugiéj strony nasz szlachetny książę, potomek wielkiego rodu kwitnącego już od lat tysiąca, książę który mój memoryał miał zakomunikować wszystkim gabinetom Europy, w którym to memoryale wyjaśnione były prawa do miejsca i głosu w radzie panujących niemieckich. Teraz zostawiam wam panowie możność zrozumienia, mego nieopisanego podziwu, kiedym się przekonał, że niepodobieństwo staje się rzeczywistością, że nasz Najmiłościwszy książę, ma zamiar wziąść te dzieweczkę za żonę.

Otóż to nie zwyczajne i dziwne to zdarzenie, kochany panie Cejzel, nazwałem stanowczą chwilą w życiu naszego księcia. A ponieważ jestem człowiekiem pojmującym święte obowiązki za-

ciągniętego długu wdzięczności, postanowiłem więc w téj trudnéj chwili wypowiedzieć uniżenie Jego ks. Mości moje zdanie, że postępku takiego niebędzie w stanie usprawiedliwić ani przed Bogiem, ani przed samym sobą, ani przed pamięcią dostojnych jego przodków, ani przed sądem ludzkim, ani przed sądem historyi, ani przed teraźniejszością.

Nie wiem, czy moje dowody miały jaki wpływ na księcia, ale zachowałem jeszcze w zapasie jeden z najważniéjszych argumentów.

— Z tych to powodów, raczy zważyć Jego ks. Mość, mówiłem, że związek ten jest stanowczo niepodobnym, bo pomiędzy osobami z wyższych panujących domów i z niższéj mieszczańskiéj klasy, za. konodawstwo pruskie pozwala tylko „na związek morganatyczny.“

— Od jakiejże to chwili jest dla mnie obowiązującém państwowe pruskie prawo? krzyknął książę.

— De facto zawsze — ośmieliłem się zauważyć, a i de jure — jeźli Wasza ks. Mość sam wyrzeka się świętego obowiązku panujących, nie wchodzić w związki krwi, jak tylko z równo urodzonemi.

— Przypuśćmy, że się poddaję pruskiemu państwowemu prawu. Ale niezważając nawet na to, że artykuł „o związkach morganatycznych“ należy do artykułów spornych, przypomnę panu, że istnieje także prawo, z roku 1774 przez Fryderyka IIgo, które opiéwa, że podoficerowie, sierżanci i feldfeble armii, zaliczeni być mają do wyższego mieszczaństwa. Tym więc sposobem i ze strony pruskiego państwowego prawa, co do mego związku żadnych przeszkód nie widzę. —

Zgódźcie się panowie, że to była stanowcza chwila w życiu naszego miłościwego księcia. Mówiłem już panom, że książę téj nocy miał jakby pomięszanie zmysłów, a co pewna, że był w nienormalnym stanie; nigdy mi się nie zdarzyło widzieć go podobnie wzburzonym od chwili jak go poznałem, a i późniéj dzięki Boug niewpadał już w te paroxyzma. Po wielu trudnościach udało mi się przecież trochę go uspokoić.

Uwaga jego o związkach morganatycznych dowodziła, że o tém myślał, postarałem się więc wyciągnąć z tego pewną korzyść. Przeciwko podobnemu związkowi, naturalnie nic nie miałem, ale przeciwnie zaraz na razie zacytowałem mu przykład podobnego związku w jego własnéj familii, a następnie poszperawszy trochę w dokumentach znalazłem, że i drugi z jego przodków był żonaty w tenże sam sposób.

— Ona się na to nigdy nie zgodzi, zauważył książę.

— A czy Wasza ks. Mość już jéj to przedstawiłeś?

Tutaj już książę nie mógł inaczéj się wykręcić, jak robiąc mi pewne zwierzenia, co do stosunku jego z młodą panienką — w których to istotnie było wiele rzeczy niezwyczajnych. Dowiedziałem się tedy, że książę od pierwszéj chwili rozgorzał prawdziwem uczuciem dla młodéj panienki i że za cenę pomagania hrabiemu Henrykowi w ożenieniu się z hrabianką Stefanią, myślał wyjednać sobie pewne ustępstwa, w połączeniu się z młodą towarzyszką hrabianki. Przy zwykłéj swéj nieśmiałości i skromności w stosunku z kobietami, byłby nigdy się nie ośmielił pomówić otwarcie z młodą dziewczyną, gdyby przypadkiem nie był jéj spotkał tego samego dnia na przechadzce bardzo smutną, co naturalnie nie pomału ułatwiło mu zwierzenie. Ale jak młoda dziewczyna przyjęła oświadczenie, książę nie wiedział i nie umiał sobie zdać sprawy — z tąd to pochodziło jego wzburzenie i gorączkowy stan téj nocy.

Znalazł się on w tém położeniu, w jakiém się może znajdować człowiek mający być sądzonym w sprawie gardłowéj — przeczytano mu już nawet wyrok, ale pod natłokiem sprzecznych wrażeń taki chaos miał w głowie, że nie dosłyszał czy go uniewinniono czy skazano.

— Czyby Wasza ks. Mość nie raczył powierzyć mi téj nader delikatnéj sprawy, zaproponowałem mu ze stanowczością, Waszéj bowiem ks. Mości należałoby narażać się na odpowiedź odmowną.

Nie sądziłem, żeby odpowiedź była nieprzychylną, byłem jednak przekonania, że czas przyszedł na dyplomację, że niemożna było zawierzyć uczuciu, które jak zawsze skłonném jest do robienia omyłek. Czy książe był tego samego zdania, czy tylko sił mu do dalszéj walki zabrakło, niewiem, dość że mi dał zezwolenie, a ja nazajutrz w porze w któréj przyzwoitość nakazywała, poszedłem z wizytą do młodéj panienki.

Panowie nie możecie się spodziewać, ażebym następujące zdarzenia mógł opowiadać z całą otwartością. Przysięga i moja serdeczna miłość dla księcia nie pozwalają mi na to. Nadmienię tylko, że nadchodziła chwila ważnych i bardzo delikatnych rokowań, nigdy jednak nie prowadziłem sprawy, przy któréj traciłbym więcéj głowę.

Idąc dla rozmówienia się, byłem przekonany, że napotkam pewne trudności, ze strony młodéj panienki co do zgodzenia się na moją propozycję. Jakież niebyło moje zdziwienie, szczerze mówię, zdziwienie pełne radości, kiedym w niéj znalazł najzupełniéjszą gotowość przystania na wszelkiego rodzaju formy ale to najzupełniéjszą, tak, że otwarcie mówiąc, role nasze zmieniły się i że już zmuszony byłem przekonywać o konieczności prawnego połączenia. I pra-

wdopobnie byłoby mi się może nie udało odnieść zwycięztwa w tym nie objaśnioném dla mnie i dotąd jeszcze nie jasném zrzeczeniu się wszelkich praw i form prawnego związku, gdyby sam książę w sekretnem z nią spotkaniu nie był potrafił postawić na swojém. Jeżeli książę potrafił wreszcie odnieść zwycięztwo to bez zaprzeczenia to zwycięztwo dużo go kosztowało. I do dziś dnia widzę go jeszcze jak blady, wzburzony, rozpłomieniony wbiegł do mego pokoju, gdziem go oczekiwał i rzucił się na krzesło, ściskając rękami czoło. Widząc go w tym stanie, myślałem że wszystko przepadło. Z początku książę milczał, ale na moje usilne zapytania, westchnąwszy głąboko, tak odpowiedział: — tak, tak, ona zgadza się! jedziemy dziś jeszcze. . . koniecznie dziś wieczorem.

— Dziś wieczorem! zawołałem zdziwiony. A kościelna ceremonija, a dostojni krewni — a zgodzenie się Najjaśniejszego Pana, bo przecież żeby związek i morganatyczny był ważnym, to wszystkie okoliczności są nieodzownie potrzebne.

— Jedziemy dziś wieczorem, powtórzył książę tak cierpko, żem się nie odważył pisnąć ani słowa. Wiecie panowie dobrze o tém, że wysoko położone osoby posiadają godny zazdrości przywiléj siadać do stołu a nie troszczyć się o to, kiedy i jak go nakrywają; nam to niegodnym śmiertelnikom dostaje się w udziale ten nie zawsze smaczny kąsek. Tak się i ze mną stało, kiedy tegoż samego wieczora, książę rzeczywiście opuścił wody i udał się do Włoch ze swą młodą żoną. Pojechał z nim i Glejh i na razie wyszukana panna respektowa, a ja zostałem się w Wissbaden, żeby uporządkować delikatne sprawy. Między innemi najtrudniejszą rzeczą do spełnienia, było powiadomienie tych dam i hrabiego o weselu i o odjeździe. Przyznać należy, że to niełatwe było zadanie i że dla rozwiązania go trzeba było mieć dużo zręczności i umiejętnego wzięcia się do rzeczy.

Rozpocząłem od jenerałowéj. Jéj Ekscellencya hrabina matka, chociaż osoba ze wszechmiar szanowna i wyrozumiała jak już miałam honor panom mówić, wzięła jednak rzecz do serca i niemogła ukryć głębokiego wzruszenia, które zostało wywołane mem opowiadaniem tak, że musiałem użyć całego zasobu przekonywających argumentów, żeby ją przekonać, żem się w te rzeczy zupełnie nie mięszał. Hrabianka Stefania, oburzyła się jeszcze bardziéj, i wybuchnęła potokiem słów, w których pod formą delikatną, czuć było gniew a nawet pogardę. Najtrudniejszą rzeczą było zawiadomić o tém hrabiego Henryka. Kiedym mu imieniem księcia opowiadał całe zdarzenie, pobladł strasznie i kilka chwil nie mógł przyjść do słowa, późniéj żywo zawołał: „protestuję przeciwko temu małżeństwu“ i po-

wtarzał te słowa kilka razy. A zupełnie się nieuspokoił nawet i wtedy gdym mu powiedział, że związek był morganatyczny. Gdybym był niewiedział, że hrabia od kilku dni uroczyście zaręczony z hrabianką Stefaniją, byłbym niezawodnie przypuścił, że sam myślał o towarzyszce hrabianki. Naturalnie że raz poznawszy bliżéj dumnego hrabiego, myśl podobnego związku| nie może mieć miejsca, ale wtedy hrabia był dla mnie jeszcze wcale nieznaną i niezrozumiałą osobistością, Przyznać należy, że widząc razem Jego ks. Mość i hrabiego Henryka przypuścić nawet niepodobna, że protoplastą tych ludzi jest Eryk XXXIV, i że nasz książę jest stryjecznym dziadem młodego hrabiego.

Długoletnia służba w armii pruskiéj zrobiła z tych Szteinburgów ludzi jakby jakiegoś innego kroju. Dziwna to, moi panowie ta pruska służba; jest w niéj cóś twardego, nieokrzesanego, a z drugiéj strony błyszczy układnością, grzecznością, któréj to między nami, trzeba się wystrzegać. — Miałem ja sposobność sam sprawdzić te rzeczy. Poruczając mi rozmaite układy, nasz miłościwy książę, kazał mi oświadczyć hrabiemu, że przeznacza jemu i jego żonie dość znaczne roczne utrzymanie i że bierze na siebie wypłatę jego długów. Polecił mi przytem napomknąć, ale tylko napomknąć, że byłby bardzo rad, gdyby hrabia po ożenieniu się, opuścił pruską służbę. Uwaga ta, zrobiona hrabiemu Henrykowi była iskrą padającą na prochy.

— Za żadne skarby świata nie wyrzeknę się honoru, pozostania pruskim oficerem, krzyknął hrabia. Jego ks. Mość myśli, że potrafi kupić u mnie ten honor za kilka nędznych tysięcy rocznego utrzymania.

Nieuwierzycie panowie, ale hrabia niechciał nawet przyjąć dość znacznéj summy, którą kiążę przysłał na moje ręce, dla spłacenia jego długów.

— Nic nie przyjmę od niego, mówił hrabia, ani jednego ani drugiego, obchodziłem się dotąd bez niego przy pomocy boskiéj łasce mego króla, obejdę się i na przyszłość. Pewny jestem przytém, że ta zapora niedługo mi będzie też leżała na drodze. Wierz mi pan, panie radzco — Szteinburgi daléj pociągną, jak razem nawet wzięci Rotebule i Tirklice.

Przepowiednia ta jego sprawdziła się bardzo prędko.

Pytam was panowie, któż się mógł spodziewać, że linija Tirkliców mająca przed wojną pięciu przedstawicieli, a po wojnie trzech jeszcze, niebawem będzie miała tylko dwóch, następnie jednego — a ze śmiercią młodego hrabiego Kazimierza wygaśnie zupełnie. Wyznam wam panowie, że mię dreszcz przejmuje, jak po-

myślę o tych strasznych i niepojętych wyrokach losu, a szczególniéj jak pomyślę, że jutro musimy stanąć przed samym hrabią, który ma być w niedalekiéj przyszłości naszym zwierzchnikiem i panem. Ale jeżeli te ważne zdarzenie, może działać na nas w tak dziwny sposób, to nie bojąc się obwinienia mię o nieskromność, ośmielę się powiedzieć, że do żony księcia. . .,

— Czas już do domu, przerwał nagle Herman— zrywając się z krzesła, jak gdyby budził się na raz z długiego zapomnienia w którém był pogrążony opowiadaniem radzcy.

— Zaczekajże pan chwilkę na mnie, zawołał von Cejzel, wychylając duszkiem swój kieliszek i wstając — pójdziemy razem.

Radzca nie wiedział sam co myśleć o tem niespodziewaném przerwaniu krasomówczego swego opowiadania. Zdawało mu się, że po mistrzowsku rzecz prowadził i właśnie z całym sprytem zabierał się przejść do rzeczy, którą cały wieczór miał na celu. Zaczął prosić gości, żeby zostali, ale napróżno, i nie wyszło pięciu minut, a młodzi ludzie szli już szosą, prowadzącą do zamku, opuściwszy zdumionego i niezadowolnionego gospodarza. Kawaler przebrawszy miarę w butelce, zanucił piosenkę, w któréj była mowa o niebardzo moralnym stosunku młodego pana, z mieszczańską dziewczyną. Skończywszy piosnkę von Cejzel, zatrzymał się raptownie i zaproponował doktorowi, powrócić na rozstajne drogi, koło których niedawno przeszli i tam o saméj północy przy bladym świetle księżyca skrywającego się za obłoki — wszcząć walkę na śmierć i życie — za to bóstwo, które on nazywał „die Eine, die Reine, die Kleine, die Meine“, inaczéj mówiąc, za Elizę Ifler. Ale i popęd do walki prędko go ominął i zastąpiony został powagą, a następnie rozczuleniem i otwartością; von Cejzel zwierzył się towarzyszowi z trudnością położenia swego co do stosunku z panią swojego serca.

— Widzisz doktorze, mówił kawaler, los sobie jakoś podrwiwa z Cejzlów, tak' jak i z Turłowów, a nawet i gorzéj. Od niepamiętnych czasów jesteśmy wasalami naszego lennego monarchy — a między nami i nimi taka różnica, że oni dostali od panującego tytuł hrabiowski — nasi zas panujący książęta Rote-Rotebul nie zaszczycili nas tym honorem, a nawet i nie mogli zaszczycić przy trudnych dzisiejszych okolicznościach. Naturalnie, nie zważając na to, czuję się również szlachetnym i równeż mającym prawa jak ktôrykolwiek z potomków najznakomitszéj rodziny w Niemczech; a chociaż boczne gałęzie méj familii, grzęzną coraz więcéj i więcéj w mieszczaństwie, (rumieniąc się, wyznać muszę, czego pan nie zobaczysz teraz, że jeden z Cejzlów, sprzedaje rękawiczki w Lipsku — a drugi zajmuje się wyrobem pończóch w Szemnicach) ale główna latorośl

naszego domu, bezustannie i z honorem podtrzymuje szlachecką naszą godność. Ja jestem pierwszy co mam zamiar odstąpić od téj tradycyi chcąc się żenić z córką mieszczanina. Czy należy mi to zrobić? czy mam prawo? Wypadałoby uciec się do małżeństwa morganatycznego, tak jak zrobił książę — ale co jest rzeczą naturalną dla tak wysoko położonéj osoby, to się nieudaje naszemu bratu. Nie darmo mówi poeta:

Zwischen Sünnenglück und Seelenfrieden
Bleibt dem Menschen nur die bange Wahl,
Auf der Stirn des hohen Uraniden
Schwebet ihr vereinter Strahl *).

— Do rzeczy doktorze — o naszym wybrańcu księciu. Podczas opowiadania szanownego gospodarza, kiedyś jegomość jak się zdaje najspokojniéj drzémał, mnie najdziwniejsze myśli i przypuszczenia kręciły się po głowie; naturalnie, że to były tylko przypuszczenia, ale założę się, że prostodusznemu radzcy ani śniło się o nich. Wiesz pan co, że ja prawie jestem pewny, że hrabia był główną przyczyną zawarcia morganatycznego małżeństwa. Znam dobrze naszego księcia, i wiem, że ten młodzieniec o siwych włosach, byłby przełamał wszystkie przeszkody i dopiął swego, gdyby nie szczególne i wyjątkowe okoliczności, które mu ręce związały. Bo któżby mógł inny przeszkodzić? radzca? przecież to zero! Może ona? Nie, niepodobna, bo to by już było wcale nienaturalném! Niebyłaby się zgodziła, rzecz niezawodna na związek morganatyczny, gdyby była miała możność i nadzieję, zawarcia prawdziwego. Hrabia, i tylko hrabia Henryk mógł mieć osobisty interes przeszkodzenia zwykłym ślubom; jako blizki kuzyn księcia i jego następca, miał nawet prawo silnie się temu sprzeciwiać. . . . Tyrklice. . . ci, byliby patrzeli przez szpary na zawarcie nawet zwyczajnego związku, gdyby książę był im tylko wyliczył jaką okrągłą sumkę; oni za pieniądze przystawali zawsze na wszystko. Przypuszczenia moje, nie zgadzają się pod pewnym względem z opowiadaniem Iflera, z którego widać, że rzecz cała była prowadzona z wielkim pośpiechem; ależ sam radzca mówił, że niebrał żadnego udziału w przedstępnych rokowaniach. Wnioski moje tem jeszcze poprzeć się dadzą, że przez ostatnie lat trzy, książę niewidywał ani hrabiego, ani hrabiny Stefanii. Jednéj rzeczy pojąć mi trudno, dlaczego właśnie obecnie zbliżają się do siebie. Doktorze! czy niemasz pan czasem klucza do téj

*) Trudny ma człowiek wybór miedzy cielesną roskoszą i duchowym spokojem; złaczony ich promień oświeca tylko czoła wybranych.

zagadki? ale co tu pytać, gdybyś go pan nawet posiadał, to wiem że ci nikt go niewyrwie — pan umiesz dochować tajemnicy.... i niedarmo ludzie powiadają że pan doktór to pierwszy doplomata na naszym dworze!.... No niegniewaj się doktorze — przecież wiem że niemniej od nas masz tę rzecz na sercu. Pan jako Hanowerczyk, a ja jako Saksończyk, przecież zarówno niesprzyjamy Prusakom; a ja mówiąc szczerze, prędzéj bym się zgodził z diabłem jak z Prusakiem Ale proszę pana, co znaczą teraz nasze sympatye i antipatye. W pokorze serca, chcąc niechcąc musimy się poddać okolicznościom..... Zajdź do mnie na cygaro — doktorze! no niechcesz, a zatem do widzenia, ale tylko na tym a nie tamtym świecie.

Młodzi ludzie uścisnąwszy sobie dłonie rozeszli się każdy do swoich pokoi, znajdujących się w jedném skrzydle zamku. Herman wszedłszy do siebie otworzył okno, siadł na niém i pogrążył wzrok zadumany w ciemną przestrzeń. Chmury zakryły księżyc a słaby blask gwiazdy co błysnął od czasu do czasu, znikał natychmiast. W ogrodzie otaczającym zamek liście drzew szemrały jakąś tęskną melodyą. W sercu młodzieńca był także smutek; nigdy jeszcze miłość nieprzyprawiła go o takie cierpienie, nigdy niezapanowała tak wszechwładnie nad sercem jak dziś, jak téj nocy właśnie w któréj cierpiał, choć był już przekonany że go także kochano.

— Dziwna rzecz, niepojęta, dla czego uczucie które innym sprowadza rajskie rozkosze, mnie darzy tylko piekielném cierpieniem. Choć z trudnością i kosztem wielkiéj z samym sobą walki, mógłbym się przecież z nią rozłączyć, unosząc z sobą miłość bez nadziei. Oswoiłem się, przywykłem do myśli, żeby samemu zostać na drodze życia; pragnienia moje były niewielkie, a zawody których już doznałem przyjmowałem bez troski. Ale teraz, gdy wiem że ona mię kocha (choć nie tak jak ja ją kocham, nieśmiałbym nawet o tém myśleć, zdaje mi się przecież że uczucie jej jest o stopień silniejszém od przyjaźni) nie mam siły ani woli oddalić się!... Aboż nietrzeba także siły żeby pozostać! zostając tutaj mogę się stać główną przyczyną jéj nieszczęścia; patrząc na jej cierpienia niebędę w stanie przyjść jej z pomocą!... więc pocóż zostawać! niepowinienem zostać! A wreszcie nic jeszcze niema stanowczego. — Więc nie! nie! bez zwłoki czasu, jutro zaraz rano idę do księcia i powiem mu: że postanowienie moje jest nieodwołalném, że chcę jechać, że jechać muszę..... tak, trzeba jechać! To jest ostatnie słowo, które mu należy powiedzieć... Warjacie! czyż on w słowach, które się z ust twych dobędą, niedomyśli się prawdziwego znaczenia tego pospiechu! ale jak zrobić!... chyba mu powiedzieć że ona mię z tąd wygania!

I młody człowiek zakrył twarz rękoma. Z początku chaos bezładnych myśli szumiał mu w głowie, ale coraz jaśniéj, jaśniéj, wyłaniały się z nich obrazy oświecane płomieniem gorączkowéj jego fantazyi; a w tych znowu obrazach ogniskiem, słońcem z którego na całe jego jestestwo strumieniem płynął czar namiętności, było oblicze młodej ukochanéj kobiety. W widzeniu tém najczęściéj zdawało mu się, że ją widzi na koniu; obok niéj starzec, to mąż — w około znane mu miejsca i natura, słowem chwila, w której po raz pierwszy ją zobaczył. Ona przysłuchiwała się wtedy rozmowie, jaką prowadził z księciem, ale wielkie jéj czarne i zadumane oczy patrzyły gdzieś przed siebie, w inną stronę. Ach te wielkie ciemne i głębokie oczy! one go to zgubiły od pierwszego spojrzenia, w nich to utonęła jego dusza, krew jego i życie, jak w głębokiém, bezdenném, zaczarowaném morzu.

Imaginacya jego rozdrażniała się bardziéj a bardziéj. Przed jéj jasnowidzeniem, przesuwały mu się wszystkie z nią spotkania, przypomniał rozmowy, spojrzenia.... Trzy lata życia wspólnego w jednym zamku; w tym przeciągu czasu widywał ją w salonie, w parku, w lesie na przejażdżkach konnych... Wszystkie drobne szczegóły tych spotkań, stawały przed oczami jego wyobraźni jakby to było dzisiaj, wczoraj... Wszystko w téj ciemnéj godzinie nocy, wypływało ku niemu z mgły przeszłości, a obraz jej czarowny unosił się przed nim i nęcił go i ciągnął w tę ponurą głębinę.

Doktór cisnął silnie skroń swą rękami i czuł że pulsa biły mu przyspieszoném tętnem. Zdawało mu się że jeszcze jeden taki paroksyzm a i zmysły utraci. Usiłował wybrnąć z tego obłędu, stać się samym sobą, uspokoić się, położyć a może i zasnąć.

Został tak chwilę — ale nagle — jakiś dziki krzyk wydobył mu się z piersi—skoczył jak szalony na środek pokoju, zdawało mu się że tam za stołem widział ją w objęciach hrabiego Henryka!

— W jego objęciach? zapytał sam siebie Herman.

I przyszedł do siebie, przypomniał, że to widzenie było senném złudzeniem. Przecież nigdy nie widział hrabiego nawet na portrecie—na prawdę chybam zmysły stracił, myślał, jeżelim mógł sobie ją wystawić w objęciach człowieka, który był dla niéj przyczyną tylu przykrości którego przyjazdu czekała z taką nieprzyjemnością i taką obawą... Naturalnie że go niecierpiała a i on ją pewno znosić nie mógł... Ale czyż można ją nienawidzić, skoro się ją raz widziało? A on ją znał przecież lata całe... on jutro przyjeżdża a ja powinienem wyjechać, przecież mię sama wygania! Nie! nie! zawołał i po tysiąc raz nie! Przypuszczać coś podobnego, byłoby i ją i siebie po-

niżyć. Czyż nie jest nikczemnym tchórzem ten, co wywołuje upiory a później kryje głowę pod przykrycie, żeby nic nie widzieć i niesłyszeć.

Tak myśląc Herman podszedł do stołu i spostrzegł na nim list zapieczętowany. Przypomniał sobie, że służący mówił mu na dole, że przynieśli od Jego Ks. M. bilecik dla doktora. Złamał więc pieczęć; rozwinął list i czytał co następuje:

„Mój młody przyjacielu! zanim się spać położę, chcę naprawić niesprawiedliwość którąm mimo woli względem pana popełnił. Chcesz pan jechać; niemam prawa go zatrzymywać jeżeli istotnie zdecydowałeś się pan nas opuścić. Nie mam potrzeby wspominać, że będzie nam bardzo przykro — rozstać się z panem — ale cóż robić, ponieważ chcesz pan jechać koniecznie, niech i tak będzie! człowiek który jak ja zbliża się do schyłku życia, powinien przyzwyczajać się do rozstania, powinien być zawsze gotów na nie! proszę jednak pana jeżeli to być może, o przedłużenie na czas jakiś téj rozłąki, proszę pana dla tego, że mam na względzie nie moją osobistą korzyść, ale dobro wielu mych poddanych i mających ze mną stosunki ludzi, względem których zaciągnąłem obowiązek licząc na pański współudział. Powinieneś się pan domyśleć, o czém mówię. Pozwól mi więc uważać cię w domu moim za gościa na kilka jeszcze tygodni, przez ten czas, będziesz się mógł pan zająć urządzeniem warunków przyszłego pańskiego życia. Ludzie którzy zechcą ofiarować mu zajęcie, powinni zrozumieć, że przecież nie można w kilka dni wyszukać zastępcy na pańskie miejsce. Zatem życząc panu dobrej nocy — zostaję najżyczliwszym.“ Eryk.

List wypadł Hermanowi z ręki.

— Na kilka tygodni, wyszeptał Herman, — a choroba szarpie i niszczy mój organizm od trzech lat całych. Czyż niebędę mógł wytrzymać jeszcze tych kilka tygodni? Przecież ona powinna pojąć, że niemogę z niegrzecznością odrzucić prośby, która mi z zachowaniem wszelkich względów delikatności jest wyrażoną.

ROZDZIAŁ V.

Już trzy dni minęło, od przyjazdu młodych państwa, jak ich nazywali mieszkańcy miasta Rotebula a jeszcze nieustało wrażenie wywołane tém nadzwyczajném zdarzeniem. Nigdy jeszcze kumoszki nie-

porzucały tak często swéj roboty i nierozpoczynały gorących i krzykliwych rozmów przez płoty rozdzielające ich ogrody. Nigdy też niebyły liczniejszemi schadzki w kawiarni, położonej na małym rynku miasteczka, niedaleko apteki pod łabędziem: niezdarzyło się także żeby żona rusznikarza Findelman, kupcowa Celler, żona dyrektora fabryki Kiernikie, starały się i ubiegały tak serdecznie o przyjaźń pani aptekarzowéj Dinne, która była w dobrych stosunkach z żoną naczelnika kancelaryi. Nigdy téż pomiędzy mężczyznami niebyło takiéj zgody i jedności, nawet przyzwyczajenia śmieszne i niestosowne pani radczynéj mówienia tylko o swojéj Elizie, niebyły już tak krytykowane.

Żona radcy, jak się to każdy domyśli, chodziła z Elizą na zamek żeby się przedstawić młodym państwu. Radczyni mówiła bez przesady, że przyjęcie w zamku przeszło wszystkie jéj oczekiwania. Naturalnie że co do niéj, ona niema żadnych pretensyj; przecież i włos już siwy więc jéj wszystko jedno i wcale ją niezajmowało, czy zwrócą na nią szczególną uwagę, —mogło jéj tylko chodzić o obowiązkową formę, czego jéj na zamku nigdy jeszcze nieodmówiono a i teraz ma się rozumieć. Co zaś do Lizy, to niech tam sobie te panie wierzą jeżeli chcą albo nie, ale hrabina, przyjęła ją jak rodzoną siostrę; a co jasnym naturalnie jest dowodem, jak już nieraz radczyni mówiła i utrzymywała, że niewymuszoną grzeczność, uczucie i ludzkość, można tylko znaleść pomiędzy prawdziwą, czystą arystokracyą rodową.

Hrabina po pięciu minutach, opowiadała daléj żona radcy poprawiając wstążki pod brodą od nastroszonego szlarkami czepca, była już tak dobrze i serdecznie z Elizą, jak gdyby się znały od lat już czterech. Hrabina natychmiast raczyła zauważyć i prześliczne niebieskie oczy Elizy i jej świeżą i białą cerę i gust w ubraniu, z mojej strony winnam dodać, że i hrabina ma cudne niebieskie oczy, alabastrową cerę, piękne popielate włosy a już o guście w ubraniu to niema co i mówić, — rozumié się że tak piękna dama, przyjeżdżając prosto z Berlina, mogła mieć na sobie tylko najwykwintniejsze mody i najdroższe materye, o których w takim jak nasze miasteczku pojęcia mieć trudno. Wszystkie damy jak na komendę spojrzały na widne z daleka wrota zamkowe po nad niskiemi domkami miasteczka, a później zgodnie i energicznie starały sią wymódz na żonie radcy dalsze opowiadania. Ale pani naczelnikowa niemogła albo niechciała wyjawić treści swéj rozmowy z hrabiną a i rozmowa ta niebyła długą na przedmioty rozstrzeloną, bo hrabina ciągle prawie mówiła o jéj lubej córuni. Eliza musiała coś zagrać i zaśpiewać; a gdy zaśpiewała po francuzku aryę: „Zlituj się“ z Roberta djabła, to hra-

bina już rzec można nieposiadała się z dziwienia i spytała Lizy, jak długo bawiła w Paryżu, naco biedne dziecko, zarumieniwszy się po uszy ze skromnością odpowiedziało: że nigdy jeszcze nie opuszczała rodzinnego miasteczka Rotebula.

Hrabia, śliczny mężczyzna, jakich na świecie mało, wysoki elegant, z ogromną starannie utrzymywaną brodą był także nadzwyczaj ugrzecznionym dla Lizy. Naczelnikowa niemoże niewspomnieć, że Jego Ks. M. uszczęśliwiony wrażeniem jaki sprawiła Liza powiedział:

— Tak, tak, my mieszkańcy małych miasteczek mamy także trochę gustu i czasu do zajęcia cię pożytecznemi rzeczami; my nie Huroni za których wy nas macie, panowie berlińczycy!

— Co to jest takiego Huroni? spytała pani Kiernikie.

Naczelnikowa spojrzała na nią z wyrazem politowania; prawdopodobnie, mówiła dalej pani Ifier, że hrabina raczy ich odwiedzić dziś po obiedzie, dlatego więc Eliza została w domu, ona zaś sama przybiegła tylko na minutę, żeby pokazać tym paniom, że ona przy nowych i świetnych znajomościach, niezapomina starych przyjaciół.

— Zdaje się że dobra nasza pani radczyni bzika dostała zauważyła żona inspektora fabryk pani Kiernikie, zaledwie sute wstęgi czepca pani radczyni zniknęły za drzwiami.

— Pani za ostro ją sądzisz, wtrąciła malutka aptekarzowa Dinne.

— Nierozumiem, na co się nam to wszystko przydać może, mówiła pani kupcowa Celler. Chwała Bogu, do téj pory żyliśmy spokojni i szczęśliwi bez tych berlińskich panów.

— Pani śpiewasz w organki swego męża, wtrąciła znowu pani rusznikarzowa Findelman. Wzystkim wiadomo że od roku 1866 mąż pani trzyma za Austryą przeciwko Prusom.

— A pani, oprysknęła znów kupcowa, jak mi się widzi, dopieroś od wczoraj została prusaczką, a nawet wiem dlaczego, otóż dlatego że hrabia zaszedł wypadkiem do waszego sklepu.

— Ależ moje drogie panie, spróbowała polubownym tonem pani aptekarzowa, dajcież pokój — zostawcież politykę mężczyznom.

— Dzięki Bogu położenie nasze nie zmienia się i niezależy od tego kto tam w zamku czy Austryacy czy Prusacy. Porcelana nasza, z łaski opatrzności idzie do Holandyi i Ameryki, mówiła pani Kiernikie.

Kiedy tak słaba połowa rodzaju ludzkiego pod wpływem tych ważnych zdarzeń, niemogła zachować spokojnego ustroju ducha, zwykle panującego pomiędzy żeńską połową Rotebulskiéj miejskiéj arystokracyi i wszedłszy na cierniste pole politycznych rokowań, była już bliską komerażu i zwady, między kawiarnią a ogródkiem apteki „pod łabędziem“, w kręgielni znajdującéj się za zajazdem „pod trzema minogami“ mężowie tych pań byli zebrani i prowadzili żywą rozmowę.

— Ja zawsze będę utrzymywać, że on jest podobny do następcy tronu, twierdził Findelman.

— Co zaś do mnie, to prędzejbym powiedział, że do pana von Bismarka, mówił kupiec Celler, znacząco się uśmiechając.

— Ale czyż niemoże być podobny do obydwóch, godził ich aptekarz Dinne.

— A co do mnie, to niech będzie podobny i do djabła, a nam co z tego przyjdzie, kończmy grać, zachęcał inspektor fabryki Kiernikie.

— Ja widzę że kum Celler — ma się za saksona Austryaka: dla tego że wypisał swe towary bławatne z Szemnic a frukta suszone z Czech, zauważył pan Findelman.

A pana Findelmana nazywają już prusakiem dlatego, że hrabia kupił w czoraj u ciebie dwa pistolety.

— Ależ my przecie od 1815 roku wszyscy jesteśmy prusakami, jak przedtém byliśmy Saksończykami,. zauważył Dinne.

— Prusacy, Saksończycy czy Austryacy wszystko mi jedno, za kilka lat będziemy wszyscy republikanami, oświadczył Kiernikie.

Tylko się pan z tym nie popisuj przed panem radcą, szepnął bojaźliwie Dinne, spostrzegając radzcę, który szedł przez ogród do kręgielni.

— Szanowny pan radzca! czyż podobna? jaki honor, aniśmy przypuszczali, podnieśli biesiadnicy jakby na organach.

— Bardzo mi miło, bardzo przyjemnie, mówił radzca, podając końce palców obecnym.

—Żona moja czekała na wizytę berlińskich gości i musiałem do tego czasu zostać w domu. — Ale nieprzyjechali, choć to przecież nic nieznaczy, bo odłożyć nie jest rozmyślić się. Wierzcie mi panowie, że od trzech dni jak mi Bóg miły, w głowie mi się przewraca; kłopotów co niemiara! co rano trzeba iść złożyć uszanowanie i księciu i hrabiemu i paniom, następnie znowu zwyczajna rada z Jego K. M. albo z nim i z hrabią, o Tyrklickiéj sukcesyi; późniéj przygotowanie moich pań do wizyty na zamek, późniéj obiad,.. późniéj kolacya....

— Zważaj pan tylko, żeby niedostać niestrawności, wtrącił Kiernikie i buchnął śmiechem na całe gardło.

— Jak tam idą interesa, ozwał się Dinne, chcąc zakryć niemiłe wrażenie, niestosownego żartu pana Kiernikie.

— Dobrze, bardzo dobrze, odpowiedział radzca, mogę nawet powiedzieć przewybornie, nad moje własne oczekiwania. Jak już wiecie panowie jeszcze w 1866 roku w Wisbadenie miałem honor być przedstawionym hrabiemu i właśnie na wodach byłem, tego pamię-

tnego lata, świadkiem wielu ważnych i blisko dotyczących i hrabiego i księcia zdarzeń. Nadmienić muszę że już wtedy hrabia był dla mnie z jak najlepszém usposobieniem, szczerze nawet mówiąc żałowałem bardzo, w skrytości mego serca, że pomiędzy księciem a hrabią była kość téj Tyrklickiéj linii; naprawdę taki ludzki, taki łaskawy, taki nieporównany młody człowiek jak hrabia...

— A czy istotnie przypomina następcę tronu, przerwał Celler z gorzkim uśmiechem.

— Naturalnie że więcéj do niego jak do kogo innego podobny, zauważył Findelman.

— Ależ panowie — niezebraliśmy się tutaj żeby się zajmować polityką, wtrącił delikatnie Dinne.

— Bardzo słusznie, zawołał żywo radzca; to samo prawie i temiż prawie słowy, mówił dziś książę przy obiedzie, żeby się nie zajmować polityką. Rozmowa bowiem między niemi wzięła dość drażliwy obrót. Pomimo że żona Jego ks. M. jest rodem z Prus, a nawet córką pruskiego żołnierza — (tu radzca znacząco się uśmiechnął), a co większa że się chowała w domu pruskiego jenerała, jednak jak najgorzéj dla Prus jest usposobioną i dziś przy obiedzie, mówiąc między nami, skoro się zdarzyła okazya, nasza młoda pani wyraziła swe uczucia może trochę żywiéj i bez należnéj uwagi na dostojnych gości, hrabiego i jego żonę. Potrzeba oddać sprawiedliwość hrabiemu, że umiał zapanować nad sobą i nieprzekroczyć granicy przyzwoitości, pomimo że księżna zaszła za daleko; wypowiedziała bowiem otwarcie, że podług niéj. Prusy dopóty się nie zatrzymają, dopóki nie spróbują swych sił ze wszystkiemi wielkiemi mocarstwami.

— Ależ pan sam, zawołał kupiec Celler, wypowiedziałeś to w swojéj książce panie radzco, — nawet tu na tém samem miéjscu; sto razyś nam wypowiedział, tylko sobie pan przypomnij! Prusy, mówiłeś, połkną całe Niemcy z nogami i rękami; tak, tak — pan to sam powiedziałeś; najwyborniej pamiętam.

— I właśnie byłoby to zupełnie tak jak być należy, zawołał rusznikarz Findelman, uderzając w stół kułakiem.

— Powoli — na miły Bóg powoli, kumie Findelman, przecie i podczas wojny ludziom żyć potrzeba, zauważył Dinne, zwracając się do kupca Cellera.

— A ja panom powiadam że wszyscy pracujecie dla rzeczy pospolitéj — rzekł Kiernikie.

— Ja bym panów prosił żebyście byli łaskawi, zaczął radzca...

Ale członkowie kręgielnego klubu nie wysłuchali już o czém chciał mówić czcigodny radzca kancellaryi, bo słowa tegoż zagłuszone

zostały turkotem dwóch karet, które szybko mignęły koło nich szosą rozdzielającą się w tym właśnie punkcie na dwie drogi; jedna z tych dróg wiodła do bażantarni, druga do miasteczka i dalej w dolinę. Wszyscy członkowie kręgielnego klubu, rzucili się bez różnicy wieku i opinij politycznych do okna kręgielni w celu przeprowadzenia ciekawym wzrokiem, jadących z zamku karet.

— W pierwszej karecie siedzi Jego Ks. M. — Jéj Ks. M. — hrabia i hrabina mówił Findelman.

— A w drugiej pan von Cejzel i doktór dorzucił Celler.

— Dlaczego to pan radzca nie z niemi, wyjąknął Dinne wylękłym głosem.

— Dla tego że to przecie dziś nasz klubowy wieczór, odpowiedział radzca dość zgryźliwie; prawdą zaś było że nieodebrał zaproszenia.

— Pewno pojadą na folwark, odezwał się Findelman.

— Albo do bażantarni, dorzucił Celler.

— A być może że przez folwark do bażantarni szepnął Dinne pojednawczym tonem.

—Zwracają na lewo — zakonkludował radzca.

— A co do mnie niech tam sobie jadą na cztery wiatry, oprysknął Kiernikie.

ROZDZIAŁ VI.

Rano, na audyjencyi, którą książe zwykł był dawać swoim urzędnikom, von Cejzel doniósł mu, że bażanci park i herbatni domek już są przygotowane do przyjęcia gości i prosił J. ks. M. o urządzenie w nim wieczornéj herbaty.

Wiadomość ta trochę zasmuciła księcia. Całkiem mu już z głowy wyszedł bażanci park, nawet sądził że Jadwiga o nim zapomniała. Ustępując gościom swój ukochany park, chociaż książę nie wiele go żałował, ale ona, być może, że się nawet wewnętrznie gniewała za to że mógł coś podobnego od niej wymagać, a wreszcie może chciała zrobić mu przyjemność uczestnicząc w przyjęciu gości ze swojéj strony.

Gubiąc się tedy w domysłach, prawie mimowoli zezwolił na propozycye von Cejzla, i uspokoił się dopiero przy obiedzie patrząc

na wypogodzoną twarz Jadwigi, a więcéj jeszcze w chwili gdy się wszczęła rozmowa o herbatnim domku. Jadwiga dziękowała księciu za to, że ją wyleczył z jej romantycznych nałogów. Jeżeliby jej i Prohaticowi zostawiono swobodę, to oni by z pewnością przekształcili herbatni domek w smutną ruinę w śród dziewiczego lasu. Teraz z przyjemnością sama patrzyła na odnowioną postać domku a miała nawet nadzieję że wieczorem obsypana zostanie pochwałami.

I nie myliła się.

Rzeczywiście domek i park były wyrestaurowane przewybornie Zasypano Jadwigę pochwałami, które uchylała, mówiąc — że cała zasługa należy do pana von Cejzla, ten znów ze swéj strony twierdził, że był tylko ślepym wykonawcą jéj rozkazów. Książę był w zachwyceniu.

— Nie tyle mnie dziwi szybkie wykonanie całéj pracy, mówił — ile ten wytworny gust, umiejący pojąć ducha czasu, który to był twórcą, we wszystkich drobnostkach zaczynających już zacierać się i znikać. Czy wiesz pan kochany hrabio że od pięćdziesięciu lat park ten jest w zupełném zapomnieniu. Drogi i aleje zarosły trawą, altany straciły cień, szpalery i żywe płoty rozrosły się, zdziczały, posągi wywróciły się, groty zawaliły — słowem, park zmienił się w romantyczną pustynię, jak słusznie Jadwiga mówiła przy obiedzie; nasz wspólny pradziad Eryk XXXIV, który był twórcą bażanciego parku, niepoznałby naturalnie swego własnego dzieła, w tém romantyczném pustkowiu. Ale dziś ręka znawcy zatarła nieubłagane ślady czasu, i powróciła park do téj postaci w jakiej był przed stu laty.

Mówiąc to książę wziął rękę Jadwigi i złożył na niéj pocałunek. Hrabia pospieszył z wyrażeniem swych pochwał.

— Trudno mi sądzić o pracy i zachodach jakie należało przedsięwziąść dla wzniesienia tych rzeczy. Wyznam jednak że park ten sprawia na mnie harmonijne, cudowne wrażenie. Na ciebie także luba Stefanio?

— Naturalnie, odparła hrabina ze śmiechem. — Wszystko tu układa się w harmonię. My tylko jesteśmy ciemnemi plamami na obrazie; proponuję jutro zebrać się znowu tutaj — ale w strojach z czasów Ludwika XV. Cóż ty na to Jadwigo? I hrabina mówiąc to wybuchnęła dźwięcznym śmiechem.

— Nie lubię grać komedyi, odparła sucho Jadwiga.

— Ruszajmy dalej, rzekł książę.

I szedł do herbatniego domku prowadząc Stefaniją na żelazne wschody.

— Waszéj K. M. trudno jest prowadzić mnie, zauważyła hrabina, bardzom mu za to wdzięczna.

Książę przycisnął silniéj piękną rękę młodéj kobiéty, która spoczęła w jego ręku.

— Nie jestem tak jeszcze podupadły pod tym względem, odpowiedział książę, zwracając oczy swe na Jadwigę, która stała już na tarasie.

— A mimo to nikt na świecie nie ma tyle prawa do wdzięczności, wtrąciła Stefania, nie spuszczając z uwagi wzroku księcia.

Książę westchnął.

— Wasza K. M. jesteś zdaje się w usposobieniu melancholicznéｍ, zauważyła Stefania ze znaczącym uśmiechem. Uniżona sługa W. K. M. postara się uleczyć go z téj choroby, z téj jedynéj słabości, którą w waszéj osobie mogłam zauważyć.

— Pani pierwsza, a pewno i ostatnia chcesz się podjąć téj niewdzięcznéj pracy — odpowiedział książę starając się nagiąć do wesołego tonu Stefanii.

— Wolne żarty W. K. M. wtrąciła hrabina.

Pierwszy to raz od czasu przyjazdu na zamek, rozmowa jéj z księciem wychodziła za obręb zwykłéj grzeczności; pierwszy raz przemówił on do niéj tonem, który ją zastanowił. Stefania znalazła zachwycającym i domek i otoczenie i widok z okien.

— Tyle wesołych domków widziałam w ogrodach królewskich, unosiła się hrabina, ale z tym żadnego porównać nie można. To prawdziwa poezya rokoko! Jakiż tu czarujący widok na góry, z któréj strony spojrzysz, ciągle nowe i nowe odkrywają się obrazy, jedne piękniejsze od drugich! Jak on trafnie zbudowany, jakby umyślnie przygotowany do dumania i marzeń! Jak on ci się musi podobać Jadwigo, ty zawsze umiałaś odszukiwać skarby poezyi w wiórach powszedniego życia. Dopiero teraz rozumiem doniosłość ofiary, którąś dla nas zrobiła! W takie kąciki drogie dla serca, z przykrością wpuszcza się obcych ludzi. Ale za to ci obcy są ci nad wyraz wdzięczni. Czyż nie prawda W. K. M.?

— Ma się rozumieć — wyrzekł książę, choć szczerze przyznam się że mi to było bolesném; nie możecie wystawić sobie, jaka to ofiara. Nawet wyniosłaś swój pulpit i oddałaś nam twoją pracownię Jadwigo; ty trochę za daleko posuwasz swoją uprzejmość.

— To dowodzi, że nas osądzono jako barbarzyńców, zauważył hrabia.

— Zmiłuj się moja Jadwigo, urządź tu na nowo swoją pracownię i pozwól mi odwiedzić ją czasami. Wiesz przecie, jak serdeczny udział brałam zawsze w twoich zajęciach. Do malarstwa masz prawdziwy talent. Musiałaś go bardzo, bardzo rozwinąć. Nieprawdaż W. K. M.?

— Oto należy zapytać Prohatica, odpowiedział książę, tego staruszka z siwą brodą, który nam pokazywał bażanci dworek. On jeden zaszczycony jest zaufaniem oglądania dzieł naszéj artystki. Co do innych osób mnie nie wyłączając, artystka nasza utrzymuje zupełną tajemnicę. Pamiętaj hrabino, że my żyjemy tutaj w zupełnéj samotności; nic więc dziwnego, że w nas rozwijają się popędy odludków, ale postaramy rozłączyć się z niemi dla tak drogich gości, tém bardziéj, że nasza kochana Jadwiga dała nam pierwsza tak piękny przykład. Czas już chyba na herbatę?

Książę podał Stefanii rękę, żeby ją przeprowadzić z bocznego pokoju, gdzie się toczyła rozmowa, do rotundy w któréj zastawiono herbatę.

Hrabia Henryk prowadził Jadwigę. Kawaler i Herman szli za niemi.

W chwili kiedy książę podprowadzał Stefanię do stołu, a druga para trochę przyzostała, hrabia pochylił się ku Jadwidze i rzekł cichym i błagającym głosem:

— Zaklinam panią, pozwól mi pomówić z sobą na osobności chwil kilka! Jadwiga podniosła ciemne rzęsy i takim go wzrokiem przeszyła, że aż zadrżał.

Ona była prześliczną, daleko piękniejszą jak wtedy, gdy hrabia znał ją prawie dzieckiem; ale teraz jakaż pogarda zcinała te purpurowe usta, jakaż duma błyszczała w tych pięknych czarnych oczach.

Hrabia nie wiedział czy ma się cieszyć, że się odważył na prośbę, którą od pierwszéj chwili spotkania miał na ustach. Prośba została bez odpowiedzi, i hrabia usiadłszy do herbaty miał czas o o tém pomyśleć. Nie mięszał się prawie do rozmowy, którą podtrzymywali wyłącznie książę i Stefania. Kilka razy zatrzymywał oczy na ożywionėm obliczu swéj żony, ale za każdym razem przenosił je mimowoli na Jadwigę.

Dziwném mu się zdawało, jak mógł dla żony swojéj mieć kiedykolwiek prawdziwe uczucie. Po kilkakroć porównywał żonę z Jadwigą i rezultat tego porównania wypadał bezustannie na niekorzyść pierwszéj. Wszystko co się składało na piękność jego czarującéj żony, te nadzwyczaj gęste popielate włosy, słodkie niebieskie oczy, ocienione długiemi rzęsami, olśniewająca białość płci — wszystko to razem bladło w porównaniu z ciemną, żywą pięknością Jadwigi. Blady odblask księżyca; paląca pełnia letniego słońca — takie to porównania rodziły się mimowoli w głowie hrabiego, ale starał się je odgonić i powrócić do wątku rozmowy.

— Dla czego ś. p. ojciec W. K. M. i książę sam zapomnieliście ten czarujący domek, bez względu na jego malowniczą i wygodną miejscowość? spytała Stefania. Prawdopodobnie przyczyną musi być jakiś romantyczny epizod. Przyznaję się szczérze, że byłabym rada, bardzo rada dowiedzieć się o tém.

— Mylisz się kochana hrabino, odpowiedział książę. Żaden romantyczny epizod nie wiąże się z tym domkiem, nie ma tu żadnéj ponuréj tajemnicy, z za któréjby wyglądało dwoje przecudnych niebieskich lub czarnych oczu, lub błyskały obnażone miecze. Przeciwnie, wypadki które tu zaszły należą do historyi. Czy się domyślacie moi łaskawi panowie i panie kto tu ostatni mieszkał w tym domku, kto ostatni jadł w nim śniadanie, na tém samém miejscu za tym samym stołem? nie, tego nie odgadniecie.... nie kto innny to był, tylko Napoleon I po bitwie pod Jena. Powtarzam hrabio, że wypadek ten należy do historyi, możemy więc mówić o nim z zupełnym spokojem. Nikogo nie powinno obrazić, jeżeli powiem, słowami historyi, że ś. p. ojciec mój, były uczeń Russa, zapalony wielbiciel humanitarnych dążności przeszłego stulecia, widział w cesarzu Francuzów pomazańca bożego, który miał wcielić w ludzkość wielkie humanitarne idee, słowem przedmiot jego uwielbień. Ja jako syn, nawet zbytecznie wspominam, że w uwielbieniu jego dla cesarza nie było ani cienia egoizmu. Różni różnie o tém mówili, dla tego, że podobne uwielbienie mogło wywołać liczne łaski, bezwzględne przywrócenie dawniejszéj własności, rozszerzenie granic księztwa odpowiednio granicom, jakie ono miało w czasie cesarstwa, być może nawet koronę nowego arcyksięztwa. Nie mogę i nie chcę utrzymywać, że istotnie tak było, ale dla ś. p. ojca mojego, wszystko to było środkiem do celu, a cel jedyny — urzeczywistnienie w obszerniejszych rozmiarach jego marzeń o szczęściu i dobrobycie ludzkości. Dla tego téż z zachwyceniem przyjmował cesarza, którego znał jeszcze podczas bytności swéj w Paryżu i odwdzięczył mu się za gościnność, przyjmując go w zamku swych przodków. Cesarz zajął ten pawilon, którego miejscowość bardzo mu się podobała. Tu książę zamilkł i przeciągnął ręką po czole; późniéj zaś mówił jakby budząc się ze snu.

— Były to świetne chwile w życiu mojego nieszczęśliwego ojca. On widział się już na szczeblu, którego był godzien więcéj od innych, czuł się już punktem środkowym wielkiego okręgu, który oświecało, ożywiało i ogrzewało jego wielkie szlachetne serce. Ale wkrótce dostrzegł, że Napoleon czy nie chciał, czy nie mógł spełnić swych obietnic i to nieurzeczywistnione marzenie rozdarło mu serce. Upadek jego bohatera, późniéj przykrości, których sam do-

świadczył zatruwały mu teraźniejszość; przyszłość nic mu dać nie mogła, przeszłość uporczywie odganiał od siebie i nigdy nogą nie postał już w tym parku, kolebce własnych marzeń, miejscu zarazem drogiém i przeklętém z przyczyny najsmutniejszych wspomnień.

Głos księcia zadrżał po ostatnich słowach i ręką znów potarł zadumane czoło.

— Co zaś do mnie, mówił daléj książę spokojnym głosem — widzę kochana Jadwigo, że masz na ustach to zapytanie; co do mnie, to ja tak szanowałem ojca, tak go serdecznie kochałem, że nawet znajdowałem, że jego słabostki należy naśladować. Park ten, w który po owém zdarzeniu on już nigdy nogą nie wstąpił, stał się i dla mnie zakazanym i przeszły mnogie lata zanim zwalczyłem ten wstręt i kazałem odnowić bażanci dworek. Wyznam szczerze kochana Jadwigo, że miałem pewne obawy, że ciebie tak przyciągał ten park. Zdawało mi się, że tutaj należało cię ochraniać od złych duchów. Teraz przekonałem się, że to było wszystko zbyteczném, i że w tym zaklętym domu bardzo się przyjemnie pije herbata. Dziękuję całemu towarzystwu, które mi zgotowało tych miłych chwil kilka, a przedewszystkiém naszym szanownym gościom, którzy są naturalną i pierwszą téj przyjemności przyczyną, następnie tobie kochana Jadwigo za to, żeś nam ofiarowała to twoje zacisze; panu, kochany panie von Cejzel za pomoc przy restauracyi domku i panu nareszcie, doktorze, za to żeś pomimo stanu mego zdrowia pozwolił mi wyjechać; no a teraz zdaje mi się, że czas przypomnieć stare przysłowie: dobrego odrobinę! Książę dał znak do odjazdu. Powozy stały przed powilonem. Gdy towarzystwo wyszło na ganek, księżyc już świécił nad lasem; na zachodzie niknęły ostatnie blaski zachodzącego słońca.

Wieczór oddychał ciepłem lata; żaden listek nie szemrał na drzewach, których kontury żywo się rysowały na jasnéj głębinie nieba.

— Proponowałbym W. K. M., rzekł hrabia, rozkazać powozom iść naprzód, nie zaszkodziłoby nam przejść się trochę piechotą.

— Brawo! zawołał książę. — Należy nam coś zrobić i dla pań. „Przechadzka przy świetle księżyca“ — właśnie tego nam brakło! boję się tylko o naszą kochaną hrabinę.... Kochany Cejsel, powiedz stangretom, żeby podjechali aż do wielkiego dębu, to właśnie pół drogi, późniéj dasz mi pan rękę; bo mam pomówić z panem o pewnéj rzeczy.

Powozy pojechały przodem, książę nie widząc dobrze w nocy, nie odważył się podać ręki któréj z kobiet, żeby się nie wydać ze swoją słabością. Szedł więc powoli i ostrożnie.

Tym sposobem towarzystwo podzieliło się na pary; hrabia z Jadwigą i doktór z hrabiną wyprzedzili księcia dość znacznie; pierwsi rozmawiając żywo między sobą szli dosyć prędko, drudzy żeby nie zostawiać daleko księcia za sobą zwalniali kroku. Odległość między parami była dość znaczna, mogły więc rozmawiać swobodnie.

— Czyś pan wypełnił moje polecenie, kochany panie Cejsel i czyś się przekonał co wypędza od nas doktora? zapytał książę.

— Zdaje im się W. K. M. że należy wierzyć przyczynom jakie pod tym względem daje nam sam doktór, odpowiedział kawaler. W każdym razie pan Ifler, jak W. K. M. z początku domyślać się zdawał, nie jest tu powodem i o tém można prawie sądzić z całą pewnością.

— A jeżeli tak, to rzecz to wcale nieprzyjemna, zauważył książę. Ciągle jeszcze myślałem, że w téj przyczynie leży postanowienie doktora, żeby nas opuścić. Że ja nie mogę go zatrzymywać, jak również, że nie mogę zatrzymywać was wszystkich, nigdy nie czułem tego tak głęboko jak dzisiaj, kiedy nad domem Roda, wschodzi ta nowa gwiazda.

— W. K. M. ma na względzie....

— Naszego hrabiego kochany Cejzel; o kimże innym mógłbym myśleć. No przyznaj się pan, żeś pan nim oczarowany tak jak wszyscy. Na czém polega jego artystyczność — sam nie wiem, ale bardzo bym był rad wiedzieć o tém. Książę mówił takim wesołym i żartobliwym tonem, że Cejzel, który nie wiele zwykle zwracał uwagi na ton mowy, spostrzegł że cała ta wesołość była udaną, że książę sztuką pokrywał utajoną boleść. Książę sam po chwili zmienił ton i tak mówił:

— Coraz gęstsze a gęstsze chmury zbierają się na politycznym horyzoncie; dziś odebrałem wiadomość z Paryża, która mię bardzo zasmuciła. Zdaje mi się, że się tam przygotowuje wielka katastrofa.

— Myślę, że W. K. M. widzi rzecz całą w ciemném świetle.

— Tak pan myślisz? podjął książę gorączkowo. Rzecz cała ma swą jasną bardzo stronę; marzenie może się zmienić jeszcze w rzeczywistość. Jestem księciem niemieckim i tak samo niemcem jak każdy inny, ale nie chcę być pruskim wasalem, własnemi siłami nigdy nie będziemy w stanie pokruszyć łańcucha, jaki nam Prusy kują. Mówię to panu, kochany panie Cejzel, dla tego że wiem, że

pan nie dostrzeżesz diabła tam, gdzie go dostrzega zwykła mierność; oprócz tego wiem, żeś nietylko do mnie przywiązany, ale że i sprawy moje są pańskiemi.

— W każdym razie W. K. M. może liczyć na moją bezwarunkową dyskretność, odparł kawaler.

— Wiem kochany Cejzel, ale ale, zapomniałem panu powiedzieć, że w tych dniach przyjedzie do nas markiz Floreville, którego spotkałem w jesieni roku 1866 w Rzymie; był on wtedy sekretarzem francuzkiego poselstwa. Młody to w wyższym świecie obyły i bardzo wykształcony człowiek. Niedawno stracił ojca i przyjeżdża do Niemiec dla badań agronomicznych. Mówiłem z nim w Rzymie o naszém wzorowém gospodarstwie. Prosił mię o pozwolenie obejrzenia go. Młody człowiek zdaje się trochę wykwintniś. Proszę cię więc kochany Cejzel, powiedz Poretowi, żeby mu przygotował przyzwoitsze pokoje.

— Rozkazy W. K. M. będą spełnione. Ale czy W. K. M. pozwala mówić o przyszłym gościu?

— Dla czegóżby nie, kochany panie Cejzel, zauważał książę. Przecież młody mój przyjaciel Francuz, nie jest tajemnym agentem. Zdaje mi się, żeśmy kogoś dopędzili, cóż to za para. Kto tu taki?

— Hrabina i doktór, jeźli się nie mylę, odpowiedział kawaler.

Książę się roześmiał.

— No tutaj pewnie rozmowa o rzeczach domowych, podjął książę. Hrabina ledwie dostrzegła, że została sama z Hermanem, na którego ręku obecnie opierała się szczerzéj, jakby może wymagało jéj zmęczenie.

— Przed doktorem można wyznać wszystkie swoje słabości, nie ubliżając sobie, — czyż nie prawda doktorze mówiła szczebiotliwie.

— O bez wątpienia! odpowiedział Herman, który myślą nie mógł się oderwać od pary znikającéj mu w pociemniałym lesie.

— Nie jestem bardzo bojaźliwą, ciągnęła daléj hrabina, ale poczucie ważnéj odpowiedzialności zmusza mię do obawy i bojaźni. Będziesz się pan śmiał ze mnie doktorze; no ale cóż, śmiej się pan, gdybyś pan jednak wiedział co może czuć kobiéta, któréj już zmarło dwoje dzieci w klka dni po urodzeniu, i która oczekuje trzeciego — a jeżeli to będzie znów dziewczynka — mój biedny Henryk chyba umrze.

— Dla czegóż pani myślisz, że hrabia umrze? zapytał Herman bezmyślnie.

— O to by było okropne, mówiła hrabina; wtedy widzisz pan kochany doktorze, po wygaśnięciu linii męzkiéj — ponieważ w tym

względzie nic nie orzeczono — hrabstwo stałoby się własnością dzisiejszego posiadacza, który na zasadzie pewnych ograniczeń, może go zapisać komu zechce; takie są pruskie prawa o dziedzictwie.

— W których pani jak widzę jesteś bardzo biegłą — zauważył Herman.

— Rozumie się, bo od tego zależy nasza przyszłość i przyszłość naszych dzieci, mówiła z zapałem hrabina; a przecież to się może zdarzyć. O doktorze, gdybyś pan wiedział, ile ja nocy przepędziłam bezsennych z tego powodu. Umierają wszyscy następcy płci męzkiéj, a my biedne kobiety odpowiadamy za nich! Czyż nie jest to krzycząca niesprawiedliwość kochany doktorze? no powiedz pan — czy to zrządzenie wypadku, że tyle familij książęcych dziś wymiera.

— Wszyscyśmy śmiertelni, hrabino.

— Tak, pewnie; ale chciałam pana jeszcze spytać o coś innego. Jego K. M. bardzo mię niepokoi. Jak pan wiesz, nie widziałam go cztéry lata. Wtedy on był jeszcze taki rzeźwy, pełen życia, byłabym może sama nie odmówiła pójść za niego — a teraz on tak się podstarzał, tak się zmienił. Powiedz mi pan, doktorze, jeżeliś pan łaskaw, co mu jest takiego? Niepodobna, ażeby czas był główną téj zmiany przyczyną. Książę ma lat 66, cóż to za wiek? mnie się zdaje, że on musi być na prawdę chory. Bądź pan ze mną otwarty, doktorze.

— Jego K. M. cieszy się jak najlepszém zdrowiem.

— Rzeczywiście! niech panu Pan Bóg nagradza za jego słowa! bardzo mi to miło słyszeć. No, ale w takim razie, musi być jakaś przyczyna téj tęsknoty? Wypowiedziałam mu to otwarcie i westchnął; o doktorze, co to było za westchnienie! zmiłuj się pan, zechciéj mię, objaśnić co jemu jest? Możesz mi pan zaufać w zupełności.

— Pani hrabina żądasz odemnie objaśnień, których dać jéj nie jestem w stanie, — odpowiedział Herman, niecierpliwiąc się tą rozmową. — Sądzę, że niepewność dzisiejszego położenia, która owładnęła tak przewidującym i dobroczynnym monarchą, jakim jest książę, kryje się w grożącym politycznym nastroju....

— Na Boga, zawołała Stefania — nie obwiniaj mię pan o to, o co mąż mnie ciągle obwinia, że ja się niczém nie interesuję co się koło mnie dzieje; ale on to ciągle mówi o tém, że w niedalekiéj przyszłości przyjdzie wojna z Francyą. Ależ pan, doktorze nie jesteś żołnierzem a nawet i Prusakiem, to jest rodem nie z Prus, chociaż wy, Hanowerczycy, właściwie należycie do nas. Otóż masz, i ja zaczynam mówić o polityce! Wróćmy do naszéj rozmowy. Pan

jeszcze nie miałeś sposobności dowiedzieć się, że ze mną można o wszystktém mówić. Nie zapominaj pan, żeśmy od dzieciństwa z Jadwigą razem się chowały. A zatém znam Jadwigę lepiéj jak ktokolwiek, może nawet lepiéj, niż ona siebie samą. Spostrzegam zatém wiele rzeczy, które dla innych są niezrozumiałe. Mówiłam jéj przecie: Jadwigo będziesz sama nieszczęśliwą i unieszczęśliwisz księcia. Ale ona postawiła na swojém. Nie jest dobrze doktorze, gdy w tak ważnych razach postępkami naszemi kieruje tylko osobista wola.

— Naturalnie, ma się rozumieć, mruknął Herman.

— Byliśmy nadzwyczaj zdziwieni, a nawet rozdrażnieni — mówiła Stefania.—Jak dziś widzę nachmurzoną twarz mojéj matki, a co do hrabiego — ten już nie posiadał się z gniewu. Niech to będzie między nami, doktorze, ale wyznam, żeśmy się tego nigdy nie spodziewali po Jadwidze. No, ale cóż robić. Wszyscy ludzie chorują na egoizm. Nieprawdaż? Żałuję, miałam jeszcze o wiele rzeczy pytać ci się doktorze, ale może jutro pan będziesz tak dobry....

— Gdzież są nasi? zapytał książę, zbliżając się w téj chwili z von Cejzlem.

— Straciliśmy ich z oczu, odpowiedziała hrabina.

— Znajdziemy ich zapewne przy powozach, zauważył von Cejzel.

Skoro tylko hrabia spostrzegł, że towarzystwo zostało dość daleko za niemi, mówił do Jadwigi cichym i dość namiętnym głosem.

— Dziękuję pani, żeś tak prędko raczyła zadosyć uczynić méj prośbie.

— Zdaje mi się, że nie ma za co, odpowiedziała Jadwiga. — Bądź więc pan łaskaw powiedzieć czego żądasz? Cofnęła swą rękę z ręki hrabiego, w głosie jéj drżało wzruszenie, które hrabia nie omieszkał wytłumaczyć na swoją korzyść.

— Nie byłbym błagał panią o rozmowę, gdybym miał nadzieję, że pani zechcesz zrozumieć, pojąć moją niemą prośbę. Ale....

— Przepraszam, panie hrabio, przerwała Jadwiga; zdaje mi się, że mogę pana uwolnić od dalszych objaśnień. Naprawdę, że nie rozumiem, a nawet nie chcę rozumieć, zkąd pochodzi pańska śmiałość przypominania mi nawet wzrokiem, żeśmy się kiedykolwiek znali. Wiem, coś mi pan chciał powiedzieć; możesz się pan domyślać, co panu odpowiem; rozmowa zatém skończona.—Jadwiga rozgniewana, nawet nie pomyślała, że jeżeli chciała istotnie przerwać te dziwne objaśnienia, należało stanąć i poczekać na resztę towarzystwa; tymczasem ona szła szybko naprzód.

Hrabia szedł koło niéj.

Odpowiedź nie zmięszała go, bo ją przewidział, ale pod wpływem namiętności, która nim zawładła, sam na sam, pośród téj nocnéj przechadzki, w tym przecudownym parku, krew wrzała mu w żyłach; słowa jéj dolały tylko oliwy do ognia. Mimo to, owładnąwszy samym sobą, mówił spokojnie:

— Naturalnie, jeżeli sobie pani życzysz, przerwiemy rozmowę; ale będzie to niesprawiedliwością tak względem pani, jak względem mnie. Co do pani, będzie niesprawiedliwością dla tego, że naturalnie zechcesz wiedzieć, jakie będą teraz nasze stosunki; co do mnie, że winowajcy zawsze przysługuje prawo obrony. Winy z méj strony przyznam się, że nie widzę; wiem tylko żeś mię pani niesprawiedliwie osądziła, a pewność ta musi być niemiłą każdemu przyzwoitemu człowiekowi i przygniata go ciężarem winy.

— Czyż tak? spytała Jadwiga.

— Tak pani; dla tego właśnie raczysz mi pozwolić wypowiedzieć to, co miałem zamiar powiedzieć ci owego wieczora w Wissbaden i....

— Co! zawołała Jadwiga — czyż podobna — pan ośmielasz się wspominać o tym wieczorze.... czyż to podobna?

— Nie tylko, że jest podobném, pani, ale nawet powiem koniecznem. Żebyśmy się pojąć mogli, niezbędną jest rzeczą powiązanie urwanéj nici — nie mówię z czyjéj winy, ale porwanéj. Przysięgam pani na Boga, żeś pani powinna mię dziś wysłu hać. Żeby zaś rzecz cała nie była dla pani tak bolesną, przypuść pani, że nie mówiemy ani o niéj, ani o mnie, tylko o osobach obcych; o 24-letnim młodzieńcu i o 16-letniéj dziewczynce. Młody człowiek, oficer, rodowy szlachcic starożytnego i znanego nazwiska, a zatém zmuszony czy złą, czy dobrą, ale odegrać zawsze jakąś w społeczeństwie rolę. Młodzieniec znajduje się w wyższych kołach towarzyskich, a mianowicie w kole jenerała, który był jego opiekunem w korpusie i któremu wiele zawdzięcza. Żona jenerała zastąpiła mu matkę; a nawet dała mu uczuć, że z chęcią nazwałaby go swoim synem, co naturalnie jeszcze więcéj dowodziło jéj prawdziwéj, bezinteresownéj miłości; ojciec młodego człowieka nie miał fortuny, jenerał był bardzo bogaty. Mimo to wszędzie — w towarzystwach i na dworze, na związek ten patrzono jak na rzecz skończoną. Przychodzi wojna, oficer zostaje adjutantem jenerała; umierając na rękach swego adjutanta, jenerał poleca jego opiece swą żonę i córkę. Oficer po skończeniu wojny jedzie do wód towarzyszyć damom, niechcącym się pozbawiać jego opieki; tam spotyka protoplastę swego

8*

domu, z którym go dzieliły familijne rozterki i którego dotąd jeszcze nigdy nie spotkał. Ten nad wszelkie spodziewanie proteguje przyszły związek; oficer decyduje się uczynić to, coby każdy w jego miejscu bezwarunkowo uczynił, niezważając ileby go to kosztowało. A teraz otwarcie wypowiada to, o czém dwa lata temu wszyscy wiedzieli, i....

— Rozczulająca historya skończona,—przerwała Jadwiga,—przecudownieś ją pan opowiadał, nic nie dodając i nic nie ujmując, oprócz szesnastoletniéj młodéj dziewczynki, od któréj historya się zaczęła, ale któréj się już więcéj w toku opowiadania nie spotyka. Wreszcie, jest to tylko delikatna alegorya — nieprawdaż? Opowiadając w ten sposób, chciałeś pan wyrazić, że młoda dziewczynka należała do liczby osobistości, które są skazane na znikanie w towarzyskim cieniu, na usuwanie się każdemu z drogi, chociaż zdarza im się bezustannie stawać w poprzek drogi. Albo możeś pan sądził, że znam lepiéj od niego tę część historyi i że przypominam sobie, co kosztowało młodą dziewczynkę, kiedy widziała codziennie hrabiego starającego się o względy córki jenerała. Nie hrabio, precz z maskami! pocóż mamy grać komedyę, która jest niegodną ani mnie, ani pana. Miejmy śmiałość spojrzeć sobie prosto w oczy i wypowiedzieć prawdę. Tylko pod temi warunkami mogę usprawiedliwić tę rozmowę we własnych mych oczach, rozmowę, której sobie nie życzyłam, ani téż nie szukałam.

— A zatém wysłuchaj pan całéj prawdy, ja się jéj nie boję. Ja wtedy kochałam pana, kochałam namiętnie i sądziłam, że i pan mię kochałeś. Nie będę się rozwodziła nad tém, czy mi służyło to prawo, lub czyś mi pan dał powody, żeby tak myśleć. Kochałam pana; mówię to, bo nie chcę się wikłać w sprzecznościach. Nie wstydzę się tego, bom była wtedy młoda, bardzo młoda i naiwna; nie pojmowałam wtedy, żeby serce szlachetne mogło pragnąć czegoś więcéj nad miłość, żeby w miłości były na świecie jakieś przeszkody. Teraz śmieję się sama z siebie wspominając o tém. Wtedy nie byłam usposobioną do śmiechu, a jednak wybuchnęłam śmiechem głośnym i szyderczym, skorom się przekonała o téj strasznéj prawdzie, że człowiek ukochany, na którego wzajemność liczyłam, postanowił, — Bóg wié z jakich powodów, zdradzić i mnie i miłość własną. I pan naprawdę myślałeś, hrabio, że to objaśnienie z pańskiéj strony skończy się inaczéj? pan istotnie wyobrażałeś sobie, może jeszcze i teraz wyobrażasz, że ostatnia iskra wszechmocnéj miłości, zmusi mię w strasznéj chwili rozłąki, przyjąć pański pocałunek, nie odepchnąć ręki pana. Może nie będę znowu zrozumianą. ale posłuchaj pan — dla mnie wtedy pocałunek miłości, pierwszy

pocałunek, był takąż samą świętością jak modlitwa dla tego, który w nią wierzy. Tak — wzięłam ten pocałunek z taką wiarą, z jaką oddałam go.... Ale sędzia — słuchaj hrabio, sąd który winien był ukarać zdrajcę natychmiast; nie ukarał go, nie uderzył piorunem, on nie upadł martwym u nóg moich; księżyc tak samo jasno świécił, drzewa spokojnie szeleściały listkami, jakby nie było winy, ani przestępstwa...., wtedy zasłona moja, oślepienie zakrywające rzeczywistość znikło; zobaczyłam jaka szyderska komedya odgrywała się za zasłoną i wybuchnęłam śmiechem, ale śmiechem tak opętanym, że otaczający mnie pytali ze zdziwieniem, co mi się stało. No, ale wróćmy do naszych: zdaje się zbłądziliśmy, — dziwna! tak doskonale znam te miejsca, a mimo to przy świetle księżyca wszystko inaczéj się wydaje! A, rozumiem, zanadto poszliśmy w prawo, wyjdziem daléj na bitą drogę. Ztamtąd już nie zabłądzimy.... Ostatnie słowa Jadwiga wymówiła głosem spokojnym stanowiącym zupełną sprzeczność z tym, jakim mówiła przed chwilą. Hrabia nie wiedział co tu powiedzieć. Rozmowa przybrała zupełnie inszy obrót, nie taki jaki hrabia zamierzał. Wściekał się na samego siebie jak dzielny i śmiały jeździec, który zaczyna się obawiać o zwycięztwo w walce z dzikim i płomiennym koniem—i w téjże saméj chwili nigdy nie ubóstwiał więcéj Jadwigi, nigdy nie pragnął więcéj posiadać ją jak w téj chwili. Hrabia zrobił wysilenie nad sobą, musiał walczyć i pokonać własną namiętność, żeby się wstrzymać od chwycenia ją we własne ramiona, przyciśnięcia do piersi, a wreszcie powiedzenia: mów co chcesz, poniżaj mię ile ci się podoba, a ja cię kocham jak nigdy nie myślałem kochać. O dwieście kroków od nich na gościńcu widać już było powozy przy bladém świetle księżyca i około powozów ludzi; niezawodnie ich czekano. Rozmowa winna była się skończyć, ale nie wypadało kończyć jéj w tak zwykły sposób. Hrabia pospieszył dorzucić słowo: — i pani ze śmiechem oddałaś się starcowi nie za pieniądze, nie za tytuł i stanowisko, do tego nie byłaś pani zdolną — wiem o tém, ale żeby pomścić się na zdrajcy i unieszczęśliwić siebie na całe życie?

— Tego już za wiele, zawołała Jadwiga. To obrażające, to niegodne!

— Nie, pani, to nie obrażające — to zwykła, choć bolesna rzeczywistość, która szarpała mi serce i nie mogłem jéj niewypowiedzieć. Czy pani myślisz, żebym był ośmielił się mówić o tem, gdybym był cię znalazł szczęśliwą, tak szczęśliwą, jak jesteś nieszczęsną? Tak, pani, powinnaś mi ustąpić to bolesne prawo znania cię lepiéj od innych.

— Mam nadzieję przekonać pana, że udział pański — to tylko zwykła duma, że moje nieszczęście jest jedynie dziełem pańskiéj wyobraźni, że nieszczęśliwą nie ja jestem, ale pan—dla tego, że się panu nie udało zrobić mnie rzeczywiście nieszczęśliwą.

— O gdybyś mi pani tego dowiodła!

— Czego Jadwiga ma panu dowodzić? spytał książę, którego słuch czujny pochwycił ostatnie słowa.

— Że nocą może tak doskonale znać drogę jak i w dzień, odpowiedział hrabia. I nie potrafiła mi tego dowieść, w przeciwnym bowiem razie, bylibyśmy tutaj z całém towarzystwem, nie byli zmuszeni przepraszać W. K. M. za to, że na nas czekał.

— Aby tylko nocne powietrze nie zaszkodziło naszéj miłéj hrabinie, mówił książę zwracając się do Stefanii, która już siedziała w powozie.

— O ja mogłabym przesiedzieć tak całą noc odpowiedziała Stefania, zakrywając się starannie paltem.

W podróży do domu, Stefania bawiła towarzystwo; zresztą wszyscy milczeli. Ona tylko ciągle szczebiotała o tém, że wszystko było przecudowne, że jéj się bardzo podobało, — i zachwycająca pogoda i zadziwiający park i czarujący herbatni domek i przyjemna rozmowa i wreszcie romantyczna przechadzka przy świetle księżyca z tak wykształconym i rozumnym człowiekiem, jak pan doktór. Matka jéj bardzo się obawiała, ale ona zaraz jutro napisze, żeby była spokojną. Ona zawsze wyobrażała sobie zamek Rode — zachwycającém ustroniem; teraz przekonała się, że to prawdziwy raj ziemski.

— O, jesteś zbyt łaskawa hrabino, odpowiedział książę; — wszyscy milczeli, towarzystwo widocznie znajdowało się w złém usposobieniu. W drugim powozie także panowało milczenie, raz tylko von Cejzel zwróciwszy się do doktora zapytał: zdaje się, że nasza hrabina wyśmienita źmijka, — nie prawdaż doktorze?

Doktór nic nie odpowiedział.

(Ciąg d. nast.)

GAZELLE.

(Forma używana w poezyach arabskich i perskich).

przez

Karola Brzozowskiego.

I.

Przez ten blask słońca, co nigdy z zachodu,
Lecz tam od grobu Zbawiciela wstaje;
Przez te odwieczne a niezłomne prawa,
Co każą ludom pracować na maje,
Przez tę potęgę, co z ziarnek małuczkich
Dźwiga olbrzymy w górę i z nich daje
Cień w skwar lipcowy i owoc stworzeniu;
Przez te podstopne niezmierzone kraje,
Dla których nasza noc świt rozpoczyna;
Przez step bez krańca, przez te Himalaje;
Przez wieczną grozę lodów, biegunową;
Przez wieczną wiosną uśmiechnięte raje;
Przez gwiazd plejady płonące na niebie;
Przez śmierć, co życiu nieśmiertelność daje
Niech mądrość wasza w prochu się położy,
Jaka jest mądrość krom Mądrości Bożéj!

II.

Spytajcie gruzów rozpustnéj Niniwy;
Spytajcie ogniów chłonących Sodomę,
Spytajcie pustyń, co w fali straszliwéj
Piasków, topiły Kambizesów dumę,
Spytajcie gdzie jest ów kupiec sędziwy,
Tyr purpurami i bisiorem słynny,
Żądny rozkoszy i bogactwa chciwy;
Spytajcie Rzymu co świat opasywał
Jak wąż, łańcuchów strasznemi ogniwy;

Heliogabalów, Neronów pytajcie,
Stopą Timurów podeptanéj niwy,
Gdzie oni wszyscy, co po nich zostało?
Idźcie w Ogrojca stanąwszy Oliwy,
Spytajcie świętą krwią zlanéj Golgoty,
Kto jest zwycięzca i kto sprawiedliwy!

III.

Jeźli z sitowia kolebka zielona,
Po Nilu ludu mściciela niosąca;
Jeźli zastępy dumne Faraona
Nakryte morskich bałwanów odmętem;
Jeźli cierniowa Chrystusa korona;
Jeżeli cyrków zwalona arena
Grzmiąca oklaskiem i tą krwią czerwona,
Która tygrysów, lwów głody karmiła,
Jeżeli strzała Szwajcara sławiona,
Która po jabłku piersi kata szuka;
Jeźli to wszystko milczy i stracona
W tém wszystkiém straszna dla katów przestroga. —
To ty wiedz ludu! że na krzyżu kona
Bóg-Człowiek tylko na trzy krótkie doby;
Że Rafaelów błyszczy tam Madonna,
Że Watykany tam gdzie Kolizeum;
Że kędy Gessler, tam Telów ramiona;
Kędy Bastylje, tam lipcowy posąg;
Że krew, łza, wiary rozbnjnia nasiona;
Że jeźli straszne jest tyranów ramie,
To potężniéjsze — co zawsze ich łamie.

HEGEL I KREMER.

PRZEZ

Bron. Ferd. Trentowskiego *).

I.

Od 26 lat żyjąc za granicą, a w duchu narodowym szukając posiłku dla duszy własnéj, baczyłem wciąż pilnie na piśmiennictwo krajowe i czytałem, co wpadło mi w ręce. Nie żądam wcale uwlec tu żadnéj, by téż najdrobniejszéj zasłudze. Szanuję wielce bogate poszukiwania dziejowe z tego czasu, uczone dzieła różnorodne, pięknie rozwinięte powieściarstwo i prace wieszczów, śród których napotkałem kilka gwiazd pierwszego rzędu, i wszystko, co tylko zacnego, a dobréj woli. Także umiejętność mistrzowska, na ziemi naszej wschodząca, budziła we mnie uwielbienie, szczególnie dla znakomitego naszego Dra Libelta Karola; podawałem téż niektóre sprawozdania, np. o Bochwicu i innych w pismach Poznańskich. Każdemu oddaję sprawiedliwość. W ostatnich czasach doszło rąk moich z kraju ważne treścią, zalecające się wykładem, a brzemienne wpływem zbawiennym na naród, dzieło Dra Jozefa Kremera, p. tyt. Wykład systematyczny Filozofii itd. Jeżeli głos mój płaci co u Ziomków, zwracam uwagę ich na xięgi te, ganię dotychczasową obojętność dla nich, a wołam i upo-

---

*) Lubo praca ta od kilku lat jest napisaną (niegdyś do „Teki Wileńskiéj“ przeznaczona), a autor jéj znakomity i powszechnie u nas znany umarł; przecież ze względu na jego sławę, i zasługi w literaturze, sądzimy, że rozprawa, którą tu podajemy zasłuży na uwagę i uznanie Szanownych Czytelników naszego Pisma.

Red.

minam z oddali: „Czytajcie“! Kto w pismach tak wysokiego duchowcgo polotu i wartości takiéj nie smakuje; wpada, zaprawdę, w podejrzenie jałowości, lub ubóstwa własnego ducha*.

Cóż więc, czy to Józef Kremer podaje w xięgach swoich umiejętny świat nowy, nigdy niesłychany i niepostrzeżony? czy niesie nam pomysły ogromne, śmiałe, przewracające wszystko do góry nogami; czy zapalił się jasném jenialności słońcem, mającém Narodowi przyświecać w odległe wieki, a s powodu tego waży tak wiele? Nie! On niekusi się wcale o archanielstwo takie i sam mówi: „Wyznaję, że mnie w tej pracy bynajmniéj nie podrzucała chętka utworzenia nowych systematów; one są wyłączną dzielnicą jeniuszów.... Jestem zdania, że zrozumienie i wyjaśnienie, a nawet wprost przetłumaczenie nauki jeniuszów, jakim jest np. Plato, Arystoteles, Leibnic, Kant, lub Hegel, jest sprawą nierównie trudniejszą i wyższego znaczenia, niż występowanie z lada pomysłem i systematem, niemającym warunków życia w sobie“. (Przedmowa do Tomu I. str. VI.)

Może Kremer urobił sobie niebiańskie do bram Przyszłości klucze, a ofiarując je, dopuszcza nam spojrzeć we zmroczone obaw i nadziei rodu ludzkiego kraje? Także nie! On prawi w §. 643. „Niepodobna jest mocą abstrakcyi loicznéj oznaczyć i wywróżyć koleje i ścieżki, któremi kroczyć będzie pochód ludzkich dziejów; niepodobna jest „konstruować historyi a priori“, bo nieprzewidziane są drogi, któremi Bóg ród ludzki przez historią prowadzi.... To konstruowanie jest tém niepodobniejsze do prawdy, że dzieje człowiecze rozwijają się, nie w abstrakcyi loicznéj, ale śród fizycznego świata“. Messyanizm Wrońskiego, wszystkie tak zwane Historyozofie są tedy w oczach Kremera czczą ułudą. — W ogóle on wrogiem pierwiastku ujemnego i wszystkiego, co nim pachnie; co tylko jest dziełem przeczenia. Dlań twierdzenie święte, to co zowie się za granicą „positif“, główna i stanowcza rzecz.

Czémże więc praca Kremera tak ważna? — Silném umiejętności już danej, a wszechwładnie panującéj ujęciem w swoje ramiona; powstrzymaniem jej na drodze, którą wiodła ród ludzki wprost do bezdennéj przepaści, i nadaniem jéj innego kierunku. Szła do piekieł coraz głębiej;

on odwrócił ją i pchnął do niebios, aby podleciała ku Bogu. I udało mu się to popchnięcie. Ażali to mało?

Kremer niedaje się porównać s Kartezyuszem, który wystąpił z mądrością nową. On nic nowego — niewyprowadza na widnią ludzkiego ducha. A wszelakoż, jako niegdyś Kartezyusz, wychodząc z ugruntowanéj już i panującéj umiejętności średniowiecznéj, a brodząc w jéj zatopach, zamknął dawny Czas ślepej wiary i szkolnictwa, otworzył, sam niemyśląc i niewiedząc nic o tém, na oścież podwoje do Czasu niewiary i mądrości li tutecznéj, słowem, odwrócił pochód ducha ludzkości i stał się przez to Ojcem Oświaty dzisiejszéj; — tak Kremer, opierając się, jako s całą uczciwością zeznaje sam, na Heglu i zanurzając się w głębiny mądrości jego, która nalazła tyle uczniów i tak powszechną wziętość, zadławia potężną dłonią na końcu rzeczy jej Wszechbożeńskość pogańską, lub tak zwany Panteizm, a ucinając smokowi temu tysiącołbowemu szyję, tudzież ogromne skrzydła, zakrywające niebo, lub tamten świat, odsłania wreszcie na wysokości najwyższéj Boga osobistego; pracuje więc zwycięsko i gruntownie około Chwały Chrześciaństwa, oddaje mu napowrót berło duchowe i kładnie na starą czcigodną Ojców naszych Wiarę świeżą promiennicę z jasności słońca nad Spreą. I choć nieprzynosi sam nic nowego, zamyka czas stary, a otwiera nowy, uderzający czołem, nie przed bałwanem świata tego, jak dotąd, ale przed Bogiem istnym żywym. — On mądrości nowej, mającéj ludzkości przodować na przyszłość, staje się Ojcem, lubo nieofiaruje jej jeszcze sam.

Duch Kremera nurtuje w Heglu, nie nakształt czerwu, niweczącego to, czem się sam tuczy, jak czynić to zwykli Rozwalacze pospolici, lecz iście nakształt Cherubina, zapalającego iskrę niebiańską we wszystkiém, co godne żywota, oddychającego miłością zgoła wtedy, gdy przykłada do szyi smoka płomienisty miecz śmierci i zabija. On ceni Hegla wysoko, ofiaruje wszystkie mądrości jego skarby i przerabia całą naukę jego na pożytek rodaków, ale tak, iż Hegel blednieje zwolna i umiera, a konając wykrzykuje, jako Pankracy w Komedyi nieboskiej: „*Galilee vicisti*!“

Kto przeczyta księgi te Kremera, nabierze należytego wyobrażenia o Umiejętności niemieckiej najwyższego wyjawu, albowiem najdzie w niej wszystkie te same Części

Przedmioty i Przystajnie, pozna ruch jej rozwoju i uczuje całą jej potęgę, lecz zarazem, obaczywszy na końcu ziewy przepaści, otwierające się w głębinach dołu wskutek jej obłędu, tudzież Boga Osobistego w głębinach góry, wskazanego sobie w opracowaniu jej polskiém, rosstanie się się z nią stanowczo, udając się, w miarę osobistego usposobienia, albo pod kościelne chorągwie wiary, albo też pod proporce rodzącéj się właśnie w kilku jasełkach mądrości narodowéj, z duchem Chrześciaństwa zgodnej.

Ważność pracy Kremerowej jest tém niepospolitsza, iż on rospoczął cichą walkę ze Wszechbożeństwem Heglowskiém, niemieckiém i zachodnio-europejskiém wtedy, gdy wszystko jeszcze mu hołdowało, a odstępca odeń uważany był za coś nakształt nietoperza. Okazuje to głębokie przekonanie i niepospolitą odwagę pisarza. S tej strony Cześć mu i zasłużona Chwała!

Przed trzydziestu laty garnęli się Polacy do Hegla. Przypominam sobie, że kto naówczas w Warszawie nierosprawiał o nim, uchodził niemal za nieuka. Dziś potępiają Hegla w całym kraju, robiąc go kozłem ofiarnym za grzechy ludzkości, dość sromotnie wyczynione. Skądże to? Zawiedziono się na nim. Jako niegdyś, nieznając go wcale, zaufano mu za wiele; tak dzisiaj, poznawszy coś z niego, łają go także za wiele. On wszakże najgłębszy wyraz naszego bezbożnego i zarozumiałego czasu, zwierciadło Człowieczeństwa dzisiejszego najwierniejsze! Uderz się każdy w pierś i wyznaj prawdę, czyś lepszy od niego Nie! Pisarze szydzący przy lada nagodzie polskich Hegelczyków, sponiewierali Hegla, albowiem Rozum tak potężny, odbijając od siebie dowcipki rozumków kusych i mdłych, jest na pociski takie nieczuły. Ani nawet Mickiewicz nie zniweczył wpływów Hegla, krzyknąwszy nań z Paryża. Głos jego choć tak potężny przecież na to nie wystarczył, bo aby obalić umiejętność ściśle systematycznie rozwiniętą, trzeba rozwinąć drugą równie ścisłym systematem będącą. Hegla pokonał i wyparł u nas naprzód duch narodowy, przeczuwając wcześnie w nim najniebespieczniejszego sobie wroga i niedowierzając mądrości berlińskiej, już dla tego, że kacerska, a powtóre Kremer, przeobrażając go po swojemu, tj. z mocarza pogańskiéj Minerwy zarozumiałego i nieugiętego w pokornego Odźwiernego bram wiary. Hegel u siebie jest, czém

się zrobił sam, tj. Wszechbożnikiem; a Hegel w Kremerze jest tém, w co przerobił go Kremer, tj. Chrześcianinem.

Co rzekło się dotąd o pracy Kremera, jest prawda istotna i nieomylna. Księgi jego budzą i potwierdzają takie przekonanie. Ale i to widzi się być prawdą, że Kremer nie zamierzył tak wiele, jako dokonał. Stało się to jakoś pomimo jego woli. On niechciał zabić Hegla jako to uczynił. I owszem usiłował dać mądrość jego w pełnéj rostoczy Narodowi swojemu, i przyozdobić ją tylko wdziękami własnego pióra. Nie on tedy sam, ale właściwie mówiąc, wiara żywa, wiara z mlekiem matczyném wyssana, od któréj nie chciał i nie mógł odstąpić, sprawiła to, iż dzieło jego, pomimo opierania się na Heglu, jest całkiem zgodne z duchem zasad chrześciańskich.

Obaczmy ninie, jako Kremer sam w przedmowie do tomu pierwszego uczynił liczbę z zamiarów swoich, chwytając pióro do ręki!

„Pragnąłem, mówi on, zjednoczyć dwa względy. Z jednej strony byłem przekonany, iż nikt s Piszących nie może być zniewolon, aby z wyrzeczeniem się własnéj samodzielności powtarzał jedynie myśli obce, choćby najświetniejszéj powagi; owszem, jego prawem i powinnością est, by wystąpił na jaw i rozwinął wypadki, jakich się dorobił własném myśleniem nad przedmiotem swoim: z drugiéj strony uważałem za równie ważną powinność, by Piszący niepomijał z lekkością prac spółczesnych, a opierał się na poprzednikach swoich, bo tą jedynie drogą zdobyć sobie można stanowisko silne i potężne. Wzgląd ten był dla mnie tém ważniejszy, iż zakładając sobie ułatwić miłośnikom filozofii bliższe rospoznanie się w téj umiejętności, rozumiałem, że główném zadaniem mojém być winno: oswojenie ich przedewszystkiem s treścią filozofii już istniejącéj w świecie i mającéj powszechnie uznaną powagę. Niespuszczając tedy z oka obu tych względów, mam nadzieję, żem je oba zjednoczył. ....Ufam, żem zadość uczynił temu celowi, lubo zachowałem zupełną samodzielność, przerabiając po swojemu tak całość osnowy, jak i szczegółowe jej części, a co więcéj ośmielając się torować sobie nowe drogi, ile razy wzywało mię do tego własne przeświadczenie moje....

„Chcąc poświęcić tę pracę większéj publiczności naszéj, zwłaszcza młodym miłośnikom filozofii, postanowiłem wyłożyć tę umiejętność jako Całość, obejmującą wszystkie jej gałęzie. Oparłem się w tym względzie na Encyklopedyi Hegla, przeistaczając ją wedle własnego stanowiska mojego. Bo pomijając nawet inne jéj szczegółowe, choć pełne wagi niedostatki, wyznać wypada, że Idea bezwzględna niemoże zadowalniać, jeżeli uważana będzie za ostateczny kres filozofii; idea ta nieosobowa, jak niezaspakaja serca pełnego prawd Wiary Chrześciańskiej, tak niewystarcza również dla myśli filozoficznéj, rozwijającéj się s całą ścisłością loiczną. Idea bezwzględna nie jest ostatnią kategoryą loiki; niejest ostatniém słowem filozofii. Szczytem najwyższéj mądrości ludzkiéj nie jest Abstrakcya, ale Osoba bezwzględna, Bóg. Główném więc zadaniem mojém było przeprowadzić tę prawdę; myśl takowa wpłynęła przeważnie tak na pochód treści całéj mej pracy, jak na podział jej".

Cóż tedy wziął przed się Kremer? Oswoić Polaków s treścią mądrości mistrzowskiej ostatniego wyczynu wielkiego, czyli Heglowskiej, a wykładając ją w kształcie Encyklopedyi, przykroić zwolna tak, iż wypadkiem jej będzie nie to, co stoi na jéj czele, czyli Heglowska Idea bezwzględna, nieosobowa, nieświadoma siebie, ani Heglowski duch ludzki, będący Idei tej ostateczném uiszczeniem, ale Osoba bezwzględna, lub osobisty żywy, chrześciański, jedynie prawdziwy Bóg.

Niejeden s czytelników myślących ninie zawoła: „Ależ przekrojenie takie filozofii Hegla wcale nie fraszka! Do Umiejętności danej nie można uczynić dokładu tak stanowczego, który na żaden sposób się z nią niezgodzi. Osoba bezwzględna, którą jest Bóg, sadzi się natychmiast na czele rzeczy i robi się głównym jej pierwiastkiem. Niepodobna podciągnąć jej tak pod Ideę bezwzględną, jak Bramę pod Parabramę, Jaha pod Sfinksa, lub, co uczynił Szelling berliński, Boga pod ciemny grunt pierwiastkowy; niepodobna zrobić z niej jeden z wewnętrznych czynników tej idei bez ubliżenia Bogu. I owszem, ona pochłania w sobie Ideę bezwzględną, jako własne dzieło. Czy tedy Kremer przestał zupełnie mówić o Idei bezwzględnej, a kładnie na miejscu

jéj Osobę bezwzględną? Jeżeli to uczynił, nieda nam, jako zamierzył, filozofii Heglowskiéj, lecz zupełnie inną i własną na Osobie bezwzględnéj opartą. Jeżeli zaś nieuczynił tego, a prawi zarówno o Idei bezwzględnéj, jako o Osobie bezwzględnej; to chyba wprowadza, co nigdy jeszcze nie było, do mądrości swojéj, która, jak wszelaka inna, powinna być jednolita, dwa wprost przeciwne sobie, jakby niebo i ziemia odwrotne, a wypychające się wzajem pierwiastki! Heglowska bowiem Idea bezwzględna, to Ogół ducha, Wszechbożeństwo, Pogańszczyzna, a Kremerowska Osoba bezwzględna, Pojedynek, zrobiony Absolutem, Bóg istny, Chrześciaństwo. Są to dwie mądrości, których zlać w jedno nie można. Jeżeli posadzisz osobę bezwzględną na miejscu Idei bezwzględnéj, dasz co innego, jako się już rzekło, ale nie Hegla, albowiem rugując pierwiastek, wywraca się system. Jeżeli znowu wpuścisz z góry do dzieła i Ideę bezwzględną i Osobę bezwzględną, to albo uszyjesz dwubarwną szatę, jaką przyodziewają zbrodniarza, idącego pod katowski miecz, albo uderzysz kolanem przed Dwójcą, któréj wyrazami Biełboh i Czernoboh, a w obu razach przestaniesz być istnym myślicielem. Jeżeli zaś usadzisz na początku Ideę bezwzględną, a przeobrazisz ją w końcu w Osobę bezwzględną; naonczas idea ta będzie matką, a Osoba córką, co nieprzystaje wcale do Boga. Jeżeli wreszcie uznasz Ideę bezwzględną za pierwiastek, a Osobę bezwzględną za ostateczny zeń wypadek; wtedy nie napiszesz filozofii właściwéj, ale zrobisz wywód nowego prawdziwszego pierwiastku, lub uciosasz kamień węgielny dla Umiejętności następnego wyczynu, którę kto inny ma zbudować. Cokolwiek tu zamierzysz, zawsze źle s tobą! Jakże więc co do sprawy tej s Kremerem?“

Kremer, odrzekam, nie stawi Osoby bezwzględnéj na czele, albowiem nie chce tworzyć własnego systemu; nie pociąga Osoby bezwzględnéj pod Ideę bezwzględną jako jeden z wewnętrznych jej czynników, ponieważ zna on wybornie wysokie pojęcie chrześciańskiego Boga; — nie uświęca dwu tych pierwiastków zaraz na początku i z góry, a z nauki swojéj nie szyje ani szaty dla zatraceńca, ani pokrowca na Zenda-Westę; —

niezamienia Osoby bezwzględnéj w Córę Idei bezwzględnéj, — nieociosuje kamienia węgielnego do mądrości komu innemu, lecz wylewa s siebie bogatą mądrość udzielną; a przy tém wszystkiém dzierży krzepko i razem tak Ideę, jak Osobę bezwzględną. Jako on to podołał? Zdaje się, że dwie wprost sobie przeciwne potęgi wywarły nań wszechwładne i niepodobne do zatarcia wrażenie: za dzieciństwa wychowanie katolickie, a za młodu nauka Hegla. Obie te potęgi rozgościły się w duchu jego jednako, nie chcąc jedna cofnąć się przed drugą. Rozdzierały bez wątpienia wszystką istotę jego straszliwie. Ale Rozdawca darów niebieskich nie skąpił mu rozumu. I oto stało się, iż Kremer dopiął świetnie co zamierzył, a co wydaje się niemożebnością, t. j. pogodził filozofią Hegla z Chrześciaństwem, lecz zarazem, ponieważ niemożebność zmożona pomścić się nad nim musiała, dopiął i tego, o czém niemyślił wcale, a co wynikło samo przez się, jako nieubłagana konieczność, t. j. iż mając do czynienia s filozoficzną treścią sobie daną i uchrześciańszczając ją wszędy, przełamuje Hegla samymże Heglem, obraca przeciwko niemu własny jego oręż, trzymając go ciągle w najżyczliwszéj dłoni, i zadaje tym sposobem nauce jego, którą sam pielęgnuje, śmiertelny cios.

Widzi tu każdy, iż rzecz staje się wielce ciekawa, tudzież iż warto zapoznać się z nią nieco dokładniéj.

II.

Jako do Hegla samego, tak i do Kremera przystęp jest trudny, a Odstęp od nich jeszcze trudniejszy. Jednego i drugiego nauka, to Zamek umiejętny najnowszego wymysłu, zbudowany iście po mistrzowsku, zbrojny zewnątrz niepodobném niemal do zdobycia loicznem ostrokołem, a wewnątrz Uczą i Saczą, lub Metodą i Dyalektyką, krępującą bez trudu myśl najbardziéj potężną w sieci i powrozy żelazne tak, iż utraca ona rychło ruch sobie właściwy, a obraca się potulnie to w prawo to w lewo po żołniersku, jako jéj każą. Kto wdarł się do Zamku tego obaczy wnet Gorgony; zostaje urzeczon i stoi

pod wpływem ich wszechwładnym. Albo utkwi on tu na zawsze, gdy mu się wszystko podoba; albo też uciecze, nie chcąc się nawet oglądać, gdy mu jakoś za cudzo, lub za ciasno. Ktoby zaś zażądał zdobyć i rozwalić Ostróg ten Minerwy, musiałby zabrać się tak do dzieła, jak Kremer do Encyklopedyi Hegla. — S tego powodu i Oceniacz rzeczy tu w kłopocie. Niepodobna mu tknąć się najmniejszej drobnostki, bo Całość wali się natychmiast na kark, rozgniatując brzemieniem swojém na miazgę. Gdybyś zamierzył wdać się w szczegóły; napisałbyś chyba księgi jednako wielkie, jako te, które nicujesz. Lecz mało! Kremer prawi encyklopedycznie, zaczém o każdym przedmiocie tak krótko, że gniewać się nań nieraz wypada, iż urywa rzecz, którą ledwie że rospoczął i głównym zarysem oznaczył. Każde ogniwo łańcucha tego ma ugruntowanie we wszystkiém, co poprzedziło, i we wszystkiém, co następuje. Rusz tedy co tutaj, to musiałbyś, prostując szczegół jeden, zaplątać się w krocie innych, z nim związanych i prostować je wszystkie, a przeto rozpisać się bez miary dłużéj niż Kremer sam. — Cóż tedy tu począć? Obejrzy się Umiejętność tę co do jéj Pierwiastku, Sprawdzianu Poznania (criterium), Uczy, Saczy i wypadku głównego; uczyni się w końcu różne nad nią uwagi, słowem, obmaca się ją po wierzchu, zostawiając bogate jéj skarby i kopalnie wewnętrzne czytelnikowi samemu.

Niepodobna inaczéj ocenić Kremera i oddać mu sprawiedliwość w miarę niepospolitéj jego zasługi, tylko stawiąc go podle Hegla i wykazując, jak niesłychanie wielka pomiędzy nimi różnica. Uczynię to więc tak krótko, o ile można, poczynając od Hegla. Dam ninie Rys ogólny nauki niemieckiego Mistrza. Dokładam atoli z góry, iż Rysów takich, co chwila inszych, sporządzić da się wiele bez wyczerpania rzeczy. Ja tak go ułożę, iż to jedynie w nim podniesione będzie, co widzi się mi być niezbędne do zamierzonego tu celu.

Hegiel tak naucza:

„Istotą wszystkiego, co było, jest i będzie, co się staje i dzieje, co się myśli, czuje i działa, jest Idea bezwzględna. Co ona?

„Subjekt = Objekt; lub:
„Myśl Badacza = Myśl Wszechistnienia.
Jest to jedność Pojęcia w Osobie siebie świadoméj i pojęcia, uśpionego nieświadomości snem we wszechnicy świata, czyli Jedność myśli mojéj i Myśli, stanowiącéj we wszelakiéj rzeczy jądro i piastę“.

Objekt tłumaczy się dobrze na polskie przez Przedmiot; ale Subjekt walczy z trudnością dobrego przekładu. Ja mianuję go, jako to dość powszechnie przyjęto i jako to czyni również Kremer, Podmiotem, ale jedynie wtedy gdy rozumie się pod nim Myśl ogólną, w rzeczach obecną i siebie nieświadomą, lub powszechnego ducha bez własnego przeświadczenia, słowem, wewnętrzne rzeczy pojęcie nieosobiste. Wszakże w wyrazie Podmiot, równie jak w wyrazie Przedmiot, nie czuje się nic a nic z Osoby. W człowieku np. Przedmiotem jest ciało, a Podmiotem dusza, z duchem ogólnym związana, nieosobista. Pod jaźnią zaś jego, lub nieśmiertelną i osobistą iskrą z niebios, stoją oba te jego światowe czynniki i wypełniają, co ona im rozkazuje. Jeżeli zaś Subjekt oznacza, nietylko myśl, ale i przeświadczenie osobiste, lub człowieka wewnętrznego, myśl tę wypowiadającego, słowem tyle, co Jaźń, Ja; wtedy przepolszczam go, ze względu na nazwę Przedmiot i potrzebę wyrazu s tego samego źródła, Kmiotem. Kmiot znaczy w języku zwyczajnym chłopa, człowieka, znaczyć więc może w języku filozoficznym Heglowski Subjekt lub osobistą Istotę. Jest kmieć, wyraz częściéj od Kmiotu używany, na nazwę chłopa; kmiot tedy stać się może nazwą świadomego siebie i osobistego podmiotu. Po téj językowej uwadze, wracam do rzeczy.

„Zaczém Heglowska Idea bezwzględna, to Jedność Kmiotu i Przedmiotu, przenikająca Wszechistnienie, lub Jedność myśli świadoméj siebie i Myśli nieświadomej siebie; Jedność wiedzy osobistéj i Wiedzy nieosobistego Bezmiaru rzeczy, Pojęcia i Zjawiska istoty, Słowa ludzkiego i Bożego.

„Przedmiot znaczy tu, mówiąc w języku Polszczyzny starej, Podstatę, lub z łacińska Substancyą, wewnętrzną treść Bytu, Myśl wiekuistą, wyczyniającą się we Wszechświecie, słowem Ogół filozoficznie pojętego Istnienia; — Kmiot zaś jest naprzód Pojęciem pew-

ném, ograniczoném we właściwy sobie większy lub mniejszy zakres, będącém odrębną, jednostkowość do bytu wywołującą czegoś wewnętrzną istotą; później Rzeczą udzielną, jako Pojęcia tego zewnętrznym wyjawem; wreszcie Świadomością i Nazwą ludzką, godzącą to pojęcie z rzeczą, krótko mówiąc, nie Ogółem, ale czemściś pojedynczém, lub w języku Petrycego, Pojedynkiem. We świadomości ludzkiéj Kmiot nabiera właściwego sobie znaczenia i s Pojedynku staje się Osobą.

„Przedmiot lub Ogół, (prawi dalej Hegel), Przędziwo przedwieczne, s którego uprzędzion i utkan jest Wszechświat; studnica bezwzględna wszech myśli i Bytu; słowem Osnowa i Miazga powszechna; Kmiot zaś lub Pojedynek, nić jedna, s przędziwa tego wydobyta, Forma, którą przyjmuje powszechna treść wszędy i zawzdy. Ruch myślenia wiekuistego, sprawujący stworzenie, rozwój i pochód świata, zależy na tém, iż Przedmiot staje się co miejsce i co doba Kmiotem innym, a Kmiot ten, odbywszy przeznaczenie swoje, obraca się na powrót w Przedmiot, z którego znowu wynijdzie; czyli, iż Ogół wyczynia się przez nieskończenie mnogie Pojedynki, t. j. Pojęcia, Rzeczy i Osoby, które wszystkie wracają do Ogółu, ażeby wydostać się zeń na nowo w postaci innéj.— Przedmiot sam, oderwany od Kmiotu, nic nie waży, albowiem to treść wszystkiego głucha, nieumiejętna, niewiedząca o sobie. Podobnież Kmiot sam, s przedmiotu wszelkiego wyzuty, nic nie jest; ponieważ byłby świadomością bez treści, zaczém i bez bytu w sobie, rospływającą się tedy przez to samo w czcze nic. Główna zatém, dzierżyć Kmiot i Przedmiot pospołu. Dla tego, nie Kmiot, ani Przedmiot sam, ale Kmiot-przedmiotowość, wyświęcająca się i w Cale i w każdym Istnienia Kawale, jest Prawdą, lub Ideą bezwzględną.

„Idea bezwzględna (uczy dalej Hegel), lub Kmiotprzedmiotowość powszechna, skłoniona do ruchu przez własne czynniki wewnętrzne, wyjawia się, tak na łonie Wszechświata, jako w Umiejętności sporządzającéj jego wyraz, w trzech wielkich dzielnicach. Naprzód: jako Loika, będąca Ideą czystą, rostaczającą się w las pojęć, zdań i wyników, sprawujących grunt rzeczy; lub słowem s kroci słów złożonem, mającem przeobrazić się w ogromne Ciało, we Wszechświat; lub Przedświatem,

ofiarującym nasienie dla Świata, tém, co nazywać się zwykło Ontologią. Powtóre: jako Filozofia natury, ukazująca się i wewnątrz Przyrodzenia i w Umiejętności Ideą nieczystą, od siebie saméj odpadłą, za siebie wypartą, w innobyt własny przelaną, w wewnętrzny rozbrat s sobą we Dwójeę, lub Walkę Myśli s Ciałem zanurzoną, słowem Loiką, uzewnętrzniającą się we Wszechnicy rzeczy. Potrzecie: jako Filozfia ducha, wyświecająca się i w Człowieczeństwie i w Umiejętności Ideą powracającą z za siebie do siebie, lub ze świata do Loiki, godzącą Myśl z Rzeczą, Świadomość z Nieświadomością, słowem Loiką, w postaci Ducha. Tutaj wydobywa się w końcu na widnią Duch bezwzględny. Idea bezwzględna bowiem na łonie Loiki zapada w Kmiotowość własną, na piersiach świata znowu w Przedmiotowosć; zaś w Duchu, o którym rzecz, wyczynia się w pełni Kmiot przedmiotowości swojéj. Duch ten, jako bezwzględny, ukazuje się Rozumem bezwzględnym. Wiedza jego także bezwzględna. On prowadzi stworzenie świata i dzieje. Stąd wszystko, co jest, jest rozumne. Najprzedniejszym bo świadomym siebie wyrazem jego Umiejętność ludzka. — Dla tém jaśniejszego przełożenia rzeczy, pożycza się tu kościelnego języka. Idea bezwzlędna w ogóle, to Bóg. Idea ta w Loice, dźwigającej Świat i Ducha, a będącéj stwórczém dla wszystkiego Słowem, jest Bogiem Ojcem; idea ta sama, utopiona w przyrodzeniu i będąca jego jądrem, jest Bogiem Synem; idea ta sama wreszcie, wymawiająca się przez Ducha, jest Duchem świętym. Trójca ta i ryczałty i drobnostki, wszystko a wszystko przenika. Ona wiekuiste Prawo.

„Sprawdzianem umiejętnym twierdzi następnie Hegel, dla wszelakiej rzeczy jest Pojęcie, jako jej istota, a Pojęcie to zamyka w sobie Ideę bezwzględną w trzech stanicach swoich. Wszelaka rzecz tedy, chcąc zrównać pojęciu, występuje jeden raz w sobie, lub w pierwiastkowéj jedni s sobą, drugi raz za sobą, lub w odpadzie od siebie i w wewnętrznéj walce s sobą, a trzeci raz w powrocie do siebie, kędy otrząsa się z innobytu swego i staje się jednym s promieni Ducha. — Pojęcie, a z niém sama Idea bezwzględna, zamienia się w Ucz i Sacz umiejętną. Ucz i Sacz ta podaje wszelaki przedmiot, jako jeden z wyczynów, coraz pełniejszych i prawdziwszych, Idei bezwzględ-

dnej. Zapatruje się nań przez szkiełko Pojęcia. I oto odkrywa w nim trzy stanice, w których na pierwszej jest on w sobie, na drugiej za sobą, a na trzeciej s powrotem do siebie i zwycięstwem nad przeciwieństwami, w które się rospadł. Na każdéj s tych stanic przedmiot staje się przedmiotem innym, a ledwie że je przewędrował i obaczył się wreszcie jako ustrojna Całość, ugląda się jedném tylko czegoś innego ogniwem, mającém odwrotność swoję, którę porodził sam podczas własnego wzrostu i rozwoju. Przepływa więc w tę odwrotność, która ukazuje znowu trzy, przerzeczone wyżej stanice, zaczém i trzy przedmioty nowe, a na końcu widzi, jako porodził tu coś trzeciego, kojarzącego w sobie dwie odwrotności dane, a porodzającego znowu przedmiot dalszy. Tak toczy się umiejętność Hegla przez Loikę, Filzofią Natury i Filozofią Ducha, oraz przez mnogie ich Rozdziały i drobne części. Występuje huk rzeczy. Każde ogniwo czepia się ogniwa poprzedniego i następnego. Większe ogniwa tkwią w większych, a mniejsze w mniejszych. Tym sposobem tworzy się, zaiście, znany s celtyckich tajemnic u Druidów, cudowny Więcierz Garanhira, s którego mierna głowa niepodoła się wyplątać, a który zadzierży w sobie i skrępuje zgoła ducha wyższego. Ponieważ tu wciąż jedno porodza drugie, przeto Ucz i Sacz ta nazwana została porodną, lub genetyczną, a umiała rozbudzić o sobie wyobrażenie bezwzględnéj Prawdziwości i umiejętnéj Wszechmocy. — Hegiel, tak postępując, zatrząsł duchem Germanii i zdobył w niéj na pewien czas wyłączne Panowanie. Odwoływano się doń, jako do wyroczni, a uczniowie jego prawili głośno: „Przezeń przemówił Rozum bezwzględny, a słowo jego każde jest nieomylne!“ Nic tedy dziwnego, że również Polacy kusili się zabrać z nim bliższą znajomość i obejrzeć tak wielkie Cudo niemieckie!“

Idea bezwzględna Heglowska podobna jest do Hekaty. Zachwyca i porywa myśl wielkością swoją, ukorza ją bezdenną głębokością i rosszerza w bezmiary wszechistnienia, które odróżniając je od nieskończoności wrzkomej (progressus in infinitum), robi sobie leciuchną igrą. Myśl tu siada na jéj skrzydła i tuli pod nie nieogarnione światy. Szczególniej dla lepszych głów młodych ma ona czar, któremu oprzeć się niepodobna. Pozyskawszy je od-

słonieniem prześlicznego oblicza swojego, okrywa je uczy i saczy swej siecią. I oto pozostają jéj brankami na długo, lub na zawsze. Szeling tworzył wielkiemi pomysłami, puszczonemi luźno w świat, samych mistrzów, jak np. Okena, Stefensa, Frańciszka Baadera a w końcu Hegla; Hegiel zaś tworzył Szkołę, a w niéj nowe, średniowiecznemu podobne i trudne do pokonania Szkolnictwo.

Oto obrazek filozofii Hegla. Pojrzyjmy ninie na wypadki, które się z niéj już wyświęciły. Wszakże po owocach jako powiedziano, poznaje się, czy dobre lub złe jest samo drzewo.

Hegel nauczał w Heidelbergu. Tutaj wydał Fenomenologią, która go wsławiła, a któréj celem: podniesienie świadomości powszedniéj aż do wyniosłego stanowiska Idei bezwględnej. Wyszła tu także po raz pierwszy jego Encyklopedya. Wezwano go wreszcie do Berlina, kędy Umiejętnia była już świetna. Wnet otoczył się on tutaj półkami zagorzałych uczniów. Samych nauczycieli najznakomitszych, jako np. Gansa, zdobywszy dla siebie, uczynił ich Idei swéj spółwyczyńcami. I Berlin zajaśniał jako Mądrości niemieckiéj słońce, a stał się w sprawach jéj wyrocznią. Jako Rzym dla katolickiego duchowną, tak Berlin dla protestanckiego świata duchową zrobił się stolicą. — Oto jeden z największych wypadków filozofii i osobistego działania Hegla.

Mężowie Umiejętności czytali Mądrość nową. Tłumem rzucali się pod jéj proporce. Byli atoli i tacy, co poszli z nią na udry. Daje się tutaj króciutkie o bójce téj wyobrażenie.

„W idei bezwzlędnéj, wołano, Przedmtot jest Ogółem, a Kmiot Pojedynkiem, który w końcu staje się świadomą sobie Osobą, nie Bożą, lecz Ludzką. Ogół, to Myślenie twórcze i wszechmocne, które treść, jądro i istotę wszystkiego sprawuje, a Pojedynek, i Osoba li forma czasowego podstaty téj wyjawu. Ogół jest wiekuisty, konieczny a przeto Boży; Pojedynek zaś znikomy, przypadkowy i tylko światowy. Ogół, do Saturna podobny, rodzi i pożera pojedynki, lub dzieci własne, po których nic a nic nieostaje się, wyjąwszy chyba u ludzi mdłe spomnienie w dziejach. Ogół tedy we Wszechistnieniu Prawda, a Pojedynek Mara.

Wszechnica Bytu, ono Myślenie i nic więcej, przypodobnia się ciągle płynącéj rzece, w któréj tylko ciecz bezkształtowna uważana być może za Prawdę, a rozbryzganie się jej w krople i kropelki, to przypadkowe zjawisko, czcza piana. Tu Kmiot przemija rychło i znika na zawsze, a Przedmiot trwa. Bóg ukazuje się Ogółem, a tylko Wcielenia się Jego czasowe są pojedynkami. Mądrość ta zatem Wszechbożeństwo wierutne, a Idea bezwzględna równa się Rozłodze Spinozy. Nie dość! Osoba ludzka Osoby Bożej jedyny tu wyraz, a właściwie sama tą Osobą. Pomimo tego atoli ona nic więcej, jak Ognik na bagnie, który rozwiewa lada dmuch wiatru. Niejest wcale przymiotem jej nieśmiertelność, bo powstaje i znika, jak kropelka wody. Żywot wiekuisty, niebo i piekło odnoszą się więc, równie jak osobisty Bóg, do mrzonek.“ — Na zarzut takowy odpowiedziała wyrocznia Berlińska w następujący sposób: „Bogiem jest Idea bezwzględna, a Idea ta, nie jedno przedmiot, ale i Kmiot; zaczem niejedno Ogół, ale i Pojedynek Osoba, Nie zgłębiłeś Mości Panie, co Hegel napisał i tylokrotnie powtórzył o Stosunku Kmiotu do Przedmiotu, tak w samejże Idei bezwzględnéj, jako i we świecie; nie wiesz, że forma, którą jest Pojedynek, równą ma wartość i wagę, jako treść i Ogół: że nawet więcéj płaci i s tego powodu otrzymuje w filozofii mistrza pierwszeństwo; że tedy Osoba Boża i Ludzka stoją tu na słupie obłoków. Ale domyśleć się łacno, o co ci chodzi. Bóg uczłowieczony, lub Antropomorfizm cechuje mytologią, a sprzeczny jest s Chrześciaństwem głębszego rozumienia. Ucz się przeto lepiej filozofii, nim wdasz się w rzeczy, które dziś przechodzą twe siły!“ — Hegiel pisał jak wiadomo, ciemno i zawile; można go więc było niezrozumieć należycie. Odpowiedź taka a to s samego Berlina, dawała zatem stanowczy wyrok.

Wystąpiono znowu przeciw Heglowi s takim zarzutem: „Co Idea bezwzględna? Myśl we mnie i Myśl we Wszechświecie ta sama, lecz tylko we mnie siebie świadoma i tylko przezemnie wypowiadająca się umiejętnie, a przeto myśl moja. Choć była w istocie i na dnie rzeczy; nikt przecież jej niedostrzegł, niepodniósł, nie wypowiedział. Jam to uczynił; zaczém ona me dzieło. Niedość! Wszakże Kmiot w Spekulacyi czystej wysnuć ma s siebie umiejętny Przedmiot swój. Ja go też s siebie wysnułem. Jam tedy Idei bezwzględne Ojciec; ona me dziecko.

Jam ją Hegiel wymyślił, a któréj nieodpowiada nic a nic pod słońcem. Ile ludzi tyle Bogów, ponieważ w każdym zachodzi Jedność Kmiotu i przedmiotu, jak we mnie. Taki Bóg czczy dym. Lepsza więc wyznać otwarcie, iż Boga niema, niż osłaniać cień jego Idei bezwzględnéj płaszczem. Ani Duch ludzki Feuerbacha niejest Bogiem, bo on bez świadomości i oderwanie marne. Ani ja, który się narodziłem i umrzeć muszę, któremu chłodno i głodno, a którego działem nie jest nieśmiertelność, nie Bóg, jako chce Stirner. W ogóle, acz od tysiącoleć wierzono w Boga, nikt przecież nie dowiódł jego bytu. Nie Bóg sam, ale Idea Boga istnieje, a i to jedynie, jako utwór człowieczy. Cóż s tego wszystkiego? Oto, że Boga niema. A co znaczy to w gruncie? Że pierwiastkiem rzeczy i wiedzy jest Nicestwo. Jakoż tylko Nic może być kolebką i istotą świata, którego cechą Znikomość".

Tak tedy filozofia Hegla rozwiązała się we własnym domu, lub pod piórem samychże uczniów jego, duchów stanowczych, a ostrą siekierę przykładających do sęku, w Bezbożeństwo i Nicestwieństwo, w Ateizm i Nihilizm. Trudna już mieć inny, jeszcze boleśniejszy koniec. Ale i taki napotkał nieszczęśliwego mistrza. Prudon zastósował naukę Hegla do swojego Przespołecznienia ludzkości. Patrząc na nędze ziemskie, a widząc, iż stan taki dziełem jest Rozumu bezwzględnego, wykrzykuje Francuz ten sławny najokropniejsze bluźnierstwo: „*Dieu, c'est le diable!*"

Oto owoce z drzewa, które zaszczepił Hegiel. Gdy pokosztowano je i gorycz ich uczuto; przeświadczono się także, iż owe wyrzuty, uczynione dawniéj Heglowi od nieprzyjaciół jego, a odparte z Berlina, były niestety, bardzo ugruntowane.

Poznawszy już wypadki filozofii Hegla tak sromotne, tak piekielne, a dowiadując się, że Kremer naukę tę przecież w księgach swych głosi, ocala, przechrześciańszcza, że umié je obmyć z negacyi, z głuchego morderczego zaprzeczenia, a nadać jéj czysty spokojny i niewinny błękit wiekuistych niebios; czuje się zaprawdę, jak wzrasta tu do najwyższego stopnia obudzona dawniej już ciekawość. Rzecz ta staje się jeszcze ciekawsza, gdy posłyszysz, iż

on niestoi tu wcale sam, ale otoczon jest dość liczną spółpracowników świtą.

Czy sądzisz, iż filozofia Hegla, odsłoniwszy wypadki tak pełne zgrozy, przepadła w Niemczech? Nie, albowiem w Idei jej bezwzględnej, jako się to niezabawem okaże, jest i coś wiekuistego, iście wielkiego, a godnego poszany. Na oném właśnie opisaném filozoficzném hultajstwie odsłoniło się Czytelnikowi polskiemu li lewicę niemiecką w Szkole mistrza. *Pars haec graeca* stopiwszy się z burzą w r. 1848 także śród Niemiec huczącą, poleciała z nią wreszcie do Ameryki i usnęła w dzikich jej pustyniach. Jest jeszcze w Szkole tej Prawica *Pars romana*, bez miary ważniejsza, acz cichutka i skromna.

Jeszcze za życia Hegla i za osobistą jego pomocą Daub w Hejdelbergu, a Marheineke w Berlinie zastósowali mądrość mistrza do Teologii protestanckiej, wykładając w duchu jej Dogmatykę. Już s tego samego znać, iż w Heglu rodzą się, nie jedynie burzące, ale i arcyzachowawcze pierwiastki. Rząd Pruski nareszcie nie wezwałby go wcale do Berlina, gdyby zachowawczych tych pierwiastków niemiał głownie na oku. — Po śmierci mistrza wystąpił Göschel, najpierwszy ze sławnych uczniów jego s filozofią do Chrześciaństwa zastósowaną. Dziś zgoła, po owej trzaskawicy Europejskiej, po wynikłém w skutek jej prześladowaniu Hegelianów Lewicy, Hegalienie Prawicy, jako np. Rosenkranz w Królewcu protestanckim i Sengler w Bryzgowskim Freiburgu katolickim, wykładają filozofią tę z zadowoleniem powszechném i kościoła. Niema umiejętni w Niemczech, na którejby nieuczono filozofii podług Hegla, już s powodu, iż w chwili tėj braknie innej, lepszej i powszechnie uznanej, a niekażdy nauczyciel podoła mieć własną.

Prawica ta mówi: „Żaden mistrz wielki niemoże być odpowiedzialny za luźne i swywolne następstwa, które wyprowadzi zeń jakaś tam pusta czółbatka. Inaczej potępićby trzeba także Pismo święte; które dawało i daje wciąż powód do tylu nauk kacerskich, szalonych, wprost z duchem jego niezgodnych. Wszak Arystoteles posłużył u Saracenów za Koranu, a u Chrześcian średniowiecznych za Biblii filozoficznego Opiekuna! My nienawidzimy Feuer acha i podobnych doń warchołów, już dla tego, iż głupstwem własném ohydzili mistrza.“

Szkoła tedy Heglowska w Niemczech, acz postradała pierwiastkową świetność i wszechwładność, dzierży dziś jeszcze berło panowania. Jest to, powtarzam, dowód, iż w Heglu są rzeczy wiekuiste i czcigodne, a pierwiastki, zachowawcze; iż następnie wszystko zależy na tém, ażeby dzierżyć li pszenicę jego, a oczyścić ją od kąkolu i plewy.

August Cieszkowski, Karol Libelt i ja dostaliśmy się w Heglowskie sieci, albowiem rozstawiono je wszędy w Niemczech, umiejętnością słynnych, i niepodobna było młodemu człowiekowi szukającemu światła, wybiedz przed niemi. Pobawiwszy w nich nieco, udało się nam, uciec z nich szczęśliwie; dać im pokój, już przez głęboki dla nich szacunek, i własną puścić się drogą. Kremer, który pospołu z nami w nie popadł, począł sobie odmiennie. Nieporzucił ich, jako my, lecz postanowił uczynić z niemi to samo, co Prawica Heglowska w Niemczech, czyli przedziać je inaczej; rozwiązać i związać nanowo lepiej wszystkie ich supełki; z Wiarą je zgodzić i na pożytek Narodu obrócić. Rzekł do siebie: „Ramy filozofii tej są arcy kunsztowne i kosztowne. Potrzeba tylko dać im pozłotę i prawdziwy chrześciański wprawić w nie obraz". W tém ma on między Polakami osobną i sobie samemu właściwą zasługę.

III.

Trzy są rzeczy w Heglu, które dość przeistoczyć, ażeby całej mądrości jego nadać inne znaczenie i zbawienny kierunek, a zabezpieczyć ją na przyszłość od takich zatorów, w jakie już popadła. Kremer to postrzegł i wykonał. Obaczmy, jako zabrał się do dzieła.

Rzecz pierwsza: Idea bezwzględna, zgoła w takowym razie, gdyby Kmiot w niej był Bożą, a nie jedynie Ludzką Osobą, niemoże i niepowinna być uważana za Boga. Jawi się ona albowiem we Wszechistnieniu, a to tyle co Wcielanie się Boga w świat. Bóg staje się duszą, a świat ciałem znikomego Bytu. Jest to tedy jawne Wszechbożeństwo i Pogaństwo. Idea ta, jako niebędąca Bogiem, niemoże i niepowinna także stanowić filozoficznego pierwiastku. Gdy ją pierwiastkiem takim uczynisz; zrodzi Ci ona koniecznie wszystkie obłędy myślenia, które się już widziało.

Tak idea bezwzględna nie jest ani Bogiem, ani filozoficznym pierwiastkiem. Nabroiła ona w tém znaczeniu tyle już złego. A wszelakoż opluć jej i rzucić w kąt niepodobna. Czemu? Dysze w niej Prawda wiekuista, tknąca się osobistego i chrześciańskiego, lub prawdziwego Boga. Idea bezwzględna, to, zaiście, najznakomitsza, najświetniejsza i najkosztowniejsza zdobycz, którę umiejętność ludzka uczyniła na końcu tysiącoletnich prac walk i wysileń.

Tłumaczę się wyraźniej.

Podług wymagań nauki chrześciańskiéj, która od tylu wieków odnosi wciąż zwycięstwo nad wszystkiemi filozofiami, Bóg ma być Osobą, do Jaźni ludzkiéj podobną, posiadającą świadomość, rozum i niepodległą wolę; czyli ma być Pojedynkiem. A przecież Bóg tak pojęty, jest nieogarniony, nieskończony, wiekuisty, wszechobecny, wszechwiedzący, wszechmocny, nieprzeczerpany, niewypowiedziany itp. czyli okazuje własności, jakie przyczytać można li powszechnemu Duchowi, wypełniającemu Wszechświat bez granic; słowem okazuje przymioty Ogółu. Ale Pojedynek i ogół w jednej istocie, to trudny do rozgryzienia filozoficzny orzech. Pierwszy jest ograniczony co do miejsca i czasu, a drugi nie zna granic. Ten stoi co do istoty, zdolności i wszech usposobienia pod pewną miarą; tamten wyczynia się jako Bezmiar. Ten musi być tylko tutaj, tylko teraz, albo też tylko tam, tylko kiedyś; a tamten jest wszędy i zawzdy. Ten rodzi się i umiera, jest docześny; tamten zaś trwa od wieków na wieki. Gdy tedy Boga uznam za osobę, staje się On natychmiast do mnie podobien. Acz uczynię co będę mógł, chcąc odróżnić go od siebie, zamienię go w Człowieczocha t. j. uczłowieczę go i popadnę w Antropomorfizm. Słowem, pomięszam Boga ze stworzeniem jego. Gdy znowu pojmę Boga jako ogół, choć bronić będę Osobistości Jego, zbiję Go w jedno ze światem i zabłąkam się we we wszechbożeństwo, lub w Panteizm.

Cóż tedy mam począć, ażeby ująć filozoficznie i w całej pełni myślenia chrześciańskiego Boga? Potrzeba mi koniecznie trzymać w pojęciu Jego jednako silnie Pojedynek, jak Ogół. Rzeczesz: Ależ to niepodobna! Tak mniemano dawniéj, odpowiadam. Dzisiejsza Umiejętność

atoli pokonała już to najtrudniejsze, najniezgodniejsze s sobą przeciwieństwo. Hegiel dał nam Ideę bezwzględną, której istotą Kmiot i Przedmiot w Jedni, zaczém Pojedynek i Ogół, Osoba i świat w połączeniu s sobą, a oznaczył Ideę tę gruntownie, jasno i tak, że stała się nieomylną Prawdą. Zaczém: dzierz się krzepko tej Idei, a lubo nie jest ona Bogiem, za pomocą jej dobierzesz się w końcu do filozoficznego ujęcia prawdziwego Boga. Ona wyborny środek umiejętny do tego celu.

Hegiel i uczniowie jego zbłądzili, nie przez to, iż wyprowadzają na widocz Ideę bezwzględną, która jest najstósowniejsza do ocalenia śród wszechbożeńskich nauk chrześciańskiego Boga: ale przez to, iż Ideę tę robią samymże Bogiem, co kłam, rodzący, jako okazało się już dostatecznie, szalone następstwa.

Cóż tedy Idea bezwzględna w prawdziwém i godném powszechnego uświęcenia znaczeniu? Nie Bóg sam, ale Miara umiejętna na ludzkie Pojęcie prawdziwego Boga. Było już dość wiar i dość filozofii na starej ziemi, a każda z nich ofiarowała inaczej rozumianego Boga. Otóż ze wszystkich tych Bogów ten tylko będzie iście prawdziwy, który przystanie zupełnie do umiejętnej miary na prawdziwego Boga, wynalezionej wreszcie od filozofii, czyli, który zrówna się z Ideą bezwzględną, sprawującą Jedność Kmiotu i Przedmiotu. I Bóg chrześciański żywy, osobisty sam jeden ukaże się Bogiem prawdziwym.

Jakże to już niesłychanie ważny wypadec! co to za zdobycz olbrzymia! Lecz nie dość na tém.

Bóg tworzy świat, przerzucając myślenie s siebie za siebie, a wymawiając Słowo, stające się Ciałem. Myślenie w Bogu i za Bogiem, Słowo stwórcze w Bogu i stworzone we Wszechświecie sprawują koniecznie Jedność Kmiotu i Przedmiotu Bożego, czyli sadzą się podług warunków Idei bezwzględnej. Że zaś Bóg tworzy nieskończenie wiele rzeczy, różniących się pomiędzy sobą co do ilości, jakości, stopnia, znaczenia itp. a w każdej z nich zachodzi Jedność Myślenia w Bogu i za Bogiem, lub Jedność Słowa stwórczego i odpowiedniego mu przedmiotu stworzonego; przeto do wszystkiego, co tylko Bóg stworzył i co prawdziwie jest, zastósować się daje Kmiot-Przedmiotowość Idei bezwzględnej. Im mniej przedmiot jaki do idei

tej przystaje, tém jest niższy, od Boga oddaleńszy; a im więcej do niej się zbliża, tém wyższy, do Boga podobniejszy. Przymierzając zatém przedmioty filozoficzne do Idei bezwzględnéj, możesz je, stósownie do zacności ich wewnętrznéj i wiekuistéj, jaką w nie wlał Bóg, rosszykować ściśle, lub w umiejętny ułożyć wiec. Cóż stąd? Oto, że Idea bezwzględna ukazuje się Miarą, nie jedynie na pojęcie o prawdziwym Bogu, lecz także na wszelaki przedmiot umiejętny. Do pojęcia o Bogu samym przylega ona całkowicie. Im bardziej zaś przylega do rzeczy innych, o tyle rzeczy te są przedniejsze. Ponieważ Bóg jest Prawdą Prawd, a wszystko, co stworzył, zowie się Prawdą w ogóle, przeto Idea bezwzględna, Miarą Boga i Rzeczy będąca, jest istny, nieoceniony i arcypożyteczny filozoficzny Prawdomierz.

Skoroś tak pojął Ideę bezwzględną, odsłaniają ci się natychmiast cale odmienne widoki, niż w filozofii Hegla. I tak naprzód, Jedność Kmiotu i Przedmiotu, która w Heglu rozwiesiła się li pomiędzy Człowiekiem i Rzeczą, przeniesiona zostaje w najwyższy, tameczny, lub tak zwany transcendentalny Zakres, tj. pomiędzy Boga osobistego i Świat. Tylko Bóg jest w Idei bezwzględnéj Kmiotem. Tylko Myślenie Boże sadzi się samodzielnie za sobą i przeobraża się we Wszechnicę Bytu. Tylko Słowo Boże jest stwórcze i sporządza Istotę rzeczy. I oto masz już przed sobą czyste Chrześciaństwo! Powtóre: Tak, w Idei bezwzględnéj tylko Bóg sam jest Kmiotem a Myślenie i Słowo Boże, piastujące wszechświat, Przedmiotem. Jako zaś Człowiek niejest Bogiem, lecz tylko, spowodu, iż Idea bezwzględna przystaje doń najpełniéj po Bogu, wyobrażeniem i podobieństwem Boga; tak téż Jedność Kmiotu, którym on jest także, i Przedmiotu, ktory pozostaje tu tenże sam co i w obec Boga, czyli Jedność myśli w nim i w rzeczy, Jedność wiedzy i bytu, której on dochodzi, niejest samą Ideą bezwzględną jak w Bogu, lecz najwięcéj jej wyobrażeniem i podobieństwem, On też sadząc jedność Kmiotu i Przedmiotu, tworzy, nie świat, jako Bóg, lecz tylko Umiejętność, która niezawsze bywa wiernym Słowa Bożego wyrazem. Stąd do Boga tylko odnoszą się Rozum bezwzględny i Wiedza bezwzględna, a u Człowieka zgoła najjenialniejszego, wszystko to względne. Jakże to po chrześciańsku! Potrzecie: Idea bezwzględna, niebę-

dąc już więcéj filozoficznym pierwiastkiem, niemoże wyczyniać się w rzeczach i zamieniać świat we wcielenie Boże, a umiejętność we wszechbożeństwo. Ona jako Prawdomierz, przykładana być ma tylko do przedmiotów, które już są, które występują jako dane i nalezione, a które stworzyła, nie myśl ludzka, ale myśl Boża. Umiejętność ludzka utraca tu twórczość, którą sobie przywłaszczała tak dumnie, a zamienia się w to czém jest i być powinna, czyli w Poznanie, którego Chwałą najwyższą, jeżeli okaże się wierném Słowa Bożego, tworzącego świat, rozbrzmieniem w tymże świecie. Tak tedy odnosi tu wszędy i pod wszelakim względem górę nauka Chrześciańska nad Heglowską.

Skoro Idea bezwzględna nie jest już pierwiastkiem świata i umiejętności, którym wyświęca się sam osobisty Bóg, lecz tylko Prawdomierzem na wszystko, osobliwie zaś na pojęcie rzetelne o Bogu: przeto daje się mówić zarazem o Idei bezwzględnéj i o Osobie bezwzględnej, bez zaplątania się we dwa filozoficzne pierwiastki, bez podciągania jednego z nich pod drugi, bez stawienia jednego na początku, a drugiego na końcu i ociosywania kamienia węgielnego do mądrości komu innemu, słowem bez wszystkich onych niedostatków, które we Wstępie do tej rozprawy widziały się być w filozofii Kremera rzeczą konieczną.

Lecz jeszcze jedno pozyskuje tu Kremer usprawiedliwienie, t. j. czemu jął się Hegla i filozofii jego. Potrzeba bowiem było nareszcie Ideę bezwzględną, jako Prawdomierz, przyłożyć do wszystkich tych przedmiotów, które ona, jako pierwiastek i pojęcie o Bogu porodziła w Heglu, i oznaczyć tym sposobem prawdziwą, a chrześciańską ich wartość. Tu tedy wyświeca się możebność takiej filozofii, jak Kremerowa, która dając nam filozofią Hegla, oddziela się od niej całą przepaścią nieskończoną i zabija ją całkowicie, a będąc niby przelaniem na polskie filozofii niemieckiéj, powszechnie uznanej, jest samodzielną, chrześciańską, iście narodową. — W ogóle, Idea bezwzględna, jako Prawdomierz pojęta, staje się pochodnią, rozjaśniającą w Kremerowych księgach ciemnice wszystkie.

Nieprzeczę tego wcale, że Kremer nienazywa nigdzie Idei bezwzględnej Prawdomierzem. Wszelakoż poję-

cie jej takie, jego to dzieło i własność. Przymierza on bowiem wszystko, czego się tknie i co najduje w Encyklopedyi Hegla, do Idei bezwzględnej, a że nic nie przystaje do niej całkowicie, przymierza w końcu do niej, idąc już za duchem własnym, Osobę bezwzględną. Uiszczanie się Idei bezwzględnej jest u niego, nie wcielaniem się jej w rzeczy, jako u Hegla, lecz przystawaniem jej do rzeczy coraz doskonalszém. On tedy acz nienazywa Idei bezwzględnej Prawdomierzem, używa jej w tém, a nie w inném znaczeniu, czyli de facto. Czemu Kremer zaniechał rzeczy tej tak wyjaśnić, jako zrobiło się tutaj? Ach czy podobna myśleć o wszystkiém! On zajęty był mocno przerobieniem i wyłożeniem filozofii samej. S tego względu rzadko wojuje s Heglem i nieczyni nigdzie liczby s tego, co działo się mu w duszy i co go parło, gdy nowe torował sobie drogi. Ofiarował czytelnikowi dokonane dzieło, chcąc ażeby ono samo mu świadczyło. Otóż, co on przemilczał, okazuje to całym duchem swym dzieło. Ja przynajmniej ledwie począłem je czytać, postrzegłem natychmiast, iż Idea bezwzględna znaczy tu co innego, niż u Hegla, a szlakując pojęcie jej Kremerowskie, odkryłem wreszcie, com tu wypowiedział. I mam nadzieję, że Pisarz sam mi to przyzna, iż należycie go zrozumiałem.

Jeżeli tedy w Ideę bezwzględną włożysz pojęcie o Bogu i zamkniesz je w niej, lub zjednoczysz je z nią, jako uczynił to Hegel; zabijesz samo to pojęcie. Jeżeli zaś z Idei tej wypuścisz pojęcie Boga na powrót, widząc w niej li umiejętną i chwilowo przyłożoną doń Miarę, jako uczynił to Kremer, ocalisz to pojęcie o Bogu. Tutaj napiera się mi następne porównanie zdolne rzecz główną i wiele obok niej, wyjaśnić.

Jedna ze świętych staro-egipskich klechd tak prawi: „Ozyrys panował długo nad ludem od siebie wybranym ku szczęściu jego i zbawieniu, jako król Egiptu. Zły Babis, zwany od Greków Tyfonem, postanawia go zabić. Dopomaga mu do tego Etyopejska Królowa Aza, podarowawszy mu Arkę z arcykosztownego drzewa, drogocennemi kamieniami wysadzaną, iż na największego ze śmiertelnych była za ogromna, a tylko Ozyrys sam, położywszy się do niéj, mógł całkowicie wypełnić ją sobą. Ozyrys zwabiony od Babisa, kładnie się do arki. Gdy to uczynił, prą go Spiskowi, sieką ciało jego na kawałki, a zam-

knąwszy je w Arce, rzucają w Nil. Ale niedopięli celu, gdyż Bóg niemoże być zabity, a po śmierci zmartwychwstanie. Arka popłynęła z Ozyrysowém ciałem na Morze śródziemne i wylądowała na brzegach Fenicyi przy mieście Byblosie. Ptaki jéj strzegą, kwiląc i wrzeszcząc bardzo nieprzyjemnie. Wrzos przyjmuje ją u siebie, rozrosłszy się tak cudownie, iż się w nim zmieściła. Przybywa nakoniec Izyda, otwiera Arkę i wskrzesza Ozyrysa."

Ozyrysem porównania tego jest Bóg osobisty, uszczęśliwiający długo chrześciański świat; Babisem złym zaś duch czasu nowego, wszechbożeński i bezbożny. Królową Azą Umiejętność w ogóle, a Arką jéj Heglowska Idea bezwzględna. Spiskowymi, zabijającemi, zamykającemi w Arce Ozyrysa są niemieccy Hegelianie Lewicy; ptactwem, kwilącem i wrzeszczącém bardzo nieprzyjemnie Hegielczyki polskie. Wrzosem, przyjmującym Arkę w siebie są wszystkie pisma uczciwe, które zdając sprawę o filozofii Heglowskiéj ocalały ile sił pojęcie o Bogu prawdziwym. Izydą wreszcie, otwierającą Arkę i wydobywającą z niéj żywego Ozyrysa, filozofia prawdziwa, w któréj pojęcie o Bogu osobistym odnosi nad Wszechbożeństwem Heglowskiém walne zwycięztwo — a takowéj filozofii należy także filozofia Kremera.

S porównania tego wynosi się jeszcze, co następuje: W Arce, ciałem Ozyrysa wypełnionéj i zamkniętéj, umiera, z Arki zaś otworzonéj, a tem samém już, podług przeznaczenia swego, tylko miarą nań będącéj, zmartwychpowstaje Ozyrys. W Idei bezwzględnéj Hegla, jako w filozoficznym pierwiastku, ginie, a z Idei bezwzlędnéj Kremera, jako s filozoficznego prawdomiaru, występuje na nowo żywy i osobisty Bóg.

Rzecz wtóra. Niedość, iż przeobraziło się Ideę bezwzględną s pierwiastku w prawdomierz. Potrzeba w niéj jeszcze, jeżeli chce się uczynić ją prawdomierzem nieomylnym, oznaczyć stosunek Kmiotu do Przedmiotu bardziéj po chrześciańsku, niż w Heglu, i tak, ażeby wszechbożeństwo ulęgnąć się już więcéj na łonie jéj niemogło.

Niewiem, czy w skutek Myślini, stawiającéj Względną Różnią Przeciwieństw naprzeciw Idealizmowi

niemieckiemu na Bezwzględnéj Jedni opartemu i stąd Boga ze światem mieszającemu, a zowiącéj Różnią realną, Jednią zaś li idealną Prawdą, i składającej z nich nakoniec filozoficzną Różnojednią, w któréj przebywa tameczna i rzeczywista Prawda; — czy też w skutek własnego pomysłu podobnego, Kremer oświadcza, iż Hegel dlatego pobłądził i popadł we wszechbożeński kierunek, że rostaczając Ideę bezwzględną, dzierży się silnie Jedności Kmiotu i Przedmiotu, a opuszcza całkowicie ich Różnicę. Skąd wynikło, iż Kmiot, którym jest u Hegla maluczka myśl ludzka, rospłynął się w Przedmiocie, lub ogólném Myśleniu; iż tedy Przedmiot połknął Kmiot, lub Ogół pochłonął Pojedynek, a tém samém ludzką i Bożą Osobę. W Idei bezwzględnéj atoli, jako naucza Kremer, Kmiot równie jest ważny i stanowczy jak Przedmiot, a Osoba Boża bez miary zacniejsza od dzieła jéj Wszechświata. Ukazuje się pomiędzy Kmiotem a Przedmiotem, zaiście, Jedność; albowiem Myśl stwórcza w Bogu i Myśl stworzona we Wszechnicy rzeczy są jedną i tą samą Myślą; ale tkwi i dysze pomiędzy niemi także Różnica nadzwyczaj wielka; gdyż Kmiot ukazuje się Stwórcą, Osobą, a Przedmiot Stworzeniem, Dziełem Osoby, Rzeczą. Niewystarcza przeto trzymać się li Jedności Kmiotu i Przedmiotu na łonie Idei bezwzględnéj, jak Hegel; potrzeba również baczyć pilnie na Różnicę ich pomiędzy sobą, jak czyni to Chrześciaństwo. — Kremerowskie oznaczenie takie stosunku Kmiotu do Przedmiotu i rozwiązanie zadania za pomocą filozoficznéj Różnojedni jest to sprawa, którą ja tylko uznać i pochwalić mogę.

Tak ustanowiony Stosunek Kmiotu do Przedmiotu w Idei bezwzględnéj zmienia znów wszystką filozofią Hegla, a upewnia wygraną filozofii chrześciańskiéj. Kmiot wyświęca się tu bowiem Osobą bezwzględną, a Przedmiot Rzeczą bezwzględną, lub pierwszy Stwórcą, a drugi Wszechstworzeniem. Nie Przedmiot przemaga tu nad Kmiotem, będącym li Osobą ludzką, i ogarnia go sobą, jak w Heglu, ale Kmiot, który jest Osobą Bożą stwarzającą świat, ma przewagę nad Przedmiotem, ukazującym się li dziełem Kmiotu, tém samém więc mieszczącym się i tonącym w nim. Wyższa też jest Boża Myśl myśląca od Bożéj Myśli myślanéj; zaczem wyższy Kmiot od Przedmiotu.

Wiadomo już, że u Hegla Ogół jest wiekuistą istotą, a Pojedynki czasowym i znikomym istoty téj wyjawem. W Kremerze cale inaczéj. Jako Bóg-Osoba tworzy wszechświat, lub Ogół, a staje się sam, już przez to, istotą jego; tak też we wszystkich rzeczach, oddzielnie branych, Pojedynek— którym jest na dnie wciąż Osoba z tamtego świata, w jeden s promieni swych przeniesiona, długo za Dziateczeństwem Bożém na łonie przyrodzenia wzdychająca, a nakonice wymawiająca się przez człowieka,— sprawuje i stanowi istotę. Pojedynek właściwie zaś Osoba, to tameczność, wiekuisty grunt świata; Ogół zaś tuteczność, znikomy jaw. — I oto Hegelianizm, odwróciwszy się tu w sobie całkowicie, przelewa się w Chrześciaństwo.

Rzecz trzecia. Chciawszy utrzymać Ideę bezwzględną na wszystkich umiejętnych przedmiotach w znaczeniu Prawdomierza, Kmiot-przedmiotowość zaś jéj w filozoficznéj Różnojedni, właśnie wyłożonej, a zabezpieczyć się przeciw Wszechbożeństwu, iżby nienalazło ani szpareczki, którąby mogło wśliznąć się do dzieła; przynależy urobić sobie stósowny do celu tego Sprawdzian (criterium), tém samém tedy przeistoczyć Heglowskie pojęcie, zasadą Uczy i Saczy zrobione. Jest w Heglu, pomiędzy innemi oznaczeniami Pojęcia, i takie:

„Co Pojęcie? Pojedynczość pewna, która rodzi s siebie dwie Odwrotności swoje, lub Szczegóły, która więc, będąc zarówno Pojedynczością jak Szczególnością, staje się Ogółem.“ W oznaczeniu tém, jak widzi każdy, główna rzecz Pojedynek; Szczegóły i Ogół są tu tylko Pojedynku rozwojem. Hegiel sam mówię, orzekł tak Pojęcie, ale wnet przepomniał o tém, wziąwszy co innego za sprawdzian ogólny. Kremer zaś podnosi Orzeczenie Pojęcia właśnie przełożone i robi je każdego umiejętnego przedmiotu sprawdzianem. Co bez miary lepsza, niż w Heglu. Czemu? Pojedynek we sprawdzianie odpycha Wszechbożeństwo.

Kto twierdzi, że filozofia Kremera nieróżni się od filozofii Hegla, wyjąwszy chyba Polszczyzną; niewie co mówi, bredzi jak dziecko. Ale i ten popada w błąd i sądzi o rzeczy bardzo powierzchownie, kto mniema, że Metoda i Dyalektyka Heglowska panuje w Kremerze. Jako żywo

nie! Pojęcie u Hegla i Pojęcie u Kremera, zrobione Uczy i Saczy zasadą, są całkowicie inne. Hegiel przewodzi wszystko, czego się tknie, przez Myśl w sobie, Myśl za sobą i Myśl s powrotem do siebie, lub przez tak zwane: Ansich, Fürsich, An-und Fürsichsein, co nie jest wcale tarczą przeciwko wszechbożeńskiemu przedmiotowi i przepuścić go zdoła, jako Prawdę, a co Heglowi, któremu Ogół istotą, było bardzo dogodna; zaś przez Kremerowski Sprawdzian, będący głównie Pojedynkiem, acz rosstępującym się w Szczegóły i Ogół, lub: „das Einzelne, welches das Besondere und das Allgemeine erzeugt,“ nie przejdzie, ani przejśdź nie może nic wszechbożeńskiego. Hegiel i Kremer trzymają, zaiście, w ręku też same karty, ale gra ich wprost sobie przeciwna. Obadwa idą na górę, kędy przemieszkuje Prawda, jedną drogą, oglądając po niéj, iż tak rzekę, te same miasta, sioła, lasy łąki i błonia; lecz mają Szkła inne, przez które patrzą się na rzeczy. Do Szkieł tych należy także Ucz i Sacz, jednako wprawdzie porodna, lecz na innych, wprost przeciwnych sobie Pojęciach oparta, inne więc mająca czynniki, barwy i wypadki.

Kremer, opatrzony w Probierczy Trójkąt umiejętny, który sam sobie sprawił i urządził, a którego jednym bokiem: Idea bezwzględna, jako Prawdomierz, drugim zaś bokiem: Kmiot i Przedmiot w Różnojedni, trzecim bokiem nareszcie: Pojęcie, znaczące Pojedynek, poradzający Szczegóły i Ogół,— wziął do rąk Encyklopedyą Hegla. Ledwie na nią pojrzał i do niéj Trójkąt swój przyłożył; aliści wzystko ukazało się mu bez maski i w nagiéj wszechbożeńskiéj postaci. I widział, że całym filozofii téj przedmiotem jest tylko ten świat; iż tedy potrzeba koniecznie przetworzyć ją, a przyłączyć do niéj tamten świat, jako rzeczy istotę, przedewszystkiém zaś prawdziwego osobistego Boga. To powiodło go, zaraz na początku dzieła, do innego, niż w Heglu, a następującego Filozofii Podziału:

I. **Fenomenologia,** lub wstępna rzecz o świadomości, usiłująca podnieść Myśl zwyczajną aż na stanowisko Idei bezwzględnéj, na którém rozelśniéwa Kmiotu i Przedmiotu ludzkiego Różnojednia, a wróży się podobnaż, lecz bez miary wyższa Różnojednia Boża. Tutaj pozyskuje się wyobrażenie Rozumu bezwzględnego, tworzącego świat, tudzież odpowiedniego mu Rozumu ludzkiego, tworzącego Umiejętność. W téj Fenomenologii przeto okazuje się, jak poznanie ludzkie dochodzi do potrzeby myślenia filozoficznego i filozofii saméj.

II. **Rozwicie Rozumu bezwzględnego**, tworzącego świat, a wymawiającego się przez Umiejętność. Tutaj wyczyniają się trzy wielkie części: *a)* L o i k a, obejmująca myśli wyrażające się w rzeczach, i myślenie Ludzkie, stające się nasiennikiem wszystkiego, dające rzeczom pierwiastki, lub to, co nazywa się zwykle Ontologią. *b)* F i l o z o f i a n a t u r y, lub Myśli Boże, wyrażające się w prawach Przyrodzenia. *c)* F i l o z o f i a D u c h a l u d z k i e g o, lub prawa Boże, wyczyniające się przez Myślenie ludzkie śród człowieczego świata. Trzy te części nietkną się jeszcze pojęcia o Bogu samym, lecz tylko Myślenia Jego, stającego się czemściś na ziemi; ukazują się tedy U m i e j ę t n o ś c i ą t e g o ś w i a t a, chłonącą w sobie wszystek i cały Przedmiot wiedzy Heglowskiéj, a s powodu, iż tenże nieprzystaje zupełnie do Idei bezwzględnéj, jedynie na Bogu samym uiścić się mogącéj, najdującą nakoniec O s o b ę B o ż ą i przelewającą się w oddział filozofii trzeci, którym jest:

III. **Teozofia**, lub Rzecz o Bogu osobistym i o tamtym świecie. Tutaj okaże się nieomylnie, że jako Bóg sam jest Osobą, tak O s o b i s t o ś ć stanowi i sporządza I s t o t ę r z e c z y, s t a m t e g o ś w i a t a; że tedy np. Aniołowie i Czarci nienależą wcale do świętéj Klechdy i nic więcéj, ale że bez miary głębsza dysze w nich Prawda, niż w naszych dodatnych i ujemnych siłach przyrodzenia. Tutaj okaże się także, iż dwa pierwsze filozofii Oddziały były li ś l e d z e n i e m p o j ę c i a o B o g u, iż przeto nie w Loice, lecz w Teozofii tameczne są wszystkiego pierwiastki, a żywie Ontologia istna.

Kto zna ważność podziału filizofii i wie o tém, że dość pojrzeć na podział taki, ażeby całą rzecz ocenić; niechaj porównać raczy podział ten filozofii Kremera s podziałem filozofii Hegla! Jakaż bezdenna otchłań roztwiera się tu szeroko pomiędzy jednym a drugim!

Cóż następnie, już przez sam podział filozofii inny, zrobiło się s Hegla w Kremerze? Mądrość Heglowska odsłoniła się jako li Umiejętność tego świata, niewiedząca nic o Bogu i o tamtym świecie. Dla tego, jak Fenomenologia pierwszym, tak ona cała i wszystka, ze swoją Loiką, Filozofią natury i Filozofią Ducha, ze swoją Ideą bezwzględną i ze swoim rozumem bezwzględnym, drugim tylko jest wielkim wstępem do Kremerowskiej filozofii samej, którą właściwie będzie Teozofia.

Lecz mało! Dawna Metafizyka, jaką za średnich wieków urobił sobie chrześciański świat, a jakiej ostatecznym wyrazem byli Wolf i Feder, zmartwychpowstaje dzisiaj i wywiesza chorągiew zwycięzką. Kremerowska bowiem Loika, Filozofia Natury, Filozofia Ducha i Teozofia, to cztery sławne Oddziały Metafizyki starej: Ontologia, Kosmologia, Pneumatologia i Teologia rozumowa. Że Części tej Metafizyki starej, chłonąc w sobie Heglowską mądrość i uchrześciańszczając ją troskliwie po dzisiejszemu są przykrojone, rzecz jasna. Ale już to samo, iż one wychyliły się z grobu, dowodzi, o ile wszystko w Kremerze kieruje się do przekonań chrześciańskich.

Po takowym rzeczy podziale Kremer przystępuje do szczegółów, w które my wdać się już niemożemy. To jedynie powie się tutaj, że kto biedził się dawniej nad Heglem, czyta Kremera z niewypowiedzianą rozkoszą. Po drugi raz wypadnie mu wędrować tą samą drogą, ale pod przewodnictwem i w środowisku innego światła. W Heglu widział, jako Ogół pożera ciągle Szczegóły i pojedynki; w Kremerze zaś wygląda, jako Szczegóły i Pojedynki te wydzierają się napowrót s paszczy Ogółu i sadzą się w nim jako Postaci udzielne. I tam i tutaj, wskutek Uczy i Saczy porodnej, panują same Przeobrażenia. Tam atoli wszędy, iż tak rzekę, Dafna rozwiązuje się w nieosobisty wawrzyn, a Narcys w kwiat ogólny; tu znowu wygląda z liści wawrzynu osobista Dafna a ze dna kwiatowych kielichów młodzieniec Narcyz. Tam

to nie wszystko w Ogóle, który jest ogromne, do koralowych pokładów podobne, samych Poczwarek Żywota Gniazdo; tu s każdej Poczwarki takiéj wygryza się w końcu i ulatuje ku Stwórcy swojemu w górę przecudny Motyl.

Niechcemy i nie możemy, ze znanych już powodów, zapuszczać się w szczegóły filozofii Kremera. Ale, ażeby dać poznać Czytelnikowi bardziej oblicznie tak niepospolitego Pisarza, uważamy za obowiązek przytoczyć zeń dosłownie, (wyjąwszy, iż stawić będziemy kmiot za podmiot,) rzecz najgłówniejszą: jako s Heglowskiego wszechbożeństwa wydobywa się osobisty Bóg.

Przy końcu Loiki ukazuje się „Duch“ jako najwyższe uiszczenie się Idei bezwzględnéj. Jest on świadomością taką w której Myśl pojedyncza jednoczy się z Myślą Ogółu, czyli w któréj Kmiot i Przedmiot pozyskują bezwzględną Jednią. Hegiel widzi w Duchu tak pojętym Boga i przyznaje mu Rozum bezwzględny. Kremer zaś, odsłoniwszy Czytelnikowi tego Ducha, tak dalej w §. 199. prawi:

„Obaczmy atoli, czyli tutaj jest już ostateczne ziszczenie się Idei, czyli ta Jedność Kmiotu i Przedmiotu już jest zupełna, czyli tém samém Osobowość rozwinęła się już w ostatecznéj potędze swojej? Aby rozwiązać to Pytanie, chciejmy sobie raz jeszcze uobecnić rzecz całą, przypomnieć ścisłą łączność iszczenia się idei, a wyrobienia się Osobowości; chciejmy te ostatnie wypadki nasze powiązać z ostatniemi stopniami powyżej odbytemi.

„Wiemy że na szczeblach niższych, bo w świecie Mechanizmu, Chemizmu, (jak w ogólności w dzielnicach świata zmysłowego, materyi,) żadne jestestwo nie było Pojęciem, bo każde z nich dopiero było wyrażeniem Pojęcia. Albowiem jestestwo każde było dopiero ułomkiem, winno się było odnieść na zewnątrz do innego jestestwa, odrębnego od niego, w niém dobrać sobie Odwrotność swoję i tak złożyć Pojęcie. Te jestestwa tedy były nawzajem względem siebie zewnętrzne; były nawzajem od siebie zależne. Więc też Jedność, Ogół, Pojęcie temi jestestwami zrodzone, były zewnątrz nich, były tylko Jednością umysłową, ale nie rzeczywistą gdyż jestestwa składające ją niestraciły bynajmniej swéj odrębności, swojego rozjednostkowania. Trzeba było tedy naszej myśli, aby tę Jedność odkryć, aby wypatrzyć w przed-

miotach to ich należenie do siebie. Ten niedostatek niesprostował się bynajmniéj jeszcze w stosunku Celu do Środka. Wszak lubo cel i środek są odwrotne sobie i niby jednę składają całość, jedność; toć przecież, jak wiemy, odwrotność ich póty istnieje, póki niema ich jedności, a gdy jedność ich nastąpi, ginie ich odwrotność. W tym stosunku jednak już widzimy stosunek Kmiotu, bo celu, do Przedmiotu, czyli środka; t. j. widzimy odnoszenie się Kmiotu do Przedmiotu, a w tém odnoszeniu się jestestwo, kmiotem będące, nie ginie, lecz utrzymuje się w sobie i trwa.

„Dopiero Jednością Celu i środka, Kmiotu i Przedmiotu jest Idea. Gdy zaś Jedność ta wtedy dopiero jest rzetelna, gdy się okaże jako jedno jestestwo pojedyncze dla tego też Żywot i trzy jego stopnie (jestestwo żyjące, rodzaj i dusza) nie są jeszcze ziszczeniem się Idei, a dopiero Duch jest Ideą rzetelną, w nim idea dochodzi wiedzy siebie. Jakoż, gdy Duch sam siebie odróżnia od tego, co niejest nim, (od Cielesności, od świata zmysłowego) gdy siebie wié, (np. „Ja jestem“); więc zarazem jest i Kmiotem, mającym świadomość, i Przedmiotem, o którym ma świadomość; jest tedy zarazem Pojedynczością i Szczególnością, bo sam w sobie się odszczególnia na Odwrotności, (bo na Kmiot i Przedmiot), a zamykając je w sobie, jest Ogółem. Tak tedy w Duchu, już pod względem li formalnym, okazuje się ziszczenie się Pojęcia. Widzimy atoli, iż gdy Duch jest Jednością rzeczywistą Kmiotu i Przedmiotu; więc też, jako Kmiot, niepowinien się odnosić na zewnątrz, do innych jestestw, do przedmiotów odrębnych od niego, jako do Odwrotności by złożył Całość Pojęcia. Duch winien ten Przedmiot sam w sobie obejmować; winien być niezależny od zewnątrz; winien zależeć od siebie samego; winien tedy być osobną niezależną Całością i mieć wiedzę tej niezależności, tej osobności; winien być — Osobą.

„Widzimy, iż tutaj Duch nie jest już Jestestwem ułomkowém, dobierającém sobie uzupełnienia swego zewnątrz siebie w odrębném, różném od siebie Jestestwie; przedmiot jego znajdzie się w nim samym, będzie w ścisłej z nim Jedności. Jeżeli Duch zaś jest Całością zupełną, niezależną; wynika stąd, iż przedmiot jego tak będzie Całością, a nie Ułomkiem, jak sam Duch, jako Kmiot, jest Całością zupełną, niezależną; że więc przedmiot ten, jako Całość,

niebędzie zależny od innych, obcych przedmiotów, — niebędzie wymagał od nich uzupełnienia; bo inaczej duch, jako kmiot, za pośrednictwem tego Przedmiotu swojego, samby się odnosił do tych innych, obcych mu przedmiotów, a tak byłby od wielu zależny, — niebyłby ściśle Osobą. Jeżeli duch jako kmiot, jest w Jedności ze swoim przedmiotem; wynika stąd, iż ten Przedmiot powinien być odpowiedni duchowi, powinien wprost wypłynąć z ducha, jako s Kmiotu swojego, niepowinien tedy być dany, znaleziony, winien się rodzić z ducha; a to właśnie dla tego, że niepowinien być czémś obcém względem Kmiotu. Więc też duch, wiedząc siebie w Przedmiocie, uzna w nim siebie, uzna niezależność, osobowość swoję.

„Widzimy, iż im więcej Przedmiot odpowie tym warunkom, tém też i w treści będzie głębszy, prawdziwszy. Uważmy tedy, jako stopniowo Przedmiot się przeobraża, wzmaga, aż wreszcie stanie w jedności z Duchem, a tak ziści Ideę samę. W Poznaniu przedmiot był dany, znaleziony, nie był więc odpowiedni duchowi, jako Kmiotowi, nie był z nim w jedności, był względem niego obcy; a zatém też duch nieskładał z nim Całości osobnej tak niestał się w zupełności Osobą, nie przejrzał się w Przedmiocie, nieuznał niezależności swojéj,—Osobowości swojej.

„Następnym stopniem jest Przedmiot nie już dany, znaleziony, obcy, ale będący już Ducha wypływem, bo utworzony Wolą jego. Lecz i tu jeszcze jest niedostatek, przedmtot takowy jest jednostkowy, jest jeden z nieskończonej ilości przedmiotów świata, jest zależny tedy od nich, jest tedy ułomkowy i nieodpowiada ogólnéj istocie Ducha. Tak i tutaj niema zupełnéj jedności Ducha, jako Kmiotu i Przedmiotu. I tutaj niema zupełnéj Idei. I tutaj duch niedochodzi do zupełnej Osobowości swojej.

„Dopiero, gdy sam Duch osięgnie wiedzę, że w nim przebywa Idea; gdy ją znajdzie w sobie, tj. gdy zrozumie, że Idea sama w nim, jako Kmiot, myśli; gdy z drugiej strony osięgnie wiedzę, że i jego przedmiotem badania jest teraz Idea sama; wtedy i Kmiotem i Przedmiotem jest Idea, wtedy obie te strony odwrotne spływają w Jedność, w Ogół; wtedy jedno i tożsamo Jestestwo pojedyncze będzie i pojedyncze i ogólne, a Duch będzie Całością niezależną. Wtedy i Kmiot i Przedmiot będzie Prawdą bezwzględną; staną się osóbną Całością, a Kmiot

obaczy się w Przedmiocie, jak w Odbiciu swojém; tak tedy Duch pozna, że jego powołaniem, że jego zadaniem jest, by siebie uznał być Ideą, by tę Ideę, znalezioną w sobie zarodem, s siebie rozwinął i roztoczył.

„Lecz, czyli ta jedność jest już ostateczna; czyli ta Całość, ta Osobowość jest już najwyższa; czyli tutaj Kmiot i Przedmiot stanęły już w równi s sobą? Czy Przedmiot rzeczywiście jest już wypływem Kmiotu, jego iście własnością; czy zatem tutaj rzeczywiście już ukończył się rozwój Idei?

„Uważmy, iż na poniższych stopniach Duch niemiał jeszcze wiedzy, że w nim przebywa Idea, — znalazł ją w sobie dopiero, gdy stanął na najwyższym szczeblu swoim; wtedy znajduje Ideę w sobie, wtedy dopiero poznaje że ta Idea jest Prawdą jego, że ona w nim powinna być Kmiotem myślącym, badającym, a zarazem Przedmiotem badanym; że ją winien dopiero roztaczać s siebie jako Przedmiot własny. Lecz właśnie dla tego, — że Duch dopiero znajduje Ideę w sobie, że ona dopiero jest w nim zarodem, który rozwinąć powinien, że rossnucie téj Idei jest powołaniem Ducha; — s tego wszystkiego wypływa, że Duch a Idea niejest Jedno, że Duch dochodzi téj Idei w sobie, że ona mu jest przeto dana, — że ją znajduje w naturze, która również sama jest znaleziona, dana, niezawisła od niego, że ją znajduje w duchowych jestestwach, będących również przedmiotem mu danym: — że tedy Idea nie jemu początek swój winna— że ona niezrodziła się z niego, że Idea całkowita w całém rozwiciu swojém, a idea, o ile ją Duch zarodem obejmuje, lub rozwinąć zdoła, nie są s sobą w Jedności. Uważmy, iż dla Ducha jako Kmiotu, Przedmiot jest wprawdzie zawsze na równi z nim; na jakim stopniu stanie Duch jako Kmiot, na tym też stopniu stanie Przedmiot jego; o ile w Duchu, nie osobista myśl, ale Idea rzeczywiście w nim myśleć będzie, o tyle też Przedmiot jego, tj. Idea roztoczy się i rozwinie; Idea o tyle mu się okazuje, o ile ją rostoczyć zdoła, o ile Duch sam myśli przez Ideę. Idea bezwzględna istnieje tedy niezawiśle od Ducha. Duch zawiera ją wprawdzie w sobie ale nawzajem i Idea obejmuje Ducha sobą.

„S powyższego wątku tedy widzimy z jednej strony, iż Duch zamyka w sobie Ideę bezwzględną, że jest

więc z nią w Jedności; że dochodzi do wiedzy, iż ona w nim przebywa; że ją znajduje w sobie, — że ją przeto roztoczyć może i powinien; że więc właśnie dla tego w nim tkwi zaród prawdy bezwzględnej. Byle więc myślenie Ducha nie było osobistém jego myśleniem, ale myśleniem przez Ideę w nim przebywającą, a już wtedy to myślenie będzie zarazem Myślą tkwiącą we wszech przedmiotach, we wszech rzeczach; będzie zarazem i Myślą i Bytnością wszelką. — Tak więc myśl, jako Kmiot, a Myśl jako Przedmiot, są w Jedności, bo obie strony są Ideą bezwzględną; tak tedy Duch w sobie jest Całością odosobnioną, niezależną. Duch uznaje, że Idea bezwzględna, przejmując sobą Bytność wszelką, przejmuje i jego własną istotę, że zatém, krom rozmaitości piętna, właściwego każdemu z jestestw duchowych, jest w nich prawda wspólna, Myśl bezwzględna, jedna we wszystkich.

„Lecz z drugiej strony, jako się rzekło, Duch znajduje tę Ideą bezwzględną w sobie, znajduje ją jako zaród jemu dany; poznaje więc, że ta Idea niejest myślą przez niego zrodzoną, że ma byt samodzielny od niego, — że ten jej zaród rosświecić, zbadać powinien — poznaje, że rostoczenie, rozwicie tej Idei bezwzględnéj jest jego zadaniem. Jest tedy powołaniem Ducha, aby on, jako Kmiot myślący, uczynił myślenie swoje Myśleniem bezwzględném, Ideą; — i aby również zbadał to Myślenie bezwzględne we wszech rzeczach i obaczył je we wszystkiém, aby Myślenie i Bytność, Kmiot i Przedmiot uczynił Jednością; że to zadanie jego jest bez granic. Lecz właśnie, że tak jest, okazuje jawnie, że jak czém innėm jest Duch, a czém innėm Idea sama przez się, którą zarodem w sobie znajduje; tak czém innėm jest Idea, dopiero rostaczana przez niego, a czém innėm Idea w Caści swojej, w całkowitem rostoczeniu swojém, — w wiekuistej swej Pełni; że zatém Duch i rostoczona przez niego Idea nie są w ostatecznéj Jedności z Ideą, w prawdzie jej najwyższej, że więc Duch sam przez się niestanowi niezawisłéj, niezależnej, osobnéj Całości; — że tedy tutaj Osobowość niedoszła swojego szczytu, że Idea niestanęła już u kresu swojego.

„Tak tedy raz okazuje się, iż Idea jest w Duchu, iż Duch jest w Jedności z nią; a drugi raz, że Duch niejest w Jedności z Ideą. Raz się okazuje, że ta Idea bezwzglę-

dna jest Przedmiotem dla Ducha; drugi raz, że Duch sam jest jedném jestestwem téj Idei, że się sam ma do niéj, jak Przedmiot do Kmiotu; — że ta Jedność nie jest dostateczna, że ona dopiero jest zadaniem dla Ducha. Pogodzenie téj Dwoistości, oto główny na teraz Cel.

„Wynika przeto konieczność bytności Jestestwa, będącego Pogodzeniem téj Dwoistości. Występuje przeto konieczność loicznego stopnia, w którym już niema różnicy między Duchem a Ideą bezwzględną w całém rostoczeniu jéj; — w którym Duch, bez badania, bez rostoczenia téj Idei bezwzględnéj, obejmuje ją w Całości jéj i w jéj Prawdzie wiekuistéj; — w którym Duch tedy niema w sobie Idei, będącéj dopiero pierwiastkiem danym, znalezionym, ale ma ją jako własne zrodzenie swoje, jako Myśl, którę myśli, która zarazem jest myślą Kmiotu, a zarazem myślą tkwiącą w Przedmiocie i będącą we wszem Przedmiocie.

„Tutaj więc nie ma już badania" śledzenia Idei w Przedmiocie, a tak wynajdywania Jedności Kmiotu i Przedmiotu, Myśli i Rzeczywistości; tutaj ta Jedność już ma to znaczenie, iż Myślenie zamienia się na Przedmiot, na Rzeczywistość, iż stwarza Bytność. Duch, jak rodzi s siebie Ideę bezwzględną, jako Myśl swoję, jako Myślenie kmiotowe swoje; tak stwarza ją, jako Wszechbytność, — jako cały Świat przedmiotowy. Świat więc jest zrodzeniem Myśli Ducha, ta myśl tkwi w świecie, — tkwi więc i zarodem w duchach innych, będących również zrodzeniem jego, — i w nich o sobie znać daje, odnosi się do nich, jako do Przedmiotu swojego.

„Tu Jedność Kmiotu i Przedmiotu stanęła u kończyn swoich, Kmiot odróżnia się od Przedmiotu swojego, od Wszechbytności; lecz gdy ta Wszechbytność jest własném zrodzeniem Ducha, więc Duch siebie w niéj wié i ogląda, gdy Duch sam s siebie stwarza wszystko, co jest, więc jest wolny od uzupełnienia się, jest w bezwzględnéj niezależności. Tak iści się ostatecznie Idea, Jedność bezwzględna. Tu iszczenie się najwyższe pierwiastków Pojęcia, — tu w jedném Jestestwie, w jednym Duchu, w Pojedynczości, zamknięta jest Odwrotność i Ogół. Tutaj jedno i tożsamo Jestestwo obejmuje sobą wszystko, co jest, jako Przedmiot swój, a nieprzestaje być Pojedynczością. Jest to Jedność, będąca Całością zupełną, najwyższą Oso-

bowością. Duch obejmuje sobą wszystko, co jest, a przecież odróżnia siebie od wszystkiego, co jest; nie jest w tożsamości ze Wszechbytnością, ze Stworzeniem swojém; — jest „Osobą bezwzględną“.

Ażali to nie po chrześciańsku? Czyby kto nie sądził, czytając taką kartę wyrwaną, iż to wyjątek z jakiéj Dogmatyki? Jest to samodzielny, nowy zupełnie Dowód Bytu Boga, ugruntowany na żywiołach Umiejętności dzisiejszéj, a godny świętego Tomasza z Akwinu. — O tymże przedmiocie pisze Kremer przy końcu Tomu drugiego w §§. 502 i 503, co następuje:

„Główném piętnem filozofii Hegla, mającéj na sobie cechę Panteizmu, jest przedewszystkiém utopienie wszystkich ogniw w Ogóle abstrakcyjnym, w Idei bezwzględnéj, która wszystko s siebie rodzi, ale niepozwala niczemu ostać się obok siebie, która wszystko, co pojedyncze, indywidualne, w sobie chłonie, która tedy jest Rozumem, Potęgą najwyższą, ale sama nie jest Pojedynczością, Jedném; niejest jeszcze Rozumem siebie wiedzącym odnoszącym się do siebie; niejest Osobą. Stąd téż, dla braku téj Pojedynczości, dla utopienia jéj w Ogóle, w Abstrakcyi, znać, iż ta filozofia, wbrew swojéj właściwéj zasadzie, niepamięta, iż Pojęcie każde prawdziwe ma w sobie trzy pierwiastki, bo Ogół, Szczególność w tym Ogóle zamkniętą i Pojedynczość, tj. iż ów Ogół, mimo Szczególności w nim zamkniętej, powinien być Pojedynczością, tj. jedném pojedynczém Jestestwem. Zamiast takiego pojmowania, ta filozofia trzyma się wyłącznie Ogółu. Jak tedy Człowiek niejest tutaj pod żadnym względem pojęty jako Pojedynczość samoistna, tak też filozofia ta w najwyższym szczycie swoim dochodzi tylko do Abstrakcyi, do Idei bezosobowéj, niebędącéj Pojedynczością, jedném pojedynczém Jestestwem, Osobą....

„Okazało się już na końcu Loiki, iż na Duchu stworzonym niemoże się kończyć loiczny rozwój Idei, chociaż duch stworzony sam, jako Kmiot myślący, zawiera w sobie zarodem Ideę w nim myślącą, i że zadaniem jego jest również ta Idea; że zatém tutaj Kmiot a Przedmiot są w Jedności. Wiemy, że i ta Jedność niemoże być tutaj jeszcze dostateczna. Jakoż duch stworzony dopiero znajduje tę Ideę w sobie; s czego znać, że ją dopiero ma rozwinąć s siebie, że ona mu jest daną, że mu skądinąd

przyszła; że duch stworzony nie jest od niéj zawisły, że on zatém nie wyraża jeszcze w zupełności Osoby. Stąd następnie wynika, iż tutaj duch stworzony, jako Kmiot, i nawzajem Rzeczywistość, czyli Przedmiot, niesą jeszcze w Jedności swojéj, ściśle loicznéj; iż Idea, będąca zarodem w duchu, niejest jeszcze całą Ideą w wiekuistéj swojéj zupełności, w swojéj nieskończoności; iż Przedmiot, na który go stać, nie jest jeszcze całym Przedmiotem, Przedmiotem bezwzględnym; że tedy duch stworzony nie będzie tą Jednością bezwzględną Kmiotu a Przedmiotu. Wszak z jednéj strony duch stworzony jest wprawdzie Jestestwem jedném, pojedynczém, ale niezawiéra bezwzględnego Ogółu w sobie, Idei bezwzględnéj, nieobejmuje Ogółu, który zamyka wszystkie Szczególności świata. W duchu stworzonym przeto, jako się rzekło, trzy pierwiastki pojęcia, tj. Pojedynczość, Szczególność i Ogół, niesą jeszcze połączone s sobą.

„Stąd konieczność Jestestwa jednego, pojedynczego, któreby, jako Kmiot i jako Przedmiot, było całą, wiekuistą, nieskończoną Ideą, któremuby była ta Idea obecna jako własna Myśl Jego wiekuista, odbijająca się we wszech światach, którąby z jednéj strony była opatrznie przytomna w świecie, z drugiéj przeciwnie odosobniona od świata, odnosząca się do siebie, jako do własnego ogniska, wiedzącego siebie, a tak była wiekuistą, Bezwzględną Osobą. Ta najwyższa i bezwzględna Jedność Kmiotu i Przedmiotu, Myśli a Istnienia, objawia się w Stwarzaniu świata, gdy Istnienie staje się przez Myśl. Tutaj tedy widzimy już pierwsze podwaliny loiczne Idei Bożéj, jako bezwzględnéj Osobowości dla myśli naszéj; dalszy rozwój byłby raczéj osnową dla Teozofii. Tu jedynie zważmy tylko, że jak z jednéj strony Wiedza o Bogu jest dalszym a koniecznym rozwojem Idei bezwzględnéj; tak z drugiéj strony ma ugruntowanie w Loice.

„Jakoż, gdy Pojęcie każde nietylko samo winno być ogólne, pełne treści (szczególności), ale nadto winno być Pojedynczością, bo wyraża się jedném jestestwem; przeto téż Idea urzeczywiścić się powinna w Jestestwie pojedynczém, osobném. I w rzeczy samej Idea bezwzględna ziści się w jedném najwyższém Jestestwie bezwzględném, które będzie wiekuiste, ogarniające Ogół wszech światów, a mimo tego będące Osobą. Idea zaś bezwzględna, jako ab-

strakcyjny, bezosobowy Rozum, nie ziści téj koniecznéj Jedności, bo jéj ziszczeniem będzie Wielość nieskończona jestestw, ciągle się rodzących, a ciągle rospływających się w onéj Idei ogólnéj, bezwzględnéj, bezosobowéj. Wtedy dopiero Myśl poznająca dosięgnie pokoju wewnętrznego, gdy pozna, że jest Jestestwo, rządzące niebem i ziemią, Bóg żywy, Osoba, słowem, Bóg wiary Chrześciańskiéj. Zatém téż każda filozofia, póki niezdoła téj pewności s siebie rozwinąć, będzie sierotą na ziemi i zakończy fałszywym rozdźwiękiem strun duszy. W Wiedzy o Bogu, w Przekonaniu o Jego Osobowości znajdzie się dopiero rozwiązanie zagadek wszystkich.

„Na tym stopniu najwyższym okazuje się również, że i duch stworzony nie rospływa się w Ogóle; że się utrzymuje jako Pojedynczość samoistna z własną i wolną wolą, jako Jestestwo wiekuiste i nieśmiertelne, którego zadaniem jest dalszy rozwój. Na tym stopniu również się okazuje, że owe wszystkie formy poznania, pojętności, rossądku, doświadczenia, wiedzy bezpośredniéj, uczuć, mają znaczenie swoje i mają wyższą, niż prosto negacyjną wartość; słowem, że wszystko, co jest piętnem Indywidualności, nie jest tutaj zatracone, ale dochodzi do praw swoich. Stąd téż każdy stopień w całym rozwoju kończy na Pojedynczości, będącéj zarazem Ogółem, pełnym treści (szczególności), a tém potężniéj te trzy pierwiastki i połączenie ich występują, im wyższy będzie stopień.

„S tego się okazuje, iż na naszém stanowisku, uważając rozwój rodu ludzkiego za progressus in infinitum, tém samém wyznajemy, że żadna filozofia niemoże się nazwać filozofią bezwzględną; że więc i my, na naszém stanowisku, uważamy naszą filozofię za jednę z wielu ogniw, któremi się Człowiek coraz wyższych Prawd dorabia“.

Daję tu zacnemu Kremerowi oklask tak głośny, jak tylko zdołam i mam przekonanie, iż wszystek Naród uczyni toż samo.

Gdy Umiejętność pozyskała już prawdziwą myśl o Bogu — i wyniosła Go, nie tylko na filozoficzny, ale i na święty pierwiastek swój, gdy Osoba Boża staje już na

najgórniejszym niebios szczycie i występuje jako znany z niemieckich pism Absolut: naówczas również Osoba ludzka idzie w górę i płaci. I oto okazuje się, że nie Zasady, które jako czcze Ogóły i Oderwania bezosobowe, są zawżdy wszechbożeńskie, a do których odwołują się tak radnie ludzie ujemni, że, nie zasady filozoficzne, powtarzam, by téż i najprawdziwsze, nie sam tylko System umiejętny, by téż i Platonowy, lecz wiara żywa może być Zbawicielem świata; że nie sama tylko Pedagogika, ale Ojciec, Matka, Nauczyciel wychowywa najlepiéj na przykładzie własnym pokolenie nowe; że nie bogata nauka i wiedza, ale przezacny charakter winien być ukształcenia celem. Tak tedy zmartwychpowstaje tu stara cześć Rodziców, miłość rodzinna, zmartwychpowstaje pokora chrześciańska. Oto, co wyświęca się w filozofii Kremera tak mile i przedziwnie, iż ubiera się w pióra archanielskie Myśl górna, a raduje się niebios radością poczciwe Serce.

Na dowód kierunku tego, tak zbawiennego, daje się tu li jeden wyciąg s Kremera.

Kremer okazawszy, że w Małżeństwie, jako kamieniu węgielnym Obyczaju, występuje cała, głęboka i tameczna treść człowieka w pełnej, rzeczywistéj Prawdzie na jaw, tudzież, że Małżeństwo, nie jest jedynie Uzupełnieniem ogólném płciowém dwóch jednostkowych Osób, ale że chodzi w niém o Uzupełnienie wzajemne całéj treści Człowieka, będącéj wiekuistém Tchnieniem Bożém, tak daléj mówi:

„S powyższego pojmowania Małżeństwa wypływają następujące najwyższéj wagi Prawdy:

„Naprzód. Gdy Małżeństwo jest Zjednoczeniem całéj treści, tak duchowéj jak cielesnéj, obu stron; gdy każdy z małżonków oddaje drugiemu siebie w Całości: s tego wypływa koniecznie, iż Małżeństwo z istoty swojéj jest Monoganią. Bo w przeciwnym razie, np. w wielożeństwie, małżonek, podzieliwszy treść swoją na wiele osób, żadnéj z nich nieoddałby się w Całkowitości, a tak związek takowy nie byłby małżeństwem.

„Powtóre: Gdy tutaj celem jest najwyższe Uzupełnienie się wzajemne; zatém znać, że coraz silniejsze dokonanie tego Zjednoczenia się jest tutaj główną istotą. Gdy atoli takowe Zjednoczenie się coraz silniéj się dokonywa, ale nigdy w zupełności dokonane być niemoże; zatém widać, iż cały ten stosunek jest postępem nieskoń-

czonym *(Progressus in infinitum)*; że zatém cel małżeństwa samego przez się nigdy nie jest ukończony; że przeto małżeństwo jest z istoty swojéj Związkiem nierozłącznym.

„Potrzecie: Gdy do małżeństwa wchodzi Całkowitość treści człowieka, a tém samém i stosunki jego prawne; stąd znać, iż stosunki te są wprawdzie tutaj także pierwiastkiem, ale właśnie dla tego, iż są tylko pierwiastkiem, już nie stanowią same całego pojęcia. A tak się wyjawia, dla czego pojęcie Umowy, jako tylko oznaczenie prawne, niewystarczy; że pojmowanie małżeństwa, jako Umowy, jest mylne“.

Kremer, czyniąc o przedmiotach suchych, umie je ożywić i okrasić. Jako przykład, dwa tu przytoczenia:

Wyłożywszy w Loice rzecz o zdaniach, tak ją w §. 98. zakończa:

„Jakoż, gdy toniemy wzrokiem i czuciem w Bezdeni niebiańskich błękitów; gdy nad nami zapali się Wiekuistość morzem gorejących światów swoich: już serce się korzy i silniéj bić poczyna. Wtedy i w duszy zaświéci niebo gwiazd tysiąców! — Lecz ciche to i uroczyste Nabożeństwo nie przeniknie jeszcze naszego całego Ducha, ani dosięgnie przepaścistych głębin jego. Serce, uczucie jest tylko jedną połowicą człowieka; drugą jest Myśl i Rozum. Stąd niewystarczy siejba nieskończona gwiazd na niebie; niewystarczy sama ilość i nieskończoność jéj. Wszak upatrujemy w tych światach naniebnych ład i szyk, Myśl i Rozum; śledzimy w nich System i Całość. Tym Rozumem w niebo wcielonym, tą Myślą, wypisaną gwiazdami dopiero rozraduje się Myśl nasza i pokrzepi, bo w niéj poznaje bliźnią, a rówiennicę swoję. „

W filozofii Natury, oznaczając w §. 230. Materyą w ogóle, tak się odzywa: „W Eterze świata oddychają gwiazdy, co stadami przelatują przestrzenie wiekuiste. W nim i z niego się rodzą, w nim umierają. Jakoż po toniach niebiańskich widać lekkie, mgliste obłoki, jakby dech natury. Jedne z nich siłą teleskopów rozwiązały się w roje niezliczonych gwiazd. Znać, że to są mleczne drogi; że oddalenie bezmierne przygasiło odosobnienie pojedynczych światów. Lecz inne mgliste obłoczki zdają się być bez gwiazd. Jest to może pierwsze zebranie się materyi w sobie, co, gdy kiedyś, ścinając się, zbierze się około pewnych punktów, swych środków, zakwitnie nowemi światy. Te obłoczki płyną po przestrzeni niebiańskiéj, ale tylko niby marzenia natury o przyszłych Słońcach i Światach. Liczba tych obłoków, widnych nam, jest ogromna, bo jest blisko półtrzecia tysiąca. W tym Ogrojcu Bożym, jak

go pięknie Humbold nazywa, jedne gwiazdy są w zasiewie; inne stulają się jeszcze pączkiem; inne rozwinęły się wspaniałym przepychem; — a inne światy już zwiędniały i zmarły".

Czy księgi tak pisane niegodne są czytania, dla tego tylko, iż na czele ich stoi napis odstraszający: „Wykład systematyczny Filozofii"?

Co każdy krok dalszy w filozofii swojéj, Kremer oddala się bardziej od Hegla, a im więcéj się odeń różni, tém jest ciekawszy. Oschła w ogóle i dość przykra do czytania jest jego Loika, s powodu, iż przypomina Hegla za żywo. Ale przy końcu jéj, gdy mówi o Idei, a przeprowadza ją przez Żywot, Ducha i Osobę bezwzględną; wtedy porywa on już Czytelnika i nagradza go sowicie za początkowy ochwat. Filozofia natury, ukazująca się już wielkiém od Hegla odstępstwem, zajmuje silnie, a Filozofia Prawa, Moralności i Obyczaju, kędy Pisarz nasz rozwija już niemal całkowicie myśl własną, obudza on i niebiańską światlanością treści i perłami a ochędóstwem, toczy językowy zachwyt. S tego względu cieszyć się zgóry wypada z przyobiecanéj nam Teozofii, w któréj Kremer, nie mając już żadnego, danego sobie od Hegla filozoficznego podścieliska, będzie mógł w całkowitéj pełni wywiesić i rozwić tak lube samodzielności własnéj chorągwie.

Ponieważ Kremer ogarnia Filozofią całą i wykłada po kolei, acz krótko i po swojemu tylko, wszystkie jéj części, jedną wiążąc je myślenia nicią, a czyni to po mistrzowsku; on przeto jest pierwszy, który dzisiejszemu, w naukach gruntownych zaniedbanemu, Narodowi daje pełniejsze o Systemie filozoficznym wyobrażenie. Dzięki mu za to, albowiem u nas, jak we Francyi i Anglii, lada formularzyk nosi imię Systemu!

Jakie ostatnie słowo moje o Kremerze? Dwutomowy wykład jego systematyczny filozofii, to rozległy, przez dzielnice Ontologii, Przyrodzenia i Człowieczeństwa przeprowadzony Dowód umiejętny, że Bóg jest, i że Bóg ten jest osobisty. Kmiot-Przedmiotowość ludzka sadzi się tu na łonie Umiejętności długo, a mozolnie i gruntownie, Uczą i Saczą porodną, aż wreszcie dociera do ostatecznego kresu swojego, widzi i zeznaje niedostateczność własną, najduje Osobę bezwzględną i pada s pokorą na kolana przed jéj Majestatem. Loika, Filozofia natury i Filozofia ducha ludzkiego wyłożone tu

11

zostają nibymimochodem, stanowiąc kraje li wstępne, które Pątnik, szlakujący Prawdę, przewędrować musi, nim najdzie wreszcie na górach Himalaju bramy do niebios i otworzy sobie świat tamten, nim zbliżyć się mu wolno przed lśniejącą tamecznem światłem Stolicą Pańską. Jako Arystoteles, acz filozof pogański, przerobiony od średniowiecznych mędrców, stał się użytkiem chrześciaństwa i kotwicą Teologii; tak Hegiel, acz filozof wszechbożeński, przetworzony od Kremera, staje się pożywnym dla Narodu umysłowym pokarmem. W ogóle, pomiędzy starym Petrycym i Kremerem są miłe podobieństwa. Pierwszy uchrześciańszcza i przepolszcza Arystotelesa, onego Mocarza starożytnych Czasów; drugi czyni to samo s Heglem, Arystotelesem nowożytnym. Obaj wśród pracy swéj wyjawiają też samodzielność własną. I jeden i drugi piszą prześliczną, sobie li właściwą polszczyzną; Kremer dopina celu swojego całkowicie i daje Młodzieży polskiéj Mądrość, wszechwybryków nagannych próżną, a godną opieki i kościoła i ludzi poczciwych. Gdyby był wydał dzieło to po niemiecku, odgrywałby dziś gdzie nad Spreą lub Nekarą znamienitą rolę, a otoczon byłby ubóstwiającéj go młodzieży orszakiem. Napisał je po polsku. Za szczerą i sumienną chęć przysłużenia się spółbraciom, tę ma nagrodę, że mało kto go czyta, a jeszcze mniéj jest takich, co poznać się na wartości i zasłudze jego umieją. Jest to smutna, ale nie dla niego! Godzi się mu bowiem mieć nadzieję i przekonanie, iż to na czém nie zna się jeszcze dzisiejsze, uwielbi nieomylnie może już jutrzejsze pokolenie. — Tylko Bóg wypuszcza z rąk dzieła doskonałe. Co człowiek zaś uczyni, ma koniecznie ułomności i niedostatki. Jest tedy i w Kremerowskiéj filozofii coś, co się wydaje jako jeszcze brak całkowitego wytrawienia się w sobie saméj i jednozgodności s sobą aż do ostatecznéj, najbardziéj maluczkiéj kropelki; jest w niéj dość i innych różnorodnych, zgoła językowych usterków. Ale, nie tykam ich bynajmniéj. W filozofii téj, tyle jest światła zbawiennego i błogiego, iż wady jéj są jako plamki na słońcu. Pięknie nawet i jakoś naiwnie, po dziewiczemu, poczciwie jéj z niemi! Stąd zostanę bezwątpienia powszechnego uczucia polskiego wyrazem, gdy się odezwę z życzeniem, aby Kremer jak najdłużéj nam pracował w tym szlachetnym, pełnym trudu, s małéj zagrody, zawodzie.

NAPRZÓD — PRACĄ!

przez

Karola Swidzińskiego.

Młodzi moja! do was dążę, —
Wiary pełen, — a i troski —
Bom ja nie Niezłomny książę,
Nie Walenrod, nie Beniowski!

* * *

W księżycową noc na fali —
Ja wam grobów nie otworzę;
Choć trumienne ojców łoże
Może moja myśl przepali!

* * *

Ja wam duszy nie upoję —
Marzeń cudem, pieśni cudem;
Ale by was zbratać z trudem,
Wolą, cnotą was uzbroję.

* * *

Młodzi moja! młodzi dzielna!
Ty szlachetna i naczelna —
Bo na twoich barkach leży

Skarb przyszłości, i dług szermierzy;
Nie daj się upajać pieśni,
Bo choć z pieśni często chwała:
Nieraz pieśnią człowiek prześni,
Chwilę — w któréj drugi działa.

* * *

Nie eolskich tobie tonów,
Nie błyskawic, nie szwadronów,
I nie orlich tobie lotów,
I nie szabel i nie grotów —
Ale pracy tobie trzeba! —
Duszy chleba, myśli chleba!

* * *

Więc nad księgą zwieszaj głowy,
Bo tam napój silny, zdrowy,
Ztamtąd przyjdzie ci znajomość
Wielkich rzeczy i świadomość,
Jak wygrzebać skarby z ziemi
I jak ziemię podnieść niemi.

* * *

O ma braci! wdzięczna, młoda!
Czasu szkoda, trudu szkoda, —
Na marzenia biegać szlaki
I na cudze liczyć ptaki!
I odgrywać butnych role
Przez ciemnotę i swawolę.

* * *

Cóżeś szablą wyrąbała?
Kilka szczerbów w dziejów pleśni!
Cóżeś lutnią wypłakała?
Milion tonów co świat prześni!

* * *

Oj nie szablą i nie tonem
Tobie walczyć hufcu młody!

Ale z czołem pochyloném
Nad mądrości ślęczeć kartą,
Sercem przeczuć prąd właściwy
I z prastaréj ojców niwy
To ukochać, czém żyć warto.

* *
*

Bo nie żadnym błyskiem stali,
Nie natchnionych tonów mocą
Ludy czoła swe ozłocą;
Tylko pracą i mądrością,
Tylko trudem i miłością
Przyszłość serca im zapali.

* *
*

Młoda braci! dłoń twa twarda,
Serce zdrowe, dusza harda!
Więc przed ołtarz siadaj trudu
I niech pot ci z czoła ciecze —
Bo gdy minął czas na miecze,
Zawsze czas na pracę ludu!

* *
*

Stal, to przemoc! pieśń, to baśnie!
Lecz by stanąć twardo, jaśnie,
Innych potęg dzisiaj trzeba:
Duszy chleba! myśli chleba!

* *
*

Po staremu i bez trwogi, —
Szły pradziady — wierząc w hasło!
Ale kasty hasło — zgasło:
Więc nam dzisiaj inne drogi.

* *
*

Im nieszczęsnym się zdawało,
Że krew przelać, ot i dosyć!

I że można cud wyprosić
Zwrotką pieśni — oj za mało!

* * *

Nie z téj cegły gmach powstaje,
Gmach, którego nic nie złamie, —
Tylko myśli, pracy ramie
Takie gmachy ludom daje.
A więc moja braci młoda!
Nie do szabli, nie do pieśni;
Czasu szkoda, trudu szkoda!
Szabla pryśnie; pieśń się prześni.
Ty na inne licz zdobycze,
Na zdobycze, które trwają,
Które chleb rodzinie dają,
Choć nie głośne, nie zwodnicze.

* * *

W tym przybytku pracy, woli —
Bracie! mało jest wesela,
Tam skroń pali, serce boli
I co stworzy, w życie wciela.
Duszy twojéj nie pokala
Żądza pusta, ni myśl pusta,
Nie uśmiechną ci się zdala
Koralowe dziewcząt usta.

* * *

Hej do cyrkla, hej do kielni
I do wagi i do pługa!
A choć praca ciężka, długa,
Ale wyjdziem my z niéj dzielni —
Barki nasze się rozrosną,
Serca nasze spotężnieją
I zdobędziem myśl miłosną
I grunt, co go nie zachwieją
Ani burze, ani siła,
Bo go praca postawiła!

KOBIETY HISTORYCZNE

PRZEZ

DR. XAWEREGO LISKE

profesora historyi powszechnej na wszechnicy lwowskiej.

I.

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

WSTĘP.

Już piąty wiek mija, od kiedy nad spustoszoną, zgliszczami i trupami pokrytą, przez wewnętrzne spory i waśnie rozdartą, przez zewnętrznego nieprzyjaciela zalaną Francyą zajaśniała gwiazda dziwnego blasku i uroku, gwiazda prowadząca do chwały i zwycięztw naród pozbawiony odwagi, niezgodny, na tysiączne partye rozdarty, zapominający o przywiązaniu do kraju, tysiącznemi klęskami znękany. Gwiazdą tą była dziewica ze stanu wieśniaczego, prosta, niewykształcona a jednak porywająca za sobą cały naród od najniższego do najwyższego. Dziewica Orleańska robiła cuda, powiadają nam współczesni opowiadacze i powtarza za nimi niejeden nowoczesny historyk. I rzeczywiście, czyż nie cudem nazwać nam wypada to, że młodziutkie niedoświadczone dziewczę rzuca się w odmęt wojenny, wkłada na siebie zbroję, przekonywa o szczytnéj missyi swéj króla i otaczający go dwór, wlewa odwagę w złamane i znękane szyki bojowe Francyi, prowadzi do zwycięstw tych, którzy dotąd zwykli tylko uciekać na sam widok nieprzyjaciela, a co najdziwniejsza, umie obudzić męstwo, entuzyazm, poświęcenie w ludności zwaśnionéj, strupieszałéj, oddanéj tylko materyalnym dążnościom, zapominającéj o najświętszych obowiązkach względem kraju ojczystego, witającéj nieprzyjaciela jak brata, łączącéj się z najezdnikiem przeciw własnemu królowi na

zgubę własnego kraju? Czyż to nie cud? Czy dzieje któregokolwiek kraju wykazać mogą podobne zjawisko? Mimo to jednak ten pozorny cud, zajrzawszy w tajniki natury ludzkiéj, zbadawszy samo jądro tego olśniewającego, uroczego zjawiska, potrafimy sobie wytłómaczyć, nie przypuszczając nadnaturalnych, z naturą ludzką sprzecznych przyczyn. Dziewica orleańska bowiem i jéj zadziwiająca działalność jest tylko dobitnym dowodem potęgi, uroku i siły dwóch z sobą złączonych szczytnych idei: patryotyzmu i wiary. Dziewica stawia nam przed oczy najpiękniejszy w dziejach świata przykład: do jak zadziwiających, olbrzymich rezultatów dojść może najprostszy śmiertelnik oddany całą duszą, ożywiony całą siłą dwóch tych szlachetnych idei: wiary i patryotyzmu. Wiara i patryotyzm, oto kwasoród duszy Joanny, oto dźwignie, za pomocą których ona, prosta, niewykształcona dziewczyna z ludu wyrywa z inercyi cały naród, wypędza z kraju najezdnika, wkłada na głowę poniżonego delfina koronę; wiara i patryotyzm, oto dwa jaśniejące świeczniki, które nam podziśdzień po 500 nieomal latach pokazują uroczą postać dziewicy w dziwnym, przeczystym blasku; wiara i patryotyzm, oto aureola otaczająca wieńcem chwały, niemal świętości głowę dziewicy, podnosząca ją ponad tysiące znakomitych, wykształconych, bogato od natury wyposażonych ludzi; wiara i patryotyzm, oto olbrzymie podwaliny całéj jéj czynności, oto cudotwórcze elementa jéj potęgi i władzy, oto broń, którą ona zwalcza nieprzyjaciela, oto tarcza, którą ona zasłania kraj rodzinny i zagrożonego prawowitego króla. Do tych dwóch idei odnieść możemy zdumiewającą działalność Joanny, lecz zarazem widzieć możemy w niéj niezaprzeczony dowód, jak rzadko niestety w świecie napotkać można złączenie prawdziwego patryotyzmu i prawdziwéj wiary, kiedy ten jedyny prawie w dziejach świata przykład przez tyle wieków olśniewał, i olśniewa jeszcze ludzi a w świecie współczesnym potrafił wywołać czyny, które tylko jako cuda, lub w przeciwnym obozie jako podszepty i intrygi szatana pojmować umieli współcześni opowiadacze.

Dzisiaj, kiedy dwa ożywcze elementa Joanny z każdym dniem więcéj się zacierają, z każdym dniem stają się więcéj rzadkie, tym bardziéj na czasie być powinno rozpatrzenie, zcharakteryzowanie i ocenienie téj uroczéj, powabnéj postaci. Oby oddźwięk ubiegłych wieków, oby odblask tej jaśniejącéj cudownèm światłem gwiazdy potrafił w duszy czytelnika wywołać choć jedną iskrę tego świętego ognia jakiém gorzało szlachetne serce dziewicy z Dom - Remy.

Liczne opracowania zajmujące się losami dziewicy, o których jeszcze później obszerniéj pomówimy, różnią się między sobą nawet ze względu na najważniejsze fakta. Od kiedy jednak materyały do dziejów Joanny wydano krytycznie, nowsze, na sumienych studyach oparte opowiadania jednozgodnie dochodzą przynajmniej do pewnych wspólnych rezultatów, tak że obecnie nikt już nie będzie widział w Joannie postaci takiéj, jaką nam rysują du Bellay, du Haillan lub Chapelain a przez długi czas rozpowszechnione fałszywe zapatrywanie, które między innemi podziela Görres a za nim Dr. K. Libelt, jakoby dziewica missyą swą w Reims uważała za ukończoną i odtąd tylko przemocą dała się zatrzymać u dworu, w obec owego krytycznego materyału upadło na zawsze. Lecz ta zgoda w opowiadaniach mimo to ogranicza się prawie tylko na skonstatowaniu samego faktycznego stanu rzeczy, zewnętrznych wypadków jej życia, podczas gdy przy tém niezwykłém zjawisku do zupełnego poznania i zrozumienia dojść można dopiero wtedy, jeżeli się ze źródeł rozwiąże także zagadki wewnętrznego jej życia. Stan duszy, usposobienie wewnętrzne dziewicy powinny przed oczami naszemi odtworzyć się wyraźnie i dobitnie, jeżeli chcemy zrozumieć i ocenić jéj czyny, całą doniosłość tego historycznego zjawiska. W tém właśnie leży kardynalna trudność téj sprawy, w tém główne różnice wszystkich i najnowszych, najsumienniejszych opracowań.

Zaprzeczyć nie można: że po krytycznem wydaleniu wszystkich tych czynów, które widocznie i wyraźnie przekształciła ustna i piśmienna tradycya, w życiu Joanny pozostaje jeszcze cały szereg wypadków przez niewątpliwe świadectwa potwierdzonych, wypadków które źródła uważają za cuda. Zachodzi zatém przedewszystkiém pytanie, jak pojmować należy te fakta i jak je traktować z historycznego stanowiska. Któżby mógł nie widzieć, że w dziejach ludzkości zachodzą nieraz niewątpliwe fakta lub koincydencye faktów, których ani kauzalnie ze znanego nam przebiegu sprawy wywieść, ani ze zwykłego rozwoju rzeczy ludzkich wytłómaczyć i wyjaśnić sobie nie umiemy. W obec takich faktów zatém jedni przypisują powód tej niejasności jedynie ograniczonéj i niedokładnéj naturze człowieka, która umie wprawdzie w całości uchwycić i pojąć wiecznie i jednakowo działające prawa porządku świata, lecz nie jest w stanie wykazać ich we wszystkich pojedynczych objawach; drudzy zaś skłaniają się do przekonania, że to co nazywamy naturalnym przebiegiem rzeczy, jest tylko pozornie porządkiem świata i że owszem dany w naturze porządek w pojedyńczych wypadkach bywa nieraz przez wyższy wpływ przełamany i w sposób, dla rozumu naszego niepojęty, zmie-

niony. Na kwestyą, o którą nam tutaj chodzi, nie wpływa bynajmniéj, jak zwolennicy drugiej metody definiują daléj ten wyższy wpływ, jak starają się działalność jego pogodzić z naturalnemi prawami: w każdym razie atoli ma to być wpływ przekraczający widoczną dla nas miarę naturalnego porządku, objawiający się nam wprawdzie w swych skutkach, lecz zamykający się co do istoty swéj zupełnie dla naszego rozumu. Adepci tego wyobrażenia więc skłaniają się do podmiotowych pojęć źródłowych, współczesnych opowiadaczy sprowadzając niewytłómaczone i niepojmowane zjawiska w życiu Joanny za pomocą pojęć religijnych do tego, co zowiemy cudami. Czy metodę i wyobrażenia takie można pogodzić z historyą jako nauką? Czy metoda taka może być tutaj uprawnioną? Czyż w historyi naukowe zbadanie, sprawdzenie i poznanie faktów nie polega przedewszystkiem na téj zasadzie, że w świecie egzystuje odwieczny i dla nas zrozumiały porządek, który w stosunku do życia ludzkiego objawia się w prawach rozwoju indywiduów i spółeczeństwa? Wyrażać fakta jako kształty, w których właśnie prawa te się objawiają, czyż niejest ostatecznym celem historyi jako nauki? Niewątpliwie do celu tego w zupełności bodaj kiedy dojdzie rodzaj ludzki. Niewątpliwie i teraz i pewno zawsze przyznawać będziemy musieli, że możemy wykazać faktyczną, niewątpliwą egzystencyą pewnych chwil i objawów ubiegłego życia, lecz że zarazem nie umiemy żadną miarą wytłómaczyć i wyjaśnić ich kauzalnego rozwoju i pochodzenia, że działalność boską pojmować umiemy wprawdzie w jéj prawach, lecz nie w jéj wszystkich pojedynczych objawach, że nasz ludzki rozum nigdy w zupełności nie potrafi dojść do jasnego i niewątpliwego zrozumienia exystencyi świata i wszystkich owych rozlicznych ścieżek dróg, jakiemi mu opatrzność iść każe. Takie wyznanie podmiotowéj ograniczoności, takie poznanie braków i niedokładności własnych swych sił, jakie historya podziela ze wszystkiemi innemi naukami, nie jest dla niej bynajmniéj hańbą; lecz wyznanie to nie powinno się, jak się to dzieje u adeptów drugiéj metody, posuwać aż do negowania axiomu, na którym jedynie polegać może i od którego jedynie wychodzić może naukowe badanie. Nie chodzi nam tutaj o uprawnienie lub nieuprawnienie zasady: czy opatrzność przekroczyć może porządek, który sama w świecie ustanowiła, lecz chodzi nam o to, że jeżeli zasadę taką przeniesie się do historyi, wtedy przestaje ona być umiejętnością, nauką.

Różnica tych dwóch stanowisk: umiejętnego i mniéj lub więcéj dogmatycznego, wpływać nawet już musi na samo skonstatowanie faktów. Nauka zwykła sobie stawiać prawo, od którego jéj odstąpić nie wolno ani krok jeden: „Poznawaj, zrozumiej.“ Prawo to

napędza badacza, choćby już w pojedyńczym jakim wypadku zwątpił o możności wykrycia całego kauzalnego rozwoju, ciągle i bez ustanku do ponownego badania źródeł za tém niezbędném wyjaśnieniem; jeżeli zaś przypuszczamy cuda w obec elastyczności tego pojęcia, aż nazbyt łatwo otwieramy sobie na roścież bardzo wygodne, lecz niestety błędne wyjście z labiryntu wiadomości źródłowych. Zastósować to zwłaszcza można do owych faktów, leżących niejako w środku pomiędzy tém co rozum ludzki z łatwością pojmuje, a tém czego żadną miarą pojąć nie może, faktów, w obec których zrzekamy się wykazu koniecznego ich rozwoju, zadawalniając się z konieczności na wyjaśnieniu możności lub prawdopodobieństwa ich egzystencyi.

Ta para słów wstępnych niech tymczasowo wystarczy dla wyjaśnienia stanowiska, jakie w obec dziwnych losów dziewicy zajmiemy [1]).

RZYGOTOWANIE.

W osobie Henryka II, księcia Normandyi, pana na dzielnicach Anjou i Maine, Poitou i Guienne wstąpił w r. 1154 dom Anjou-Plantagenet na tron 'angielski. Król angielski zatém na terytorium francuzkiém trzymał w ręku swym nie mniejszą władzę jak sam król Francyi, do której w ówczas nie należała jeszcze ani Bretania ani Burgundya. Że taki stosunek wywoływać musiał wieczne starcia i nienawiści, nie potrzebuję pewnie nadmieniać. Przez całe wieki téż trwała walka pomiędzy dwoma nienawistnemi, terytoryalnie tak do siebie zbliżonemi mocarstwami. W XIII wieku spór ten już, już zdawał się brać tąk groźny dla Francyi obrót, że każdéj chwili było się nieomal można spodziewać, iż kraj francuzki stanie się prowincyą angielską. Ostatni z Kapetyngów bowiem Karol IV zmarł w r. 1328 bez potomstwa po mieczu. Po nim zajął tron Francyi najbliższy z linii męzkiéj krewny jego Filip Walezy, jako Filip VI. Lecz Edward III. angielski zaprotestował przeciw temu następstwu, roszcząc dla siebie prawa do korony francuzkiéj na zasadzie pochodzenia swego od córki Filipa IV, króla Francyi. Prawo to nie opierało się na żadnych rzeczywistych podstawach, bo we Francyi według ustawy salickiéj linia

---

[1]) Karl Hase, Die Jungfrau v. Orleans, Lipsk, 1861.—J. Scherr. Farrago, Lipsk, 1870. — Th. Sickel, Jeanne d'Arc, Monachium, 1860.— K. Libelt, Dziewica orleańska, Poznań 1857. — L. de Carné, Jeanne d'Arc et sa mission, Paryż, 1856.

żeńska wykluczona była od tronu, mimo to jednak już wtedy niestety używało znaczenia aż nadto wielkiego orzeczenie, w parę wieków późniéj wygłoszone: „Siła stoi przed prawem,“ a siła była wtedy po stronie Anglii. Edward III, przybrawszy w r. 1340 tytuł króla Francyi i Anglii, niebawem rozwinął całą potęgę kraju swego w walce przeciw rywalowi, za którym stało prawo. Syn króla angielskiego, także Edward zwany, ale więcéj znany pod przydomkiem swym Czarnego księcia, dowodził owemi świetnemi wyprawami, w których pod Crecy i Poitiers zadał Francuzom okropne klęski.

Kiedy jednak w ostatnich czasach rządów Edwarda III zamiast sprężystości i energii zapanowała powolność i słabość, kiedy Czarny książę przedwcześnie ze świata tego zeszedł a za rządów Ryszarda II, wewnątrz kraju wybuchły zamieszania, bunty, spory i niesnaski, wtedy i sprawa domu Walezych we Francyi znów się podniosła, zwłaszcza pod mądrymi i energicznymi rządami Karola V. Lecz i ta szczęśliwa dla Francyi zmiana niestety długo nie trwała, kiedy na tronie Francyi zasiadł szalony Karol VI. O władzę kraju spierały się bezustannie dwie partye: Burgundów i Armagnaków, pierwsi w sojuszu z królową, drudzy z braćmi i synami króla. Walka prowadzona wszelkiemi środkami namiętności i zawiści, nie wzdrygająca się nawet przed mordem pogrążyła kraj w bezprzykładném zamieszaniu, zniweczyła całą jego siłę żywotną.

W Anglii tymczasem po usunięciu słabego Ryszarda II, zawładnął berłem poboczny potomek domu Plantagenetów Henryk Lancaster w r. 1399. Syn i następca tego Henryka, król Henryk V, odnowił znów dawne roszczenia królów angielskich do tronu francuzkiego. W r. 1415 wylądował we Francyi i odniósł w Październiku roku tego świetne zwycięztwo pod Azincourt. Podczas walki tej stały wprawdzie jeszcze przeciw niemu obie wrogie partye Armagnaków i Burgundów, lecz już teraz nienawidziły one siebie wzajemnie więcj jak zagranicznego wroga. Kiedy zaś stronnictwo Armagnaków przed oczami następcy tronu delfina Karola zamordowało przywódzcę i głowę Burgundów, partya ta zerwała niebawem wszelkie związki z krajem, łącząc się stanowczo z Anglikami. Henryk V, młody książę Burgundyi i królowa francuzka Isabeau w r. 1420 złączyli się sojuszem w Try es przeciw delfinowi i jego Armagnakom a szalony król musiał nawet sam przystąpić do związku, rozdzierającego cały kraj na dwie poły i grożącego zupełnym upadkiem niezawisłości narodowéj. W układzie tym matka wypierała się własnego dziecka, ojciec potępiał syna, siostra pozbawiała prawnego spadku brata. Wraz z ręką téj siostry oddawano Henrykowi V rejencyą nad Francyą z prawem następstwa po śmierci szalonego króla. W północnéj czę-

ści kraju, która w długich tych sporach straciła do szczętu poczucie prawne, układ ten uznawały stany, uniwersytet i parlament paryski. Korporacye te kierowały się przedewszystkiém tym względem że traktat z Troyes zakończy teraz przeszło 100-letnią walkę, nie zważały zaś bynajmniej na o wiele ważniejszy wzgląd, iż z przejściem korony francuzkiej na króla angielskiego, Francya stanie się poprostu prowincyą angielską. Z drugiej strony zaś południowa część kraju stanowczo stanęła po stronie zagrożonych, słusznych praw delfina. Tym sposobem więc cały kraj rozpadł się na dwa osobne państwa, których granicę stanowiła Loira.

Nie zmieniło się położenie sprawy, kiedy w r. 1422 Henryk V umarł w Vincennes pod Paryżem a tego samego roku zgasł także Karol VI. Dwunastoletniego syna Henryka, Henryka VI obwołano królem Francyi i Anglii, w prowincyach angielskich sprawował za niego rządy książe Glocester, w prowincyach francuzkich ks. Bedford. W południowéj części Francyi zaś uznano teraz powszechnie delfina jako króla Francyi Karola VII.

Nie bardzo się Francya mogła szczycić i cieszyć tym nowym swym królem. Wzrosły wśród rozprzężenia wszelkich stosunków, bez wykształcenia i starannego wychowania, Karol VII nie znał ani świętości węzłów familijnych, ani zasad, podstaw i rozwoju regularnego rządu, ani wreszcie odwiecznych praw moralnego porządku. O ludzie nie miał innych wyobrażeń, jak te, które od najmłodszych swych lat zaczerpnął w Paryżu: w ludzie widział on tylko dworaków i podchlebców, którzy z jednej strony stawiali mu przed oczy żywy przykład intryg i namiętności, z drugiéj wprowadzali go w rozwiozłe stosunki ówczesnego życia dworskiego; buntujących się mieszczan i obywateli, którzy mu w namiętnych słowach wyrzucali jego grzeszny żywot a jako jedyną modłę mądrości politycznéj i jedyny środek zbawienia wskazywali na bezwzględne poddanie się pod ich zamiary i dążności egoistyczne; wreszcie pospólstwo, które niegdyś wyłamało drzwi pałacu jego, wymordowało jego ulubieńców i na własną jego głowę włożyło białą czapkę buntowników. Z pośród scen krwawych na ulicach paryzkich wybawiło go wtedy stronnictwo Armagnaków, oni więc teraz wszechwładnie zapanowali na dworze jego. Jako narzędzie tej partyi Karol bez energii i zaufania, młody i niedoświadczony nie mógł być niczém jak automatem, kierowanym silną ręką możnych Armagnaków. Uznany przez jedno tylko stronnictwo nie umiał się wznieść ponad interesa i cele tegoż, nie umiał poznać i w życie wprowadzić szczytnych zadań powołania królewskiego, nie umiał nawet dokładnie ocenić przysługującego mu prawa i narodowego ruchu, który jedynie zabezpieczyć mu mógł koronę. Na dworze swym

w Bourges otoczony przez znienawidzonych w kraju podchlebców i dworaków, umiał Karol zręcznie dowodzić w hucznych nieraz i wesołych zabawach i rozrywkach, lecz władza królewska w takim ręku, wśród takich okoliczności, mogła być tylko cieniem a niczem więcéj.

A jakiż okropny stan panował w samym kraju. Wewnętrzne swary, spory i walki, do szczętu wyczerpały siły mieszkańców. Bogate równiny pomiędzy Loirą i Sommą, zmieniły się w pustynie, chłopi z pól swych zbiegać musieli w lasy, gdzie im nic nie pozostawało jak trudnić się kradzieżą i rozbojem, żeby nie umrzeć z głodu. Miasta przez bunty wewnętrzne, mordy i plądrowania, choroby i nędzę wyludnione, bez ruchu, bez życia, nawet kościół odmawia pociechy swéj ludziom, bo i tutaj panuje schizma, a skutkiem tego na całe miesiące kościoły stoją zamknięte. Wśród takiego położenia rozpaczliwego mnóstwo przepowiedni krążyło po kraju, a każdy w nie wierzył, czepiając się ich jako ostatniéj nadziei, ostatniego promyka wybawienia z téj nędzy i rozpaczy.

Poznali Anglicy, że takie stosunki ułatwić im powinny zawładnięcie ostatnią wolną jeszcze częścią kraju. W r. 1428 zatem, sposobiła się Anglia na wielką skalę, aby pod dowództwem Salisburyego ujarzmić i południową część Francyi. Z miast nadgranicznych, jedyny Orleans ludny i bogaty mógł powstrzymać ich, zagrodzić im przejście przez Loirę do dzielnic wiernych prawowitemu królowi. Orleans oddawna gorliwie oddany sprawie Armagnaków i króla, rzeczywiście też stawiał rozpaczliwy opór atakom angielskim. Lecz samo jedno miasto, choć silnie obwarowane i walecznie bronione, na długo, opuszczone i samemu sobie pozostawione, nie mogło się oprzeć całéj potędze angielskiéj. Karol VII zaś, choć widział, że od losów Orleanu zależy jego obrona, do szczętu już zwątpił o własnéj sprawie a zamiast zebrać armią i pójść na odsiecz walecznym mieszczanom, rozmyślał o ucieczce do Anglii lub Szkocyi.

Tak więc nie było już żadnéj nadziei, żeby ktoś pośpieszył na pomoc miastu; aż w długiem oblężeniu siły jego wyczerpywały się z każdym dniem, odwaga i otucha gasła, zaczęły się układy o poddanie miasta.

Lecz w tém, kiedy już niebezpieczeństwo doszło do najwyższego szczytu, kiedy już wszystko straciło nadzieję, oddając się rozpaczy i trwodze, kiedy już nieprzyjaciele nie widząc z nikąd niebezpieczeństwa dla siebie, z pewnością liczyli na blizki upadek miasta, nadeszła pomoc: pomoc cudowna, pomoc niespodziana, pomoc od prostéj dziewicy z ludu, która od razu przechyliła szalę wojenną stanowczo na korzyść zagrożonéj sprawy narodowéj. Pomoc tę

przyniosła Joanna d'Arc, niewyrodna córa kraju swego, z krwi i kości dziecię epoki w której żyła.

Jak roślina tak i człowiek kształci i formuje się stosownie do gruntu i otoczenia, w jakiém wzrasta, nawet olbrzymie duchy, które epokę swą wyprzedzają o całe setki lat, nie umieją jednak zmazać z siebie do szczętu znamion czasu, epoki swéj, o ileż więcéj zatém musiało je nosić na sobie to proste dziewczę z ludu.

Epoka, w któréj wzrosła, burzliwa, fermentująca, przez bóle i kurczowe drgania zapowiadać się zdawała ważne, zbliżające się zmiany. Instytucye i zapatrywania średniowieczne już się zaczynały rozsypywać, rozpadać. Rozbudzające się studia klassyczne światłem swem już zaczynały rozświecać ciemności minionych wieków; społeczeństwo w najwykształceńszych swych warstwach już wyłamywało się powoli z skostniałych form średnich wieków. W kościele, na soborach w Pizie, Konstancyi, Bazylei, coraz to silniéj odzywały się dążności reformatorskie.

Ten gotujący się proces elementarny nie przesiąkł atoli jeszcze do niższych ludowych warstw społeczeństwa, choć i tutaj, zwłaszcza w rozdartéj, tylu swarami szarpanéj Francyi już i lud czuł jakiś niesmak, jakieś pragnienie czegoś lepszego, głębszego, a przedewszystkiem spokoju i wytchnienia. Klęski, spadające w téj epoce na całą niemal Europę, zaraza pożerająca tysiączne ofiary, drażniły, do rozpaczy przyprowadzały ludność, wywoływały nadużycia i excessa, rozpacz i szaleństwa, mordowania i prześladowania żydów, włóczące się po kraju sekty biczowników. W takich chwilach powszechnéj extazy i rozdrażnienia nieraz ludzie wzrastają do olbrzymich rozmiarów tak w złém, jak w dobrém. Przestrzeń zapełnia się nibyś jakiém moralném fluidum, a człowiek oddychający niém, popada stosownie do poprzedniego swego usposobienia, albo w febrę polityczną, albo wznosi się do extazy religijnéj, posuniętéj nieraz do wizyi i jasnowidzenia.

W wiekach średnich pierwszą, kardynalną, wszechwładną, ożywczą potęgą była wiara; ona wpływała na wszystkie stosunki, od niéj wychodziły wszelkie pojęcia, dążności i zapatrywania. Wiara była podstawą całego życia. Dlatego zdziałała ona w wiekach średnich tyle szczytnych, olbrzymich, cudownych dzieł.

Na schyłku tych wieków średnich, kiedy już ta siła wiary w wielu warstwach społecznych niknąć zaczęła, zaświeciła ona jeszcze raz dziwnym, cudownym, uroczym blaskiem w osobie dziewicy z Dom-Remy, a zaświeciła tym jaśniéj, zdziałała tym więcéj, bo wystąpiła wspólnie z drugą ideą: miłością ojczyzny.

Ostrzejsze, wyraźniejsze, wybitniejsze uformowanie odrębności narodowych, systematyczniejsze zasklepienie pojedyńczych narodów należało także do głównych znamion téj epoki. Te odrębności zaś i przywiązanie do nich właśnie w tym czasie o wiele żywiéj odzywały się w niższych warstwach ludu; bo wyższe przesiąkłe jeszcze tradycyami rycerstwa, noszącego zawsze więcéj uniwersalny niż narodowy charakter na sobie, skłaniały się też więcéj do zatarcia tych zamiarów narodowych i łatwiéj poddawały się obcemu panowaniu, jeźli to uwzględniało ich osobiste interesa. Ztąd więc zrozumiemy, jakimto sposobem w prostéj wieśniaczce Joannie, obudził się i gorzał patryotyzm, który podziwieniem napełniał wykwintnych dworaków królewskich. Wojny między Francyą a Anglią dotąd prowadziły się na zasadzie form rycerskich, o prawa familij królewskich, teraz odrazu dopiero walka ta przenosi się na inne pole, na pole narodowe. Dziewica z ludu wznosi wysoko sztandar narodowy, rozdmuchuje do silnych płomieni iskrę miłości ojczyzny drzemiącą w łonie ludu, wprowadza walkę na pole, na którém zwycięztwo ostatecznie uwieńczyć ją musiało. To zadokumentowanie poczucia narodowego ona więc dopiero wywołała, ona wojnę rycerską, wojnę o prawa rodzin królewskich, zamieniła w walkę narodową, która się zakończyć musiała wypędzeniem najezdnika z kraju.

Około r. 1412, bliżéj oznaczyć chwili téj nieumiemy, urodziła się Joanna we wsi Dom-Remy, leżącéj po lewym brzegu Mazy, pomiędzy Neufchateau a Vaucouleurs, a należącéj wówczas do dóbr królów francuzkich. Tutaj na saméj granicy Lotaryngii mieszkali rodzice jéj Jakób d'Arc i Izabella Rommée, prości, niezamożni wieśniacy. Malutka Joanna odebrała wychowanie nie inne, jak reszta dzieci wiejskich, nie inne jak jéj rodzeństwo. Czytać i pisać nie umiała, katechizmu, Ojcze nasz, Wierzę i Zdrowaś Marya, nauczyła ją matka, prócz tego szyć, prząść i zwykłych zatrudnień gospodarstwa wiejskiego. Małém dzieckiem, towarzyszyła nieraz ojcu i braciom do robót w polu lub wypędzała bydło na pastwisko. Wśród takiéj jednostajności życia jednak już wcześnie odznaczać się musiała od swych rówienników, o tém świadczą jednozgodnie wszystkie wiarogodne, współczesne opowiadania, o tém piękna legenda, że ptaki leśne i polne nie czuły przed nią żadnéj obawy i śmiało zjadały okruszyny chleba z ręki małéj dziewczynki. Jéj rówiennicy wspominają o jéj miłosierném sercu, o jéj wielkiéj pobożności; pasąc bydło, kiedy jéj towarzyszki przepędzały czas na figlach i zabawie, ona oddalała się od nich, w samotności na modlitwie trawiąc długie godziny. Przytém nigdy nie ścierpiała, żeby ubogi bez datku od progu domu ojcowskiego się oddalił, a jeżeli szukał przytułku, chę-

tnie nieraz ustępowała mu własnego łóżka, przepędzając noc na kominie. W wiekach średnich kiedy to, zwłaszcza pomiędzy ludem, pobożność człowieka oceniano podług zachowywania zewnętrznych form kościelnych, i o niéj długo się w pamięci przechowywały wieści, jak to młoda Joanna codziennie chodziła na mszą, jak przy dzwonieniu na Anioł Pański upadała na kolana, jak kościelnego z Dom-Remy strofowała za to, że czasami zapomniał uderzyć wieczorem w dzwon i jak mu nawet obiecywała, że go według sił wynagrodzi, jeżeli tylko obowiązku swego nie będzie zaniedbywał. Co sobotę prawie chodziła do kaplicy Najświętszéj Panny w Bermont, leżącéj w górach ponad Dom-Remy, zapalała przed obrazem świecę, zawieszała wiązki kwiatów.

W pobliżu kaplicy téj rozpościerał szerokie swe konary stary buk, o którym w całéj okolicy krążyły dziwne podania: że w nocy duchy w koło niego tańczą, że pod nim odbywają się schadzki jakiegoś rycerza z piękną panią. W niedzielę *Laetare* okoliczni mieszkańcy zwykle tutaj obchodzili uroczystość na cześć wiosny, dzieci zawieszały wieńce na starem drzewie, tańczyły i śpiewały, a w wilją Wniebowstąpienia przy uroczystéj processyi ksiądz odczytywał tutaj ustęp z ewanielii ś. Jana. Podobne dziwa opowiadano także o źródle wytryskającém w pobliżu tego buku i o dębie, który stał niedaleko domu rodziców Joanny. I Joanna brała udział w dziecinnych swych latach w zabawach tych, tańczyła i śpiewała pod drzewem, w owe podanie o duchach atoli nigdy nie wierzyła, a kiedy jéj raz brat mówił, że ludzie gadają, jakoby jéj pod owym bukiem urok zadano, oburzyła się na niego. Jéj czysta wiara nie zgadzała się z zabobonem. Nikt we wsi, świadczył o niéj pleban miejscowy, nie odznaczał się taką pobożnością, jak ona. Wszyscy ją chwalili, wszyscy wynosili jéj skromność, potulność, pilność, miłosierdzie i dobroć serca.

Na takie szlachetne skłonności już wcześnie wpłynąć musiały okoliczności, wśród których dorastała. Nieszczęsne spory wewnętrzne i walka z nieprzyjacielem zamorskim, szerzyły się ciągle daléj i doszły wreszcie do spokojnéj dotąd doliny nad Mazą. Mieszkańcy królewskiéj wsi Dom-Remy, szczerze przywiązani do sprawy narodowéj, w ciągłéj nieprzyjaźni z sąsiednią z Burgundami związaną wsią Maxey. W samém Dom-Remy i w całéj Szampanii zaś miłość do prawowitego króla podwajała się jeszcze przez chodzącą z ust do ust legendę. Patron kraju, ś. Remigiusz, opiekun kościoła miejscowego w Dom-Remy, niegdyś nawrócił księcia Franków Klodwiga na wiarę chrześciańską. Kiedy zaś, opowiadała legenda, w uroczystéj chwili chrztu spostrzegł, że niema pod ręką oleju świętego, wzniósł korne

prośby do Boga a niebawem biała gołębica z nieba przyniosła mu naczynie z olejem świętym, które odtąd nigdy nie wysychało a używane było regularnie w Reims przy wszystkich koronacyach królów francuzkich. Według wiary ludowéj, przywiązanéj do téj legendy, wszystkie dynastye królewskie tworzyły jeden ciągły, nieprzerwany łańcuch; od ośmiu wieków berło Francyi nie przeszło w obce ręce. Czyż dynastyą taką, mówił lud, mógł Bóg opuścić? Czyż teraz, kiedy jéj wróg zagraża, nie potrafi Bóg zesłać jéj swojéj wszechmocnéj pomocy? Na wrażliwą duszę młodéj dziewicy wszystkie takie podania wywierały magiczny wpływ, obudzały w niéj miłość ojczyzny i silną wiarą w pomoc bożą; kiedy więc burza wojenna w r. 1424 zbliżyła się aż tuż pod jéj zagrodę rodzinną, wpływ ten musiał się jeszcze podwoić.

Joanna kończyła rok trzynasty życia, w pewną niedzielę latem około południa znajdowała się w ogrodzie ojcowskim, jak zwykle pewno zajęta rozmyślaniem lub modlitwą. W tém z prawéj strony od kościoła usłyszała głośne wołanie i ujrzała wielką jasność. W pierwszéj chwili strach ją ogarnął, nie wiedziała co począć. Lecz znów i znów odzywał się ten sam głos, a zarazem zaczęła światłość i przybierać wyraźniejsze kształty. Joanna poznała archanioła Michała. Ten zapowiedział jéj przyjście świętéj Małgorzaty i Katarzyny, którym polecił, aby ją radą swą wspierały. Odtąd widywała często obie święte w dziewiczéj krasie, z kosztownemi koronami na głowie, tak jak je sobie lud wyobraża. Zapytana w procesie, czy cieleśnie i rzeczywiście widziała świętych, odpowiedziała: „Widziałam ich własnemi memi oczami, tak dobrze jako was widzę, a kiedy odchodzili odemnie płakałam i chciałabym, żeby mnie byli zabrali z sobą.“ A kiedy jeden z sędziów zadał jéj pytanie, czy św. Michał był nagi, odpowiedziała: „Azaliż Bóg nie ma z czego go ubrać?“

To, co jéj święte naprzód mówiły, były to bardzo proste rzeczy: żeby chodziła do spowiedzi, żeby starała się być dobrém dzieckiem. Mimo to Joanna nie posiada się z radości, na kolanach ze złożonymi do modlitwy rękami rozmawia z niemi, całuje ziemię, na któréj stali, zawiesza wieńce na ich obrazach w kościele. W przekonaniu, że Bóg ją wybrał z pomiedzy ludzi, składa dobrowolnie ślub czystości i zobowiązuje się sama przed sobą, że tymczasem jeszcze do nikogo nie będzie mówić o tych tajemniczych zjawieniach. Staje się poważniejszą, więcéj jak kiedy lubi samotność, otoczeniu swemu mało się udziela. Baczne oko rodziców spostrzega zachodzącą w niéj zmianę. Ojciec postanawia wydać ją za mąż. Dotąd zawsze uległa i posłuszna rodzicom, teraz stawia stanowczy opór. Popierany przez rodziców konkurent, może namówiony do tego przez

nich samych, zeznaje przed sądem biskupim, aby zmusić ją do związku z nim, że przyrzekła mu kiedyś uroczyście, iż za niego pójdzie. „Musiałam dlatego pójść do Toul — opowiada sama — alem wygrała mój proces, przysięgając zgodnie z prawdą, żem mu nigdy niczego nie przyrzekła. Przeciwnie od pierwszego dnia, kiedym ujrzała świętych, złożyłam w ich ręce śluby dziewiczości ciała i duszy, choć nie żądali tego odemnie, a oni obiecali mi za to, że, jeźli dochowam mych ślubów, wprowadzą mnie do raju.“

Tak mijały lata, burza wojenna srożyła się na okół, w r. 1427 oblegli Burgundowie sąsiednie Vaucouleurs. Raz mieszkańcy z Dom-Remy schronić się musieli z całym swym dobytkiem do warownego Neufchateau, często nieprzyjaciel pokazywał się w pobliżu.

Oznaczyć szczegółowo, kiedy święci przemawiać zaczęli do Joanny także o tém, aby poszła na pomoc swéj ojczyźnie, nie umiemy. Zdaje się jednak, że nastąpiło to niebawem po zbliżeniu się burzy wojennéj do ojcowskiéj jéj zagrody i po pierwszych widzeniach się z nimi. Rycerzowi bowiem, który ją potém zaprowadził do króla, opowiadała, że już cztery lub pięć lat mija, od kiedy jéj święci i sam Bóg rozkazują, aby poszła na wojnę podnieść znów Francyą.

Archanioł mówił do niéj: Bóg zmiłował się nad ludem francuzkim, Joanna jest dobrem dzieckiem, niech zatem pójdzie na pomoc królowi. I święte kazały jéj pójść do Francyi, tak lud nazywał środkowy kraj, odróżniając właściwą koronę od wielkich posiadłości wazalów. Joanna płakała, odpowiadając: „Jestem tylko ubogą dziewczyną, nie umiejącą konno jeździć ani wojny prowadzić.“ Święte nie zważały na to, kazały jéj udać się do Vaucouleurs, tam zastanie królewskiego oficera, który ją bezpiecznie zaprowadzi do króla. Zdawało jéj się późniéj, że o tych rozmowach do nikogo nie mówiła. Wystąpili jednak po tém świadkowie, do których mniéj lub więcéj jasno wspominała o zbawieniu Francyi przez dziewicę. Takie jéj słowa, zdaje się, na dwa lata przed jéj wyjazdem już niepokoiły ojca. Śniło mu się raz, że Joanna uciekła z domu z żołnierzami. „Gdybym wierzył — mówił do synów — że się to stanie rzeczywiście, sambym ją utopił.“

Kiedy w początkach r. 1428 cała jéj familia na krótki czas schronić się musiała przed burzą wojenną, Joanna w tym czasie zwierzyła się wujowi swemu Laxartowi, i potrafiła go przekonać o rzeczywistém swém posłannictwie. Sama długo z sobą walczyła, zanim się zdecydować potrafiła na tak hazardowne przedsięwzięcie. W kraju jéj podobno oddawna już kursowała przepowiednia, że jak kobieta w przepaść wciągnęła Francyą, tak dziewica z lotaryngskich

granic znów ją wybawi. Joanna proroctwo teraz zaczęła ściągać do siebie saméj, i postanowiła wreszcie wykonać rozkaz, który jéj teraz święci coraz to częściéj powtarzali. Z wujem swym Laxartem udała się do Vaucouleurs, lecz kapitan królewski Baudricourt wyśmiał ją, dodając, że porządna chłosta wypędzi jéj niezawodnie mrzonki te z głowy.

Tak więc jeszcze raz wrócić musiała do domu. Lecz święci teraz spokoju jéj nie dawali, coraz częściéj ich widywała, coraz natarczywsze stawały się ich rozkazy, a kiedy w roku 1429 Anglicy z większą siłą i energią dobywać zaczęli Orleanu, święci wprost wypowiadali jéj rozkaz, aby się udała na ratunek zagrożonego miasta. Z wujem swym powtórnie więc idzie Joanna do Vaucouleurs, lecz i tą razą Baudricourt nie słucha jéj próśb. Podczas pierwszego i drugiego jéj pobytu w mieście atoli poznały ją niektóre osoby i uwierzyły w posłannictwo prostéj, niewinnéj dziewczyny, któréj ogień entuzyazmu i przekonania tryskał z pięknych oczu. Kilka osób ofiarowało się z gotowością zaprowadzenia jéj do króla. Kiedy zaś z Orleanu coraz to gorsze nadchodziły wiadomości, a zwłaszcza smutna nowina o klęsce królewicza poniesionéj 14 lutego, namyślił się wreszcie i Baudricourt i postanowił wysłać ją do Chinon, gdzie się król wówczas znajdował, rozmyślając nie o walce za Francyą, lecz o ucieczce do Hiszpanii lub Szkocyi. Tymczasem rozniosła się już wiadomość o cudownéj dziewicy po kraju. Zgrzybiały książę lotaryngski chciał ją poznać. Joanna udała się do niego do Nancy. Książę chorobą złożony, żądał od niéj, żeby go wyleczyła, lecz dziewica odparła mu tak teraz, jak późniéj, kiedy od niéj żądano cudów i proroctw: że tylko modlić się może za niego, napominając go, żeby prowadził chrześciański żywot, jej zadaniem bowiem jest tylko wyratowanie Francyi.

Wreszcie w końcu lutego wyruszała do króla w towarzystwie sześciu ludzi, w sukniach męzkich, które chętnie brała na siebie, bo jadąc dzień i noc z żołnierzami, nieodpowiedniemi jéj się wydawały suknie kobiece. Krajem przez nieprzyjaciół zajętym przedzierała się do zamku królewskiego. W lasach pomiędzy dwoma rycerzami przebywała noce. Towarzysze jéj jeszcze po długich latach wypowiadali zadziwienie, że nie zbyt czyste ich zamiary względem pięknego tego dziewczęcia po męzku ubranego mimo ich wiedzy i woli zamieniały się w uszanowanie i szacunek. Jedenastego dnia wreszcie, już blizcy celu, odpoczywali w Fierbois. Tutaj w kościele świętéj Katarzyny, ulubionéj patronki Joanny, dziewica gorąco się modliła, słuchając jednego dnia trzech mszy przed ołtarzem świętéj. Ztąd kazała donieść królowi o swym przyjeździe.

Na dworze królewskim w Chinon dworacy i radzcy wahali się, ażali przystoi Jego Król. Mości przyjmować jakąś awanturniczą dziewczynę. Lecz położenie Karola było tak rozpaczliwe, Orleans już zaczął układy o poddanie, z nikąd król pomocy się nie spodziewał; po trzech dniach zatém zdecydowano się przyjąć na zamku w Chinon dziewicę, o któréj wieści już się szeroko rozeszły po kraju. Wielką salę zamkową oświecono pochodniami, około 300 panów i rycerzy zeszło się na to niezwykłe widowisko; król stanął na uboczu, aby się przekonać, czy go mimo to dziewica pozna. Joanna pewnym krokiem przeszła przez tłumy i uklękła przed królem, mówiąc: „Szlachetny delfinie (tak go nazywała zawsze, bo nie był jeszcze koronowany), niech Bóg raczy Wam udzielić szczęśliwego życia!“ — Karol VII, wskazując na jednego z panów, rzekł: „Ten jest królem“.

„Na Boga mego, szlachetny delfinie, Wy nim jesteście a nie kto inny“ — odparła Joanna.

Wtedy zapytał ją Karol o jéj imie. „Szlachetny delfinie, nazywam się Joanna, dziewica, Wam zaś oznajmia pan niebios przezemnie, że będziecie się koronowali w Reims, że będziecie namiestnikiem króla niebios, który jest prawdziwym królem Francyi. Bóg zlitował się nad Wami i Waszym ludem, święty Ludwik i Karol Wielki bowiem leżą na kolanach przed nim, prosząc za Wami“.

Wtedy król poszedł z nią na bok i mówił z nią długo po cichu. Joanna napominała go, aby państwo swe przekazał królowi niebios, aby niém tylko rządził jako namiestnik i lennik Boga, aby wszystkim swym nieprzyjaciołom przebaczył, aby dla ludu swego był rzeczywistym królem, wtedy zleje Bóg łaskę swą na niego, tak jak na jego poprzedników. Pierwszy promień nadziei wpadł do serca Karola, kiedy, gdy już sam wątpić zaczynał o swém prawie, prosta, niewinna dziewica obudzała w nim zaufanie do tego prawa mu przysługującego, uznawała w nim uroczyście prawowitego następcę Ludwika świętego. Taką to była tajemnica myśli, którą Joanna przed nim odkryła, tajemnica, którą jak wówczas sądzono, dziewica tylko za boskiém natchnieniem wiedzieć i znać mogła.

Ztąd więc zaraz na wstępie obudziła się wiara w nią w zwątpiałym dotąd Karolu, lecz nie dosyć było jego przekonać, trzeba było jeszcze inne zwalczyć trudności: obawy i wątpliwości doradzców królewskich, duchownych i uczonych, którzy pod przewodnictwem arcybiskupa z Reims, kanclerza Francyi, zawiązali się w komisyą celem poznania, zbadania i ocenienia dziewicy.

Przez parę tygodni trwały te badania, księża i prawnicy zarzucali Joannę całym potokiem pytań, na które ona odpowiadała zwykle z największą prostotą, trafnością, a przytém z widoczném przeświadczeniem o szczytności swego posłannictwa. Kiedy jeden z profesorów teologii z Limousin, używający brzydkiego prowincyonalnego dyalektu, zapytał ją, jakim językiem święci do niéj mówią, odpowiedziała Joanna: „Zaprawdę lepszym jak ty".

Ciągle przytém powoływała się na rozkazy boże, udzielane jéj przez świętych; kiedy zaś żądano od niéj znakow, odpowiadała, że nie, aby robić cuda i znaki przyszła tutaj, lecz aby oswobodzić Orlean, zaprowadzić delfina na koronacyę do Reims, zdobyć Paryż i oswobodzić uwięzionego w Anglii, księcia Orleanu. Postępowanie jéj, słowa jéj, cała jéj powierzchowność tchnęła taką prawdą, takim entuzyazmem, takiém przeświadczeniem o boskiém swém posłannictwie, że powoli umiała porwać nawet tych, którzy początkowo z niedowiarstwem lub nawet szyderstwem na nią patrzeli. Według opowiadania jednego z świadków naocznych występowała ona na dworze królewskim tak, jakby się na nim była urodziła, według opowiadania drugiego zaś pokornie, jak dziewczę z ludu. Obydwa opowiadania wcale w sprzeczności z sobą nie stoją; o missyi swéj mówiła bowiem Joanna porywająco, entuzyazm tryskał jéj z oczu, szlachetność odznaczała każde słowo, zresztą występowała z pokorą, potulnością i skromnością dziewczęcia z ludu. Tak samo przedstawia się ona i póżniéj podczas tryumfalnego swego pochodu, w ogóle milcząca i skromna, łagodna i potulna, umie jednak, jeźli tego potrzeba, znaleźć porywające, namiętne słowa, umie wznieść się na szczyt tak wysoki, że kto tylko spojrzy w pałające jéj oko, oprzéć się urokowi jéj nie potrafi.

Tutaj teraz podczas tych paru tygodniowych badań przechodziła Joanna pierwszą swą próbę i wyszła z niéj zwycięzko. Dzień i noc kornie modliła się do Boga, aby ją oświécił, aby w delfina wlał zaufanie, zarazem jednak przygotowywała się, ćwicząc się w używaniu broni, do drogi, która ją czekała. Jéj entuzyazm, jéj zaufanie i odwaga, jéj pobożność i skromność zjednywały jéj serca całego otoczenia królewskiego. Książę Alençon, zięć uwiezionego Orleana, jego matka i żona pierwsi prawie stanęli po stronie dziewicy, do nich i ona się z zaufaniem zbliżyła. Rycerski, prosty i szorstki wódz La Hire, jeden z pierwszych także uwierzył w nią. Już nawet wieść o niéj doszła do obleganego Orleanu, komendant miasta sławny bękart orleański, zwany póżniéj hrabią Dunois, prosił króla usilnie, aby mu ją przysłano. Wiara w posłannictwo Joanny roszerzała się po kraju, zjednywała nowych stronników dwo-

rowi, a wpływała przez to na zdanie komisyi, która wydać o niéj miała wyrok. Tak więc złożyli wreszcie uczeni duchowni i prawnicy królowi raport, który w głównych ustępach brzmiał jak następuje:

„Król zrozumiał swoją i państwa potrzebę i uwzględnił gorliwą pokutę i błagania ludu: dla tego nie ma ani odpychać ani odrzucać dziewicy, która siebie nazywa zesłaną od Boga, lecz zgodzić się na jéj pomoc, choć to, co ona obiecuje, jest ludzkiém. I tak nie ma on jéj tak prędko i tak łatwo wierzyć, lecz podług nakazu apostoła św. Pawła, który to mówi: „Badajcie duchy, ażali są od Boga“, należy na próbę wystawić jéj obyczaje i jéj dzieło i korném błaganiem prosić Boga o jakie boskie znaki i dzieła od Boga, po którychby poznać można, ażali jest od Boga. Tak bowiem kazał Bóg uczynić Achabowi.... Tak téż król postąpił z dziewicą i nie znaleziono niczego złego w wymienionéj dziewicy, a tylko same dobro, pokorę, dziewiczość, pobożność, prawość, prostotę, stałość w wykonaniu swéj woli. Wtedy radzono królowi, aby jéj nie przeszkadzał pójść do Orleanu z jéj wojskiem i aby ją wysłał godnie w nadziei na Boga, bo gdyby ją wypędzono, byłoby to oporem przeciw Duchowi św. i stałoby się niegodném pomocy bożéj“.

Ani w tym ustępie, ani w ogóle w całym raporcie nie ma ani słowa o wizyach dziewicy, mimo to, że z najwiarogodniejszych świadectw wiemy, iż Joanna często się przed komisyą powoływała na swe głosy i świętych, którzy się jéj ukazywali. Król prócz tego po kilka kroć udawał się do znakomitych w kościele osób, żądając od nich opinii o téj cudownéj dziewicy, inni znów z własnéj swéj woli o niéj pisali, lecz wszyscy jednozgodnie, o ile należą do stronników delfina, milczą uporczywie o jéj wizyach, uważając ją tylko po prostu jako wysłanniczkę bożą, a całe jéj postępowanie jako zgodne z przepisami i naukami kościoła. Jedni z nich przytém nie dotykają w ogóle kwestyi o rzeczywistości i pochodzeniu wizyj, drudzy mówią o nich wprawdzie, lecz powtarzając tylko po prostu utarte w średnich wiekach zapatrywania na wizye, nie wyrzekają bynajmniéj specyalnie o wypadku, z którym tutaj mamy do czynienia.

Milczenie to wytłómaczyć sobie należy ze ścisłości i pewności zapatrywań na wizye, jakie w średnich wiekach panowały, a które zjawiska takie wywodziły wprost od zajść rzeczywiście po za człowiekiem exystujących, a pochodzących albo od Boga albo od czarta. Pociąg intellektualny epoki téj zaś skłaniał się więcéj do upatrywania w zjawiskach takich pochodzenia djabelskiego niż boskiego: niewykształcone dziewczyny — mówiono — z największą łatwością podpadają podszeptom złych demonów. W ten sposób tłómaczyli późniéj

Anglicy widzenia Joanny i na tém uzasadniali głównie swoje oskarżenie. Pozytywnego oświadczenia wreszcie, że w danym tutaj wypadku odbył się cud boży, nie mogła składać zasiadająca w Poitiers komisya, ani żadna inna, lecz mógł je tylko złożyć sam kościół przez uprawnione do tego swoje organa. Kościół zaś nigdy tego nie orzekł, choć na rozkaz papieża odbyła się późniéj rewizya procesu i choć znakomite w kościele osobistości zajmowały się starannie i gorliwie życiem dziewicy z Dom-Remy. Dopóki zaś w takim wypadku kościół wyroku swego nie wydał, wolno było według ówczesnych zapatrywań każdemu skłaniać się do jakiéjkolwiek opinii, nawet po za obrębem owych dwóch wymienionych alternatyw. W licznych pismach współczesnych więc, zajmujących się losami Joanny, napotykamy jeszcze trzeci zakus explikacyjny, a mianowicie staranie, aby, nie ubliżając ani faktom, ani ich szczytności, uważać wizye Joanny za dzieła ludzkie i wytłómaczyć je na zasadzie wewnętrznego psychologicznego procesu. Rozumié się, że ten jedynie racyonalny i uzasadniony sposób wówczas mógł się tylko ograniczyć na próbie, nie mógł dojść do zupełnego rezultatu, zanim bowiem na téj zasadzie jasno i wyraźuie wytłómaczyć było można wizye, musiały jeszcze fizyologia i psychologia olbrzymie zrobić postępy. Dopiero nasz wiek zdobył się na explikacyą, do któréj późniéj jeszcze przystąpimy.

W każdym razie jednak dziewica zwycięzko wyszła z badawczego procesu komisyi w Poitiers; postanowiono teraz stanowczo wysłać ją do Orleanu. Dość szybko zgromadziła się liczna armia, zewsząd zdążali ochotnicy pod sztandary króla, jeszcze niedawno przez wszystkich prawie opuszczonego, jeszcze niedawno liczącego jedynie na obcych, zaciężnych sołdatów. Narodowa armia zbierać się zaczynała, miasta dostarczały chętnie i dobrowolnie żywności i piéniędzy — był to już nie mały wpływ rozszérzonéj po kraju nowiny o zjawieniu się cudownéj dziewicy. Król zajął się ekwipowaniem saméj Joanny; sporządzono dla niéj świetną zbroję, w któréj powabna postać dziewicy w tém większéj uwydatniała się krasie. Na tém miejscu wspomnieć musimy o zewnętrznéj stronie postaci Joanny. Autentyczny portret jéj się nie przechował, można zatém tylko z współczesnych opisów pozbierać niektóre drobne szczegóły. Wzrostu średniego, kształtnéj kibici, nader udatnych i pięknych form, łączyła Joanna w sobie siłę ze zręcznością. O piękności jéj form wyraźnie nadmieniają współcześni świadkowie, między innymi książę Alençon, jako i o tém, że chętnie i zręcznie wsiadała na ognistego rumaka, zażywając go z wielką biegłością. Silne wrażenia napełniały łzami jéj piękne oczy. W chwilach entuzyastycznego

uniesienia igrał uroczy uśmiech na jéj ustach. Głos jéj odznaczał się dziwnym, uroczym dźwiękiem („vox infantilis“ mówią naoczni świadkowie). Tyle z pewnością powiedzieć umiemy o jéj zewnętrznéj postaci.

Wystawić sobie nie trudno, jakie wrażenie robić musiała, kiedy w świetnéj zbroi, w purpurowéj złotem przeszywanéj sukni, jaką wówczas i rycerze nosili, z mieczem przy boku, z białą chorągwią liliami ozdobną z wizerunkiem Zbawiciela i podpisem: „Jezus, Marya. Ufajcie Bogu i módlcie się“ w ręku, z lśniącym hełmem na głowie dosiadła ognistego rumaka i stanęła na czele armii, która pójść miała na odsiecz Orleanowi.

Osobistéj swéj, przez króla jéj dodanéj świty, nie potrzebowała się wstydzić. Jean d'Aulon znakomity, poważany szlachcic, pełnił przy niéj obowiązki masztalerza, dwóch paziów, dwóch heroldów i kapelan obozowy stanowili jéj najbliższe otoczenie.

POCHÓD TRYUMFALNY.

27 kwietnia 1429 r. na czele paru tysięcy ludzi wyruszyła Joanna z Blois na pomoc Orleanowi, równocześnie popłynęła Loirą liczna flota naładowana żywnością, przeznaczoną dla zgłodniałego miasta. Na samym wstępie wydaliła dziewica z obozu wszystkie kobiéty, które wówczas zwykły towarzyszyć żołnierzom w pole, zbrojnych samych zaś napominała, aby przed wyruszeniem do walki oczyścili się z grzechów przez spowiedź i pokutę.

Na trzeci dzień spostrzegli z dala wieżyce oblężonego miasta i bastiony Anglików. Wieczorem 29 kwietnia wkroczyła dziewica na białym koniu z białym swym sztandarem w ręku do miasta wraz z flotą, przywożącą żywność. W mieście panowała radość nie do opisania: „Tak wielka radość była, jakoby sam Bóg zstąpił z niebios a lud szedł za nią jak za świętym aniołem“, pisze w dzienniku swym jeden z mieszczan orleańskich. Następnego dnia nie zaczęła od walki, lecz od układów. Jeszcze z Blois wysłała do Anglików pismo, które dotąd w kopii się przechowało. Brzmi ono następnie:

† JEZUS MARYA †

„Ty, królu angielski, i Ty, książę Bedford, co się mianujesz rządzcą królestwa Francyi i Wy, Wilhelmie de la Poule, hrabio

Suffolk, Janie Talbot, Tomaszu Scales, co się mianujecie namiestnikami księcia Bedford, wróćcie to co się Bogu należy i złóżcie na ręce dziewicy, którą posłał król w niebiesiech, klucze wszystkich tych miast, któreście we Francyi zabrali i poniszczyli. Dziewica przybyła z ramienia Boga żądać tego od Was napowrót, co się francuzkiéj królewskiéj rodzinie należy. Skłonna jest do pokoju, jeżeli wedle sprawiedliwości ustąpicie z Francyi i wynagrodzicie, coście zabrali. I wy wszyscy łucznicy, rycerze i żołnierze, którzy oblegacie Orlean, i wy wróćcie w imię boskie do ojczyzny waszéj, bo jeżeli tego nie uczynicie, usłyszycie wkrótce o dziewicy, która niebawem przyjdzie do was na zgubę waszą. Królu Anglii! jeżeli tego nie uczynisz, wiedz, że ja naczelniczką jestem wojny i w którymkolwiek końcu Francyi spotkam ludzi Twoich, rozkażę im odejść ztamtąd, czy im się to podobać będzie, czy nie; a gdy nie usłuchają, wytracę ich. — Bóg, który jest królem w niebiesiech, przysłał mnie, abym was wszystkich do jednego z Francyi wypędziła. Znajdziecie łaskę u mnie, gdy będziecie posłuszni. Nie sądźcie, aby Bóg, Król w niebiesiech i syn przeczystéj dziewicy Maryi, królestwo to dla Was zachował, zatrzyma je król Karol, który jest prawym jego dziedzicem. Taka jest wola Króla niebios i to mu téż dziewica przepowiedziała. Król w liczném towarzystwie odbędzie wjazd do Paryża. Jeżeli nie uwierzycie temu orędziu Boga i dziewicy, gdziekolwiek Was spotkamy, ugodzą w Was końce mieczów naszych i powstanie krzyk wielki, jakby krzyk łowczych, jakiego w tysiąc leciech Francya nie zasłyszała. Wierzajcie memu zapewnieniu, że Król Niebios większą zeszle potęgę dziewicy, niżeli wy z wszystkich miast zajętych przeciwko niéj i przeciw jéj towarzyszom broni wyprowadzić będziecie mogli, a gdy straszliwe razy mieczów spadną, pokaże się, po czyjéj stronie jest prawo Boga w niebiesiech. — Ciebie książę Bedford, błaga dziewica i żąda, abyś się sam nie gubił. Jeżeli oddasz sprawiedliwość dziewicy, może się znajdziesz w jéj towarzystwie, gdy Francuzi najpiękniejszego dokonają dzieła wojennego, jakiego nie było jeszcze w Chrześciaństwie. Jeżeli się skłonisz do pokoju, daj odpis dziewicy w Orleanie. Jeżeli nie uczynisz tego, pomnij na klęski, które Cię wkrótce spotkają. — Pisano w sobotę Wielkiego tygodnia (26 marca), gdy liczono po Narodzeniu Chrystusa tysiąc czterysta dwadzieścia i dziewięć lat".

I teraz więc zaczęła dziewica orleańska, jak ją odtąd zwano, od układów. Nie tylko wysłała posłańca do obozu Anglików, lecz sama ustnie, podjechawszy pod szańce angielskie, zwróciła się do wodzów nieprzyjacielskich. Talbot nie zważał wcale na nią, Glasdale nazwał ją oszustką, żołnierską nałożnicą, grożąc, że, jeśli ją schwyta, każe ją

spalić. „Łżesz a Bóg cię ukarze,“ — odparła dziewica i wróciła ze łzami do miasta. Z niecierpliwością czekała teraz na nadejście swych wojsk, sama bowiem tylko z flotą transportową już stanęła w mieście. Wreszcie 4 maja nadciągnęły posiłki z nowym prowiantem i wkroczyły do miasta, nie zaczepione przez Anglików, odpierających w tym czasie wykonaną wycieczkę miejską. Niebawem rozpoczęła się walka. — Nim jednak przystąpimy do skreślania walk, które teraz nastąpiły, podamy krótki ale dokładny opis ówczesnego Orleanu, umieszczony w znakomitéj pracy o dziewicy profesora wiedeńskiego Teodora Sickla.

Orlean leży na prawym czyli północnym brzegu Loiry, na brzeg południowy prowadzi opierający się o wyspę kamienny most. Właściwe miasto otaczały mury i fosy (pochodzące jeszcze z rzymskich czasów) zaopatrzone w wieże i wysunięte naprzód fortyfikacye. Kwitnące przedmieścia na okół miasta z ich jedenastu klasztorami i kościołami spalili do szczętu mieszczanie sami podczas oblężenia; z gruzów wystawili Anglicy silne szańce i bastiony, okalające w wieniec oblężone miasto: dziewięć bastionów na północnym, trzy na południowym brzegu. Z mostu kamiennego wysadzili mieszczanie parę łuków w powietrze i tutaj na resztkach mostu wystawili oblężeni bastiony z jednej strony, Anglicy z drugiej strony. Nad całym biegiem rzeki panowali Anglicy z tém większą pewnością, o ile w ręku swym trzymali powyżéj i poniżéj wszystkie przejścia przez Loirę. Przez to atoli siły ich rozdzielały się na drobne oddziały: przed Orleanem stało około 5000 Anglików, miasto samo liczyło najmniéj taką samą liczbę obrońców. Największe niebezpieczeństwo dla Orleanu leżało zatem w tém, że Anglicy obsaczyli go tak ściśle, iż dowóz żywności był prawie zupełnie odcięty.

Jeszcze parę uwag wstępnych, zanim przystąpimy do zcharakteryzowania wojennéj działalności Joanny.

Jeden z ministrów Karola wyraźnie świadczy, że dziewica nie odznaczała się bynajmniéj wiadomościami i ukształceniem, z wyjątkiem jedynie spraw wojskowych, w tych była nadzwyczajnie doświadczoną.

Dzisiaj, kiedy sztuka zabijania ludzi tłumami stała się zupełną nauką, jedną z najtrudniejszych, twierdzenie takie musi się nam wydawać niezrozumiałém: dziewczę z ludu, nie umiejące ani czytać ani pisać, miało umieć kierować armią, odnosić zwycięztwa. Ażeby pojąć możność takiego stanu rzeczy, musimy sobie przypomnieć, że prowadzenie wojny wówczas nie stało jeszcze na tym stopniu, co dzisiaj. Nie strategiczna jeometria, nie taktyczna arytmetyka rozstrzy-

gały wówczas bitwy, lecz obok fizycznych sił i zręczności wojowników moralna siła wodza i podniesione lub przygnębione usposobienie tak pojedyńczych żołnierzy, jak całych wojsk. Motywa takie i dzisiaj wprawdzie jeszcze wpływają na losy walki, lecz nawet w przybliżeniu nie w tym stopniu, co w średnich wiekach. Bitwy takie jak pod Morgarten lub Sempach dzisiaj stały się już niemożebnemi. Tak więc wówczas porywający wszystkich entuzyazm dowodzącéj osobistości wpływać musiał przeważnie na losy walki. Od wjazdu swego do Orleanu zajmowała się Joanna pilną obserwacyą i poznawaniem stanowisk nieprzyjacielskich. Kiedy 4 maja nadciągnęły upragnione posiłki, przystąpiono niebawem do ataku na bastion angielski przy kościele St. Loup. Tutaj widziała dziewica po pierwszy raz płynącą krew, tutaj po pierwszy raz zmierzyła się z nieprzyjacielem. Francuzi porwani walecznością i odwagą dziewiczego swego wodza, w pierwszym zaraz ataku wdarli się na wały bastionu z dziewicą na czele. Na taki widok niezwykły opanowała trwoga bitnych dotąd Anglików, w popłochu uciekać zaczęli, twierdza dostała się w ręce Francuzów, pierwsze decydujące zwycięstwo było odniesione.

Następnego dnia 5 maja w święto Wniebowstąpienia nakazała Joanna spoczynek. Dowódzcy francuzcy zebrali się tymczasem na radę, nie zaprosiwszy jej na nią. Wszyscy jej towarzysze broni z Orleanu podziwiali późniéj jej nadzwyczajną bystrość, z jaką się w jednej chwili orientowała na polu walki i za każdą razą umiała wyszukać najstósowniejszy punkt ataku. Mimo buchających płomieni jej entuzyazmu jednak wzrok jej ani na chwilę nie tracił swéj bystrości. I teraz kiedy się dowiedziała o uchwalonym przez radę wojenną planie, odpowiedziała dowódzcom: „Wyście radzili w waszéj radzie a ja w mojéj“ — i odrzuciła jedném słowem ich postanowienia. Kiedy zaś hr. Dunois chciał jej stawiać opór, zawołała gniewnie: „Na Boga, każę wam ściąć głowę.“ Dowódzcy nie śmieli dłużéj się opierać, zaufanie do niej bowiem z każdą chwilą przyjmowało tak w wojsku jak w wodzach i mieszczaństwie coraz to obszerniejsze rozmiary. Następnego dnia zatém wykonano plan Joanny.

Około 4000 zbrojnych wyszło z Orleanu przez Burgundzką bramę i przeprawiło się na lewy brzeg rzeki. Pierwszy z bastionów angielskich zwany Saint-Jean le Blanc zdobyto zaraz przy pierwszym ataku. Wycieczka Anglików z drugich bastionów w pierwszéj chwili wywołała wielki popłoch w armii francuzkiej, która jeszcze jakoś nie mogła się przyzwyczaić do zwycięztw. Dziewica i tą razą znów stanęła na czele, i tą razą znów zwycięzko odparła nacierających, przywróciwszy z dziwną zręcznością porządek w pomieszanych już

szeregach francuzkich. Jednocześnie z uciekającymi Anglikami wpadli Francuzi do drugiego bastionu i zdobyli go. Tak więc z trzech bastionów po téj stronie Loiry tylko jeszcze jeden, les Tourelles, najsilniejszy, w którym dowodził znany z odwagi Glasdale, pozostał w ręku Anglików. Bastion ten silnie obwarowany i przez liczną załogę broniony, panował nad głównym kamiennym mostem, opierając się o niego. Francuzi upojeni zwycięztwem obsaczyli go jeszcze tego samego dnia ze wszech stron, oblężniczą załogę teraz zaczęli Francuzi ze swéj strony oblegać. Mimo to zdobycie tego najwarowniejszego bastionu wydawało się prawie niemożebném bez dłuższego ostrzeliwania i regularnego oblegania. Dziewica jednak z największą pewnością zapowiadała, że i on niebawem upadnie. Wieczorem po tak świetném powtórném zwycięztwie powróciła z większą częścią wojska do miasta, pozostawiając wystarczający oddział dla strzeżenia zdobytych pozycyj.

Po powrocie do miasta postanowili francuzcy dowódzcy na radzie wojennéj rozpocząć regularne obleganie bastionu les Tourelles i zawiadomiono o tém dziewicę. Joanna upierała się przy niezwłocznym ataku. Dowódzcy, aby jéj przeszkodzić, kazali następnego dnia 7 maja w sobotę pozamykać bramy, żeby jej nie wypuścić z miasta. Lecz waleczna dziewica zwłaszcza przy pomocy mieszczan, zmusiła straże do otwarcia bram, przekroczyła z pozostałą załogą Loirę i złączyła się z wojskiem obsaczającém ostatni bastion południowy. Natychmiast rozpoczęto szturm. Na czele, jak zwykle, dziewica z chorągwią swą w ręku, bez miecza i topora, wszelką broń bowiem, skoro się bitwa zaczynała, odkładała na bok, sama nie miała krwi ludzkiej przelewać, sztandar był jedyną jej zasłoną i obroną.

Z szaloną odwagą rzucili się Francuzi za dziewiczym swym wodzem ku twierdzy. Lecz daremne były ich usiłowania, forteca tak silna, załoga tak waleczna, dowódzca Glasdale tak energiczny, że do południa już trzy szturmy francuzkie odparto. Wtém przy ostatnim szturmie strzała przeszywa ramię dziewicy, krwią zbroczona upada na ziemię, unoszą ją z tłoku walki do miejsca spokojniejszego. Wieść o tym wypadku lotem błyskawicy rozchodzi się po hufcach francuzkich, szerząc strach i trwogę. Hrabia Dunois daje rozkaz do odwrotu. Sam idzie do dziewicy, któréj w pierwszej chwili od bólu rzuciły się łzy z oczu. Lecz wtém znów rozjaśnia się jej wzrok, święty ogień entuzyazmu znów zabłysł na jéj czole, widzi przed sobą świętych swych doradzców, wyrywa własną ręką strzałę z ramienia, a do otaczających mówi podobno: „Nie krew płynie z rany lecz chwała!“ Ranę zawiązano, dziewica na nowo wdziewa zbroję.

Hrabia Dunois sądził, że teraz nie pozostaje nic innego, jak uprowadzić wojsko i działa napowrót do miasta, lecz Joanna stanowczo się opiera: „Na Boga mego — mówi — nie wątpcie, będziecie niebawem w szańcu, każcie się posilić wyjsku napojem i strawą a skoro ujrzycie wzniesione, ku szańcowi powiewające sztandary, chwyćcież za broń.“

Przywołała swego kapelana, wyspowiadała się, modliła się gorąco do Boga, a wstawszy zawołała: „Do broni, szaniec jest waszym.“ Za chorągwią swą, którą teraz niósł jéj masztalerz, pędzi dziewica naprzód, za nią w ściśnionych szykach Francuzi, sama przystawia pierwszą drabinę do murów: „Poddaj się — woła na Glasdala —poddaj się królowi niebios! Nazwałeś mnie żołnierską dziewką, ja zaś lituję się nad twoją duszą i nad duszami twych towarzyszy.“ Przed wściekłością szturmu cofają się Anglicy, chcą się ratować do mniejszego szańcu po drugiej stronie rzeki, złączonego z głównym bastionem przez słaby zwodzony most drewniany. Lecz most ten czy to przez wysłane z miasta zapalone okręty, czy przez strzały działowe już był osłabiony. Kiedy więc Francuzi wpadają jako zwycięzcy do głównego bastionu, łamie się most pod ciężarem pierzchających Anglików, Glasdale i towarzysze jego giną w nurtach głębokiéj rzeki. I tą razą rzuciły się łzy z oczu dziewicy na taki okropny widok.

Po zdobyciu szańców sam w środku nich wystawiony zamek już trzymać się nie mógł. Załoga zginęła częścią śmiercią, częścią poszła w niewolę. Zwycięztwo było stanowcze. Nikt teraz już nie wątpił o boskiém posłannictwie dziewicy, entuzyazm, radość powszechna nie znały granic. Na prędce naprawiono jako tako zgruchotany most, po nim wieczorem wróciła dziewica z wojskiem w tryumfie do miasta. Uderzono na jéj cześć we wszystkie dzwony, ludność zalegała wszystkie ulice, oswobodzeni mieszczanie nie posiadali się z radości, we wszystkich kościołach śpiewano uroczyste *Te Deum laudamus.*

Następnego dnia rano, w niedzielę, Anglicy przerażeni, osłupieni opuścili resztę swych północnych bastionów. Joanna nie pozwalała ich ścigać, dla niej wystarczyło oswobodzenie miasta, ów pierwszy znak jej posłannictwa, którego po niej wymagali niedowiarki. W okólniku, rozesłanym przez delfina już teraz pisano: „Nie możecie dosyć czcić bohaterstwa i cudownych czynów dziewicy, o których nam naoczni świadkowie opowiadają, a która osobiście brała udział we wszystkich zwycięzkich walkach.“

W Orleanie obchodzono odtąd dzień 8 maja, uwolnienia od oblegających Anglików, rok rocznie wielką uroczystością ludową, na

której uzbrojony młodzieniec z chorągwią w ręku odgrywał rolę dziewicy oswobodzicielki.

Joanna po oddaleniu się Anglików niebawem udała się do króla, aby go nakłonić do marszu na Reims. Na dworze królewskim zgotowano jej teraz świetne przyjęcie, zewsząd spieszyła szlachta do króla, sprzedawała i zastawiała majątki, zakupywała broń, werbowała zaciężnych. Mimo to jednak plan Joanny, aby teraz niezwłocznie udać się na koronacyą do Reims, napotkał na ogromne trudności. Kasa królewska jak zawsze i teraz była próżna, zbywało na artyleryi, na przyrządach oblężniczych. Wodzowie króla zaś żadną miarą pojąć nie mogli, jak Joanna zaprowadzić myśli króla do Reims przez kraj zupełnie zajęty przez nieprzyjaciela, w którym zwyczajem ówczesnéj strategii było trzeba zdobywać jedno miasto za drugiém, aby niepozostawiać na tyłach swych załóg nieprzyjacielskich. Joanna zaś w koronacyi króla widziała jeden z głównych celów swego posłannictwa; poznawała ona trafnie, jak ogromny wpływ na lud wywrzeć musi uroczysty ten akt uświęcenia korony królewskiéj. W jéj pobożném zapatrywaniu jedyny Bóg był prawdziwym królem i panem Francyi, koronacya w Reims z rąk Boga miała złożyć władzę nad krajem w ręce króla jako namiestnika bożego.

Na wszystkie zarzuty wodzów odpowiadała: że Bóg dysponuje większą siłą, jak Anglia i książę burgundzki, a Bóg chce, żeby delfin był koronowany w Reims. Właśnie król pewnego dnia obradował z powiernikami swymi i spowiednikiem w tajnym swym gabinecie, kiedy dziewica z hrabią Dunois weszła do pokoju królewskiego niezaanonsowana. Padając na kolana przed Karolem zawołała: „Szlachetny delfinie, nie obradujcie już teraz, lecz pospieszajcie ze mną do Reims“ a kiedy i teraz znów powoływała się na rozkazy świętych, zażądał spowiednik królewski od niéj, aby wyraźnie opowiedziała, jak i kiedy święci do niéj przemawiali. Rumieniąc się odpowiedziała, że kiedy traci cierpliwość i kiedy ludzie rad jej słuchać nie chcą, udaje się o pomoc do Boga, a wtedy słyszy wyraźnie głos „Dziecię boże, idź, idź, ja będę przy boku twoim“ — odwaga i zaufanie wstępuje wtedy na nowo do serca jej. Podczas gdy to mówiła tak się rozjaśniła twarz jéj, taki zapał, taka wiara, taki szlachetny entuzyazm tryskał jej z oczu, że nikt z obecnych urokowi temu oprzeć się nie mógł. Król i rada zgodzili się na żądanie Joanny, odłożyli tylko jeszcze sam wymarsz na parę tygodni dla niezbędnych przygotowań.

Z tych paru tygodni skorzystała Joanna, aby robić wyprawy na miasta leżące nad Loirą a pozostające jeszcze w ręku Anglików. Książę Alençon, całém sercem oddany dziewicy, dowodził armią,

któréj Joanna dodawała ducha. W krótkiej kampanii zdobyto jedno miasto po drugiém, z cudowną szybkością posuwał się oddział dziewicy naprzód, nie było muru, nie było twierdzy, nie było miasta któreby go wstrzymać mogło. Wódz angielski Talbot zebrał wreszcie znaczną armię, aby w otwartém polu stawić czoło bohaterce. Od dawien dawna już nie śmieli Francuzi staczać walk w otwartém polu z bitnemi i wyćwiczonemi oddziałami Anglików, a cóż dopiero ze sławnym Talbotem. Dziewica przyjęła bitwę, pod Patay nastąpiło starcie zakończone najświetniejszém zwycięztwem, sam sławny Talbot dostał się do niewoli. Tchórzostwo Francuzów, strach przed łucznikami angielskimi, teraz pod wodzą dziewicy zamieniły się w odwagę, waleczność, entuzyazm. Od najniższego do najwyższego wszystko z wiarą i pewnością szło za jej białym sztandarem.

W paru tygodniach odbyła się taka cudowna zmiana. Francuzi i Anglicy przypisywali ją nadludzkim wpływom, Francuzi widzieli w dziewicy wysłanniczkę Boga, Anglicy narzędzie szatana, czarownicę. Taki strach przed tą czarownicą panował nie tylko w obozie angielskim, ale nawet w samej Anglii, że świeżych żołnierzy, którzy mieli się udawać do Francyi, było trzeba przemocą wlec na okręt, bo żadną miarą nie chcieli pójść walczyć z „czartem“. Armia francuzka zaś teraz nie tylko wierzyła w posłannictwo Joanny, lecz pod wpływem jej przemieniła się w armią prawdziwie chrześciańską. Dziewica z największą ostrością dbała o czystość obyczajów w obozie, wydalała rozwiozłe kobiety, zakazywała dowódzcom i żołnierzom kląć i złorzeczyć a przez cudowny wpływ i urok swój zamieniała nieraz zatwardziałych grzeszników w skruszonych, potulnych pokutników, zaprowadzała do konfesyonału takich, którzy go już od dawna nie widzieli. Jej wytrwałość podziwiali wszyscy, całe dnie w zbroi przepędzała na koniu, w dni postne lub podczas ważnych zajęć nie jedząc nic, nieraz tylko wieczorem kawałek chleba umaczany w winie i wodzie. Okropna prawie, kiedy się na około niéj sroży walka, łagodne i miękkie jej serce jednak co chwila w niej się odzywa a o łzach jéj aż za często, jak na taką bohaterkę, opowiadają nam naoczni świadkowie.

Wpływ jej rozpościerał się teraz na wszystkie sfery, wszędzie krzewiła zgodę i jedność, godziła zwaśnionych, porywała do wspólnego dzieła oswobodzenia wszystkich. Hrabia Richemont, brat bretońskiego księcia, już poprzednio po kilka razy ofiarował królowi swoje usługi, lecz śmiertelny jego nieprzyjaciel La Tremouille, który niemal wszechwładny wpływ wywierał na słabego Karola, dotąd udaremniał najlepsze jego chęci. Na wiadomość o zwycięztwach odniesionych przez dziewicę, pospieszył teraz Richemont ze znacznym

oddziałem na pomoc armii królewskiej. Książę Alençon atoli odebrał i teraz wyraźny rozkaz od króla, aby pod żadnym warunkiem, nie zadawał się z potężnym hrabią. Joanna, zapatrując się bezstronniej na sprawę tę, mimo puściła rozkaz królewski, podyktowany przez ślepą nienawiść La Tremouilla, z otwartemi rękami przyjęła Richemonta i zmusiła Alençona do wspólnéj z nim akcyi. W walce pod Patay nowy związek stale się utwierdził a Joanna pogodziła po bitwie Richemonta z Karolem. Tak przed uroczym jej wpływem wszędzie ustępowały dawne waśnie i niezgody.

Adoracya ludu dla jej osoby wzrastała teraz aż do przesady. Z ciekawością i podziwem tłoczyły się do niéj tłumy, lud całował jéj ręce, jéj odzież, jej konia, rzucał się przed nią na ziemię, jak przed świętą. „Zaprawdę — mówiła Joanna — nie umiem się przedtém ochronić, jeźli mi dobry Bóg sam tego nie oszczędzi.“ Z biednymi i potrzebującymi ludźmi dzieliła się tém, czém ją hojność króla obdarzała, kiedy ją zaś napominano, aby z większą oględnością szafowała swymi dochodami, odpowiadała: „Czy mnie nie posłano na pociechę dla biednych i potrzebujących?“ — Do dóbr materyalnych sama nigdy się nie przywiązywała, jedynie w pięknych zbrojach i koniach znajdując upodobanie, świętych swych zaś nie błagała nigdy o inną nagrodę, jak o zbawienie duszy.

Prócz takich wpływów atoli oddziaływał na lud jeszcze jeden element, któremu dziewica napróżno starała się zagrodzić, a mianowicie zabobon, obudzany w tłumach przez niepojętą szczytność jej natury i jej dążności i przez cudowne niemal skutki jej działalności. Osoby z najbliższego jej otoczenia nie opowiadają nam nic takiego, czegobyśmy nie umieli wytłómaczyć z jej silnéj wiary, z jej zaufania do Boga, z jej miłości ojczyzny, porywającéj i odradzającéj cały naród; otoczenie jej zatem wierzy po prostu, że dziewicę zesłał i natchnął Bóg dla ocalenia kraju. Inaczej tłum i ci, którzy z dala patrzeli na niepojmowane zmiany i wypadki. Dla tych uchodziła Joanna za odrębną, nienaturalnie uposażoną, w nadludzkie siły zaopatrzoną istotę, a choć krew jej nieraz już płynęła, choć wyraźnie przeciwko temu się zastrzegała, za taką, któréj żadne niebezpieczeństwo nie grozi, któréj żadna strzała się nie ima. I ten, który szedł za jej sztandarem, miał stać pod osobną, wyższą opieką. Przypisywano jéj moc wiedzenia przyszłości; — co nieraz przypadkowo się wydarzało, uważano za cud przez nią dokonany. Ztąd więc głównie wypływała owa adoracya, z jaką ją czciły na każdym kroku tłumy. Zabobon imał się dawnych przepowiedni i legend. W Bretanii podczas burzy słyszał znów lud w powietrzu tak zwane dzikie

polowanie, tłómacząc je sobie jako pochód zemsty dziewicy na Anglików. Przypominano sobie dawne przepowiednie, krążące od dawien dawna pomiędzy ludem lub też powstałe dopiero w ostatnich czasach nędzy i ucisku. Wszystkie te przepowiednie, w pierwotnej swej formie bardzo ogólnikowe, dopuszczały najróżnorodniejszych explikacyj, skoro jednak tylko rozniosła się wieść o dziewicy, przyjmowały one wszystkie, przechodząc z ust do ust, wyraźniejsze kształty odpowiednie pojawieniu się Joanny. Krążyły więc po kraju chronogrammy, oznaczające jak najwyraźniej rok, w którym wystąpiła dziewica; zamiast współczesnego autora atoli wymieniano dawnéj pamięci Anglosasa Bedę. Nawet radzcy królewscy, którzy w Poitiers badali dziewicę, przypominali sobie prorocze słowa, wypowiedziane niedawno przez dziewczynę z Awinionu, i widzieli spełnienie ich w ukazaniu się Joanny.

Tym sposobem mamy tutaj wszelkie podstawy, warunki i elementa formacyi mytów; nasamprzód epokę powszechnéj nędzy i niedoli, i naród zrozpaczony, zwątpiały; potém rzeczywiste zjawisko, tak z gruntu jenialne, że rozum ludzki z trudnością tylko wytłumaczyć je sobie umie. Około tego zjawiska pną i wiją się utwory fantazyi, zakrywając z każdą chwilą szczelniej rzeczywisty wzniosły jego obraz. Świadome i bezwiedne przystrajanie i upiększanie jest już raz formą, w jakiéj lud zwykł uznawać i czcić wielkości swe. Im daléj zaś stoi patrzący, tym bardziéj zacierają się przed okiem jego wyraźne kształty rzeczywistości, tym staranniéj i obficiej obdarza wewnętrzne oko obraz w ogólnych tylko rysach spostrzeżony w fantastyczne szczegóły. Z tą samą szybkością, z jaką dziewica postępuje w swym pochodzie zwycięzkim, mącą się pojęcia o niéj, miesza się historyczne opowiadanie i legendowa poezya. Przypatrzmy się np. listowi pisanemu w końcu czerwca, a więc tuż po pierwszem powodzeniu Joanny, przez wysoko u dworu postawionego człowieka, do jednego z książąt włoskich. Wszystkie szczegóły, na które piszący albo bezpośrednio patrzał albo które odbyły się przynajmniéj tuż przed napisaniem listu, opowiada on rozsądnie, z zupełną trzeźwością, lecz dzieje lat dziecinnych Joanny, o których tylko słyszał z opowiadania, zamieniają się już pod jego piórem w poezyą, legendę. Powiada, że Joanna urodziła się w nocy Trzech-Królów, że w téj saméj chwili wszystkich mieszkańców wsi opanowała jakaś nieznana, wielka radość, któréj powodu nikt wytłómaczyć sobie nie umiał, nawet ptaki witają narodzenie cudownéj dziewicy radosnym okrzykiem i wesołymi ruchami; od jéj urodzenia opiekuje się jéj domem rodzicielskim jakiś duch opiekuńczy, strzegąc go od wszelkiego niebez-

pieczeństwa, rówienniczkom Joanny zdaje się, że ją widzą unoszącą się ponad ziemią i t. d.

W innych listach zaś napotykamy ów namaszczony język admiracyi, jaki zwykle tworzy niejako most pomiędzy rzeczywistą historyą a podaniem, mytem, lub też w obec rzeczywistych faktów przesadę, tak np. opowiada jeden z współczesnych, że Joanna dokonała oswobodzenia Orleanu w jednym dniu.

Przez wszystkie te opinie atoli przechodzi jedna zasadnicza myśl, zgadzająca się jeszcze z własnemi zapatrywaniami Joanny, a mianowicie: Dziewica jest wybraną i wysłaną od Boga. Myśl ta obudza ufność i wiarę w całéj partyi narodowéj.

Lecz i z drugiéj strony, ze strony nieprzyjaciół, uznać musiano olbrzymie sukcessa, jakie w krótkim czasie odniosła dziewica; nikt im nie zaprzecza, lecz jak je tłumaczą? Najzawziętsi [dają najtrzeźwiejsze ale zarazem i najzawistniejsze dla niéj objaśnienie, twierdząc, że dziewica nie jest niczem innem jak polityczném narzędziem, odgrywającém z wielką zręcznością rolę, któréj ją nauczył Baudricourt. Mała garstka spokojniejszych przyznaje, że Joanna jest dla nich zjawiskiem niepojętém tak w złém jak w dobrém. Ogromna większość nieprzyjaciół zaś uważa jéj czyny za nadludzkie, ale nie pochodzące od Boga, lecz od djabła. Z takiém pojęciem łączy się potém i u Anglików, tak samo jak w duchu przeciwnym u Francuzów, poezia, legenda i zabobon. I pomiędzy Anglikami krążyły przepowiednie, których ziszczeniem miała być Joanna. W szeregach ich wyrobiło się niebawem przekonanie, że pod owém drzewem w Dom-Remy, pod którém to duchy zjawić się miały, Joanna nabyła wiadomości czarnoksiężkich, że odtąd nosi przy sobie jakiś cudowny korzonek. Wyobrażenie o karze boskiéj i wykonaniu jéj przez złego ducha, odzywa się nawet w liście ks. rejenta Bedforda, wysłanym w lipcu do Anglii: „Od oblężenia Orleanu — pisze Bedford — z ręki boskiéj, jak się zdaje, wielkie na nas spadło nieszczęście. Po większéj części, jak sądzę, pochodzi ono z zabobonu i głupiéj obawy naszych żołnierzy przed jakimś wyrodkiem i kreaturą djabelską, tak zwaną dziewicą, która łudzących czarów i sztuk czarnoksiężkich przeciw nam używa“.

Tak więc i między Francuzami i między przeciwnikami ustaliła się wiara w zwycięztwo ostateczne sprawy francuzkiéj i zjednała przez to Francuzom pomoc, która i po śmierci dziewicy ich już nieopuszczała, prowadząc ich bezustannie na drogę zwycięztw aż do wypędzenia Anglików z kraju. Wiara ta i jéj siła zadokumentowały się widocznie podczas marszu armii królewskiéj do Reims, do któréj teraz po zdobyciu miast i twierdz nad Loarą wreszcie za staraniem

dziewicy przystąpiono. W dość krótkim czasie zebrała się jak na ów czas wcale liczna armia o 12,000 zbrojnych pod rozkazami króla. 23 Czerwca wyruszono w drogę do Reims, upragnionego celu dziewicy, Podczas téj wyprawy dziewica dowodzi osobnym oddziałem, przednią strażą całéj armii. Ona toruje drogę zastępom królewskim, uprząta przed niemi wszystkie trudności.

Pierwszą ważniejszą zaporę stawiło pochodowi króla silne miasto Troyes, które kiedyś złamało wiarę Karolowi, a teraz drżało przed jego zemstą. Armia królewska nie miała ani dział oblężniczych, ani dostatecznego prowiantu. Na radzie wojennéj uważano, że o zdobyciu silnéj twierdzy mowy być nie może, ponieważ zaś i na tyłach swych zostawić jéj nie było można, mieli się już wodzowie królewscy zdecydować na odwrót. W tém weszła dziewica pomiędzy obradujących; przez porywającą swą rozmowę, z któréj każdego słowa tryskała wiara i przekonanie, potrafiła porwać za sobą i króla i wodzów jego. Niezwłocznie sposobiono się do szturmu, który już dnia następnego miał się odbyć. Zastraszone miasto, w paniczném trwodze przed zwycięzkim sztandarem Joanny, zaczęło układy. Za pośrednictwem biskupa nastąpiła kapitulacya, król obiecał miastu przebaczenie, załoga angielska i burgundzka odeszły niezaczepione, a Karol w tryumfie wszedł do miasta.

Tak samo poddawało się królowi miasto za miastem, a kiedy armia stanęła wreszcie przed murami Reims, i ztąd umknęła obca załoga a deputacya miejska przyniosła panu swemu w uroczystym pochodzie klucze od bram miejskich.

17 lipca wjechał Karol do miasta, starodawnym zwyczajem odebrał z rąk arcybiskupa koronę ojców w odwiecznéj katedrze, olej świętego Remigiusza uświęcił skronie jego. Przez cały ciąg uroczystéj ceremonii, stała dziewica z sztandarem swym w ręku, przy ołtarzu, tuż obok króla. Po ukończonéj koronacyi, ona pierwsza upadła na kolana przed królem, wołając wśród łez; „Szlachetny królu! teraz spełniła się wola boża, abyście weszli do Reims, dla odebrania świętego namaszczenia, pokazującego że jesteście prawdziwym królem, do którego należy Francya.“

Tego samego dnia jeszcze wydała Joanna odezwę do księcia burgundzkiego, którego już poprzednio wzywała, aby się jako par Francyi stawił na koronacyą. „W imie Boga — pisze dziewica — zawrzyjcie teraz pokój z królem i przebaczcie sobie wzajemnie wasze winy. Wy zaś odwołajcie wasze wojska z uświęconéj ziemi Francyi, albo wiedzcie, że już odtąd nie wygracie żadnéj bitwy przeciw walecznym Boga. Chcecie wojny, idźcie na Turka. Nam wszystkim zaś oby Bóg udzielić raczył dobrego pokoju.“ — W podobnym sensie

wysłano teraz oznajmienie do całego kraju, że oléj świętego Remigiusza zlał się na skronie królewskie; a nawet z prowincyi zajętych przez nieprzyjaciół, odzywały się głośne okrzyki radości.

Dziewica stanęła teraz na szczycie swéj chwały. I rodzice jéj wraz z najstarszym synem i wujem Laxartem (dwaj drudzy bracia wszędzie jéj towarzyszyli od samego początku), przybyli teraz do Reims, aby ujrzeć Joannę w całéj jéj świetności. Kiedy wracali do domu, uwozili z sobą pewno już przyrzeczenie królewskie, potwierdzone w przywileju z ostatniego lipca, przez który, na żądanie Joanny — jedyna to łaska, o którą prosiła — król zwalniał na wieczne czasy mieszkańców wsi Dom-Remy od płacenia podatków. Przywiléj ten utrzymał się przez długie wieki, dopiero rewolucya, niszcząca wszelkie prerogatywy, zniosła i ten wiekopomny akt, przypominający najszlachetniejszą dziewicę Francyi.

NIEDOŁĘZTWO KRÓLA. KATASTROFA.

Spieszny potok bohaterskiego żywota dziewicy nie miał się zgubić w mieliźnie i piaskach życia zwyczajnego. Bohaterski ten poemat rzeczywistości nie miał się zamienić w idyllę lub komedyą. Z dziejowego owego posłannictwa nie mogła i nie miała dziewica wrócić do zagrody rodzinnéj lub wstąpić w śluby małżeńskie z którym ze swych towarzyszów broni. Wielu z nowszych historyków opowiada nam wprawdzie, że dziewica uważała missyą swą za ukończoną w Reims; że koniecznie wrócić chciała z rodzicami swemi do Dom-Remy, i że prawie tylko przemocą potrafił ją król zatrzymać przy sobie. Twierdzenie to nie zgadza się z prawdą, dziewica nie uważała bynajmniéj posłannictwa swego za ukończone, celem jéj było wypędzenie Anglików z kraju, tak teraz jak dawniéj ukazują się jéj święci patronowie wspomagając ją swoją radą. Lecz epopeja bohaterskiego jéj żywota zakończyć się miała rzeczywistą tragedyą, wywołaną głównie przez niedołęztwo człowieka, którego osadziła na tronie Francyi.

Miernego, niedołężnego tego charakteru podnieść nie umiały nawet tak niezwykłe wypadki, nawet takie jedyne w dziejach zjawisko. Przeciwko głupocie daremnie walczą bogowie, przeciw nikczemności ludzie. Na nikczemny umysł wzniosła szczytna myśl wpływa tylko jak światło gwiazd lub księżyca na bryłę lodu i nie wzruszy, nie stopi jéj. Wzniosły umysł dziewicy, święty ogień jéj entuzyazmu nie potrafił wyrwać z inercyi niedołężnego króla. Ileż to razy odzywała się ona do Karola: „Gdybyście działali po męzku, odzyskalibyście

wkrótce całe wasze królestwo". Lecz niestety właśnie do takiego mezkiego czynu król był zgoła niezdolnym.

Dotąd miała dziewica pewny, ściśle określony cel przed oczyma, zaprowadzenie króla do Reims na koronacyą; cel ten nadawał całéj jéj działalności niezwykłą pewność i ufność. Teraz cel jéj posłannictwa rozdrabnia się niejako, wypędzenie Anglików nastręcza większe trudności. Teraz więc nieraz już opanowują ją smutne myśli, jakaś tęsknota, któréj dotąd nie było. Kiedy raz zgromadzone tłumy ludu witały pochód królewski hucznymi okrzykami radości. Joanna jadąca pomiędzy arcybiskupem z Reims a hrabią Dunois, odezwała się smutnym głosem: „Tutaj jest dobry, pobożny lud, który się tak cieszy na przyjazd szlachetnego swego króla. Dałby Bóg, żeby mnie w téj ziemi pochowano, kiedy się skończą dni moje". Arcybiskup na to: „A gdzież myślicie, że śmierć was spotka?" „Tam gdzie się Bogu podoba — odparła — o miejscu i czasie niewiem więcéj od was".

Na wrażenie koronacyi królewskiéj liczyła Joanna z wielką pewnością i nie zawiodła się. Kiedy się armia królewska, teraz już 16,000 zbrojnych, udała z Reims w dalszy pochód wojenny przeciw wrogom, wszystkie niemal miasta, przez które przechodzić miała, otwierały przed nią bramy, przyjmując w tryumfie prawowitego, ukochanego króla.

Lud zatém nie opuszczał sprawy narodowéj, lecz u Karola samego i jego otoczenia napotkał niestety niezwyciężone trudności, jedynie rozsądny plan dziewicy, aby w szybkim pochodzie wyruszyć z największym pośpiechem wprost na stolicę, na Paryż, który jedyny z miast trzymał się i teraz jeszcze stale sprawy przeciwników. Niedołężny król i tak już nie umiał przywyknąć do dotychczasowych, niespodziewanych sukcessów, wzdychał za wygodném życiem na dworze w Chinon, za zabawkami i rozrywkami; chciwem zatém uchem chwytał wszelkie podszepty pustych dworaków, przeciwnych energicznemu działaniu Joanny. Jednych z nich piekła zazdrość przeciw nieznanéj jakiéjś wieśniaczce, która teraz większą od nich dzierżyć miała władzę, którą cały lud witał z niesłychaną radością, a ich, rozumie się, wcale nie widział. Wmawiali więc w słabego króla, że stoi teraz na drugiém dopiero miejscu, że znaczenie dziewicy zaciemnia zupełnie własną jego władzę. Na pozorach im nie zbywało, bo jak dziewica napominała od samego początku króla, aby rządził się zasadami Ludwika świętego, tak i teraz nieraz mieszała się wprost do spraw wyjednywała dla miast potwierdzenie przywilejów, otaczała lud swą opieką i pomocą. Inna znów partya dworska, na któréj czele stał arcybiskup reimski, postępowała według zasad tradycyjnéj ograniczonéj polityki. Uznawali oni, że dotychczasowe powodzenie zawdzięcza król dzie-

wicy i obudzonemu przez nią entuzyazmowi narodu, lecz twierdzili że jak usposobienie to nie długo pewno już w kraju potrwa, tak i z drugiéj strony Anglicy przywykną do widoku dziewicy i otrząsną się niebawem z trwogi, jaką w nich dotąd wywoływała. Nie chcieli widzieć że rejent angielski już teraz żadną miarą nie umiał zebrać we Francyi potrzebnych środków do prowadzenia wojny, że kasy jego były puste, że szlachta nawet z prowincyi przez nieprzyjaciół zajętych spieszyła pod sztandary królewskie, że książę burgundzki ostygł w zapale swym dla Anglików i patrzał bezczynny na ciągłe ich klęski. Jedynie z Anglii nadejść mogła pomoc. Tutaj zgromadził właśnie kardynał Winchester liczną armią przeznaczoną na krucyatę przeciw Hussytom; gdy jednak z nią wylądował we Francyi i zbliżył się ku Paryżowi, zamiast pójść na krucyatę, stawił armią do dyspozycyi rejenta. Zdawało się Karolowi, podżeganemu przeciw dziewicy, że ona takim siłom nie sprosta, chętnie zgodził się na proponowany przez księcia burgundzkiego rozejm, który go po prostu tylko łudził, obiecując mu, że istotnie podda się bez oporu.

Joanna nietylko nie cieszyła się z tego rozejmu, lecz poznawała wyraźnie niekorzyści ztąd wynikające. Niezadowolnioną jestem z tego rozejmu — pisała do Reims — nie wiem, czy będę na niego zważała; jeźli go wypełnię, to tylko aby nie narażać honoru króla.

Bystra z natury, jasno widząca położenie sprawy, poznała ona od razu charakter króla i intrygi dworskie. Tak jasno oceniała opór, stawiany jéj planom, że razu pewnego skarżyła się wyraźnie: „Nie boję się niczego prócz zdrady“. Chociaż więc miasta: Compiègne, Beauvais, zkąd ludność wypędziła sprzyjającego Anglikom osławionéj pamięci biskupa Cauchon, i inne otwierały bramy królowi, dziewica ze smutkiem patrzała w przyszłość i nieraz z tęsknotą wspominała o powrocie do domu rodzinnego. Utrzymywało ją jedynie przeświadczenie, że misya jéj jeszcze nie wypełniona, że święci jéj patronowie i nadal jéj każą walczyć z nieprzyjacielem. Poczucie to, modlitwa i widok przywiązania ludu pokrzepiały jéj odwagę, nie pozwalały jéj zwątpić do szczętu. Hasło jej: na Paryż, powtarzała cała armia, tak że niedołężny król wreszcie oprzeć się nie umiał. Książę Bedford zamierzał w pierwszej chwili stawić opór armii królewskiéj w otwartém polu, lecz niebawem się inaczéj namyślił, w obawie, aby złączony teraz z królem hrabia Richemont, zagrażający Normandyą, nie przerwał mu komunikacyi z Anglią, pospieszył z wojskiem swem w tę stronę. Tak więc nie napotykał zwycięzki pochód Francuzów innéj przeszkody, jak intrygi dworskie i niedołężność króla. Całymi tygodniami zatrzymywał się on w miastach, łudził się układami z księciem burgundzkim, powoli tylko postępując za armią i jéj dziewiczym

wodzem. Tak więc ochłonął Paryż z pierwszego przestrachu, najsposobniejsza chwila minęła; burgundzcy wysłannicy zamiast nakłaniać miasto do kapitulacyi, podżegali ludność, zaręczając, że król w zemście swéj groził, iż całe miasto zrówna z ziemią. Przez opieszałość królewską więc zaopatrzył się Paryż w żywność, broń i amunicyą, i wzmocnił znacznie swe fortyfikacye.

Kiedy więc armia stanęła wreszcie przed stolicą, jeniusz Joanny mówił jéj już że stosowna chwila do ataku minęła. Wewnętrzne jéj głosy wahały się, pozostawiając ją w wątpliwości, czy szturm się uda lub nie. Dzień 8 września, dzień narodzenia Najświętszej Panny, naznaczono na dzień szturmu, podobno przeciw woli dziewicy. Dla obudzenia odwagi żołnierzy opowiadali im dowódzcy, iż dziewica zaręcza, że jeszcze tej nocy spać będą w Paryżu, i posiędą wszystkie bogactwa stolicy. Był to, rozumie się, tylko wybieg, mimo to jednak i bez tego spodziewał się lud i armia, że Joanna, tak jak to dawniéj nieraz zapowiadała, wprowadzi króla teraz do stolicy. Jeźli nastąpił zawód, musiała się zachwiać wiara w nią.

Przypuszczono szturm do bramy St Honoré. Dziewica jak zwykle szła na czele, w tém odebrała dość ciężką ranę w nogę, jéj chorąży padł tuż obok niéj. Mimo to walczyć chciała daléj, lecz król kazał ją przemocą uprowadzić z pola walki, nakazano odwrót ku rozpaczy dziewicy. Wtedy zachwiała się po pierwszy raz ufność w jéj siłę, a pierwsze przekleństwa rannych podobno uderzyły o ucho szlachetnéj i bohaterskiéj dziewczyny.

Następnego dnia powtórzyć chciała szturm, lecz król teraz już zupełnie opanowany przez intrygantów dworskich, rozkazał znieść most, który Alençon wystawić kazał, aby po nim przejść do ataku. Dnia tego w samym Paryżu panował strach najokropniejszy, ludność była pewna, że tą razą szturm się powiedzie, jeden z panów, Montmorency, z oddziałem swym opuścił stolicę, poddając się królowi. Mimo to nakazał król, nie napastowany przez żadnego nieprzyjaciela, stanowczy odwrót nad Loirę, odwrót który w ciągu marszu zamienił się w haniebną ucieczkę, rozprzężenie całego wojska. Joanna pozostać chciała przy pozostawionéj w St. Denis załodze, aby i tu stać przynajmniéj na straży zdobytego na nowo kraju; lecz zmuszono ją pójść z królem. Jéj rozpacz, jéj smutek, kiedy patrzeć musiała na rozprzężoną rozpraszającą się armią nie trudno sobie wystawić. Tak, powiada jeden z współczesnych kronikarzy, złamała się wola dziewicy i armia króla.

Inną widzimy Joannę na zamkach królewskich. Królowa przyjmuje ją z wielką serdecznością, król wynosi ją wraz z całą rodziną do stanu szlacheckiego, nadając jéj familii przywilejem z 29 grudnia herb przedstawiający na błękitnéj tarczy koronę przytwierdzoną na

mieczu stojącym pomiędzy dwiema złotemi liliami. Mimo całéj świetności, jaka ją teraz otaczała, dziewica uczuła się jednak nieswoją, osamotnioną, bo choć Alençon i Richemont gorliwie się za nią wstawiali, król z otoczeniem swém skazali ją na bezczynność, a jeżeli jéj pozwolono brać raz po raz udział w jakiéj wyprawie, zaopatrywano ją, jakby naumyślnie, w niedostateczne środki. Do tych przykrości dołączyła się zniewaga obrażająca ją w najświętszém jéj uczuciu, w wierze w szczytność jéj posłannictwa.

W tym samym czasie bowiem prócz Joanny i inne osoby uchodziły za inspirowane z góry. I tak przed jéj wystąpieniem zwracał przez proroctwa swe powszechną na siebie uwagę Franciszkanin Ryszard, porywający przez namiętne swe kazania do tego stopnia ludność Paryża, że rejent wydalił go z kraju. Przedewszystkiém atoli zaczęły się pojawiać w różnych stronach nibyto jasnowidzące kobiety, między innemi jakaś Katarzyna z la Rochelle, która opuściła męża i dzieci i udała się do króla, udając, że posiada siłę odkrywania utajonych skarbów i prosiła, żeby jéj król dodał dwóch heroldów, a ona jeździć będzie po kraju, zmuszając ludność o wydawania utajonych pieniędzy. I Katarzyna powoływała się na jakąś świętą, ukazującą się jéj w białém, złotém wyszywaném ubraniu, bez trudności zaś znalazła stronników, zwłaszcza pomiędzy przeciwnikami Joanny, między innymi także owego Franciszkanina Ryszarda. Joanna nie wątpiąca ani na chwilę o rzeczywistości i objektywności swych wizyj, Joanna która już tyle dowodów posłannictwa swego złożyła, widziała się i tą razą uprawnioną do wybadania i wypróbowania swéj rywalki. Z prawdziwą trafnością i bystrością umiała się przekonać, że Katarzyna była po prostu oszustką, „Idź do swych dzieci i staraj się o dom,“ powiedziała jéj. Lecz Katarzyna tak łatwo ustąpić nie chciała, Ryszard zaś, choć i sam przekonał się o jéj szarlatańkażdym, radził jednak aby skorzystano ze zręczności, z jaką rolę swą odgrywała. Wystawić sobie nie trudno, z jakiem oburzeniem odrzuciła przeczysta szlachetna dziewica taką radę, naigrawającą się ze szczytności posłannictwa bożego. Tym sposobem zastęp jéj nieprzyjaciół powiększył się jeszcze o te dwie osoby.

Trudno opisywać wszystkie upokorzenia i męki, na jakie ją na tym dworze wystawiano. Jasno ona widziała całą nikczemność, wszelkie podłe intrygi tego dworactwa, zazdroszczącego jéj sławy i zasługi, a zarazem całą słabość i nieudolność króla, oddającego się tylko rozrywkom i zabawom, niszczącego jakby naumyślnie zapał, który ona wywołała w narodzie.

Tymczasem położenie kraju bynajmniéj się nie polepszało. Wojna nie tylko rozszerzyła się dalej, lecz nawet miała na wiosnę z tym

większą jeszcze odnowić się siłą. Książe burgundzki, którego król niby to jako rozjemcę wpuścił do Paryża, zawarł tutaj nowy sojusz z Anglikami, przyobiecał na wiosnę wyruszyć w pole. Gdyby dziewica na nowo była stanęła na czele ludu, niezawodnie i tą razą byłaby armią poprowadziła do zwycięztw, bo mimo wszelkich podstępnych intryg, jednak wpływ jéj jeszcze ciągle wzrastał, jednak wszędzie przyjmowano ją z czcią, entuzyazmem i uszanowaniem. Lecz niedołężny król, postanowił za namową swych powierników oddać na pastwę nieprzyjaciół całą północną część kraju i bronić tylko jak dawniéj granicy Loary. Wiedziała Joanna, jakiby urok wywrzeć musiało pokazanie się jéj i króla przy armii, lecz niestety nadaremnie go zaklinała, nadaremnie błagała, nic go wyrwać nie mogło z wiru i przyjemnostek zabaw dworskich. Zrozpaczona dziewica', prawie przemocą trzymana na dworze, postanowiła wreszcie, nie wiedząc innego wyjścia, pomagać królowi i bronić sprawy jego wbrew jego woli. Z paru towarzyszami zbiegła w ostatnich dniach marca 1430 r. z nikczemnego dworu, udając się na pole walki. Krótko przed wyjazdem swym napisała lub raczéj napisać kazała ów znany groźny list do Hussytów, o którego autentyczności długo wątpiono. W liście tym pisze, że przez głos ludu, jako głos boży, dowiedziała się, że Hussyci stali się kacerzami, saracenami, żydami, że wyrzekli się prawdziwéj wiary, prawdziwéj służby bożéj, że burzą święte obrazy, że palą kościoły i rozszerzają przemocą swój zabobon; walka z Anglikami wstrzymywała ją dotąd od skarcenia takich nadużyć, lecz jeżeli nie powrócą ze skruchą na łono kościoła, wtedy przyjdzie do nich i pozbawi ich albo herezyi albo życia. Jeszcze więc ciągle tlała silna wiara w szlachetnem sercu dziewicy, jeszcze jéj nie opuściło zaufanie w pomoc bożą, przeświadczenie o szczytności swego posłannictwa.

Przez wyjazd jéj z dworu atoli, przez ucieczkę na pole walki od razu zmieniło się jéj stanowisko, z naczelniczki narodu stała się naczelniczką podjazdowego, szczupłego oddziału. Niedołęztwo króla potrafiło ostatecznie zwichnąć jéj pozycyą, podkopać siły obudzonego przez nią entuzyazmu. Bez króla, dla którego tylko żyła i działała, bez tego żywotnego elementu jéj działalności, całe jéj posłannictwo musiało jéj saméj wydać się już w innném świetle. Zamiast szlachetnego Alençona i dzielnego hrabiego Dunois, otaczali ją teraz podrzędni dowódzcy, dzielnie wprawdzie władający orężem, ale niezdolni do wyższych, obszerniejszych planów. I teraz jednak nie opuszcza jéj ani dawna odwaga, ani dawna energia, ani nawet dawna jenialna bystrość. Na nowo odnosi zwycięztwo, na nowo drzy przed nią Paryż. W tém odbiera wiadomość, że Compiègne, przednia straż wier-

nych królowi miast, dla lojalności swéj ukochane przez nią, teraz znajduje się w wielkiém niebezpieczeństwie, oblegane i uporczywie zaczepiane przez złączone siły Burgundów i Anglików. Szlachetna dziewica ani chwili się nie namyśla, niezwłocznie idzie na pomoc zagrożonéj twierdzy; ze szczupłym swym oddziałem 400 ludzi, przebija się przez oblężniczą armią w nocy z 22 na 23 maja 1430 r., przybywa szczęśliwie do miasta, podnieca odwagę oblężonych i niebawem znów gotuje się do wycieczki. Zaczepiony oddział oblegających stawia zacięty opór tak długo, że i dalsze oddziały przyjść mu mogą na pomoc. Mimo przeważnych sił nieprzyjacielskich dzielnie walczy szczupły zastęp dziewicy, dwa ataki już odparto skutecznie, lecz wreszcie, kiedy szeregi angielskie coraz to bardziej się wzmacniają, kiedy i burgundzka armia na pomoc im nadchodzi, Francuzi zaczynają się cofać. Joanna, nie mogąc już wstrzymać odwrotu, stawa na czele tylnéj straży, odpierając nacierających wrogów. Kiedy jednak oddział nieprzyjacielski rzucił się pomiędzy nią a miasto, kiedy wreszcie komendant miasta podniósł most zwodzony, aby razem z jéj garstką nie wpadł nieprzyjaciel do miasta, szczupły hufiec dziewicy otoczyli nieprzyjaciele ze wszech stron. Daremna odwaga, daremne męztwo. Dziewica, wraz z bratem i masztalerzem swym dostaje się do niewoli, ludzie hrabiego Ligny uprowadzają kosztowną tę zdobycz. Jeszcze tego samego dnia w więzieniu odwiedza ją książę burgundzki, aby na własne oczy obejrzeć tę, która tyle dotkliwych klęsk umiała zadać armiom od tylu lat zawsze zwycięzkim.

WIĘZIENIE.

Taka sama radość, jak niegdyś po oswobodzeniu Orleanu pomiędzy Francuzami, panowała teraz w szeregach Anglików i ich sprzymierzeńców, kiedy 23 maja 1430 r. dziewica dostała się do niewoli. Na ulicach Paryża z radości palono sztuczne ognie, w kościołach śpiewano dziękczynne hymny. W trzy dni po tym smutnym wypadku już zażądał inkwizytor paryski jéj wydania, ponieważ przez herezye i sztuki czarnoksięskie zgotowała zgorszenie kościołowi i ludowi; zgłaszał się po nią także szanowny biskup z Beauvais Piotr Cauchon, wypędzony z miasta przez ludność, zgłaszał się na téj zasadzie, że Joannę wzięto do niewoli w jego dyecezyi a więc on ją sądzić powinien; zgłosił się wreszcie po nią sam król angielski jako najwyższy dowódzca armii. Hrabia Ligny i lenny jego pan, książe burgundzki wahali i namyślali się najprzód. Małżonka hrabiego

Ligny zaklinała męża, aby nie wydawał szlachetnéj dziewicy jéj śmiertelnym wrogom. Uniwersytet Paryski zaś przypominał mu przedewszystkiem obowiązek rycerski bronienia czci boskiéj i religii katolickiéj, a religią tę, zdaniem oddanego Anglikom uniwersytetu, miała obrazić dziewica, więcéj przywiązana do wiary, jak cały uniwersytet razem.

Nasamprzód osadzono dziewicę w Beaulieu, a kiedy z tąd uciec chciała, zaprowadzono ją do warownego zamku w Beaurevoir. Tutaj dowiedziała się, że ją wydać mają Anglikom. Przestraszona, wbrew wewnętrznym swym głosom, które się sprzeciwiają, wyskakuje z okna wysokiéj wieży, w któréj ją trzymano. Bez przytomności leżącą na wałach znalazła straż, ciężko potłuczona przez trzy dni nie chciała przyjmować żadnego pokarmu.

Po paru miesiącach dopiero losy jéj się rozstrzygnęły. Anglicy ofiarowali za nią wykup 10,000 franków, tyle ile płacono zwykle za wziętego do niewoli księcia udzielnego lub króla. Suma ta połechtała żądze ubogiego hrabiego Ligny i pana jego Filipa burgundzkiego, który i większe umiał trwonić sumy. Kiedy więc kwotę tę wydarto Normandyi i wypłacono panom burgundzkim, wywieziono dziewicę w grudniu do Rouen i wydano Anglikom.

Cóż tymczasem robił ów oswobodzony, wywyższony przez nią Karol VII? Przecież wiedzieć musiał o jéj więzieniu, przecież słyszeć musiał, że ją wydać mają jéj śmiertelnym wrogom. Czyż nie mógł zagrozić Burgundom, że się pomści na jeńcach, których ma w ręku, jeżli Filip wyda dziewicę Anglii? Czyż nie mógł za nią ofiarować wykupu? Czyż tysiączne inne drogi nie stały mu otworem? Lecz niedołężny monarcha nic z tego nie uczynił, zostawiając na pastwę wrogom swoją oswobodzicielkę, tę która nauczyła wojska jego iść do zwycięztw i chwały, tę która tyle razy narażała życie swe dla niego. „Nie chciała przecież słuchać żadnéj rady i postępowała zawsze podług własnéj głowy,“ temi słowy przyjął kanclerz królewski wiadomość o wzięciu do niewoli Joanny. Słowa te charakteryzują dostatecznie usposobienie tego podłego dworu i nikczemnego monarchy.

A naród, lud francuzki? — jeżli o narodzie w dzisiejszém znaczeniu już wówczas mówić można. Że lud nie podniósł się lub nie zmusił króla pójść na oswobodzenie dziewicy, w tém nic dziwnego. Czyż to nie bywało zawsze, że lud opuszczał, wypierał się prawdziwych swych bohaterów i zbawicieli? Czyż to lud zwykle nie pozwala ich prześladować, męczyć, palić, na krzyżu wieszać, bez szemrania, bez oporu? Wóz tryumfatora, na którego kołach jeszcze nie zaschła świeżo przelana krew ciemiężonéj ludzkości, zawsze znaj-

dzie przyklaskujących, krzyczących: niech żyje! płaszczących się, pełzających niemal po ziemi. Powodzenie, czy kosztem dobra ludzkości, czy na jego korzyść to obojętnie, powodzenie oto jedyna miara, którą ludy zastosowują do swych wielkości. Prawdziwi bohaterowie, prawdziwi zbawcy zaś regularnie żyją i umierają, nie odbierając ani nie spodziewając się wdzięczności. Dopóki mają władzę w ręku i lud im przyklaskuje; kiedy upadają, lud pierwszy ciska na nich kamieniem. Lecz idea ich jest wieczna, idea ich przetrwa i niewdzięczność i sławę tryumfatorów, oni giną, upadają, lecz myśl ich oblana ich krwią podnosi się właśnie wtedy do tym większych sił.

O losie jaki spotka teraz dziewicę wątpić nie było można. Kreaturą djabła, nazwał ją Bedford, te dwa słowa dostatecznie charakteryzują postępowanie, jakiego się chwycić myślała Anglia.

W otwartéj walce ją schwytano, powoływać się mogła na to, że zawsze zapobiegała rabunkom i gwałtom: podług ówczesnego prawa wojennego żądać było można za nią wysokiego wykupu lub trzymać ją aż do śmierci w więzieniu. Anglicy atoli chcieli jéj śmierci, chcieli ją zgnieść i zniszczyć moralnie, aby tym sposobem znieść znów urok ciążący na żołnierzach angielskich, pozbawić ich strachu, który ich ogarnął od oswobodzenia Orleanu, i pokazać światu, że Karol koronę swą zawdzięcza nie pomocy boskiéj, lecz sztukom szatańskim. Do celu takiego dojść tylko było można przy pomocy sądu duchownego a tym bardziéj sądu złożonego z samych Francuzów. O podstawę prawną nie trudno, cała prawie Anglia i wszyscy jéj sprzymierzeńcy bowiem wierzyli, że dziewica jest czarownicą a pojęcie to nie sprzeciwiało się bynajmniéj zapatrywaniom średniowiecznym.

Wypędzony z Beauvais biskup Cauchon wystąpił zatém jako duchowny jéj sędzia. Widoki na arcybiskupstwo rueńskie, którém wówczas jeszcze rozporządzał król angielski, oddawały go zupełnie do dyspozycyi wrogów kraju i dziewicy. Król angielski rozkazał osobném rozporządzeniem wydać mu Joannę, aby ją osądził według prawa i rozsądku, zastrzegając sobie tylko na wypadek, gdyby jéj zbrodni przeciw wierze katolickiéj wykazać nie można, prawo trzymania jéj w więzieniu jako jeńca wojennego. Biskup złączył się niezwłocznie z jeneralnym wikaryuszem papieskiego inkwizytora, aby już z góry okazać, że chodzi tutaj o proces o herezyą i aby ściśłe prawne formy sądu biskupiego, gdyby tego była potrzeba, zamienić na mniéj ściśle określone przepisy sądu inkwizycyjnego. Obaj sędziowie zamianowali teraz wspólnie adwokata kościelnego oskarżycielem i powołali na assessorów 60 uczonych, doktorów lub licencyatów teologii, świeckiego i kanonicznego prawa. Każdemu z tych asse-

sorów przysługiwało prawo stawiania pytań oskarżonéj, wybór ich (pobierali zaś płacę przez cały ciąg procesu od rządu angielskiego) i utajenie pewnych części processu były zupełnie pozostawione do samowoli dwóch głównych sędziów. Prócz tego zaś zażądano tak od pojedyńczych uczonych, jak od całych korporacyj, mianowicie od kapituły rueńskiéj i uniwersytetu paryskiego, osobnych na piśmie opinij, tym sposobem zatém zwalano winę wyroku na cały świat uczony téj części Francyi, którą Anglicy zajmowali. Kiedy zaś niektórzy z assesorów podnosili choć słaby tylko głos przeciw różnym nieprawnym krokom lub starali się dawać szczere i niepodstępne rady oskarzonéj, umiano ich usunąć lub zrobić nieszkodliwymi.

W ciągu całego tego z naszemi pojęciami tak niezgodnego procesu, występuje obraz dziewicy w całéj swéj szczytności, naturalności i wyższości. Właśnie w obec najpodstępniejszych pytań uczonych inkwizytorów objawiała się cała siła jéj prostéj, niesfałszowanéj wiary, jasność i bystrość jéj rozsądku, dziecinna niewinność jéj nieskażonego serca. Z zaufaniem i pewnością, z jakiemi się przyznaje do boskiéj swéj missyi, porównać tylko można dumę i nienawiść, z jakiemi występuje przeciw swym sędziom i całéj Anglii, tylko Bogu i jego wszechmocnéj woli poddając się z prawdziwą pokorą. W początku procesu, częściéj jak zwykle widuje swych świętych doradzców, wtedy jeszcze obiecują jéj oswobodzenie, późniéj z pewnością widzi czekającą na nią śmierć. Kiedy jéj hrabia Ligny ofiarował wolność, gdyby przyrzekła, że nigdy broni do ręki nie weźmie, odpowiedziała: „Anglicy jednak mnie zabiją, bo zdaje im się, że w przeciwnym razie nie potrafią zdobyć Francyi, a mimo to, choćby tych Goddamów było sto tysięcy, już jéj nie zdobędą.“ Rzeczywiście wzbraniały się pułki angielskie wyruszyć w pole, dopókiby czarownica była przy życiu. Naczelnikom angielskim zaś bynajmniéj nie chodziło o skrytobójcze zgładzenie Joanny, tego dokazać mogli każdéj chwili, lecz o publiczny wyrok skazujący ją na śmierć ogniową. Tylko tym sposobem bowiem sądzili, że zadadzą cios śmiertelny sprawie Karola. Trzeba więc było koniecznie wyszukać powody, na zasadzie których można ją skazać o kacerstwo i sztuki czarnoksięzkie. Uznana zaś przy procesach takich procedura, jako to: że nie potrzeba było ani obciążających świadków ani innych dowodów, jeżeli tylko oskarżony przyznał się do zarzucanych mu zapatrywań i czynów, musiała nie mało popierać zamiary sędziów. W nieskazitelnéj i niezachwianéj swéj wierze bowiem, przyznawała się Joanna otwarcie do wszystkiego, co rzeczywiście zdziałała, a co w oczach sądu już wystarczało, aby ją przekonać o here-

zyi; we wszystkich śledztwach obstawała niezmiennie przy poruczoném jéj od Boga posłannictwie, i nie obeznana ze subtelnemi różnicami i szkolnemi wyrażeniami ówczesnéj nauki nie umiała zeznań swych utrzymać w obrębie tych wyrażeń, które indywidualne przekonanie według ówczesnych zapatrywań zachowywać winno w obec powagi kościoła. W takie to sidła zawikłać się mogła wiara jéj, właśnie dla swéj siły, stałości i prostoty, tą drogą było można wiarę jéj przedstawić w świetle herezyi i kacerstwa. Z wielką zręcznością zestawiono z jéj własnych słów te zdania, które w ich abstrakcyi jako przeciwne wierze katolickiéj potępili assesorzy sądu, uczeni i korporacye Francyi zajętéj przez Anglików. W czasie takiego politycznego roznamiętnienia, jakie wówczas panowało, wielu doświadczonych i uczonych teologów i prawników dało się bezwiednie, bez przymusu, w dobréj wierze porwać przez prąd opinii publicznéj, głoszonéj w Paryżu i Reims. Inni wreszcie zgadzali się na to orzeczenie w téj nadziei, że konstatując herezyą dziewicy, potrafią ją przez to wyrwać z rąk Anglików i uchronić przed śmiercią. W tém bowiem znów różnił się proces o herezyą od innych spraw inkwizycyjnych, że skazany o herezyą, jeźli się jéj wyparł, jeźli ją odwołał, mógł być zarazem uwolniony od kary prawem przepisanéj. W tym celu szczerze nakłaniało kilku z assessorów dziewicę, aby odwołała mylne swe przekonania.

Zbyt przykry jest cały przebieg tego procesu, zbyt przytém zawiły, a ze stanowiska historycznego zbyt mało ważny, żebyśmy go mieli tutaj opowiadać we wszystkich nużących jego szczegółach. To cośmy dotąd powiedzieli, charakteryzuje może już dostatecznie tak stanowisko Joanny, jak sądu i Anglików, ograniczyć się zatém będziemy mogli na podaniu ważniejszych tylko szczegółów.

Kiedy na początku śledztwa miała złożyć przysięgę, że będzie mówiła o wszystkiém prawdę, stawiała warunek, że o tyle, o ile jej pozwolą mówić święci doradzcy. Wreszcie jednak poddała się natarczywym żądaniom biskupa, składając na ewangelią żądaną przysięgę, że o wszystkiém będzie mówiła prawdę, co tylko dotyczy procesu. Na tę restrykcyą później nieraz się powoływała. Aby ją w takich razach zmusić do mówienia, grożono jej nawet torturami, zaprowadzono ją do izby gdzie rozwieszone były narzędzia tortur, oprawcy tlómaczyli jej znaczenie każdego. Joanna odrzekła: „Jeżeli boleść wyrwie mi fałszywe zeznania, będę się powoływała na to, żem tylko mówiła pod przemocą“. Sąd odstąpił od tych środków, zadawalniając się tymczasowo na moralnych męczarniach.

Cały potok pytań, obliczonych na to, aby ją wciągnąć do nastawionych sideł sofistyki, odpierała ze spokojem, tarczą swéj prostéj, nieudanéj, czystéj pobożności. Zapytana czy nadzieję zwycięstwa przywiązywała więcéj do swéj chorągwi, czy do siebie saméj, odpowiedziała: „Nadzieję moją budowałam na Panu a nigdy na czém inném.“ — Jeźli zapalała światło na cześć ś. Katarzyny, czy robiła to na cześć téj, która jej się objawiała? „Czyniłam to na cześć Boga, Najświętszej Panny i świętej Katarzyny i nie robię żadnéj różnicy między świętymi, którzy są w raju a między tą, która się mnie objawiała.“ — Czemu Bóg przed innemi zaszczycił ją takiem objawieniem? „Bo się podobało Bogu postąpić tak przez prostą dziewczynę, aby zawstydzić wrogów króla.“

Zeznała między innemi, że jeźli dochowa swych ślubów, liczy z taką pewnością na zbawienie, jakby już była w niebie. Na zapytanie, po co z takiem przekonaniem chodzi jeszcze do spowiedzi, odpowiedziała: „Bo wierzę, że nikt nie może utrzymać sumienia swego w zbytecznej czystości“. Zapytana potém, czy z pewnością sądzi iż znajduje się w stanie łaski, odpowiedziała: Jeźli w nim nie jestem, proszę Boga, żeby mnie do niego przyjął; jeźli w nim jestem, żeby mnie w nim utrzymał, wolałabym bowiem umrzeć, jak wypaść z miłości bożéj“.

Pytano ją: czy ludziom swym nie mówiła, że odwracać od nich będzie strzały Anglików, — odparła: „Polecałam im, żeby byli bez bojaźni. Wielu z nich poniosło rany przy moim boku i ja sama.“ Czy wie, że święta Katarzyna i Małgorzata kochają Fraucuzów a nienawidzą Anglików? „Kochają to, co Pan kocha, nienawidzą, co Pan nienawidzi.“ A więc nienawidzi Bóg Anglików? „Bóg kocha króla Francyi i księcia Orleanu i jeszcze kilku innych t. j. opiekuje się nimi. Powiedziałam i powiadam, co wiem, a mianowicie że wolą boską jest, aby Anglików wypędzono z Francyi, wyjąwszy tych, którzy tutaj będą pochowani; Bóg da zwycięztwo Francuzom nad nimi; jeźli bowiem Anglikom początkowo sprzyjało szczęście, dopuścił Bóg tego tylko na to, aby ukarać nas za grzechy nasze.“

Nie taiła się z tém bynajmniéj, że króla napominała, aby nie zawierał innego pokoju z Anglikami, jak tylko gdyby opuścili Francyę: „Pewną jestem, że mój król pozyska znów całe swe państwo. Jeszcze dzień cały nie minął, odkąd dwie święte przyrzekły mi to powtórnie, zanim siedem lat przejdzie, będą Anglicy jeszcze w gorszém położeniu jak pod Orleanem, utracą wszystko czego jeszcze dotąd nie utracili, utracą bowiem całą Francyą; smutno mi, że jeszcze tak daleko do téj chwili.“

Domagała się aby asesorów sądowych brano tak z partyi francuzkiéj, jak angielskiej. Z kościelnego stanowiska żądanie takie było

zupełnie usprawiedliwione, z politycznego atoli nie było można myśleć o jego spełnieniu. Biskup żądania tego nawet nie przedłożył sądowi.

Traktowano Joannę jako jeńca wojennego, jakoby tylko pożyczoną sądowi kościelnemu, trzymano ją w wieży zamkowéj, nogi okute w kajdany, które na noc przytwierdzano do pnia, tak że łoża swego opuścić nie mogła. Pięciu Anglików stało bezustannie przed nią na straży, z tych trzech w saméj jéj celi. Ciągle więc nieszczęśliwa dziewica była wystawiona na bezustanne groźby i szyderstwa żołdactwa angielskiego. — Około Wielkiéjnocy zachorowała niebezpiecznie, Anglików ogarnęła obawa, żeby naturalna śmierć nie wyrwała im ofiary, przeznaczonéj na skon w płomieniach. Silna dziewicza natura Joanny odniosła niestety zwycięztwo nad chorobą, powoli przychodziła do siebie.

Kiedy ją pytano, jak się jéj proces skończy, odpowiadała: „Święta Katarzyna oznajmiła mi, że pomoc dla mnie się znajdzie, nie wiem czy przez uwolnienie z więzienia, czy téż zrobi się zaburzenie, które mnie uwolni przy czytaniu wyroku; sądzę, że jedno albo drugie się stanie. Po kilkakroć już mówiły mi obie święte, że wielkie zwycięztwo mnie uwolni“. Daléj jednak mówiły: „Znoś wszystko cierpliwie, nie martw się twém męczeństwem, wnijdziesz przez to wreszcie do raju“. „Rozumiem — dodała — przez moje męczeństwo, zmartwienia i nędzę, jakie znoszę w więzieniu, nie wiem, czy mnie jeszcze większe cierpienia czekają, pozostawiam to Bogu“.

Tak więc obudzała się w jéj sercu raz nadzieja oswobodzenia, raz rezygnacya i przygotowanie na krwawy wyrok.

SĄD. ODWOŁANIE.

W dwóch głównych punktach koncentrowały się różnorakie oskarżenia Joanny.

Nasamprzód zarzucano jéj noszenie sukien mezkich, których i teraz jeszcze nie zdejmowała. W starym testamencie znajduje się wyraźny zakaz, aby kobiéta nie nosiła sukien męskich a naodwrót mężczyzna kobiécych. W niejasnych pojęciach średniowiecznych trzymano się tego zakazu i uważano za zbrodnię to, co dla Joanny stało się nawyknieniem, wynikiem z potrzeby. W sukniach tych dokonała ona wszystkich swych czynów bohatyrskich, nie chce ich więc prędzéj złożyć, dopókiby nie spełniła w zupełności swéj missyi. „Skoro dokonam tego, na co mnie Bóg posłał — mówiła —

wtedy wdzieję znów na siebie suknie kobiece*. I z tych słów widzieć możemy, że dziewica bynajmniéj nie uważała missyi swéj za dokonaną z koronacyą króla w Reims. Taki był główny powód oporu jéj; na drugim planie stała okoliczność, że w sukniach tych widziała skuteczniejszą zasłonę przeciw nagabywaniom i znęcaniom strzegących ją żołnierzy angielskich.

Drugi główny punkt oskarżenia odnosił się do jéj wizyj, objawień i przepowiedni. Uznać te wizye za prawdziwe, za zesłane od Boga było niepodobieństwem dla Anglików i ich adherentów francuzkich. Nie pozostawało więc według pojęć średniowiecznych nic innego jak uważać je za obłudę i kłamstwo, lub za dzieło złego ducha, djabła.

Tłómaczeniu takiemu sprzeciwiały się wprawdzie czystość obyczai, silna katolicka wiara i zachowywanie wszelkich przepisów kościelnych, jakie odznaczało cały żywot Joanny, prezydujący biskup umiał atoli postarać się o to, aby o tych jasnych i za nią przemawiających stronach jéj charakteru, jak najmniéj przeszło do aktów śledczych. „Biada mi — wołała daremnie dziewica — piszecie, co mówi przeciwko mnie a nie chcecie pisać, co mówi za mną“.

Biskup postarał się o wiadomości z domu rodzicielskiego Joanny, lecz z nich wszystkich, ponieważ przemawiały za nią, umieścił w aktach tylko to, że w 17 roku życia opuściła rodziców mimo ich woli i wiedzy i uciekła z żołnierzami, a prócz tego nie pominął baśni o buku krążących pomiędzy wieśniakami znów w tym celu, aby osłabić wrażenie świętych wizyj oskarżonéj.

Tak więc ułożono akta stosownie do celu, jaki osiągnąć chciano. Mimo to jednak, jakoś żadną miarą nie dało się z nich wydedukować przeświadczenia o winie dziewicy. I na to znalazł radę przecież przebiegły biskup.

Przy pomocy wybranych paru assesorów ułożył on z aktów wyciąg o 12 artykułach, aby, jak udawał, przejrzyście przedstawić sprawę tę wobec tych których opinii zamierzono zaciągnąć. W artykułach tych nie wymieniono nazwiska oskarżonéj, zatarto wszelkie znamiona sytuacyi dziejowéj, mówiono zawsze tylko: pewna kobiéta powiedziała, zrobiła to lub owo. W tym wypadku, o którym mówimy, z łatwością każdy domyślić się musiał, o kim tutaj mówiono; lecz właśnie to zatarcie wszelkich znamion położenia historycznego tutaj wypaść musiało tylko na niekorzyść oskarżonéj, bo przedewszystkiém ta dziejowa sytuacya przedstawić dopiero mogła we właściwém świetle jéj działalność. Nie umieszczono przytém wprost kłamstw w tych 12 artykułach, lecz za to opuszczono rozmyślnie wszystko, co tylko mogło przemawiać na jéj korzyść, wyrwano ze

związku wszystko, co tylko mogło być dwuznaczném. Od jednego z współpracowników znałazły się poprawki mniéj stronnicze, lecz ich nie użyto. Jeden z poczciwszych pisarzy zaś dodaje do nich: „Te 12 artykułów nie dobrze zrobiono, nie zgadzają się one po części ze zeznaniami, mimo to jednak ich nie poprawiono". Przytém nie odczytano ich (były zresztą tylko po łacinie napisane) nigdy oskarżonéj, a na nich jedynie opierały się owe 58 opinij nadesłanych sądowi rueńskiemu; sami assesorowie nawet, z których wielu nie zasiadało na wszystkich sesyach, trzymali się jedynie tych artykułów.

Tym sposobem zatém wszystkie te opinie uznają wizye Joanny jako jéj własne lub od djabła pochodzące złudzenia. Sąd zaś, na nich się opierając, uznaje Joannę za winną wymyślania w zabobonie owych boskich objawień i wierzenia w nie lekkomyślnie.

Widoczna pewnie dla każdego sprzeczność, leżąca w tém podwójném orzeczeniu; wnioskować z niego możemy tylko, że część sędziów skłaniała się więcéj do jednego, reszta do drugiego zapatrywania. Zważywszy daléj, prawią sędziowie w wyroku, że udane te objawienia świętych doprowadziły do wielkiego rozlewu krwi, że oskarżona złe duchy czciła jakoby świętych, a sama stała się przedmiotem zabobonnéj czci, widzą sędziowie w tém obrazę Boga i świętych, cześć bałwochwalczą, powoływanie djabła i zerwanie z prawdziwą wiarą. Ponieważ zaś oskarżona nie wyrzeka się tych zbrodniczych, błędnych opinij, ponieważ nie chce się poddać wyrokowi kościoła, przeto popełnia zbrodnię herezyi, zbrodnię karaną śmiercią.

Uniwersytet paryski, napominający sąd do pośpiechu, aby uwiedziony przez kobiétę tę lud mógł jak najprędzéj znów wrócić do czystéj wiary i nauki, w opinii swéj, do któréj przywiązywano największe znaczenie, wymienił wyraźnie dwa warunki: 1) jeźli oskarżona rzeczywiście zeznała to, co wymieniono w 12 arykułach, 2) jeźli zdrowa na zmysłach upiéra się stanowczo przy tych zeznaniach.

Co do drugiego punktu poświęcił sąd trzy uroczyste sessye, aby nakłonić oskarżoną najprzód do poddania się wyrokowi kościoła, potém do odwołania swych błędnych herezyj.

Nie szczędzono żadnych środków i prośb i gróźb, wskazywano na stos, który ją miał pochłonąć, przedstawiano, że tym sposobem wyratuje się z rąk Anglików. Dziewica długo się opierała, długo mimo wszelkich gróźb wytrwała w swéj wierze. Wreszcie jednak zmiękła, któżby ją o to mógł winić? 24 maja 1431 r. przystąpiono do ostatecznego wyroku.

„Na cmentarzu św. Owena, tuż za kościołem pięknego z posępności monasteru, były wystawione dwa rusztowania. Na jedném

siedział kardynał Winchester, biskup Cauchon, wikaryusz św. inkwizycyi i trzydziestu trzech assesorów, pisarze siedzieli jednym stopniem niżéj. Na drugiém rusztowaniu stała Joanna w ubraniu męzkiém, w towarzystwie oprawców i sług sądowych. Prócz tego było przy niéj kilku notaryuszów dla przyjęcia ostatecznych zeznań i kaznodzieja dla czynienia jej napomnień duchownych. U spodu rusztowania stał wóz delinkwentów, na nim kat, gotowy do pochwycenia ofiary, skoro tylko zostanie mu przysądzoną“ *).

Sessya zaczęła się od kazania wygłoszonego przez księdza Erarda jednego z uczonych doktorów, potém przystąpiono do czytania wyroku. „Tymczasem Erard nie ustawał w gorliwości nakłaniania dziewicy, wszystkich środków wymowy używając, to błagał mówiąc: „Joanno, patrz, że się wszyscy litujemy nad tobą“ — to groził: „Odprzysięgaj, inaczéj spaloną będziesz“. Osoby w pobliżu stojące dołączały błagania i namowy, nawet sługa jeden sądowy, tknięty litością i biorący rzeczy, tak jak mu się przedstawiały, zaklinał, aby ustąpiła, zaręczając, że się tym sposobem wydobędzie z rąk Anglików a dostanie w straż kościoła. Był to szturm przypuszczony razem na stałość Joanny. Nie dziw, że uwierzyła ludziom, a że jéj życie było jeszcze miłe, uległa. „Niech się więc stanie — rzekła — podpiszę, co chcecie!“

„Pisarz kardynała wydobył z pod rękawa gotowy już akt rewokacyi, który obżałowana miała za jego słowami odmawiać. Sługa sądowy nazwiskiem Massieu, który stał na rusztowaniu i papier ten miał w ręku, zeznał przy rewizyi procesu, że na nim nie było więcéj sześciu wierszy, że była mowa tylko, iż przyrzeka nie nosić ubioru męzkiego, ani długich włosów, że odwołując dawne zeznania swoje, poddaje się we wszystkiém zwierzchności kościoła. Tymczasem obwieszczony akt rewokacyi obejmuje sześć stronnic i w nim się Joanna przyznaje do wszystkich win, objętych dwunastu propozycyami, że przelewała okrutnie krew ludzką, że bluźniła Bogu, znieważała najświętsze sakramenta i t. p., że wyprzysięga się spraw swoich jako dzieł szatańskich i widzeń swoich, jako złudzeń złego ducha“.

Kiedy więc Joanna dopełniła tym sposobem wymaganego odwołania, odczytano jéj odmienny wyrok: „Joanno, powodowani łaską i umiarkowaniem, skazujemy cię na więzienie aż do śmierci, abyś w niém opłakiwała grzechy swoje, żyjąc o chlebie boleści i o wodzie żałości!“

---

*) Libelt, Dziew. Orleańska, str. 297 i 298.

Wściekłość żołdactwa angielskiego i polityka rejenta nie zadawalniały się atoli tak „łagodnym“ wyrokiem; im potrzeba było koniecznie stosu płomiennego dla nieszczęśliwéj, aby tym sposobem, tak przynajmniéj sobie podchlebiali, zniweczyć entuzyazm obudzony przez nią we Francyi, a żołdactwo angielskie uwolnić od panicznego strachu, jaki padł na nie od pojawienia się orleańskiéj dziewicy. Kamieniami więc obrzucali Anglicy assesorów sądowych, śmiercią im grozili; prezydującego biskupa Cauchon nazywano zdrajcą, „nie bójcie się, jednak ją jeszcze usidlić potrafimy“, odparł czcigodny kapłan.

MĘCZEŃSTWO.

Joanna spodziewała się, że po takiém upokorzeniu wyrwie się przynajmniéj z rąk Anglików, że się przeniesie do jakiego więzienia kościelnego, i byłoby to według ówczesnych zwyczajów, zupełnie w porządku. Lecz właśnie na ten wypadek zastrzegł sobie król angielski przed rozpoczęciem procesu prawo, że w razie jéj uwolnienia trzymać ją może w więzieniu jako jeńca wojennego. Zamiast więc do klasztoru, jak się spodziewała, zaprowadzono ją, teraz znów w suknie kobiéce przybraną, do téj saméj wieży, w któréj już tyle miesięcy cierpiała, przykuto ją do tego samego bloku, oddano na pastwę temu samemu żołnierstwu.

W trzy dni potém doniesiono biskupowi, że Joanna popadła na nowo w swój obłęd t. j. że znów przebrała się po męzku. Cauchon wraz z inkwizytorem i kilku assesorami udali się następnego dnia do więzienia, aby się naocznie przekonać o prawdzie. Rzeczywiście miała Joanna strój męzki na sobie. Zapytana, dla czego zerwała wypowiedziane w odprzysiężeniu zobowiązanie, oświadczyła, że dopóki ją zmuszają żyć między mężczyznami (angielskimi żołnierzami), stosownem jej się wydaje nosić ubiór męzki nie kobiecy. Tyle czytamy w urzędowym protokóle, lecz poza temi słowami ukrywa się zbrodnia.

Już dawniéj zeznawała Joanna w ciągu procesu, że nie śmié zdejmować sukien męzkich, bo w nich widzi zasłonę przeciw gwałtom, jakie jéj w nocy zadać zamierzają jéj stróżowie. Obawa ta okazała się rzeczywiście uzasadnioną: jeden ze strzegących ją żołnierzy nie wzdrygnął się przed zbrodniczym zamiarem, a tylko, zdaje się, siła i energia nieszczęśliwej wybawiła ją z rąk okrutnika. W dniach czy nocach następujących tuż po jéj odwołaniu, jakiś wielki pan angielski nie powstydził się wstąpić w ślady prostego żołnierza, a

nieszczęśliwa dziewica tylko po zaciętéj walce obronić się umiała przed jego napastowaniami. Wszystko to zeznała Joanna wyraźnie do protokółu, pisarz atoli zbył jéj skargi ogólnymi frazesami. Spowiednik jéj czcigodny ojciec Marcin Ladvenu sam z ust jéj słyszał te skargi.

Tak więc wróciła dziewica dla własnéj obrony do odzieży męzkiéj. Lecz zapytajmy, kiedy ją ubrano w odzież kobiécą zkąd mogła mieć teraz ubranie męzkie? I w tém ukrywa się widocznie podstęp. Niezawodnie pozostawiono przy niéj tę tak ostro zakazaną odzież, aby ją rozmyślnie wystawić na pokusę, aby tém łatwiéj upozorować powrót jéj do dawnych obłędów. Podły podstęp udał się więc jak najzupełniéj.

W ubiorze męzkim wróciła Joanna znów do całéj swéj dawnéj energii i sprężystości, oświadczyła wprost, że jéj już nie zdejmie. Przytém wyrzucała sobie saméj a głosy jéj wewnętrzne przywtarzały, że z obawy przed śmiercią wyrzekła się swéj wiary, duszę swą narażając na potępienie. Cofnęła swe odwołanie, mówiąc: „Nie zrozumiałam formuły odprzysiężenia, dopiero święte mnie nauczyły i przysięgam, że nigdy w życiu mojém nie występowałam przeciw Bogu i prawdziwéj wierze!“ — „Wolę umrzéć, jak żyć w tych łańcuchach“ — dodała zwracając się do ohydnego biskupa.

„Czyś może znów słyszała głosy świętéj Katarzyny i świętéj Małgorzaty?“ pytał biskup.

„Tak, słyszałam je“.

„A cóż mówiły do ciebie?“

„Powiedziały mi, żem bardzo niesłusznie postąpiła, wyrzekając się ich, uczyniłam to tylko z obawy przed ogniem“.

„A więc wierzysz, że głosy te rzeczywiście pochodzą od św. Katarzyny i św. Małgorzaty?“

„Tak, wierzę w to“.

„I że mówią z polecenia Boga?“

„Tak. A to, com 24 maja mówiła, nie zgadza się z prawdą, moje odwołanie nastąpiło tylko skutkiem strachu przed ogniem. Wolę pokutę moją ścierpieć od razu, wolę umrzéć, jak żyć w tém więzieniu“.

Na tém skończyła się indagacya więzienna. Napróżno domagała się teraz znaczna część assesorów, aby przeprowadzono śledztwo o tém co się stało w tych dniach w więzieniu, napróżno domagali się, aby pouczono dziewicę o znaczeniu odwołania. Wobec Anglików śmierć jéj już była zadecydowana.

29 maja zgromadził się sąd na nowo. Wyrok potępienia wydano niebawem. Joannę „jako członka trędem szatańskiéj herezyi

oszpeconego“ wypchnięto z kościoła i przekazano sprawiedliwości świeckiéj czyli innemi słowy: śmierci na stosie.

Do sądu świeckiego atoli już jéj nie pociągnięto. Skoro tylko trybunał duchowny zadecydował wypchnięcie Joanny z kościoła, zajęli się Anglicy niebawem przygotowaniami do wykonania wyroku śmierci. Jeszcze nie przebrzmiały słowa wyroku duchownego, a już na rynku rueńskim zaczęto stawiać stos męczeński, na którym spełnić się miała żelazna logika bohatyrskiego żywota dziewicy. Nie mogła Joanna żadną miarą z wyrzeczeniem się swego posłannictwa, swéj wiary gnić w murach więziennych. Bohaterka ponieść musiała męczeńską, bohatyrską śmierć za swoją wiarę, swoje przekonania, ku umocnieniu całego narodu w téj myśli, dla któréj sztandar podniosła.

Według formalnego prawa po odczytaniu wyroku trybunału duchownego należało Joannę oddać sądowi świeckiemu, który w takim razie musiał ją skazać na śmierć. Lecz Anglicy i na tę krótką zwłokę zdobyć się nie umieli, niecierpliwość zrywała wszelkie względy na zwyczaje prawne.

Kiedy dziewica rano 30 maja 1431 r. oczy otwarła, nie wiedziała, że ostatni dzień jéj już nadszedł. Biskup przysłał do niéj zakonnika ojca Marcina Ladvenu, aby jéj zakomunikował tę smutną wiadomość i przygotował ją na śmierć. Z tego już widać, o ile sam biskup uważał Joannę za niewinną, o ile tylko postępował nie z religijnych, lecz z politycznych powodów. Dla exkomunikowanych, wyklętych kościół pociech swych nie miał, tutaj zaś pozwolono wyklętéj Joannie nietylko się spowiadać, ale nawet przyjąć sakrament ciała i krwi Pańskiéj.

Kiedy ojciec Marcin skończył spowiedź i udzielił Joannie kommunię, za którą od tak dawna wzdychała, wtedy dopiero powiedział jéj, że dzisiaj nadszedł jéj dzień ostatni. Żal i boleść zagłuszyły w pierwszéj chwili wszelkie inne uczucia. Głośno, boleśnie zawołała nieszczęśliwa: „Biada mi! także to okrutnie i straszliwie ze mną postąpiono! dziś jeszcze to ciało moje, ciało czyste i niepokalane ma być spalone i w popiół obrócone! O ja nieszczęśliwa! czemuż mnie raczéj nie skazano na miecz, wolałabym, ażeby mnie siedm razy ścięto, niżeli spalono“.

Po takim wykrzyku boleści, powoli wrócił spokój do duszy nieszczęśliwéj ofiary, w modlitwie odzyskała znów zaufanie do Boga, pocieszając się, że jeszcze tego dnia będzie w raju. Jeszcze jedna czekała ją przykrość, biskup sam przyszedł do jéj więzienia. „Biskupie, przez Was umieram“ — przywitała go Joanna. — „Joanno,

odparł biskup — zdobądź się na cierpliwość. Umrzesz, boś nie dotrzymała twojego przyrzeczenia i wróciłaś do swéj pierwszéj zbrodni".

„Ach — odrzekła dziewica — gdybyście mnie byli osadzili w więzieniu kościelném i oddali w ręce poczciwych duchownych stróżów, nie byłoby się to stało, dla tego odwołuję się od Was do Boga!"

Około godziny dziewiątéj rano ubrano ją w długą suknię pokutnic, wsadzono na wóz delinkwentów i wywieziono, otoczoną 700 żołnierzami, na rynek. Jéj spowiednik Marcin Ladvenu i drugi zakonnik Joambert de la Pierre towarzyszyli jéj w téj ostatniéj, męczeńskiéj drodze. Zeznania dwóch tych czcigodnych księży, nie obawiających się prześladowań rozjuszonych Anglików, przyczyniły się poźniéj przeważnie do oczyszczenia pamięci męczennicy.

Anglicy, zdaje się, aż do ostatniéj chwili obawiali się jakiegoś niezwykłego wypadku, buntu ludu lub napadu z zewnątrz. Lecz ani jedna ręka się nie ruszyła na pomoc opuszczonéj bohatyrki.

Na starym rynku zatrzymał się smutny pochód. Tutaj postawiono dwa rusztowania, jedno dla sędziów, drugie dla delinkwentki, naprzeciw stérczał na wysokiém podmurowaniu stos męczeński. Liczny oddział wojska otaczał ten trójkąt, wpuszczając do niego tylko Anglików lub znanych im stronników francuzkich.

Jeden z członków paryskiego uniwersytetu, magister Mikołaj Midy rozpoczął haniebny ten obchód od kazania na temat: „Gdy jeden członek kościoła choruje, cały kościół choruje!" — a zakończył je słowami: „Joanno, idź w pokoju, kościół już ciebie bronić nie może!"

Potém odczytał biskup Cauchon wyrok, przekazujący męczennicę sądom świeckim. Lecz Anglikom już za długo trwały te ceremonie. „Cóż to księże myślisz, że my tu obiad jeść będziemy?" — wołali na niego.

Wtedy odezwał się sędzia świecki do oprawcy: „Czyń twoją powinność". Porwano nieszczęśliwą, zawleczono na stos, przywiązano do pala, spowiednik nie opuszczał jéj, dopiero gdy się już kłęby dymu wznosić zaczęły, zstąpił na jéj prośbę na dół. Wszyscy otaczający słyszeli jak jeszcze w płomieniach wołała swe święte, ostatnie słowo, które wymówiła było imię Jezus. Cała jéj postawa podczas tego okropnego aktu męczeństwa znamionowała taką pokorę, pobożność i wiarę, że nawet tacy, którzy dopiero przed chwilą przekleństwami zarzucali „czarownicę", teraz uczuli w sercu swém podziw, miłosierdzie, a łzy rzuciły się z oczu nawet żołnierzy, nawet oprawców.

Ta która żyła jako bohaterka, skończyła jak święta. Wiara w jéj boskie posłannictwo nie opuściła jéj do ostatniéj chwili.

Takie uczucie przeważało we wszystkich prawie otaczających. Kiedy sekretarz króla angielskiego Jolin Trassart oddalał się z miejsca tego, mówił do otaczających: „Wszyscyśmy zgubieni, bośmy spalili świętą, któréj dusza jest w ręku Boga!“ — Jeden z oficerów angielskich, nienawidzący dziewicy, sam własną ręką chciał dorzucić wiązkę gałęzi do stosu, lecz widok męczennicy nienawiść jego zamienił w żal i miłosierdzie. Mieszczanin paryski Jean Marcel zeznał późniéj, że gdy jeszcze stos się palił, większość widzów rzewnie płakała, wołając, że męczennicę niewinnie skazano. Kat, który stos podpalał, pełen zgrozy przybiegł potém do ojca Marcina, wołając: „Nigdy u Boga nie znajdę przebaczenia za to, com wyrządził téj świętéj kobiécie!“

Legenda ludowa ozdobiła jéj śmierć męczeńską tak samo, jak jéj życie bohatyrskie. Śmierć ta jeszcze więcéj podniosła odwagę Francyi, a jeszcze większy strach rzuciła na najezdzców. Jeżeli bowiem wielkie idee, objawiające się przez usta znakomitych posłanników, często ulegają temu losowi, że w walce z rzeczywistością tracą na siłach, i zdają się pozostawać po za najwyższém swém zadaniem, to z drugiéj strony w tém właśnie okazuje się znamię ich boskiego pochodzenia, że przetrwają życie tego, który je głosił, i że siła, którą wlać umiały w ludzi, prze naprzód daléj i daléj aż do osiągnięcia ostatecznego celu. Ów biały gołąb, który według legendy miał się wznieść ze stosu Joanny, lecąc ku Francyi, ów biały gołąb była to myśl rzucona przez dziewicę, myśl, za którą poniosła śmierć okrutną, myśl: „Francya zwycięży, Francya wroga wyrzuci z kraju swego!“ — Lud, który dziewica pierwsza porwała do walki narodowéj, i po jéj zgonie nie ustawał w walce z nieprzyjacielem, w 6 lat po jéj męczeństwie wjechał Karol VII. do Paryża, w r. 1449 opanowali Francuzi Rouen, a w r. 1458 powiewał sztandar lilii na wieżycach w Calais, ostatni Anglik opuścił ziemię francuzką.

Honor królewskiego domu Francyi ściśle był związany z losami i pamięcią dziewicy; lecz w jéj męczeństwie zawiniło tyle znakomitości i kościoła i nauki, że wobec potrzeby zjednoczenia Francyi wewnątrz i wobec trudności odwołania wyroku przez takie znakomitości wydanego, na prawnych podstawach oparta rehabilitacya jéj pamięci napotykała niemałe przeszkody. Zwycięztwo sprawy atoli dla któréj życie złożyła w ofierze, musiało wreszcie sprowadzić oczyszczenie jéj pamięci. Po zdobyciu Rouenu nakazał Karol VII tymczasową rewizyę procesu. Wreszcie przychylono się i w Rzymie do żądania króla Francyi. Kalixt III papież rozkazał kilku biskupom francuzkim i inkwizytorowi, jako sędziom, aby się zajęli rewi-

zyą procesu. Przed nimi stanęła sędziwa matka dziewicy, domagając się sprawiedliwości dla swego umęczonego dziécięcia. Po wysłuchaniu niezliczonych świadków i po długiéj procedurze prawnéj ogłosił wreszcie w r. 1456 arcybiskup reimski nowy wyrok, decydujący, że owe 12 artykułów sfałszowano z aktów, że cały proces potępiający należy uważać za niebyły z powodu licznych nadużyć prawnych, i że pamięć Joanny d'Arc zwanéj dziewicą jest czystą i niepokalaną. Ku wiecznéj pamięci wystawiono krzyż na miejscu, w którém skonała.

Tak więc przywrócono prawnie czystość pamięci męczennicy. Dziejowe znaczenie tego cudownego zjawiska atoli sięga daleko po za granice kraju, do którego należała. Widzimy to już z powszechnego udziału współczesnych; aż do oryentu maluczcy i wielcy słuchali wytężoném uchem na wiadomość o bohaterce francuzkiéj. W Ratysbonie jeszcze za jéj życia przedstawiano na scenie jéj czyny. A wszystkie następne pokolenia pracowały wspólnie nad glorią pamięci dziewicy, która pokazała światu, do czego dojść może połączenie wiary i patryotyzmu.

WYJAŚNIENIE.

Może czytelnik nieco bliżéj już obeznany z dziejami Joanny d'Arc zadziwił się czytając opowiadanie nasze, że nie znalazł w niém żadnéj wzmianki o niektórych „cudach" dziewicy, wspominanych prawie w każdym jéj życiorysie. Przyznając, że w życiu tém cudowném napotykamy nie jednę rzecz taką, którą z trudnością tylko pojąć możemy, wyjaśniłem zarazem już na wstępie stanowisko, jakie wobec tych faktów zajmuję. Tutaj zatém, zanim przystąpię do wyjaśnienia najdziwaczniejszego zjawiska: wizyi Joanny, pomówić mi tylko wypada o dwóch „cudach", które pominąłem; owym mieczu św. Katarzyny i przepowiedni walk pod Orleanem.

Co do miecza św. Katarzyny, który, jak opowiadają niektórzy, znaleźć miano w grobowcu kościoła w Fierbois za przepowiednią Joanny, to opowiadania o tym grobowcu są tak ogólnikowe i niedokładne, żeśmy ich nie powtarzali. Przytém do miecza tego tylko ci przywiązują wielkie znaczenie, którzy w odszukaniu jego widzą cud; sama Joanna zamieniła go wkrótce potém na inny a w ciągu życia jej nie odgrywał on żadnéj roli.

Co do drugiego „cudu", to we wszystkich prawie jéj życiorysach czytamy, że dziewica na parę tygodni przedtém już przepowiedziała, że pod Orleanem sama odniesie ranę. I tak między innemi

dodaje Görres, opowiadając o tym cudzie: „Tak tu, jak przy tajemnicy (objawionéj przez Joannę królowi) i w całéj téj opowieści zdaje się, jakoby opatrzność sama dostarczyć chciała niezbite dowody, aby zawstydzić niewiarę tych, którzy nie chcą wierzyć w jéj cudowne przewodnictwo“. Na to odpowiedzieć tylko wypada, że nikogo, kto chce wierzyć w cuda, od tego wstrzymać nie można, lecz że historyk inne ma zadanie. — Quicherat, znakomity wydawca aktów processowych i materyałów wyjaśniających historyą Joanny, w tym wypadku widzi trzeci rodzaj niewątpliwych rewelacyj „*de discerner et d'annoncer l'avenir*“. Zajrzyjmy więc sami, jakiego rodzaju świadectwa na wypadek ten przytoczyć można. W późniejszém śledztwie powiada sama Joanna: „że to (iż odniesie ranę) dobrze wiedziała i powiedziała królowi swemu“. Prócz tego zeznania, uczynionego już po samym wypadku, posiadamy list pewnego Flamandczyka, pisany na kilkanaście dni przed zranieniem Joanny, w którym autor pomiędzy innemi opowiada: że Joanna powiedziała królowi, „że oswobodzi Orleańczyków i że sama pod Orleanem od strzały odniesie ranę, lecz z niéj nie umrze“. Quicherat główną wagę przywięzuje do tego, że, co się sprawdziło, przepowiedziała, iż ranę tę odniesie pod Orleanem i od strzały. — Zważmy atoli na to, że Joanna przy każdéj sposobności zaprzeczała wszystkim, którzy sądzili, że jéj się strzały nie imają; sama nieraz mówiła, „że nie ma innéj pewności, jak każdy inny żołnierz“. Mimo to jednak obawy w niéj nie ma, od chwili kiedy czy to w wewnętrznéj walce, czy za radą swych świętych zdecydowała się chwycić za broń, dla niebezpieczeństwa nigdy odtąd nie ustępuje i przed najzaciętszą walką. W takiém usposobieniu stawa ona przed królem w Chinon, w takim duchu mówi do niego; cała jéj sztuka przepowiedzenia swéj rany redukuje się poprostu na odwagę, zaufanie do siebie i przedewszystkiém do Boga, owe główne podstawy całego tego zjawiska. Że zaś wyraźnie przepowiedziała, iż ranę tę odniesie od strzały (jeźli autor listu sam przypadkowo tego nie dodał) i to pod Orleanem, wytłumaczyć i pojąć można ztąd, że w Chinon w ogóle nie ma jeszcze mowy o innéj walce jak pod Orleanem i że wobec walki oblężniczéj, do jakiéj przystąpić miano, wobec ataków na bastiony angielskie, które rozpocząć zamierzano, z łatwością przypuścić było można, że jeźli dziewica poniesie ranę, poniesie ją nie w walce na szable lub spisy, lecz z dala od strzały. Tak więc i ten „cud“ nie zawiera niczego, czegobyśmy, rozumiejąc naturę dziewicy, pojąć nie mogli; ponieważ zaś w krótkim tym obrazku nie mogliśmy podawać wszelkich i najdrobniejszych szczegółów o niéj, opuści-

liśmy go w toku opowiadania, jako niezawierający nic do zrozumienia téj postaci niezbędnie ważnego.

Pozostaje nam teraz do wyjaśnienia zjawisko, powtarzające się w życiu Joanny od 13go jéj roku, aż do ostatniego dnia śmierci. Joanna rozmawia z duchami, świętymi, oni w nią wlewają wiarę, ufność, odwagę, otuchę. Jakże wytłómaczyć te wizye, o których wątpić nie wolno, bo mamy na nie niezbite dowody.

Wyjaśnienia takiego dać nie może historyk, lecz psycholog i fizyolog. Od nich żądać powinniśmy wytłómaczenia, czyli zjawisko takie jest możliwe. Do dzieł psychologów i fizyologów więc po objaśnienie uciec się musimy. Mamy przed sobą dwie prace, krótką, ale nadzwyczaj treściwą i jasną Dr. J. F. C. Heckera, niemca, i obszerną dwu-tomową Dr. Szokalskiego, polaka, *) opierając się na nich, będziemy się starali zrozumieć te wizye.

Jeżeli wśród duchowego odosobnienia, powiada Szokalski, jakie nam marzenie lub zamyślenie przedstawia, myśl nasza przypadkiem odbije się w owym organie czującym mózgu, który czulnikiem zwiemy, i w nim właściwe sobie czynności obudzi: to rzecz naturalna, że człowiek dozna zmysłowego wrażenia zupełnie takiego, jakiém jest owo, które pod przewodnictwem właściwych zmysłów się rodzi. Są ludzie szczególnie jakoś usposobieni, którym wszystko przedstawia się cieleśnie przed okiem, cokolwiek tylko sobie pomyślą. Jeżeli np. Goethe kwiat sobie jakiś albo arabeskę w myśli wystawiał, to mu on zaraz plastycznie stawał przed okiem, a im mu się bliżéj przyglądał, tym więcéj w widzeniu zdawał nabierać przedmiotowego życia, a każdy jego szczegół rósł lub malał albo też przekształcał się w fantastyczne postacie, chociaż już tutaj ani wola ani myśl żadnego w nich nie brały udziału. Myśl może więc działać na zmysłowość, sprawa czucia może niejako odbywać się na wywrot, a skutkiem onego działania będzie fantazyjne złudzenie czyli wizye.

Takie wizye powstają zatém przez subjektywne patrzenie czyli innemi słowy: to co w obrębie organu widzenia odbywa się z wytężoną siłą, występuje plastycznie na zewnątrz, jako rzeczywisty przedmiot. Taki sam skutek wywrzeć można także na organ słuchu i każdy inny zmysł przez wewnętrzne od subjektywnych wyobrażeń zależne podrażnienie odpowiednich części mózgu i tym sposobem widzi człowiek przedmioty, których nie ma, słyszy tony, których nie ma; nie są to jednak złudzenia zmysłów, bo nie zmysły się tutaj

*) Dr J. F. C. Hecker, über Visionen, Berlin 1848. — Dr W. Szokalski Fantazyjne objawy zmysłowe, 2 tomy; Kraków 1861 i 63.

łudzą, lecz tylko sąd człowieka się łudzi, nie wiedząc zkąd pochodzą te zjawiska; to co tylko w myśli jego exystuje uważa za rzecz exystującą w rzeczywistości po za nim.

Takim wizyom podlega człowiek zwykle tylko w chorobliwym stanie. Napotykamy jednak, jak to już widzieliśmy z przytoczonego powyżéj przykładu, wizye wywołane przez samą siłę podrażnionéj wyobraźni; a tego rodzaju złudzenia, zgadzają się jak najharmonijniéj z zupełnem zdrowiem ciała i duszy. Im więcéj jasności i wyrazistości zaś mają oddziałujące na człowieka takiego wyobrażenia, tym więcéj stanowczo zagradza się zbytecznéj niebezpiecznej rozbujałości fantazyi, jaka znamionuje wizye chorobliwych i extazom oddanych osób. W takim razie są to myśli pozbawione wszelkiéj zmysłowości, wszelkiéj wybujałości, które przechodzą w zjawiska światła, przyjmują wyraźne tony, a wracając jakby z ust wyższych istot do osobistości wizyom tym podlegającéj, obudzają w niéj nadludzką siłę przekonania, uspasabiają ją do czynów, niewykonalnych dla zwykłego, szałem entuzyazmu nie porwanego człowieka.

Takiem zjawiskiem była Joanna d'Arc. Najprzód pokazuje się w niéj prosta, elementarna wizya, bez zmysłowego kształtu, wizya bezkształtnego światła, jasności, powracające dopiero wizye przybierają kształty, ale nie zmienne, jak je stwarza fantazya, lecz stałe, niezmienne, opierające się na pewnych z zewnątrz odebranych wrażeniach, na wyobrażeniach powziętych z religii, przedstawionych w sztuce kościelnéj. Tym sposobem, ponieważ wytężona myśl Joanny przedstawia jéj zmysłom aniołów i świętych, sama dziewica z tak silną wiarą wierzy w ich pomoc, jak w exystencyą Boga, żyje w tym świecie nadziemskim tak jakby w rzeczywistym, a jéj wyższe myśli, wyższe uczucia przyjmują zupełnie formy najszlachetniejszéj extazy zmysłów. Jéj jenialny i z gruntu szlachetny umysł, jéj zdrowa, potężna natura w chwilach wytężenia, nabierają tym sposobem sił zgoła nadludzkich, wszelką zwykłą miarę przechodzących. Ponieważ zaś zwykłe objawy jéj wielkiego i jasnego ducha i jéj nie mniéj jasne w kształt halucynacyi przechodzące myśli pochodzą z tego samego źródła, zawierają tę samą treść, przeto łączą się jedne z drugiemi w najzupełniejszéj harmonii, a różnią się tylko przez sposób działania i przez stopień rezultatu, skutku. Uważni współcześni świadkowie z jéj otoczenia zauważali nieraz, że myśli jéj w halucynacye przechodzące zmieniały nawet jéj powierzchowność, nadawały jéj jakiegoś nadziemskiego wyrazu. Najwyższy cel więc, do jakiego doszła, był bezpośrednim skutkiem wizyj, najszlachetniejsze jéj myśli bowiem zmysłowo-plastycznie urzeczywistnione wracały

znów do niéj jakby z drugiego świata, jakby z ust świętych, a przez to, naturalnie, nabierały tym większego dla niéj znaczenia.

Na tych podstawach tutaj w krótkości tylko wyłuszczonych zrozumiemy może wizye dziewicy, a w historyi jéj nie znajdziemy nic takiego, czegobyśmy z teoryą tą pogodzić nie umieli, nieprzypuszczając cudów, nieprzypuszczając tego, żeby Bóg miał własną ręką burzyć ten porządek, który sam ustanowił dla świata.

DZIEWICA W LITERATURZE.

Mało która z wybitnych osobistości średniowiecznych dziejów może się zwłaszcza przy tak krótkiém trwaniu swéj karyery politycznéj, poszczycić tak bogatemi źródłami i opracowaniami, jak dziewica orleańska.

Najgłówniejsze życia je dotyczące materyały, zawarte są w aktach dwóch jéj procesów: potępiającego i rehabilitacyjnego.

Akta processu pierwszego wygotowano w pięciu równobrzmiących exemplarzach, z tych znajdują się jeszcze po dziś dzień trzy w Paryżu wraz z licznemi kopiami. Akta processu rehabilitacyjnego wygotowano w trzech exemplarzach, z których tylko jeden zaginął. Z tych aktów wydał już w r. 1790 de l'Averdy bardzo wierny i przejrzysty referat, w którym starał się przedstawić każdy z dwóch procesów w osobnym obrazie.

Dla nowszych badaczy atoli nie wystarczała jeszcze ta sumienna praca, w latach 1841 — 1849 ogłosił zatem Jules Quicherat w pięciu tomach akta i materyały dotyczące dziejów Joanny d'Arc w zupełności. Quicherat, jeden z najgruntowniejszych i najuczeńszych badaczów Francyi, wywiązał się pod każdym względem wzorowo z zadania swego, tak, że późniejsi do dzieła jego potrafili dodać tylko jeszcze mało znaczące dodatki lub odmianki. Poświęćmy i my wiekopomnemu temu dziełu kilka uwag.

Dzieło Quicherata zaczyna się od aktów procesu potępiającego, które wydawca podzielił na cztery części: 1) część przygotowawczą; 2) wyrok pierwszy; 3) wyrok drugi czyli sprawa powrotu Joanny do dawnych błędów; 4) niektóre akta późniejsze.

Z pomiędzy dodanych sądowi inkwizycyjnemu pisarzy najczynniejszym był Manchon. Jego zapiski przeglądali po każdéj sessyi dwaj drudzy notaryusze, a tym sposobem przejrzana praca Manchona (pytania i odpowiedzi w języku francuzkim, protokólarne uwagi po łacinie) stanowiła główną podstawę ostatecznéj redakcyi aktów. Zapiski te przechowały się jeszcze po dziś dzień od dwuna-

stéj sessyi. W parę miesięcy po śmierci Joanny nastąpiła dopiero ostateczna redakcya tych aktów dokonana przez notaryuszów Courcelles i Manchon: protokóły uzupełniono, pytania i odpowiedzi przełożono na łacinę a całe akta zaopatrzono w świadectwa i pieczęcie sędziów i pisarzy. Jako dodatek przyłączono potém jeszcze do nich raport spisany w dzień po śmierci dziewicy i parę pozasądowych zeznań, uważanych jednak podczas processu rehabilitacyjnego za autentyczne. Jako źródło dziejowe akta te najprzód są ważne dla historyi samego procesu, potém dla historyi dziewicy przed rozpoczęciem processu. O ile jednak podanym tutaj o przeszłości dziewicy szczegółom wierzyć można, zależy przedewszystkiém od tego, jak nam się na proces ten zapatrywać należy. Wyrok potępiający, do którego cały proces z góry już dążył, był krzyczącą niesprawiedliwością, taka jest opinia publiczna, wielu zaś dodaje prócz tego, że tak przy prowadzeniu procesu, jak przy spisywaniu aktów i przewodniczący i pomocnicy jego dopuszczali się niemałych nadużyć. O pierwszym punkcie nie ma co mówić. Mamy tu do czynienia z procesem o herezyą, który choć się i trzyma przyjętych form, jednak co już z natury rzeczy wypływa, staje się także procesem politycznym: trudno więc zaprzeczyć parcyalności sędziów. Ważniejszym dla badacza, używającego aktów tych za źródło, jest drugi punkt. Tutaj łatwo popaść można na bezdroża. Prawo inkwizycyjne przy sądach o herezyą, mięszanina zdań z prawa pospolitego, specyalnych dekretów i zwyczajów tradycyjnych pomiędzy Dominikanami, zbyt mało jeszcze jest znane a zwykle zbyt mało się zważa na zupełnie upoważnione zboczenia od pospolitych reguł procedury inkwizycyjnéj. Quicherat zajął się zatem ze względu na proces rueński sumiennèm zbadaniem tych form inkwizycyjnych i doszedł do niewątpliwego rezultatu, że mimo widocznej nieprzyjaźni głównego sędziego do Joanny, jednak zachowywano względem niéj zwykłe formy procedury w sprawie o herezyą. Tak samo mniema już jedyny szczéry przyjaciel, który podczas procesu dopomagał Joannie, prawy Dominikanin.

Pozostaje więc tylko rozstrzygnięcie pytanie, o ile redakcya samych aktów zgadza się z zadawanemi podczas procesu pytaniami i odpowiedziami na nie. Że tłómaczenie łacińskie zgadza się zupełnie z zapiskami francuzkiemi, o tém każdy bez trudności przekonać się może; lecz o ile te zapiski oddają wiernie zeznania dziewicy? Z wyjątkiem jedynego jednego wypadku, w którym pisarz na rozkaz przewodniczącego opuścił daną przez oskarżoną odpowiedź, zawierają odpowiedzi te zdaniem najgruntowniejszych badaczy rzeczywiście to, co zeznawała Joanna. Nie podlega więc wątpliwości, że

w nich mamy przed sobą w streszczeniu słowa oskarżonéj, mimo to jednak z wielką tylko ostrożnością wolno nam z nich wyciągnąć wnioski o faktycznych zajściach w życiu Joanny poprzedzającém proces. Zważmy tylko jednę okoliczność. Znaczną część odpowiedzi już dla tego trudno zrozumieć, że pytania podano niedokładnie, nie w zupełności. Dziewica sama waha się pomiędzy otwartością śmiałą, radosną i pomiędzy pewną jak najzupełniéj uzasadnioną restrykcyą w innych znów rzeczach. Mimo wielkiego swego, jenialnego uzdolnienia, mimo moralnéj siły, jaka ją zawsze i wszędzie odznacza, jakżeby nie miała osłabnąć, omdleć w kilkugodzinném nieraz śledztwie, gdzie pytanie goniło za pytaniem, przeskakując od jednego przedmiotu do drugiego, gdzie używano wszelkich wybiegów i sztuczek sofistyki, aby ją wciągnąć w nastawione sidła podstępu? Dla tego czuć z odpowiedzi jéj nieraz omdlenie, na to samo pytanie odpowiada czasami nie zupełnie jednako. Wreszcie używa dziewica często allegorycznych przyrównań i zwrotów; na niektóre kwestye niechce najprzód wcale odpowiadać, a kiedy ją znów i znów napierają pytaniami, nastręczającemi jéj pewne wyobrażenia, zgadza się wreszcie na nie i upiéra się potém przy tém, co prawie przemocą wciśnięto w jéj umysł. Jakże tu teraz wyszukać granice pomiędzy różnemi rodzajami takich zeznań?

W gorszym bez porównania stanie znajdują się akta rehabilitacyjnego procesu, zajmujące tom drugi i trzeci zbioru Quicherata. Aktów tych nigdy nie poddano zupełnéj autentycznéj redakcyi. Dwóch pisarzy zajęło się wprawdzie tą pracą, ale jéj nie doprowadzili do końca i część téj niezupełnéj, nigdy zresztą nie legalizowanéj redakcyi przechowała się po dziś dzień. Późniéj dopiero zajęli się ci sami pisarze metodyczném zebraniem wszystkich aktów procesu z r. 1450 i 1456 i na swoją odpowiedzialność sporządzili trzy odpisy; niedbałości w redakcyi, błędy w nazwach i datach, odmiany w najważniejszych momentach dowodzą, że nikt niezajął się nawet przejrzeniem i porównaniem tych egzemplarzy. Lekkomyślność ta nie różni się bynajmniéj od całego sposobu, w jaki proces ten prowadzono, a skutkiem tego można z nich korzystać tylko z największą ostrożnością. Do historyi dziewicy odnosi się z aktów tych najprzód około stu zeznań, pod przysięgą, osób, które w osobistych stosunkach stały z Joanną, które więc po większej części opowiadają to, co widziały i słyszały; powtóre cały szereg opinii znakomitych teologów i prawników o życiu, czynach i potępieniu Joanny. Owe zeznania pochodzą z urzędowych w różnych miejscach i przez różnych notaryuszów robionych badań, zachowanych prawie bez wyjątku tylko w tłómaczeniu łacińskiém. Jak zaś cały proces dążył tylko

do tego, aby pamięć dziewicy oczyścić z zarzutu herezyi i wykazać jéj niewinność pod każdym względem, jak dalej wszelkiemi siłami się starano, aby nie naruszać czci żyjących jeszcze asesorów sądu ruеńskiego, jak wreszcie spadkobiercy zmarłych asesorów zrzekli się wyraźnie wszelkiéj ze swéj strony obrony, tak więc nie przestawało prawym, ale tutaj parcyalnym, sędziom nic innego, jak zakonstatować na własną rękę, jakich świadków i o co pytać należy. Wywiązali się oni ze swego zadania jak umieli, historykowi atoli wyrządzili nie małą krzywdę, nie zaciągając żadnych informacyj z Lagny, Compiègne, Senlis, bardzo tylko dorywcze z Poitiers, nie pytając wielu ważnych naocznych świadków a zapisując znów od innych tylko widocznie fragmentaryczne zeznania. Dlatego akta te pod względem autentyczności stoją daleko po za aktami pierwszego procesu, a to co z nich posiadamy, różni się w swych składnych częściach znacznie pod względem wartości.

Większą część przytoczonych w aktach tych świadectw podzielić możemy na trzy kategorye.

Najprzód badania na miejscu urodzenia Joanny. Odnoszą się do młodości dziewicy, pochodzą po największéj części od ludzi bez wykształcenia, którzy mają wprawdzie szczerą chęć mówić prawdę, lecz stojąc pod mimowolnym wpływem podziwienia dla cudownego zjawiska dziewicy, nie umieją rozróżnić tego, co rzeczywiście widzieli lub słyszeli, od tego, co tylko z drugiej ręki do nich doszło a przez jednostronność stawianych im pytań zwiedzeni rysują nam tak idyliczny obraz lat dziecinnych dziewicy, że żadną miarą za prawdę dziejową przyjąć go nie możemy.

Do drugiej kategoryi zaliczyć można zeznania orleańskie. Tutaj przemawiają po większéj części ludzie, którzy widzieli Joannę na szczycie jej zawodu, doświadczeni, wysoko postawieni mężowie, pierwsi jej przyjaciele z Vaucouleurs, pierwsi jej towarzysze broni. Są to najcenniejsze wiadomości; charakteryzuje je trzeźwość, wyrazistość i dobitność, a przytém ściśłe rozróżnienie tego co sami słyszeli lub widzieli, od tego, co zkądinąd zaczerpnęli, ściśłe rozróżnienie własnych od obcych sądów; mimo to jednak i tutaj sumienny badacz rozważyć musi każde słowo stosownie do stopnia wykształcenia zeznającego.

Do trzeciej, ostatniéj kategoryi policzymy zeznania z Rouen, świadczące o biegu pierwszego procesu i o męczeństwie dziewicy. Są to po części ludzie, którzy mieli nieszczęście należeć do pierwszego procesu, teraz trapi ich własne sumienie, a więcéj jeszcze obawa przed opinią publiczną. Ich nieraz zająkliwym głosem wypowiedziane

zeznania dotyczą głównie historyi pierwszego procesu i pozwalają nam wyrobić sobie o nim stosowne zdanie.

Dołączone wreszcie do zeznań tych opinie teologów i prawników pochodzą po części od najpierwszych znakomitości naukowych, tak między innymi od sławnego Gersona. Są to bez wyjątku szczere apologie umęczonéj bohatérki.

Dwa ostatnie tomy dzieła Quicherata zapełnieją materyały nie dotyczące procesu. W tomie czwartym czytamy wszystkich kronikarzy XV i kilku XVI wieku, którzy mniéj lub więcéj obszernie zajmują się dziewicą: przyjaciół i nieprzyjaciół, admiratorów i szyderców. W tomie piątym wreszcie znajdujemy dokumenta i listy dotyczące dziejów Joanny d'Arc, świadectwa o fałszywej dziewicy, która się ukazała w parę lat po śmierci prawdziwej Joanny i t. d.

Widzimy zatém, że w dziele uczonego Francuza mamy przed sobą rzadkie bogactwo wiadomości źródłowych, które nowsza historyografia niejednokrotnie z sumiennością i gruntownością zużyć potrafiła.

Jeźli w spółczesnych kronikach, pamiętnikach i listach, które Quicherat zgromadził w dwóch ostatnich tomach dzieła swego, rozróżnić możemy przedewszystkiem dwa obozy: przyjazny Joannie francuzki, i nieprzyjazny burgudzko-angielski, dwa obozy nieraz wprost sobie przeciwne, to pomiędzy późniejszemi opracowaniami napotykamy o wiele liczniejsze odcienia, stósownie do stanowiska jakie autorzy zajmują w obec dziewicy bądźto pod względem narodowym, politycznym, społecznym lub religijnym.

Opracowania późniejsze w języku francuzkim napisane liczą się na setki, czy to uczone, czy popularne, czy prozą czy wierszem. Tutaj wspomnieć tylko możemy o tych, które się opierają na własnych źródłowych studiach a przedewszystkiem o tych, które uwzględniają najnowsze zdobycze naukowe. — Z dawniejszych wymienić mi wypadnie na piérwszem miejscu czterotomową około r. 1628 napisaną historyą dziewicy przez uczonego Edmunda Richer. Autor pilnie zagląda do aktów procesowych i do kronik, lecz przypisując opatrzności wszystko i naturalne i legendowe wypadki, nie umiał do opowiadania swego zastosować ścisłej, umiejętnéj, naukowéj krytyki. Dzieła jego dotąd drukiem nieogłoszono. Kiedy zaś uczonego Lenglet du Fresnoy pytano o radę, czyby wypadało wydrukować dzieło Richera, zajął się Fresnoy przestudyowaniem téj gruntownéj ale rozwlekłéj pracy i na zasadzie jéj ogłosił w trzech tomach w r. 1753 biografią dziewicy napisaną w przystępny z duchem czasu owego zgodny sposób.

W pierwszéj połowie wieku naszego pojawiło się w literaturze francuzkiéj kilka dzieł dotyczących Joanny, z pomiędzy których choć z imienia wymienimy Lebruna de Charmette, Berriat Saint-Prix, Jollois, Michaud i Poujoulat. Rozbiorem ich tutaj zajmować się nie możemy, bo w obec nowszych prac dzisiaj mają one tylko tę zasługę, że przygotowały materyał, który późniéj wiele umiejętniéj zużytkowano.

W Niemczech wydał w r. 1834 w Ratysbonie Guido Goerres źródłową historyą dziewicy. Aby się zapoznać gruntownie z dziejami bohatyrki jeździł po Francyi, zbierając dowody historyczne i podania dziejowe. Jakie stanowisko zajmuje w obec Joanny, poznamy już z paru słów umieszczonych zaraz na czele: „Exystuje naturalny bieg rzeczy. Inaczéj jednak ma się, jeźli sam wszechmocny Bóg wstąpi pomiędzy walczących i jeźli ręka jego cudownym sposobem wmiesza się w naturalny bieg rzeczy... Taką cudowną historyą, i to stwierdzoną pod przysięgą jak mało którą, mam tutaj opowiedzieć". Görres znał i gruntownie studiował źródła, zwłaszcza te które wydał L'Averdy. Zdarza mu się wprawdzie, że tak jak Lebrun i Jollois, uważa za współczesną podrobioną w XVIII wieku kronikę Gamache'a lecz w ogóle umié ze znajomością odróżniać od siebie źródła. Wyrzuca czasami niejeden szczegół, w który lud w poetycznéj swéj fantazyi przystroił dziewicę, a przytaczając raz bajki, które już za czasów Joanny krążyły z ust do ust, dodaje: „niech to wierzy, komu się podoba". Orzeczenie to zastósowaćby można w ogóle do dzieła autora, dzieła napisanego celem zbudowania czytelników. Choć bowiem autor czasami już, już wstępuje na umiejętną, naukową drogę, to jednak zazwyczaj usuwa cel naukowy przed celem zbudowania czytelnika. Niezwykłe, niełatwo zrozumiałe wypadki uważa autor prawie bez wyjątku za cuda, nawet tam gdzie na zasadzie źródeł nietrudno znaleźć rozsądne i jasne tłomaczenie.

Korzystając z dzieła Görresa i historyi *par excellence* kolorysty francuzkiego Micheleta ogłosił w r. 1847 opowiadanie o dziewicy orleańskiéj uczony nasz Dr. Karol Libelt.

Kiedy zaś Goerresa książkę przetłómaczono na francuzkie a Quicherat ogłosił znakomite swe źródła, napisał Louis de Carné z patryotyzmem i uczuciem zajmującą rozprawę o dziewicy. Walczy on przedewszystkiem przeciw tym, którzy wpadli na dziwaczny pomysł, chcąc z bohatyrskiéj dziewicy zrobić demokratkę, w jasném świetle zatém wykazuje jéj szczery, prawdziwy rojalizm. Aby wytłómaczyć nadnaturalne wypadki w żywocie jéj, powołuje się na dumę narodową Francuzów. W przykładzie dziewicy według niego Bóg miał pokazać Francuzom „ile to w oczach jego znaczy Francya", miał to pokazać przez wielkość środków, jakich użył, aby ją wyratować z toni. Wy-

jaśnienia téj dziwnéj w dziejach świata osobistości w pracy Carnégo nie znajdzie zatem czytelnik.

Mało co różni się od Goerresa jeden z najnowszych historyków dziewicy: Wallon (2 tomy, w Paryżu 1860). „Sa vie — mówi autor o Joannie — est un miracle placé au seuil des temps modernes comme un défi à ceux qui veulent nier le merveilleux". Przyznaje potém wprawdzie, że historyk ma prawo i obowiązek, badać, poznawać rzekome cuda, szukać wyjaśnienia „et si l'on ne peut se rendre compte de tout, il vaut mieux en convenir que d'inspirer, sur des raisons insuffisantes, une sécurité pire que le doute ou l'ignorance". Sam autor atoli nie zadawalnia się takiém wyznaniem, lecz stara się wprowadzić czytelnika swego w pewność, mieszając do wypadków bezustannie cuda. Mniejszy on wprawdzie nacisk kładzie na te cuda, mniejszy od Görresa, lecz przyjmuje je zarówno z nim, niewiedząc nieraz, że to, co przytacza, nie jest opowiadaniem naocznego świadka lecz powtórzeniem tego, o czém świadek sam dopiero z trzecich lub czwartych ust zasłyszał. Ogranicza przytém donośność tych cudów, nie umie się zdobyć na to, żeby wizye dziewicy uważać za rzeczywiste, realne zjawiska, a uważając wszelkie detaliczne zeznania dziewicy za wmuszone jej przy śledztwie allegorye, redukuje wizye jéj tylko do „świateł i głosów." Lecz te, dodaje, nie mogły być ani jéj osobistą illuzyą, ani halucynacyami, bo z jednej strony dziewica wie o rzeczach takich których wiedzieć nie może, a z drugiéj halucynacye nie zgadzają się z cielesném zdrowiem Joanny. Nie pozostaje więc dla autora nic innego, jak uważać dziewicę za wysłanniczkę Boga. „La mission de Jeanne a tous les signes des choses que dieu même?" Konsekwentnie więc dzieło jego kończy się wnioskiem, że świętość Joanny powinien teraz uznać kościół, bo akta jej życia i męczeństwa są ukończone, gotowe do wyroku. Dla tego téż męczeństwu czyli procesowi jéj poświęca autor cały drugi tom dzieła swego. Wobec tendencyi i dogmatyczności autora rzeczywiście proces ten wielką odgrywa rolę, jeźli jednak chodzi o d z i e j o w e przedstawienie jéj sprawy proces bynajmniej nie może zajmować tego stanowiska, które mu Wallon i wielu innych przypisuje. Jak Joanna znosi swoje nieszczęście, że posłannictwo swe oblewa własną swą krwią, wszystko należy jeszcze do dziejowych znamion tego zjawiska, z drugiej strony zaś już dla samych wyjaśnień, jakie z tąd czerpać możemy, powinien się historyk gruntownie zapoznać z przebiegiem obu procesów, lecz opisywać wszelkie ich fazy i w opowiadaniu leży po za zadaniem, po za zakresem dziejopisa.

Jeżeli Wallon wnosi o kanonizacyą Joanny, to drugi historyk francuzki Abel Desjardins (Paryż 1854) znów stósownie do swéj

tendencyi wnosi, aby dla oswobodzicielki narodu postawić trzy pomniki. Ciepło patryotycznego entuzyazmu, szczery podziw dla dziewicy ożywia dzieło Desjardinsa. Nie wszystko pojmujemy w życiu Joanny, lecz dlatego niepowinniśmy tego, czego nie rozumiemy odrzucać, na tém ogranicza się autor wyrzucając w opowiadaniu swém prędzéj jaki niepojęty szczegół, jak tłómacząc go przez cud. Jeżli mimo to nazywa Joannę wysłanniczką Boga, narzędziem boskiéj opatrzności, jeżli ojczyznę swą stawia pod wyższą opieką, to wszystko to trafnie zrozumiane uważać należy za rzeczy zgoła uzasadnione, wiara w opatrzność bowiem, w opatrzność działającą podług swych niezmiennych praw, bynajmniéj się nie sprzeciwia nauce. Jeżli jednak Wallon i inni każą téj opatrzności burzyć ustanowiony przez nią porządek, jeżli każą jéj mieszać się do życia Joanny nie według praw przez nią samą ustanowionych, wtedy wstępują na drogę z naturą niezgodną. Desjardins umie wprawdzie zazwyczaj zachować tę jedynie stósowną granicę, lecz czasami zdaje się skłaniać prędzéj do pojęć Wallona, zwłaszcza kiedy wyrażenia opowiadań współczesnych, skłonnych do wiary w same cuda, przyjmuje bez zmiany do swego opowiadania. Dopóki historyk nie wyjaśni wewnętrznego stanu i rozwoju dziewicy, nigdy nie uniknie właśnie takich pozorów. Rozpędziwszy się przytém, nieraz w opowiadaniu, nie zadawalnia się Desjardins nawet na szczegółach podanych przez źródła, dodając dla ubarwienia nowe. Tak każe między innemi ojcu Joanny zgromadzać co wieczora przy kominku rodzinę swą i prowadzić z nią rozmowy o polityce.

Wszystkich tych kwestyi, dotyczących życia Joanny, dotknął i Quicherat w krytycznych badaniach, nie w zbiorze źródeł, lecz swych *Aperçus nouveaux* (Paryż 1850). Quicherat widzi w dziewicy jedno z najwspanialszych, najszlachetniejszych, zjawisk, ale przytém zjawisko tylko ludzkie. Posłannictwo jej redukuje do silnego przeświadczenia, którego się trzymała z niezrównaną stałością: że Bóg ją posłał, że Bóg przepisuje jéj drogę za pośrednictwem świętych i aniołów. Wizye powstają z niej saméj, w oczach jej atoli uchodzą za po za nią exystyjące, rzeczywiste zjawiska. Chodzi mu tylko o to, aby wykazać o ile działalność dziewicy według źródeł „zdaje się“ przechodzić po za zakres sił ludzkich. W trzech tylko wypadkach nie umie Quicherat zdać sobie sprawy, nie umie wypadków wytłómaczyć w sposób dla ludzi zrozumiały. I tych trzech wypadków atoli przy głębszém rozpatrzeniu nie potrzebowaliśmy uważać za nadnaturalne zjawiska. Zresztą ponieważ Quicheratowi chodzi tylko o skonstatowanie faktów a nie o wytłómaczenie wewnętrznego związku, może on słusznie powiedzieć: niech teologowie, psycholo-

gowie i fizyologowie zajmują się rozwiązaniem zagadek życia. Quicherat więc stanął na pół drogi, a mógł na niéj stanąć, bo nie pisał dziejów Joanny, lecz tylko krytyczne badania nad skonstatowaniem faktów; historyk dziewicy atoli zatrzymać się na tym punkcie nie może i dla tego późniejsze prace a przedewszystkiem niemieckie poszły dalej.

W ostatnich latach najgorliwiej zajmowała się dziejami dziewicy literatura niemiecka; w przeciągu paru lat pojawiło się tutaj aż sześć życiorysów po większéj części wcale znakomitych. Eysell, Pauli, Strass, Hase, Sickel i Scherr są ich autorami. Najobszerniejsza z nich praca pierwszego; najznakomitsza, prawdziwa perła historyczna praca Sickla, słynnego profesora wiedeńskiego, wydawcy pomników graficznych. Obok niej godnie stanąć może życiorys napisany przez Karola Hasego, profesora jenajskiego uniwersytetu, autora licznych wyborowych dzieł. Tak jeden jak drugi nie poprzestają na wykazaniu faktów, lecz starają się wniknąć w rzecz jak najgłębiéj, zbadać wszelkie tajemne sprężyny, wykazać cały związek kauzalny. Pod względem psychologicznéj analityki i historycznéj krytyki atoli praca Sickla przewyższa nietylko wszystkie dzieła współczesnych mu pisarzy, ale nawet w ogóle wszystko, co tylko w tym przedmiocie napisano. Pauli oświadcza z góry, że nie kusi się wcale o to, aby podnieść tajemniczą zasłonę zakrywającą tę cudowną postać, praca jego zatem zajmuje się tylko faktycznym stanem rzeczy a już dla tego stoi niżéj od Sickla. Scherr opiera się głównie na owych dwóch najznakomitszych życiorysach, gdzie niegdzie tylko dorzuca i ze swéj strony trafne spostrzeżenie i zręczne porównanie. Pracy Strassa wreszcie nie znam, zdaniem Scherra atoli nie można jéj porównać z Sicklowskiém arcydziełem. Moglibyśmy w końcu zdać jeszcze sprawę z poetycznych utworów poświęconych dziewicy, a przedewszystkiem z „Henryka VI“ Shakespeara; owéj nikczemnéj, podłéj „dziewicy“ Woltera i znanéj tragedyi wielkiego Schillera. Dla historyka literatury i estetyka wcale to zajmujący temat: porównanie tych trzech utworów, nam chodziło tylko o historyczne prace poświęcone dziejom Joanny, wyrzekamy się więc ocenienia poetycznych utworów; a kończąc na tém nieudolną ręką skreślony obraz, powtarzamy jeszcze raz wyrażone na czele szczere życzenie nasze: oby praca nasza w sercu czytelnika wywołać potrafiła choć jedną iskrę tego świętego ognia, którym gorzało przeczyste serce szlachetnéj dziewicy.

NAD PRZEPAŚCIĄ

przez

Józefa Tretiaka.

I.

Scherzo.

Nie wiem, co się działo ze mną,
Stałem nad przepaścią ciemna,
Ach, jak dziwnie szumią drzewa,
Jak dziwnie szumią nademną!
Las cały śpiewa!

W ciemnościach ziemi ukryta
Przepaść źrenicę wyziera,
Czarną źrenicą mnie wita,
Do serca wzrokiem się wdziera,
O smutki pyta.

I patrzy coraz przyjemniéj;
Wpadł mi szept jakiś najcichszy —
Coraz to straszniéj i ciemniéj —
Czemuż się las ten tak wichrzy?
Co chce odemnie?

W tym szumie, jak w wielką ciszę,
Szept słodki wyraźnie słyszę:
„Mam na dnie, ach tajemnice,
Których słowo nie opisze,
Więc nachyl lice.“

Czerwony zachód na niebie,
Jak głownia na świat rzucona
Migoce krwawo przez drzewa.
A przepaść ciągnie do łona,
Duch mój omdlewa.

„Chodź do mnie, bliżéj. Za tobą
Świat smutny, chłodny i szary,
Żadną nie wabi ozdobą.
Chodź, niebo niema pod sobą
Piękniejszéj pary.

„Nikt nie wié, i nikt nie zgadnie,
Co tam za rozkosz jest na dnie,
Gdy prysną szczęścia podwoje:
Nikt nie wié — ten wié, co padnie
W objęcia moje.“

Już jestem — głowa szalona
Już nad przepaścią się waży;
Już tajemnego jéj łona
Oddechy czuję na twarzy,
Myśl w szale kona.

Wiatr się od śmiéchu zalewa,
Wrzaskiem wtórują mu drzewa,
I ziemia tętni podemną;
Nic mię już więcéj nie gniewa,
Lecę w toń ciemną.

II.

Adagio.

I nie wiem znów, co się stało,
Otwieram oczy — nieśmiało
Patrzę i pytam: gdzie jestem?
Czyje schwyciły mnie ręce?
Czyje trzymają mnie ręce?
Na to mi cichym szelestem
Brzoza w bialutkiéj sukience,
Do ucha mówi: na moje
Siostrzane upadłeś ręce.
Bóg mi róść kazał w szczelinie,
Ludziom w złéj radzić godzinie,
Na straży stoję.

Patrz w górę: na bladém niebie
Wieczorna gwiazdka migota,
Błękitna, różowa, złota,
Migota, wabi do siebie.
Patrz na dół; patrzę i słyszę,
Jak się tam wężów splecione
Gniazdo podnosi, kołysze,
Wydając jęki stłumione.
Więc strach mi w sercu kołata,
Ramiona pełne tęsknoty
Wyciągam w górę do świata,
Do gwiazdki złotéj.

Wyniki badań najnowszych

O MISTRZU WINCENTYM

I JEGO KRONICE.

PRZEZ

AUGUSTA BIELOWSKIEGO.

I. Co wiemy pewnego o jego życiu.

W Kargowie, województwie sandomierskiém nad rzeką Łukawą czyli Opatówką urodził się nasz Wincenty około roku 1160. Była to wioska jego rodziców [1]). Ojciec jego zwał się Bogusław, a było to imie w rodzinie téj tak ulubione, że się przez trzy pokolenia powtarzało. Zamożniejszych rodziców syn, nie dziw że odebrał bardzo staranne, jak na ów wiek wychowanie. Nie wiadomo gdzie pobierał nauki, został tylko ślad, że był mistrzem nauk wyzwolonych [2]), co téż potwierdza cały układ i sposób pisania jego kroniki. Właśnie w XII wieku weszło było w zwyczaj po szkołach znaczniejszych nadawanie stopnia mistrza czyli magistra uczonym. Kiedy więc i sam Wincenty w przywilejach zowie się magister i drudzy mu tę godność przyznają, nie ma przyczyny wątpić, że ona stopień nauką osiągnięty oznacza. Był tedy Wincenty jeźli nie pierwszy, toć jeden z pierwszych naszych rodaków zaszczycony wysoką w owych czasach naukową godnością, a to samo już mogło mu ułatwić wstęp na dwór światłego, nauki i uczonych wielce poważającego księcia Kazimierza. Książę ten, jak wiadomo, był najpierw spadkobiercą Henryka, brata swego, przy którym za jego życia czas dłuższy zostawał; zaś od

[1]) Długosz Liber Beneff. I 396 i 505. II 344. III 383. *Cath. epp.* rękop. bibl. Oss. nr. 620 k. 26. Starowolski *Vita et Mir. Vinc.* str. 39.
[2]) Starowolski tamże str. 48.

roku 1178 całéj Polski monarchą. Wielorakie mamy skazówki ścisłéj zażyłości Wincentego z tym księciem. Odzywa się on dwukrotnie z poufałością do Kazimierza w ciągu opowiadania dziejów (IV 12 i 16); wstąpienie jego na tron i całe panowanie z wielkiém zamiłowaniem opisuje (IV 5—19) a opis ten stanowi część najpiękniejszą jego kroniki. Zgon jego uczcił rodzajem elegii bardzo starannie w guście owego wieku wypracowanéj i włączonéj do tekstu kroniki (IV 20); nie zapomniał téż o umarłym, i dobra swoje Okalinę i Gojców sulejowskim Cystersom zapisując, włożył na nich obowiązek odprawiania wieczyście modłów najpierw za duszę dobrego monarchy swego Kazimierza i żony jego Heleny, następnie za dusze swoich rodziców [1]). Za czasów biskupa Pełki, który od roku 1186 zasiadał na stolicy krakowskiéj, został Wincenty proboszczem kolegiaty sandomirskiéj przy kościele Panny Maryi, a po śmierci tegoż biskupa w roku 1207 przypadłéj, gdy do obioru nowego biskupa przystąpiono, znaczna część kapituły oświadczyła się za Wincentym jako mężem wysokiéj nauki i obiór ten jego zatwierdził Innocenty III papież [2]) przeciw Gedeonowi biskupowi płockiemu, którego druga część kapituły na stolicy krakowskiéj mieć chciała. Wskutek tego wyświęcony został Wincenty w roku 1208 na biskupa przez Henryka arcybiskupa gnieznieńskiego. Dwanaście niespełna lat piastował tę dostojność, odznaczając się nieposzpolitemi tak duchownemi jak i obywatelskiemi cnotami. Za jego biskupstwa, mianowicie w roku 1212 zdarzyło się, że piorun uderzył w kościół katedralny krakowski, a wszczęty ztąd pożar potopił w skarbcu wszystkie kosztowności i ubiory kościelne zniszczył. Miało to zrobić nadzwyczajne wrażenie na osobach duchownych i świeckich, upatrujących widoczny dowód gniewu bożego w tém zdarzeniu. I właśnie około owego czasu nadaje Wincenty kościołowi temu i kapitule bogate dziesięciny z dóbr koło Czchowa położonych. Składały się one, jak objaśnia Długosz, z jedenastu dziesięcin snopowych, a siedmiu pieniężnych, pobiéranych w tyluż osobnych włościach, a służyły częścią na zaopatrzenie kanoników, częścią zaś na potrzeby kościelne, między innemi na utrzymywanie wiecznie gorejącéj lampy w tym kościele. Uposażył téż dziesięć prebend przy kolegiacie kieleckiéj, i był do-

---

[1]) Ego dux Poloniae Lesco praesenti paginae commendari jussi devotionem Sandomiriensis praepositi Magistri Vincentii super praediorum collatione Okalina et Gojczow, *quae* nostro coenobio de Szulejow *pro remedio animarum parentis nostri et matris nostrae dinoscitur.* Helcel O klaszt. Jędrzej. str. 30.

[2]) Obacz bulę jego drukowaną w dziele: „Epistolarum Innocentii III Romani Pontificis lib. XI. Parisiis 1782 Tom II Ep. 40 str. 153.

brodziejem wielkim tak bożogrobców miechowskich, jako téż andrzejowskich Cystersów. Dość liczne wzmianki o nim znachodzą się w nadaniach różnych z tego okresu. W roku 1210 znajdował się na walnym synodzie w Borzykowéj odbytém w miesiącu lipcu. Tam podpisał się raz jako świadek na przywileju Władysława Odonicza dla opactwa przemęckiego dnia 29 tegoż miesiąca wydanym; drugi raz na nadaniu Sławosza dla Norbertanów w Busku, zatwierdzoném na tym synodzie. Tegoż roku kościół w Andrzejowie poświęcając odnowił wszystkie nadania klasztoru andrzejowskiego, zebrawszy je w jeden dokument, w którym dodał jeszcze od siebie klasztorowi temu dziesięciny z trzech wsi. Spomnione téż imie jego w przywileju Radwana, wydanym 11 maja 1212 roku w Krakowie. Nakoniec z własnych jego przywilejów jeden dla kolegiaty kieleckiéj wydany w odnowieniu Grota biskupa znajduje się w kopiarzu kapituły krakowskiéj; drugi zaś w spomnianém już nadaniu Leszka Białego między 1207 — 1218 rokiem przywiedziony wydrukował Zygmunt Antoni Helcel w dziełku: O klasztorze jędrzejowskim. Około roku 1214 towarzyszył Wincenty Salomei córce Leszka Białego poślubionéj Kolomanowi królewicowi węgierskiemu do Halicza i był przytomny odbytéj ich tamże koronacyi [1]). Jako biskup poświęcał też kościół św. Floryana w Krakowie, i starał się dostojeństwa duchowne obsadzać ludźmi godnymi. Z dwóch braci Odrowążów, którzy późniéj świątobliwém życiem wsławili się, wyniósł św. Jacka na kanonię krakowską, a św. Cesława na kustodyę sandomierską. W roku 1218 złożył dobrowolnie dostojność biskupią i wstąpił w Andrzejowie do zakonu Cystersów, któremu dawniéj już świadczył nie mało. Co go do tego spowodowało, o tém milczą współcześni. Późniejsi domyślali się, że powodem do tego kroku było nieukontentowanie duchowieństwa, które szemrało nań za to, iż ulegając potrzebom ówczesnym kraju trapionego nieustannemi wojnami, przyzwalał chętnie na ciężary dotykające włości duchownych [2]). Po upływie lat pięciu umarł w tymże klasztorze dnia 8 marca 1223 i pochowano go w kościele tamtejszym w środku chóru. Przy urzędowém odkryciu jego zwłok w dnia 26 kwietnia 1633 roku rozpoznawano po niezepsutych jeszcze szczątkach, że to był mąż silnéj budowy ciała, wysokiego wzrostu i wyniosłego czoła [3]).

---

[1]) Dług. Hist. VI 605; pomylił się atoli tak w chronologii co do tego zdarzenia, jako i co do okoliczności niektórych.

[2]) Bielski Kron. Pol. II 146.

[3]) *Instrum. Transl. ossium.* u Starowolskiego str. 73 i dalsze.

II. Jego imie.

W XII i XIII wieku nie znano u nas jeszcze imion rodowych, same imiona chrzestne po większéj części wystarczały: wszystkie tedy z owego czasu pomniki nazywają kronikarza naszego tylko imieniem chrzestném, do którego niekiedy godność jego dodają. Do roku 1207 jest on tylko *Vincentius* lub *Vincentius magister*; po owym roku zaś *minister* ecclesiae cracoviensis, *episcopus*. Tak go zwą z owych czasów nadania, w których on bądź jako świadek, bądź jako dawca przywileju wystąpił; tak najstarszy krakowski z połowy XIII wieku kalendarz; tak oba pergaminowe i większa część papierowych kodexów jego kroniki; tak nakoniec wszystkie bez wyjątku, jakie dziś znamy roczniki polskie, aż do wieku XIV. W wieku atoli XV wypłynęło na wierzch nowe jego nazwanie, a to w formie dwojakiéj: Vincentius *Katlubonis* i *Cadlubowicz* Vincentius. Do charakterystyki obu odcieni tego drugiego nazwania nieobojętna będzie zauważyć miejscowość, w któréj się najpierw ukazały. W Toruniu z pomiędzy pism krzyżackich w jeden kodex zebranych wynurzył się Vincentius *Katlubonis*; zaś w Koprzywnicy, siedzibie niegdyś cudzoziemskich Cystersów późniéj rodakami naszymi zastąpionych, ukazał się *Cadlubowicz* Vincentius. Na pierwszy rzut oka widać, że imie to tak w jednéj jak i drugiéj swéj formie nie jest nazwiskiem we właściwém słowa tego znaczeniu, ale tylko imieniem poojcowskiém, urobioném z imienia ojca jego. Mówi za tém tak łacińskie jak i polskie jego zakończenie: jak bowiem w języku polskim zgłoska wicz do imienia Szymon, Józef lub tym podobnych dodana oznacza syna Szymona lub Józefa, tak téż i w języku łacińskim obok chrzestnego imienia dodane inne imię w drugim przypadku, ma takież samo znaczenie. Gdy tedy wiadomo jest, że w łacinie średniowiecznéj imiona takie jak naprzykład polskie Bolesław, Przemysław, lub niemieckie Grimm, Heim kończono zwykle na samogłoskę *o* i według deklinacyi trzeciéj odmieniano: Bolizlavo-nis [1]), Przemislo-nis [2]), Grimo-nis, Heimo-nis, prosty więc nasuwa się wniosek, że tak Vincentius *Katlubonis* jak i *Cadlubowicz* znaczy Wincentego, który był synem Katluba. Czyim zaś synem istotnie był nasz kronikarz, o tém objaśnia nas dokument, którego autentyczność żadnéj dziś wątpliwości nie ulega [3]); w nim powiedziano, że

---

[1]) Pertz SS. III 82, 92 itd.

[2]) Sommersb. SS. II 64 i dalsze.

[3]) *Cath. Epp.* rękop. bibl. Oss. nr. 620, karta 26. Dług. *Liber Beneff.* I 396 i 505. II 344. III 383. Starowolski *Vit. et Mir.* str. 39.

Wincenty urodził się ex patre *Boguslao* et matre Benigna, a daléj, że Wincenty miał brata rodzonego, który się zwał Bogusław i bratanka tegoż imienia. I to także jest pewna, że polskiemu imieniu Bogusław odpowiada w zupełności niemieckie imię *Gottlob*, które w staréj niemczyźnie *Kottlob* pisano i wymawiano [1], podobnie jak i dziś jeszcze *Kott* zamiast *Gott* i *köttlich* zamiast *göttlich* Sasi wymawiają. Wykazuje się tedy fakt, że imie ojca Wincentowego, Bogusława przełożone było na niemieckie imie Gottloba i że je, ze stósowném łaciny średniowiecznéj zakończeniem, jako imie poojcowskie do imienia kronikarza naszego niekiedy dodawano. Tak powstała owa do niedawna niezrozumiała nazwa: Vincentius Katlubonis. Czy ją ukuli w ten sposób cudzoziemscy u nas Cystersi, do których tak lgnął nasz Wincenty, że darował im dobra swoje i w ich zakonie żywot swój zakończył, czy téż kto inny dał jéj początek? to nie da się dziś ściśle oznaczyć i nie wiele téż na tém zależy. Nie zawadzi jednak przypomnieć, że Cystersi w XII wieku z Niemiec, mianowicie z okolic Kolonii przez Mieczysława Starego do Polski sprowadzeni zastrzegli sobie byli wyraźnie wolność przyjmowania samych tylko swoich rodaków do zakonu swojego [2]; że za Wincentego czasów i w andrzejowskim klasztorze Cystersów byli tylko Niemcy i Francuzi, a nasz kronikarz był pierwszym z Polaków, który wstąpił do ich zakonu [3]. Bądź tedy co bądź, jakkolwiekby się miały okoliczności podrzędne, główna rzecz zostaje jasna, mianowicie, że syn Bogusława nazwan został synem Gottloba. Stało się to dość dawno, jak nam staroniemiecka forma w imieniu tém przeglądająca wskazywać się zdaje. Wznawiając tę nazwę w wieku XV kopista toruński zatrzymał ślad niemieckiego jéj pochodzenia, i napisał *Katlubonis* [4]; mylili się i zacierali ten ślad kopiści polscy, z których jeden wypisał tę nazwę *Kalublonis* [5]; drugi wyszukiwał w niéj pierwiastku polskiego, i głoskę *t* na *d* zamieniając, napisał *Kadlubonis* [6]; trzeci nierównie śmieléj postępując zamienił końcówkę łacińską *nis* na polską *wicz* i napisał *Cadlubowicz* [7]) czwarty zatarł nakoniec i tę ska-

---

[1]) Porównaj Graffa *Althochdeutscher Sprachschatz* II 50. Cotleip zamiast Gottlieb.

[2]) Dług. Hist. V 473.

[3]) Starowolski *Vita et Mir. Vinc.* str. 57.

[4]) *Ann. Pol.* u Pertza SS. XIX str. 630.

[5]) Rękop. Petersb. Л. Q. otd. IV, nr. 98, str. 106; w wyd. Pertza SS. XIX str. 631 u dołu między odmiankami pod głoską r.

[6]) Rękop. Petersb. Л. F. otd. IV, nr. 19 str. 57; w wydaniu Pertza XIX str. 631 w odmiankach pod głoską r.

[7]) Rękop. Sandka str. 941.

zówkę polską imienia poojcowskiego, zowiąc go *Vincentius dictus Kadlub* [1]). Długosz zowie go *Vincentius Cadlubkonis*, u późniejszych został on Kadłubkiem, a u Kochanowskiego Kadłubskim [2]).

Jakkolwiek w rzeczy tak dawnej i przez poważnych pisarzów powtarzanéj sam nawet błąd nabiera pewnéj wziętości, nie zdało mi się jednak stosowném zatrzymywać dziś bałamutne imie Kadłubka, gdy tyle dokładniejszych szczegółów o właściwém jego imieniu wykryto. Nazywam tedy autora tego mistrzem Wincentym, bo tak go spółcześni jego nazywali. Godność mistrza nauką uzyskana odznaczyła go dobitnie między uczonymi swojego wieku, otworzyła mu drogę do wysokich dostojeństw duchownych i zjednała mu u narodu wziętość, któréj jako źródło dziejowe wieku XII nigdy mieć nie przestanie. Tą więc godnością do imienia chrzestnego dodaną rozróżnion on będzie dostatecznie jak mniemam i dziś między swoimi imiennikami, nie potrzebując pomocy od tego, co obłędem i nadużyciem urosło.

III. Rękopisma jego kroniki.

Żaden z kronikarzy tych, co przed Długoszem pisali, nie doszedł nas w tak wielu rękopismach jak Wincenty. Świadczy to o wielkiéj niegdyś jego u narodu wziętości i upowszechnieniu jego kroniki. Bez wątpienia znaczna część jej kodeksów, i to najstarszych, zaginęła, a przecież i dziś jeszcze naliczyć ich można trzydzieści i kilka. Wszystkie je oglądałem. Ze względu na ich dawność i większą lub téż mniejszą poprawność tekstu, wreszcie ze względu na powinowactwo ich między sobą można je uporządkować w ten sposób.

I. Kuropatnickiego pergaminowy petersburski. Mały kwartant w dębowe deski i skórę białą z wyciskami oprawny. Pod pierwszą deską imię dawnego właściciela: Kuropatnicki. Darował on go niegdyś Towarzystwu Przyjaciół Nauk warszawskiemu, a z biblioteką tego towarzystwa zabrano go w roku 1832 do Petersburga i w bibliotece publicznéj pod znakiem Л. Q. V. otdielenie IV, nr. 2 umieszczono, gdzie go w roku 1857 rozpatrywałem. Według własnych tedy spostrzeżeń, to co o nim dawniej z opisów cudzych doniosłem, tu prostuję. Zawiera na 110 pergaminowych kartach dwa tylko dzieła nie w jednym czasie i nie jedną ręką pisane, ale zostające z sobą w pewnym związku. Pierwszém z nich jest

[1]) Tenże rękop. str. 17.
[2]) Jan Kochanowski str. 190 wyd. z r. 1611.

kronika Wincentego, drugiém retoryka bezimiennego autora, ze słowniczkiem łacińskim na str. 214 zaczynającym się, którego końca brak. Gdy kronika ta za arcydzieło oratorstwa w Polsce z końca XII i początku XIII wieku uchodziła, nie dziw więc, że ją znachodzim przy retoryce dawnéj zaczynającéj się słowami: *De arte dictaminis breviter et lucide secundum usum modernorum hoc opusculo intendimus perorare.* Ale wiek tych dwóch części rękopismu jest znacznie różny. Kronika ozdobnie i wyraźnie bez przedziałek pisana, 144 stronic świeżo liczbowanych zajmująca, mieści po 26—32 wierszy na jednéj, a zdaje się pochodzić z pierwszéj połowy wieku XIV. Retoryka pisana ręką nierównie wprawniejszą, bardzo ozdobnie, we dwie przedziałki, wskazuje tak pismem swojém, jak i zczernionym mocno zbrukanym pergaminem, że jest o wiek cały, lub przynajmniéj o pół wieku wcześniéjsza, i zapewne długi czas obiegała osobno lub z rękopismem innym, nim ją z tą kopią kroniki Wincentego zszyto.

Prolog czyli wstęp do kroniki był tu bez żadnego nadpisu, dodała go ręka z wieku XVI. Sam tekst zaczyna się słowami: *Quondam in republica virtus, quam* i t. d.; a zaczęcie to należy, jak niżéj obaczym, do jego charakterystyki. Błędów wszelkiego rodzaju jest niemało w tym rękopiśmie. Pisarz był niedbały, w łacinie nie biegły i często nie rozumiał tego co pisał; przerzucał ustępy pojedyncze, przekręcał słowa i imiona niektóre. Przecież gdy porównamy usterki jego z usterkami, jakich się inni kopiści we wszystkich znanych nam dziś kodeksach kroniki Wincentego dopuszczali, należy on jeszcze do najlepszych, a ma niektóre znamiona takiéj dawności, dla któréj wypada go stawić na czele. Nie podzielona jest tu kronika ani na księgi, ani na listy, ani na rozdziały; pisana jednym ciągiem od początku do końca, same nawet imiona osób dyalogu, które pisarz tylko głoskami początkowemi zwykł odznaczać, nie wszędzie są głoskami temi odznaczone. Pismo jest ręki dwojakiéj. Pierwsza pisała aż do rozdziału 17 księgi IV, którego to rozdziału już nie dokończyła, urywając go w przykładzie przytoczonym z biblii; a od samego początku zostawiła gdzieniegdzie okienka próżne na słowa nieodczytane. Pod koniec tedy rozdziału 17 czwartéj księgi widzimy pismo drugiéj ręki, większe nieco i wyraźniejsze, inhaust zaś bledszy zrazu, w dalszym ciągu znowu czarniejszy. Ta druga ręka mało co od pierwszéj późniejsza, może nawet z nią równoczesna zapełniła niektóre okienka próżne wyrazami, a gdzieniegdzie nowe słowa do tekstu dodała na brzegu z innego, jak się zdaje, kodeksu zaczerpnięte. Prócz tych dwóch rąk jest jeszcze tu i owdzie parę dopisków nadbrzeżnych trzeciéj ręki, znacznie, może

nawet o wiek cały późniejszéj. Rozdział 5ty księgi Iéj według podziałów Mułkowskiego, połączył nasz kopista z rozdziałem 7, i po słowach: *perpetuitate damnatus* pisał: *Immo in scopulo olophagi*, a skończywszy ten rozdział, przyczepił dopiero do niego kawałek opuszczony. Z porównania objętości tych przerzuconych ustępów widać, że myłka ta nie mogła powstać z prostego przełożenia kart kopiowanego oryginału, lecz była skutkiem niedbalstwa kopisty, albo też może znajdował się powyższy ustęp dopisany w oryginale na boku lub na jakowymś odcinku, a kopista nie umiał go odnieść w miejsce właściwe. Innego rodzaju myłkę znachodzimy w 25 rozdziale księgi IV. Po słowach *consilium et auxilium* opuścił pisarz 68 wierszy tekstu, i skoczył w środek rozdziału następnego, a przepisawszy z niego tyleż wierszy wrócił do opuszczonego ustępu, wcielił go tu i pisał rzecz dalszą do końca. Zastanowię się nad powodem téj myłki po opisie wszystkich kodeksów, przy szczegółowém rozpoznawaniu tekstu Wincentego, a tu jeszcze tylko nadmienię, że według tego rękopismu tekst jest w niektórych miejscach zwięźlejszy, nie żeby był z obszerniejszego skrócony, lecz przeciwnie, że to co się w innych rękopismach obszerniéj znachodzi, jest późniejszém dawniejszego opowiadania rozrobieniem. Kończy się zresztą ten kodeks słowami wyrzeczonemi o Władysławie Laskonogim: *sese offerebat cunctis affabilitate praestabilem.* „Tako Bóg daj,“ które to słowa polskie dodane świadczą, że kopista był Polak.

Ia. J a n a F a b r a k o d e x p a p i e r o w y w i e d e ń s k i, znajdujący się w bibliotece cesarskiéj publicznéj pod liczbą 3416; podobny jest wielce do powyższego, chociaż znacznie od niego późniejszy. Jest to foliant w deski i skórę brunatną z wyciskami oprawny, pisany starannie pod koniec XV wieku i dobrze zachowany, a zawierający na 290 kartach kilka różnych dzieł. Wincentego dzieło znajduje się tu na kartach 71 — 250 i ma nadpis bladoczerwoną farbą *Cronica Polonorum*, jest zaś, równie jak w rękopiśmie poprzednim, bez komentarza. Tak prolog jak i księga I nie ma osobnego nadpisu, mają go zaś dalsze dwie księgi, mianowicie karta 91: *Incipit liber secundus*; karta 144 *Incipit liber tertius.* Wreszcie na karcie 184 czytamy w wierszu ostatnim: *Sequitur liber quartus.* W końcu zaś *Finis.* Pierwszą księgę kroniki zaczął i tu pisarz od słowa *Quondam*, podobnie jak w kodeksie Kuropatnickiego, ale zaraz po słowie *virtus* dodał *Polonie virorum*, które to słowa w żadnym zgoła kodeksie nie znachodzą się, i zdradzają w kopiście cudzoziemca, co też z niektórych dalszych odmianek kodeksu tego widoczna. Co do istoty podaje on tekst kroniki ten sam, co i kodeks poprzedni, to jest tu i owdzie w tychże samych miejscach zwięźlej-

szy, z takiemiż odmiankami głównemi, jakie są w tamtym; popełnia atoli nierównie więcéj myłek pisarskich przez nieuwagę i wtrąca niektóre słowa dowolnie. Dokładniéj odznacza ustępy dyalogu, imiona rozmawiających w nim osób Jana i Mateusza farbą czerwoną całkowicie wypisując, rozmowę ich atoli aż do rozdziału 5go księgi IV przeciąga; czem wyróżnia się od wszystkich. W księdze IV taż sama myłka w przeskoczeniu z rozdziału 25 w środek 26 rozdziału, którąśmy w kodeksie Kuropatnickiego widzieli, i jednakie ustępu opuszczonego z dalszym rozdziałem powiązanie świadczy dowodnie, że obaj pisarze jeden i ten sam oryginał kopiowali; a różnice jakie w rozdziale 2m téjże księgi między nimi znachodzim, w którymto rozdziale przegląda tekst zupełniejszy u Fabra, stanowią dowód równie widoczny, że kodeks ten nie mógł być z Kuropatnickiego kodeksu odpisywany. Zakończył go pisarz temi co i tamten słowami *affabilitate praestabilem*, atoli bez dodatku „Tako Bóg daj“ który kopistę rodaka znamionuje.

II. Mikołaja kodeks pergaminowy wiedeński. Do niedawna był zgoła nieznany; wykrył go pod koniec roku 1851 zasłużony nasz rodak Alexander hr. Przezdziecki i pierwszy podał o nim wiadomość, a następnie 1862 roku tekst jego drukiem ogłosił. Jest to rękopism bardzo cenny o 232 kartach półarkuszowych, liczbowanych świeżo ołówkiem, w których liczbowaniu karta 67 opuszczona została. Zawiera mnóstwo ważnych dzieł, między innemi Salustego, Arystotelesa, Izydora, a na kartach 187—227 kronikę Wincentego na początku XIV wieku tu wypisaną. Tekst jéj w tym rękopiśmie opatrzony jest wszędzie starannymi nadpisami. Zaraz na wstępie znajdujący się napis cynobrem: *Incipit Prologus super Cronicam Polonor. Vincencij Cracovien. epi.*, nie natrafia się w żadnym innym kodeksie. Sama kronika słowami: *Fuit, fuit quondam in hac republica virtus* tu zaczęta, zachowała w téj duplikacyi całą wierność frazesu wyjętego żywcem z Cycerona (Orat. in Cat. I. 1.), i nie dozwala wątpić, że tak wylał się on z pióra Wincentego. W żadnym innym kodeksie nie znachodzim téj duplikacyi; równie jak nie znachodzim zaraz niżéj po rzeczowniku *rutilantia* dodanego słowa *rutilat*, bez którego całe zdanie kuleje. Już z tych kilku postrzeżeń widać, że Mikołaj miał przed sobą kodeks dobry chociaż, jak to niżéj obaczym, korzystać z niego należycie nie umiał. Charakterystyką kodeksu tego jest że podaje on nam tekst gdzieniegdzie obszerniejszy niż kodeks I; ma nawet niektóre dodatki takie, jakie się w żadnym innym rękopiśmie nie znachodzą. Postawiony więc obok kodeksu pierwszego, zawierającego tekst zwięźlejszy, stanowi jakby drugą ostateczność, podczas kiedy inne kodeksy miejsce pośrednie

między nimi zajmują. Wszystkie atoli uzupełnienia jego i dodatki nie odnoszą się do zdarzeń dziejowych, lecz tylko do krasomostwa i przytoczeń z biblii, a są według wszelkiego prawdopodobieństwa późniéjszym tylko pierwotnego tekstu rozszerzaniem i zaokrąglaniem. Mikołaj nie odznaczał się bynajmniéj większą znajomością łaciny, niż bezimienny pisarz Kuropatnickiego rękopismu; pisał równie bezmyślnie i niedbale, niekiedy gorzéj nawet niż tamten: przekręcał słowa, przerzucał całe ustępy lub je w pośpiechu całkiem opuszczał. Słowa: *sub quo nam conceptam existimabimus nostrarum constitutionum infantiam* (I. 1) przekręcił na; *sub quo nam estimabimus constitutionem infranciam* (k. 187[1]). W przykładzie przytoczonym o królu macedońskim Hippandrze (II 15) przerzucił kilka wierszy tekstu i postawił trzecie pytanie przed drugiém (k. 196[1]). W przykładzie znowu o Scytach (II. 19) kilka wierszy całkiem przez nieuwagę opuścił (k. 198). Zamiast *clementior* (I. 5) pisał *demencior* (k. 188); zamiast *consultissimi* (k. 7) pisał *stultissimi* (k. 188); zamiast *bicorne dilemma* (III 30) pisał *bycorne dyadema* (k. 213); niedawał nakoniec baczności na związek opowiadania zdarzeń, i przełożenia karty jednéj w czwartéj księdze równie jak i pisarz Kuropatnickiego kodeksu nie dostrzegł (k. 226[1]). Gdy jednak obaj ci kopiści niezawiśle od siebie w części jednéj oryginał spólny kopiowali, zdarzało się niekiedy szczęśliwie, że w czém jeden się zmylił w tém drugi był uważniejszy: ztąd też dwa te kodeksy wzajem się tu i owdzie prostując i pojaśniając, przy pomocy zwłaszcza rękopismu wiedeńskiego Fabra, który liczbą Ia oznaczam, mogą przed wszystkimi innymi służyć za podstawę do krytyczniejszego niż dotąd wydania.

III. Działyńskich hr. w Kórniku. Kwartant papierowy w deski dębowe i safian oprawny ma na kompaturze pierwszéj napis frakturą z XV wieku; *Jo. Drobnyno*, zapewne imie dawnego właściciela. Kartka pergaminowa pod deską, służąca za okładkę wierzchnią, zawiera połowę buli papieża Marcina publikowanéj w dyecezyi gnieźnieńskiéj. Początek publikacyi: *Nicolaus presspositus sancti Laurentii in Koszczol ordinis sancti Benedicti.* Druga połowa buli wraz z końcem kroniki wydarta. Ma dziś ten rękopism kart liczbowanych 164, następuje kilka kart wydartych, z których tylko cząstki drobne pozostały. Ostatniéj karty pozostałek zawiéra słowa z rozdziału 17 księgi IV, a większe jego na stronie odwrotnéj zakopcenie świadczy, że tu gdzieś był koniec kodeksu. Pismo jest jednéj ręki: zrazu piękne, staranne, ozdobne, daléj mniéj wyraźne i brzydkie, jakkolwiek z jednego i tegoż samego czasu pochodzić się zdaje. Jest ten kodeks z samego ostatka wieku XIV, dawnością więc swoją obu pergaminowym najbliższy, ale różny od nich tak swojemi odmian-

kami, jako też szczególniej tém że ma już komentarz. Pod znaną komentarza przedmową zaczynającą się od słów *Legenti mihi* wypisany rok *M*[o] *quadring*[o] tą samą ręką okazuje, że komentarz ten jeszcze w wieku XIV był napisany, a tylko rozszerzano go coraz więcéj w czasach późniejszych, jak to widać także z nabrzeżnych na tym kodeksie objaśnień, które już z roku 1455 pochodzą: Tekst podzielon tu jest na księgi i na prozy ale nadpisy tak jednych jak i drugich nie wszędzie dołożono. Imiona osób rozmawiających Jana i Mateusza są na początku dyalogu raz i drugi całkowicie wypisane, w dalszym zaś ciągu nigdzie nawet głoskami początkowemi nie oznaczone. W komentarzyku po brzegach późniejszą ręką pisanym są ciągłe wzmianki o listach, ale sam tekst o nich nic nie wié. Myłek pisarskich jest tu mnóstwo, nieznajomość łaciny wielka; obok tego atoli niektóre ważne i ciekawe odmianki, z których widać że pisarz nie kopiował ani z Kuropatnickiego ani z Mikołaja rękopismu, lecz miał inny jakiś kodeks pod ręką niezależny od obu.

IV. Jana mnicha, krakowski. Między ósmią kodeksami Wincentego kroniki, które się dziś w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego znajdują, zasługuje ten przedewszystkiém na uwagę. Jest to papierowy foliant o 570 stronicach, zawierający więcej dzieł mianowicie: *Lucianus, seu cuiusdam anonymi fratris ordinis fratrum Eremitarum s. Augustini dictionarium* str. 1—252. *Bertoldus Isnacensis* str. 265—308. *Cronica Polonorum Vincentii episcopi Cracoviensis* str. 315—461. Rocznik świętokrzyski na Łysej górze, zaczęty tu na str. 261, a u dołu tejże stronicy urwany, zaś na str. 463 powtórnie zaczęty, ciągnie się bez przerwy aż do str. 481. *Secretum secretorum Aristotelis* str. 481 — 516. *Cantice canticorum* str. 525—548. Na ostatniej stronicy dziełka tego jest napis *Expliciunt Cantice canticorum cum suis expositionibus anno domini MCCCCXXXII temporibus venerandi patris, domini Petri abbatis per fratrem Johannem sue v. p. minimum oratorem.* Jedna ręka aż dotąd pisała ten kodeks, ten tedy rok ściąga się i do kroniki Wincentego. Na ostatnich trzech kartach wpisano tu inną już późniejszą ręką. *Johannis de Lukowo archidiaconis Gneznensis et cancellarii poznaniensis littere ad ecclesiarum rectores in decanatu Gneznensi. Gnezne 22 mensis Julii 1488.* Tekst kroniki w tym rękopismie jest bez komentarza, pisany starannie we dwie przedziałki; zaczyna się pojedynczém *Fuit,* a kończy *affabilitate praestabilem,* po których to słowach dodano: *Explicit Cronica Polonorum, compilata per Vincencium.* Nie ma owego powikłania i przerzucania ustępów pojedynczych jakie w poprzednich rękopismach wytknąłem. Nie podzielon jest ani na księgi, ani na listy, dyalog też nie jest w nim

należycie odznaczony, a tylko przy niektórych ustępach dodano cynobrem: Cam. (capitulum), ale liczby rozdziałów nie dołożono. Ten brak podziału i nadpisów, jak i niektóre odmianki przybliżają go nieco do tekstu w rękopiśmie Kuropatnickiego; inne znowu odmianki podobniejszym go czynią do tekstu Mikołaja. Nie zdaje się jednak iżby był eklektyczną z obydwóch zbieraniną, którą z powikłań rozsądnie sprostowano; podobniejsza nierównie jest, że wzięty był z innego oryginału.

V. Tarnowskich hr. w Dzikowie. Papierowy kwartant o 216 kartach, pisany starannie i dość ozdobnie na początku, jak mniemam, wieku XV, zawiera kronikę podzieloną na księgi; komentarza nie ma żadnego, ale przy dyalogu Jana z Mateuszem, których imiona całkowicie są tu wypisane, dodano w kilku miejscach wyraźnie farbą czerwoną: *Epistola Johannis archiepiscopis Gneznenzis.* Co więc w kodeksie III, nazywano prozami, a w kodeksie IV oddziałami rozróżniano, to przybrało już tu nazwę listów, i takowa pochwycona i przyjęta została przez wszystkich komentatorów późniejszych; nie jest wszakże wolny od błędów i wtrętów. Kończył się pierwotnie jak i w powyższych kodeksach słowami: *affabilitate prestabilem* późniéj jednak dodano tu pismem nieco drobniejszem: *Quo non obstante subito principatu cedere est coactus* (Wladislaus). *Mortuo namque Nicolao castellano, comite cracoviensi, qui iuxta votum suum duces amovebat alios surrogabat, pociores terre cracoviensis sub Fulcone episcopo ipsi domino Wladislao fidelitatis obsequia denegant, et ipsum pro duce suo habere recusant. Et mox pro testione versus Sandomiriam mittunt, ipsum deprecantes ut principatum cracoviensem suscipere non recuset. Qui veniens Cracoviam per universitatem nobilium in cracoviensem principem fuit honorifice susceptus, Wladislao de terra cracoviensi reiecto et penitus profugato. Lestko itaque filius Kazimiri primogenitus Cracovie, Sandomirie, Syradie, Lancicie et Pomeranie dominus et dux efficitur; Conradus vero frater eius iunior totam Mazoviam et Cuyaviam plenissime possedit. Qui terram Culmensem cruciferis dedit, anno MCCXXX.*

VI. Stanisława Augusta petersburski. Papierowy kwartant o 400 liczbowanych stronicach, pisany wyraźnie i dość ozdobnie, bez przedziałek, w wieku XV, jak świadczy na ostatniéj karcie napis następujący: *Explict Cronica per manus Johannis de Cyrequicze, et est finia quarta feria in vigilia sancti Philipi et Jacobi, anno domini millesimo 456.* Na jednej stronicy mieści się od 13—18 wierszów. Był ten kodeks niegdyś w bibliotece Załuskich, i uchodził prez dziwny jakiś obłęd za autograf. Widać dziś jeszcze na karcie jego 3 u góry napis ręką Załuskiego położony *Opus au-*

tographum. Opisał go Janocki w katologu pod liczbą CCLXXVI. Później, jak się zdaje, przeszedł do biblioteki królewskiej, albowiem na skórkowéj jego oprawie czytamy dziś napis złocistemi głoskami: *Stanislaus Agustus Rex Poloniarum saeculorum posteritati vindicat.* Po drugiej zaś stronie wyciśnięty jest herb Poniatowskich. W bibliotece petersburskiej publicznej ma znak: *Л. Q. otd. IV. nr. 2.* Zawiera samą tylko kronikę z małym komentarzykiem. Jest dziś defektowy, brakuje w nim bowiem drugiej z początku kartki, na któréj była znaczna część prologu czyli wstępu Wincentowego, począwszy od słów: *arundines, sed aureas patriae columnas,* aż do: *enitar pro viribus, dummodo.* Przed żalami na śmierć Kazimierza Sprawiedliwego po słowach: *conqueritur hoc modo*, str. 364 biało zostawiona, a następna zaczyna się słowami: *Jucunditas. Non est pudor itd.*

VIa. Załuskiego rękopism. Z wielu względów podobny on jest do poprzedniego, dlatego je jedną liczbą oznaczam, Jest to papierowy kwartant w deski i skórę czarną oprawny. Na grzbiecie ma napis niezbyt dawnéj ręki, ołówkiem: *Kadlubkonis 1795,* a że to sygnatura pierwotna biblioteki Załuskich, okazuje się to z porównania z tymi kroniki Wincentego kodeksami, które Janocki w dziele swojém *Musarum Sarmaticarum specimina* na str. 90 opisuje i sygnatury ich wymienia. Cały kodeks ma kart 368 liczbowanych ołówkiem; pisany jest wyraźnie pismem średniej wielkości, komentarz jednak, który tu jest obszerny, a oddzielon zupełnie od tekstu, pismem drobném, ale czytelném. Nadpisy i głoski początkowe zdobione są różnymi kolorami. Od karty 1—233 idzie tekst główny kroniki: na jednéj stronie mieści się 11—15 wierszy, pierwsza ma ich 14. W księgach początkowych, mianowicie aż do rozdziału 22 księgi drugiéj dzielony jest tekst na listy; dalej nie ma o listach żadnej wzmianki. Tekst w tym rękopismie jest nieszczególny. W dopisku, skreślonym ręką może samego Załuskiego, na karcie 1, czytamy między innemi: *Contuli cum impresso, et nihil amplius hoc in manuscripto invenire licuit.* Koniec komentarza jest taki jak w wydaniu dobromilskiém, tylko po słowie *coronaverunt* dodał tu komentator o Władysławie Warneńczyku: *cuius regnum Deus omnipotens dilatet et prosperum faciet, sibique una cum suis regnicolis gratiam in presenti et gloriam in futuro misericorditer concedet idem Deus benedictus per secula Amen.*

Około połowy wieku XV mistrz Maciéj z Kobylina profesor teologii i dziekan wykładał w akademii krakowskiej kronikę Wincentego. Wykład jego przechował się w trzech egzemplarzach mniej lub więcéj starannie przez uczniów jego pisanych. Z powodu niewielkich różnic tekstu głównego oznaczam je jedną liczbą.

VII. Lwowski, Wiktora hr. Baworowskiego. Kwartant papierowy o 304 kartach, oprawny w deski dębowe skórą białą powleczone, na której widać napis dawny frakturą: *Cronica Nicolai Boleste.* Pisany na papierze mocnym, bardzo starannie, tekst frakturą, kursywą komentarz. Zawiera kronikę podzieloną na księgi, z których każda osobno liczbowana. Nadpisy niektórych ksiąg i inicyałki ustępów głównych wyrabiane ozdobnie kolorami. Rozmowa w trzech pierwszych księgach nazywana jest stale w komentarzu listami, czwarta księga na rozdziały podzielona. Komentarz obszerniejszy jest tu niż w wydaniu dobromilskiém. W trzeciéj księdze stronica główna drugiej karty biało zostawiona: brakuje więc pięciu wierszy ostatnich z listu 1go mianowicie od słów: *lamina scopulis* do końca, tudzież znacznej części komentarza do tego listu. Jedna ręka pisała cały kodeks, kładąc w końcu następujący napis cynobrem: *Explicit Cronica Polonorum per manus cuiusdam Nicolai pauperis de S. anno domini Millesimo quadringentesimo quinquagesimo; pronunciata per reverendum maystrum Mathiam de Cobilino, informatorem meum veredilectum in castro Cracoviensi. Ave Maria.*

VIIa. Księcia Władysława Czartoryskiego. Kwartant papierowy oprawny w deski skórą czarną powleczone i opatrzone guzami mosiężnymi. Pisany jest mniej starannie niż poprzedni. W Puławskiej bibliotece miał znak: *O. 1318.* Liczy zapisanych stronic 712; następują 2 karty białe i pergaminowa okładka z notatkami, z nich okazuje się, że w XV wieku był własnością Andrzeja Przekory z Morawian. Zawiera kronikę Wincentego z komentarzem od str. 3—620, podzieloną na księgi i na listy. Kończy się komentarz tak jak w dobromilskiém wydaniu, tylko po słowie *coronarunt* dodano o Warneńczyku: *cuius regnum Deus omnipotens dilatet et prosperum faciat, sibique una cum suis regnicolis gratiam in presenti et gloriam in futuro misericorditer concedat, idem Deus in secula seculorum. Amen.* Tu troche większemi głoskami te słowa: *Expliciunt gesta Polonorum sive Cronica et reportata post reverendum magistrum Mathiam de Cobilino in castro Cracoviensi. Et est finita feria tertia ante festum s. Stanislai in autumpno anno domini 1450.* Od str. 621—711 poemat aleksandrynami pisany, którego początek: *Linga (sic) paterna sonat, quod ei sapientia donat;* a koniec: *tormentum erit recti limitis.* Na str. 712 *De conflictu Polonorum cum Pruthenis: Anno milleno quadringentesimo deno* itd. wierszy 12.

VIIb. Petersburski. Kwartant papierowy w publicznej bibliotece pod znakiem Л. *Q. otd. I. nr. 91* umieszczony. Zawiera Miscellanea z różnych autorów duchownych i świeckich przez kapłana polskiego w XV wieku wypisywane, mianowicie: wyimki z Izydora;

Biblię wierszem; bajki Aviana; kazania itp. Między temi na kartach 98—279 wyłącznie kronikę Wincentego. Pisana tu ona wyraźnie. Początkowe głoski cynobrem zdobione. Jest bez komentarza; podzielona na księgi i listy. W końcu po słowach: *affabilitate prestabilem,* dodano: *Expliciunt gesta Polonorum sive Cronica reportata per... reverendum magistrum... de Cobilino etc.*

VIII. Pawła. Papierowy kwartant o 309 kartach oprawny w deski pokryte czarną skórą z wyciskami. Zawiera kronikę z komentarzem obszerniejszym niż w wydaniu dobromilskiém. Pismo średniéj wielkości niezbyt staranne; ozdób jest mało. Na karcie pierwszéj jest napis dawny cynobrem: *Secuntur Cronice originales polonicales Vincenciane.* Daléj atramentem: *In nomine domini nostri Christi in quo movemur, vivimus et sumus.* W pierwszej a częścią i w drugiej księdze odznaczony jest każdy niemal list Mateusza i Jana liczbą porządkową i osobnym nadpisem kolorowym; w dalszym ciągu to ustaje. Tekst w tym kodeksie należy do poprawniejszych. Są tu przy wielu miejscach wskazane przez komentatora i glosatora źródła, z których Wincenty wyjmował zdania niektóre dosłownie, lub takowe naśladował. Na karcie 45 znajduje się napis cynobrem: *Explicit primus liber Vincenciane per manus Pauli.* Jedna ręka pisała cały kodeks.

IX. Lubiński. Ogromny foliant różne kroniki i rocznik obejmujący a dziś w petersburskiej publicznéj bibliotece pod znakiem *Л. F. otd. IV. nr. 19.* umieszczony, ma kronikę Wincentego z komentarzem na str. 69—355. Pismo jest średniéj wielkości, wyraźne, zdobione tu i owdzie farbami. Komentarz cały prawie prócz przedmowy *Legenti mihi*, mieści się po brzegach lub karteczkach, przylepionych w różnych miejscach, a uderza w nim to, iż jest bardzo pomazany, tak że zdawaćby się mogło, jakoby był do tego dopiero kodeksu na prędce dorabiany. Kronika podzielona tu na księgi, a listy w trzech pierwszych księgach tylko gdzieniegdzie po brzegach są odznaczane. Pisany był cały ten kodeks w Lubińsku miasteczku województwa brzesko-kujawskiego, w tamtejszym benedyktyńskim klasztorze, w drugiej połowie wieku XV.

X. Mistrza Jana Dąbrówki. Znajduje się w Warszawie, w bibliotece ordynackiej hr. Zamojskich, gdzie go w roku 1848 oglądałem. Jest to papierowy kwartant o 422 liczbowanych stronicach, oprawny w deski safianem powleczone i opatrzone mosiężnemi guzami. Na grzbiecie ma napis dość dawny: *Gesta illustrium principum ac regum Poloniae.* Sama tylko kronika z komentarzem zajmuje cały rękopism. W końcu I księgi na str. 76 jest napis: *Explicit primus liber Chronicarum anno domini MCCCCXXXV.* Tekst

kroniki nie zaleca się bynajmniéj poprawnością. Komentarz kończy się słowami o Warneńczyku: *cuius regnum Deus omnipotens dilatet et prosperum faciet etc.* a następuje dodatek cynobrem: *Finitus est anno domini MCCCCXXXVI, in vigilia vigilie sancti Mathee apostoli. Collecta per reverendum magistrum Johannem de Dąbrowka etc. Annus iubileus fuit Rome 1450.*

XI. Sebastyana Petrycego. Znajduje się w Krakowie w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego pod liczbą 731. Jest to papierowy kwartant w XV wieku, pisany o 542 liczbowanych stronicach. Zawiera kronikę samą z komentarzem takim, jaki jest w wydaniu dobromilskiém. Pismo jest jednej ręki. Uszkodzony jest znacznie ten rekopism: kronika urywa się tu na słowach Kazimierza Sprawiedliwego z IV księgi, rozdziału 11: *nullum illi ius co(mpetit);* reszta wydarta. Wydarto także kilka kart ze środka w różnych miejscach. Przygody tego kodeksu wyjaśnia następujący napis przed samym tekstem kroniki położony. *Hasce Vincentii Kadlubci reliquias ex naufragio lacerantum Sendomiriae ereptas D. Sebastianus Petricius medicus bibliothecae Academiae Cracoviensis anno Domini 1602 febr. 27 obtulit.*

XII. W téjże bibliotece pod liczbą 732 jest kwartant papierowy oprawny w deski skórą pokryte. Ma stronic liczbowanych 743. Kronika Wincentego z komentarzem pisana tu jedną ręką tylko do str. 383; odtąd aż do końca pismo innéj ręki, nie późniéjsza jednak nad piérwszą połowę wieku XV. W księdze IV pod koniec rozdziału 22, cztery wiersze od słów *ne arundineo* aż do *non discrepant* opuszczone, a wtrącone do rozdziału 23 po słowach: *fata sequuntur.* Inicyałki w tym rękopiśmie suto są zdobione różnemi farbami. Na str. 263 jest nadpis *Incipit liber tercius;* zaś nad księgą IV dodano oraz imie Wincentego, jako wyłącznego jej autora: *Quartus liber editus per Vincencium Kadlubonis dictum.* Listy w trzech pierwszych księgach a rozdziały w księdze IV odznaczone są cynobrem. Po dwóch białych kartach jest na str. 725 *Registrum super Cronicam* i zajmuje kart 8. Po nim na dwóch kartach ostatnich jest wiadomość: *Qualiter primo Cruciferi de domo Teotunica, qui alio nomine hospitalarii seu Marie Jerosolimitane, terram Culmensem possidere inceperint.* Wiadomość ta urywa się na królowéj Jadwidze.

XIII. Tamże pod liczbą następną 733 znajduje się kwartant papierowy z tegoż czasu co i poprzedni. Oprawny w deski skórą białą pokryte, ma stronic liczbowanych 611. Cały pisany jest jedną ręką; zawiera kronikę Wincentego z komentarzem. Na okładce pergaminowéj jest wić Władysława Warneńczyka. Przypiśnik o tym

królu mówiąc tak kończy: *Quem reverendus archiepiscopus gneznensis Albertus Jastrzambecz etc. in ecclesia Cracoviensi coronavit; cuius regnum Deus omnipotens dilatet et prosperum faciet, sibique una cum suis regnicolis graciam in presenti et gloriam in futoro misericorditer concedet. Idem Deus per secula (bene)dictus. Amen. Sequitur...* Na tem słowie urwane pismo, a następuje 38 kart próżnych.

XIV. Mikołaja z Latowicza. Znajduje się także w téj saméj bibliotece, co i poprzednie, pod liczbą 734, a jest z wieku XV. Oprawny w deski czarną skórą pokryte, liczy kart 788 w czwartce. Zawiera kronikę z komentarzem i glosami, ale komentarz doprowadzony jest w tym kodeksie tylko do rozdziału 15go księgi IV; dalsze rozdziały nie mają komentarza. W końcu, na str. 781 jest napis: *Explicit Cronica Lechitica Vincenciana per manus Nicolai de Lathowycz scripta, terminataque eo anno, quo festum Adalberti beati cecidit magna feria sexta ante carnisprivium 1451.*

XV. Mikołaja Kotwicza. Kwartant w deski safianem powleczone oprawny, liczy 665 stronic, a jest w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego pod liczbą 735. Zawiera więcej dzieł, a między niemi od str. 402 kronikę Wincentego, bez komentarza. Glosy drobne nad tekstem znajdują się tylko w księdze I, i na dwóch kartach księgi drugiej. Listy w trzech pierwszych księgach, a rozdziały w czwartej odznaczone są cynobrem; nie uścigniono ich atoli odznaczyć na dwóch kartach ostatnich. Na drugiej nieliczbowanéj karcie z początku jest podpis dawnego właściciela kodeksu: *Nicolaus Cotvycz*; w końcu zaś kroniki napis: *Et sic est finis huius operis anno 1471 feria Sabato ante Letare, hora vicesima ante completorium* itd.

XVI. Andrzeja z drugiej połowy XV wieku, kwartant papierowy pod liczbą 358 w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego umieszczony. Zawiera najpierw genealogią książąt i królów polskich (str. 1—5) kończącą się na królowej Jadwidze; a od str. 7—661 kronikę Wincentego z komentarzem. Ma niektóre ważne odmianki W końcu księgi II na str. 297 jest napis: *Explicit secundus liber Cronice Vincenciane regrossatus ac si totus per Andream de P. in Opatow tunc morantem anno domini millesimo quadringentesimo quinquagesimo nono, finitus tempore quadrigesimali die tercia ante beate Marie virginis annunciacionem.* Na str. 742 urywa się komentarz a po słowie *Amen* położono rok 1457. Dalej na tejże i następnej stronicy wiadomość o mistrzu Wincentym. W końcu zaś *Disciplina scolarum.*

XVII. Pod liczbą 736 biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego jest kwartant papierowy z XV wieku, oprawny w deski skórą pokryte. Zawiera kronikę Wincentego z komentarzem. W końcu kroniki samej po słowach: *affabilitate prestabilem* dodano tu jeszcze tą samą ręką:

etiam dona largissime effundendo. Quo non obstante subito principatu Cracoviensi cedere est coactus (Władysław Laskonogi). Dalej, na karcie 232 stronicy odwrotnej: *Secuntur gesta Polonorum, que incipiunt ubi predicta dicta terminantur, et primo, qualiter Lestko albus efficitur Cracovie perpetuus possessor.* Jest to osobne i tylko tu znajdujące się dopełnienie dziejów polskich, zaczerpnięte z kroniki Paska a nawet z późniejszych jeszcze, ile się zdaje, kompilacyj, które ma w takiemże samem następstwie i kodeks Lubiński.

XVIII. Jana z Szadka. Foliant papierowy o 204 kartach w pierwszej połowie XV wieku pisany a znajdujący się w bibliotece kapitulnéj krakowskiej. Oprawiony w deski skórą pokryte. Należał niegdyś ten rękopism do biblioteki klasztoru ś. Ducha w Krakowie, jak to widać z napisów na kartach 1 i 67[1]. Zawiera kronikę z komentarzem obszerniejszym niż jest w wydaniu dobromilskiém. W końcu na karcie 204 są te słowa: *Et sic est finis huius Cronice anno domini 1440 sexto.* Uszkodzony jest ten rękopism w dwóch miejscach wydarciem kilku kart. W końcu księgi II dopisano: *Expliciunt dicta primi et secundi libri Cronice reportate* (dotąd farbą niebieską a dalej cynobrem) *per reverendum maystrum Johannem de Schadek per manus Johannis de magna Polonia finita* itd.

XIX. Jana Odelfa z drugiej połowy XV wieku w tejże katedralnej bibliotece, co i poprzedni. Jest to papierowy kwartant o 290 nieliczbowanych kartach. Oprawny w deski skórą pokryte. Kodeks ten pochodzi z ksiąg, które bibliotece kapitulnej dostały się spadkiem po Janie Latoszyńskim niegdyś kanoniku krakowskim. Zawiera najpierw listy i inne drobne pisma Eneja Sylwiusa, w końcu których dodano: *Et sic est finis huius operis sub anno domini MCCCCLXXIII Sabbato ante Oculi hora 17 post vesperas.* Następuje kronika Wincentego z bardzo króciuchnym komentarzem po brzegach, bez owej komentatora przedmowy: *Legenti mihi*, lecz poczynająca się słowami: *Circa inicium hujus libri quedam generalia.* W końcu IV księgi jest napis: *Expliciunt Cronice de gestis illustrium principum ac regum Polonie reportate per reverendum Johannem Odelph protunc rectorem scole collegiate ad beatam virginem Sand. per me N. de Bu. ipso die translacionis s. Stanislai anno domini 1471 etc.* Dalej następuje poemacik *Alanus minor*, na ostatniej karcie zaś wiersz na zwycięztwo pod Grunwaldem.

XX. Wiktora hr. Baworowskiego. Znajduje się w bibliotece tegoż we Lwowie i ma liczbę 385. Jest to kwartancik papierowy o 209 liczbowanych stronicach, dość późny, bo dopiero w XVI wieku pisany, ale niepospolitej wartości. Zawiera samą kronikę bez komentarza. Nadpis jej fraktura na pierwszej karcie: *In-*

cipit Chronica Cadlubonis. W IV księgi po słowach: *affabilitate praestabilem* dodano tą samą ręką: *etiam dona largiter effundendo, quo non obstante subito principatu Cracoviensi cedere est coactus*, podobnie jak to ma kodeks XVII. Tekst kroniki w tym rękopiśmie, jakkolwiek bez myłek nie jest, należy jednak do poprawniejszych, ma odmianki niektóre sobie tylko właściwe, a w wielu innych zgodny jest z kodeksem II. W rozdziale 20 księgi II, gdzie mowa jest o ś. Stanisławie (Mułk. wyd. str. 71, wiersz 19) opuszczono 20 wierszy tekstu. Dopisano je atoli później pismem drobném na boku i u dołu.

XXI. Józefa Muczkowskiego. Foliant papierowy o 133 kartach, który w roku 1847 w Krakowie oglądałem. Zawiera kronikę bez komentarza i bez glos; tylko do Prologu Wincentowego dołączony jest wykład obszerniejszy niż ten, który znajduje się w wydaniu dobromilskiém. Kronika podzielona tu jest na księgi. O listach niema tu wzmianki, lecz dyalog w trzech pierwszych księgach rozróżniony jest całkowicie wypisanemi imionami Matheus i Joannes. Pismo jest z wieku XV.

XXII. Jana z Szabic. Kwartant papierowy razem z poprzednim u Józefa Muczkowskiego, podówczas bibliotekarza uniwersytetu Jagiellońskiego, przezemnie oglądany. Kronika jest w nim po większej części bez komentarza, tylko przy prologu i pięciu pierwszych listach (bo na listy jest podzielona) dołączon obszerniejszy komentarz. W dalszym ciągu widać tylko glosy nad wierszami. Po karcie 24 powtórzon tu jest przez jakąś myłkę prolog i cztery pierwsze listy księgi pierwszej. Karta 171 uszkodzona jest u dołu i brakuje trzech wierszów. W końcu kroniki na karcie 187[1] jest napis cynobrem: *Explicit liber Cronicarum de gestis Polonorum reportatus per Johannem de Schabycze moram trahens Cracovye in scola s. Anne, presidente protunc Baccalaureo proprio nomine nuncupatus Dominicus, et per eundem liber pretactus pronunciatus, et est finitus in vigilia Petri et Pauli apostolorum anno domini millesimo quadringentesmo quinquagesimo quinto.* Następują dalej w tym rękopiśmie Owidego: *Liber epistolarum reportatus per quendam Johannem de S.; pronunciatus per magistrum reverendum Martinum de Slupcza;* tudzież *Remediorum amoris liber.* Przy listach Owidego dołożony rok 1456, a cały kodeks zakończony wierszami: *Incipit iste Cato qui dat bona docmata nato* itd.

XXIII. Wrocławski, znajdujący się w bibliotece Rhedigerowskiej przy kościele ś. Elżbiety. Jest papierowy, formatu małego półarkusza lub wielkiej ćwiartki. Kronika Wincentego z komentarzem zajmuje w tym kodeksie pierwsze miejsce a ma 206 str.

liczbowanych, pisana cała jedną ręką, pięknemi, dość dużemi głoskami we dwie przedziałki. W piśmie są liczne skrócenia; nad tekstem głównym glosy później, inną ręką dodawane. Nadpis kroniki taki: *Incipiunt gesta serenissimorum illustriumque principum ac regum regni Polonie edita per insignem virum Vincencium epm. crac. rhetorem mirificum anno do MCCCCXL primo.* Po téj kronice następują w tym kodeksie jeszcze kroniki Boguchwała, Godysława Paska i Jana z Czarnkowa.

XXIV. Macieja z Pełczyna. Kwartant papierowy obecnie w bibliotece księcia Władysława Czartoryskiego znajdujący się, a w Puławach niegdyś sygnaturą O. 1315 oznaczony, ma 762 stronic, na których objęto wiele cennych pism. Na pierwszem miejscu (str. 1—237) jest dzieło Wincentego, mające nadpis dawny cynobrem: *Cronica Vincenciana d'regno Polonorum.* I w końcu też (str. 238) powiedziano: *finitur Vincenciana cronica.* Jest tu ona bez komentarza, króciuchne objaśnienia dodane zostały późniéj drobnem pismem po brzegach. Główny tekst jéj jest nie jedną ręką i nie w jednym czasie pisany. Wyrażony w końcu kroniki (str. 237) liczbą rok 1449 a na dólnym brzegu stronicy poprzedniéj głoskami wypisany, i powtórzony w końcu księgi Bundyna (str. 466) wskazuje dobitnie czas pierwszego kopisty. Ale w środku kroniki była luka ogromna. Brakowało końca listu 19, księgi drugiéj i kilkunastu początkowych listów trzeciéj księgi. Tę lukę wypełniła późniéjsza ręka od str. 60—122 włącznie i po słowach: *ideo caninum campestre locus ille nuncupatur* dodała częścią pismem téj saméj wielkości, częścią zaś drobniejszém: *etc. et est finis XIX epistole scilicet feria secunda in vigilia sancti Mathei apostoli ante dominicam Oculi 1472.* Po czém większa część téj stronicy i cała karta następna (str. 123—124) próżno zostawione, ale tekstu nic nie brakuje. Na str. 160 u dołu czytamy imię dawnego właściciela tego kodeksu, który też największą część jego sam pisał: *Liber Mathie de Pełczino... datus pro monasterio Calvi montis i t. d.* Z drobnych zapisków na ostatniéj karcie pergaminowéj, która kodeksowi temu za okładzinę służy, dowiadujemy się że ten Maciej w roku 1454 za opata Michała z Kleparza złożył ślub zakonny w klasztorze benedyktyńskim na Łyséj górze.

XXV. Jakuba. Bardzo porządnie pisany kwartant w pierwszej połowie wieku XV; znajduje się w téjże co i poprzedni bibliotece księcia Władysława Czartoryskiego. W Puławskich zbiorach dano mu znak: O. 1317. Oprawny w skórę brunatną i tekturki, liczy kart 293 ręką Gołębiowskiego liczbowanych. Karta pierwsza i ostatnia są pergaminowe, na których widać zeskrobany dawny dokument. W miejscu jego czyta się dziś na pierwszej: *Epitaphium*

Zawisij nigri i takowe przeciąga się na drugą papierową kartę. Bezpośrednio pod nagrobkiem tym początek z Mierzwy kroniki. Na odwrotnéj stronie téj kartki wypisana frakturą wiadomość o Wincentym ta sama która się w kodeksie XVI znajduje. Wydrukowałem ją we Wstępie krytycznym na str. 141; tu wszakże jest ona mniéj oszpecona błędami. Wincentego kronika z komentarzem na księgi i listy podzielona ciągnie się tu od str. 3—281[1]. Lelewel w swoich poszukiwaniach nad Wincentym kładł ten kodeks na pierwszem miejscu.

XXVI. Teofila z Bogusławic Foliant o 514 liczbowanych a 2 nieliczbowanych stronicach, w deski i skórę czarną, wybijaną oprawny a starannie i dość ozdobnie frakturą w głównym tekscie pisany, znajduje się w tejże bibliotece co i poprzedni. Zawiera najpierw (str. 1—499) Wincentego kronikę z komentarzem obszernym, na księgi i listy podzieloną. W końcu komentarza (str. 495) napis nieco późniejszéj, ile się zdaje, ręki, opiewa: *Explicit Cronica Vincenciana de gestis regni Polonie et successibus eiusdem et est finita feria tercia infra octavas nativitatis virginis Marie, anno domini 1481, pronunciata per discretum Theophilum de Boguslawycze, protunc rectorem scolarum in llublin.* Jest to jeden z lepszych rękopismów, ma niektóre dość ważne odmianki i wiadomości. Prócz Wincentego kroniki jest w nim jeszcze *Tibinus seu Philinus de regimine puerorum* (str. 500—502); *Isidorus de institucione bone vite* z polskiem tłumaczeniem niektórych słów (str. 503—509); nakoniec przywilej Bodzanty biskupa datowany w Krakowie 14 stycznia 1369 roku.

XXVII. W tejże księcia Władysława Czartoryskiego bibliotece jest foliant papierowy o 180 liczbowanych kartach, pisany 1460 r. Znak jego w zbiorach Puławskich był: O. 1312. Zawiera kronikę Wincentego z komentarzem obszernym, podzieloną na księgi i listy. Ma znaczne uszkodzenia. Wydarty jest w księdze I koniec listu 4go od wyrazów: *ubi nulla est* z komentarzem do tego listu i cały list 5ty. Daléj znowu wydarty jest koniec księgi tejże, mianowicie list 19ty i początkowe dwa listy księgi drugiéj, aż do słów: *initiatur successio* listu 3go. Po kronice znajduje się w tym kodeksie: *Herrici Sbignei de Gora tractatus* (karta 168—178); zaś na karcie 178[1] tak zwany *Numerus regum Polonie,* od Krakusa aż do Kazimierza Jagiellończyka.

XXVIII. Bartłomieja Sosnkowskiego. Znajduje się w tejże co i poprzedni bibliotece. W Puławskich zbiorach miał znak O. 1316. Jest to kwartant papierowy o 277 kartach, pisany roku 1467. Zawiera kronikę z komentarzem na księgi i listy podzieloną. Pismo i ozdoby w tym kodeksie niezgrabne, błędów mnóstwo, przydać się jednak mogą niektóre jego odmianki. Na karcie 16[1] do li-

stu 3go księgi I komentarz ledwie zaczęty, a większa część stronicy biało zostawiona: zdaje się więc że przepisywany był z exemplarza defektowego.

XXIX. Stanisława Zielińskiego. Jest to już przerobienie kroniki Wincentego. Uskutecznił je w wieku XVI Stanisław Zieliński mąż stanu rycerskiego. Dał on jéj formę traktatów polityczno-moralnych i rozdzielił na cztery części razem 824 stronic półarkuszowych obejmujące, a poświęcił Janowi Zamojskiemu dnia 12 lutego 1597 roku. Autograf ten jego wraz z biblioteką Załuskiego do Petersburga zabrany, znajduje się obecnie tamże w bibliotece publicznéj pod znakiem *Л. F. otd. II. 13. Philos. III.* $^{20}/_{z}$ Tekst Wincentego został tu tak zmieniony dowolnymi Zielińskiego dodatkami, że z niego żadnego prawie użytku odnieść niemożna.

XXX. Biblioteki Ossolińskich, foliant pod liczbą inwentarską 165 ma na kartach 127—130 pod napisem *Cronica Polonorum* wyimki z dzieła Wincentego, we dwie przedziałki pisane w wieku XV. Ograniczają się atoli one na wyborze pięknych zdań i sposobów mówienia.

Z obejrzenia wszystkich tych rękopismów okazuje się, że nietylko autografu kroniki Wincentego nie mamy, ale nawet i spółczesnego jéj odpisu. Dwa z nich które są najstarsze, pergaminowe, sięgają dopiero początkowych lat wieku XIV; trzeci, papierowy, pisan był w samym końcu owegoż wieku. Dwa znowu lub trzy są z wieku XVI, a wszystkie inne kopiowane były w wieku XV. Żaden z nich nie odznacza się taką poprawnością iżby służyć mógł za wyłączną podstawę dobrego wydania, wszystkie bowiem są kopiami z kopij, które już późniejsza od Wincentego ręka tu i owdzie według swego rozumienia pozmieniała. Jakkolwiek kodeksy I i II zasługują na największe uwzględnienie, to wszelako nie wystarcza, i częstokroć podają późniejsze z XV wieku kodeksy do odbudowania tekstu Wincentego lepsze skazówki.

IV. Kiedy pisał Wincenty?

O czasie w którym Wincenty pisał swoją kronikę, różne, po części sprzeczne z sobą podano nam wiadomości. Kiedy wiele szczegółów przemawia za tem, że największą część dzieła swego napisał jeszcze w wieku XII; tymczasem według Długosza (Hist. VI. 629) pisał on je jako biskup (1207—1218); zaś według podania Cystersów, mianowicie Wisch'a *(Bibl. cist. str. 300)* i Seguin'a *(Viri ill. ord. cist. III. 9.)* już nawet jako zakonnik (1218—1223). Aby to

pytanie należycie rozwiązać, oprzeć się wypada głównie na tem, co w kronice saméj czytamy. W prologu do trzech pierwszych ksiąg swojéj kroniki powiada autor wyraźnie, że otrzymał rozkaz do pisania od swego monarchy, a charakteryzując rodzaj swej pracy w tych trzech księgach, mówi że ma czyścić żelazo ze rdzy, a od złota żużel wydzielać *(Prol. 4).* Imienia monarchy który mu to rozkazał nie znachodzim dziś wyraźnie położonego w znanych nam rękopismach [1]), mógł nim być tylko albo Kazimierz Sprawiedliwy, albo syn jego Leszek Biały. Gdy atoli w księdze IV odzywa się autor raz i drugi wprost do Kazimierza: *Vides igitur Casimire!* (rozd. 12); *Non vides eminentissimam Casimire numinis praesentiam?* (rozd. 16), więc zawiązać ztąd można ze wszelką słusznością, że monarchą tym był Kazimierz. Wskazują też na to i inne okoliczności. W tym bowiem prologu nazywa autor monarchę tego co mu dawał rozkaz do pisania, najdzielniejszym z książąt: *strenuissimus principum.* Wiadomo że Kazimierz był istotnie najdzielniejszym z synów Krzywoustego. Autor w ciągu opowiadania swego zowie go ciągle *strennus, intrepidus, fortis* (IV. 5. 14). Przeciwnie Leszka nie nazwał autor ani raz *strennus* w całéj swojéj kronice; bo też książę ten odznaczał się pewną łagodnością i słodyczą charakteru, a w ciągu całego panowania swego okazał się raczéj słabym niż dzielnym. We wstępie znowu do księgi IV, powiedziawszy autor o sobie jak się z zadania swego wywiązał, mianowicie że *universas convivii pensiones fidelissime compendio cautionis annotabat*, tak mówi daléj o swoim rozkazodawcy: *cuius supputatione solertius dispecta praeses epulantium ait: Esto deinceps unicus ac singularis huius reipublicae rationalis.* I tem wyrażeniem wskazał on na Kazimierza znanego ze swego zamiłowania w biesiadach i rozmowach z uczonymi, które to zamiłowanie sam autor tak opisuje: *Conviviorum celebritates non declinat, sed celeberimos ac prodigos crebrius instaurat apparatus* IV. 5). A dajej w tymże ustępie mówi o nim: *Scitis, quo pacto stipatur (Casimirus) inter literatissimorum lateribus altrinsecus; cum his nunc sanctorum patrum exempla, nunc virorum gesta illustrium vicaria relatione retractat.* Aby zaś syn Kazimierza, Leszek, miał czy to w ucztach, czy w rozmowach z uczonymi

[1]) W kodksie III czytamy w prologu na karcie 4_1 w wierszu 6, te słowa: Intellexit enim *ei nimirū* strenuissimus principum i t.d. Jest wielkie podobieństwo, że słowa, *ei nimirū* powstały ze źle odczytanego skrócenia *cī mirus*, którem to skróceniem imię *Casimirus* było napisane. Inaczej bowiem oba te słowa byłyby zbyteczne i niedawały żadnego sensu. Późniejsi słowa te jako niemające sensu opuścili. Tym sposobem uronione być mogło z tekstu imię Kazimierza w tem miejscu.

takie zamiłowanie, o tem nikt zgoła nie powiada. Można więc poniekąd uważać za rzecz pewną, że Wincenty pisał kronikę swoją z rozkazu Kazimierza i za jego życia. Inne atoli nasuwa się tu pytanie: czy ją wygotował całą od razu, lub też częściami, i w jakich to czynił przestankach? Nad tem chcę się tu zastanowić.

V. Luki i przerwy w jego kronice.

Objął Wincenty w swojéj kronice nietylko czyny Kazimierza ale i czyny niektóre Leszka Białego. Gdy już wiemy, że od Kazimierza otrzymał polecenie pisania i do niego jeszcze w czwartéj księdze dwukrotnie się odzywa, oczywista więc że nie od razu wykonał całe dzieło, jak je dziś mamy przed sobą, lecz jakąś część późniéj dorabiał. Do oddzielenia téj późniéj dorabianéj części mamy w główniejszych rękopisach pewne skazówki.

Zwróciłem już wyżéj na to uwagę, że kodeks I ma w księdze IV osobliwsze tekstu zwikłanie. Po słowach, *consilium et auxilium* rozdziału 25 skoczył pisarz do słów z rozdziału 26 *ab amicis deseritur* opuściwszy 68 wierszy. Po napisaniu zaś tyluż wierszy z tekstu dalszego, wrócił do opuszczonego wstępu i najniezgrabniéj go z resztą księgi powiązał. Nie trudno jest odgadnąć co mogło być przyczyną tego zwikłania. Naprowadza na to jednaka ilość wierszy w poprzerzucanych ustępach. Pisarz miał, jak widać, przed sobą kodeks, z którego kartki wylatywały. Nie dając więc baczności na związek opowiadania przepisał najpierw kartkę dalszą a potem poprzednią i tem rzecz całą powikłał. Skaza ta sama w sobie ledwieby na uwagę zasługiwała; ale nabiera ona znaczenia ztąd, że się powtarza w innych kodeksach, i mimowolnie naprowadza na ślad ich rodowodu. Ma ją bowiem i kodeks II, pisany przez Mikołaja, i ma ją także Ia, to jest kodeks Fabra wiedeński. Żaden z tych trzech kodeksów, jak to z ich odmianek widzieć można, nie jest kopią drugiego, lecz pisane były niezawiśle ze spólnego jakiegoś oryginału. Co do tego więc punktu stanowią one razem jedną grupę, jedną że tak powiem rodzinę. Na największą atoli uwagę zasługuje okoliczność ta, że spólność ich nie rozciąga się bynajmniéj do całej kroniki, ani nawet do całéj księgi IVtej; ale tylko do jednéj, mianowicie do ostatniéj jéj cząstki, a wyjaśnienie różnic, jakie między nimi, zwłaszcza między pierwszym a drugim pergaminowym kodeksem zachodzą, prowadzi do ciekawych wyników.

Porównywając wiersz za wierszem te rękopisma, widzimy, że tekst w trzech pierwszych księgach i w części księgi czwartéj, jak nam go kodeksy te podają, przedstawia różnice tak znaczne, że mo-

żna je uważać za dwie różne redakcye, z których starsza przegląda z kodeksu I, to jest Kuropatnickiego a poniekąd i z Fabra Ia kodexu; nowsza zaś z poprawkami i dodatkami jakby ostatniej już ręki, znachodzi się w II pergaminowym, czyli kodeksie Mikołaja. Nie wypływa ztąd, iżby jedna lub druga z nich, jak je dziś w owych kodeksach znachodzim, wolna była od wtrętów. Mogły im uledz w ciągu wieków i zapewne uległy obie w niektórych ustępach z tychże samych powodów; w innych atoli ustępach mianowicie tych, które dla podrabiaczy były obojętne swą treścią, pozostały ślady wcześniejszegó i późniejszego czyli ostatniego ich opracowania. Oto są główniejsze ich różnice.

Ma kodex II wszędzie staranne napisy, które przynajmniéj w części jednéj niewątpliwie od samego Wincentego pochodzą. Czytamy więc w nim: *Incipt P r o l o g u s super Cronicam Polonorum* (k. 187). *Incipit l i b e r s e c u n d u s tractans de origine regum et principum Polonie, qui sunt usque hodie* (k. 192). *Incipit l i b e r t e r c i u s* (k. 205). *Incipit l i b e r q u a r t u s* (k. 214). Żadnego z tych nadpisów niema w kodeksie I czyli w pergaminowym Kuropatnickiego. Bezimienny więc kodeksu tego pisarz miał przed sobą jakowyś oryginał niewykończony, w którym tytuliki wszelkie dopiero przez ornamencistę dorabiane być miały. Nie znalazłszy on ich w swoim oryginale, spisał sam tekst, ztąd też kronika cała u niego nie podzielona jest zgoła na księgi, a imiona osób rozmawiających: Jana i Mateusza, są w niektórych ustępach nawet głoską początkową nie oznaczone. Indukcyę do dyalogu zaczął Mikołaj (II) słowami: *Fuit, fuit quondam in hac republica virtus, quam i t. d.* Bezimiennik Kuropatnickiego (I) zaczął ją: *Quondam in hac republica virtus, quam i t. d.;* a gdy słów tych żadnym czasownikiem niezwiązał, zdaje się więc, że i na słowa: *fuit, fuit,* rozpoczynające samą kronikę, zostawione było w owym originale miejsce próżne dla wpisania ich przez ornamencistę frakturą. Poradził sobie na ten brak związku bezimienny pisarz Fabra kodeksu (Ia) nie trzymając się ściśle swego oryginału. Napisał on: *Quondam f u i t in hac republica virtus P o l o n i e v i r o r u m,* a te dwa ostatnie słowa z całą dowolnością dodane nie dozwalają wątpić, że i *fuit,* po słowie *Quondam,* jest dodatkiem tegoż kopisty. W kodeksie I dołożył je dopiero w wieku XV glosator nie po *Quondam*, ale nad słowem *virtus* drobnem pismem.

Tyle, co do zewnętrznych, mniejszéj wagi różnic: zajrzyjmy teraz w wewnętrzne, odnoszące się do tekstu samego. Mowa Graka (I. 5.) jest w kodeksie I króciuchna, podobnie jak ją widzim u Mierzwy: jest to niejako sam skielet mowy; przeciwnie w kodeksie II przystrojona już ona szumnymi oratorskimi frazesami. Mógłby kto

mniemać, że ją skrócił sam bezimiennik Kuropatnickiego; gdy jednakże znachodzim ją taką samą i w Ia, to jest w Fabra kodeksie, który, jak już nadmieniłem, pisan był niezawiśle od poprzedniego, wniosek więc słuszny, że tak pierwotnie opiewała ta mowa u Wincentego, i że ją tenże później dopiero krasomowczo przystroił. Dodatki też niektóre całkowitych zdań i przykładów prozą lub rymem, jak te: „*Et in Thobia ego sum Raphael de septem spiritibus, id est, de universitate angelorum* (II. 9.)“ „*Praeter duo, animum et tempus, quorum possessione natura nobis delegavit* (II. 11.).“ i t. d., a które to dodatki ani w Kuropatnickiego ani w Fabra kodeksie nie znachodzą się, uważać wypada za późniejsze pierwotnego tekstu rozszerzania i zaokrąglania. Tego rodzaju dodatki i odmianki, któremi się kodeks II od I dość charakterystycznie wyróżnia, urywają się nagle w rozdziale 17 księgi czwartej; odtąd zaś następuje w obu kodeksach tekst zgodny nawet w swoich myłkach główniejszych. A gdy właśnie w tymże rozdziale 17 księgi IV postrzegamy pismo innej już ręki w kodeksie I, zdaje się więc być rzeczą niewątpliwą, że pisarz pierwszy tego kodeksu miał przed sobą rękopim, który trzy początkowe kięgi całe, czwartą zaś tylko do rozdziału 17 doprowadzoną obejmował. To zaś, co w tymże I kodeksie druga ręka dopisała, wzięte było zkądinąd, mianowicie z owego rękopismu, co to miał wylatujące i przerzucone kartki, a obejmował późniejszą redakcyę tej kroniki. Był więc ów drugi, nieznany dziś rękopism od początku kroniki aż do 17 rozdziału księgi IV źródłem wyłącznem samego Mikołaja, to jest kodeksu II; zaś od rozdziału owego IV księgi, aż do końca kroniki był on źródłem spólném wszystkich trzech kodeksów, to jest kodeksu I, Ia i II.

Że kronika Wincentego kończyła się pierwotnie w rozdziale 17m księgi czwartéj, mamy widoczny ślad tego w kodeksie III, który jest po dwóch pergaminowych kodeksach najstarszy. Ma ten kodeks mocną, spółczesną jak się zdaje, oprawę w deski dębowe, safianem powleczone. Koniec jego jest uszkodzony: wydarto tam kilka kart, tak jednak, że kawałki ich zapisane przechowały się pod deską ostatnią. Na oddzierku tedy ostatniej kartki, która mocniejszém swojem okopceniem świadczy, że koniec rękopismu stanowiła, dają się rozpoznać następujące słowa z księgi IV rozdziału 17go *Victoriosus rex Epirotarum Pyrrhus victis Romanis* i t. d. (Obacz wyd. Mułk. str. 203 wiersz 18 i dalsze). Okoliczność tu wykryta wyjaśnia nam, jak mógł powstać ów wtręt rażący, który się we wszystkie znane dziś całkowite téj kroniki kodeksy pod sam koniec rozdziału 17 księgi IV wcisnął, a opiewa tak: *Vidit enim Vincentius, qui scripsit haec, et scimus quia verum est testimonium eius.* Oto kopista da-

wny widząc, że tu się kronika kończyła, dodał imię autora, a zarazem jego pochwałę słowami wyjętemi z ewangelii świętego Jana (XXI. 24).

Uderzy też każdego, dającego baczność pilną na rozwój logiczny myśli autora, znaczna w tem co następuje różnica. Zaraz po owym wtręcie czytamy dwa dość krótkie ułamki, nie klejące się należycie tak z poprzedniém jak i dalszém opowiadaniem. W pierwszym z nich powtórzono innemi nieco słowami i z pewną przesadą to, co autor wyżéj o jedną kartkę skromniéj powiedział, mianowicie o pośrednictwie arcybiskupa Piotra między zwycięzcą Kazimierzem a zwyciężonymi rokoszanami i przyczepiono wiersze zawierające pochwałę tegoż arcybiskupa, jeszcze, ile się zdaje, za życia jego, a więc przed rokiem 1192 napisaną. Drugi ułamek odnosi się do obrony Mikołaja wojewody, o kilka kart wyżéj, w rozdziale 16m zawartéj, i do zasług jego. Oba te ułamki, jeźli nie są całkiem obcéj ręki, toć przynajmniej z jakowychś urywkowych Wincentego zapisków tu przyczepione. Dopiero po tych dwóch ułamkach następuje potoczne Wincentego opowiadanie, a pierwsze tego opowiadania słowa: *Compos itaque regni (Casimirus)* wiążą się bezpośrednio z tem, co w rozdziale 17, przed wtrętem *Vidit enim Vincentius,* sam autor opowiedział, to jest, ze zwycięztwem odniesioném nad rokoszanami. Już wydawca warszawski Wincentego zwrócił był trafnie uwagę na te ułamki. Mułkowski w swojém wydaniu wyrzucił wprawdzie wtręt, atoli ułamek pierwszy złączył z rozdziałem 17; drugi zaś ułamek podał jako osobny rozdział 18ty.

Rozpatrzywszy te znamiona, łatwo jest powziąść dokładniejsze wyobrażenie o tém, kiedy i w jakich oddziałach kronika Wincentego powstawała. Dawne jéj rękopisma urywały się w IV księdze, pod koniec rozdziału 17go. W 16 też rozdziale odezwał się Wincenty po raz ostatni do Kazimierza, a chociaż w dalszym, mianowicie w 19 rozdziale równie świetną wyprawę jego i zwycięztwo nad Jadźwingami odniesione opisał, już tam jednak odezwania się do niego nieznachodzim. Pisał więc autor kronikę swoją aż do owego 17 rozdziału czwartej księgi jeszcze za życia Kazimierza, mianowicie przed rokiem 1194, a gdy w owym dopisku, który obca ręka w końcu tego rozdziału o autorze wtrąciła, powiedziano tylko *Vincentius scripsit haec*, bez dołożenia biskupiej jego godności, godzi się wnosić, że puszczona była w obieg rychło po wykończeniu tego oddziału między rokiem 1194—1206, nim jeszcze został biskupem. To co po rozdziale 18 księgi IV w kronice tej następuje, pisane było już po śmierci Kazimierza. Upoważnia do wniosku tego nie tyle brak odezwania się do niego przez autora, jak raczej skazówka wyraźna, zawarta w tych

jego słowach: *Fuit autem semper illi (Casimiro) solenne sanctorum venerari sollemnia* (IV 19). W ten bowiem sposób mówi się tylko o człowieku, który zawód swój doczesny już skończył. Naostatek zamknął Wincenty dzieło swoje opisem wstąpienia na tron Władysława Laskonogiego. O ustąpieniu z tronu tegoż Władysława, które w roku 1207 przypadło, nie znachodzim wzmianki żadnéj nietylko w najstarszych rękopismach, ale i w późniejszych nawet, z wyjątkiem dwóch, mianowicie XVII i XX; widać więc że i ten oddział pracy Wincentego dokonany był przez niego około roku 1206 nim jeszcze został biskupem krakowskim, i nim Władysław z tronu ustąpił. Tak więc napomknienie Długosza, jakoby pisał Wincenty, gdy był biskupem, jak i napomknienia Cystersów Wisch'a i Seguin'a, jakoby pisał on zakonnikiem już będąc, nie mają podstawy istotnéj w głównym tekscie kroniki, i mogły się tylko opierać na intytulacyach późniejszych lub dodatkach kopistów.

VI. Źródła i erudycya Wincentego.

Nie łatwo jest wykazać źródła, z których czerpał Wincenty, sam on bowiem albo je całkiem zamilcza, albo nadmienia o nich ogólnikowo tylko i w przenośniach, które odgadywać trzeba z mniejszém lub większém prawdopodobieństwem. Pewna atoli, że nie mało miał ksiąg pod ręką, słynął bowiem z uczoności w swoim wieku, a piszącemu dzieje z rozkazu swego monarchy, stały téż pewne otworem ku temu środki monarsze. Kiedy powiada że *veras patrum effigies de ebore antiquissimo iubemur excidere;* nie można wątpić, że miał źródła najdawniejsze dziejów ojczystych pod ręką. Wyśledzić je wszystkie dziś niepodobna, spomnę tu więc tylko o niektórych. Była już przed nim owa kroniczka Mierzwy, któréj tekst popsuty podał nam rocznikarz franciszkański krakowski, z dobranemi przez siebie zkądinąd uzupełnieniami. Wincenty znał ją, ile się zdaje, w kształcie pierwotnym, tu i owdzie co do wywodu naszych pierwiastków narodu obfitszym; mógł nawet mieć i owo źródło: *Descriptio suorum annalium*, na które się Mierzwa powołał. Była już wtedy i kronika Gala dobrze w Polsce znajoma, po szkołach równie jak i po dworach książąt rozczytywana, z niéj więc czerpał Wincenty wiadomości o Bolesławach naszych, o Władysławie Hermanie [1]) i innych. Ale rzecz samą z kroniki Gala zabierając, zacierał zupełnie jego koloryt i jego szczegółowe niektóre opisy ogólni-

[1]) II 12. 22. III 18 itd.

kami krasomowczymi oddawał. Były nakoniec już przed Wincentym urywkowe spominki czyli komemoracye pojedynczych zdarzeń, były legendy i roczniki: z tamtych korzystał on swoim sposobem, samą tylko treść z nich wyciągając; z roczników atoli ledwie mu co do kroniki przydać się mogło, gdy zadaniem jego głównem było nauczające opowiadanie, nie chronologia.

Obfitszy nierównie zasób wykazać możem jego erudycyi z obcych pisarzów zaczerpniętéj. W dziejach postronnych i literaturze był Wincenty nadzwyczaj oczytany. Chociaż oprócz jednego Troga i oprócz ubocznych, nawiasowych wzmianek Cycerona (Tulliusa), Dyogenesa i Demostena żadnego z klasyków imiennie nie nazwał, nietrudno jednak przekonać się, że nietylko zwroty pojedyncze i zdania, ale ustępy całe bądź z rzymskich klasyków i z prawa rzymskiego, bądź z ojców kościelnych i pisarzów średniowiecznych zabiera i wplata dosłownie w swoje opowiadania, lub też robi do nich aluzye. Zna tedy z pisarzów rzymskich Justyna [1]), skróciciela 44 ksiąg Pompeja Troga historyi, ale prócz tego skrócenia zna on jeszcze z historyi starożytnéj takie ustępy, które się ani w Justynie, ani w żadnym ze znanych nam dziś pisarzów nie znachodzą, a które jak mamy powód mniemać, wypłynęły pierwotnie z ksiąg Troga: on to bowiem w wielkiém dziele swojém rozwodził się szczególnie nad zamierzchłymi narodów pierwiastkami. Średniowieczny ustrój tak ustępów tych, które z dziejów starożytnych sam Wincenty przytoczył [2]), jak i owych, które z wyraźném na Troga wskazaniem u Marcina Bielskiego w Kronice Świata i w Kronice Polskiéj, nakoniec w rękopismach polskich znachodzim, uprawnia do wniosku, że w XII wieku i późniéj były jeszcze jakieś z Troga wypisy, od Justynowych różne, i z nich w Polsce korzystano [3]). Z historyków rzymskich znał nasz Wincenty jeszcze Sallustego [4]) i podobno Florusa [5]). Daleko większy zastęp klasyków dostarczał mu zdań moralnych i krasomowczych ozdób. Pierwsze miejsce zajmuje między nimi wymieniony przez niego Tullius Cycero [6]) z swoimi dyalogami i mowami; po nim filozof Seneka [7]), którego Wincenty zna tak pisma prawdzi-

---

[1]) II 19, 20, 22 itd.

[2]) I 2. II 15 itd.

[3]) Odmienne zdanie o tém obacz w rozprawie Alfreda Gutschmida: *Über die Fragmente des Pompeius Trogus.* Leipzig 1857.

[4]) II 28; III 20.

[5]) IV 23.

[6]) I 1, 4, 5, 14; II 12, 22, 24; IV 1, 5, 9, 14, 25.

[7]) Prol. 4; I 2, 9, 19; II 1, 3, 4, 5, 11, 12, 18, 25, 28, 31; III 5, 13, 20, 25; IV 21.

we, jak i mylnie pod jego imie podsunione; zna Boëtiusa [1]) i zna pośrednio czy bezpośrednio Warrona i Publilius'a syryjskiego [2]). Z poetów rzymskich Wirgilego [3]), Eneidę i Georgica; zna Horacego [4]); zna Owidego [5]) ledwie nie wszystkie dzieła; zna Terencego [6]), Juwenala [7]), Persyusza [8]), Klaudyana [9]), Lukana Farsalię [10]), i Tebaidę Statiusa [11]). Zna kodeks Justyniana i prawo kanoniczne [12]); biblii przytacza ledwie nie wszystkie księgi, a z ojców kościelnych zna częścią pośrednio, częścią bezpośrednio dzieła Augustyna [13]), Ambrożego [14]), Hieronima [15]) i Izydora [16]). Zna téż Syxta II papieża zdania moralne przełożone przez Rufina [17]). Nakoniec z pisarzów XI wieku zdaje się znać dzieło Widona biskupa ferarskiego: *De scismate Hildebrandi*. Prócz pisarzów łacińskich ma téż i greckiéj literatury znajomość. Nawijają mu się zdania z Chryzostoma i spore ustępy z Pseudo-Kalistenesa historyi z bajkami pomieszanéj. Wszystko to jak i przytoczenia paraboli Demostenesa i przykład o chlubném Filipa macedońskiego kalectwie z dziełka przypisywanego Plutarchowi wyjęty, i wzmianki o Lykofroncie, Tersycie, Tiresiasu, mogło być i było zapewne przynajmniéj w części z pism łacińskich, nie z greckich oryginałów zaczerpnięte, ale mnogie grecyzmy, którymi Wincenty z upodobaniem łacinę swoją przeplata, zdają się wskazywać widocznie, że mu znajomość języka greckiego obcą nie była. Wreszcie przytoczone w oryginale słowa, które pacholę francuzkie

---

1) I 19; IV 2, 5.
2) Prol. 4; II 17.
3) Aen. I 7; II 28. III 10; Georg. I 19.
4) II 14, 17, 18; III 4, 26; IV 22.
5) I 14; II 14, 22; III 20, 23; IV 15, 16.
6) I 13; IV 1.
7) Prol. 1; I 18; II 5.
8) II 22, 28, 29.
9) II 15.
10) I 5; III 26; IV 23.
11) IV 23.
12) I 5; II 7, 8, 10 itd.
13) II 6; III 20.
14) II 3, 9; III 4; IV 5, 26.
15) II 13.
16) III 3.
17) II 4; IV 25. Że autorem dziełka Enchiridion jest Syxt II papież, a nie Xyst filozof pitagorejski za Augusta Oktawiana żyjący, jak to w wiekach średnich twierdzono (Vitae Philosophorum rękop. str. 17), i jak niektórzy do niedawna utrzymywali, okazał to w czasach najnowszych Ott w swojéj rozprawie drukowanéj w Kotweil przy Programatach szkolnych 1861—1864.

powtarzało swemu królowi (I. 16), poświadczają że miał niejaką znajomość i języka francuskiego.

VII. Czy źródłem jego mógł być Mateusz?

Skąpy w napomknienia o poprzednikach swoich Wincenty, którego źródła dziejów i erudycyi z mozołem tylko wyśledzamy, podniósł wszakże jedną mniéj znaną osobistość, wskazując ją jakoby główne i wyłączne źródło tych dziejów, które w pierwszych trzech księgach rozpowiada. Osobistością tą jest Mateusz, opowiadający u niego całkowity wątek dziejowy na żądanie Jana, który słuchając go, dorzuca od czasu do czasu moralne i teologiczne uwagi do jego opowiadania. Że ten Jan jest arcybiskup gnieznieński, to nadmienia wyraźnie sam autor w dalszym tekscie (III 10); Mateusz zaś jest to biskup krakowski, spółczesny Janowi i zostający z nim w blizkich stosunkach. Byłoby dla nas nadzwyczaj ważne to Wincentego wskazanie, ale sposób w jaki to uczynił jest tego rodzaju, że podaje w wątpliwość istotę jego twierdzenia. Wiemy już, że Wincenty znał Cycerona dyalogi. W wiekach średnich było rzeczą dość zwyczajną ich naśladowanie. Na lat 30 przed Wincentym scholastyk bamberski Herbord, pisząc żywot św. Ottona, użył do tego formy dyalogowéj; Wincenty zastosował ją do kroniki. Zawiązując tedy dyalog, mówi w swojéj indukcyi: *Memini siquidem collocutionis mutuae virorum illustrium, quorum tanto fidelior est recordatio, quanto celebrior viget auctoritas. Disputabat namque Johannes et Mathaeus, ambo grandaevi, ambo sententiis graves de huius reipublicae origine, progressu et consummatione.* To wyznanie Wincentego można sobie dwojako tłumaczyć: albo jest to proste zmyślenie, które autorowi sam wzgląd artyzmu podyktował, i nie ma żadnego innego znaczenia; albo téż Wincenty wskazał tu na istotne źródło dawniejsze, a tę swoją wskazówkę zlekka tylko po artystowsku okrasił. Ważne powody przytoczyć można tak za jedném jak i drugiém twierdzeniem, i zdania téż uczonych w téj mierze są podzielone. Za pierwszém przemawia głównie to, że skoro Wincenty postanowił opowiadać dzieje dawniejsze w formie dyalogu, musiał się więc zastosować do wzorów tego rodzaju, i przed rozpoczęciem użyć pewnéj fikcyi, jakiéj tak Cycero, jak i późniejsi naśladowcy jego używali. Gdy tedy powyższe naszego Wincentego słowa nie są niepodobne do owéj indukcyi Cycerona, w któréj tenże powiada: *Unius aetatis clarissimorum ac sapientissimorum nostrae civitatis virorum disputatio repetenda memoria est, quae*

mihi tibique quondam adolescentulo est a P. Rufo exposita, można ztąd wnosić, że i u Wincentego jest to także fikcya.

Z drugiéj znowu strony nie można tego spuszczać z uwagi, co jest charakterystyczne u Wincentego, że w dziele jego zwykle z pod obrazowości i figur zdarzenia rzeczywiste przeglądają. Aby się o tém przekonać, dość rozpatrzyć się w prologu i w przedmowie do księgi czwartéj, gdzie w ciągłych obrazach i przenośniach zawarty jest aż do najdrobniejszych szczegółów rzeczywisty autora stosunek do Kazimierza; dość wskazać na 30 rozdział księgi II, gdzie pod lekką, jakby od niechcenia rzuconą aluzyą do Tiresiasa wykrywa się niepośledni, od innych naszych kronikarzy zamilczany fakt rzeczywisty: oślepienie Zbigniewa. To uwzględniwszy, nie wyda się niepodobieństwem drugie z powyższych twierdzeń, mianowicie, że Wincenty wskazał tu w gruncie na źródło swoje istotne, a cała fikcya jego ogranicza się na tém, że to co było napisane i trzema lub cztérema dziesiątkami lat przedzielone od jego czasu, on jakoby słyszaną przez siebie rozmowę czytelnikom swoim podaje. Był to wreszcie sposób praktykowany w wiekach średnich: tak bezimienny żywociarz św. Ottona, spółczesny naszemu Wincentemu, — mając pod ręką Herborda dyalog, w którym tenże wprowadził jako osoby rozmawiające: Tiemona i Sefryda co byli towarzyszami Otona w wyprawach pomorskich, — nie powiada że wypisuje Herborda dyalog, lecz daje czytelnikowi do zrozumienia, jakoby Tiemon i Sefryd jemu samemu to opowiadali: *probatissimi viri, qui ab ipso (Ottone) gesta oculis suis viderunt nobis fideliter enarraverunt* (Pertz SS. XII, 737). Za tém ostatniem zdaniem, mianowicie za autorstwem Mateusza oświadczył się stanowczo Lelewel i Ossoliński: rozważmyż ślady wszystkie tego autorstwa.

Pisarz kodeksu III podaje powyższe Wincentego wyznanie tak: *Memini collocutionis mutuae virorum membranulis*. Czy to ostatnie słowo znalazł w tekscie dawniejszym, czy sam je dorzucił? nie wiadomo. My go dziś nie znachodzim w żadnym innym kodeksie, i do niego téż nie przywięzujem szczególnéj wagi. Ale godne jest zastanowienia, co w tymże samym kodeksie w przedmowie bezimiennego komentatora roku 1400 pisanéj czytamy. Miał on, jak widać, wiele kodeksów kroniki téj pod ręką i powiada: *Titulus autem, sicuti aliquoties in principio hujus Cronicae reperi, ponitur iste: Chronica de gestis principum Poloniae, quam lector sciat esse editam a Matthaeo, quondam Cracoviensi episcopo, in quo per modum dialogi in colloquendo cum Joanne archiepiscopo gneznensi tres libros ediderunt, quartum autem addidit Vincentius Cracoviensis episcopus* (Rękop. III k. 1[1]). A o parę wierszy daléj mówi: *dicitur in titulo a*

Matthaeo, et ibi tangitur auctor hujus libri. Tak z tych ostatnich słów, jak i z powyższych *editam a Matthaeo* widać, że niżéj położone słowo *ediderunt* jest tylko niezgrabnością pisarską: powstało ono jedynie brakiem ścisłości w wyrażaniu się komentatora, a całe autorstwo tego dyalogu, według słów owego pierwszego tytułu, który on w kodeksach znachodził, przyznane było samemu Mateuszowi. Daléj podaje tenże komentator drugi tytuł na niektórych kodeksach znachodzony, i ten mu się więcéj podoba, mówi bowiem: *Secundum vero alios, et videtur verius, ponitur iste titulus: Chronica de gestis illustrium principum et regum Poloniae per Joannem gneznensem archiepiscopum et Matthaeum cracoviensem episcopum per modum dialogi edita* (Rękop. III. k. 1[1]). Dla czego zaś przeniósł on drugi tytuł nad pierwszy, przyczynę tego zaraz obaczym. Mówi on bowiem już sam do siebie: *Reputo ego inter cetera verius, quod autores praesentis totalis operis fuerunt tres insignes viri: Joannes archiepiscopus, Matthaeus et Vincentius cracovienses episcopi: primi duo quoad primo libros tres in edendo; Vincentius vero quoad formam in redigendo; ipse vero solus Vincentius quoad quartum librum in componendo. Ea enim gesta, que ipsi retroactis in suis scripserunt temporibus, Vincentius in hanc formam posuit, et proemium praemisit, motus instantia ac votis Casimiri* (Rękop. III k. 2).

Łatwo tu osądzić, który z dwóch tytułów na dawnych kodeksach przez komentatora tego znachodzonych zasługuje na większą uwagę. Trafiało się to w owych czasach dość często, że forma dyalogu była przyczyną nieporozumień; prostoduszny czytelnik brał imie wprowadzonéj do dyalogu osoby za imie autora i jemu dzieło to przypisywał. W tym obłędzie był tak autor drugiego tytułu jak i sam komentator. Ale różni się od nich autor pierwszego tytułu: chociaż bowiem Jan Arcybiskup gnieznieński przed Mateuszem jest w tekscie Wincentego wymienion, nie przyznał on jednak autorstwa Janowi, lecz tylko Mateuszowi samemu; musiał więc bliższe jakieś mieć o tém wskazówki.

W mnóstwie kodeksów, które dziś znamy, na żadnym nie znajduje się tytuł powyższy; to samo już dozwala wnosić, że owe kodeksy, na których komentator w XIV jeszcze wieku żyjący tytuły owe wyczytywał, stare być musiały. Powtarzali powyższą o autorstwie Mateuszowém wiadomość wszyscy komentatorowie późniejsi, nawet czas, w którym tenże pisać przestał podając. *Desinit scribere tempore Boleslai Crispi* mówi o Mateuszu pisarz kodeksu XXVI na str. 514. Potępił tę wiadomość na początku wieku XVIII Dawid Braun. Bystry i surowy ten krytyk oparł się na naganie biskupa tego przez Długosza, do któréj dodał od siebie uwagę, że nie zdaje

mu się, iżby z Janem Arcybiskupem mógł zostawać Mateusz w bliższych stosunkach. Ściślejsze wszakże badania zdania jego nie potwierdziły; owszem im więcéj wykrywamy szczegółów z życia Mateusza, tém autorstwo jego prawdopodobniejsze się staje. Dziś nie ulega wątpliwości, że prałatowi temu ani cnót pewnych, ani nauki i zdolności pisarskiéj nie brakło. Już w pierwszych latach wieku XII rozczytywano u nas po szkołach i po dworach książęcych kroniki ojczyste. Miał sposobność poznać je dobrze Mateusz jako scholastyk stobnicki, zostający w bliższych stosunkach z Władysławem księciem, najstarszym synem Krzywoustego. Z woli tegoż księcia, którego w potrzebie jakiéjś pieniędzmi zaratował, wszedł na biskupstwo krakowskie, przeciw życzeniom, a nawet z oburzeniem na się duchowieństwa. Jeździł do Rzymu i tam brał swoje poświęcenie. Jako biskup zaopatrywał ubogie parafie swéj dyecezyi dochodami z swego biskupstwa i przyczynił się do założenia klasztoru w Miechowie. Zostawał w ścisłéj przyjaźni ze sławnym swojego czasu Piotrem Włostowicem mnóstwa kościołów w Polsce założycielem, w którego też domu na Szlązku wraz z Janem, wrocławskim podówczas biskupem a krewnym blizkim Piotra, niejednokrotnie ucztował. Był Jan jednym z najgorętszych wielbicieli św. Bernarda, klarewalskiego podówczas opata; Mateusz opata tego swojém i Piotra pomienionego imieniem zapraszał usilnie do Polski. List jego zapraszający z aktów watykańskich wydobyty świadczy o niepospolitéj jego wprawie pisarskiéj i wysokiéj nauce. Wszystko to jak widzim owemu o autorstwie Mateuszowém mniemaniu nie tylko nie sprzeciwia się, ale owszem podnosi jego prawdopodobieństwo. Nie zmniejszy się ono jeżeli wejrzymy uważniéj w sam tekst kroniki. Wskażę tu tylko na parę jéj ustępów. Kiedy naprzykład autor, Aleksandra biskupa niegdyś płockiego wysoko pochwaliwszy, zwraca się do spółczesnych sobie prałatów i z sarkazmem o nich wykrzykuje: *nostri ecce gigantes! gemunt sub aquis et qui habitant sub eis* (III 8) nie można się zawahać w osądzeniu, do kogo jest ten sarkazm podobniejszy, czy do Wincentego tyle lubionego od duchowieństwa, że go samo z Sandomierza na stolicę biskupią w Krakowie powoływało; czy też do Mateusza, którego Władysław książę przeciw duchowieństwa życzeniom na tęż stolicę posadził?

Z nagan które Mateuszowi wytykają, uderza nadewszystko upodobanie w przepychu i w ucztach. To też właśnie mógł być jeden z bodźców, co go i do Władysława księcia i do tak znakomitego pana jakim był Piotr, zbliżył i w ściślejsze wwiódł z nimi stosunki. Pochwalił nie skąpo Mateusz Piotra w liście do św. Bernarda, mówiąc: *vir utique circa Dei cultum et ecclesiam religionemque devo-*

tissimus; ten też rodzaj pochwały najwięcéj mógł przemówić za nim do opata świątobliwego Bernarda. W Wincentego kronice, głównie dla świeckich osób pisanéj, podniesiona jest w pochwałach inna strona Piotra, a podniesiona także na stopę najwyższą. Czytamy tam o nim: *alti sanguinis princeps et principi dignitate proximus, vir magnanimitatis generosae, tam strenuus manu, quam pectore industrius ille famae celebrimae Petrus Wlostides* (III. 20). Po opisaniu dokładném jak Piotr Wołodara przemyskiego księcia zchwytał, a w którém to opisaniu nietylko mowa jego miana w senacie, ale i przestroga jaką dał poufnym swoim, z którymi puszczał się na tę wyprawę, przytoczona, zamyka autor rzecz o Piotrze, porównaniem go z Zopiryonem, wodzem Daryusowym w ten sposób: *in Zopyro simulatio fallaciae, in Petro simulatio erat cautelae: at illa prohibetur, ista permittitur. Illa enim de dolo malo nata, ista de dolo bono profecta, quas crebro audis admitti. Quum enim justus bellum susceperit, utrum aperte pugnet, an ex insidiis, nihil ad justitiam pertinet* (S. Aug.). *In Petro ergo adeps et nucleus, in Zopyro cortex fuit et palea virtutis* (III 21). Tak wzmiankowane w opisie tym okoliczności, jak i wygórowane pochlebstwo dla Piotra nasuwają mimowolnie myśl, że to kreślił raczéj przyjaciel jego i domownik, jakim był Mateusz, a nie Wincenty, który w lat kilkadziesiąt po śmierci Piotra pisząc, ani go znał, ani też nie miał powodu zniżać się do takiego pochlebstwa. W liście do ś. Bernarda przytoczył Mateusz zdanie z ś. Augustyna, i tu oto widzimy zdanie z Augustyna świętego wyjęte.

W dalszym znowu ciągu tych zdarzeń opowiada autor jak syn Wołodara pomienionego, Włodymirko, dysząc chęcią zemszczenia się za ojca swego na Bolesławie, nie szczędził złota, przekupił Węgra, któremu ten monarcha polski straż zamku Wiślickiego powierzył. W porozumieniu z nim wpadł z wojskiem do Polski i sprawił pamiętną rzeź w Wiślicy roku 1135. To przeniewierstwo daje autorowi powód przytoczenia przykładów z dziejów starożytnych, mianowicie, jak Alexander Wielki ukarał za dobrowolne z własnego popędu popełnione przeniewierstwo Daryusa domowników, a Antygon argiraspidów Eumena, i kończy te przykłady następującą o przeniewierstwie uwagą: *cujus (perfidiae) quis apud prudentes fuit exitus, ex his vides; quamvis haec lucifuga inter volucrum reges sub luce volitat plausu discolore, quam (perfidiam) nonnulli hodie non modo non reprimunt, sed virtute profligata, praemiis invitant, Quia vero manibus occisorum (*w Wiślicy*) visus est parentasse* (Włodymirko), *quia de atrocissimo proditore sumpsit supplicium, potuit Laodarides iram Boleslai aliquatenus demulsisse* i t. d. Słowa: *quam (perfidiam) nonnulli hodie non reprimunt sed praemiis in-*

vitant, ściągają się tu widocznie do Włodymirka, który Węgra złotem do przeniewierstwa skłonił. Książę ten, jak wiadomo roku 1152 już nie żył. Tu więc sama chronologia wskazywać się zdaje na Mateusza, spółczesnego Włodymirkowi; gdy tymczasem Wincenty zaledwie w lat ośm po śmierci tego księcia dopiero na świat przyszedł.

Z tego wszystkiego widać do jakiego stopnia prawdopodobne jest Mateuszowe autorstwo. Choćbyśmy atoli przypuścili za rzecz najpewniejszą, że Mateusz pisał kronikę, jest ona dziś dla nas stracona, i mylnie byłoby mniemać, że ona u Wincentego ocalała. Wincenty zmieniał i przerabiał swe źródła: z Mierzwy wyrzucał on chronologię, zacierał to co na okoliczności, pod któremi autor ten pisał, dobitniéj wskazywało. Z Gala opisów wyciągał treść samą, ledwie jedno lub drugie wyrażenie jego ocalało tu i owdzie przypadkiem. Nie inaczéj też zapewne postępował z innemi swojemi źródłami. Mamy naprzykład dowód najwidoczniejszy, że rozdział 26ty księgi III, chociaż go niby Mateusz opowiada, jest niezawodnie pióra samego Wincentego. Zawiera on przepowiednię o Kazimierzu Sprawiedliwym zupełnie w rodzaju tym, jaką dał Gal o Bolesławie Krzywoustym w rozdziale 20 księgi II swojéj kroniki. Wiąże się ona ściśle z tém, co mówi Wincenty o Kazimierzu w księdze IV rozdziale 8, gdzie też sam on wyjaśnia téj przepowiedni znaczenie. Podobnież nie kto inny, jak tylko sam Wincenty opowiada, acz niby przez usta Mateuszowe, w rozdziale 30 księgi III, zdarzenia zaszłe na wyprawach pruskich już po śmierci Mateusza roku 1166 przypadłéj, aż do r. 1173; kończy wreszcie cały dyalog słowami włożonemi w usta Jana: *obdormiscamus in Domino.* Tak więc to co z siebie wysnuł, jak i owo co od drugich przejął, stało się nieodzowną własnością Wincentego, jemu należy dziś tego dzieła zasługa, i sam on za niedostatki jego odpowiadać winien w obec krytyki.

VIII. Zalety i wady jego kroniki.

Wiek w którym żył Wincenty, był jednym z najciemniejszych w całéj Europie. Rzadko kto zajmował się pisaniem dziejów, a z tych co się niem zajmowali, jeszcze rzadszy był taki, coby okazał zdolności wyższe i odpowiedział ile tyle swemu zadaniu. Gdy wszakże to, co kiedykolwiek w każdym narodzie się działo stanowi cząstkę dziejów powszechnych i jest niezbędnie potrzebne do wykrycia w nich związku i wskazania postępów ludzkości, widoczna więc jak ważną jest rzeczą podciągać każdy zabytek dziejowy, jakkolwiek

byłaby szorstka, dziwaczna i niezdarna jego powierzchowność, pod głębsze rozpoznanie; już bowiem choćby stron dodatnich utworowi brakowało, toć w samém udowodnieniu niezdarności dotrzedz można ciekawą charakterystykę owych czasów i ludzi. Oględne, wolne od uprzedzeń i namiętności ich rozpoznanie godne jest oświeconego wieku w którym żyjemy, a płoche, dorywcze, nienawiścią rodową i chełpliwem samolubstwem nacechowane sądy o nich zostaną na zawsze plamą tych, którzy je nierozmyślnie wydali. Wincenty miał w téj mierze szczególny los. Zamiast gruntownego w dziele jego rozpatrywania się, obrzucano go raz poraz mimochodem licznymi częstokroć najniesprawiedliwszymi zarzutami. Samemu tych zarzutów odparciu dwaj z najznakomitszych naszych pisarzów, Lelewel i Ossoliński osobne dzieła poświęcili. Mimo to, ten sam tryb postępowania dotąd poniekąd nie ustaje, i od czasu do czasu napotkać można po dziełach różnych i pismach płochą i złośliwą wycieczkę przeciw Wincentemu, lub nawet potępienie usiłowań zmierzających do pojaśnienia tego pisarza *). Nie myślę wznawiać tego rodzaju zapasów i odpowiadać na podobne wycieczki; chcę tylko zebrać tu to, co do wszechstronnego rozpoznania tego pisarza posłużyć może. Wskazawszy już tedy, jaki z swojego czasu wyniósł Wincenty materyał dziejowy, zostaje mi powiedzieć jak go ujął? ażali, i jakiego rodzaju zdolności rozwinął w jego złożeniu.

Wincenty z rozległém oczytaniem w literaturze klassycznéj do pisania dziejów ojczystych przystąpiwszy, układał je sposobem wielce różnym od swoich poprzedników. W tém co przed nim u nas pisano i co się dotąd przechowało, widzimy rzecz samą mniéj lub więcéj szczęśliwie opowiedzianą, bez żadnego wszakże artyzmu, lub tylko z bardzo małém jego uwzględnieniem. Przeciwnie, Wincenty włożył główne staranie swoje w to, iżby dziełu swemu nadać formę jak najwięcéj ponętną, urozmaicić je przykładami, ustroić krasomostwem i kwiatami poezyi. Chciał on podać narodowi księgę, któraby zdarzenia ojczyste z uwzględnieniem podobnychże przykładów z dziejów obcych przedstawiając, zawierała w sobie wyższą naukę, służyła do kształcenia serca i umysłu dla następnych pokoleń. Ten cel jest w całem dziele jego widoczny. Do wytknięcia go sobie mógł on w części własną nauką, a bardziéj jeszcze zewnętrznymi stosunkami swymi być pobudzony. Z synów Krzywoustego najukształceńszy był Kazimierz. Bawiąc na dworze cesarza Fryderyka I, jako zakładnik,

*) Obacz Franciszka Palackiego: *Geschichte Böhmens* I. 153. Alfreda Gutschmid; *Kritik der polnischen Urgeschichte* w piśmie Archiv für Kunde österr. Geschichts-Quellen, XVII, 295 i t. p.

a w ojczyźnie swojéj dłuższy czas bez udziału w rządach zostając, miał większą niż inni sposobność obeznania się z naukami. Jakoż tak o wielkiéj jego dla ludzi światłych uprzejmości, jak i o własném jego zamiłowaniu w czytaniu ksiąg przechowały się ciekawe świadectwa *). Z jego rozkazu dzieje pisząc Wincenty, starał się też jemu jak najwięcéj przypodobać, użył więc ku temu, jako mistrz nauk wyzwolonych, całéj swéj sztuki, na jaką go starczyło. Że mu ku temu ani wymowy, ani zmysłu artystowskiego nie brakło, okazuje się to nie w jedném miejscu w sposób uderzający. Oto naprzykład jak on rzecz we wstępie swoim czyli prologu zagaja.

„Trzéj, z trojga przyczyn, teatralnemi wzgardzali uroczystościami: pierwszego imie Kodrus, drugiego Alcybiades, trzeciego Dyogenes. Kodrus dlatego, że był ubogi i łachmanami odziany; drugi, że był urody przecudnéj; trzeci, że i czystością obyczajów odznaczał się, i bystrością umysłu celował. Pierwszy aby ubóstwa, które jest samo z siebie wzgardliwe, nie wystawiać na pośmiewisko wszystkich; drugi aby się nie narażać na niebespieczeństwo uroków; trzeci aby nieskalany mądrości majestat nie podawać trefnisiom w zniewagę. Wolał tedy Kodrus wzbronić sobie widoku innych, niż wzgardliwe z siebie dać innym widowisko: albowiem nie masz miru między purpurą a łachmanami. Przenosił i Alcybiades raczéj w domu kryć się bez pochwał, niż pochwały odnosząc narażać na szwank swoją urodę: albowiem nic nie jest z przyrodzenia tak piękne, czegoby płaskooka zazdrość spojrzeniem swojém urzeknąć nie mogła. Nakoniec uznał Dyogenes za rzecz roztropniejszą wzgardzać poufałością gminu, albowiem lepiéj jest mieć cześć w samotności niż w towarzystwie wzgardy doznawać.

„Aliści téj oto książeczki szorstka chudzizna, jałowa szorstkość bezpieczna jest od Alcybiadowego kłopotu. Przesądem bowiem jest obawa uroków, a nieurodzaj niema też nic do stracenia z swojéj urody. I Dyogena, acz boskie zdanie, nie obchodzi nas, na których mądrość ani kropelki daru swego nie zlała. Kodra, jedynie Kodra trwoży nas obraz, gdy na zgromadzeń publicznych zasadzki wystawiona nasza nędzota niema ani lichego łachmana, którymby wstyd swój okryła. Mamy bowiem pośród muz nie płochy wyprawiać chorowód z zwolenniczkami Diony, lecz zająć miejsce na wyżynach w obec świetnego senatu i opiewać nie cieniste trzciny po kę-

*) Scitis quo pacto stipatur interim literatissimorum lateribus altrinsecus, quorum tam sobrietas quam scientia paucis est incognita. Cum his nunc sanctorum patrum exempla, nunc virorum gesta illustrium vicaria relatione retractat. *Vinc. Chron.* IV. 5.

pach, lecz ojczyzny złote kolumny. Nie lalki z gliny, lecz prawdziwe ojców wizerunki z łona niepamięci, z najstarszego trzonu słoniowego wyrzeźbiać nam kazano, ba i światła boskiego kagańce w zamku królewskim rozwiesić, i wraz w wojennych czoło uznoić zapasach.

„Inna wszakże jest przedsiębrać co w nieoględnéj skwapliwości z chęci popisania się, z żądzy zysku, a inna spełniać wymogi wszechwładnéj konieczności. Mnie oto ani taka namiętność pisania nie zaślepia, ani pobudza taka cześć sławy, ani żądza zysku zapala, iżbym po tylu doświadczonych nawalnościach, po tylokrotnem w trudach przedsiębranych rozbiciu i zaledwie na brzeg wybrnięciu, miał ochotę na tychże samych rozbijać się mieliznach; tylko bowiem osła podniebieniu smakuje oset zamiast sałaty, i tylko całkiem bezrozumny da się przynęcić cierpką słodyczą.

„Lecz niesłuszna jest opierać się słusznemu rozkazaniu. Zrozumiał to bardzo dobrze najwaleczniejszy z książąt, że wszelkie czyny bohatyrstwa, wszelkie zacności oznaki z przykładu przodków, jakby ze zwierciadeł jakich na jaw wychodzą. Bezpieczniéj puszcza się w drogę, gdy jest przewodnik, gdy światełko przed nami, i wdzięczniejszy jest wizerunek obyczajów mający za tło wzorową starożytność. Pragnąc tedy cnoty przodków zrobić udziałem potomnych, na mnie pisarza, na kruche jak ze trzciny me pióro, na pigmejskie me barki włożył brzemię atlasa, nie inną zapewne kierowany pobudką, jak tą, że blask złota, że połysk pereł nieudolnością artysty ceny swojéj nie tracą, podobnie jak i gwiazdy najczarniejszymi Etyopów palcami ukazane, nie kopcieją. Ani też wielkiego na na to potrzeba u artysty dowcipu, iżby żelazo oczyścić ze rdzy, żużel wydzielić od złota. Ponieważ tedy byłoby niedorzecznością wahać się w podnoszeniu ciężaru, od którego uchylić się niemożna, podejmę go więc według sił, byle mię nie odstępowali ci, którzy podróży przezemnie przedsięwziętéj przychylnem sercem dotuszają, których ani moje potknięcie się na grudzie, ani na ślizgocie upadek mój nie zdziwi, przy których uprzejméj życzliwości ciężar ciężarem, a trud trudem być przestaje; wesołe bowiem w podróży towarzystwo jest niejako wózkiem podróży. To nakoniec wypraszam sobie u wszystkich, aby nie każdy o mnie wyrokował, lecz tylko ci, co umysłem wytwornym lub ogładą wyższą jaśnieją; aby nikt nie potępił nas pierwej, nimby się w nas najpilniéj nie rozpatrzył. Tylko bowiem rozgryziony imbir daje poczuć swą siłę, i nie masz nic takiego, coby nie uwzględnione zachwycało, a jest niegodziwa nie rozpoznawszy dzieła, wydawać sąd o dziele. Skąpy tedy w pochwałach niech będzie skąpszy jeszcze w naganie“.

Tak przemówił Wincenty do narodu dzieło mu swoje oddając. W ten sposób nikt jeszcze u nas przed nim nie przemawiał. Ma to przemówienie znamie sobie właściwe. W niedługim oto prologu tym prócz przykładu Kodra, o którego ubóstwie wielkiém napomknął się ze zdaniami swemi filozof Seneka, Publilius syryjski, nakoniec wyjrzały też rzymskie Digesta. Z dzisiejszego stanowiska rzecz tę oceniając, zarzucić można autorowi sadzenie się na morały; ale to jest, co właśnie w owych czasach najwięcéj popłacało, czego prawdopodobnie od niego wymagano. Widzimy bowiem z téj przedmowy, że autor ma jakieś kółko wielbicieli czy też doradzców: na ich zdaniu głównie polega i prosi, iżby w przychylności swojéj do końca mu dotrwali. To też zjednało mu wkrótce rozgłos pierwszego w narodzie pisarza, do którego księgi przez długie czasy jako do najmędrszéj po naukę zaglądano. Usunąwszy na stronę wzgląd historyczny, a samo opowiadanie tak w zawiązaniu dyalogu; jak w główniejszych ustępach księgi IV rozpatrując, nie można i dziś zaprzeczyć, że Wincenty dar nadobnego pisania w niepospolitym stopniu posiadał.

Kierując się przeważnie zmysłem artystowskim obrał do skreślenia dziejów dawniejszych formę dyalogu. Zdjęta ona u niego bardziéj z klasycznych niż średniowieczuych wzorów. Zwroty i zdania całe z dyalogów Cycerona wyjęte powplatał autor tu i owdzie w swój dyalog, a rzecz całą rozłożył między Jana i Mateusza, sam prócz indukcyi nigdzie głosu nie zabierając. Przeciwnie scholastyk bamberski Herbord, o którego dyalogu wyżéj wspomniałem, Tiemona i Sefryda, przygody świętego Ottona opowiadających wprowadziwszy, sam też z kollokutorami tymi rozmawia. Tyle co do formy u Wincentego; zajrzyjmy teraz w treść samą. W X i XI wieku błąkały się po słowiańszczyźnie podania trako-ilirskie, i były u nas przez Mierzwę około roku 1050 spisane. Wincentemu, który w dziele swojém celów etycznych z oka nie spuszczał, bardzo się te powiastki przydały; zebrał on je starannie, same tylko skazówki chronologiczne pomijając, bo tych w czysto kronikarskim, narracyjnym wykładzie zwykle nieuwzględniano. W tém co nam z Mierzwy podał w XIII wieku żyjący kompilator franciszkański krakowski, zaczynają się te podania wyprawą Graka przeciw Galom, na lat około 400 przed Chrystusem przedsięwziętą; Wincenty zachwycił jeszcze jeden, wcześniejszy z tychże podań ustęp, nie małéj wagi, bo rzucający światło na ich całość. Nadmienia więc najpierw o nader wielkiem niegdyś ojczyzny naszéj zaludnieniu, o przewagach przodków naszych na morzu; daléj o podbiciu przez nich Macedonii i króla ich Aminty uwięzieniu. Przypada to wybornie do chronologii przez Mierzwę

wskazanéj, i okazuje się jednolite z tem, co dalej tak Mierzwa jak i sam Wincenty o walkach przodków naszych z synem tegoż Aminty Aleksandrem Wielkim, a następnie z Rzymianami rozpowiada. Nie można tedy wątpić, że wszystkie te podania pierwotnie z jednego wypłynęły źródła. Mowę Graka, jak ją w kodeksie II i największej części kodeksów późniejszych czytamy, dał Wincenty obszerniej niż Mierzwa. Prawdopodobnie są to jego własne z krasomówstwem popisy; ale szczegóły o skutkach Graka wyprawy u Wincentego dorzucone, a nie znajdujące się u Mierzwy, znowu wykrywają zdarzenie historyczne, które było podstawą tego podania. Podobnie ma się rzecz z niektóremi innymi tych podań ustępami: gonitwa naprzykład Leszka II do mety, opowiedziana jest u niego staranniej, z większą niż u Mierzwy konsekwencyą.

W księdze drugiej do właściwych dziejów przystąpiwszy, łączy luźne, tu i owdzie natrafione zapiski, z tém co u Gala wyczytał w jedną całość; zdarzenia same opowiada ile możności króciuchno, mniej dbając o dokładność szczegółów, a stronę ich etyczną nadewszystko podnosi. O Kazimierzu I zna dwa podania: jedno za którem szedł Gal, drugie zaczerpnięte ze źródła, ile się zdaje, spółczesnego, którego atoli w jego czasach już nie rozumiano. Z dwóch więc kolejno po sobie na tron wstępujących książąt, jednego Bolesławicza a drugiego Mieszkowicza, robi jednego tylko Kazimierza I w kaptur zakonny go przyodziewając. Mówi następnie o wyprawie Bolesława Śmiałego do Węgier, o któréj Gal zamilczał; opisuje bitwę Krzywoustego z Niemcami pod Wrocławiem, o której także głucho u tamtego; wreszcie zdarzenia zaszłe po roku 1113, na którym Gal kronikę swoją zakończył, przeprowadził Wincenty swoim sposobem aż do roku 1173, tu kładąc kres trzeciej swéj księdze i całemu dyalogowi.

Obok zalety, jaką autorowi co do tych trzech ksiąg przyznać trzeba pod względem uzupełnienia niektórych podań i samodzielnego ich opowiadania, ma on też niemałe wady; widać w nim bowiem dość często, że rzecz główną poświęca celom podrzędnym; że dba więcej o formę niż o istotę, i same nawet zdarzenia niekiedy czy to przez nieuwagę, czy też dla etycznych celów przekręca. Opisując na przykład za Galem wojnę Chrobrego z Jarosławem kijowskim, kładzie w usta pierwszego zdanie z Hioba i nieprzestając na prostej klęsce zadanej Jarosławowi, chwyta jeńcem wielkiego kniazia, i wraz z bojarami do sfory przywiązanego Bolesławowi spaniałomyślnie każe uwalniać, ze stosowną sentencyą z Boëciusa (II. 12). Powód takiego przekręcenia faktu mógł być wcale niewinny; mogło być pobieżne odczytanie kilku słów Gala i nie zasta-

nowienie się nad ich znaczeniem [1]) ale takie uchybienie prawdzie w jedném miejscu nasuwa mimowolnie czytelnikowi wątpliwość, ażali i to co Wincenty mówi wbrew Gala i Nestora świadectwu o mazowieckim Masławie, że go samiż Prusacy powiesili, opiera się na istotnie zasłyszaném odmienném podaniu, lub też zostało wymyślone dla zastosowania sentencyi: *alta petisti alte tene* (II. 14). W zapale krasomowczym wszystko widzi przez szkło powiększające nasz kronikarz, wszystko pod jego piórem mnoży się i wzrasta, lub ze szczegółowéj dokładności przetwarza się w ogólniki. Krzyczy pod ciężarem pieniędzy mnich obdarzony u Gala, dorzucony tamże wierszyk: *rex fama vivit, ditatus pauper obivit* nie ściąga się u niego do chwili obecnej. U Wincentego mnich śpiewa piosnkę więcéj dziwacznie niż dowcipnie, z saméj igraszki słów ułożoną przez autora, a ciężarem pieniędzy przywalony pada trupem w oczach królewskich (II. 16). U Gala Bolesław Izasława ucałowawszy głaszcze po brodzie (I. 23); u Wincentego targa potężnie Jarosława raz i drugi za brodę i wygłasza hexametrem swe drwiny: *Hic vir est, nostro quem nos dignamur honore* (II 18.). Chrobry u Gala tryumfuje nad Rusią (I. 7), u Wincentego nad wszystkimi nieprzyjaciółmi (II 12). Gal mówi że Krzywousty zburzył w Czechach trzy grody i jedno przedmieście (II. 46); Wincenty, że Krzywousty miasta czeskie napadł, wyludnił, zburzył (III. 4.) Nie jest Gal wolny od gadulstwa, ale daje obrazy częstokroć dokładnie rozwinęte w szczegółach, a rzecz podejmuje z różnych stanowisk; u Wincentego, który opisy Gala skraca a w trzech księgach niemal samemi wojnami się zajmuje, gadulstwo w mędrkowaniu, popisywanie się z igraszką słów a przesada w niektórych opisach są więcej rażące.

Już pod koniec III księgi w miarę jak się Wincenty zbliża do swoich czasów, do panowania synów Krzywoustego, można dostrzedz, że opowiadanie jego staje się naturalniejsze, a zdarzenia same coraz dobitniej we właściwem swem świetle występują. Daleko więcej poznać to można w księdze IV pisanej ciągłą powieścią, nie w dyalogu. Stosując się do zakroju ksiąg poprzednich przeplata autor i tu dzieje ojczyste podobnemi z dziejów obcych zdarzeniami, czyni to jednak rzadziej nierównie. Nie obarcza też zbytnie powieści swojéj przytoczeniami z prawa rzymskiego i z kanonów. W ogólności całemu w tej księdze wykładowi mało co zarzucić można. Widać że praca około trzech pierwszych ksiąg wpłynęła na rozwinięcie w nim

[1]) Gal powiada, że Bolesław *ad Chyon caput regni, ut arcem regni simul et regem caperet,* properavit (Chron. I. 7) Tych słów jak się zdaje nie zrozumiał należycie Wincenty, i mniemał że Bolesław zchwytał istotnie Jarosława.

zmysłu historycznego. Mianowany, jak z przedmowy jego do téj księgi IV wnieść można, wyłącznym dziejopisem Polski przez swego monarchę, Kazimierza, z poleceniem pisania dziejów spółczesnych, pojmuje jasno ich cel i trudność swego zadania. Prawda, i tylko prawda ich celem. Ależ „prawda budzi nienawiść“, woła nasz Wincenty za Terencym i Cyceronem, a wystawia jeszcze grozniejsze następstwa, gdyby ją z jakiejkolwiek pobudki zataić poważył się (IV. 1). Z takiemi to uwagami przystępował do kreślenia krótkiego panowania Mieszka III, Kazimierza Sprawiedliwego i jego następców aż do wstąpienia na tron Władysława Laskonogiego. Okres ten trzydzieści przeszło lat obejmujący zaledwie tknięty był czyjém piórem. Ze spółecznych jednak lub bliskoczesnych naszemu Wincentemu dotknęli go, acz nawiasowo tylko, dwaj ważni świadkowie, mianowicie: bezimienny latopisiec kijowski i takiż latopisiec wołyńsko-halicki; nakoniec przydał nieco ku temu zatracony dziś a tylko z jednego przytoczenia u Tatyszczewa znany nam latopisiec połocki. W nich mamy niejako kontrolę opowiadań Wincentego i przekonywamy się, że był on dobrze świadom tych dziejów. Zajęcie Brześcia wraz z całém Podlasiem z rozkazu Kazimierza, oraz przygody niektóre Włodzimierza Jarosławicza halickiego przez Wincentego opisane (IV 15.) znachodzą zupełne w pomnikach owych zatwierdzienie. Ale nasz kronikarz zna jeszcze nierównie więcéj zdarzeń, daleko ważniejszych, których sam on jest dziś źródłem jedyném. Latopisiec bowiem kijowski zdarzenia jeszcze przed końcem XII wieku zapisywać przestał, a wołyńsko-halicki, o ile go dziś znamy, dopiero je po śmierci Romana Mścisławicza (1205) zapisywać rozpoczął. Co tedy u Wincentego w księdze IV zasługuje przedewszystkiem na uwagę, to stosunek Kazimierza do ziem podtatrańskich, do Słowaczyzny wraz ze Spiżem, do tak zwanego królestwa Galicyi; stosunek jego do Węgier i Rusi w ogóle, osobliwie zaś do książąt Kolomana Borysowicza i do trzech Mścisławiczów: Romana, Wszewłoda i Włodzimierza, którzy z siostry Kazimierza, Judyty, urodzeni chowali się od dzieciństwa niemal na dworze polskim pod okiem tego monarchy, jemu też, jako głównemu dobroczyńcy swemu we wszstkiem ulegali. Stosunek ten odbił się żywo w dziele Wincentego, które co do tych ustępów ze skaz i wtrętów oczyszczone należycie, wyprowadza na jaw jedną już niemal zatraconą kartę dziejów naszych wieku XII. Wypiętnowały się też tu dobitniej niż gdzie indzie osobiste autora skłonności. Gal kronikę swoją dla Bolesława Krzywoustego pisząc, umieścił pierwej przepowiednię o jego znakomitości, nim czyny jego opisywać zaczął. Tegoż rodzaju przepowiednię daje Wincenty o Kazimierzu. Włożywszy ją pod koniec III księgi w usta konającego Bolesława Krzywoustego,

przystępuje w księdze IV do panowania ulubionego monarchy swego Kazimierza, a za tło obrazu służą mu nadużycia i niesprawiedliwości wszelkiego rodzaju popełniane za panowania ztrąconego z tronu poprzednika jego Mieszka starego. Rozpatrując dziś ten ich opis, przy którym zalety Kazimierza tem wydatniej jaśnieją, nie można się odjąć tej myśli, że szczegóły jego, jakkolwiek mogły być w sobie prawdziwe, dobrane wszakże zostały z samych, może nawet bardzo rzadkich wyjątków, tem bardziej, gdy i autor Mieszkowi ani bystrego rozsądku, ani uczciwości nie odmawia. Z rozdziałem piątym zwrócił się autor wprost do Kazimierza i daje nam obraz jego cnót. Każde słowo autora zdaje się być tu odważone, dobierane z delikatnością porównania i przykłady, okresy nawet z pewną wytwornością zaokrąglane. W ogóle wszystko co samego Kazimierza się tyczy, opracował autor z największą starannością. Zaczął opisem jego osoby nim wejrzał w ducha i czyny rozprowadził. Większego nad mierny wzrostu, twarzy urodziwej, w spojrzeniach nie bez bystrości Kazimierz łączy z wrodzoną żywością pewne umiarkowanie. Obok upodobania w naukach lubi grę w kostki; świąt uroczyście przestrzega, sprawom wojennym i myśliwstwu z zamiłowaniem się oddaje; swarów, oszczerstwa i pieniactwa nadewszystko nie cierpi. Z Janem dworzaninem w grę azardowną zapuściwszy się, ogrywa go ze szczętem i od zrozpaczonego otrzymuje policzek. Urazy osobiste przebacza, publiczne występki karze surowo. Ucięcie nosa, piętnowanie nie jest za rządów jego nadzwyczajnością, za oszczerstwo niekiedy język podcinają. W boju unosi się jak junak, przypadkowi los swój powierzając, a ilekroć wojny zabraknie, spieszy na łowy i biesiady wyprawia. Uczty służą mu w części ku temu, aby od podochoconych wybadać to z czemby się na trzeźwo nie wydali. Możnowładzctwo bowiem silnie pod nim głowę podnosi, wichrzy przy lada sposobności, w najlepszych czynach złą stronę wypatrując. Powściąga je swoją roztropnością i orężem nawet poskramia, wszakże jemu tron swój zawdzięczając niekiedy mu mimowolnie ulega. Z bratem Mieszkiem w dobry sposób pogodziwszy się, gdy widzi możnych oburzenie, udaje że żartował, że próbował tylko ażali mu są szczerze przychylni, a widok takiego ich do osoby swojej przywiązania napełnia go radością. Tak nam wystawił Wincenty swój czas i swego manarchę. Kreślił, jak widzim, z natury ten obraz, kreślił z zamiłowaniem, a przy zaletach nie zataił i ułomnostek.

Zaledwie wyniesienie na tron Kazimierza opisał, spieszy ukazać co zdziałał, co za korzyści ojczyzna przez monarchę tego odniosła. Czyni to w rozdziale ósmym. Krótki ale nadzwyczaj ważny ten ustęp obejmuje zdarzenia prawdziwe częścią zgoła nieznane dotąd a częścią nie wyjaśnione. Prawdziwość ich widoczna jest, jak skoro

porównamy to, co sam autor niżej szczegółowo napomknął, z wiadomościami ruskich latopiśców. Wątłego zdrowia, ale na duchu krzepki i przedsiębiorczy był Leszek Bolesławicz, Kędzierzawego syn, pan Mazowsza i Kujaw. Ojciec jego roku 1173 umierając, przekazał mu wolą ostatnią, aby dla Kazimierza, stryja i opiekuua swego, był z synowską uległością i w razie zejścia bezdzietnego oddał mu dziedzictwem swe ziemie. Leszek kochał się w czynach wojennych i miał wojsko najlepiej wyćwiczone. Jemu polecił Kazimierz zdobyć Brześć i Drohiczyn i zająć całe Podlasie, co też on w roku 1182 uskutecznił. Przez tego więc swego bratańca panował Kazimierz w owych ziemiach; przez siostrzeńca swego Romana Mścisławicza, którego, jak to autor niżej nadmienia, posadził on we Włodzimierzu, panował on w księstwie Włodzimierskiém, w Haliczu zaś i Przemyślu przez Włodzimierza Jarosławicza, który zrazu obraziwszy Kazimierza, był wprawdzie z owych księstw wyrzucon, czyli, jak nasz autor powiada, skazan na wygnanie; gdy go atoli późniéj przejednał, posłany przez Kazimierza z wojskiem Mikołaj roku 1188 posadził go na tron w naddniestrzańskim Haliczu, Węgrów z tamtąd wyrzuciwszy. Te to wypadki objął autor w pomienionym rozdziale ósmym, i po wzmiance, że stolicę Gniezno ze wszystkiemi należącemi tam ziemiami zajął Kazimierz, dodaje: *sed et Russiae nonnullas jubet* (Casimirus) *accedere provincias: Premisliensem cum omnibus oppidis contingentibus; Wladimiriensem cum ducatus integritate, Brzeszcze cum omni suorum incolatu; Drohiczyn cum suorum universitate.* Zebrał on te czyny z różnych jak widzim lat, zebrał sumarycznie, bo mu pilno jest przypomnieć tu przepowiednię ojcowską o Kazimierzu, w księdze III rozdziale 26 umieszczoną, i dać jej wyjaśnienie. Powiada więc: *Sic itaque Casimirus fit monarchus Lechiae, sic quatuor fratrum id est, Wladislai, Boleslai, Mesconis, Henrici quatuor principatus in solum Casimirum confluxerunt; sicut pater longe praedixerat de quatuor loquens fluminibus, per quae quatuor monarchias figuravit: per alveos quatuor principatus, Casimirum per auream situlam, virtutes ejus per fontem aromatum significans.* Opisuje potem wewnętrzne przez niego kraju urządzenia; cztery rozdziały (9—13) poświęcił waśniom domowym książąt i ich między sobą umowom, a w 14 rozdziale przystąpił do opisu wyprawy, którą jednocześnie z wyprawą Leszka na Podlasie sam Kazimierz w przeciwną stronę Polski, na Spiż przedsięwziął i najpomyślniej wykonał, siostrzeńca swego, Kolomana Borysowicza, syna Judyty z pierwszego jej małżeństwa zrodzonego, tam osadziwszy. Po jego zaś w krótkim czasie dokonaném otruciu oddał Kazimierz tę ziemię drugiemu siostrzeńcowi swemu Włodzimierzowi Mścisławiczowi. Z tego opisu przechodzi autor do

drugiej podobnejże wyprawy i opowiada w rozdziale następnym, co około owegoż czasu zaszło w Haliczu naddniestrzańskim, aż do przywrócenia tamże na tron Włodzimierza Jarosławicza przez wojewodę Kazimierzowego Mikołaja. Jednymże pióra zapędem kreśli autor po tych zdarzeniach rokosz krakowski przez 70 satrapów podniesiony i jego energiczne przez Kazimierza stłumienie, a opisem zwycięzkiej jego na Jadźwingów wyprawy kończy panowanie tego monarchy i najznakomitszą część IVtéj księgi. Sześć ostatnich rozdziałów obejmują przygody dzieci jego, mianowicie zaś Leszka Białego aż do wstąpienia na tron Władysława Laskonogiego.

W jednym i tymże samym wieku XII żył Gal i żył Wincenty; tamten na początku jego, a ten na schyłku. Z dziejów, na które obaj ci kronikarze sami patrzali, tamten kreślił czyny ojca, ten synów. Przedmiotem sobie tak bliscy i niezbyt oddaleni czasem, wyobrażeniami wielce się różnili. Przekazał ostatnią wolą synom swoim Krzywousty, aby wstępowali na tron według starszeństwa, a młodsi aby starszemu byli ulegli. Tymczasem działo się inaczej. Niebawem po śmierci ojca ztrącony został z tronu syn najstarszy Władysław. Zachwiał się był i Bolesław Kędzierzawy i ledwie na tronie się ostał; nakoniec temuż co i nastarszy losowi uległ Mieszko, pan dla rozsądku i statku swego od młodych lat Starym nazywany. Te przewroty społeczne zrządziły w dość krótkim czasie zmianę walną w wyobrażeniach narodu. Przedstawicielem jej jest Wincenty, przejęty z gruntu zasadami tych, którzy w przewrotach owych górę odnieśli i wierzący silnie w czynów ich zbawienność: ztąd owa między nim a poprzednikiem jego różnica. Zamykając księgę Gala ledwie otworzysz Wincentego, z pierwszych kart, z pierwszych niemal słów jego widzisz, żeś w całkiéj innej epoce. Cześć książąt *laus principum* jest niejako hasłem u Gala, stawia on ją samą jedną najwyżej; u Wincentego do tejże wysokości podciągniona jest część możnych ba i nad samych nawet książąt poniekąd podniesiona. Wielkość swego zadania wystawiając woła on, w prologu: *sacri senatus assistere tenemur suggestui*, i rozpoczyna kronikę swoję pochwałą senatorów; *patres conscripti*, przyrównywając ich do świeczników niebieskich, co rzeczpospolitę najświetniejszymi czynami swymi rozpromienili, to znowu zowiąc ich złotymi filarami na których gmach ojczyzny spoczywa. To stanowisko, z którego autor wyszedł, należycie zauważane ułatwia obejrzenie całości i zarazem słabą stronę dzieła odsłania. Niema wątpliwości, że starsi Krzywoustego synowie dopuszczali się pewnych nadużyć; ale i to jest pewna, że do ztrącenia ich z tronu wchodziły inne jeszcze równie silne czynniki, a były nimi osobiste możnych urazy i własnych korzyści upatrywanie. Tak Władysław jak

Mieszko czuli potrzebę, a nawet konieczność wzmocnienia władzy monarszej, zanadto podziałami rozchwianéj, nie sama więc dowolność lub samolubstwo krokami ich kierowały; wszystko zależało od oględności w postępowaniu, od doboru środków. Jedną z głównych przyczyn upadku Władysława, jak się o tém z innego źródła dowiadujem, był okrutny jego postępek względem Piotra Włostowicza i przejście tego możnowładcy z całém swojém stronnictwem na stronę braci młodszych. Owoż o tego rodzaju czynnikach nie łatwo dowiesz się z Wincentego; wymowny gdzie idzie o którego z możnych pochwałę, jest on nadzwyczaj ubogi w słowa i nieledwie milczący gdy idzie o stronę odwrotną obrazu: gdy chciałbyś się na przykład dowiedzieć jakie to ogniwka i jakimi sposobikami wiązały się przy Jakubie lub Gedeonie, nim się stały ową petardą co tron Władysława lub też Mieszka Starego wysadziła w powietrze. Do jednego z owych świeczników, do wojewody Mikołaja wraca autor kilkakrotnie z dość obszerną pochwałą; a ledwie ma jedno lub drugie półsłówko nagany, gdy tenże z osobistej do Goworka niechęci zmusza do zrzeczenia się tronu Leszka Białego. U Gala świetność, która dwór jednego lub drugiego z monarchów naszych otaczała, należy jeszcze do zalet, i autor ten z upodobaniem jej się opisem zajmuje; u Wincentego jest ona naganą i z rodzajem wzgardy mówi on o Władysławie że miał poczucie pewnej dumy i podobał sobie w wystawności, a jedną z najwyższych zalet, które u niego pewien możny Kazimierza na tron zalecając wygłasza, jest ta że zniósł cierpliwie otrzymany niegdyś policzek.

Natrafia się też dość często w tej kronice na rozmaite bądź istotne bądź pozorne sprzeczności lub myłki takie, które u spółczesnego tym wypadkom pisarza znajdowaćby się nie powinny. Sprzeczności te i myłki mają swoją przyczynę po większej części w tekscie skażonym i oszpeconym wtrętami rozmaitymi przez kopistów. Mimo wszakże tych skaz i mimo wad, jakich się autor bądź rozmyślnie, bądź mimowolnie dopuścił, są dzieje synów i następców Krzywoustego przez Wincentego skreślone jednym z najznakomitszych pomników polskiego kronikarstwa. Widać z nich, że autor miał szczere zamiłowanie prawdy, i odgłos jej daje się u niego dosłyszeć nawet w ustępach tych, gdzie tak uprzedzenia ówczesne jak i własne jego skłonności w przeciwnym kierunku na niego działały. Po tylu tedy niesprawiedliwościach jakich się przeciw autorowi temu i dziełu jego w różnych czasach dopuszczano, czas jest rozpatrywać się w niém bez uprzedzenia, a wytknąwszy surowo wady, podnieść zarazem i uwydatnić to, czem się autor istotnie dziejom ojczystym zasłużył.

LISTY
z Podróży Etnograficznej
po
SZLĄSKU.
przez
Lucyana Malinowskiego.

Wiadomości, które w niniejszych zapiskach podaję, zebrałem podczas podróży po Szląsku, przedsięwziętéj w lecie r. 1869 dla zbadania miejscowych gwar ludowych. W ciągu trzech miesięcy, które przepędziłem w różnych okolicach Szląska, chodząc ode wsi do wsi, zapisując powieści i pieśni, ciągle między ludem, miałem sposobność przypatrzyć się blizko jego bytowi i stosunkom, wśród których żyje. Dla tego też, jeżeli opis mój nie przedstawi dokładnie wszystkich stron życia Szlązaków polskich, będzie on zawsze wiernym obrazem własnych moich spostrzeżeń. Podaję to, com widział i jak widziałem. Jeżeli zaś w czémkolwiek mylić się mogę, to słuszna, aby lepiéj rzeczy świadomi błędy moje wykazali i sprostowali.

I.

Wrocław, dnia 31 maja 1869 r. —

Stacya Modrzejów.... Paszporty zawizowano, posażerów nakarmiono, rzeczy wyekspedyowano. Jeszcze tylko urzędnik komory z żandarmem odda pożegnalne wizyty w wagonach — a za chwilę znajdziemy się w granicach Związku północno-niemieckiego. Wyznam szczerze, że z bijącém sercem wjeżdżałem do kraju, który miał być przedmiotem mych badań. Słyszałem ja już cuda o Szląsku; o jego fabrykach, wysokoposuniętéj uprawie pól, która uderza szczególniéj podróżnego; za-

smuconego widokiem żyznych pustyń Królestwa... I rzeczywiście; jakiż rażący kontrast! Już na wstępie uderza cię ruch, krzątanie się; piękne budynki, jakie tylko w Prusiech zdarzyło mi się widzieć. Znać pewną szkołę w charakterze budowli pruskich. Czuć tu Schinkla w najmniejszéj wiosczynie,| w skromném partykularném miasteczku.

Zaraz przy wjeździe otacza cię czarny pył węgla i jego zapach. Na stacyach mnóstwo szyn do mijania się wozów, masy robotników, ludzi wsiadających i wysiadających, są dobitnemi objawami szybko pulsującego życia. Widać zaraz, że przedsiębiorczy przemysłowiec przyszedł tu zakłócić spokojną pracę rolnika, zbogacając się, kto wie, czy nie z jego krzywdą. — Zielone jak przejrzał niwy, z niemiecką starannością uprawione; nigdzie odłogu, każdy kawałek ziemi zużytkowany, świadczą o zabiegliwości i dobrobycie ludu.

W Katowicach, gdzie trzeba dwie godziny czekać na pociąg krakowski, wyszedłem zwiédzić osadę, nowo podniesioną do godności miasta.

Tu, zaraz na wstępie, widać, jak stare porządki ustępują nowym. Budynki nowe i piękne wypychają nizkie, drewniane, zapadłe chaty. Staranny bruk zastępuje stare błoto, chroniące się w boczne ulice; i... powiédzmy prawdę, żywioł niemiecki, ze swoją kulturą, *Kohlsauer-jung-frauen* *), szyldami na sposób berliński, rozpościera się kosztem zacofanych chłopków polskich.

Przemówiłem po polsku do jakiejś staruszki. Z radością przystanęła i poczęła mnie objaśniać: że miasto dopiero się zakłada, że niedługo stare chaty z czarnemi dachami ustąpią miejsca pięknym domom. Babka wyszła na ulicę, zawołać swego urwisa wnuka, i... zaczęła go łająć po niemiecku, choć chłopak dobrze umiał po polsku. Przypomniały mi się nasze damy i ich francuzczyzna.

To pierwsze spotkanie wcale niekorzystnie mnie usposobiło i mało sobie robiłem nadziei, czy znajdę jeszcze na Szląsku polskie bajki i pieśni.

Droga żelazna górno-szląska aż do Gliwic i daléj ku Koźlowi biegnie wśród okolicy zapełnionéj hutami. Co chwila błyskają tu i owdzie na horyzoncie jakby łuny pożarów. Są to piece różnych fabryk. Widok jednak wiosek ten sam co u nas. — Znać, że to ten sam lud polski rozsiadł się na łanach i uprawia je od lat tysiąca.... Gdzie niegdzie tylko zwraca uwagę w rzędy ustawiona gromada kamienic czerwonych, ale jéj jakoś nie do twarzy wśród starych odwiecznych sadyb słowiańskich. Są to nowe kolonije fabryczne przez niem-

*) Tak berlińczycy nazywają dziewczęta, sprzedające wodę sodową.

ców założone. Największa z nich w powiecie gliwickim należy do Borsiga.

Do Wrocławia przybyłem o godz. 10 wśród rzęsistego deszczu.

Dnia 1 czerwca.

Na pierwsze wejrzenie Wrocław przypomniał mi Berlin. Ten sam porządek niemiecki, też spokojność. Co uderza przedewszystkiém we Wrocławiu, to tak rozwinięte kramarstwo. Mimowolnie nasuwa się pytanie: z czego ci handlarze żyją i komu towary sprzedają? gdyż ruchu przejezdnych, na których drobny handel zwykł czychać, wcale tu nie znać.

Pierwszym moim krokiem we Wrocławiu było odwiedzenie profesora języków słowiańskich w tutejszym uniwersytecie Dra Nehringa, do którego miałem list od profesora Mierzyńskiego z Warszawy. Szanowny autor Historyi literatury polskiéj przyjął mnie bardzo uprzejmie. Prosiłem go o wskazówki i rekomendacye do duchowieństwa i innych osób na prowincyi. Na nieszczęście prof. Nehring, jako świeżo przybyły z Poznania, mało sam posiada stosunków, któreby mi mogły być pomocne. Polecił mnie więc prof. Grühnagenowi, ks. Augustowi Knoblichowi asesorowi, a przedewszystkiem Aug. Mosbachowi; do tego też ostatniego udałem się zaraz.

Czcigodny historyk, gdym mu oświadczył o celu podróży, szczerze zainteresował się sprawą i, z wrodzoną mu uprzejmością, uczynił wszystko, co tylko było w jego mocy. Przedewszystkiem dostarczył mi cennych materyałów statystyczno-etnograficznych; a następnie zaprowadził mnie do prof. Grünhagena, ks. Aug. Kuoblicha i ks. Dra Kraińskiego. Wszyscy trzej opatrzyli mnie mnóstwem rekomendacyj do wiejskiego duchowieństwa i innych osób wpływowych na prowincyi.

Ks. Kraiński jest to ciekawa osobistość. Przed trzydziestym rokiem adwokat w Warszawie, następnie żołnierz, po wielu przygodach dostał się nakoniec do Rzymu i w 50 roku życia wstąpił do seminaryum.... Tu, jak powiada, stawiano go zawsze jako wzór pilności młodszym współkolegom. Po skończeniu seminaryum był podobno wysłany do Anglii, jako kaznodzieja; a w końcu dostał się do Wrocławia, gdzie mu Biskup wyrobił przy uniwersytecie miejsce honorowego lektora języka polskiego. Nie miał podobno zacny

*) Niech mi wolno będzie tu na tém miejscu wyrazić serdeczne podziękowanie p. Mosbachowi, równie tym wszystkim, którzy bądź to radą, bądź rekomendacyą ułatwili mi zbadanie gwar ludowych.

doktór nigdy wielu słuchaczów; a teraz, starzec ośmdziesięcioletni, nie chodzi już do uniwersytetu, tylko w domu ćwiczy w języku polskim teologów, którzy chcą zostać kaznodziejami w Górnym Szląsku. Właśnie w chwili, gdyśmy nawiedzili staruszka, siedział nad książką z jakimś podżyłym aspirantem teologii.

Dr. Kraiński rozwijał był nader rozległą działalność literacką w różnych kierunkach; jużto w zakresie teologii, już gramatyki, a nawet występował z utworami poetyckiemi. Opowiadał nam właśnie, że świéżo wygotował gramatykę porównawczą sześćdziesięciu języków, między któremi ma być aż 20 słowiańskich! Gramatyka ta, według zdania autora, ma nieskończenie ułatwić naukę języków. Ubolewa autor, że nie może znaléźć na nią wydawcy.

* * *

Byłem na lekcyi profesora Nehringa w uniwersytecie. Właśnie czytał o Cyrylim i Metodym i o słowiańskiéj liturgii w zachodniéj Słowiańszczyźnie i w Polsce. Prof. Nehring wykłada po polsku. Audytoryum jego składa się wyłącznie z polaków, przeważnie z księztwa poznańskiego. Szlązacy wcale na te lekcye nie uczęszczają. Nie żyją oni z polakami z innych prowincyj. Czyja w tém wina, trudno odgadnąć. Górnoszlązacy studyują prawie wyłącznie teologią i po za zakres swych specyalnych studyów rzadko wychodzą.

Dnia 4 czerwca.

Bawię już we Wrocławiu dzień czwarty — a miasta dotąd nie obejrzałem. Cały czas zajmują mi wizyty i odpisywanie materyałów użyczonych mi przez p. Mosbacha.

Byłem wczoraj w teatrze. Dawano „Die Braut von Messina“. Pierwszy raz słyszałem chóry mówiące. Wrażenie dziwne, lecz nieprzyjemne. Zastanowiło mnie oświetlenie sceny.

Śladów polszczyzny we Wrocławiu mało; niekiedy tylko spotkać się można z przekręconém nazwiskiem polskiém na szyldzie. Między klasą służących muszą być jednak mówiący po polsku, gdyż w jednym z kościołów bywa polskie kazanie.

Czas już wyruszyć na wędrówkę. Najtrudniejsza ułożyć plan podróży, gdyż przedewszystkiém uwzględnić mi wypada te miejscowości, do których mam rekomendacye. — Po długim namyśle postanowiłem udać się do Raciborza i zbadawszy tę okolicę, posuwać się daléj w gzygzak ku północy. Zaopatrzyłem się w wyborną kartę etnograficzną państwa pruskiego Boelka *(die Sprachkarte vom Preus-*

sischen Staate von Boeck), którą przyjąłem za podstawę swych studyjów.

Huty-Królewskie (Königshütte), dnia 6 czerwca.

Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi. Wybrałem się do Raciborza, a zajechałem w stronę przeciwną, w okrąg bytomski. A stało się tak: wyjechałem z Wrocławia w towarzystwie jakiegoś kupca poznańczyka, z którym rozpocząłem polską rozmowę. Kiedy ten na jednéj stacyi wysiadł, przysuwa się do mnie jakiś jegomość, siedzący obok, i przemawia po polsku, jakkolwiek poprawnie, jednak z odcieniem szląskim. Z rozmowy okazało się, że towarzyszem moim jest Karol Miarka księgarz i redaktor czasopisma „Katolik". A miałem właśnie do niego rekomendacyą od p. Mosbacha. Z Koźla więc, zamiast na południe do Raciborza, pojechałem z p. Miarką w okrąg bytomski.

Około godziny jedenastéj przybyliśmy do Hut-Królewskich. Jest to osada, równocześnie z Katowicami zamieniona na gminę miejską. Huty-królewskie liczą do 18 tysięcy mieszkańców. Wzrost téj liczby zawdzięczają kopalniom węgla kamiennego, żelaza i galmanu. Fabryki tutejsze należą do korony. Nowo erygowane miasto, powstałe ze wsi, zabudowane jest w kilka długich ulic. Każdy domek otoczony ogrodem. Ulice oświetlone gazem, co stanowi dziwny kontrast z ogólnym wioskowym charakterem osady.

Królewskie-Huty, zwane téż podług źródeł urzędowych Heiduk, (ludność miejscowa téj nazwy nie używa, ja przynajmniéj nie słyszałem), posiadają dwa kościoły, katolicki i protestancki. Ostatni mało uczęszczany, gdyż, oprócz nieznacznéj liczby urzędników górniczych, cała masa ludności jest katolicka. Przed niedawnym czasem założył tu Karol Miarka księgarnią i czytelnią polską i począł wydawać polski tygodnik pod tytułem „Katolik".

Jak już wspomniałem, do Hut-Królewskich przyjechaliśmy w nocy. Ognie hutnicze żywo oświecając okolicę, nadawały całemu widokowi oryginalny charakter.

Dnia 7 czerwca.

Wczorajszy dzień, niedziela, ciekawy był dla mnie, gdyż masa okolicznego ludu w świątecznych, a więc typowych strojach, zbiera się do kościoła. Stąd pole do spostrzeżeń.

W Hutach-Królewskich znaleźć można przedstawicieli wszystkich okolic górnego Szląska, gdyż zarobki przy fabrykach zgroma-

dzają ze wszystkich stron robotników. Spory kościółek, w stylu prostym lecz dosyć ładnym, nie mógł pomieścić pobożnych. Pogoda była cudna, czerwcowa. Kazanie na cmentarzu. — Kilkotysięczny tłum polskiego ludu w świetnych strojach, ksiądz mówiący po polsku — wszystko to dziwne na mnie czyniło wrażenie. Zapomniałem, że się znajduję w prowincyi, należącéj do Związku północno-niemieckiego.

Po kazaniu nastąpiła wielka msza. Jak w całych Niemczech, tak i w Prusiech jednym z ważnych przedmiotów ukształcenia elementarnego jest nauka śpiéwu. Każdy człowiek jest tu do pewnego stopnia muzykalny. Nic więc trudnego podczas nabożeństwa urządzić chór z całéj masy ludności, znajdującéj się w kościele. I tutaj więc śpiéwali wszyscy podczas mszy przy towarzyszeniu organów. Nie były to jednak przeraźliwe krzyki, dające się słyszeć po naszych wiejskich kościółkach, lecz śpiew poważny i uroczysty.

Po nabożeństwie wielu ludzi zachodziło do księgarni, jeszcze wyglądającéj niezbyt okazale. Jedni brali „Katolika“, inni „Zwiastuna górnoszląskiego“; kupowali książki, prawie wyłącznie do nabożeństwa i płacili za nie nawet po dwa talary.

* * *

Głównem mojém staraniem jest zbliżyć się do ludu, mówić z nim, lecz dotąd jakoś mi się nie udaje. Pragnąłbym jak najrychléj rozpocząć badania językowe, a nie wiem, jak się wziąć do tego. Miarka, do którego się zwracałem o pomoc i pośrednictwo, nie pojmuje widocznie, czego żądam od niego. Czuję, że znajduję się w położeniu fałszywém, że mi niedowierzają, pomimo rekomendacyj wrocławskich. Wielu nie może pojąć, jak to taki słuszny człowiek włóczy się po kraju, aby zbierać bajki. Tego poczciwi Szlązacy od przodków nie słyszeli. Miarce moje żądania wydają się tak trudnemi do spełnienia, że aż śmiech bierze.

Dziś rano, przechadzając się po miasteczku, zawiązałem rozmowę z cieślami, zajętymi robotą, wypytując o nazwy różnych narzędzi. Wtém przysuwa się jakiś stolarz, szlązak, lecz od lat wielu zamieszkały w Częstochowie. Poznawszy, żem polak, wziął mnie na bok i ze współczuciem począł wypytywać o moje losy, widocznie biorąc za emigranta. Z wielką trudnością zdołałem wywiéść go z błędu i to aż za pomocą paszportu. Tego rodzaju nieporozumienia na każdym kroku.

* * *

Tu słówko o ubiorach. W bytomskim okręgu ubiór mężczyzn ma być prawie taki, jak przyległych okolic Królestwa z okolic Będzina, różni się zaś wybitnie od odzieży mieszkańców innych okolic Szląska. Noszą tu kapelusze czarne zajęcze, z nizkiém denkiem i nadzwyczaj szérokiemi skrzydłami. Za ubranie służy westa, rodzaj żupana bez rękawów z połami, granatowa z amarantowemi wyszywaniami koło guzików; guziki są mosiężne małe — na jeden rząd. Na to wdziéwają kamuzolę, t. j. surdut także granatowy z rękawami, trochę dłuższy od westy, amarantowo wyszywany koło guzików i kieszeni. Spodnie (galoty) obcisłe, łosiowe, w buty, których cholewy sięgają do kolan. Ogół tego stroju wydaje się dobrze. Ubiór kobiét nie przedstawia tu nic wybitnego. Mężatki noszą czepce białe, z białemi wstążkami, obszytemi karbowaną listewką; wstążki te spływają po obu stronach na szyję i zataczają półkole łącząc się ze sobą na piersiach. Ubiór stanowi koszula zwykła, chustka, lub kaftanik granatowy z rękawami (jakla) i spodnica z fartuchem kolorowym.

Przed wieczorem zaprosił mnie Miarka na posiedzenie towarzystwa, które właśnie pod nazwą: „Kasyno katolickie“, zawiązywało się w Hutach. Udaliśmy się do głównéj oberży. Tu w obszernéj sali na piętrze zastaliśmy zgromadzonych kilkuset ludzi. Oczekiwano proboszcza — a jak tu nazywają, fararza. Wkrótce nadszedł w towarzystwie dwu kapelanów i rektora, t.j. organisty-nauczyciela. Posiedzenie się zaczęło — ksiądz Deloch wszedł na stół i przemówił do zgromadzonych — objaśnił i przedstawił im znaczenie i doniosłość zawiązać się mającéj instytucyi, wskazał za przykład niemców ewangielików, którzy już od dawna zawiązali towarzystwa mające na celu wspólną rozrywkę i naukę .i wezwał do licznego udziału w nowo tworzącém się kasynie. Inicyatywa ta i zachęta ze strony duchownego była bardzo ważna i dobroczynna dla pomyślności towarzystwa. Lud tutejszy tak jest oddany duchowieństwu i ulega tak silnemu jego wpływowi, że bez jego poparcia żadne przedsiewzięcie, bądźto literackie, bądź społeczne udać się nie może. Tém dadzą się objaśnić tytuły, jak czasopismo Katolik, Kasyno katolickie i t. p.

Po księdzu zabrał głos Miarka. Jak w wielu innych przedsięwzięciach, tak i tu jest on głównym popieraczem a nawet wyłącznym założycielem. — Po stósownéj przemowie odczytał projekt do statutu przyszłego towarzystwa.

Według statutu, kasyno ma być miejscem zabawy dla miejscowéj i okolicznéj ludności polskiéj — program obejmował koncerta, odczyty, przedstawienia sceniczne, wycieczki wspólne. Pomysł i przeprowadzenie przejął Miarka od cieszyńskiego stowarzyszenia, które już istnieje od lat kilku pod nazwą: „Czytelnia ludowa“.

Wyznać należy, że zebrani niedostatecznie rozumieli o co idzie. Lecz widząc na czele przedsięwzięcia pana fararza i Miarkę, który jako redaktor „Katolika“ zyskał sobie już zaufanie w okolicy, nikt nie występował jawnie przeciwko projektowi. Tylko jakiś rzemieślnik począł się kłócić po niemiecku z sąsiadami, a nareszcie wypowiedział obawę, czy towarzystwo nie będzie bruździło „Gewerbevereinowi“ (stowarzyszenie rzemieślników z charakterem czysto niemieckim) do którego pod karą wszystka młodzież rzemieślnicza należeć i uczęszczać jest obowiązana. Załagodziwszy oponenta i odwróciwszy szczęśliwie burzę, przystąpiono do wyboru prezesa i wydziału. Gdy fararz godności nie przyjął, wybór na prezesa padł naturalnie na Miarkę.

Po zamknięciu posiedzenia zostałem w sali jeszcze jakiś czas z Miarką, zbliżając się do gwarzących i przysłuchując się rozmowom. Miarka rozmawiał ze wszystkimi, żartował i widać było, że we wszystkich kołach cieszy się uznaniem i szacunkiem. Mnie najwięcéj zajmowała mowa poczciwych Szlązaków. Z początku jednak obserwacye szły jakoś trudno. Tym razem zanotowałem tylko ustęp z rozmowy młodego rzemieślnika z miasta z wieśniakiem. Sprzeczali się, jak lepiéj mówić: wy, czy oni. Zdecydowano nakoniec, że wy przystoi wieśniakom, a oni mieszczanom.—Mówią tu bowiem zwracając się do drugiéj osoby, jeżeli chodzi o grzeczne wyrażanie „niech sobie sięda — a skąd oni są“; „że ich rzecz mało się różni od naszéj“ — wpływ to niemczyzny. Lud jednak między sobą używa słowiańskiego „wy“.

Dziś rano wybrałem się piechotą do Michałkowic, wioski odległéj o pół mili od Hut-Królewskich,. Miałem tam rekomendacyą do miejscowego proboszcza, księdza Stabika. Ks. Stabik jest autorem polskiego dziełka p. t.: „Podróż do Włoch“. W przedmowie oświadcza, że jakkolwiek nie umié, pisze jednak po polsku dla górnoszlązaków. Mówił mi ks. Kraiński, że ks. Stabik usiłował był stworzyć oddzielny język piśmienny szląski, oparty na języku ludowym. Lecz usiłowania te rozbiły się, pominąwszy inne (jak np. niechęć ludu samego), już o tę nieprzełamaną trudność, że gwar ludowych na Szląsku jest niezliczona ilość. Byłoby to więc narzecze jednéj okolicy, narzucające się innym.

Ks. Stabika nie zastałem, wyjechał był do wód. Kapelan (wikaryusz) natenczas zajęty był pogrzebem, po którym zaraz nastą-

pił ślub jakiéjś pary ze wsi sąsiedniéj. Dziwny zbieg okoliczności: na samym wstępie studyów byłem świadkiem smutku i wesela.

Zauważyłem, że podczas ślubu druchna położyła na głowy nowożeńców małe wianki mirtowe, wielkości talara, a ksiądz przełożył tylko te wianki, nie zamieniając wcale pierścionków. Objaśniono mi, że wianków tych zamiast obrączek używają tylko mniéj zamożni. — Zdaje się jednak, że zwyczaj ten sięga odległéj, kto wié, czy jeszcze nie przedchrześcijańskiéj starożytności. Zwrócić należy uwagę, że u Słowian obrządku wschodniego użycie koron czyli wieńców jest powszechne.

Po skończonym obrzędzie ksiądz Wendzioch, z gościnnością prawdziwie polską, ofiarował mi swe usługi. Przedstawiłem mu się (naturalnie po niemiecku) jako gramatyk z Warszawy; oświadczyłem, że przedsięwziąłem podróż po Szląsku dla zbadania właściwości języka ludowego; nakoniec, okazawszy rekomendacye wrocławskie, prosiłem o współdziałanie w badaniach. Chodziło mi o zabranie znajomości z jakim staruszkiem, któryby umiał bajki. Posłano zaraz po jednego, Marcina Lizonia, starego żołnierza z czasów wojen napoleońskich. Z początku staruszek wzdrygał się nieco; nie wiedział, czego właściwie żądają od niego. Lecz powoli, przy szklance piwa, zachęcony udziałem kapelana, ośmielił się w końcu i rozgadał. Ojciec kapelana dotrzymywał nam kompanii. Naprowadziłem rozmowę na czasy napoleońskie — i tém zaczepiłem osłabłą stronę starego żołnierza. Począł tedy rozprawiać o Napoleonie, o wyprawach przeciwko Francuzom. O pochodzeniu Napoleona, o przyczynach wojen z cesarzem zabawne rzeczy opowiadał. Oto są jego słowa [1]: „Bonapart był szewski syn, a potém służył w wojsku, nareszcie został królem francuzkim. Chciał się ożenić i to koniecznie z cesarską córką. A że cesarz p r y n c e s y dać nie chciał szewskiemu synowi, Bonapart wydał mu wojnę i już do Wiédnia chciał wléść. Wtedy cesarz oddał mu córkę i zrobili zgodę“.

Koło obiadu przyjechał jakiś ksiądz proboszcz z sąsiedztwa. Rozmowa toczyła się między księżmi tylko w języku niemieckim. Zapytałem przybyłego, czy mówi po polsku, więcéj przez grzeczność, gdyż wątpliwości nie ulegało, że mówić musiał; inaczéj bo-

[1] Wszystkie przytoczone tu utwory fantazyi ludowéj, powieści i pieśni, wykładam w języku piśmiennym, usuwając, o ile się da, prowincyonalizmy. Gramatyczne przedstawienie właściwości języka ludowego na Szląsku będzie przedmiotem oddzielnéj pracy, do któréj dołączony zostanie zbiór powieści i pieśni, obejmujący około 25 arkuszy druku, podług pisowni ściśle fonetycznéj, uzasadnionéj przez księdza Fr. Ks. Malinowskiego.

wiem nie mógłby pełnić obowiązków kapłana wśród ludności czysto polskiéj. „Ja, odrzekł, ich spreche polnisch, aber nur für das Volk“.

Wyszedłem przyjrzeć się wsi.— Michałkowice, jak i kilka innych wsi, przez które przechodziłem — stanowią osadę dosyć rozległą. Wieś składa się z jednéj lub kilku prostopadłych do siebie lub równoległych ulic. Po obu stronach ulicy stoją domy, stare zwykle z drzewa, nowe z cegły; kościół wznosi się najczęściéj w środku wsi. Zagroda składa się z domu mieszkalnego, stodoły i obory dla dobytku. Budowle te zwykle rozłożone są w sposób następujący. Całą zagrodę otacza płot; środek zajmuje obszerne podwórze prostokątne, połączone z ulicą wrotami i furtką. Z jednéj strony tego podwórza stoi dom mieszkalny, szczytém do ulicy, a frontem do podwórza zwrócony. Naprzeciw domu stoi obora, z różnemi przystawkami, a w głębi podwórza stodoła. Za stodołą rozciąga się ogród owocowy i warzywny — daléj pole. Dom składa się z sieni, jednéj lub dwu izb i komory, stanowiącéj rodzaj domowego skarbca, gdzie chowają skrzynie z odzieżą, cenniejsze sprzęty itd.

Zaszedłem do chaty Lizonia, który przyrzekł mi był opowiedzieć kilka ciekawych bajek. Staruszek był wycużnikiem (Auszügler), to jest oddał gospodarstwo dzieciom, wymówiwszy sobie od nich utrzymanie i mieszkanie. Dzieci więc zajmowały cały dom. Staruszkowi zaś zostawiły szczupłą izdebkę. Zabrałem się zaraz do zapisywania opowiadanych powieści. Podaję tu jednę z nich, noszącą na sobie cechy głębokiéj starożytności.

„Jeden król, opowiadał Lizoń, miał bardzo piękną pryncesę; obiecał za nią pół królestwa. Drugi król miał trzech synów, dwaj byli mądrzy a jeden głupi. Król ów obiecał wydać córkę za tego, kto przyjedzie po nią nie na wozie, nie w karécie lecz w łodzi i to nie po wodzie lecz po ziemi. — Najstarszy z owych braci poszedł do lasu po drzewo na łódź. Spotkał tam staruszka. Dziadek pyta go, czegoby szukał? „Co ty mnie pytasz dziadzie, odparł opryskliwie królewicz, nic ty mi nie pomożesz“. „Róbże, rób! odparł dziadek i odszedł. Królewicz zrobiwszy łódź, chciał jechać, lecz łódź nie ruszała z miejsca. Wrócił więc z niczém do domu. — Wybrał się brat młodszy. Obrał piękną sosnę, ściął ją i wziął się do roboty. Idzie ku niemu staruszek i mówi: „Boże dopomagaj“. Ten na to: „co ty mi pomożesz“. — „Róbże rób“ — rzekł dziadek i odszedł. Królewicz zrobił łódkę, ale ta nawet z miejsca nie ruszyła. Wrócił więc z niczém do domu. Przyszła kolej na głupiego. Ten wziął sobie

chleba, pieczeni i poszedł do lasu. Chodzi i szuka krzywéj sosny, aby mniéj ciesał. Idzie dziadek i pyta go: „Młodzieniaszku, czego szukasz?“ — Mój dziadku, powiada królewicz, gdybyś mi doradził albo pomógł — mam ja tu chléb i kawałek pieczeni, zjemy sobie śniadanie. — Połóż się synu — rzecze dziadek, bo to zrobiemy zaraz. Królewicz zasnął, a dziadek zrobił łódź, obudził go i mówi: „Siadaj na tę łódź, przeżegnaj się, a jedź do domu z Panem Jezusem. Jak przyjedziesz do domu, braciom siadać nie dawaj, tylko sam jedź. W drodze spotkasz jednego co będzie stał w kupie kości, a będzie płakał, że mu się chce jeść, a będzie gryzł te kości, weź go z sobą, bo ci się przyda. — Spotkasz drugiego, co będzie stał w kupie ognia, a będzie płakał, że mu zimno; toż go weź z sobą, bo ci się przyda. — Potém spotkasz trzeciego — będzie leżał przy morzu, a będzie płakał, że mu się chce pić, toż go weź z sobą, bo ci się przyda, a będzie kulawy. Tak zajechał do tego króla o 1széj po południu. A było trzysta mil. — Tak ów król odpowiedział. Nie sztuka, żeś przyjechał na łodzi, ale twoja matka musi tu być przy stole na wieczerzy o 6téj godzinie: inaczéj stracisz życie. — Idzie tedy królewicz do swoich i lamentuje. Kulawy mówi do niego. Królewiczu! powiédz królowi, żeby wieczerza była gotowa o pół do szóstéj — ja co stąpię, to mila — co skoczę, to dwie. Pobiegł kulawy i na pół do szóstéj matka była przy stole królewskim. Król powiada: jużeś wykonał jeden warunek—ale to jeszcze niedość — w nocy będziesz leżał w żelaznéj izbie. — A kazał napalić, że była czerwona, Idzie smutny królewicz do swoich i mówi im, że będą spali w rozpalonej izbie. Ten, co stał w kupie ognia, powiada: idź królewiczu, powiedz królowi, żeby palili, bo zmarzniemy. Poszli do téj izby. A ten co stał w kupie ognia, chuchnął do izby — i zaraz zrobił się mróz i śnieg — że niemogli wytrzymać i krzyczeli że pomarzną. Skoro się król o tem przekonał, zadał królewiczowi trzeci warunek. Jutro, mówił, musisz zjeść trzysta wołów ruskich i wypić 300 wiader piwa. Zmartwił się królewicz, ale ten, co stał w kupie kości, prosił żeby dodano jeszcze trzysta, a drugi przyrzekł piwo wypić. Na drugi dzień zabrali się do jedzenia i picia, a mało im było. Król musiał już oddać córkę i pół królestwa królewiczowi. Żal mu jednak było dzielić się królestwem, wypuścił więc lwa na młodych, kiedy jechali do ślubu, i postawił wojsko z armatami, żeby zabiło królewicza. Ale przyjaciele i tu ocalili go, jeden z nich lwa rozszarpał, a drugi zadmuchał wojsko śniegiem. Po ślubie wyprawili piękne wesele — i ja też tam byłem i przyglądałem się“.

Zbliżał się wieczór. Czas był powracać do Huty Królewskiéj. Zachęcony pomyślnym rezultatem piérwszéj wyprawy, (zapisałem

19*

5, 166

cztery dosyć długie powieści), postanowiłem jutro jeszcze raz wybrać się do Michałkowic, ile że ks. Wendzioch przyrzekł mi drugiego staruszka także wojskowego, znanego we wsi gadułę.

III.

Pokazuje się, że o Szląsku miałem zupełnie fałszywe pojęcie, a zdaje mi się że u nas wielu podziela to przekonanie. Sądziłem że giermanizacya idzie tu szybkim krokiem, że Rząd używa wszelkich środków, aby żywioł polski wytępić. Tym czasem, według tego co widzę sam, a więcej jeszcze co słyszę od p. Miarki, rzeczy nie stoją tak źle. Już z wykazów statystycznych, udzielonych mi łaskawie przez p. A. Mosbacha wnosić można, że zniemczenie po wsiach prawie wcale nie postępuje. Nie chcę tu nudzić czytelnika cyframi i odkładam na inny raz szczegółowe opracowanie materyałów, które posiadam. Tu tylko przytoczę stosunek ludności w regencyi opolskiej z trzech lat: 1834, 1846 i 1868.

I tak:	w roku 1834.	w r. 1846.	w r. 1868.
Polaków	468,691	568,582	744,189
Morawian	11,754	44,162	37,244
Czechów	1,366	1,573	4,367
Niemców	266,399	364,175	455,509
Ogółem	748,210	978,492	1,241,309

W cyfrach tych zastanawia fakt zbyt bystrego wzrastania ludności. Według danych niniejszych procent roczny przyrostu wynosiłby 8. Tymczasem normalnie powiększa się ludność według zdania statystyków w stosunku 3% rocznie. Powiększanie się ludności niemieckiej dałoby się jeszcze objaśnić przybywaniem żywiołu napływowego; lecz polska ludność nie przybywa znikąd, tylko się rodzi. Cokolwiekbądź, faktem jest, że po roku 1815 ani jedna polska wieś nie zgiermanizowała się.

Na wieczornej przechadzce rozgadaliśmy się z p. Miarką. Opowiadał mi wiele ciekawych szczegółów, o tutejszych stosunkach, o stanie szkół, o swojej przeszłości literackiej i w ogóle o rozwoju literatury polskiej na Szląsku.

Według opowiadania p. Miarki szkoły ludowe, ale tylko ludowe, wszędzie gdzie ludność jest polska, są polskie; jakkolwiek uczą w nich i po niemiecku. Równie języka polskiego używają księża w kazaniach i naukach. W okręgu bytomskim tylko, gdzie są fabryki [illegible] tego przybywają masy robotników ze Szląska dolnego, są i na-

uczyciele niemieccy. Jednakże i w tych okolicach szkoły polskie mają przewagę stanowczą. Tak np. w parafii Huty Królewskiéj przed laty było dwu nauczycieli niemców a jeden polak. Dziś — dwaj niemcy zostali, a w szkołach polskich uczy przeszło czterdziestu nauczycieli.

* * *

Podaję tu niektóre bibliograficzne wiadomości, których mi udzielił łaskawie p. M.

P i s m a p e r y o d y c z n e.

Tygodnik Polski poświęcony włościanom. Pszczyna wyd. Szemel 1842—6.

Od roku 1848 wychodził w Pszczynie Tygodnik Górno-szląski wyd. równie Szemel. Najwięcéj pracował przy nim nauczyciel ewang. w Pszczynie. Pismo to miało kierunek dydaktyczny-gospodarski, zawierało także powieści, wychodziło lat parę.

Dziennik górnoszląski pod redakcyą p. Heneczka 1848. Później wydawał go J. Łepkowski w r. 1849. w Piekarach.

Ks. Fietzek wydawał w Piekarach listy Maryańskie i jeszcze jedno czasopismo, którego tytułu p. Miarka nie pamięta.

Obecnie na górnym Szląsku (w Prusiech) wychodzi dwa czasopisma tygodniowe. Zwiastun górnoszląski red. odp. ks. Purkop., nakład. i rzeczywisty redaktor p. Heneczek — pismo z a b a w n e nauczające i polityczne, wychodzi w Piekarach, i Katolik, dawniéj wychodził w Chełmnie pod redakcyą Chociszewskiego; od 1go Kwietnia r. b. (1869) ojbął redakcyą Miarka. Dotąd Katolik nie zawiera działu politycznego, lecz od 1go Lipca ma się stać pismem polityczno-naukowém.

Oprócz Lompy, działalność którego na polu literatury znana jest powszechnie, najpłodniejszym wydawcą na Górnym Szląsku był Nowacki w Mikułowie. Jego powieści o Brunświku, Meluzynie, Helenie i Genowefie, modlitewniki różnego rodzaju od lat 30 rozchodzą się na jarmarkach nietylko po Szląsku, ale i do innych prowincyj polskich. Wydania Nowackiego są bardzo tanie, gdyż sam autor jest zarazem drukarzem i nakładcą. Równie czynnym nakładcą jest p. Heneczek. Ks. Ant. Stabik, oprócz wspomnianej już podróży do Włoch, wydał kilka dzieł religijnéj treści. — P. Rostalski, nauczyciel Seminaryum naucz. ew. w Kluczborku wydał kilka powieści z życia królów pruskich.

Szląsk posiada także i swoich poetów. W r. 1867 wyszły w Chełmnie u Danielewskiego poezye Czesława Lubieńskiego (pseu-

donim). Wianek pieśni górnoszląskich. Poeta stoi na stanowisku patryoty górnoszląskiego. Kocha tę ziemię i wysławia jej piękności.

Karol Miarka (ur. 1825.) dopiéro w 1860 r. zaczął się uczyć po polsku w Pszczynie. Za owych czasów Pszczyna była jeszcze wskróś miastem polskiém. Teraz, według twierdzenia p. Miarki, mało kto mówi tam po polsku. Gimnazyum skończył Miarka w Gliwicach, seminaryum nauczycielskie w Głogówku. Pierwszą pracą jego na polu literatury była powieść drukowana w Gwiazdce Cieszyńskiej p. t. Klemensowa Górka. Rzecz wzięta z czasów apostolstwa na Szląsku ś. Klemensa, ucznia ś. Wojciecha. Zachęcony przychylném przyjęciem tej pracy przez pisma czasowe, wystąpił Miarka z broszurą polityczną p. t. Głos wołającego na puszczy górnoszląskiéj (Gwiazdka 1862, osobny oddruk 1865 w Poznaniu tłómaczona na morawski i serbołużycki). W broszurze tej odpiéra autor zarzuty niemców, jakoby lud polskoszląski nie był zdolny do przyjęcia oświaty w języku ojczystym; broni współziomków przeciwko szkalowaniom niemców i wzywa kapłanów i nauczycieli, aby nieopuszczali rąk i pracowali około oświaty ludu. Równie politycznéj i społecznéj treści jest broszura: Górnoszlązak i Wielkopolanin, wspomnienia z podróży. Gwiazdka 1865—6. W książce téj autor porównywa wady i cnoty Szlązaków i Wielkopolan. W artykule: Stosunek kościoła katolickiego i ewangielickiego na Górnym-Szląsku. autor wykazuje zasługi kośc. kat. około podniesienia narodowości polskiéj na Szląsku. Komedyjki. Kultura i sąsiedzi na granicy — mają równie za cel obudzenie poczucia narodowego na Szląsku. W ogóle prace p. M. zasługują na bliższy rozbiór i powinny zwrócić na siebie uwagę naszej publicystyki. Przebija w nich wszędzie najzacniejsza dążność i miłość kraju i ludu. W r. 1868 przyjął p. M. uczestnictwo w redakcyi Zwiastuna Górnoszląskiego, gdzie był nader czynnym pracownikiem. Artykuły jego obudziły wkrótce krzyk kulturträgerów, drżących na samę myśl obudzenia się poczucia narodowego w ludzie górnoszląskim. W jednym z artykułów w Zwiastunie uderza p. M. na brak poczucia polskiego w kapłanach i nauczycielach. Przeciwko temu wystąpił ks. Karol Pressfreund z filipiką, ktorą nadesłał do redakcyi Zw. Górnoszląskiego. Artykułu tego nie umieszczono; ponieważ zaś dosadnie charakteryzuje on usposobienie pewnej części duchowieństwa na Szląsku, podaję go tu w całości z zachowaniem stylu i języka.

„N. 38 aż do 42 Zwiastuna Górnoszląskiego zawiera w sobie „niejakie ubolewania nad zniemczaniem Górnoszlązaków, które mnie „do następującéj krótkiej odpowiedzi pobudziły.

„Pisarz owego artykułu okazał najprzód, iż wcale lud górno„szląski (sic) ani okoliczności i stosunki jego nie zna i pisał aby

„pisać. W Bytomiu ma być ten artykuł wypracowany? To pewna iż „z księży bytomskich żaden, a z obywateli tego miasta nikt marze-„nia tego nie jest autorem. Cóż się to znaczy ów wykrzyk: „je-„teśmy Polakami, a mamy się stać Niemcami!“ Któż nas to gwał-„tem niemcami chce uczynić? Rząd? zapewne nie, bo nakazuje uczyć „po wioskach jako téż po gimnazyach języka polskiego, aby ucznio-„wie, dokonawszy studye i dostąpiwszy urzędu publicznego z ludem „górnoszląskim rozmówić się, ich potrzebom w kościele i oprócz „kościoła zapobiedz mogli. Może sam lud górno-szląski narzeka „iż w szkołach zarazem z polskim językiem niemieckiego uczą? Kil-„kanaście lat miałem szkoły powiatu bytomskiego pod sobą, w tymże „powiecie niemal od roku 1829 zamieszkuję, lecz nigdy nie słysza-„łem narzekania, ale owszem żądania, a to po wszystkich wioskach „aby więcéj i skuteczniéj nauczać języka niemieckiego. Rodzice sami „na rewizyą szkoły przychodzili i o to prosili, aby synowie ich nie-„tylko w kopalni i we fabrykach, zwyczajnemi robotami trudnić się „musieli, ale nauczywszy się języka niemieckiego też lepszy kawałek „chleba zarobić sobie mogli. I słusznie! Wszyscy bowiem wyżsi urzęd-„nicy, tak przy kopalniach, jako i przy hutach niemcami są“. „Jakoż więc, chociażby tylko ku maszynie chcieli Górnoszlązaka posta-„wić, nie znającego języka niemieckiego, się z nim rozmówią, albo on „się z nimi ma rozmówić? Potrzeba tu zachodzi i to konieczna aby „chłopczyna niemieckiego języka się nauczył, jeżeli prostym robotni-„kiem zostać nie chce, inaczéj bowiem zaniedbanie języka niemiec-„kiego stanie się hamulcem do łatwiejszego nabycia chleba i życia. „Dla tego też owe twierdzenie, iż zaniedbanie języka przyrodzonego „ma być hamulcem postępu oświaty górnoszląskiej, za gadaninę bez „uwag i bez zastanowienia, bez względu na okoliczności poczytuję. „Niedaleko granica polska, lud za granicą niewinny, ale jego oświaty „pomimo języka polskiego najbiedniejszy Górnoszlązak sobie nie życzy „jak i to, aby rzeczywistym być polakiem: chłopek górnoszląski, aby „krótko mówić, ma język polski, ale serce pruskie. Na końcu, cho-„ciaż uczenie języka potrzebne jeszcze przez długie lata zostanie dla „blizkości granicy, niemieckiego języka nauczenie się w naszych kra-„jach zostanie nieuchronną kondycyą życia, Sądzę, że na tém dosyć „będzie. Ks. Karol P(ressfreund) rodzony Górnoślązak“.

Przytoczyłem list ten cały dla tego, że zdania w nim zawarte wyjęte są z pod serca tym wszystkim, którzyby chcieli za jakąbądź cenę zgiermanizować tę część ludności szląskiéj, która dotąd zachowała polską narodowość. Że lud sam, mając bardzo mało poczucia narodowości, skłania się ku niemczyźnie i pragnie, aby się dzieci uczyły języka niemieckiego jest rzeczą bardzo prawdopodobną. Wśród

takich okoliczności, kiedy tylko język niemiecki jest jedynym talismanem, otwiérającym młodzieńcowi drogę do zajęcia stanowiska w jakimkolwiekbądź zawodzie, nic dziwnego, że rodzice pragnęli by dzieciom zapewnić przyszłość najświetniejszą. Lecz właśnie ten potworny stosunek ludności miejscowéj do przybyszów, którzy narzucają jéj swój język, a trzymając przeto na nizkim stopniu oświaty eksploatują zjéj uszczerbkiem kraj tak bogaty, oburzać musi, i w końcu wywoła reakcyą.

Ksiądz Pressfreund, a z nim wielu zapewne Szlązaków, domaga się, aby dzieci polskie na Szląsku uczyły się po niemiecku i to w widokach praktycznych. Rzecz dziwna, dlaczego ci panowie nie zadadzą sobie pytania, czyby nie można kwetsyi postawić wcale inaczéj. — Czyżby nie słuszna była, aby w prowincyi, gdzie ludność polska dochodzi do miliona, istniały zakłady naukowe średnie i wyższe z wykładem polskim, gdzieby młodzieniec, nie wyrzekając się swego języka mógł wykształcić się na użytecznego obywatela i zdolnego specjalistę.

Ci panowie zapominają, że wszelkie wynarodowienie, przez usunięcie języka narodowego ze szkoły, kościoła i urzędu, zwłaszcza tam, gdzie zaginęła inteligencja narodowa, jak to n, p. ma miejsce na Szląsku, pociąga za sobą tylko ten smutny objaw, że z pośród masy ludności wychodzą pojedyncze indywidua, przyswajają sobie język i dążności narodu panującego, lecz tym samym stają się obce swemu ludowi i opuszczają jego szeregi. Lud zaś, nie mając przewodników, którzy by mu wskazywali drogę postępu w rodziméj cywilizacyi, traci powoli zdolności, tępieje, i w końcu wytwarza ciemną massę bez przyszłości i nadziei rozwoju. Jest to faktem niezaprzeczonym, że żaden naród nie rozwinął przyrodzonych swych zdolności i energii, jeżeli musiał się kształcić w języku obcym, i dopóki poczucie narodowości drzémało w nim uśpione. Naród, aby mógł się stać użytecznym czynnikiem w dziejowym pochodzie ludzkości, musi przyjść do świadomości o sobie samym jako indywiduum narodowe. Jest to znaczące zjawisko, że właśnie w wieku tak sprzyjającym ideom kosmopolitycznym, w wieku kolei żelaznych i telegrafów, w wieku wszystko niwelującego postępu — najsilniéj obudziło się i budzi się co chwila poczucie i samowiedza narodowa, nawet w takich ludach, gdzie się nawet iskry życia nie domyślano.

Byłem ciekawy, czy owo „gente polonus, natione prutemus“, czy zdanie ks. Pressfreunda że „chłopek górno-szląski, ma język polski lecz serce pruskie“ jest prawdziwe. Mam nadzieję, że powędrowawszy po Szląsku tędy i owędy, będę miał sposobność przekonać się o ile „prusactwo“ zapuściło korzenie w serca Górno-szlązaków.

Że służba wojskowa, najsilniejszą tu wywiera propagandę, nie ulega wątpliwości. Opowiadał mi p. Miarka, że nawet ów znany hymn pruski:

„Ich bin ein preusse kennst du meine farben“?...

spolszczono, i nieraz słyszeć można w Hutach, jak podpiły patryota pruski wyciąga ochrypłym głosem:

„Ja jestem prusak, czy znasz moje farby“?...

Bądź co bądź, poczucie narodowe, jakkolwiek słabo, budzić się jednak zaczyna w Górnoszlązakach. Spodziewać się należy, że i usiłowania ludzi takich jak Miarka, nie będą bezowocne. Redaktor „Katolika“ ma przed sobą wielkie zadanie, spodziewać się należy, że w pracy nie ustanie: tém więcéj', że znajduje poparcie w zacnym p. Stalmachu redaktorze „Gwiazdki Cieszyńskiéj, z którym łączą go węzły ścisłéj przyjaźni.

* * *

Dnia 8 czerwca.

Dziś wybrałem się znowu do Michałkowic. Zaprowadzono mnie zaraz na drugi koniec wsi do mieszkauia Szymona Tomanka. Izba, do któréj wszedłem, ma dwa okna. Zaraz u drzwi na lewo stoi komin; daléj ogromny piec. Na ścianie, naprzeciw drzwi w kącie, wiszą obrazy. Łóżko w przeciwległym kącie izby, stół, ławy, wysoka skrzynia i szafa z naczyniem stanowiły sprzęty izby. W izbie siedział Tomanek, wysoki, jeszcze krzepki starzec, żona zajęta była obiadem; u kolebki siedziała synowa. Wchodząc do izby, powitałem obecnych zwykłym, niech będzie pochwalony; „na wieki“ odrzekł starzec — „witajcie pięknie do izby“. Jest to zwykłe powitanie. — Powołując się na rekomendacyą księdza Wędziocha, oświadczyłem gospodarzowi o celu swoich odwiedzin. Starałem się ująć staruszka, schlebiając mu pochwałą jego roztropności i wiedzy. Staruszkowie przyjęli mnie serdecznie i uprzejmie. Koniecznie musiałem zjeść talerz mleka, za który na żaden sposób nie chcieli wziąść zapłaty. Dla rozochocenia staruszka posłałem po wódkę. Kiedy wytłumaczyłem Tomankowi, o co mi głównie chodzi, i począłem opowiadać bajkę zapisaną u Lizonia, naśladując już szląski sposób mówienia, staruszka zauważyła: „Słuchajno Szymonie, już ja wiem, to z tego pewno będą zwiastuny. — A oni czytali nasze zwiastuny? zwróciła się do mnie, wydobywając zasmolony plik numerów Zwiastuna górnoszląskiego. „Czytałem, moja Szymonowo, a z bajek, które mi opowiecie, zrobię całą książkę, którą będziecie czytali i wy i wasze dzieci, i bardzo wielu innych ludzi. — A w książce téj zapiszę, że taką pię-

kną powieść słyszałem u Szymona Tomanka w Michałkowicach. Co się zapisze, to już nie zginie. Między młodymi ludźmi teraz coraz to mniéj bajek, wstydzą się je opowiadać.“ „Oj prawda, prawda, mówiła Szymonowa, dawniéj dziewczęta schodziły się na prządki, do jednego gospodarza, siedziały do północy. Przychodzili i parobcy, bawili się razem, śpiewali pieśni, opowiadali bajki. Jak kilka niedziel tak chodzili, to potem urządzili takie siudowajki, takie wesele, na świętego Szczepana. To była pierwsza zabawa po Bożem Narodzeniu. Tam pili, tańcowali, śpiewali pieśni *frantowskie* (wesołe, świeckie)“.— „Oj tak, tak, dodał Tomanek, dawniéj było lepiéj. — Teraz na taką zabawę trzeba mieć pozwolenie policyi, a pół twardego daj; a idzie pachołek po wsi i krzyknie sobie, zaśpiewa jak tam umié, to go zaraz szandar (żandarm) aresztuje, ściąga karę! Oj takie nieszczęsne czasy nastały. — Ale i naród taki desperacki (zły, niepoczciwy), wiedzą, że kara ich nie minie, a biją się. Brat na brata, syn na ojca powstaje. Oj nie dobrze, niedobrze!“ — Pokiwał smutnie głową stary — i wypił na frasunek kieliszek wódki. Znać mu dolega jakiś smutek. Dowiedziałem się późniéj, jak się stary rozgadał, że go w istocie zdradził i to własny zięć. — Według zwyczaju, równie jak Lizoń Tomankowie na starość żyli na wycugu, t. j. oddali dzieciom cały statek (gospodarstwo). Dla siebie zastrzegli tylko utrzymanie. Mieli zaś syna i córkę. Córka wyszła za mąż i wkrótce umarła. Zięć objąwszy gospodarstwo ożenił się z inną, i tak majątek Tomanków przeszedł w obce ręce. — Kiedy zrobiłem uwagę, poco za życia oddawać dzieciom całe gospodarstwo, odpowiedziano, że czynią to powszechnie z konieczności; starzec bowiem nie podoła prowadzić gospodarstwa z taką energją, jak młody; lepiéj więc cieszyć się małym dochodem, byleby majątek nie marniał.

Tomanek, rozochociwszy się, począł mi dyktować różne powiastki. Naprzód opowiedział mi długą historyą o Marynusie. Powieść ta znajduje się u Skargi. Występuje w niéj dziewczyna, która wstąpiła do męzkiego klasztoru wraz z ojcem i cierpiała wiele udręczeń.

„O założeniu Michałkowic opowiadał następujące podanie: „Był sobie jeden książę, wielki myśliwy, a imię mu było Michał. W owym czasie były tu na tém miejscu puszcze i lasy — a należały do tego księcia. Książę jeździł tu ze swymi rycerzami i z psami na polowanie. Ile razy tu napolowali wiele zwierzyny, to zawsze przypadł księciu objad na górce, jak nasz cmentarz i kościół. I objadował tu książę parę razy. Upodobał sobie więc tę górkę, kazał wyrobić świętego Michała i postawić kaplicę. Ten obraz mamy dziś jeszcze

w kościele jeźliby stary Tomanek łgał, to można zobaczyć. Otóż potém z tego.... Daléj opowiadać nie chciał — widać zapomniał.

Rozpoczynał mi téż Tomanek kilka powieści, lecz żadnéj nie skończył. Jedna z nich przypomina ruskie byliny. Jak tu, tak i tam często bohater jest pochodzenia na pół zwierzęcego. Oto początek powieści; „Jedna stara baba chodziła do lasu po jagody. Przyszedł do niéj niedźwiedź, i jak uciekał z ulem miodu, natrafił na gwóźdź który mu wlazł do łapy, a nie mógł go sobie sam wyjąć. Pokazał więc babie chorą łapę, na znak że go boli. Z początku baba nie wiedziała, czego niedźwiedź chce, ale patrzy, aż tu gwoździsko szynal siedzi w stopie — Wyciągnęła mu więc. Wziął ją niedźwiedź ze sobą i przyniósł do swojéj jamy. — Miała tam co jeść i pić, bo jéj niedźwiedź donosił... Nakoniec urodził się im chłopiec. A było mu Janek, był bardzo mocny. — Raz wyszła matka z synem wpole. A był już wtedy spory chłopak. Mówi tedy matce: „Matko, co my tu robimy i kto wy jesteście?“ synu, pójdźmy do jamy, odrzecze matka, bo jak nas tu ojciec zejdzie, to mnie i ciebie zabije. — „Co ja się będę ojca bał, takiego kudłacza, ja mu poradzę“, zawoła Janek. A matka się lęka, boi się, bo wie, że niedźwiedź mocarz. — Wyszli jednak i idą. Spotkał ich niedźwiedź, zastąpił drogę, prosi i mruczy, chce ich wrócić. Janek nie pardonuje, aż złapie niedźwiedzia ojca swego i bije . . . .
. . . .
Taką laskę żelazną kazał sobie zrobić ciężką, poradził nią każdego zabić. . . . . Dawid go zabił — uderzył go . . . Tu zapomniał i nie mógł daléj opowiadać. Coś mu się marzyło o Dawidzie i o Goliacie. Widocznie mieszały mu się podania rodzime z tém, co słyszał z pisma świętego.

O pieniądzach ukrytych w okolicach Michałkowic, opowiadał Tomanek następującą historyą:

„Nasi ojcowie opowiadali nam, że w Michałkowskim lesie są wielkie pieniądze w piwnicy. Już się tam z kościoła zabierali ze świętościami po te pieniądze, ale zawsze czegoś zapomnieli. Piwnica ta jest tam w lesie po dziś dzień. Raz paśli koło tego miejsca pasterze, a między nimi był jeden chłopiec sierota — a inni byli ojcowscy, możniejsi. Temu chłopcu wrzucili czapkę do téj piwnicy przez dziurę. Zaczął płakać biedny pastuszek, a bojąc się wrócić bez czapki do domu, zdobył się na odwagę i spuścił się do piwnicy tą dziurą. Tam zobaczył koryta pełne pieniędzy. Na jedném z nich siedział kogut i kazał chłopcu nabrać do czapki pieniędzy. Chłopak z czapką i pieniędzmi wylazł napowrót tą samą dziurą i zaniósł zdobycz swemu gospodarzowi. Towarzysze, widząc to, poszli na to

miejsce i jeden drugiemu wrzucił naumyślnie czapkę do piwnicy. Polazł więc znowu do dziury, ale mu głowę urwało i wyrzuciło wraz z czapką. Raz znowu poszła kobiéta z chłopcem na grzyby do lasu. A właśnie trafiła, kiedy w kościele odprawiano pasyą i piwnica była wtedy otwarta. Wbiegła tam szybko z chłopcem, zgarnęła pieniądze do fartuszka i napowrót uciekła. Chłopca zaś zostawiła w piwnicy, chciała bowiem drugi raz nabrać pieniędzy. Ale kiedy wróciła, zastała już piwnicę zamkniętą, bo już było po pasyi. Wtedy ksiądz jéj poradził, żeby za rok o téj saméj godzinie pilnowała w tym lesie, aż się drzwi od piwnicy otworzą. Usłuchała kobieta téj rady, i w téj chwili, kiedy w kościele dzwonili na pasyą, piwnica się otworzyła, a chłopak siedział zdrów, jak go była matka rok temu posadziła. Pochwyciła go więc co żywo i wyniosła na świat, a już o pieniądzach nie myślała, radując się, że syna odzyskała".

IV.

Dnia 10 czerwca. — Niemieckie Piekary.

Dziś rano pożegnałem P. Miarkę i siadłem w omnibus odchodzący do Bytomia, odległego pół godziny drogi od Hut królewskich. W Bytomiu zatrzymałem się tylko chwilkę. Miasteczko niewielkie. Według wykazu ludności z r. 1834 Bytom liczył mieszkańców 3040; z tych było polaków 2020 — niemców 1018. Kazania odbywają się po polsku i po niemiecku. Dziś ludność zapewne się potroiła i to z pewnością nie na korzyść żywiołu polskiego. W przejeździe zauważyłem wiele polskich szyldów; niektóre jednak bardzo poprzekręcane.

Osada górnicza, Niemieckie Piekary, składa się z właściwych Piekar i z sąsiedniéj wsi Szarlej. Na gruncie ostatniéj, znajdują się bogate kopalnie galmanu. Cała osada jeszcze więcéj ma charakteru wioskowego niż Huty królewskie; jakkolwiek wznoszą się tu i w ostatnich czasach piętrowe kamienice.

Wieś Niemieckie Piekary, słynna obrazem cudownym Najświętszéj Panny, jest osadą czysto polską. Nazwisko zaś swoje otrzymała z tego powodu, że w czasach pierwszych zawiązków osady, sprowadzono tu kilku piekarzy niemców, którzy dostarczali chleba górnikom, powiększéj części przybyszom, nieprowadzącym własnego gospodarstwa.

Przybywszy do Piekar, udałem się zaraz do mieszkania p. Heneczka. Właśnie był zajęty expedyowaniem „Zwiastuna górnoszląskiego" którego jest nakładcą i właściwym redaktorem. — P. Hene-

czek, dowiedziawszy się, że przybywam z Warszawy, przyjął mnie gościnnie i serdecznie. — Złożyłem zaraz wizytę ks. Purkopowi. — Nie spodziewałem się z téj strony wielkiéj pomocy w studyach; owszem, nauczony doświadczeniem, liczyłem więcej na własną przemyślność, a przedewszystkiem na szczęśliwy wypadek. — Wizyta u ks. Purkopa trwała krótko. Szanowny prałat widocznie nie domyślał się nawet kto jestem i jakie właściwie są moje zamiary. Do rekomendacyj wrocławskich nie przywiązywał żadnéj wagi. Obawiam się nawet, czy nie uważał ich za podrobione.

P. Heneczek zaprowadził mnie do miejscowego Gerichtschreibera. Jest to gminna władza sądowo-policyjna. . . P. Kuna udzielił mi uprzejmie ksiąg ludności, z których wynotowałem nazwiska rodowe, dostarczające ważnego materyału gramatycznego, szczególniéj w badaniach etymologicznych. Posłano także po kilku staruszków. Jeden z nich przyszedł wkrótce. Nie dał się skłonić do opowiadania powieści. Straszyła go widocznie moja książeczka do zapisywania i ołówek. W końcu począł porównywać wiek dawny z teraźniejszym. „Starzy ludzie opowiadali, że przyjdzie czas kiedy będą palić kamieniami. Nam dzieciom dziwno to było, jakby to mogło być. A teraz palą węglami kamiennemi. — Przódy sieliśmy rękami, a teraz maszyna sieje. Konie ciągną i samo sieje się. Dawniéj młócili rękami, teraz i na to jest maszyna. Starzy ludzie opowiadali, że będą jeździli drogą żelazną, a te drogi żelazne będą budowane dla ancychrysta. Drogi nastały, a ancychrysta niema. Miedze będą skasowane, a brat bratu nie przepuści ani ojciec synowi, kiedy jeden co źle zrobi to się nie zatai, drugi go zawsze zdradzi. . . .

Pytałem, coby znaczyło owo skasowanie miedz. Objaśniono mi, że przy regulowaniu gruntów, zniesiono szérokie odwieczne miedze na polach, które lud szląski otaczał czcią religijną i uważał, że uprawianie tych kawałków gruntu, ściąga na ludzi niebłogosławieństwo boże.

* * *

Siedzę ja w kancelaryi p. Kuny, zajęty wypisywaniem nazwisk chłopskich. W tém wchodzi chłopek w ubiorze górniczym, widać prosto od roboty.

— Niech będzie pochwalony. . . .

— Na wieki — odpowie p. Kuna — a co to powiecie?

— A ja przyszedłem na skargę, objaśnił przybyły. Oto ten, co to ma się żenić z tą wdową — tu wymienił nazwisko — przezywał mnie i wymyślał. . . .

— A jakże on was przezywał? pyta gerichtschreiber.

— A to przezywał mnie polakiem — hyrtuniem — powiada — polska siarka. . . . mówi, że ja mam złodziejski adest — wyzywał mnie polakiem.

Tu nie mogłem wytrzymać.

— Powiedzcie mi też — przerwałem, dlaczego was tak obraża nazwisko polaka? — Słyszycie, że ja mówię tak samo jak wy — po polsku, rozumiemy się przecie, a jak mnie kto nazwie polakiem, to się nie obrażam, bo jestem naprawdę polak, tak jak i wy — bo nasza mowa jednaka.

Na takie dyktum skarżący zmięszał się trochę.

— No, to niech ta, to już o polaka mniejsza, ale za co on mi wyzywa, że ja mam złodziejski adest. . . .

Złodziejskiego adestu nie mógł przebaczyć.

Pisarz przyrzekł wezwać oskarżonego na sprawę na drugi dzień następny. Według ustaw sądowych pruskich pisarz sądowy gminny w sprawach tego rodzaju stanowi pierwszą instancyą. Naprzód usiłuje pogodzić strony; jeżeli tego nie osiągnie, spisuje protokół i sprawa idzie przed sąd okręgowy. Za każdą sprawę dostaje pisarz 10 srebrn. gr. (2 złp).

Po wyjściu górnika, objaśnił mi p. Kuna, że sąd według ustaw, nazwę „polak“, daną z intencyą obrażenia uznaje za obelgę. Że miano polaka używa w tych okolicach tak złéj opinii, ma to pochodzić ztąd, że z pogranicznych wsi Królestwa chronią się tu wszelkiego rodzaju włóczęgi, których władza chwyta, najczęściéj na gorącym uczynku i z odpowiedniem świadectwem odstawia do granicy. Ztąd termin „złodziejski adest“. Dlaczego chłopi szlązcy sąsiadujący z Królestwem, wyrzekają się swych współplemieńców z za kordonu, i nie chcą mieć z niemi nic wspólnego — zrozumié ten tylko, kto na miejscu przyjrzał się różnicy bytu jednych i drugich. Piekary leżą nad samą granicą. Niewielką łączkę przerzyna strumyk, stanowiący właśnie granicę. O parę kroków leży wioska Kamień. Rozwalone obszarpane chaty, źle uprawne pola, nędzne twarze mieszkańców, wszystko to stanowi rażący kontrast z bogatemi osadami, z zamożnością i dobrobytem Górno-szlązaków.

* * *

Dnia 11 czerwca.

Dziś wybrałem się z p. Heneczkiem do Radzionkowa, wioski odległéj pół godziny drogi od Piekar, w odwiedziny ks. Mastalskiego fararza, krewnego p. Heneczka. Ks. Mastalski, znany w okolicy

z ujmującego charakteru, łatwego usposobienia, uradował się z naszego przybycia. Zawiązała się wkrótce ożywiona rozmowa, o charakterze ludu szląskiego, o jego przywarach i cnotach, o dawniejszych usiłowaniach germanizacyjnych rządu. Chłopek szląski, według zdania ks. Mastalskiego, ma serce poczciwe i proste, pracuje wytrwale; a choć w prowadzeniu gospodarstwa i w całém swém otoczeniu trzyma się prastarych przesądów i zwyczajów, moralnością przewyższa przybyszów, z niższego Szląska, których ściągają tu dotąd zarobki przy fabrykach. Jakkolwiek w szkołach nacisk germanizacyjny osłabł, zwłaszcza od czasów ś. p. ks. Bogedajna, radzcy szkolnego w regencyi opolskiéj, ślady jednak niemczyzny pozostały nawet w rzeczach tyczących się obrządków religijnych. Tak naprzykład, całe niemal pokolenie, które się kształciło przed laty trzydziestu, wiele modlitw odmawia po niemiecku, choć języka tego wcale nie rozumié. Zdarza się często, że przystępujący do spowiedzi całą formułę, któréj się wyuczył w dzieciństwie, wypowiada po niemiecku. Dopiero, kiedy przyjdzie do wyznawania grzechów, zaczyna mówić po polsku.

Lud szląski doznaje wiele uszczerbku z téj przyczyny, że cała procedura sądowa odbywa się w języku niemieckim. Znajdują się wprawdzie przy sądach tłumacze, lecz ci, nie znając najczęściéj języka polskiego piśmiennego, więcéj częstokroć zamieszania sprawiają niż ułatwienia; jako przykład polskiego języka urzędowego przytaczano mi frazes powszechnie używany: „kusta będą na dół trzaskane,“ co ma znaczyć: „koszta będą umorzone“ die Kosten werden niedergeschlagen.

* * *

Ubiory mieszkańców téj okolicy, nie różnią się prawie od ubioru ludności z okolicy Michałkowic. Kobiety tutejsze przy zajęciach w polu używają pasterskich kapeluszów z ogromnemi skrzydłami. Kapelusze te bywają słomiane lub filcowe.

* * *

Z dawnych zwyczajów dorocznych, zachowała się w Radzionkowie stara uroczystość wiosenna zwana „maik czyli gaik“. Oto jak opisuje ten obrzęd kobiéta, którą przywołano na plebanią: „W marzanią niedzielę przed palmową (Dominica laetare) małe dziewczęta, dwie, trzy lub więcéj stroją drzewko zielone, małą sosenkę lub świérk skorupkami z jaj, farbowanemi na modro, przyczepiają także do gałązek kawałki kartonu, zawieszają błyszczącą sieczkę. Tak przy-

strojone drzewko zwie się gaik. W pośrodku umieszczają lalkę ze słomy zrobioną.

Z tym przyrządem odbywają procesyą przez wieś, zatrzymując się przed każdym domem, i śpiewając następującą pieśń:

Do tego tu domu wstępujemy,
Szczęścia, zdrowia winszujemy,
Nasz gaik zielony,
Pięknie ustrojony.
Na naszym gaiku malowane jajka,
Co je malowała radzieńska karczmarka;
Nasz gaik zielony,
Pięknie ustrojony.
Na naszym gaiku zielone wstążeczki,
Co je nawieszały radzieńskie dzieweczki.
Nasz gaik i t. d.
W tém polu kamienica,
Za tą kamienicą zielona pszenica,
Daj ci Panie Boże, żeby się zrodziła,
Na ten nowy roczek ludziom żąć godziła.
Nasz gaik i t. d.
Jeszcze nie siejecie, ani nie orzecie,
A już wiecie, co za nią bierzecie,
Bierzecie, bierzecie, obite talary,
Co wam się samuśkie po stole kulały.
Nasz gaik i t. d.
Nasz księżaszek piękne konie mają,
Kiedy je wypuszczą, jak łanie skakają,
A jeszczeby one i piękniejsze były
Ale pacholiczek trochę do nich zgniły (leniwy)
Nasz gaik i t. d.
Na podwórzu stoją gnatki (pniaki),
Są tu księżaszkowie, jak różowe kwiatki,
Nasz gaik i t. d.
W téj tu izbie jest tu łoże,
Są tu panuchna jako róża.
Nasz gaik i t. d.
A dajcież nam, macie li dać,
Nie będziemy długo czekać
Bo nam dzień krótnieje,
Wiatr nam go rozwieje.
Nasz gaik i t. d.

Nie dajcież nam jajaszka jednego,
Bobyśmy się obje zbiły koło niego,
Ale dajcie cztery, to się podzielemy.
Nasz gaik i t. d.
Bóg wam zapłać za te dary,
Coście nam je darowali,
Abyście się za to do nieba dostali.
Nasz gaik i t. d.
Zostajcie tu z Bogiem, już idziemy,
Już tu więcéj nie przyjdziemy
Aż na drugi roczek, jeźli żyć będziemy.
Nasz gaik i t. d.

O KOMMUNIZMIE I SOCYALIZMIE.

WYKŁAD PUBLICZNY

miany dnia 6 grudnia 1871 r. w sali Towarzystwa naukowego w Krakowie, na dochód **Towarzystwa wzajemnéj pomocy** uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego.

przez

DR. GUSTAWA ROSZKOWSKIEGO,

Docenta uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dostojne i szanowne zgromadzenie!

Wszechstronny rozwój zasadniczych pierwiastków wszelkiego bytu, wyprowadzenie na jaw rzeczywistéj jego treści, stanowi jego postęp. Postęp więc jest walką wszystkich pierwiastków złożonych w istnieniu które się rozwija, walką potęg najróżnorodniejszych, częstokroć najsprzeczniejszych z sobą, słowem złych i dobrych, a zwycięztwo jednych z nich nad innemi nadaje charakter pewnemu okresowi postępu. I ludzkość ulega temuż samemu prawu rozwoju. I jéj postęp jest walką wszystkich potęg i pierwiastków wchodzących w skład jéj organizacyi. To téż jest faktem niezaprzeczonym, iż w powszechnodziejowym rozwoju ludzkości całéj, genjusz i przewrotność człowieka ścierają się z sobą nieustannie. Twórcza działalność umysłu ludzkiego stwarza wiekotrwałe i pomnikowe dzieła, świadczące o niestrudzonéj człowieka energii, przewrotność i obłąkanie ze swéj strony targa się na nie, usiłuje je zburzyć, na miejsce prawdy wznieść gmach himerycznych urojeń, na miejsce rzeczywistości złudzenie. Powiedziałem przewrotność i obłąkanie! Tak jest: nie zawsze zła wola kieruje ręką niszczącą. Częstokroć wielkie nawet umysły płodzą fantazyjne utwory tam, gdzie sama rzeczywistość panować powinna. Kierując się więcéj uczuciem i sercem niż rozumem i spokojném rzeczy rozważaniem, popełniają opłakane pomyłki.

Ten fakt zadziwiający, a jednak prawdziwy, stwierdza nam historya jednéj z najkardynalniejszych instytucyi społecznych — historya własności.

Długie wieki własność istniała jako fakt. Spotykamy ją zawsze i wszędzie: u kolebki cywilizacyi i u ludów stojących najwyżéj w oświacie. W postępie wieków bystry umysł człowieka począł ją rozważać, zgłębił jéj źródło i wykrył jéj istotę. Własność stanęła wówczas jako instytucya w najgłębszych fundamentach natury ludzkiéj utrwalona, usankcyonowana prawem. Ten okres trwał długo, bo aż do końca ubiegłego stulecia. Ale przyszedł czas smutnego zwątpienia o wszystkiem, a wówczas zwątpiono i o uprawnieniu własności. Obrzucono ją zarzutami, usiłowano ją obalić. Ale prawda fałsz zwyciężyła, własność ocalała; lecz w historyi kultury pozostała pamięć tego faktu, a dla nauki obowiązek naukowego uzasadnienia własności, ażeby na przyszłość podobnych zwątpień uniknąć.

Pytanie teraz tylko: jakie to przyczyny wywołały powstanie teoryi własności przeciwnych.

Kto śledząc za historycznym rozwojem kultury ludzkości rozważał jéj pochód w organicznym związku jéj epok i okresów, ten zauważył nieomylnie, że wśród chaotycznéj wielości wypadków, które je wypełniają nie panuje bynajmniéj mechaniczny, że się tak wyrażę, związek chronologicznego ich po sobie następstwa, ale raczéj, że w niéj rozwija się jak słusznie powiedział Wiktor Cousin, pewien stały porządek, w którego ramy ujęte fakta zostają z sobą w najściślejszym związku. Jedne wywołują drugie, te ostatnie stają się przyczyną następnych i t. d. Jakiż jest ten porządek? Oto są jego momenta.

Życie społeczne jest jakby treścią, jakby tłem obrazu, którego ramy stanowi ustrój polityczny. Zasadą wszelkiego organicznego porządku jest myśl o najwyższéj zasadzie bytu, o Bogu — a więc religia; ale przekonania powszechne o stosunku człowieka do świata i jego podstaw ostatecznych dościga się myślą i na tle tego najgłębszego pojęcia o istocie człowieka i jego najwyższych zadaniach, rzec można, wznosi się dopiero gmach religijnych wyobrażeń. Ludy oryentalne i dzisiejsza Europa inaczéj pojmują stosunek człowieka do świata i Boga — inna téż religia zjawia się na gruncie różnych filozoficznych idei. Z tego związku filozofii, religii, polityki i nauki o życiu społecznem, wynika jasno, że i reformy, które się zjawiają w historyi kultury, występują w tymż samym porządku. Objawem dojrzewania umysłu człowieka, jest budząca się jego świadoma myśl filozoficzna, która natychmiast stosunek jego do Boga ustala, przenika do głębi związki towarzyskie, wskazuje im polityczną formę

i ustrój społeczny. W ślad za ideą filozoficzną zmieniają się i religijne poglądy, a gdy pojęcie tej duchowéj treści i życia ludzkiego wyrazi się w jasném i silném przekonaniu, w świadomości nie tylko jednostek ale i narodów całych, wówczas powstają nowe pytania: tak pojęty człowiek jak go filozofia i religia przedstawia, jaką mieć powinien, że tak powiem polityczną budowę — a wreszcie jéj przestrzeń jaką wypełnić należy treścią społeczną. Ztąd wynika jasno, że społeczne kwestje są zawsze następstwem rozwiązania wielkich religijnych i politycznych pytań.

Pojąwszy w ten sposób historyczne następstwo wielkich reform, które spotykamy w historyi kultury, pojmiemy ruchy społeczne w zeszłém i bieżącém stuleciu jako wynikłość historyczną. — Kartezyusz i Bakon rzucili zasady nowego rozwoju filozoficznéj myśli, Marcin Luter przedsięwziął wielką religijną reformę, pragnąc kult religijny związać z duchem powszechnéj cywilizacyi, swobody polityczne uświęca Anglja, towarzyskie stanowisko jednostki pozostało pytaniem, którego rozwiązanie było nieodzowne do dalszego pochodu historyi ludzkości. Wiadomo, że te wielkie społeczne kwestye stały się hasłem ruchów we Francyi w końcu ubiegłego stulecia. Wypowiedziano tam wielką ideę równości wobec prawa, którą zadano stanowczy cios średniowiecznemu feudalizmowi. Idea ta tak płodna w swoje następstwa wywołała ogólny przewrot społeczny. — Wszelkie instytucye zostały do głębi wstrząśnione, a własność stała się przedmiotem najsilniejszych pocisków ze strony nowatorów. Dla czego? Oto dla tego, że jéj organizacya była jednym z najpotężniejszych elementów feudalizmu, chcąc go zatem obalić i na nią uderzono. Ale zapomniano tu, że organizacya własności była jedynie wadliwą i że ją usunąć należało, szanując wszakże samą własność, jako najtrwalszą podwalinę społecznego i indywidualnego bytu. Ta zatem pomyłka, to pomięszanie istoty z jéj formą, było pierwszą przyczyną powstania doktryn przeciwnych własności.

Prócz tego były i inne przyczyny tego smutnego zjawiska, wyliczymy z nich najgłówniejsze:

1) Przeciwnicy rządów Ludwika Filipa we Francji różnemi drogami dążyli do swoich celów. Kiedy jedni, jak mówi dzisiejszy prezydent rzeczypospolitéj francuskiéj, ograniczali swe życzenia jedynie do zmiany polityki rządu, inni pragnęli wiedzieć go całkiem przeobrażonym; a i z tych jedni zamierzali dążyć do swoich celów powoli, drudzy gwałtownie i szybko. (Thiers, O własności I. 7—12). Ci ostatni właśnie materyalną wyłączną własność człowieka uważali

za niewzruszoną tamę nowego porządku rzeczy — i dla tego ogłosili konieczność aby ją usunąć.

2) Niezawodną jest rzeczą że błędne i formalne teorje prawa i państwa musiały wywołać gwałtowną społeczną reakcyę. Kiedy Leibnitz ogłosił, że celem państwa jest udoskonalenie człowieka, a propagator jego teoryi Wolff myśl tę więcéj udeterminował i oznaczył ze stanowiska praktycznego, wskazując państwu za cel, zapewnienie powszechnéj użyteczności, dobrobytu, szczęścia, powstała teorya prawa i państwa, opierająca całą budowę społeczną jedynie na subjektywnych podstawach, któréj bezpośredniém następstwem musiała być idea absolutyzmu państwa, jego wszechwładztwa, obowiązku bezpośredniego kierowania życiem jednostek i troski o jego byt materyalny i moralny. Filozofia Kanta utrwaliła te przekonania. — Formalizm tego filozofa oderwał życie społeczne od jego podstaw wewnętrznych, prawo stało się pustą ramą bez tła i obrazu; siłą, która gdzieś błądzi w próżnéj przestrzeni a nie wspiera się na realnych i konkretnych podstawach. Subjektywizm Fichtego posunął tę doktrynę do zenitu, robiąc człowieka twórcą zarówno praw moralnych jak i wszelkich form towarzyskiego bytu. Jan Jakób Rousseau opierał je także na woli ogólnéj, a więc odmówiono im trwałéj podstawy; na jéj miejsce rzucono grunt niepewny, który jak deski teatralne dowolnie poruszać i zmieniać można. Komunizm i socyalizm był właśnie reakcyą przeciwko takim teoryom; z jednéj strony uważać je należy za praktyczne ich zastosowanie, a z drugiéj niezawodnie za wyraz koniecznego dążenia do uzupełnienia tych formalnych i abstrakcyjnych idei, ideą dobra i dobrobytu — pojęcie państwa, pojęciem społeczeństwa. Pójdźmy jeszcze daléj w wyszukiwaniu związku pomiędzy politycznemi teoryami, a powstaniem komunizmu. Bentham i cała jego szkoła postawili zasadę użyteczności, jako podstawę bytu towarzyskiego. Komunizm i socyalizm ma więc jedynie użyteczność na względzie i zapomina, że chwilowa dogodność może się stać źródłem klęsk powszechnych a nawet upadku całéj budowy, jeżeli głębsze jéj podstawy nie zostaną utrwalone. W duchu subjektywizmu, nowsze teorye uwierzyły w wszechwładztwo państwa. Skoro wszystkie instytucye społeczne są jedynie woli dziełem, cóż trzeba więcéj jak tylko także woli, ażeby je zmienić do gruntu, a nawet znieść zupełnie. Własność przeszkadza do ustalenia absolutnéj równości, która jedna jest konieczną do powszechnego dobra, a więc ją obalić należy. Państwo ma myśleć o losie jednostek, jest obowiązane zapewnić im szczęście, ma więc prawo wszystko w tym celu przedsięwziąść. Własność, która jest napotężniejszym materyal-

nym środkiem postępu do niego należy, państwo dysponować nią może dowolnie, wziąść jednym, dać drugim.

3) Źle pojęte idee **równości i wolności**, były także niewątpliwie przyczyną powstania nowych społecznych teoryi, gdyż w wieku XVIII reformatorowie społeczni pojmowali równość nie jako równość psychicznego ustroju ludzi i równość ostatecznych dażności życia — ale jako posiadanie równéj ilości dóbr materyalnych, wolność zaś poczytano za przyczynę złych następstw za daleko posuniętéj wolnéj konkurencji w sferze stosunków ekonomicznych i dla tego domagano się zastąpienia inicyatywy prywatnéj administracyę dóbr materyalnych przez państwo.

Komunizm i socyalizm są także wypływem dwóch systematów filozoficznych: **materyalizmu** i **panteizmu**. Pierwszy z nich obudził wielkie zamiłowanie materyalnego dobra i chęć używania go bez pracy, ostatni konsekwentnie z swéj bezwzględnie monistycznéj zasady zniósł samoistny byt indywidualny, jednostka jest tylko cząstką ogółu, ten ostatni ma wszystkie prawa i on jéj dostarczyć powinien materyalne środki do bytu — własność należy więc w duchu panteizmu tylko do państwa.

4) Możnaby także uważać komunizm za reakcyę przeciwko egoistycznemu odosobnieniu się jednostki w organizacyi feodalnéj, dążącą do wykazania, że obok indywidualnych są i wspólne cele życia z któremi obliczać się potrzeba. Możnaby także komunistyczne teorye uważać za objaw zdolności człowieka do idealizowania i za wyraz tęsknoty jego ducha do lepszego bytu, w którymby nie było ani zbrodni ani nędzy. Ale nadewszystko potrzeba uważać komunizm za naturalne następstwo ważnego przekształcenia pracy ludzkiéj, dokonanego przez wprowadzenie maszyn.

Wszelkie przejścia i zmiany w pracy ludzkiéj stają się zwykle z wielkiemi wstrząśnieniami ekonomicznemi. Maszyny wywołały niezawodnie taki stan przejściowy. Zastępując pracę fizyczną człowieka i ułatwiając produkcyę, wpływają na obtanienie towarów, ułatwiają nabycie, oszczędność i kapitalizowanie, pozwalają mu oderwać się od mechanicznéj czynności a oddać się intelektualnéj pracy, kształceniu swego ducha, ale niemniéj wywołują i chwilowy brak pracy i zarobku, a następnie ubóstwo i nędzę. Jeżeli w tak opłakanéj chwili zjawią się uczeni jak Rousseau opiewający obowiązki państwa podjęcia troski o byt materyalny jednostek, to nic dziwnego, że natychmiast ugruntuje się w massach głęboka wiara w wszechwładztwo państwa, w możność zaradzenia przez niego powszechnéj nędzy i to jedynie nawet drogą prawodawczą, bo skoro wszystko prawo tworzy, to dość usta-

nowić prawo o zniesieniu własności, ażeby nakarmić biednych chlebem, który w pocie czoła został zarobiony ale nie ich rękami.

W ten sposób powstały teorye usiłujące obalić własność. Czas i rozwaga protrafiła je obalić, ale mimo to nasiona ich że tak powiem, zostały jeszcze w łonie społeczeństwa. Znikły po części socyalne i komunistyczne mrzonki, nauka odmówiła im prawa obywatelstwa w państwie wiedzy, krytyka obaliła ich zasady, prasa peryodyczna wpłynęła na jasną świadomość tego co zrobić można i należy; ale pomimo to gdzieniegdzie błąkają się jeszcze te opłakane doktryny doradzające ludowi nieoczekiwać pomocy z pracy rąk swoich, ale z wysoka od państwa (Lassalle) i wzbudzają do nowego życia pierwiastki, którym brak jednak żywotnéj treści. Walczyć zatem z temi teoryami dziś nawet nie jest zapóźno, bo nigdy nie będzie zbytecznie powtarzać, że dobro społeczne może powstać tylko w łonie samego społeczeństwa, rozwinąć się na żywotnéj podstawie jego spraw i potrzeb, zaspokojonych geniuszem i pracą jego członków.

Poglądy komunistyczne sięgają swoją dawnością bardzo odległych epok cywilizacyjnych. Jak dawno myśl ludzka pracuje nad rozwiązaniem najważniejszych zagadnień życia, tak dawno rozmyśla również nad usunięciem nędzy z powierzchni świata, a to wielkie zadanie dla wielu zdaje się łatwo dać się rozwiązać przez to, ażeby skarbami jednych obdzielić tych, co ich nie mają.

U ludów starożytnych, państwo, wobec którego celów i potrzeb jednostka żadnych nie mogła mieć samoistnych dążności, było najwyższym właścicielem wszystkich obszarów ziemi. Na tém pojęciu Platon oparł swoją idealną teoryą o życiu państwowém, a nawet największy geniusz starożytności Arystoteles uważa współwłasność za pierwotną, tak że prywatna własność jest tylko administracyą pewnego wydzielonego sobie kawałka ziemi. Za rzeczypospolitéj rzymskiéj było powszechne przekonanie, iż naród rzymski (populus romanus) był właścicielem ager romanus i na tém pojęciu oparło się także pojęcie ager publicus, własności publicznéj. W starożytności więc, widzimy to dobrze, komunizm powstał na gruncie politycznych teoryj. W wiekach średnich występuje także komunizm, ale pod osłoną religijnych przekonań. Dla tego ażeby oderwać się zupełnie od spraw, intryg i zarzutów światowych, ażeby lepiéj poświęcić się Bogu i pielęgnowaniu czysto-moralnych swoich dążności, doradzano również pozbycia się własności prywatnéj. Dopiero w czasie wojny chłopskiéj zjawia się komunizm w właściwym sobie charakterze, komunizm ekonomiczny. Widok strasznéj, okropnéj nędzy pewnych klas

społecznych, nasunął myśl, że równowaga ekonomicznych stósunków nieinaczéj zaprowadzoną być może, jak przez wspólność dóbr materyalnych. Apostołem tych idei przewrotnych ale nacechowanych gorącą miłością ludu i klas pracujących, był Sebastjan Frank w Niemczech, a kanclerz Tomasz Monus w Anglii. Ideałem organizacyi spółecznéj było dla nich państwo li tylko rolnicze, bez rzemiosł i handlu, bez pieniędzy i własności prywatnéj. Bóg dobry dał ludziom wszystko do wspólnego użytku, powiedział Frank, ale ludzie chcą o tem zapomnieć i przywłaszczają sobie pewne rzeczy na wyłączny użytek. Dzisiaj jęczymy pod jarzmem tyranów, ale Bóg właśnie zsyła tyranów na to, ażeby siłą wydrzeć co jest siłą zabrane.

Wiek XVII nowe przyniósł komunistyczne idee.

Dominikanin Campanella marzy o państwie, w któremby nie było ani rodziny ani własności; Vairasse zaś dopuszcza rodzinne związki tylko w niższych sferach spółecznych, natomiast urzędnicy im do wyższéj należą klasy, tém więcéj mieć powinni żon i niewolnic. Pojęcia Campanelli — rozwija daléj w połowie zeszłego stulecia Morelly i Mabby. Według nich jednostka całą swą osobistość powinna poświęcić dla ogółu i według sił i talentów wyłącznie dla jego dobra pracować. Dopiero wszakże wielka rewolucja francuzka otwarła obszerne pole dla rozwoju komunistycznych idei, bo tam gdzie proletaryat wyrobił się jako wielka, potężna klasa spółeczna, tam myśl o zniesieniu własności prywatnéj, którą poczytywano za przyczynę i źródło nędzy publicznéj, musiała silnie opanować umysły zarówno tych, którzy byli głodni jak i tych, którzy ich nakarmić chcieli.

Wśród łez niedoli i jęków boleści, w okropnych cierpieniach ostatniéj nędzy, zrodziły się teorye. które miały zburzyć powagą tylu wieków, pracą tylu pokoleń utrwalony porządek publiczny, przez zniesienie własności prywatnéj. Ale wielki gmach spółecznych urządzeń, nie runął, nawet się nie zachwiał, a choć przewrotne komunistyczne i socyalne doktryny z szaloną siłą uderzały o jego mury, musiały się rozbić o jego filary, zostawiając tylko ślad swoich usiłowań, sławę imion Baboeufa, Owena, Fouriera, St. Simona i Proudhona.

Pomimo gwałtownych usiłowań Karola Marxa, Ferdynanda Lassalle, Karola Marlot, socyalizm i komunizm dzisiaj nie tworzą szkoły ani ekonomicznéj ani politycznéj; myliłby się jednak ktoby sądził, iż dzisiaj świat już jest wolny od téj groźnéj teoryi spółecznéj: w Anglii i Irlandii socyalizm nie dał się zniszczyć zupełnie, nawet w Rossyi są ślady ruchów socyalnych; przecież niedawno, bo przed dwoma laty, kongres międzynarodowy w Bazylei zadekretował zniesienie własności prywatnéj, a w przyszłości jak słusznie powie-

dział b. minister Schaeffle, socyalne doktryny będą coraz częściéj występować, z każdym przyrostem ludności, z rozwojem myśli politycznych w masach nieoświeconych i pod wpływem agitacyj zręcznych menerów, usiłujących przeprowadzić gwałtowne przewroty społeczne. Wobec téj smutnéj przepowiedni nie można nigdy dość często zalecać nauce czujność nad powstrzymywaniem prądu tych niebezpiecznych przekonań, a w samém społeczeństwie potrzeba utrwalać zdrowe ekonomiczne pojęcia, bo one będą najsilniejszą tarczą dla ludu, ażeby się nie dał obłąkać przewrotną chociaż ułudną doktryną socyalną.

Czegóż chcą socyaliści, do czegóż oni dążą ostatecznie?

Socyalizm chce uleczyć ludzkość z głębokich ran społecznych, które toczą jéj organizm. Przyczyną nieszczęść powszechnych i klęsk publicznych jest proletaryat, t. j. nędza klas pracujących. Ten fakt bolesny niemniéj jednak rzeczywisty, ma znów swoją przyczynę niewątpliwie w tém, iż wszystkie dobra materyalne są skoncentrowane w rękach pewnéj, stosunkowo nielicznéj klasy społecznéj, a reszta w nędzy i biedzie pędzi długie dni mizernego i bolesnego żywota. Chcąc uleczyć chorobę, potrzeba znieść jéj przyczynę; własność prywatna, handel i pieniądz są źródłem nędzy tak okropnéj, a więc precz z niemi, zamiast własności prywatnéj zaprowadźmy własność wspólną, bo gdy na bezwzględnéj równości oprzemy polityczno-społeczny ustrój ludzkości, zniknie nędza a świat cały będzie wielką świątynią wzajemnéj miłości i szczęścia.

Miłość i szczęście ludzkości.... te czarowne wyrazy, w któréjż duszy szlachetnéj, w którémż sercu pełném zacności, nie obudzą uczuć najwyższego poświęcenia i zapału? To też to wielkie hasło zdołało szybko zgromadzić pod sztandarami nowéj doktryny ekonomicznego socyalizmu ludzi świetnego talentu i filantropijnych przekonań. Ci, którzy głosili tę naukę, byli to ludzie niepospolitego umysłu i bardzo szlachetni. Ich teorye musimy potępiać, ale musimy wielbić ich zacność, bo niemi nie kierowało nic innego, jak tylko prawdziwa miłość publicznego dobra. Dali się obłąkać fałszywém doktrynerstwem, to prawda; ale jakiekolwiek głosili zasady, były one wyrazem ich głębokich przekonań, za które potrafili znosić wygnania, albo nawet pójść z pogodą w duszy na rusztowanie.

Komunizm więc i socyalizm chciał nowéj organizacyi społecznéj, opartéj na równości. Ich wyznawcy różnią się tylko co do celów, które mają być za pomocą tego nowego ustroju towarzyskiego osiągnięte, jak i co do sposobu jego przeprowadzenia. Socyaliści francuscy jak Baboeuf, St. Simon, Fourier, Cabet, Louis Blanc i inni, stoją na gruncie materyalistycznego systemu, socyaliści niemieccy

wyznają prawie wszyscy abstrakcyjną filozofiją. To też pierwsi za cel życia uważają używanie materyalne, ostatni—rozwój duchowy. W skutek tego francuscy socyaliści żądają w spółeczeństwie zorganizowania pracy dla pracy, bo jéj owoce dają możność większego używania, socyaliści zaś niemieccy uważają w pracy tylko środek zabezpieczenia sobie materyalnego bytu, ażeby się módz swobodnie poświęcić pielęgnowaniu duchowych swoich dążności. W skutek zaś tego, jak słusznie zauważył Hildebrand, zakłady pracy we Francyi są robotniczemi koszarami, w Niemczech zaś — akademiami nauk. Socyalizm francuski nie ma zasady samoistnéj, szuka nieraz opieki pod tarczą religijnych ideji, jak to widzimy w pracach pp. St. Simon, Enfantin, Pierre Leroux, de la Mennais, socyalizm niemiecki jest wypływem filozoficznego systematu, stanowi samodzielną ekonomiczną teoryą.

Porównywując z sobą francuski i niemiecki socyalizm, musimy w ostatnim zauważyć wznioślejszą dążność, niezawodnie — ale za to, większą konsekwentność w pierwszym. Francuzi wiedzą dobrze co chcą i dokąd idą — chcą równości bezwzględnéj, i osiągają ją przez równe używanie dóbr materyalnych; Niemcy łudzą się, że z zapewnieniem równych warunków bytu dojdą również do pełnego rozwoju duchowego życia. Jest to tém większe złudzenie, iż równość komunistyczna nie podnosi ale tłumi duchowe życie narodu.

Ażeby zrozumieć jasno projekta zwolenników nowéj doktryny polityczno-spółecznéj i ekonomicznéj, potrzeba odróżnić komunizm od socyalizmu.

Pierwszy z nich daléj idzie od ostatniego na drodze reform. Komunizm domaga się zniesienia własności prywatnéj, socyalizm pragnie ją tylko zorganizować według innych zasad. Komunizm też jest radykalniejszy, więcéj stanowczy w swoich zamiarach, a przytém więcéj konsekwentny niżeli socyalizm.

Komunizm reprezentują Baboeuf i Cabet we Francyi, Owen w Anglii, Becker, Engels i Weitling w Niemczech. Żądają oni wszyscy wspólności majątku, wspólności pracy i spożycia, a więc zniesienia własności i spadku. (Co do tych kwestyj por. Thiers. O własności. Stein. Gesch. d. socialen Bewegung in Frankr. Michelet. Naturrecht. Schäffle. Kapitalismus u. Socialismus. 1870. Hildebrand, Die Nationalökonomie der Gegenwart u. Zukunft. 1848.)

Owen dowodzi, iż przedewszystkiem nie powinno być rodziny; państwo tworzyć powinno jedną wielką familję i do niego należeć powinny wszystkie zewnętrzne i materyalne dobra. Zarząd wspólnością dokonywa się przez organizacją opartą na starszeństwie wieku. Baboeuf domaga się, aby organizacya ta opartą była na centralizacyi władz, która każdemu naznacza pracę i udział w jéj rezultatach.

Ponieważ niema rodziny, więc dzieci wychowują się pod nadzorem władz publicznych; ponieważ zasadą organizacyi jest równość, więc jest jednakowe dla wszystkich skromne ale dogodne mieszkanie, jednakowe jedzenie i ubranie, to ostatnie tylko uwzględnia różnice płci, a wreszcie jednakowe dla wszystkich wychowanie.

Cabet zajmuje się znowuż więcéj polityczną organizacyą nowych związków. Jego państwo jest demokracyą, władza jest tylko wyborczą, w stosunkach spółecznych zasadą organizacyi jest miłość bliźniego. Praca jest wspólną i trwa najwięcéj 7 godzin dziennie, w warsztatach poświęconych jednemu rodzajowi zajęcia.

Komuniści Szwajcarscy za cel nowych związków spółecznych wskazują pielęgnowanie nauk. To téż i rządy według nich należy powierzyć nie książętom, ale najniezależniejszéj intelligencyi. Trzech filozofów stoi na czele rządu, otacza ich mnóstwo uczonych. Urzęda obsadzają się przez premia za najlepsze rozprawy konkursowe, tylko urzęda lekarskie powierzają się tym, którzy się wykażą największą liczbą szczęśliwych wyleczeń. Rodzina nie zostaje zniesioną, ale wychowanie dzieci od 6-go roku należy do państwa.

St. Simonizm, czyli t. z. Enfantinizm stoi najbliżéj kommunizmu, chociaż różni się od niego. Sam St. Simon rzucił tylko zasadę swego systemu, ale jéj szczegółowo nieprzeprowadził i nie wskazał organizacyi spółecznéj. On tylko ubolewa, iż klassy robotnicze, mieszczące w sobie najlepsze elementa spółeczne, pogrążone są w nędzy, że je podźwignąć potrzeba z materjalnego upadku przez zorganizowanie przemysłu. W jego duchu Bazard obmyślił następującą organizacyę przemysłu. Każdy powinien zajmować stanowisko odpowiednie swoim zdolnościom i pobierać wynagrodzenie za dokonaną pracę. Pole do pracy ma sobie każdy otwarte przez co się otrzymuje od państwa grunt i kapitał odpowiednio do swoich sił i zdolności. Własność jest tylko dożywotnią, po śmierci każdego przechodzi na rzecz państwa. Rodzina nie zostaje zniesioną, ale jéj zasadą jest równouprawnienie płci, które również ma miejsce w kościele i państwie. — Podstawą téj organizacyi jest hierarchia duchownych. Jest niewątpliwie zasługą St. Simona, iż dla swéj organizacyi spółecznéj stara się pozyskać głęboką religijną podstawę, ale religia St. Simona jest panteistyczną, dla tego do ustalenia trwałéj organizacyi towarzyskich urządzeń, niezdolną.

O wiele umiarkowańsze są dążności Socjalistów. Oni nie znoszą własności ani rodziny, chcą tylko wspólności pracy i rozdziału wspólnego dochodu według pracy, kapitału zdolności.

Socyalizm jest dwojaki: p o l i t y c z n y, wkładający ciężar kontrolli nad wspólną pracą na państwo, a ztąd dążący i do zreformo-

wania państwa, i **przemysłowy**, który niezależnie od téj lub innéj formy rządu, chce tylko reformy samych stosunków społecznych.

W duchu socjalizmu politycznego w r. 1819 agitował Simon-Sismondi, opierając się na tém założeniu, że wszelka nędza jest skutkiem wielkiéj konkurencyi w państwie, że zatém samo państwo powinno ubogie pracujące klassy uchraniać od jéj szkodliwych następstw.

Louis Blanc zastanawia się właśnie nad tém, w jaki sposób państwo dokonać to powinno, i twierdzi, iż nie inaczéj, jak zakładając samo warsztaty wspólnéj pracy. — Praca ta pierwszego roku dokonywa się według woli rządu, późniéj sami członkowie ją naznaczają. Zapłatę każdy sam sobie naznacza, a zysk rozdziela się na trzy części: pierwsza dzieli się w równych częściach między pracujących, druga idzie na rzecz chorych, a trzecia na kupno i restauracyę narzędzi. Rządowe tedy warsztaty, współkonkurując z prywatnemi, brać będą górę nad niemi przez taniość, zmuszając je przez to do stowarzyszenia się z warsztatami rządowemi.

Przedstawicielami socjalizmu przemysłowego jest Fourier i Considérant. — Niezależnie od formy rządu, obmyślają oni następującą organizacyę gminy. Wszyscy ludzie żyją w t. z. **falangach**, złożonych z 1500 do 2000 osób. Prywatna własność tych, którzy się do falangi zapisują, zostaje oszacowaną według cen targowych; zwróconą właścicielowi w akcyach, które pozbyte być mogą. — Na czele falangi stoją najznakomitsi akcyonaryusze i członkowie falangi, sprawując jéj administracyę. — Każdy nowowstępujący do falangi, otrzymuje zapewnienie utrzymania na rok jeden, aby mógł swobodnie i bez troski pracować. W środku falangi znajduje się wspólne mieszkanie, **falanster**. — Jestto budynek wystawiony ekonomicznie ale dogodnie, jest długi i na 3 piętra wysoki, wewnątrz ma duży dziedziniec, wspólną salę do zabaw, bibliotekę, salę wykładową, teatr, salę jadalną i wspólny warsztat. W jedném skrzydle mieszczą się pracownie rzemieślnicze, w drugiém mieszkania i sale dziecinne. Mieszkania są urządzone z uwzględnieniem dogodności, gustu i ceny. — W około domu urządzone są oszklone i opalane zimową porą galerye, w pobliżu znajdują się ogrody, cokolwiek opodal magazyny, kuchnie, piwnice, itp. — Falanster więc zapewnia wspólną pracę i wspólny sposób do życia. — Członkowie falansteru dzielą się na **serje** według rodzaju pracy, i jest rzeczą pożądaną, ażeby każdy był członkiem jak największéj liczby seryj, bo przez to jego praca jest jak najwszechstronniejszą. Serje dzielą się znów na **gruppy**. Na czele każdéj z nich stoi wybrany **szef**, a ich wszyst-

kich areopag, zarządza gminą. Ponieważ wszakże w falandze nie ma przymusu, więc zarząd nie rozkazuje lecz doradza.

Każdy z członków gminy ma zapewnione minimum na najkonieczniejsze potrzeby życia. Przy podziale zarobków uwzględnia się liczba godzin pracy, jak i to, czy ona jest pożyteczną, czy tylko przyjemną. — Oto jest organizacya pracy, powiada Fourier, która do zenitu podniesie produkcyę, da każdemu swobodny wybór pracy i skombinuje z sobą jéj rodzaje. Najzapaleńszy zwolennik Fourieryzmu Considérant twierdzi, iż jedność państwa trzeba zastąpić jednością rodu ludzkiego, któréj reprezentant powinien mieć rezydencyą w Konstantynopolu.

Ale jest jeszcze pewien kierunek socjalizmu, o którym nie mogę przemilczeć. Charakteryzuje się on niewątpliwie największém umiarkowaniem, a jego przedstawicielami są Niemcy. — Socjalizm niemiecki nie łudzi się wymarzonemi rezultatami życia wspólnego, chce téż zostawić rodzinę i własność jak one dziś istnieją, domaga się tylko pewnych reform w organizacyi pracy, I tak: w przemyśle wymaga koalicyi kapitału i pracy, w rolnictwie żąda zaprowadzenia wspólnych magazynów i zakładów kredytowych, a w rzemiośle stowarzyszenia się pokrewnych rodzajów pracy, wspólnych zakupów i wspólnéj sprzedaży dla taniości i uniknięcia pośrednictwa spekulantów.

Oto są główne odcienia komunizmu i socyalizmu, główne rodzaje teoryi własności prywatnéj przeciwnych. Ażeby je ocenić, zauważyć musimy, iż one przedewszystkiem nie są do urzeczywistnienia, gdyż chcą wszystkich ludzi, świat cały wcisnąć w zewnętrzne ramy jakiegoś ustroju mechanicznego, bez względu na to, że różnice fizycznego i duchowego organizmu u ludzi, różnice ich zdolności i talentów, ich prac i dążności, wymagają niemniéj różnych a niejednakowych warunków życia. Prócz tego reformatorowie socyalni zapominają, że ze szczytów przybytku cywilizacyi i kultury ludzkości, jak gdyby z piramid egipskich czterdzieści przeszło wieków spogląda na nas, że ten wielki ocean czasu, po którego falach żegluje nieustannie korab postępu, postawił ludzkość w pewnych warunkach życia, z któremi potrzeba się obliczać i że dziś nie można bezwzględnie zburzyć wszystkich dotychczasowych urządzeń społecznych, ale tylko można je chcieć przekształcać w duchu nowych potrzeb i nowych dążności. — Ale chcieć zamiast rodziny, gminy i państwa, zaprowadzić falangi i życie falansteru, to jest tylko fantastyczném marzeniem, ale nie teoryą naukową.

Ze stanowiska ekonomicznego, komunizm i socyalizm jest niepraktyczny, gdyż chce wszystkich ludzi obdzielić porówno materjalności dobrami, bez względu na różne potrzeby i różne dążności, chce równéj i wspólnéj pracy dla wszystkich, a zapomina, że są różne bardzo do niéj uzdolnienia.

Zresztą, czyliż socyalizm obliczył się z środkami, za pomocą których ma być w czyn wprowadzony? Nie. — Cabet i wielu innych cieszą się nadzieją, że drogą wolnych przekonań wszyscy powodowani, staną pod sztadarami ich dogmatu. Szczęśliwe złudzenie! Ale gdyby i tak było, to jakim sposobem utrzymać życie falansteru, jak zniszczyć, stłumić indywidualne pragnienia do samoistności, które przecież bardzo łatwo mogą się obudzić nawet u tych, którzy się na chwilę dali obłąkać doktryną socyalną? Czyż wtedy użyjemy siły? Ależ falanster nie zna przymusu. — A gdy odwołamy się do niego, któż go wykona? Czy pewna jednostka? Dobrze, ale wtedy trzeba władzy, którąby ją kontrolowała, nad tą znową innéj, itd. a w obec hierarchii władz, zgineła równość. Gdyby wykonawcą przymusu miał być cały falanster, czy można przypuścić, ażeby jednostki wbrew własnym dążnościom działały, ażeby tłumiły pociąg do wolności, który wielkim głosem tętni w ich piersiach.

Stoimy w zaczarowaném kole trudności, musimy to wyznać, teorye socyalne nie dadzą się przeprowadzić w praktyce. — Kolonje komunistyczne zakładane z tamtéj strony oceanu, utrzymywały się czas bardzo krótki pod wpływem pewnéj wydatnéj osobistości, jak Owen i t. p., ale gdy znikł urok osobistego ich wpływu, upadły. Dla czego? bo nie miały w sobie żywotnéj siły, utrzymywały się jedynie potęgą zewnętrznéj spójni, a gdy ta działać przestała, cały związek rozpaść się musiał.

Ale gdybyśmy nawet przypuścili możność istnienia komunistycznych związków, czyliż możemy sądzić, iż będzie lepiéj na świecie, iż nędza i zbrodnia znikną z pośród nas, a na ich miejsce nastanie dobrobyt i wzajemna miłość? Przeciwnie, nie mając bodźca do pracy, każdy jak najmniéj zechce pracować, bo wie dobrze że i tak dostanie toż samo co i ten który sumiennie pracuje, zkąd ciągłe podstępy, oszustwa i nadużycia dobréj wiary, ażeby przy małéj zasłudze uzyskać jak najwięcéj stosunkowo. A wreszcie i to pewna, iż życie falansteru zniszczy rozwój kultury, bo postęp ludzkości jest postępem jednostek, a w życiu falangi jednostka ginie, rozpływa się w ogólnym bycie ludzkości. Dla czegoż to wszystko, dla czego do tak opłakanych następstw doprowadza komunizm? Oto dla tego, że one nie ogarniają człowieka w jego wewnętrznéj treści, ale tylko w zewnętrznym porządku jego towarzyskiego bytu, ztąd wszelka organizacya komu-

nistyczna nie ma żadnych głębszych podstaw, jest tylko zewnętrzną formułką. Prócz tego, komunizm znosi osobisty interes w pracy, a przez to pozbawia człowieka troski o jego własny byt, obarcza nią państwo.

Jest to zasadniczy błąd ekonomiczny i polityczny, bo państwo nie może być wielkim przemysłowcem, ani wielkim szafarzem dóbr materyalnych, a gmach towarzyskich urządzeń musiałby runąć, gdyby organiczny strumień życia spółecznego wypływał nie z narodu, ale z góry, od jego władzy, bo wtedy brakby mu było silnych podstaw i fundamentów. W końcu, komunizm utrzymać się nie może w praktyce, bo chce społeczeństwa bez najkardynalniejszéj instytucji, t. j. bez własności. Największy jéj nieprzyjaciel Proudhon, autor sławnego dogmatu proletaryatu: la propriété c'est le vol, dowodzi, iż własność prowadzi do złego, do zbrodni, nędzy i nieszczęścia. Brak własności, mówi on, jest tamą do wszelkiéj zamożności, bo i jakże nabyć cokolwiek kiedy się nic nie ma; ci co już dziś coś mają, będą się ciągle coraz więcéj bogacić, w coraz większéj nędzy pogrążać ubogich i powiększać ich zależność od majętnych. Właściciel jest nieprzyjacielem publicznego dobra, on dba tylko o egoistyczne zachcianki, własność zaś sama będąc ulegalizowaną kradzieżą, obudza chciwość, chytrość i nieugaszone pragnienie zysków. Mówicie, iż własność jest następstwem wolności człowieka, ale wtedy powinna tylko istnieć własność ludzkości całéj, bo wolność jest wszystkich ludzi udziałem. Mówicie, że własność jest prawem pierwotném ludzi, ale wtedy jakżeż można odmówić jéj komukolwiek. Mówicie, iż własność jest wypływem prawa pracy; dobrze — ale zkąd mają prawo do własności ci którzy nie pracują, zkąd prawo do spadku, a wreszcie wieleż to z dzisiejszéj własności powstało przez pracę tych którzy w pocie czoła pracowali, chociaż sami nic nie mają. Czyliż wobec tego, wołają daléj zwolennicy komunizmu, nie należy powiedzieć: iż własność nie jest prawem człowieka ale dowodem jego bezprawia, iż własność jest uprawnioną kradzieżą, tak jak handel jest ulegalizowaném oszustwem, a użycie pieniędzy źródłem nędzy publicznéj.

Takie były głosy które się odzywały przeciwko własności, posłuchajmy ich jeszcze przez chwilę, ażeby lepiéj poznać dla czego domaga się komunizm zniesienia własności prywatnéj.

I. Występowano przeciwko własności z zasady równości między ludźmi. — Własność burzy naturalne prawo równości, ustala na jego miejscu sztuczny hierarchiczny porządek, który jest źródłem (według mniemania reformatorów) wszystkich klęsk społecznych. Oto co mówi Baboeuf: Jeżeli w państwie zagarnie mniejszość w swe ręce własność gruntową i przemysłową, i tym sposobem dzierży

władzę pogrążając w niedostatku i srogich potrzebach większość — należy być przekonanym, że ten zabór może znaleść przytułek tylko pod tarczą opieki złych instytucyj, że zatém to, co starożytna administracya nie zrobiła w właściwym czasie, ażeby przewidzieć nadużycia i zniszczyć je w zarodzie, winna to uczynić dzisiejsza administracya, aby wrócić równowagę, która nigdy zupełnie zatraconą być nie powinna i władza prawodawcza winna nową dokonać zmianę, która przystoi na rząd postępowy według contract social: gdzie każdy ma dosyć, ale nikt za wiele.

Słuchając tych słów wypowiedzianych z namiętną własności nienawiścią, trudno nie przyznać, że jakkolwiek autor wypowiada je pod wpływem szlachetnego współczucia dla nędzy i ubóstwa klas pracujących, cierpi jednak zarzut niepraktycznéj porywczości do gwałtownych i radykalnych reform społecznych. (Por. Dr. A. Stoeckl. Lehrbuch Phil. Mainz 1869). Przeobrażenia życia towarzyskiego mogą się dopełnić z dobrem społeczeństwa jedynie powoli i z przezornością. Zbyt nagłe działania mogą przeciwny od zamierzonego odnieść skutek.

Lekarz nie zabija chorego, aby mu skrócić cierpienia, ale przeciwko ich przyczynie oddziaływa; tak samo i w życiu społeczném, przeciwko jego wadom należy działać skutecznie, ale tak, aby sam byt społecznych związków nie został naruszony. Zburzenie własności rozwięzuje węzły życia zespolonego.

Prócz tego zarzut Baboeuf'a nie ma słusznéj podstawy. Nierówność przedewszystkiém nie objawia się jedynie na polu materyalnéj własności: sama natura przez nierówne uposażenie swemi darami, stwarzając geniuszów obok kretenów, zdrowych i chorych, pięknych i szpetnych itp. ustaliła największe nierówności na świecie, przeciwko którym żadnego skutecznego środka znaleźć nie można. Prócz tego zmienność losu; czyż nie ma ulubieńców fortuny, którym idzie wszystko po myśli, chociaż bez pracy — i ludzi, którym los zawistny zagradza drogę, po któréj dążyć zamierzają.

Prócz tego, przyczyny nierówności nie dadzą się usunąć, bo tkwią w naturze człowieka, wynikają z jego istoty, mają obok złych swych następstw i dobroczynne skutki, zadaniem więc polityki może być jedynie osłabić pierwsze, wzmocnić ostatnie. — Dawno już oceniono ten fakt niezaprzeczony, że nierówność mienia jest bodźcem do pracy, dźwignią działania i postępu, inaczéj czeka nas lenistwo i bezczynność, a z nią nędza i ciemnota. — (Por. Micheleta Naturrecht I, 181).

II. Drudzy oświadczają się przeciw własności twierdząc, że nie widzą słusznéj zasady, któraby ją czyniła sprawiedliwą i uzasadnioną. Nowatorowie tu zapominają, że z jednéj strony fakt tak powszechnego

i trwałego istnienia jak własność, musi mieć i bardzo głębokie podstawy swego istnienia, skoro jest tak niewzruszonym, a wreszcie, że choćby nawet trudno go było teoretycznie uzasadnić, należy go bronić i utrzymać, bo nie mamy nic coby dobroczynne jego wpływy na życie jednostki i społeczeństwa zastąpić zdołało. Ale takiéj niemożności uzasadnienia własności wcale dowodzić nie można. Niezawodnie sam fakt fizycznego rzeczy owładnięcia, umowa lub arbitralność prawa własności nie tworzy, ale źródłem jéj jest sama natura człowieka, jéj potrzeby i jéj niezmienna organizacya.

III. Często bardzo występują przeciwnicy własności z zarzutem, że byłoby nierównie użyteczniéj i dogodniéj, gdyby materyalne środki do życia nie były w pewnych tylko rękach skoncentrowane i zamknięte, ale żeby możność ich używania była dostępną dla wszystkich. Dzisiejsza organizacya własności indywidualnéj ścieśnia ogół w możności swobodnego używania tego, do czego wszyscy mają jednakie prawo ze względu na prawo przyrodzone. Dary natury powinny być, według mniemania nowatorów wspólną własnością i nie ma słusznéj zasady ustalać jakiekolwiok ograniczenia w tym względzie. Niezawodnie, że z zasady użyteczności wychodząc, musimy przyznać, że byłoby arcydogodnie uważać wszystko wokoło siebie za własne, ale sama użyteczność nie stanowi prawa, potrzeba mu odszukać głębsze podstawy. — (Por. Moliniez. Ètude sur le droit de propriété Revue Wołowskiego 12 vol. 1840 r. str. 419 in.) Przy bliższem rozważeniu tego zarzutu widzimy go nieusprawiedliwionym, bo własność nie będąca indywidualną właściwie istnieć przestaje, praca bez gwarancyi na przyszłość zbierania owoców staje się leniwą i ociężałą, a wreszcie ogranicza się jedynie do zaspokojenia najkonieczniejszych potrzeb człowieka. Ci którzy tak domagają się prawa polowania, rybołówstwa itp. na rzecz ogółu, zapominają, że niezawodnie nie byłoby tych darów, gdyby nie było i własności indywidualnéj. Zresztą to żądanie jest wymaganiem najwyższéj niesprawiedliwości na świecie. Rzecz to pewna (Ganilh 534), że przyrodzona obfitość ziemi musi być przez pracę człowieka obudzaną i rozwiniętą, ta praca musi być długą i mozolną, wymaga całych lat i pokoleń; czyż zatém słuszną byłoby rzeczą, ażeby owoc tylu trudów i mozołów pożywał zarówno ten, który pracował, jak i ten, co był bezczynnym?

IV. Niektórzy przywodzą zarzut mający za sobą wiele pozorów prawdy. Świat cały jest już zajęty, wszędzie ślady pracy i własności indywidualnéj, gdzież się podzieją pokolenia, które teraz lub późniéj przybędą? Ich przyszłość wiadoma powiadają: — żyć w wiecznéj zależności od ulubieńców fortuny, schlebiać ich słabościom i pę-

dzić mizerne życie o biednym kawałku chleba, który się im udzielić podoba w zamian za pracę ciężką i mozolną — oto los pokoleń, które już dziś opłakiwać musi każdy kto ma serce dla klęsk ogólnych. Te sentymentalne żale są niepotrzebną ckliwością. Świat w małéj zaledwo części jest zajęty, jest jeszcze wiele bardzo ziemi, która od wieków gromadząc skarby przyrodzonéj płodności, oczekuje ręki człowieka, który ją do swoich celów skieruje. Nagroda jego pracy będzie obfitą, potrzeba właśnie tylko wytrwałéj pracy, która w łonie ziemi złożone siły pobudzi do życia. Prawda, że praca ta będzie nierównie cięższą od uprawy téj ziemi, którą oddawna już pług orał, nadto, potrzeba dla niéj porzucić ziemię, w któréj się dotąd żyło, ale nie ma na to środka, chcąc trwale zapobiedz biedzie, na którą się skarżą tak liczne klassy społeczne; wydrzéć komuś chléb jego ręką zapracowany wystarczy co najwięcéj na dzisiaj, ale nie na jutro. Wzajemna zależność rąk żądających pracy od tych, co ją ofiarują, nie jest tak szkodliwą jak mniemają obrońcy klas ubogich; stosunek ten normuje się ekonomicznem prawem ofiarowania i żądania, które ustala równowagę wzajemnych pretensyj. — Widok nagromadzonéj pracy dla przybywających pokoleń nie może być szkodliwym, ale raczéj dobroczynnym; bo z jednéj strony staje się zachętą dla nich do pracy, a z drugiéj ułatwia im ją, dostarcza kapitału, obniża stopę procentową i otwiera obszerne pole zarobku. Zresztą żądania powyższe przeciwników własności odnoszą się jedynie do własności gruntowéj. A przecież ona nie jest jedyną; przemysł zatrudnia dzisiaj mnóstwo rąk w warsztatach i fabrykach, własność ruchoma przewyższa wiele nieruchomą, a wreszcie coraz więcéj wyrabia się pojęcie niewzruszonéj własności duchowéj artysty, uczonego i wynalazcy.

V. Ci, którzy własność wywodzą z prawa i uważają ją jedynie za wynagrodzenie pracy, twierdzą, że skoro ta ostatnia została tak znacznie ułatwioną przez maszyny i udoskonalone narzędzia, przeto nie ma i potrzeby także i jéj nagrody, nie ma powodu istnienia własności. — Pomijając już błędne twierdzenie, które własność z ustawy wywodzi, nie można podzielać mniemania o ułatwieniu pracy. Wprawdzie maszyny o wiele zastąpiły i zmniejszyły fizyczną działalność człowieka, wszelako w rolnictwie znajdują dotąd jeszcze bardzo mało zastósowania, a i w przemyśle nie zastępują jéj przecież zupełnie. Praca człowieka mozolna i trudna nigdy istnieć nie przestanie przy najgenialniejszych wynalazkach i maszynach, a w rolnictwie opanowanie pierwiastków natury przedstawia zawsze zadanie wymagające ciągłéj, najczujniejszéj i najmozolniejszéj pracy. Trafnie powiedział Baudrillart, że natura jest wiecznym wro-

giem człowieka, może być tylko zwalczoną, albo panującą nad nim. Choćby zatém własność była jedynie nagrodą pracy, jéj przyczyna i tak nigdy nie zniknie.

VI. Uważając własność również za utwór prawa, widzą w tém niektórzy nadużycie władzy prawodawczéj. Już poprzednio udowodnioném zostało, że prawo nie tworzy własności, tylko ją sankcyonuje; ale gdyby i tak nawet było jak chcą doktrynerzy, nie możnaby widzieć w ustanowieniu własności nadużycia władzy; to co człowiekowi ułatwia urzeczywistnienie jego zadań życia i nieobliczone najkorzystniejsze rezultaty sprowadza tak dla jego bytu materyalnego jak moralnego, to mówią, utrwalone przez prawo nie jest nadużyciem lecz dobrodziejstwem.

VII. Darowizna i spadek były także bardzo często przedmiotem zarzutów ze strony nowatorów. Dowodzono, że jest to faktem najwyższéj niesprawiedliwości pozwalać komuś używać owoców cudzéj pracy bez osobistego w niéj udziału (Thiers 53), że przez to zabija się chęć własnego starania około swoich potrzeb i że przez to nagromadzamy w ograniczonéj liczbie rąk materyalne środki, które dla wielu także innych osób mogłyby być użytecznemi. — Pozorna słuszność takiego twierdzenia znika po bliższéj rozwadze. Przedewszystkiem darowizna i spadek są koniecznym wypływem użytkowania, (Guillaumin I. 859, Baudrillart, Hérédité w Blocca Diction. II. 19), które przecież jest nieodłącznem od własności. Tak jak orze się pole i przerabia ziarno, tak można je komuś darować lub po swoim zgonie przekazać (Por. Raynal, Histoire phil. des établissement des Européens etc. A. Bathie l. c.). Prócz tego są i inne względy. Znosząc darowiznę i spadek, zabijamy pracę i oszczędność, (Thiers 57. Coquelin. Hérédité w Guillaumin'a Dict. I 859), tamujemy nadto zaspokojenie moralnéj potrzeby człowieka: w s p a r c i a p o t r z e b u j ą c y c h. Spadek ma również głębokie swoje motywy. (A. Bahtie l. c. Zielonacki II. 625.) Miłość rodzinna wyradza troskę o byt familii, (Thiers 61, Simon, De la liberté I. 447. Lerminier str. 101), którą wspiera nadto i powinność człowieka zapewnienia materyalnych środków życia członkom najbliższéj jego rodziny (Lerminier 97). Daléj, jeżeli przekonani powyższém rozumowaniem dopuścimy darowiznę — nie możemy się również oświadczyć i przeciwko spadkowi. Rozporządzenia prawa w tym względzie byłyby daremne: nie mogąc przekazać swego majątku po śmierci, oddawanoby go za życia, skazując się nie rzadko na ciężkie potrzeby w ostatnich godzinach życia, z przyczyny niewdzięczności obdarowanych. (Passy, Leçons d'écon. pol. I. 146). Praca i oszczędność człowieka w obec zniesienia spadku musiałaby ustać, pracowanoby jedynie na zaspokojenie najkonie-

czniejszych potrzeb życia w braku wszelkich innych motywów (Thiers 68).

VIII. Egoizm i odosobnianie się ludzi przywodzą także przeciwko własności. Bogacz zapomina, że są i biedni; nie będąc zależnym od nikogo, zna tylko własne potrzeby. Prawda; ale i to pewna, że oświata coraz więcéj zbliża ludzi do siebie, splata wzajemnie ich rozliczne potrzeby i wykazuje nawet własny interes w nadaniu ruchu nagromadzonym skarbom przez udzielenie ich do pracy tym, co ich nie mają, a moralność uczyni ludzi pamiętnymi na potrzeby biédnych. Zniesienie własności nie odmieni nastroju duszy i moralnych pobudek.

IX. Przywodzą inni, że własność często powstaje niezależnie od zasług osobistych (Por. artykuł p. Leclerc o Oszczędności w Guillaumin'a Diction I. 709), nierzadko jest dziełem przypadku (Baudrillart, la propriété, Paris 1867 [gra]), lub nawet w czynach nielegalnych czerpie swe źródło, (rabunek, kradzież), w każdym razie obudza zawiść w klasach biedniejszych, które to uczucie potęguje się nawet tak dalece, że nierzadko popycha do zbrodni. — Wszystko to prawda, ale przeciwnicy własności usiłują z wyjątków zrobić regułę ogólną (Thiers 101—106). Przyznać potrzeba, że te wyjątki stają się coraz rzadszemi. Niesprawiedliwość losu, który się okazuje przeciwnym tym, co są niestrudzeni w swoich zabiegach, a sprzyja lenistwu, daje się osobistą usilnością i wytrwałą pracą zrównoważyć (Guillaumin, Dict. II. 466); gra a nawet rabunki i kradzieże znikają z postępem oświaty i utrwaleniem moralności, a widok owoców uczciwéj i mozolnéj pracy zamiast zawiści obudza szacunek i staje się potężnym bodźcem podjęcia troski o własnych potrzebach.

Oto są najgłówniejsze zarzuty czynione własności i jéj obrona. Zarzuty te są odgłosem głębokiéj tęsknoty szlachetnego serca do ulżenia ciężaru życia tym, którzy własnemi rękami gromadzą majątki dla drugich, sami nie mając nic oprócz goryczy w skołataném sercu i bladéj iskierki nadziei w duszy. — Są to zacne dążności; ci którzy walczą przeciwko tym teoryom, które słyszeliśmy przed chwilą, nie dowodzą bynajmniéj, żeby byli na głos ubóstwa obojętnymi, ale pragną tylko na rozognione rany społeczeństwa wyszukać prawdziwie gojący balsam, a nie to co je może rozjątrzyć i głębsze sprowadzić cierpienia. — Komunizm powinien pamiętać słowa, które były maksymą dwóch największych mędrców starożytnych: (Platona i Arystotelesa), iż szczęście człowieka nie zawisło od tego, czy ma

tyle co inni, ale od tego, czy ma tyle wiele mu potrzeba. Zaspokojenie rozumnych potrzeb w życiu powinno być celem wszelkich ekonomicznych usiłowań, do nauki zaś należy orzec, co w téj mierze winno uczynić państwo, a co własnemi rękoma wyrobić powinna jednostka. Bezwzględna równość jest niemożebną, a gdyby była możebną byłaby nierozumną. Społeczeństwo nie przez to silną ma egzystencyę, że je składają równe sobie czynniki, ale raczéj, że różnorodne jego pierwiastki układają się w organiczną całość, gdyż życie społeczne jest jak gdyby wielką muzyką, któréj akordy témbardziéj kołyszą nasze uczucia, im więcéj różnorodne pojedyncze tony zléwają się w wielką harmonię.

Drogi handlu zbożowego.

(J. N. SADOWSKIEGO.)

I.

Na przestrzeniach składających Europę, wyróżnić można dwa obszary, z których jeden spożywa cały zapas swego zboża, a okazujący się niedobór sprowadza z zagranicy; drugiemu zaś, po zaspokojeniu wszystkich potrzeb miejscowych, zostaje jeszcze znaczny nadbitek przeznaczony na wywóz za granicę.

Do ostatniego obszaru należą dawne ziemie polskie, Węgry, Besarabia, Multany i Wołoszczyzna, a granice jego zakreślają rzeki Dźwina, Dniepr, dolny Dunaj od ujścia po Wiedeń, Morawa i Odra. Obszar ten uważać można za właściwą okolicę wyłącznéj prawie produkcyi zbożowéj, przeważnie na wywóz za granicę przeznaczonej.

Do zbóż wywożonych z tego obszaru dorzucają jeszcze swe plony Sycylia i Ameryka północna.

Ameryka północna na niezmiernych swych przestrzeniach wypładza zdumiewającą sumę 170 — 180 milionów buszelów [1]) saméj pszenicy.

---

[1]) W ciągu téj rozprawy wypadnie nam nieraz wymieniać miary i monety zagraniczne. Do zrobienia łatwéj redukcyi na miary i monety krajowe posłużą następujące dane: Wszystkie miary objętości sprowadzamy na litry, jako na najracjonalniejszą ich jednostkę, a najważniejszą monetę angielską porównywamy z krajowemi:

Miary objętości.

Hektolitr	=	100	litrom
Buszel	=	36,35	—
Szefel pruski	=	54,96	—
Meca wied.	=	61,49	—
Korzec warsz.	=	128	—
Kwarter ang.	=	290,79	—

Monety.

Szyling ang.	=	0,31350 rubl. sr.
	=	0,33762 tal. prus.
	=	0,50642 złr. w. a.

Mimo olbrzymiego spożywania w krajach wzdłuż wschodniego wybrzeża położonych, z których południowe całe swe obszary poświęcają przeważnie na wypładzanie bawełny, a północne przeważną część ludności zatrudniają przemysłem, mimo spadającéj na stany rolnicze konieczności żywienia licznych osób zatrudnionych pracą w kopalniach i połowem zwierząt futrzanych w północnych obszarach leśnych, mimo zaopatrywania wielkich potrzeb licznéj marynarki, nadbitkiem zbóż amerykańskich, możnaby jednak jeszcze zasypać wszystkie śpichlerze starego świata i zabić wszelkie współzawodnictwo produkcyi europejskiéj, tém bardziéj, że do dobywania coraz świeższych ról dziewiczéj żyzności, pozostaje jeszcze bardzo szerokie pole. Od tak niebezpiecznego wzpółzawodnictwa zbóż amerykańskich, wypładzanych stosunkowo małym kosztem na coraz świeższych nowinach, chroni nas jedynie okoliczność, która wszędzie i zawsze stawia pewne granice rozwożeniu towarów stosunkowo do wartości swojéj ciężkich, a tą jest zbytnia odległość od ostatnich targowisk. — Transport zboża z głębi krajów północnéj Ameryki na wschodnie jéj wybrzeża sam przez się już pochłania znaczną część jego wartości, a z długiéj drogi morskiéj, która mu jeszcze pozostaje, korzystać tylko można w chwilach podniesienia się cen angielskich nad przeciętne średnie notacye. Stalszy nieco odbyt w Europie zapewniła sobie Ameryka przez urządzenie wielkich młynów w Wirginji i w Rochester nad kananałem eryjskim (Erie). Mąki wirgińskie i rochesterskie zbywające od potrzeb miejscowego spożycia zasilają stale główne ogniska przemysłowości angielskiéj, szczególnie te, które się w zbitéj masie grupują na okół Manchestru. Głównén miejscem ich dowozu jest Liwerpool. Wytworniejsze zaś koła spożywaczy londyńskich poszukują, nawet z ofiarą znacznéj nadwyżki cen, naszéj sandomirki, bużanki i chełminianki.

W Nowym Yorku i w Ryczmondzie leżą zawsze wielkie zapasy zboża zasilające młyny amerykańskie. W chwilach wzrastania cen angielskich cały ogrom tych zasobów puszcza się w drogę do Europy, zostawiając zaopatrywanie młynów ciągle nadchodzącym z głębi kraju świeżym nadpływom.

Dowóz mąk wirgińskich i rochesterskich zniża znacznie s t a ł y niedobór angielski; posuwanie się zaś ku Europie nadbrzeżnych zapasów zboża amerykańskiego w chwilach nagle wzrastających cen, skraca w Europie okresy ożywionego ruchu w handlu zbożowym przy wysokich cenach, których z tego powodu, tylko pierwsza połowa na naszą wyłączną korzyść wypada.

Po zakreśleniu granic obszaru w y w o z o w e g o wschodniéj Europy i po sprowadzeniu do właściwéj miary współzawodnictwa

grożącego mu ze strony zbóż amerykańskich, weźmy się teraz do przeglądu drugiego obszaru, odznaczającego się trwałym popytem za zbożem zagraniczném.

Za najważniejszych odbiorców wschodnio-europejskiego zboża poczytać musimy w latach zwyczajnych Anglię, Francję, Szwajcarję, poczęści Skandynawię i Włochy, a w razie pojawiającego się nieurodzaju prowincye nadreńskie, Saxonię i inne pomniejsze obszary Niemiec.

Klimat nadmorski, panujący w Anglii, łagodzi ostateczności temperatury, a zwilżając przytem ziemię staje się powodem bardzo bujnéj roślinności, tak w zbożu jak w roślinach pastewnych, którym szczególnie sprzyja. W latach zwyczajnych wypładza Anglia dwadzieścia kilka milionów kwarterów rozmaitego zboża. Mimo tak wielkiéj własnéj produkcyi i znacznego dowozu mąki zagranicznéj, skutkiem wynikłości pozostających w związku z panującym tu systemem konsumcyjnym, stały prawie niedobór roczny tego kraju dochodzi dziś już do pięciu milionów kwarterów.

Ale na tém nie koniec.

Te same warunki klimatyczne, które bujność roślinności sprawiają, sprowadzają téż klęski chwilowe. Zbytnia wilgoć w czasie siéwu, sprowadza nieurodzaje, obfitość deszczów pojawiających się często pod koniec lata sprawia nader dotkliwe straty w żniwie. — Wtenczas niedobór zboża rośnie w olbrzymie rozmiary, które, jako pochodzące z przyczyn nierównych i przypadkowych wcale w dokładną liczbę ująć się nie dadzą.

Francya ma dwie strefy klimatyczne. Północna strefa zbliżona do własności klimatu angielskiego, z tą tylko zmianą że czynniki meteorologiczne działające w Anglii dosięgają Francyi w sposób pod każdym względem o tyle złagodzony, o ile Francya położeniem swojém wzrasta już w obszary kontynentalne. Naturalnym skutkiem takiego złagodzenia wszystkich warunków klimatycznych, roślinność tu stosunkowo mniéj bujna, ale i katastrofy ulewne rzadsze i mniéj szkodliwe. System zaś konsumcyjny ochrania bardziéj niż w Anglii zapasy zbożowe. Tu więc niedobór jest wyjątkiem, a regułą nadbitek.

Ale w ekonomicznych stosunkach zbożowych całéj Francyi sprowadza pod tym względem wielką zmianę strefa południowa. Warunki klimatyczne téj strefy składającéj się z Prowansalyi, Burgundyi i krajów nadgarońskich, skłaniają do chodowania drzew oliwnych i macicy winnéj, a przeważna część zbywającéj roli poświęca się tu uprawie doskonale udającego się warzywa, które przemysł miejscowy suszy i zaprawia na nawóz. Niedostatek zboża wynika tu

więc z braku odnośnéj uprawy. W zwyczajnych latach pokrywa go przeważnie nadbitek północnéj strefy francuskiéj, obok mało tylko znaczącego popytu za zbożem zagraniczném. Ale w razie nieurodzaju w północnéj Francyi, lub przeciągłych deszczów w czasie żniwa, niedobór zboża przybiera olbrzymie rozmiary i bywały już częste lata, w których 12 milionów hektolitrów przesięgał.

Popyt za zbożem zagraniczném w Szwajcaryi różni się tém od popytu pojawiającego się w krajach poprzednich, że jest stałym i zawsze w równéj mierze występuje.

W podgórzach Szwajcarskich rozsiadł się szeroko drobny przemysł, zatrudniający znaczną liczbę rąk, a miasta wzrastają coraz bardziéj do znaczenia wielkich ognisk przemysłowych. Zboże uprawia się tylko po najniższych częściach dolin. Produkcya miejscowa jest więc tak małą w stosunku do spożywania, że różnica w żniwie miejscowém mało wpływa na zmianę ilości sprowadzanego rocznie zboża. Zobaczymy później, w jaki sposób ta stałość pożądania obcego zboża wpływa na system dróg zbożowych.

Stałym też jest niedobór zboża w Skandynawii, szczególnie na wybrzeżach norwegskich. Dla tego miasto Bergen jest ważnym portem popytu za żytem, popytu często bardzo znacznego, jeźli wczesne mrozy przeszkodzą dojrzeniu zboża jarego.

We Włoszech organizacya miast przeważa tradycyonalnie organizacyę sielską, nawet niezależnie od względów przemysł.-handlow. Stały niedobór zboża włoskiego znany jest już od czasów Rzymskich. Starożytny Rzym miał swój śpichlerz podręczny w Sycylii, a następnie żywił się przeważnie zbożem egipskiém. Z wyjątkiem niektórych okolic nadpadańskich, ogół rolnictwa włoskiego od czasów rzymskich cofnął się raczéj niż postąpił. Latifundia z ostatnich czasów rzymskich poprzeradzały się w większéj części w pastwiska, miejscami nawet jak w znanéj powszechnie Kampanii rzymskiéj w pustynie. Niedobór zboża musi tu więc być stały, ale popyt za zbożem zagraniczném nie jest tak wielki, jakby o tém wnosić należało z wyłuszczonych co tylko przyczyn. Głównym powodem tego jest bardzo niski stopień systemu konsumcyjnego.

Zniżenie się zbiorów nadreńskich i saksońskich pod poziom średniego żniwa, pomnaża dosyć znacznie ogólny popyt za zbożem i przyczynia się tem bardziéj do ożywienia ruchu w handlu zbożowym, jeźli się wydarzy współcześnie z jaką katastrofą zbożową w Anglii lub we Francyi.

Dawniéj ceniono u nas nad miarę tę obfitość zboża wywozowego, charakteryzującą stosunki obszaru wschodnio-europejskiéj produkcyi zbożowéj. Nazwanie Polski „śpichlerzem Europy“, zawierało w so-

bie pretensyę do oznaki wielkiego bogactwa krajowego. Dziś wiadomo już powszechnie, że zjawiska tych względnych potrzeb z jednéj, a bardzo względnéj obfitości z drugiéj strony są tylko oznakami odmiennego systemu konsumcyjnego [1]), którego wysoki stopień zostaje zawsze w prostym stósunku z ogólnym rozwojem rozległéj organizacyi ekonomicznéj, stanowiącéj jedyną podstawę prawdziwego bogactwa krajowego.

Główny wschodnio-europejski obszar przeważnéj produkcyi zboża rozpada się jeograficznie na trzy mniejsze obszary: baltycki, czarnomorski i zakarpacki.

Przed zaprowadzeniem koleji żelaznych, obszar zakarpacki nie miał wielkiego znaczenia na wielkich targach europejskich, obszar zaś przedkarpacki zmieniał kierunek swych dróg handlowych w miarę wielkich zmian zachodzących na Zachodzie.

Z przeglądu naszego, krajów które sprowadzają zboże z zagranicy, wynika że obszar popytu zbożowego sięga wielkim łukiem od przylądka Spartivento przez Włochy, Szwajcaryę, Francyę, Anglię i Norwegię aż do wysp Lofodskich. W kolei wieków zamieniające swe role potęgi świata od czasów rzymskich (a dawniéj jeszcze i greckich) postępowały właśnie kierunkiem wskazanego przez nas łuku

---

[1]) Wyrażenie „system konsumcyjny", może nie każdemu z czytających w całéj rozciągłości swego znaczenia będzie zrozumiałém. Dla wyjaśnienia więc rzeczy, porównamy w kilku słowach najwyższy stopień systemu konsumcyjnego angielskiego, z najniższym włoskim, z czego pojęcie stopni pośrednich samo przez się wyniknie. W Anglii usilna praca robotnika i wymagalności północnego klimatu, wywołały żywienie robotnika pokarmem mocno zasilającym, przeważnie mięsem tłustém i wyborowym chlebem. Na téj wymagalności konsumcyjnéj, oparła się zmiana rolnictwa opierającego się na wypładzaniu mięsa tucznego i materyału najstósowniejszego do tuczenia w chowie bydła i owiec, w połączeniu z pomnożeniem roboczych sił inwentarskich i lepszém karmieniem ich, niż gdzieindziéj. To pociągnęło za sobą nieznaną gdzieindziéj wielką konsumcyę zbożową w łonie samych gospodarstw rolniczych. Rozłożenie jeograficzne głównych zakładów przemysłowych po kraju, wywołane względami odpowiedniéj odległości tak od kopalni węgla kamiennego jak od portów wywozowych, w połączeniu z miarą wymaganego pośpiechu, zarzuciło całą Anglię gęstą siecią kolei żelaznych i kanalizacyi łączącéj z sobą wszystkie rzeki. Liczne stacye tych krzyżujących się komunikacyj potworzyły znów w obrębie miast przemysłowych i po kraju równie liczne obszary dowozu i rozwozu na osi i stały się przyczyną utrzymywania niezmiernéj liczby koni przewoźniczych, które w połączeniu z liczniejszemi tu niż gdzieindziéj końmi luksusowemi wzmagają niezmiernie spożywanie zboża. Znany powszechnie ogrom marynarki kupieckiéj i wojennéj, odbywającéj przeważnie dalekie wyprawy, wywołał potrzebę zaopatrywania w zapasy żywności tak okrętów puszczających się na morze, jak i magazynów portowych ubezpieczających regularność ich zaopatrzenia.

i osiadły w ostatnich czasach na północno-wschodniém ramieniu jego. W miarę kolejnego występowania tych potęg, skręcały się zwolna i drogi handlowe obszaru przedkarpackiego, zmierzając swemi końcami ku panującéj chwilowo potędze. Za czasów greckich i rzymskich, wszystkie drogi nasze handlowe szły z północy na południe. Przypomnimy tylko wielką drogę handlową od Jlmenu przez Ruś południową i znaną w dziejach handlowych drogę naszą „Rzymską". Wśród zmian, które od czasów Karola Wielkiego zaszły na zachodzie, zaczęły się u nas wyrabiać kierunki dróg zachodnich. Kiedy za czasów Cesarzów Niemieckich z domu saskiego, przewaga potęgi europejskiej rozsiadła się między Łabą a Menem, Kraków i Głogowa znaczyły kończyny dróg naszych zdążających tam przez Czechy i Luzację. Po rozwinięciu się wielkiéj potęgi handlowéj, najpierw holenderskiéj a następnie angielskiéj drogi, nasze zbożowe skręciły się ku północnemu zachodowi na porzecze Wisły, a ubocznie i Niemna. Szerokie rozgałęzienie systemu tych rzek, zgarniało wszystkie ziemie polskie w zakres siły przyciągającéj tych dwóch głównych arterij handlowych, sięgając daleko za Bug w głąb Podola i Wołynia.

Wszystkie te czynniki razem wzięte, stanowią wysoki stopień systemu konsumcyjnego angielskiego.

We Włoszech stósunki konsumcyjne zupełnie inaczéj się ułożyły. Klimat południowy i niedosyć usilne odwoływanie się do pracy ludzkiéj sprowadziły nadzwyczajną skromność w pokarmie uboższéj klasy ludu. Przeważna część ludności włoskiéj żyje prawie wyłącznie polentą z kukurudzy i roślinami liściastemi skrapianemi oliwą. Mała ilość zużywanego zboża na paszenie inwentarza rolniczego, wynika już z poprzedniego przedstawienia stanu gospodarstw włoskich. Komunikacya między wsią a miastem jest mało znacząca. Wzdłuż całego kraju ciągnie się szeroki grzbiet Apenin, zostawiając tylko po obu stronach dwa wąskie pasy oddane szerszemu rozwojowi ekonomicznemu. Poprzeczne komunikacye Włoch odbywają się pod jednym i tym samym stopniem szerokości północnéj, nie łączą więc z sobą różnych stref klimatycznych i nie natrafiają na żadną wymagalność zamian wynikających z różnic roślinności. Łącząc przytém porty mające równy rodzaj dowozu, tracą wszelkie znaczenie na potrzebie wzajemnych zamian oparte. Wzdłuż pasów nadmorskich rozsiadły się miasta, których komunikacya między sobą, o ile dotąd nie odbywa się po kolejach żelaznych, jest przeważnie morską.

Spożywanie zboża przez inwentarz rozwoźniczy, odgrywa tu więc nadzwyczaj małą rolę. Marynarka odbywa podróże bez porównania krótsze, niż angielska; zaopatrywanie jéj obciąża więc na stosunkowo małą skalę zużywanie zboża i innych zasobów. Wszystko to, znów razem wzięte, składa się na bardzo niski stopień systemu konsumcyjnego włoskiego.

Reszta krajów zachodnich europejskich, zajmuje pod tym względem stanowiska konsumcyjne pośrednie.

Powstanie Odessy oderwało od nich większą część krain zabużańskich, wyrabiając zwolna osobny obszar czarnomorski. Odtąd granica obszarów baltyckiego i czarnomorskiego szła i pod handlowym względem, kierunkiem głównego działu wód.

Założenie kanałów Finowskiego i Bydgoskiego, sprowadziły tylko podrzędną zmianę w dróżnictwie handlu zbożowego. Żyto wielkopolskie zaczęło zasilać targowiska marchii brandenburskiéj, pszenica zaś, ta główna wskazicielka kierunku dróg handlowych, szła jak dawniéj, korytem Wisły do Bałtyku.

Znaczną modyfikacyę dróg handlowych sprowadziły koleje żelazne. Z przyczyn jednak, które w ściśle ekonomicznéj części naszéj rozprawy wyjaśnimy, nie zwróciły ich stanowczo kierunkiem biegu swego na Zachód, tylko dorzuciły port Szczeciński do poprzednich portów Baltyckich. Kolejami żelaznemi do Hamburga, Hagi i Antwerpii idzie zboże nasze tylko w czasie ożywionego handlu zbożowego celem ubieżenia zbóż amerykańskich i rychłego korzystania z wzrastających cen nad wybrzeżami morza Północnego. W zwyczajnym czasie, zboża litewskie idą Niemnem i kolejami do Kłajpedy i Królewca; zboża nadbużańskie, sandomirskie, mazowieckie i Prus Zachodnich do Gdańska; wielkopolskie zaś, szląskie i galicyjskie, przeważnie do Szczecina. Kolej z Podwołoczysk do Lwowa, przygarnęła znów znaczną część Podola do obszaru Baltyckiego znosząc przez to prawie ciągłą stagnacyę handlową téj nadzwyczaj żyznéj krainy.

W obszarze czarnomorskim wschodnia część Wołynia, Podola, Pobereże i Besarabia odstawiają swe zboże do Odessy.

Wybór miejsca na założenie Odessy, krytykowany z wielu stron szczególnie z tego względu, że postawioną została wśród niezaludnionego stepu i w oddaleniu od ujścia rzek głównych, przy spokojnéj rozwadze okazuje się zupełnie właściwym. Uregulowanie spławów na całym Dniestrze, a na Dnieprze od pierwszego Poroha do ujścia jest z wielu miar rzeczą na długi czas jest jeszcze niewykonalną. Przytém limany i ich ujścia są najgorszemi portami na całym północném wybrzeżu. Po usunięciu wiec względów na spławy rzek, pozostały tylko względy na transport lądowy, na łatwość dobicia do brzegu od strony morza i na panujące wiatry. Miejsce najdalszego zatoczenia się morza w głąb kraju, na jakim Odessa stoi, skraca odległości dowozu od środka najżyzniejszych okolic i jest przytém środkowym punktem, zbierającym prawie wszystkie promienie rozległego koła, w którym zatoczysty kształt morza tylko szczerbę stanowi. Ważność wyboru takiego punktu okaże się szczególnie przy wykończeniu sieci koleij żelaznych. Od strony panujących wiatrów północno-wschodnich. zagięcie około 100 stóp wysokiego wy-

brzeża wschodniego zasłania port jakokolwiek. Głębia otwartego morza sprzyja przybiciu okrętów wielkiego beczkomiaru, co w kosztach dalekiego transportu morskiego przynosi znaczną ulgę, a w obec silnego rozgrzewania się stepu w dni letnie i równie nagłego ochładzania się powierzchni nadlądowéj w czasie nocy, podczas kiedy temperatura powierzchni nadmorskiéj mało się zmienia, statki mogą łatwo dobijać we dnie z wiatrem morskim (brise), a nad ranem wypływać z wiatrem lądowym. Inne punkta nie nastręczają téj dogodności. Do wpłynięcia np. w liman Dnieprowy, trzeba najpierw wiatru południowego, żeby się dostać w wielką zatokę morską, którą półwysep krymski z resztą wybrzeży zachodnich określa, a następnie trzeba przemiany wiatru południowego na zachodni, żeby znów z téj zatoki wpłynąć do limanu; taka zaś zmiana nie pojawia się na zawołanie.

Ale jeźli wybór miejsca można usprawiedliwić, to natomiast uznać trzeba inne niedogodności Odessy, jako portu zbożowego Ukrainy i przyległych okolic. Przeszło trzydzieści mil szeroki pas stepowy, oddziela ją od południowych krańców produkcyi zbożowéj, a transport morski ma przed sobą strasznie dalekie drogi.

Zachodnie wybrzeża czarnomorskie zaopatrzone są w pszenice mołdawsko-wołoskie, na wybrzeżach morza egejskiego i przeważnéj części wybrzeży morza śródziemnego spotyka się pszenica Odeska z współzawodnictwem kukurudzy. Potrzeby włoskie, pokryte w części zbożem sycylijskiém, nie wyczerpują jéj zapasów. Pozostaje więc daleka i kosztowna droga do Anglii, Hawru i Antwerpii podług nastręczających się konjunktur zbożowych.

Miejscem najkorzystniejszego zbytu mogłaby być dla Odessy Masylia w tych czasach, kiedy nieurodzaj w północnéj Francyi obudza tu wielki popyt zbożowy. Ale późno przybywające zboże Odeskie spotyka się tu z nader niebezpieczném współzawodnictwem zboża węgierskiego.

Niezmierne zasoby zboża węgierskiego pochodzące z bardzo żyznych równin, położonych między Cissą a Dunajem, oddalone zbyt bardzo od głównych targowisk europejskich, odcięte długi czas od brzegów morza brakiem spławu dogodnego na ujściach Dunaju i niedostępnością dróg prowadzących do Adryatyku, znalazły sobie od pewnego czasu zupełnie osobny odpływ na Zachód. Posłużyła im w téj mierze wyłuszczona poprzednio stała potrzeba szwajcarska. Zboże węgierskie idzie przez Wiedeń, Monachium i Augsburg do Lindau, Borschach i Romanshorn nad jeziorem Kostnickiém, gdzie słynne firmy zbożowe urządziły olbrzymie magazyny, z których zboże ustalonemi prądami rozchodzi się po całéj Szwajcaryi.

Stały odbyt, jaki zboże węgierskie znajduje tu w zaspokajaniu nigdy nieprzerwanych potrzeb Szwajcarskich, dozwolił w przeciągu licznego szeregu lat rozróść się magazynierstwu zbożowemu w takie rozmiary, że opierająca się na nich spekulacya, stanowi tu pewien rodzaj straży kupieckiéj, śledzącéj ztąd pilnie wypadki corocznych żniw francuskich i nadreńskich. Ile razy nad Renem zjawi się niedobór, posunięcie nadbitku magazynierskiego wzdłuż koleij żelaznych nadreńskich, szybko go pokrywa ubiegając wszelkie inne współzawodnictwa. Ile razy znów we Francyi pojawi się nagle wzrastający popyt za zbożem, zasoby Lindawskie posuwają się przez Bazyleę do Dyżonu (Dijon) i Lionu.

Ta to nadzwyczaj dobrze do położenia rzeczy zastósowana organizacya zbożowego handlu węgierskiego, pozbawia Odessę tych okresów świetnego powodzenia, któreby raz po raz miewać mogła na placu Masylskim.

Wykończenie sieci kolei żelaznych węgierskich i doprowadzenie jéj aż do Fiume, sprowadzi zboże węgierskie i na wybrzeża włoskie, które dotąd prawie wyłącznie służyły Odessie, a koléj przez St Gothard z Rohrschach (!) do Medyolanu, stawi magazyny węgierskie na samém pograniczu Włoch północnych.

Ale i na drogi obszaru baltyckiego przenosi się już to współzawodnictwo zbóż węgierskich. Nie mamy tu na myśli kolei Koszycko-Bogumińskiéj prowadzącéj na drogę wrocławską, bo droga ta do targowisk nad morzem północném położonych, jest nader długą, a w Koszycach nie zaczynają się nawet jeszcze właściwe obszary zbożowe węgierskie. Ale na drodze lindawskiéj powstały w nowszych czasach ulepszenia, które się mogą stać dla nas niedogodnemi.— Zboże dążące do stałego odbytu szwajcarskiego w Lindau, mijało dawniéj w Monachium drogę włoską prowadzącą przez Trydent do Werony i drogę Saską na Hof do Lipska, a w Augsburgu pomijało najkrótszą swą komunikacyę z Belgią. Otóż te same firmy lindawskie postarały się o uchylenie pewnych niedogodności w ustawach miejskich monachijskich i założyły w tém mieście drugie wielkie magazyny rezerwowe. — Ztąd i z Lindau strzegą teraz w s z y s t k i c h z w r o t ó w e u r o p e j s k i c h k o n j u n k t u r z b o ż o w y c h. W razie podwyższenia się cen we Włoszech, spuszczać się będą do Werony, w razie ożywionego handlu na morzu północném, podążą do Antwerpii i współzawodniczyć będą ze zbożem obszaru baltyckiego. Z kolejami żelaznemi stanęła umowa, że magazynowanie po drodze odbywać się będzie bez wpływu na utratę zniżeń przywiązanych do ciągłości dalekiego transportu. Opłaty od zboża wychodzącego z Monachium, liczyć się będą tak, jakby zboże to bez przerwy z Pesztu

do Antwerpii przewożoném było, z opuszczeniem nawet kosztów nowego ładowania.

Nadto towarzystwa exportowe węgierskie próbują innéj jeszcze spekulacyi. Korzystając ze zbytniego dotąd materyału kolei żelaznych węgierskich, najmują całe pociągi kolei żelaznéj z osobną lokomotywą, za cenę jednorazowego przewozu pełnego ładunku najniższéj klasy opłat, a wracają z zamówionym poprzednio pełnym ładunkiem towarów importowanych, od których już transportu nie płacą. Wywóz zboża uskutecznia się w ten sposób niżéj połowy zwyczajnych cen transportowych, bo importowane towary składają się zwykle z przedmiotów wyżéj w transporcie opłacanych. W ten sposób skracają poniekąd odległości transportu kolejowego.

Po uskutecznieniu pobieżnego przeglądu wszystkich dróg zbożowych, prowadzących z obszaru wschodnio-europejskiéj produkcyi zbożowéj na zachodnie targowiska, i po wskazaniu zachodzących na nich współzawodnictw rozmaitego rodzaju, przystąpimy w drugiéj właściwie ekonomicznéj części naszéj rozprawy do wykazania tych czynników, które wpływają na rozmaitość cen różnych miejscowości, wśród obszaru produkcyjnego położonych. Przekonamy się, że na zbytnie obniżenie cen naszych, wpływają przeważnie brak udoskonalenia systemu transportowego i rozgałęzienie się drobnych spekulacyj handlowych, działających na szkodę kraju. To nas samo przez się zaprowadzi do usiłowań rozwiązania zagadnienia, które sobie każdy kraj przeważnie rolniczy postawić powinien: w jaki sposób przez zorganizowanie handlu zbożowego, odpowiadające wymagalnościom wszystkich krzyżujących się stosunków, wpłynąć można na ulepszenie systemu transportowego, uchylenie wszystkich niedogodności handlowych, podniesienie przez to cen miejscowych i zmuszenie współzawodnictwa zboża amerykańskiego do mniéj częstego pojawiania się na targowiskach europejskich. — Z takiém przedstawieniem rzeczy połączymy przegląd pierwszych kroków, które obszar baltycki już postawił na tém polu, i starać się będziemy wykazać konieczność wstąpienia na nierównie rozleglejszą drogę.

Przegląd Artystyczny

przez

ANTONIEGO ZALESKIEGO.

Malarstwo.

W naszym utylitarnym i realistycznym wieku nieraz dają się słyszeć głosy: poco nam sztuka, poco nam poezya, precz z temi kwiatkami! Nam potrzeba inżynierów i mechaników a nie artystów lub poetów.—Ale pomimo tych głosów nie możemy uwierzyć, aby takiem było wnętrzne i sumienne przekonanie ludzkości. Ludzie będą zawsze ludźmi, którzy nie jednym chlebem żyją; spracowany potrzebuje odetchnienia, rozrywki; myśl przykuta do ziemi ciężkim pozytywizmem lub zmordowana i zniechęcona walką polityczną potrzebuje orzeźwić się i skąpać w czystych, niezmąconych sferach, gdzie króluje piękno, to bóstwo które przeżyło tyle innych! Bez sztuki, bez muzyki, bez poezyi, jakże czczém i bezbarwném byłoby życie i pomimo nie wiem jak świetnego dobrobytu, ludzkość bez sztuk pięknych z nudówby umarła. Zdaje się więc, że głosy, o których wspomniałem, policzyć można tylko na karb fanatyków realizmu i że świat nie przestanie zajmować się sztuką, czcić i podziwiać jéj arcydzieła, chociaż te, idąc za ogólném tchnieniem ducha wieku, przemieniają się i odradzają. Realizm naszego wieku wywiera niewątpliwie wpływ i na sztukę, ale acz w coraz nowéj i odmiennéj szacie, w innych, dziś może nieprzewidzianych formach, nie przestaną one być tym kwiatem, zdobiącym wieniec przeplatany cierniem i wawrzynem, który ludzkość ciągle sobie snuje, zdobiąc nim to smutne, to poważne, to rozpromienione swe czoło.

Zresztą, jeżeli jako kamień probierczy potrzeby sztuki weźmiemy ciągle wzrastające wystawy i stowarzyszenia nią się zajmujące, coraz obszerniejszy zakres handlu jéj przedmiotami, a nareszcie osobną i bogatą tak peryodyczną jak stałą literaturę jéj poświęconą,

to przyznać musimy, że dalecy jeszcze jesteśmy od chwili jéj zniknienia albo upadku na ziemi.

Ażeby w tym pierwszym przeglądzie artystycznym zrobić niejako wstęp do dalszych współczesnych przeglądów, musimy pomijając dawniejsze wieki, cofnąć się tylko do téj epoki, w któréj sztuka weszła na tory, po których z niejakiemi modyfikacyami dotychczas kroczy, do epoki jeszcze naszym oczom pamiętnéj, w któréj tak literatura jak sztuka zrzuciwszy z siebie więzy ciasnego klasycyzmu, rzuciła się jak młody zapaśnik w otwarte szranki, które podówczas ogólną nazwę romantyzmu otrzymały.

Nastąpiło to prawie współcześnie z upadkiem Napoleona I, którego żelazna ręka utrzymała w karbach narzucony jeszcze za rzeczypospolitéj zimny i jednostajny poziom klasycyzmu, na którym we Francji Dawid a po nim Gros, Girodet i inni, we Włoszech Camuccini i Benvenuti u nas Smuglewicz uwięzili sztukę, zalewając świat całym zastępem półbogów i bohaterów Grecyi i Rzymu, tak dalekich od pierwotworów dawnéj Grecyi jak każde naśladownictwo od swego prototypu.

Znudzono się wreszcie Achillesem i Jfigenią, i jednocześnie z Goethem, Byronem, Wiktorem Hugo i Mickiewiczem; Delaroche, Delacroix i Ary Scheffer we Francji; Cornelius, Schnorr i Overbeck w Niemczech, a obok nich i ich uczniów szkoły historycznéj, w skromniejszych rozmiarach rodzajowego malarstwa, cały zastęp francuskich malarzy, w Niemczech zaś szkoła Düsseldorfska, odrazu, całą świetną plejadą gieniuszów i talentów zajaśnieli za naszych jeszcze czasów. Odrodzenie to było gwałtowne; myśli, formy i szkoły coraz nowe, coraz odmienne, cisnęły się w szranki. Ci rzucili się w koloryt, tamci w linię, próbowano wszystkiego, naśladowano wszystko, począwszy od gwałtownego efektu Flamandów do ascetycznych linij gotyckich mistrzów. Romantyzm, na przekór klasycznéj gruntwadze, która pod jeden poziom greckiéj formy wszystkie szczepowe odmienności nagiąć chciała, wywiesił flagę narodowości. Szkoły francuskie i niemieckie wybitnie się jedna od drugiéj wyróżniły tak, że prócz rzadkich wyjątków, poznałeś odrazu te dwie główne europejskie szkoły nowszych czasów. Francuzi hołdowali kolorytowi, Niemcy linii. Przywódzcy francuskich malarzy Delaroche i Delacroix szukali wzorów we Włoszech i Flandryi, naśladowali czarowny koloryt Wenecyan, studyowali Tyciana i Weroneza lub bogatą a jaskrawą koloraturę Rubensa i głębokie mistrzowstwo światłocienia Rembrandta i jego szkoły. Aksamity i atłasy, zbroje i klejnoty, błyszczały na świetnych historycznych obrazach francuskich.

Potężny fresk Delarocha, tak zwany Hemicykl, w akademii sztuk pięknych w Paryżu, jest bez wątpienia jednym z najpiękniejszych utworów ludzkiego pędzla, rozpowszechniony arcydziełem sztuki sztycharskiéj Henriquela i licznemi fotografijami, znany jest po większéj części moim czytelnikom. Jest to kompozycya walcząca o lepsze ze szkołą ateńską Rafaela i wyobraża całą historyę sztuki i postacie wszystkich najznakomitszych artystów, począwszy od Grecyi i Rzymu do naszych czasów. Środkowa grupa i cudowne cztery postacie symbolizujące sztukę grecką, rzymską, gotycką i odrodzenia, są jednemi z najpiękniejszych postaci jakie sztuka wydała. Któż nie zna przepysznych obrazów z historyi angielskiéj i francuskiéj Delarocha, kto nie zadrżał przed jego Kromwelem, nie westchnął nad jego Johanną Gray i Karolem I, kto pozostał nieczułym nad rozdzierającym a tak realnie i prawdziwie traktowanym dramatem Golgoty?

Gieniusz Delacroix śmiały a nawet dziki i wściekły, unosi go czasem zbyt daleko w pogardę wszelkiéj linii i form przyjętych. A jednak jego sufit w sali Apollina w Luwrze jest czémś tak potężném, tak porywającém swą siłą, że nawet przeciwnicy jego muszą mu oddać sprawiedliwość. Apollo — słońce, wschodzi i rozjaśnia sobą horyzont; ogniste jego rumaki cwałują przez niebo a młody bóg przeszywa strzałami potwory, które się wiją w boleśnych kurczach i nikną w kłębach chaotycznéj mgły jakiéjś. To zwycięztwo światła nad ciemnością, cywilizacyi nad barbarzyństwem, myśl wielka i oddana z werwą, światłością i kolorem, któregoby i Rubens artyście pozazdrościł.

Rysunek, oprócz u Delacroix i jego zbyt ekscentrycznych naśladowców, jak Diaz i innych, którzy formalną wzgardę okazywali linii, poświęcając wszystko dla koloru i effektu, rysunek mówię poważniejszych malarzy nie był zaniedbanym; zawsze jednak, mianowicie w porównaniu do Niemców, koloryt i effekt był głównie na celu, rysunek zaś, kompozycya i ekspresya dopiero na drugim były planie. Wyjątkami w téj ogólnéj dążności, o których wspomniałem, byli Ingres i Ary Scheffer. Pierwszy trochę przywłaszczonéj i mocno dziś zaprzeczanéj sławy, naśladował niby Rafaela i Corregia, acz nie zawsze szczęśliwie; drugi, jeden z najznakomitszych talentów Francyi, tak swém nazwiskiem jak rodzajem talentu, stanowił jakoby przejście ze szkoły francuskiéj do niemieckiéj, przewyższając pierwszą srozszym rysunkiem, kompozycyą pełną stylu i powagi, głębokością w wyrazach twarzy; drugą zaś tą gracją, w któréj Francuzi zawsze sąsiadów swych przewyższali. Zawsze jednak, jak pod względem siły i effektu ustąpićby musiał Delarochowi, tak pod względem potęgi kompozycyi i rysunku nie zrównał się z Kaulbachem. Chcąc tylko w głównych

zarysach odszkicować ogólną charakterystykę szkół malarskich europejskich naszego wieku, nawiasem tu tylko wspomnę o znakomitych talentach, których jedno wyliczenie zajęłoby całe tomy, o takich jak Gérôme i Meissonier, z których pierwszy w uderzających zarazem prawdą i pięknem historycznych i obyczajowych obrazach, drugi w zachwycających miniaturowych rozmiarów obrazkach najważniejsze we Francyi miejsce trzymają; o wielkim bataliście Wernecie, tym Napoleonie pędzla, który całą epopeję bojów połowy ubiegłego stulecia przeniósł na płótno w pełnych świetności i prawdy obrazach, i o tylu innych rodzajowych i pejzażowych artystach, którzy to gracją, to prawdą w tylu różnorodnych rodzajach szkołę francuską uświetnili. Że najznakomitszych tutaj wymienię: Decamps objawił światu gorący wschód w pełnych koloru obrazkach; Bida, podobnież w fotograficznéj wierności płótnach wschodnie sceny kreślił, i jego „Żydzi na ruinach nowoczesnéj Jerozolimy“ pozostaną prześlicznym pomnikiem sztuki; młodo zgasły Leopold Robert przez swoich Rzymskich żniwiarzy, znanych całemu światu, unieśmiertelnił się; Schnetz, Hebert podobnież sceny tak malownicze z życia włoskiego ludu odtwarzali; Hamon i jego szkoła, tak zwana nowo-grecka, w pełnych wdzięku sielankach malowali Greków z zupełnie nowéj że tak powiem realnéj strony, nie takich jak nam ich malowali klasycy. Z pejzażystów: Rousseau, Corot, Daubigny i najwyższy może ze współczesnych Szwajcar Calame, przedstawiali przyrodę to pełną gracyi, to tylko czystą prawdę, na uczynku że tak powiem schwyconą, bez ozdób i szukanego effektu. Gudin, Isabey i wielu innych oddają morze w całym blasku jego niezmierzonych przestrzeni. Rosa Bonheur i Brascassat oddają zwierzęcą przyrodę, życie pasterzy, krów i owiec. Jadin myśliwstwo.

Przy téj niesłychanéj rozmaitości stylów i rodzajów, wszędzie góruje szukanie prawdy a przytem kolor i effekt.

Obok téj szkoły francuskiéj pełnéj życia i świetności, poważna szkoła romantyków niemieckich na inne zupełnie wkracza tory. Podobnie jak Francuzi wyrzekłszy się zimnego klasycyzmu, szukają gdzieindziéj natchnienia i wzorów. Miejsce półbogów greckich zastępują Germany i Cheruski Arminiusa, Saksony Witykinda. Odyn strąca Jowisza z tronu, Walhalla zastępuje przestarzały Olimp. Germańska Saga wypędza uświęcone a nadużyte przez klassyków Muzy. Król Ludwik bawarski staje się Peryklesem lub Medyceuszem tego romantycznego odrodzenia, Monachium Atenami lub Florencyą. Potężne kompozycyą, zdumiewające głębokiém pojęciem dziejów, są freski monachijskie Corneliusa i Schnorra. Nieśmiertelne epopeje Kaulbacha w muzeum berlińskiém, w sześciu olbrzymich cyklach

przedstawiają główne ery ludzkości: Wieża Babel, Złoty wiek Grecyi, Upadek Jerozolimy i zrodzenie się Chrześciaństwa, Bitwa Hunnów, Krucyaty a wreszcie Reformacya pozostaną może obok hemicyklu Delaroch'a najpotężniejszym objawem sztuki XIX wieku, zaledwie w stanzach Rafaela w Watykanie godnych siebie znajdując rywali a przenosząc je może głębokością idei filozoficznéj. Niezliczone mnóstwo religijnych malarzy czerpie wzory już nie z pogańskiéj Grecyi i Rzymu, ale ze średniowiecznych malarzy niemieckiéj szkoły, z Durerów i Schōn'ów lub z przed Rafaelowskich szkół włoskich; naśladując ich może zbyt niewolniczo nie tylko w zaletach anielskich wyrazów tworzy świętych, w bozkości Madon, w głębokiém namaszczeniu religijnego uczucia ale i w naiwności dziecinnéj średniowiecznéj sztuki, nie cofając się nawet przed złoconemi tłami i nimbusami świętych, i wadami perspektywy lub anachronizmem ubiorów. Schadow, Overbeck, Führich, stają na czele téj nowo niemieckiéj szkoły religijnéj; Overbeck z protestanta zostaje katolikiem w Rzymie i jak Beato Angeliko da Fiesole rozmodlony w swych Madonnach, sam świętym się staje malując święte postacie. Inni a mianowicie szkoła Düsseldorfska w skromniejszych rozmiarach rodzajowego malarstwa, niemniéj jednak są ściśle niemieckiemi, a wszyscy jeźli przewyższają Francuzów ścisłością linii i rysunku, ustępują im pod względem koloru i światłocienia i gustu. Powiem więcéj, przez jakieś umyślne przedsięwzięcie pogardzają kolorem i effektem, a tylko linii i stylu szukają. Düsseldorfska jednak szkoła z natury swojéj, jako głównie rodzajowo historyczna lub czysto rodzajowa, mniéj wpada w tę przesadę anti-kolorystowską niż monachijska, w pojedynczych zaś malarzach w Niemczech rozrzuconych, a mianowicie w wiedeńskich, jest nawet protestacja przeciw temu zbyt wyjątkowemu kierunkowi; Amerling, Riedel, Rahl i inni są kolorystami jak Francuzi lub Belgowie. Zawsze jednak wybitnie się daje postrzegać rozdział stanowczy między temi dwoma szkołami, i jak Francuzom jako główną zaletę należy przypisać kolor i effekt, a jako wadę u niektórych brak rysunku i stylu, tak Niemcom należy oddać palmę pierwszeństwa w rysunku kompozycyi i wzniosłym stylu, a zarzucić aż nadto wielką przesadę w zaniedbaniu koloru i effektu tak, że kompozycje najznakomitszych ich mistrzów: Cornellusa, Kaulbacha i Overbecka, są stokroć piękniejsze w kartonach lub konturach, niż w olejnych a nawet freskowych malowidłach; są to, jak się wyraził znakomity krytyk i znawca Bōhm, nie obrazy, ale cienie pięknych obrazów.

Malarstwo w innych krajach Europy, aczkolwiek zakwitło pod temiż wpływami, nie utworzyło nigdzie tak wybitnych i odrębnych szkół jak we Francyi lub Niemczech. Belgowie i Holendry więcéj

się zbliżają do Francuzów, czerpiąc jednak przeważnie natchnienie we własnych swoich starych mistrzach 16go i 17go wieku. Gallait w kolosalnych swoich historycznych obrazach naśladuje Rubensa, Willems, Stevens — Terburga lub Gerard-Dowa; Leys, — Lucasa van Leyden i ten ostatni więcéj do Niemców się zbliża, stanowiąc jakby przejście z jednéj szkoły do drugiéj. — Verboekhoven i jego szkoła odznaczają się w malowaniu zwierząt. Pierwszy miniaturowém wykończeniem przy wielkiéj prawdzie rysunku zjednał sobie wielką sławę w całéj Europie. Anglicy odznaczają się mianowicie malarstwem rodzajowem a w scenach z końmi i zwierzętami Edwin Laudseer przewyższa wszystko co dotychczas było malowane w tym rodzaju. Włochy porzuciwszy klassyczne wzory Camuccinich i Landich powiększéj części naśladują swoich starych mistrzów weneckiéj i bonońskiéj szkoły, Tycianów, Veronesów i Coroccich zbliżając się stanowczo do Francuzów; Sabatelli (syn) i Bezzuoli są kolorystami, pierwszy naśladuje Delacroix, drugi Delarocha nie dorównywując jednak obu w gieniuszu.

My nareszcie, najmłodsze dzieci Europy, uczyniwszy olbrzymi skok w poezyi i literaturze, postawiwszy odrazu naszego Mickiewicza obok a nawet może i wyżéj od Getego i Byrona, w sztuce stimy długo na uboczu przypatrując się tylko nieśmiało wielkiemu ruchowi artystycznemu Europy w 19tym wieku, jakby niedowierzając że coś podobnego utworzyć jesteśmy w stanie.

Po klasykach naszych, Smuglewiczu a po nim znakomitym rysowniku i malarzu portretów ale zawsze klasyku Brodowskim, następuje u nas długi perjod stagnacji i ubezwładnienia. Jedynie w rodzajowem malarstwie możemy wymienić parę znakomitości i to jeszcze w specjalności koni, jezdców i batalij. Orłowski potężną indywidualnością niejako epokę swą wyprzedził i malując za czasów najklasyczniejszych jest zupełnym romantykiem, ale oprócz szkiców i kilku bardziéj wykończonych pasteli nic prawie olejnych robót nie zostawił. Szkoła malarstwa Rustema przy sławnéj wiedeńskiéj akademii pod wpływem pełnego talentu swego mistrza daje jakieś znaki życia, zawsze jednak są to tylko piękne szkice, a zbyt młodo zmarły najlepszy uczeń Rustema Karczewski zostawił zaledwie parę z wielkim talentem naszkicowanych obrazków. Tylko dla pamięci wspomnimy o warszawskich malarzach Kokularze i Fanhauzerze zaledwie w portretach nad mierność wychodzących. Piwarski w Warszawie kreśli pełne życia i charakteru postacie żydów i chłopów. Jedyny prawdziwie wyższy talent widzimy w Michałowskim którego gienialne szkice koni i jeźdzców pod względem niesłychanéj werwy pędzla mogą stać obok szkiców Gericault'a a nawet Delacroix i wzbu-

dzają podziw znawców nietylko u nas ale w całéj Europie. Zawsze jednak są to szkice. Kielisiński rytuje swoje miedzioryty w których delikatny rylec, poczucie natury, podziwiamy, ale w obec potężnego rozwoju sztuki w téj epoce we Francyi i Niemczech wszystko to jest tylko jakiemś kwileniem sztuki w kolebce lub wyskokami pojedynczych talentów. Pomiędzy 1830 a 40tym rokiem Suchodolski, jeden z najlepszych uczni Verneta zaczyna pracować w jego rodzaju a jakkolwiek mu współcześni zarzucają niezręczność, zawsze jednak jestto pierwszy poważny u nas malarz i ruch przez niego nadany, sumienne studya historyczne w ubiorach i uzbrojeniach, z resztą niezaprzeczony talent w grupowaniu licznych figur w bitwach, zalety pełnego effektu pędzla, dają mu miejsce zasłużone, a w swoim czasie jedyne, między naszemi malarzami bitew i scen rodzajowo historycznych. Od niego datować można rozwój malarstwa u nas w którem jeżeliśmy od razu nie dorównali obcym to się następnie zbliżać do nich zaczynamy.

W kilka lat później, Lesser kształcąc się w Monachium na wzorach Corneliusa, Schnorra i innych mistrzów téj szkoły, przeniósł do nas ten rodzaj który jednak mało znalazł naśladowców. Toż samo można powiedzieć o Stattlerze i Nowotnym którzy wybrali sobie za wzór Overbecka i do niemieckiéj religijnéj szkoły należą, u nas zaś stoją prawie samotni. Pomimo tych pojedyńczych usiłowań, pomimo blizkości Niemiec i większéj łatwości kształcenia się tamże dla artystów naszych, było w szkole francuskiéj pełnéj życia i werwy coś bardziéj pociągającego dla naszéj natury a w tym perjodzie pierwszéj połowy naszego stulecia tak ubogim u nas dla sztuki, zawsze jednak najznakomitsze nasze talenta: Orłowski, Michałowski, Suchodolski, konie i bitwy malować lubili, rodzaj przez niemców niezbyt szczęśliwie traktowany.

Przechodzimy do bliższéj nam epoki, mniéj więcéj do połowy naszego stulecia. Francja w przeciągu lat kilku straciła wszystkie swoje pierwszorzędne talenta: przywodzcy nowéj szkoły Delaroche, Delacroix, Scheffer, Vernet, Decamps, wszyscy już w grobie. W niemczech podobnież wszyscy mistrzowie tejże epoki Cornelius, Schnorr, Overbeck już nie żyją, a pozostali ich synowie przestali iść ich śladami. Duch wieku zapanował nad sztukami i podobnie jak nad innemi gałęziami wiedzy i twórczości ludzkiej, realizm zawładnął i sztuką — i pozostali przy życiu mistrzowie dawnéj szkoły również jak i nowe pokolenie poszli za popędem realizmu. R e a l i z m więc czy raczej n a t u r a l i z m jest dzisiaj hasłem w malarstwie a romantyczna szkoła francuska, chociaż mu i dawniej więcéj hołdowała jak niemiecka, zawsze jednak była więcéj idealistyczna za czasów

Delarocha i Scheffera niż jest nią dzisiaj. Wystawy międzynarodowe obznajmiając artystów wszystkich krajów między sobą, porównywając ich utwory przez bezpośrednie zetknięcie, wpłynęły na zrównanie dzielącéj ich różnicy, na zatarcie cech narodowościowych, drugą więc cechą najnowszéj szkoły jest między narodowość kosmopolityzm. Naturalizm ten w sztuce, zależy na wierném, dokładném trzymaniu się natury w najdrobniejszych nawet akcessorjach. W początkach szkoły romantycznej, chociaż już ona daleko więcéj od klassycznéj z natury czerpała wzory, nie wymagano od malarza tego co się dziś wymaga, gdzie każden szczegół, każdy fałd sukni, z natury wymodelowany być powinien. Francuzi wyprzedziwszy Niemców na téj drodze pociągeli ich nareszcie za sobą i dla tego ten przełom z idealizmu do naturalizmu dzisiejszej epoki widoczniejszym jest w Niemczech, gdzie jak to mówiłem i w początkach swoich szkoła romantyczna niemiecka była daleko idealistyczniejszą od francuskiéj. Naturalizm jednak nie zabił sztuki, tylko śmieszna w nim przesada szkoły np. Courbeta godną jest potępienia; mistrzowie nie przestali przenosić nas w sfery ideału lub w przeszłość, któréj przecie dziś z natury kopiować nie mogą, ale w obec realistów i historyczni malarze nie mogą wytrzymać z niemi konkurencyi, jak posługując się ciągle naturą.

Pozostałe jeszcze przy życiu dawne znakomitości francuskiéj szkoły a może twórcy nowego naturalizmu. Géróme i Meissonier utrzymując się na zdobytéj wysokości, znaczą nawet postęp w każdym swoim obrazie. Któż nie zna Géroma, Fryne przed Areopagiem, jego Augurów, śmierci Cezara, rozstrzelania Neya i tylu innych arcydzieł w których prawda dodaje dramatowi tak przenikającej cechy.

Meissonier zjednawszy sobie sławę europejską maluczkiemi, wykończonemi jak cacka obrazkami po większéj części z jednéj lub dwóch figurek treści rodzajowéj, zapragnął większych laurów i nie zmieniając formatu swych obrazków wkroczył na pole historji: po raz pierwszy w swojéj bitwie pod Solferino a niedawno w Napoleonie I w czasie kampanii 1814 r. Pierwszy liczyć można do officjalnych obrazów za najwyższym rozkazem wykonywanych i podziwiać w nim tylko prześliczne wykończenie seciny drobniutkich figurek fotograficznéj wierności, konie nieustępujące Wernetowskim, z resztą jest to dość konwencyjne przedstawienie Napoleona III, otoczonego licznym sztabem; ale drugi jakże jest wielki w swoich maluczkich rozmiarach! jak w téj ciężkiéj zimie pod ołowianem niebem kroczy Napoleon I, otoczony licznym orszałkiem marszałków i sztabem jaka to rozpacz ponura, jakie znużenie i zniechęcenie bije ze wszystkich tych postaci, to śmiertelny pochód pierwszego cesarstwa! Cyprian Robert

i syn jego znakomite miejsce między historycznemi malarzami zajmują. Rosa Bonheur zawsze z jednakowém mistrzowstwem oddaje swoje konie, owce, krowy i pasterzy. Troyon, Verlat i Palizzi zawsze wstępują w jej ślady, ale już niema tych wielkich ludzi, tego wielkiego artystycznego ruchu jaki epokę naszą rozpoczął. Z rodzajowych Vidal, Toulmouche z gracją nieporównaną malowali spółczesnych obyczajów sceny. Z młodszych francuskich malarzy w rodzaju historycznym przywiedziemy imiona Baudouin, Cot, Bouguereau, z batalistów, Yvon którego kolosalne bitwy z kampanii Krymskiéj podziwiać można w muzeum historyczném w Wersalu a niedawny allegoryczny obraz Rzeczypospolitej Amerykańskiej bardziéj jest znakomitym utworem. Obok niego Protais w pełnych dramatycznego effektu obrazach streszcza stanowcze chwile walki; jego obraz: „Przed i po walce“ w licznych rozpowszechnione sztychach, europejską sobie zjednały sławą. Langlois którego obrazy przechodzące w dioramę łudzą oko i jako takowe osobno wystawione były w Paryżu w rodzajowém malarstwie.

Podziwiamy tak olejne jak aquafortowe roboty Jacque, którego sceny wiejskie, bydło, barany, domowe ptastwo, prace rolnicze są uderzające prawdą i talentem, a aquaforty godne Rembrandta i starych mistrzów. Znakomite są też w tymże rodzaju sztychy Henriety Browne (psendonym), która znaną jest także z prześlicznych olejnych rodzajowych obrazów. Z nowszych pejzażystów, prócz mistrzów szkoły, Rousseau, Corot i Daubigny, warci wspomnienia: Potter, Marja Collart i Laurens i niezliczony zastęp młodych pejzażystów, celujących głównie prawdą realizmu w oddaniu natury. W tém ogólném dążeniu do naturalizmu, mamy i fanatyków nowéj szkoły, tak zwanych realistów których wodzem jest Courbet, ten sam który niedawno zjednał sobie tak smutną sławę, i uosabia najprzesadniejsze téj szkoły dążenia. Zdaje się, że obrał sobie za zasadę: iż brzydkie jest pięknóm; jeżeli ma wzór do wyboru, z pewnością obierze najbrzydszy, który stara się oddać z odrażającą prawdą. Jego Casseurs de pierre, dziady obdarte łamiące kamienie przy drodze, ktoremi już przed blisko 20 laty rozpoczął swoją artystyczną działalność, z najdrobniejszemi szczczegółami i wiernością powtarzają typy najgminniejszéj brzydoty. Artysta pieści się con amore z łatami łachmanów i obuwia. Gdy do tego dodamy kolosalne rozmiary takiego obrazu, mieć będziemy wyobrażenie o ostateczności w realizmie. — Tegoż Courbeta znanym jest pogrzeb w Ornans, gdzie parafiańskie typy księży, zakrystianów i małomiasteczkowéj burżuazii, do parodii wierne i podobierane w najkarykaturalniejszych exemplarzach także wielkości ogromnéj, jakby szło o uwiecznienie jakiegoś wielkiego historycznego dramatu. Talentu jednak niemożna odmówić Courbe-

towi; prawda chociaż brzydka, ale zawsze z mistrzostwem oddana. On i jego szkoła realistowska mają zawsze tę zasługę, że malarze nawet w innych rodzajach pracujący, zmuszeni są silić się na najwyższą prawdę. Dziś już prawie nie widać owych obrazów robionych sobie z pamięci i malarz historyczny musi każdy ubiór, każdą haftkę, każde accessorium swego obrazu robić z natury, oraz z archeologiczném dobraniem stósownych do wieku przedmiotów. Nie mówię już o ludzkich postaciach, które najstaranniéj z natury modelują, tak że dziś początkowe obrazy romantycznéj szkoły już na manierę zakrawają, porównane z dzisiejszemi.

Można pojąć, że w tym kierunku łatwo wpaść w przesadę, pejzażyści francuscy realistowskiéj szkoły, nieraz są tego dowodem; wybierając jakby umyślnie najbrzydsze punkta dla swych widoków, jakieś błoto a w niém kilka kaczek na pierwszym planie, na horyzoncie parę wiatraków, przytém równą płaszczyznę ściernia lub wyoranego pola. Przyznać trzeba, że niektórzy oddają ten brzydki widok z taką prawdą, że to samo stanowi jego piękno. W robocie i jéj procederach także ostatnie czasy malarstwa przyniosły wielkie odmiany, a te rozpoczęły się także we Francyi.

Sztuczne nakładanie farb, nadawanie sztucznéj chropowatości, gdzie jéj artysta życzy, a gdzie jéj czasem zupełnie nietrzeba, gładzenie i polerowanie innych części obrazu, to co Francuzi nazywają la cuisine artistique, kuchnia artystyczna, wzięły początek między 1850 i 1860 rokiem, a niektórzy malarze doprowadzają tę stronę aż do śmieszności, mianowicie tam, gdzie oprócz téj kuchni, niema innych zalet. Czasem malarstwo przemienia się prawie w rzeźbę, gdzie szpachtel, nożyk (grattoir) pumex i ossa sepia są w robocie jak u snycerza. Inni, gąbką, ścieraniem podmalówki, wydobywają przypadkowe effekta, z których potem pędzel mniéj więcéj umiejętnie skorzystać się stara. Wszystkie te środki i środeczki doprowadzają do pięknych rezultatów, ale ileż to młodych ludzi na tém jedném zasadzają sztukę!

Są także tendencye zgubniejsze jeszcze, gdzie jakiś ton ogólny, jakaś siła i harmonja zdaleka w oczy bijąca, mają zastąpić dokładnie wymodelowanie szczegółów. — Obrazy takich panów, są to szkice pobieżnie rzucone; ale podczas, kiedy pod szkicem wielkiego artysty widać, że gdyby chciał, mógłby się wytłumaczyć z tego, co szkicem tylko zaznacza, — w obrazach takich młodych panów, które mają już szkicami pozostać, szkic tylko na to służy, aby pokryć istotną nieznajomość rzeczy, czyli wykpić się, że użyjemy żargonu pracowni.

Zawsze jednak, jak to powiedziałem, Francuzi pomimo nowych form, odmiennych procederów, idą jednak drogą przez mistrzów swéj szkoły romantycznéj rozpoczętą i dla tego nie widać u nich w najnowszych czasach żadnego przełomu, odstępstwa, lub wyrzeczenia się własnych mistrzów,— przeciwnie zupełnie dzieje się u Niemców, i tu Francya pobita świeżo na polach bitew, może się cieszyć zupełnym tryumfem. Ktoby dziś do Monachium lub Düsseldorfu pojechał, zdziwiłby się nagłéj, radykalnéj przemianie, jaka tam zaszła między 1850 i 60 rokiem. Jak to mówiliśmy, tu podobnie jak we Francyi wielcy mistrzowie powiększéj części powymierali. Kaulbach jeden, chociaż z nich najmłodszy, jednak już stary człowiek, żyje jeszcze i pracuje, ale dzieci wyparły się ojców, i Niemcy, ci surowi czciciele linii i stylu, rzucili się w zawody naśladować Francuzów i Belgów, nawet niekiedy przesadzając najwścieklejszych kolorystów,

Znakomity monachijski mistrz Piloty może być nazwany ojcem téj nowéj szkoły, któréj zawsze główną stolicą pozostało Monachium. Stary Kaulbach pozostał prawie samotnym na gruzach pięknéj monachijskiéj szkoły i zdaje się nawet hołdować nowemu kierunkowi w sztuce niemieckiéj, gdyż syna swego, wielkich nadziei młodzieńca, oddał Pilotemu na naukę. Czy w tym nowym kierunku Niemcy dorównają Francuzom? Czy ich przewyższą może? to jeszcze nierozwiązane pytanie, w każdym razie zwycięstwo effektu i koloru nad surową linią jest zupełném w Niemczech , a niektórzy młodzi malarze monachijscy w naśladowaniu francuskich wybryków i tych sposobików, które k u c h n i ą a r t y s t y c z n ą nazwałem, dochodzą do najśmieszniejszych aberracyj, ciesząc się jakby coś nowego wymyślili i nazywając Corneliusa i Kaulbacha klassykami!!! Sam Piloty dziś może najpoważniejszy malarz niemiecki, jest niczém inném jak wybornym naśladowcą Delarocha i Belgów, a pomimo wielkiego talentu, nie można powiedzieć, żeby Delarochowi dorównał.

Wodzami nowéj szkoły niemieckiéj są: w rodzaju historycznym Piloty; w rodzajowym Knaus; w krajobrazie Achenbach. O pierwszym wspomnieliśmy już pobieżnie, dosyć jednak, żeby dać o nim wyobrażenie. Jego „Śmierć Wallensteina“, jest zupełnie wduchu historycznych obrazów Delarocha pojętą, a sam Wallenstein jest reminiscencyą zabitego Henryka de Guise w znanym małym Delarocha obrazku; niemniéj jednak Piloty, jeźli nie jest geniuszem tworzącym nowe drogi w sztuce, jest niemniéj potężnym talentem i godnym piastować berło historycznego rodzaju w Niemczech. — Jeden z ostatnich jego obrazów, „Mały delfin“ (Ludwik XVII.) u szewca Simona, wzbudził podziw powszechny; — najznakomitsi z jego

uczniów: Defregger, Kurzbauer i węgier Munkaczy, którego dramatyczne sceny z ludowego życia, np. ostatni dzień zbrodniarza na śmierć skazanego (niedawno w Kłosach rytowany) zjednał sobie poklask i zajęcie w całéj Europie, a obraz Werbunek, podobnież zaletami prawdy i expressyi się odznacza. — Obok nich zmysłowy i pełny kokieteryi Makart, Schütz, Bolonacchi, Kraus, Angeli, Stegert, Petenköfer i czech Cermak, w historyczném i rodzajowém malarstwie idą na wyścigi z mistrzami, podobnież jak oni zupełnie w rodzaju Francuzów i Belgów pracując, tak, że dzisiaj zlanie się francuskiéj i niemieckiéj szkoły w jedną, uważać można za fakt spełniony; tylko w obrazach bitew pozostali synowie Germanii daleko za swemi mistrzami i chociaż znakomity Adam w realistycznéj prawdzie może nawet przewyższa Verneta, a przynajmniéj godnym jest jego współzawodnikiem, a inni jak Freyberg, Otto, Heyden, także się odznaczają, zawsze jednak brak Niemcom tego ognia, tego sprytu, Francuzom tylko właściwego, a tak potrzebnego do przedstawienia scen żołnierskich.

We właściwém rodzajowém malarstwie króluje zawsze Knaus, ozdobiony nawet przez Francuzów wielkim złotym medalem na międzynarodowéj wystawie w Paryżu i który i we Francyi z trudnością by sobie znalazł rywala. Niechcąc męczyć czytelników suchém wyliczaniem nazwisk, przemilczę niezliczone mnóstwo młodych rodzajowych malarzy niemieckich, którzy podobnie jak to mówiliśmy o historycznych niemieckich, porzuciwszy pierwotną suchość Dusseldorfskiéj szkoły, malują na wzór Francuzów z kolorem i effektem, a niestraciwszy przytém właściwego sobie sumiennego rysunku, doprowadzają rodzajowe malarstwo w Niemczech do wysokiéj doskonałości. Przemilczeć tu jednak trudno imion: Siegerta, Karola i Juliusza Hübnerów, Hiddemana. — Do rodzajowego malarstwa zaliczę bardzo w Niemczech ulubiony rodzaj traktowania, bądź w kartonach, bądź w sztychu, bądź wreszcie olejno, głównie jako dekoracya pokoi we fryzach lub tak zwanych panneaux, bajeczek ludowych i dziecinnych (Mährchen). Znakomity a niedawno zmarły Schwind, głównie rysownik, bo w olejnych i akwarellowych malowidłach należał do monachijsko-düsseldorfskiej szkoły i roboty jego w kartonach lub rysunkach na drzewie, o wiele przewyższają jego malowane obrazy, był twórcą tego rodzaju, i jego kartony z bajek a mianowicie niedawno przed śmiercią wystawiona bajka o Meluzynie, słusznie ogólny podziw wzbudziły.

W tym samym rodzaju ale w olejnych obrazach, bracia Franciszek i Paweł Meyerheim oddali znane bajeczki, pierwszy Schneewittchen i Dornröschen, drugi Rothkäppchen i Aschen-

brödel (kopciuszek), w prześlicznych obrazach (panneaux) i fryzach przeznaczonych na dekoracyę pokoju bogatego mecenasa sztuki w Berlinie. Jest to szereg przecudownych obrazków, w których fantazya, naiwność i pełny bogactwa koloryt łączą się w śliczną i harmonijną całość.

I w krajobrazach nie pozostali Niemcy za historyczném i rodzajowém malarstwem, i podobnie jak tam Piloty i Knaus, tak tutaj Achenbach króluje. Za nim, Hertel, Vosberg. Fiedler i mnóstwo innych się odznacza, nie dochodząc jednak do doskonałości Francuzów w tym rodzaju.

Niepodobném byłoby w tym krótkim i tak do zbytku obciążonym nomenklaturą przeglądzie, rozszerzać się nad innemi krajami, jak Dania, Szwecya, Hiszpania, Portugalia, a nawet Ameryka, gdzie wszędzie ruch nowoczesnego artyzmu takież przechodzi koleje i z tych samych powodów ku naturalizmowi się skłania, a przez międzynarodowe wystawy dąży do zatarcia cech odrębnych, zlewając szkoły narodowe w jedno i stając się coraz więcéj kosmopolitycznym międzynarodowym. Wspomnę tylko krótko o malarzach rossyjskich, gdzie po wielkim Brülowie, który tutaj mniéj więcéj był twórcą szkoły romantycznéj, nastąpił w realistycznym kierunku pracujący Iwanow, którego sztuka zbyt wcześnie utraciła, a którego „Jan Chrzciciel na puszczy“ wywołał w swoim czasie z jednéj strony tyle krytyk, z drugiéj tyle uwielbienia. Znaną jest powszechnie ta kompozycya z licznych jéj reprodukcyj i fotografij, artysta kilkanaście lat pracy i studyów jej poświęcił, jeżdżąc nawet na miejsce na pustynię nad brzegi Jordanu, aby wszystko, nawet krajobraz nosił charakter miejscowy i wierność historyczną. Wszystkie typy z natury tamże brane, nadają mu charakter prawdziwie wschodni, może nadto dzisiejszo-wschodni, tak, że krytycy znajdowali, że Jan śty prędzéj arabskiego fakira niż świętego Chrzciciela przedstawia. Od Iwanowa artyści rossyjscy, porzuciwszy manierę Brülowa, rzucili się z zapałem w naturalizm, który dziś u nich wszechwładnie, może zanadto wyłącznie panuje.

W historyczném i historyczno-rodzajowém malarstwie, wspomnimy tu imiona Bronnikowa, Szedowa, Makowskiego; w czysto rodzajowém Perowa, Klodta, Swierczkowa, którego konie Wernetowskim nie ustępują; w krajobrazie tegoż Klodta i Amosowa; w akwarellach Aleksandrowskiego i prześliczne illustracye do drzeworytów Trutniowa, którego prace bajki Kryłowa godne są oryginałów jego ołówkiem więcéj tłumaczonych niż illustrowanych.

Kończymy nasz przegląd malarstwa na najnowszych naszych krajowych artystach Wspominając o pierwszych próbach rozwoju

artystycznego u nas, mówiliśmy, żeśmy na tém polu bardzo pozostali w tyle; ale za to pomiędzy 1850 i 1860 rokiem występuje u nas na widownię sztuki cały zastęp młodych pracowników, a niektórzy z nich szybkiemi kroki nagradzając czas stracony, stawają obok zagranicznych uznanéj i europejskiéj sławy artystów. Artyści ci nasi wstępują w szranki właśnie w epoce przejściowéj, w któréj szkoła romantyczna tak w Niemczech, jak we Francyi coraz bardziej ulegała wpływom naturalizmu. Ztąd podwójna trudność dla naszych artystów, do czego, gdy weźmiemy w uwagę prawie zupełny brak szkół i akademij miejscowych, potrzebę szukania nauki za granicą, albo téż mozolne zdobywanie jéj w kraju z tysiącznemi połączone trudnościami, dziwić się potrzeba, jakim sposobem ci ostatni pracownicy w winnicy sztuki zrównali się tak szybkiemi kroki z pierwszymi. Prawda téż, że przychodząc ostatni korzystali od razu z nabytéj przez ich zagranicznych poprzedników skarbnicy.

Oprócz Lessera, o którym wspomniałem wyżéj zbyt pobieżnie a którego Chrzanowska, Bolesław Krzywousty, Skarbek, Wanda, i tyle innych obrazów znakomite miejsce w historyi sztuki krajowéj zajmują, jako głęboko pomyślane i pełne prawdziwie historycznego stylu kompozycye, zjawili się prawie jednocześnie w Warszawie nowi a młodzi pracownicy na témże polu. A naprzód Antoni Kolberg, który przez własne usposobienie i sumienne studya we Włoszech, doszedł do rzadkiéj piękności kolorytu, przypominającego Giorgiona i Correggia, a w zbyt rzadkich swych obrazach, po większéj części religijnéj treści, pokazał coby zrobić potrafił, gdyby chciał więcéj pracować. Po nim młody Marconi, także Warszawianin, potężny w kompozycyi talent, na nieszczęście przez wczesną śmierć sztuce krajowéj wydarty, którego piękne freski widzieć możemy w pałacu Towarzystwa Kredytowego w Warszawie. Wkrótce potém nieodżałowany Simmler, którego „Barbarę“ uważam jako pierwszy historyczny obraz naszego rodaka, godny zająć miejsce obok najlepszych obcych. Simmler także rodem z Warszawy, kształcił się w Monachium, właśnie w téj porze kiedy, jak to wspomniałem, szkoła Corneliusa i Kaulbacha ustępowała już przed nową manierą. To też Simmler, podobnie jak Piloty, najwięcéj Delarocha przypomina. Obraz jego wywołał w Warszawie słuszny entuzjazm i pozostanie pięknym pomnikiem wzrastającéj u nas sztuki. Obok niego dał się poznać Gerson, dotąd w Warszawie pracujący, mianowicie kolosalnym swym obrazem „Opłakane Apostolstwo“, w którym, równie jak we wszystkich jego obrazach, podziwiamy pełny szlachetności i stylu rysunek, bogatą kompozycję, koloryt acz nie jaskrawy i świetny, jednak wdzięczny i gusto-

wny, a w najmniejszych nawet obrazkach, rysunkach i illustracjach, myśl poważną i głęboką.

Trochę wcześniéj jeszcze, bawiący po większéj części zagranicą artysta nasz, Löffler z Radymna, Galicjanin, zasłynął nietylko w kraju ale i zagranicą, jako autor ślicznych historyczno-rodzajowych obrazów na tle narodowém osnutych, zdobył sobie już ustaloną sławę. Dosyć tu wspomnieć jego „Śmierć Czarnieckiego“, „Powrót z niewoli tatarskiéj“ i tyle innych znanych całemu krajowi tak z oryginałów jak z reprodukcyi dzieł jego, którym wdzięk pędzla historyczna ścisłość ubiorów i akcessoryj, pełne wyrazu twarze i wyborny rysunek, dają jedne z najwyższych miejsc między utworami malarzy naszych. W tymże prawie czasie Rodakowski także Galicjanin, swojemi portretami: Matki swojéj i jenerała D. oraz wnętrzem cerkwi i historycznym obrazem Jana III, zjednał sobie uznanie i wysokie nagrody na wystawach paryzkich, a pracujący tamże Chlebowski (dziś malarz nadworny sułtana), Kapliński i uczeń Brulowa niedawno zmarły Górecki, godnie sztukę krajową w Paryżu reprezentowali. Ale najszerszą sławą miał niezadługo zabrzmieć stary Kraków, mały dziś wprawdzie obszarem i ludnością, ale zawsze wielki przeszłością i przechowaniem tradycyi. Tam rozpoczęty przez Stachowicza i Peszkę, przechowany daléj przez Głowackiego i Stattlera ruch artystyczny, rozwiniętym został w ostatnich czasach na większą skalę, czego zasługa należy się mianowicie dyrektorowi tamecznéj szkoły sztuk pięknych Łuszczkiewiczowi. Znakomity wszechstronnym talentem, nauką i erudycyą, oddał się on con amore téj szkole, któréj poświęcił nietylko pracę całego życia ale i własne upodobania, zaniedbując malarstwo, które kocha i uprawiać tak jest zdolny, dla kształcenia uczącéj się młodzieży. Pod jego światłym kierunkiem wykształcili się ludzie dziś pierwsze miejsce między artystami naszymi trzymający, i stara stolica staje się istotnie stolicą sztuki krajowéj. Działalność jego do dziś dnia nie ustaje nietylko w zakresie szkoły ale w każdym kierunku, sztukę i podniesienie jéj w kraju na celu mającym, nadała ona szkole rozwój taki, że tylko tytułu jéj brakuje, żeby była prawdziwą akademiją. Zresztą czyż można powiedzieć więcéj na jéj pochwałę, jak że wydała tego, którego samo imie już starczy za wszelką pochwałę, mistrza, który istotnie stanął na jednéj linii, jeźli nie przewyższył obcych i dumą serce każdego ze swych rodaków napełnił, Jana Matejki. Trzy jego dotychczas widziane najważniejsze prace: Skarga, Sejm i Unija, to zarazem trzy ery naszéj historyi i trzy kolosalne kroki, na które patrząc, ze zdumieniem się widzi, że nie ma granic dla gieniusza i że wielki mistrz samego siebie przewyższyć jeszcze może. Zanadto są znane rodakom

te trzy arcydzieła, byśmy mieli potrzebę rozszerzać się nad niemi i nie wiem co w nich więcéj podziwiać można, czy pełną głęboko-ści kompozycyę, czy ścisłość rysunku, czy pełen siły i świetności koloryt, czy wystudyowanie najdrobniejszych szczegółów i akcesso-ryów. Tutaj duch nie przytłacza materyi ani materya nie zabija ducha. Pomimo, że jako malarz historyczny, Matejko jest w nieja-kiem pokrewieństwie z Delarochem i jego szkołą, przewyższa ją jednak pod względem prawdy i ścisłości historycznéj, w każdéj z jego postaci widać jakby zespolenie zalet wielkich mistrzów wszystkich ubiegłych wieków, każda jego głowa, to portret Vandycka ze świe-tnością koloru Rubensa, z tajemniczém a głębokiém światłocieniem z intensywną siłą Rembrandta. Realizm i estetyka, prawda a przy-tém i szlachetność, te dwie tak trudne do pogodzenia kwestje, jedno-czą się harmonijnie w jego obrazach, a głębokie pojęcie historyi, czynią z każdego z nich wymowną kartę wydartą z naszéj krwią i łzami pisanéj historyi. Trzy te obrazy stanowią prócz tego pełną głębokiéj myśli tryadę; Skarga to proroctwo — Sejm, jego spełnienie — Unja to wzór, nauka, ideał. Trudno przewidzieć do jakiéj dosko-nałości ten artysta dojść może, bo talent jego jest jeszcze w pełnéj sile i nie obawiam się wpaść w przesadę, wyrażając nadzieję, że doprowadzi nas do tego, iż na polu sztuki europejskiéj zrównamy się zupełnie z przodującemi nam dotychczas narodami.

Obok niego zawcześnie zgasły Grottger, zadziwił Europę gie-nijalnémi swémi kartonami, w których głębokość uczucia i myśli doszły do nieznanych prawie dotychczas granic i przy najskromniej-szych środkach węgiel i kredka wydobyły tak potężne rezultaty, do jakichby najbieglejszy pędzel napróżno dojść się silił. Jego wojna czyli Dolina łez, ta najwymowniejsza protestacja w imieniu sztuki przeciw brutalnéj sile oręża, rzucona światu w chwili kiedy hasło siła przed prawem króluje na ziemi, kornie zginającéj czoło przed wymownémi argumentami artyleryi. Oprócz tych imion rozgło-śnéj już sławy, odznaczają się w Krakowie w rodzaju historycznym: Cynk, w którego niewielkich ale wypieszczonych obrazach ścisłość i szlachetność rysunku, głębokość ekspresyi, przypominająca tenden-cje religijnéj szkoły niemieckiéj, jednoczą się harmonijnie z siłą i świetnością koloru. Eliasz, w którym podziwiamy łatwość rysunku i kompozycyi, śmiałość pędzla i historyczną erudycyę. Jabłoński poważny w stylu, biegły w technice, wytrawnego i śmiałego pędzla. Mirecki, który jako historyczno-rodzajowy artysta, już nas kilka pię-knemi pracami obdarzył, a teraz kształci się daléj we Włoszech. Z bawiących zaś zagranicą artystów w tymże rodzaju znakomite

talenta w ciągłym dotychczas postepie: Streit i Kozakiewicz; we Lwowie Leopolski i portrecista Grabowski.

Przechodząc do malarzy bitew i czysto-rodzajowych, widzieliśmy w początkach epoki dzisiejszéj jednego Suchodolskiego, który ten rodzaj w Warszawie przedstawiał. Przy nim zajaśniał na chwilę Tadeusz Brodowski, zbyt wcześnie zmarły; Ziemęcki artysta-amator, nie bez talentu, ale istotne przebudzenie się i śmiały krok naprzód w tym rodzaju winniśmy bez zaprzeczenia niezrównanemu w nim dotychczas Kossakowi. Urodzony w Galicyi i już zacząwszy tam a następnie w Petersburgu nabywać sławy jako malarz scen myśliwskich, wojennych i koni akwarellą, zjawia się on około 1853 roku w Warszawie, gdzie odrazu zajaśniał jak gwiazda w pełnych ognia i nieporównanego talentu kompozycyach. Jego bitwa pod Żółtemi wodami, niewidzianych u nas wtedy na akwarellę rozmiarów, znajdująca się w Wilanowie, jest arcydziełem kompozycyi bataliowéj, toż samo rzec można o innych bitwach i wielkich scenach myśliwskich z portretami Dzieduszyckich i Branickich, gdzie życie, ruch, prawda, nieporównany wdzięk i łatwość w kompozycyi a przytém mistrzowskie władanie obranego przezeń rodzaju akwarelli; przejęły wszystkich szczerym entuzyazmem i zjednały mu coraz powiększającą się sławę. W 1855 r. wyjechał do Paryża, gdzie pracował w Luwrze u Werneta, a chociaż już stał na takiéj wysokości, gdzie mało już mu pozostawało do nabycia, potrafił jednak wznieść się jeszcze wyżéj. Od naocznych świadków słyszałem słowa Werneta o nim, które wyrzekł, gdy po raz pierwszy zobaczył konie Kossaka; „Teraz mogę umierać spokojnie, bom znalazł godnego siebie następcę“; po kilku latach studjów paryskich wrócił do Warszawy, gdzie objąwszy dyrekcyę artystyczną Tygodnika Illustrowanego podniósł drzeworytnictwo krajowe do nieznanéj dawniéj u nas wysokości, niezaniedbując przytém i malarstwa, a w ostatnich czasach osiadłszy w Krakowie po większéj części w akwarelowym rodzaju pracuje. — Znamy wszyscy późniejsze i dzisiejsze jego akwarelle; Targi na Pradze, Lisowczyków, Stada: Mohorta; Hetmańskie, Spotkanie Jana III. z wojewodą Matczyńskim, a nareszcie jednę z ostatnich prawdziwie historycznych co do powagi, treści i stylu, godną być oddaną al fresco, Jana III pod Wiedniem, którą niezadługo publiczność ujrzy w reprodukcyi staraniem Towarz. przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie rozpoczętéj.

Płodność i obfitość tego artysty, beż żadnego śladu zaniedbania, w zdumienie mogą wprawić każdego a są prawdziwem kłopotem dla sprawozdawcy, który zaledwie zdąży powiedzieć coś o jednym z jego utworów, gdy drugi jeszcze piękniejszy ciśnie się przed

oczy i czeka na pióro. Konie i bitwy Kossaka, chociaż przez samą treść swoją należy do szkołą Werneta, nie są jednak bynajmniéj ślepem jego naśladownictwem. Jest w nim nawet więcej realnéj prawdy, i rozmaitości, a do tego prawdziwe przejęcie się charakterem narodowym czyni go kontynuatorem tradycji Orłowskiego i Michałowskiego, przewyższającym wielkich swoich poprzedników formą i wykończeniem. Pomimo nadużytego i naciąganego nieraz porównywania malarzy z poetami, któż nie upatrzy duchowego pokrewieństwa Kossaka z Polem? Toż samo w obu pojęcie przeszłości, toż poczucie krajowéj tradycji i przyrody, taż jędrność i męzka siła obok wdzięku, też same zresztą ulubione przedmioty śpiewaka Pieśni o ziemi naszéj i Mohorta, co ich najlepszego tłumacza w ilustracjach i malarstwie.

Ale nietylko konie i bitwy oddaje nam wdzięczny pędzel Kossaka; figury jego bez koni niemniéj doskonale są traktowane, a ołówek w illustracjach prawdziwie nieporównany. Illustracje jego do Pieśni o ziemi naszéj przewyższają wszystko co w téj gałęzi sztuki u nas zrobiono, Rok myśliwca dyszy wsią i naturą, z illustracji na drzewie wykonanych w Tygodniku i Kłosach, Podanie o Twardowskim i Borucie, morowa zaraza, pełne to humorystycznéj to poetycznéj fantazji „Dawne ubiory i uzbrojenia“, to nieoceniony skarb dla historycznego malarza. Niepodobna tu zresztą wyliczyć tego mnóstwa historycznych i poetycznych, ludowych i salonowych illustracji, któremi płodny jego ołówek napełnił w ostatnich latach illustrowane wydania krajowe, i nie dziwić się téj łatwości i rozmaitości w kompozycyi, z równą prawdą i wdziękiem oddającéj średniowiecznych rycerzy, i ułanów dzisiejszych, półbogów Grecyi i rusałki, chłopów, i elegantów warszawskich.

Już w téj epoce życie artystyczne płynęło w Warszawie pełném korytem. Oprócz wspomnionych malarzy pracowali obok Kossaka w rodzaju bitew Henryk Pillati, świetny kolorem i łatwością kompozycyi i pędzla, Antoni Brodowski zaszczytnie z prac swych dotychczas znany i ulubiony publiczności artysta o pełnym siły kolorycie, który wspólnie z Kossakiem „bitwę pod Beresteczkiem“ malował, a warszawskie towarzystwo zachęty sztuk pięknych niemało się przyczyniło do utrzymania artystycznego ruchu w Warszawie.

Ale jako prawdziwie godni współzawodnicy Kossaka wystąpili wkrótce w tymże co i on rodzaju: Brandt rodem z królestwa Polskiego od lat kilku stale w Monachium osiadły uczeń Adama. którego przepyszny, wielkich rozmiarów obraz „Bitwa pod Chocimem“ podziwiała nie dawno Warszawa a „Przejście przez odnogę morską w Jutlandyi przez jazdę Czarneckiego“ i wiele innych z chlu-

bą dla sztuki krajowéj, odznaczyły się na zagranicznych wystawach, o czem w sprawozdaniach pism niemieckich czytaliśmy pełne pochwał artykuły; Maksymiljan Gierymski także z królestwa i także w Monachium bawiący, który nabył już europejskiéj sławy jako historyczno rodzajowy malarz. Mieliśmy w Krakowie jego prześliczną „Wieczernicę ukraińską“ a ostatnie prace tego już znakomitego artysty znane nam są tylko z reprodukcji i pism czasowych niemieckich z pochwałami o nich piszących; amatorowie zagraniczni wyrywają je sobie z chlubą wprawdzie, ale zarazem z żalem i stratą dla kraju który tylko z daleka słysząc o nim, cieszy się jego tryumfami. — Młodszy brat jego Aleksander wstępuje w ślady starszego, a niedawno przez nas widziany prześliczny jego obrazek „Po pierwszym balu“ dał nam poznać do czego jest zdolnym i czego się po nim spodziewać możemy.

Kurella w pełnych wdzięku i czarownego koloru obrazach treści poetyczno-rodzajowéj, jak tak słusznie podziwiane w Warszawie „Rybka“ — „Panicz i Dziewczyna“ nieposlednie miejsce między artystami zajmuje.

Pileckiego prześliczną Wołoszkę teraz oglądaliśmy, a przed nią kilka innych[1], lubując się zawsze wdziękiem świetnego i śmiałego pędzla i pełnego gracyi i prawdy rysunku. Oprócz nich gości w Monachium cały zastęp młodych pracowników, których pięknego talentu widzieliśmy już w Krakowie próbki, a między któremi wspomnę o Chmielowskim, Soldenhoffie i Lipińskim, o Alfredzie i Edwardzie Romerach, z których pierwszego znamy z pięknych, nacechowanych prawdą i wystudjowaniem, pastelowych portretów, drugiego, z talentem i oryginalnością odmalowanego rodzajowego obrazku „Powrót litewskich chłopów z jarmarku“. Ci młodzi a pełni przyszłości artyści dostarczą mi wątku do dalszych bieżących sprawozdań, w których będę miał zapewne pole do szerszego ocenienia ich prac malarskich. Wspomnijmy tu jeszcze uznanéj sławy pastelistów Bakałowicza i Maleszewskiego odznaczającego się téż pełnemi śmiałości i effektu litografiami, i wróćmy jeszcze do Warszawy, gdzie w czysto rodzajowém malarstwie odznaczył się i dotychczas jaśnieje Kostrzewski, którego sceny wiejskie, jarmarki i t. p. w olejnych obrazach, a wyborne sceny obyczajowe, szkice humorystyczne i karykatury w drzeworytach powszechną i sprawiedliwą zjednały sobie popularność i sławę. Przy świetnym kolorze i dziwnéj łatwości pędzla olejne obrazy Kostrzewskiego równie jak jego rysunki cechuje głównie humór i tak głębokie przejęcie się charakterystyką mazowieckiego ludu, że choćby im czasem zarzucić można zaniedbanie i trochę maniery ze zbyt wielkiéj łatwości pochodzącéj, zawsze jednak

czynią go one nieporównanym w tym rodzaju mistrzem. W większych i poważniejszych drzeworytach staje niekiedy na równi z Gavarnim, w karykaturach z Chamem, zachowując zawsze typ głęboko narodowy i lokalny mazowiecki. Karykatury jego pełne komizmu i dowcipu są solą warszawskich pism ilustrowanych i stały się koniecznym ich przydatkiem, publiczność chwyta je chciwie i zawsze serdecznie się uśmieje z wybornych tych szkiców, gdzie koncept tak harmonizuje z pełnemi komizmu acz w kilku zaledwie rysach naszkicowanych postaciach. Oprócz niego odznaczają się w warszawskich ilustracjach, w rodzaju bardzo tam ulubionym i coraz się wzmagającym, do którego kilka pism obszerne dają pole, wspomnieni już artyści Kossak, Gerson i Pillati niemówiąc już o Matejce, którego rysunki na drzewie są prawdziwemi arcydziełami, a niedawno przybyły do Warszawy Andriolli mistrz w tym rodzaju, niezadługo da nam próbę pięknego swego talentu.

Mówiąc o rysownikach nie możemy tutaj pominąć uzdolnionego artysty Ludwika Łepkowskiego, jedynego może u nas przedstawiciela sztuki w zastosowaniu jéj do archeologji, w którym to rodzaju celuje i znakomite oddał już tak sztuce jak wspomnianéj umiejętności przysługi.

Malarstwo krajobrazowe w stosunku do innych gałęzi sztuki nie tyle zrobiło u nas postępu. Pierwszym z lepszych malarzy w tym rodzaju był Głowacki, krakowianin, po nim mało artystów gałęź tę uprawiało; z nowszych w Warszawie, Schouppé a późniéj Małecki pierwsze miejsce trzymają.

Pierwszy z nich więcéj w idealistycznym stylu pracując, wyszukiwał najpiękniejszych punktów Tatr i innych malowniczych widoków i każdy ze swych krajobrazów umiał jeszcze przyodziać mglistą szatą poezyi jemu właściwą; drugi, przedstawiciel nowszéj szkoły naturalizmu, przypomina krajobrazy Corota i Daubigny. Niewybredny w wyborze punktu widoku, pierwszy lepszy kawał pola za przedmiot bierze, ale głębokiem wystudjowaniem natury przenosi nas niemal w godzinę dnia, o któréj na ten widok patrzymy.

Oprócz nich w Krakowie śmiały i wytrawny pędzel Dembowskiego nieraz nas darzy pięknym pejzażem. Dylczyński, Szermentowski, o których wypada nam téż wspomnieć z uznaniem, jako w téj gałęzi sztuki niepoślednie zajmujących miejsce, odznaczają się poczuciem natury i pięknem jéj oddaniem. Marszewski z wielkim talentem ten przedmiot traktuje ale istotnie w obec znakomitości jakie posiadamy w innych rodzajach zdaje się, że w krajobrazie pozostaliśmy jeszcze w tyle.

W perspektywie i wnętrzach przez czas długi mieliśmy prawie jedynym przedstawicielem Marcina Zaleskiego w Warszawie, zdolnego i uczonego perspektywistę, w ostatnich dopiero czasach zjawił się Gryglewski, którego wnętrza, przy głębokiéj znajomości praw perspektywy, celują oddaniem całéj poezyi starych krakowskich gmachów i pierwsze mu miejsce w tym rodzaju malarstwa u nas jednają. Kilka jednak próbek młodego krakowskiego artysty Łosika, rokują mu świetną przyszłość a Świerzyńskiego wnętrza odznaczają sią łudzącą oko perspektywą i effektem światła.

Oto jest krótki i zbyt pobieżny przebieg działalności w sztuce za granicą i u nas w ostatnich czasach. Szczupłość ram czasopisma nie dozwoliła rozszerzyć się jakby przedmiot wymagał i nie jedno pominąć kazała.

Co się tyczy, najwięcéj nas obchodzącego, postępu sztuki u nas, ogólny wynik poglądu naszego jest pocieszające uznanie niezaprzeczonego w malarstwie postępu. Naturalizm, któremu artyści nasi, równie jak ich europejscy towarzysze, uledz musieli, nie zabił w nich ducha a tylko formę doskonalszą uczynił, zlanie się szkół| europejskich co do maniery i sposobu malowania pozostawiło ich jednak wiernemi narodowéj tradycyi co do pojęcia ducha i wyboru przedmiotów prawie zawsze treść ich utworów stanowiącéj, a imiona wielu malarzy naszych już zapisane w poczet europejskich artystów, pozwalają cieszyć się nadzieją, że chociaż najmłodsi i n a j p ó ź n i é j z a p r o s z e n i, doczekamy się może chwili, w któréj na wielkiéj uczcie wszechświatowéj sztuki o s t a t n i b ę d ą p i e r w s z e m i.

Zajęcie się ogólne publiczności sztuką krajową okazuje się dowodnie przez coraz rosnącą liczbę i zakres działalności stowarzyszeń i wystaw jéj poświęconych; pomimo powstawania nowych, starsze nie upadły. Towarzystwa te, zupełnie zastosowane do potrzeb wieku, zastępujące coraz rzadszych przy upadku wielkich fortun mecenasów, przez wielkiego zbiorowego Mecenasa — jakim jest publiczność niezliczone usługi oddały sztuce krajowéj, nieprzeszkadzając, a owszem dopomagając przez swe pośrednictwo, pojedynczemu jéj wspieraniu. Bez wątpienia brakuje nam jeszcze wiele, nie mamy specyalnego organu sztukom poświęconego, nie mamy stałych muzeów — ani w pełnem słowa tego znaczeniu akademii, jednak, gdy się nie cofamy ale niezaprzeczenie naprzód idziemy, możemy z dobrą otuchą poglądać w przyszłość naszą artystyczną.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Rozdział niniejszy obejmować będzie, przegląd biblijograficzny i krytyczny, dzieł polskich i ważniejszych dzieł zagranicznych, a szczególnie takich, które dotyczą nas, lub naszych sławiańskich sąsiadów. Zadaniem naszém przeto będzie przedstawić przedewszystkiem czytelnikom, wierny obraz ruchu umysłowego tak w Polsce jak i po za jéj granicami. Znakomitsi pisarze, znajdą w niniejszym rozdziale należyte ocenienie; a zwracając szczególną uwagę na znakomite prace, na polu historyi, lingwistyki, etnografii, historyi prawa i nauk przyrodzonych, nie pominiemy ani jednego ważniejszego dzieła, zasługującego na uwagę. — Gdy jednak zastępy pracowników z każdą chwilą się zwiększają, tak, że przedstawiają dziś już cyfrę znakomitą, nie podobna by było zastanawiać się nad wszystkiemi ich pracami; dzieła przeto mniejszej wagi, pominiemy krótką tylko wzmianką. W ocenianiu dzieł, starać się będziemy szczególnie o zapoznanie czytelnika z treścią i formą tychże, podnosząc w nich raczéj dodatnią niż ujemną stronę i unikając wszelkich wycieczek, nienależących ściśle do przedmiotu.

Jan Czarnkowski i jego kronika, przez Ludwika Kubalę; Warszawa 1871 r. Powyższa praca, jakkolwiek szczupłych rozmiarów, mieści w sobie nader wiele ciekawych szczegółów. Osobistość Czarnkowskiego i czasy, w których ten znakomity człowiek żył i pisał, odmalowane są z taką prawdą i prostotą, że czytelnik nie czuje tam pleśni czternastego wieku, ale widzi ludzi, których złe i dobre skłonności występują żywiej, niż kiedykolwiek; były to bowiem, jak powiada autor, czasy w których szlachta pierwszy raz musiała myśléć o sobie, czasy pierwszych sejmików i zjazdów, pierwszéj konfederacyi, czasy narodzin życia publicznego w Polsce. Czarnkowski, minister Kazimierza Wielkiego, człowiek mądry, powszechnie szanowany, traci z nastaniem rządów węgierskich urząd, zostaje niewinnie oskarżony o kradzież grosza publicznego i otrzymuje wyrok skazujący go na banicyą, mimo, że udowodnił swoją niewinność. Czarnkowski pozostaje jednak w Wielkopolsce i staje na czele opozycyi przeciw dworowi węgierkiemu. Atoli król Ludwik przeprowadza z pomocą Zawiszy uznanie następstwa kobiet na tron polski, mimo oporu ze strony Wielkopolan. Przebiegłe i nadzwyczaj dowcipne użycie podatku zwanego „poradlném,“ zapewnia zwycięztwo rządowi. Szlachta z razu oburzona, z nałożenia podobnego

podatku; godzi się na takowy, skoro rząd zniżył jego stopę; przyznaje pod tym warunkiem prawo następstwa córek Ludwika na tron polski, nie spostrzegłszy się, że rząd nietylko nie uczynił żadnego ustępstwa, ale nadto zyskał w dodatku znaczne sumy przez wprowadzenie w życie podatku, który dawniej przyjęty był tylko w zasadzie, a którego jednak w rzeczywistości nigdy nie pobierano. Czarnkowskiego spotykały przeto niepowodzenia na każdym kroku; ostatnim jednak i najboleśniejszym dla niego ciosem, było obranie znienawidzonego mu Mikołaja Łodzi na biskupa poznańskiego. To też w kronice jego przebija słuszny żal do ludzi. Z niektórych bardziej wykończonych ustępów kroniki wnosić można, powiada autor, że Czarnkowski zamierzał nam zostawić, obszerną historyę swojego czasu, ale zniechęcenie, jakie nim owładnęło, nie pozwoliło mu doprowadzić tego zamiaru do skutku.

Krótka ta monografia, jest jedną z takich prac, która obok ścisłości i sumienności, odznacza się wielką łatwością w przeprowadzeniu rzeczy. Autor, który, jak widać zna obok książek również doskonale ludzi, przedstawia nam nietylko przebieg rzeczy w sposób nader zajmujący, ale kreśli nadto pojedyncze charaktery, w sposób godny pióra Macaulay'a. Tak skreśloną jest osobistość Zawiszy i Mikołaja herbu Łodzia. Obok tego tłomaczy nam autor, całą sprawę dotąd dosyć nie jasną; a mianowicie sprawę podatku zwanego „poradlném," i wykazuje; że tu właściwie rząd tylko zyskał, przez zgrabne podejście szlachty.

O pieczęciach dawnej Polski, napisał Teofil Żebrawski, IIgi zeszyt — Kraków 1871 r. Pierwszy zeszyt tej cennej pracy wyszedł przed kilku laty. Obecny zeszyt obejmuje pieczęcie w okresie Jagiellonów. Szereg ich rozpoczyna pieczęć Władysława Jagiełły, wraz z mniejszemi pieczęciami tegoż króla; następują potem pieczęcie królów polskich w porządku po sobie aż do Stefana Batorego włącznie. Tekst obejmuje objaśnienia pierwowzorów, z których wykonane zostały drzeworyty; dalej następuje opis miejsc, gdzie się takowe znajdują, jak również ścisły opis wizerunku i napisu na pieczęci. W 2 t. podamy szczegółowszy rozbiór tej pracy.

Biblia Królowej Zofii, żony Jagiełły, z kodeksu szaroszpatackiego, nakładem księcia Jerzego Henryka Lubomirskiego, wydana przez Antoniego Małeckiego. — Starożytny ten zabytek języka polskiego, jest bezwątpienia jednym z pomników literatury naszéj, najsumienniéj obrobionym i bardzo starannie wydanym. Pan Ant. Małecki poprzedził go obszernym wstępem krytycznym, w którym przechodzi, zaraz na początku, wszystkich autorów kolejno którzy wspominali o téjże biblii.

Pierwsza i najważniejsza wzmianka o niniejszym przekładzie biblii, przypada na początek XVII wieku. Zawdzięczamy ją Simeonowi Teofilowi Turnowskiemu — druga wzmianka mniej ważna przypada na rok 1617, uczynił ją Marcin Graet w dziele swojém, o Braciach czeskich w Polsce — trzecia wzmianka przypada na rok 1644, a czwartą najdokładniéjszą czyni Andrzej Węgierski w dziele swojém, napisaném około 1644 r.

Od téj chwili przepadła ta biblia bez śladu, przez dwa wieki nikt w Polsce nie wiedział, co się z nią stało.

Dopiero w r. 1806 otrzymał Jerzy Samuel Bandtkie w Krakowie wiadomość od Józefa Dobrowskiego uczonego rzeczy słowiańskich z Pragi,

że w Węgrzech w miasteczku Szarosz-Patak w bibliotece szkoły tamtejszéj, znajduje się starożytny kodeks pergaminowy, zawierający w sobie Biblią w tłomaczeniu polskiém. Odkrycie tego zabytku, dało obszerne pole do polemiki między uczonemi. Jest jednak rzeczą bardzo prawdopodobną, że biblia ta poczętą była jeszcze dla Jadwigi, później zwolna dokonywana, skończoną dopiero została dla Zofii żony Jagiełły w połowie XV wieku. Przekład biblii jeźli nie cały, to przynajmniéj pod koniec wykonany był przez Andrzeja z Jaszowic a przepisany w Korczynie przez Piotra z Radoszyc w r. 1455, początek zaś znacznie dawniéjszy. — Biblia ta była własnością rodziny Jagiellonów, aż do czasów królowej Bony, po tém dostała się do Krotoskich z Krotoszyna — następnie do biblioteki w Ostorogu, nakoniec do Leszna, zkąd zabrał ją Komenjusz i przewiózł do Szarosz-Patak. Pan Małecki wymienia we wstępie oprócz powyższéj biblii następujące zabytki mowy Polskiéj: 1. Psałterz Floryański (Małgorzaty) z XIV wieku. 2. Psalm Miserere w zbiorze Pawlikowskiego, druga połowa XIV wieku. 3. Biblija królowéj Zofji 1422—1455, a może 1390—1455. 4. Fragmenta modlitw i żywot św. Błażeja 1400—1412. 5. Statuta Świętosława z Wocieszyna i Macieja z Rożana 1449. 6. Kazania gnieznieńskie (Działyński) środek XV w. 7. Kodeks Kórnicki statutów wiślickich. 8. Książka Nawojka (Liber Precarius) drugie pół XV wieku. 9. Psałterz, zbiór Czartoryskich, koniec XV w. 10. Ortyle magdeburgskie u Wiszniewskiego.

Biblia ta wydana w oprawie pergaminowéj, ozdobioną jest na okładce facsimilem tekstu — wewnątrz znajdują się również facsimilia rozmaitych pisarzy, którzy ją przepisywali.

Iter florianense. — O psałterzu floryańskim łacińsko-polsko-niemieckim, w szczególności o polskim — napisał Władysław Nehring. W Poznaniu, nakł. Żupańskiego. Psałterz ten wydany został po raz pierwszy w Wiedniu w r. 1834, przez Stanisława hr. Borkowskiego który sądząc z razu, że to była książka przeznaczona dla Małgorzaty księżniczki Morawskiéj, żony Ludwika węgierskiego, nazwał ją psałterzem Małgorzaty. Atoli daleko słuszniéj należy przypuszczać, że psałterz ten był własnością Maryi, starszéj córki tegoż Ludwika, przeznaczonéj do korony polskiéj, a potem żony cesarza niemieckiego Zygmunta, a to z powodu, że w rękopiśmie znajduje się herb Andegaweński (Anjou) jakiego używał Ludwik, król węgierski i polski, wraz z literą M.

Psałterz ten znalazł St. h. Borkowski, w klasztorze św. Floryana pod Lincem w Austryi; z tąd wnosił, że go przywiozła ze sobą Katarzyna rakuska, żona Zygmunta Augusta; atoli pan Wł. Nehring odkrył, że należał on już w XV i XVI wieku do rozmaitych osób prywatnych, wypisanych na odklejonéj kartce psałterza — a tem samem wykazał mylność wniosku Borkowskiego. P. Wł. Nehring usuwając mylną nazwę psałterza Małgorzaty, nadaną téj książce przez Borkowskiego, nazwał ją psałterzem Floryańskim. Kształt téj książki jest arkuszowy, psalmy pisane są po łacinie, po niemiecku i po polsku, obwódki i litery początkowe bogato kolorowane. — Wł. Nehring, porównywał nadto psałterz Floryański z psałterzem Wittemberskim z XIV wieku, pisanym w języku czeskim, i znalazł w nich pewne podobieństwo; tak, że obydwa teksty, tak polski Floryańskiego, jak czeski Wittemberskiego psałterza, dadzą się wzajemnie naprawić. — Ztąd wnosi

autor, że było zapewne u nas jakieś najstarsze tłomaczenie psałterza, dokonane za wzorem czeszczyzny wniesionéj do Polski z Wacławem Czeskim.

Obrobienie psałterza przez autora, odznacza się taką starannością, że pierwotne wydanie Borkowskiego, musi ustąpić z pola.

Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane dla matek i niższych nauczycieli, przez Teodora Morawskiego. Poznań, nakł. Żupańskiego 1871. Znakomity autor „dziejów porozbiorowych,“ przedstawił nam w niniejszém dziele, zaokrąglony obraz historyi polskiéj. Autor występuje tu nie tylko jako głęboki znawca naszych dziejów, ale zarówno jako niepospolity badacz natury ludzkiej, odznaczający się doświadczaném i głębokiemi poglądami. To też dzieło jego nacechowane jest spokojem i zaokrągleniem niezwykłem, nie mówiąc już o stylu jędrnym i pełnym wdzięku. Powyższe dzieło obejmuje cztery grube tomy in 8o, a historya doprowadzoną jest do Jana Kazimierza włącznie, — Autor, jak to widać z całego prowadzenia, starał się więcéj o przedstawienie wypadków historycznych o ich związek, powody i skutki, niż o stronę badawczą; i słusznie, gdyż książka przeznaczona dla matek i niższych nauczycieli, powinna mieścić w sobie raczéj wyniki nauki, i porządkować je, aniżeli zapuszczać się w krytyczne poszukiwania; atoli z drugiéj strony, możnaby autorowi zrobić zarzut, że zbytecznie obarczył swoje dzieło cytatami, więcéj niż tego wymagać może świat czytelników, dla których ta książka przeznaczona. Mimo to, dzieło powyższe, służyć może mniej i więcéj wykształconym czytelnikom; którzy znajdą w nim wiele bardzo rzeczy, zdolnych do prawdziwego pożywienia umysłu.

Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków (1492-1506) spisał na podstawie źródeł Dr. Franciszek Czerny. Kraków 1871. Autor powiada we wstępie: że pozbawiony w niniejszéj pracy wyczerpujących archiwalnych zbiorów krajowych, musiał nieraz śledzić u sąsiednich narodów, ażali nie ma w nich, choćby najmniejszéj wzmianki o stosunkach ich z Polską, aby, o ile można jak najwięcéj, rozjaśnić te oba tak mało znane panowania. — Autor jednak przeważnie czerpał ze źródeł znanych, przybierając do pomocy kilka dobrych monografij napisanych przez historyków niemieckich. Dziełko to odznacza się łatwością w opowiadaniu — a jakkolwiek nie wyczerpuje wszystkich kierunków ówczesnych czasów, (co zresztą nie było zadaniem autora), przedstawia historyę polityczną w sposób dosyć wyczerpujący.

Kritische Blicke in die Geschichte der Karpaten, Völker im Alterhum und im Mittelalter v. Dr. Izidor Szaraniewibz, Lemberg 1871 r. (Krytyczne rzuty oka na dzieje ludów Karpackich w starożytności i w wiekach średnich.) Pierwszy zeszyt powyższego dzieła wyszedł w roku 1871 we Lwowie. Autor zapowiada w przedmowie że następne części tegoż dzieła obejmować będą zmiany etnograficzne i państwowe, które dokonały się w Karpatach w ciągu wieków średnich. Powyższy zeszyt obejmuje wiadomości, które podali nam starożytni Grecy i Rzymianie, o ludach zamieszkujących góry karpackie. Przedsięwzięcie samo już przez się bardzo chwalebne, nastręcza jednak tyle trudności w przeprowadzeniu, że słusznie się żąda od autora głębokiéj i wytrawnéj krytyki na każdym kroku. Ta jednak strona autora jest może najsłabszą w niniejszem dziele — liczne świa-

dectwa Herodota, Strabona i Pliniusza, acz często cytowane, użyte są bez właściwéj krytyki, co również zarzucić by można badaniom filologicznym. Autor kreśli zarówno obraz oro i hydrograficzny gór Karpackich, tu i owdzie potrąca o fizyczną stronę Karpat, przedstawia nakoniec stronę geograficzną tychże; cały jednak obraz jest tylko z lekka i pobieżnie nakreślony.

B.

Ulrich von Hutten v. Dawid Friedrich Strauss. Leipzig 1871 r. Powtórne wydanie znakomitego dzieła Straussa zasługuje pod każdym względem na uwagę. Praca ta została dokonaną z wielu odmianami i poprawkami, które czynią ją jeszcze wartniejszą i ułatwiają wstęp dla szerszéj publiczności.

Mało jest postaci historycznych w Niemczech tak sympatycznych, jak Ulrich von Hutten. Jest to uosobienie wszystkich stron dobrych charakteru niemieckiego, które budzą sympatję obcych, pomimo nienawiści dawnéj.

Ulrich von Hutten nietylko kochał gorąco swoję ojczyznę, lecz z równą siłą kochał i wolność, w obronie któréj tak zacięcie walczył. Tem bardziéj dla dawniéjszych Niemców, upojonych szałem zwycięztwa, gotowych ugiąć swój kark pod jarzmo absolutnych rządów, niech postać Ulricha von Hutten będzie wskazówką, jakiej mają się trzymać drogi. Nie dość mężnie walczyć na polu bitwy i pokonać przeciwnika; prócz niego jest jeszcze inny wróg wewnętrzny, stokroć gorszy, bo wymagający walki na każdém miejscu i o każdym czasie.

Zwracając się do współczesnego stanu Niemiec Strauss zapytuje, co robiłby Ulrich von Hutten w dzisiejszéj zjednoczonej i zwycięzkiéj ojczyźnie? Zapewne nie wiele czasu poświęciłby tryumfom i czczym deklamacjom — a potém do pracy, bo jeszcze wiele pozostaje do zrobienia. Daléj autor ustami swego bohatera wykazuje potrzeby dzisiejszych Niemiec. „Na pozór, powiada, ojczyzna nasza dosyć pięknie wygląda, ale czy takim jest jéj stan wewnętrzny? Staliśmy się potężniejsi, ale czy wolniejsi? Władza świecka papieżów złamana, ale duchowna stawa w całéj sile; zuchwałe tłumy jéj służalców stają na zawadzie wszelkiemu rozwojowi umysłowemu i narodowemu, ciężą nad życiem niemieckiem i hardo się stawiają nawet w samym sejmie“.

„Bilder aus der deutschen Kleinstaaterei“ von Karl Braun (2 Bde, Berlin.) W ostatnich czasach w Niemczech wyszło bardzo wiele dzieł treści historycznéj, przeznaczonych głównie dla szerszéj publiczności.

W pracy wymienionéj powyżéj muza historyczna występuje przed nami w wesołém usposobieniu i ze swéj strony także czytelnika usposabia do śmiechu. Karol Braun w istocie posiada zadziwiający talent i sporą dozę humoru do wykazania śmiesznéj strony dawniéjszego systemu politycznego Niemiec.

Szczególniéj stosunki Księstwa Nassau jak i wielu innych drobnych państewek zna wybornie. Samo przez się rozumié się, że ów potworny system uważa za największą plagę Niemiec. Pomimo tego humoru i nieubłaganego szyderstwa, autor nigdy nietraci z przed oczu celów politycznych i wielkich zadań narodowych, do rozwiązania których powołany lud niemiecki. K. Braun śmiało uderza na partykularyzm niemiecki, bo nie widzi w nim żadnéj trwałéj podstawy i możności szerokiego rozwoju życia państwowego Niemiec. Dzieło to silnie działa nawet na obcego czytelnika, który musi przechodzić całą skalę uczuć, od najwyższego oburzenia i pogardy do wesołości i śmie-

chu. Pracy téj można wróżyć zupełne powodzenie we wszystkich klasach społeczeństwa niemieckiego, oprócz może mediotyzowanych książąt i ich dworaków. Takie tylko dzieła prawdziwie kształcą publiczność pod względem politycznym, obudzają w niéj poczucie własnéj godności i są najlepszą szkołą początkową do przygotowania zdatnych i praktycznych pracowników na polu społeczném i politycznćm.

Lieder des Hasses. Von einem Elzässer. Genf. 1871. Zaledwie rok upłynął, od chwili zajęcia Alzacyi przez Niemców, a już ta nieszczęśliwa prowincja doznaje wszelkich skutków kraju ujarzmionego.

Francja, Szwajcarja i Belgja liczą już krocie wychodźców, którzy w żaden sposób nie mogą się pogodzić z mniemanymi wybawcami. Zdawało się, że przyłączenie Alzacji do wielkiéj ojczyzny powinno było napełnić serce mieszkańców wielką radością, a tymczasem ci wypowiadają swoje uczucia w pieśniach nienawiści (Lieder des Hasses). Literatura tego rodzaju wzrasta z dniem każdym; broszury, rozprawy, historyczne, powieści sypią się jak z rękawa, w których inteligencja Alzacji pragnie wypowiedzieć swoje uczucia i swój sposób myślenia. Literaturę tego rodzaju można byłoby nazwać demonstracyjną. W niej rzadko kiedy mówi się o związku państwowym z Francją, ale o innym trwalszym i szlachetniejszym związku uczuć, myśli i wspomnień. Francja, powiadają, wniosła do nas zasady wolności, zrobiła kraj tem, czem jest obecnie, t. j. ludnym, bogatym i oświeconym. Tymczasem w spuściźnie dawne Niemcy pozostawiły najstraszniejsze prawo feodalne, a dzisiejsze, po zbombardowaniu miast i splądrowaniu kraju — militaryzm pruski. Jeżeli wszystkie inne prace działają na przekonanie, to „Lieder des Hasses“ szczerze i serdecznie przemawiają do uczuć naszych. O ich poetycznej wartościniewiele dałoby się powiedzieć, charakter przedewszystkiem tendencyjny, ale jednak dokładnie malują usposobienie Alzaczyków i niektóre wypadki z ostatniej wojny. Oto jest ustęp charaterystyczny, w którym streszcza się mniej więcej dążność tego tomiku poezyj:

Was uns einst zog zu Frankreichs stolzen Fahnen,
Was uns auch heut mit Macht noch zu ihm hält,
Das ist's, dass einstens es zuerst die Ahnen,
Mit seiner Freiheit Strahlenglanz erhellt!
Die Freiheit hat uns Frankreich zugesellt,
Sie wird zum Sieg durch Nacht zum Licht uns leit'n,
Drum sind und wollen wir Franzosen sein.

The emancipation und unity of the serbian nation, or the regeneration of eastern Europe by the reconstitution of the nationalitetes By Vladimir Jovanovitsch. Geneva 1871. Pod tym tytułem wyszła w języku angielskim broszurka emigranta serbskiego Jovanovicza. Ze względu na stanowisko zajmowane obecnie przez księstwo Serbskie i na rolę, jaką one pierwiéj lub późniéj może odegrać na wschodzie, niemożemy pomijać ważniejszych dzieł dotyczących polityki serbskiéj. Autorem wyżéj wymienionéj pracy jest emigrant serbski z czasów ks. Michała, jeden z najenergiczniéjszych członków opozycii, znany z wielu pism treści politycznéj, pisanych po francusku lub angielsku, w których starał się obznajomić zachodnią Europę z dążeniami swego narodu.

We wstępie do nowéj swéj pracy, autor opisuje w krótkości stan Serbów w Czarnogórzu, Turcji, księstwie Serbskiém, w Austrji, przy czém dotyka najważniejszych faktów historycznych. Podnosi wytrwałość i męstwo Czarnogórzanów, opłakane położenie Serbów w Austrji, naruszającéj wszystkie swe zobowiązania i obietnice, daléj cierpienia staréj tureckiéj Serbji i stopniowe odrodzenie księstwa, przechodzącego wszystkie fazy rozwoju państwowego, od patriarchalnego despotyzmu do liberalnéj konstytucji, — wszystko to p. Jovanowicz opowiada z największą jasnością i prostotą. Skreśliwszy stan dzisiejszy narodu serbskiego, autor kładzie szczególniejszy nacisk na ogólne dążenia Serbów do zjednoczenia, w czém, jak mniema, w skutek stosunkowéj słabości Czarnogórza, inicjatywa należy do księstwa, które powinno stać się jądrem państwa wschodnio-słowiańskiego. Obyczaje Serbów, ich instytucje, ideały narodowe, — wszystko to, podług zdania autora, jest owym trwałym gruntem demokratycznym, z którego Serbja może śmiało spoglądać w przyszłość, rachując li tylko na własne siły.

Z tego widać, że mamy do czynienia z obrońcą panserbizmu. Jovanowicz niewierzy w możność odrodzenia państwa Tureckiego, z powątpiewaniem mówi o Austrji federacyjnéj, lecz najmocniéj przekonany, że Serbowie połączą się w jedną całość. Nadzieje swe pokłada tylko w księstwie. Na dowód powiększenia sił produkcyjnych Serbiji, rozwoju jéj cywilizacji, wzrostu armji i milicji, przytacza bardzo wiele dat statystycznych. Zdaje się, że autor ma nazbyt różowe zapatrywania na stan Serbiji; widzi w niéj ogromny ruch w kierunku liberalnym. Nie da się zaprzeczyć, że w tym względzie zrobiono bardzo wiele; lecz pomimo wielu innych wadliwych stosunków społecznych, dosyć przypomnieć biurokrację, która jeszcze i po dziś dzień wiele się przyczynia do demoralizacji ludu, a przez swe korzystne stanowiska w kraju absorbuje większą część młodych sił.

Niechcąc dłużéj się zastanawiać nad znaczeniem faktów podawanych przez autora i jego wywodami, przechodzimy do strony najważniejszéj w téj broszurze — do urzeczywistnienia jedności serbskiéj. Głównie mu idzie o skupienie wszystkich sił do jednego celu, których główném ogniskiém powinien być Belgrad. W tym celu układa plan organizacji, mającéj objąć wszystkie ziemie serbskie; każda z nich miałaby komitet lokalny, mający przysposobić umysły do dzieła zjednoczenia i stanąć na czele dążności unionistycznych, jak się one objawią.

Komitety lokalne powinny być zależne od komitetu centralnego, którego myślą zasadniczą ma być przekonanie, że sprawa wyzwolenia Słowian leży w interesach postępu i cywilizacji, a wszystkie różnice religji, plemienności i granic muszą ustąpić w obec sprawy ogólnéj.

Rola, jaką autor przeznacza swéj ojczyźnie w przyszłéj akcji, nieodpowiada federalizmowi, który uważa za słowiańską formę państwową. Jeżeli Serbja pragnie hegemonji w południowo-wschodniéj słowiańszczyźnie, w takim razie o związku federacyinym i mowy być nie może.

Ale w téj pracy około zjednoczenia Serbja niepowinna rachować na obce mocarstwa, chociażby nawet na jednoplemienne. Serbja musi trzymać się dawnego hasła młodéj Italji i wywiesić na swéj chorągwi: „Serbia fara da se!“

Das böhmische Staatsrecht und die Entwickelung der oesterreichischen Reichsidee vom Jahre 1527 bis 1848. Eine rechtsgeschichtliche

Studie von Dr. Hugo Toman. Prag 1871. Hugo Toman należy do kompetentnych znawców czeskiéj historji i czeskiego prawa. W obec dzisiejszéj walki narodu czeskiego o swe prawa historyczne, zjawienie się podobnego dzieła jest na dobie, albowiem najzupełniéj zbija fałszywe pojęcia szerzone przez dziennikarswo niemieckie.

Autor rozpoczyna od czasów samodzielnego bytu państwa czeskiego i kończy na roku 1848. Z tego długiego okresu można się przekonać, że Czesi zawsze bronili swych praw historycznych i wielu monarchów austrjackich zatwierdzało takowe.

Szczególniéj od połowy wieku XVIII walka ta przybiera coraz większe i groźniéjsze rozmiary, bo jest prowadzoną nietylko z germanizmem, ale i z absolutyzmem. Za panowania Leopolda IIgo walka ta dochodzi swego zenitu; reprezentanci stanów w chwili roznamiętnienia omal niepociągnęli narodu czeskiego do czynnego oporu.

Austrjacka idea państwowa zawsze natrafiała na opór sejmu czeskiego, który w niéj widział zamach na swe prawa historyczne i wolność. Po przeczytaniu pracy p. Hugona Tomana, łatwo sobie wyjaśnić myśl zasadniczą znanéj „deklaracji“ i przyznać słuszność żądaniom czeskim. A. S.

Bibliografia dzieł zagranicznych.

Niemcy: W a t t e n b a c h. Bemerkungen zu einigen österreichischen Geschichtsquellen. — Uwagi nad niektóremi źródłami do historyi austryackiéj Wiedeń 1870. — Dzieło to ważne dla badających historyę austryacką, zwłaszcza że autorem jego jest zasłużony wydawca źródeł do historyi austryackiej.

J u l i u s Eckardt: Jungrussisch und Altlivländisch, politische und culturgeschichtliche Aufsätze. — O języku nowo-rosyjskim i staroinflanckim. Rozprawy polityczne i historyczne, Lipsk, 1871.

V a m b e r g Herman, Prof. Russlands Machtstellung in Asien. O stanowisku Rosyi w Azyi — Studyum polityczno historyczne, Lipsk, 1871.

W e b e r Dr Prof. Allgemeine Weltgeschichte vom Mittelalter bis zur Neuzeit, Lipsk, 1871.

D r o y s e n. Gustav Adolf Lipsk 1871. Drugi tom.

R a n k e Leopold. Die deutschen Mächte und der Fürstenbund, deutsche Geschichte von 1780 bis 1790, Lipsk, 1871.

S c h ö n e. Dr. Briefwechsel zwischen Lessing und seiner Frau, Lipsk, 1871. Zawiera zbiór dotąd niedrukowanych listów.

S c h u l t z Alwin. Die Schlesischen Siegel bis J. 1250. Wrocław.

T o e p p e n Dr. Elbinger Antiquitates — starożytności miasta Elbląga — Gdańsk, 1871.

P e r l b a c h Dr. Die ältere Chronik von Oliva, Getynga, 1871.

P r o w e Dr. Polen in den Jahren 1766—1768, według urzędowych sprawozdań toruńskiego rezydenta przy dworze warszawskim.

T ł o m a c z e n i a: General Fadjejew: über Russlands Kriegsmacht und Kriegpolitik — tłomaczenie wraz z przedmową przez Eckhardta.

E ö t v ö s Józef, bar. Der Einfluss der herrschenden Ideen des 19. Jhrt. auf den Staat. Autor sam przetłomaczył powyższe dzieło z języka węgierskiego na niemiecki.

Francya: L a u r e n t Prof. La Philosophie de l'histoire. Paris, 1870—1871.
C h e r b u l i e z L'Allemagne politique depuis la paix de Prague, Paryż.
T h i e r r y A. Rècueil des monuments incdits de l'histoire du tiers etat. Paryż.
Anglia: M a y: A treatise of the statutes of Elisabeth against fraudulent conveyances.
M i l l J. What is industrial and technical education.
C a r l y l e Th. History of Frederick II of Prussia.
C a r l y l e Th. Listy i mowy Oliwiera Kromwella.
W i l l i a m. Draper. History of the American civil war. Historya wojny domowéj w Ameryce. B.

W dziedzinie nauk prawnych, zanotować potrzeba wydanie monograficznéj pracy Dr. Dochow, „Zur Lehre von den gewerbs — und gewohnheitsmässigen Verbrechen," Jena 1871. Jest to habilitacyjna praca autora, oceniana przez wydział prawa Uniw. Heidelbergskiego. — Dr. Freund, wydał obecnie dziełko, p. t. „Thaten und Namen." „Forschungen über Staat und Geselschaft mit besonderer Rücksicht auf L. v. Stein und Gneist." — Prof. Dr. Hanne ogłosił niezmiernie ciekawą pracę: „Die Kirche im neuen Reich." — Powszechną wszakże uwagę uczonego świata prawniczego, zwraca dziś cenna bardzo praca Dr. Heinze, Professora prawa karnego, filozofii prawa i prawa międzynarodowego Uniw. Lipskiego: „Das Verhältniss des Reichsstrafrechts zu dem Landestrafrecht, mit besonderer Berücksichtigung der durch das Norddeutsche Strafgesetzbuch veranlassten Landesgesetzen." Autor zajmuje się tutaj rozbiorem pytań: W obec ostatniego ustawodawstwa karnego Cesarstwa niemieckiego, jakie ustawy karne pojedynczych niemieckich krajów, pozostają w swej mocy? Kraje te do wydawania jakich ustaw są właściwie uprawnione? a wreszcie, jakie ustawy one wydać nawet powinny, aby partykularne swe prawa doprowadzić do rzeczywistéj zgody z powszechnem prawem Cesarstwa niemieckiego. Autor wyznaje: iż do uskutecznienia niniejszéj pracy był pobudzonym przez widoczną niedostateczność ustawy przechodniéj do kodeksu karnego powszechnego w Niemczech, a tem samem i mnóstwem praktycznych pytań wynikających z tego powodu. Pytania te p. Heinze rozwiązać się stara na podstawie czysto naukowych zasad: o stosunku prawa partykularnego do ogólnego, o stanowisku sędziego, o zakresie prawnym pozostawionym prawu partykularnemu milcząco lub wyraźnie przez prawo ogólne i t.p. — Naturalnie że dzieło Prof. Heinzego niema na celu wyczerpać wszystkie pytania rodzące się w praktyce co do stosunku ustaw partykularnych do ogólnego ustawodawstwa karnego Cesarstwa niemieckiego, ale jedynie ogólne rzucić podstawy do praktycznego ich rozwiązania, to też słusznie utrzymują niemieccy krytycy, iż praca Prof. Heinzego mniej jest cenną przez swoje pozytywne rezultaty ile raczej przez swą metodę.

W „Archiv f. Kath. Kirchenr. von Vering, 6. Heft." znajduje się ciekawy artykuł. „O Papieżu i ostatniem koncyljum," zaś w Jahrbücher f. d. Dogm. d. h. r. u. d. Privatrechts, herausg. v. Jhering. Jena 1872 r. tom VII, 1 Heft., pomieszczoną jest cenna bardzo praca „Zur Lehre vom Rechtssubjekt" C. J. Bekkera, Prof. Uniw. w Greifswaldzie.

W naszej literaturze chlubnie zaznaczyć nam wypada wydanie najnowszéj pracy Nestora naszych uczonych prawników, W. A. Maciejowskiego,

„Przegląd najnowszych prawodawstw Słowian, w kilku odrębnych artykułach przedstawiony.“ — Artykuł 1szy zawiera: Przegląd historyczno-krytyczny prawa cywilnego ruskiego, dziś obowiązującego, z uwzględnieniem tak nazywanych Dygestów ruskich. Mówi tu autor najprzód o t. z. Dygestach rossyjskich, następnie podaje obszerny pogląd na cywilne prawo ruskie według 1széj i 2giéj redakcyi swodu grażdańskich Zakonów, kończy zaś całą tę pracę krytyczną tegoż prawa oceną. Niespracowany ten badacz dziejów prawodawstw słowiańskich, przygotował obecnie nowe dzieło w tejże samej dziedzinie. **r.**

Ważniejsze dzieła i prace na polu botaniki umiejętnéj w roku ubiegłym 1871.

Lehrbuch der Agriculturchemie (Podręcznik do chemii rolniczej), przez Dr. Adolfa Mayera docenta w Heidelbergu w dwóch częściach, każda około 400 stronnic. Część I traktuje teoretycznie kwestye żywienia się roślin; część II właściwą praktyczną chemią rolniczą. Książka ta ma tę wyższość przed wszystkiemi tego rodzaju (Liebiega, Wolfa, Muldera, Reicharda i innych), że co się tyczy żywienia się roślin, traktuje rzecz z ogólniejszego stanowiska, z gruntowną znajomością ostatnich rezultatów fizyologii roślin. To też część I poniekąd za podręcznik do téj nauki a przynajmniéj do pewnej jéj części mogłaby być uważaną.

Wachstumsgeschichte bei Radula complanata, (Wzrost u radula complanata) przez Leitgeba prof. w Gracu jako IV zeszyt jego „Beiträge etc“ odznacza się dokładnością jak wszystkie prace tego badacza.

Über Ernährung und Stoffbildung der Pilze (Żywienie się i wytwarzanie materyi u grzybów) Zöller'a.

Pringsheim. Über die männliche Pflanzen und die Schwärmsporen der Gattung Bryopsis (O męzkich roślinkach i zarodnikach ruchomych rodzaju Bryopsis). Monatsb. Berl. Akad. Mai 1871.

Rauter. „Zur Entwickelungsgeschichte einiger Trichomgebilde„ (Historya rozwoju niektórych utworów włoskowych) wyszło w Wiedniu Müller N. I. C. (docent w Heidelbergu). Botanische Untersuchungen. 1. Untersuchungen über die Sauerstoffascheidung der grünen Pflanzen im Sonnenlicht (Poszukiwania nad wydzielaniem w świetle słoneczém tlenu, przez zielone rośliny) wyszło w ostatnich dniach.

W ostatnich dwóch latach powstały w Niemczech cztery nowe czasopisma botaniczne wychodzące zeszytami jak roczniki Pringsheima.

Hanstein w Bon wydaje „Botanische Abhandlungen“ (rozprawy botaniczne) których już wyszły 4 zeszyty. Zeszyt I, który wyszedł w końcu roku zeszłego zawiera, pracę samego Hansteina „Die Entwickelungsgeschichte des Keimes der Monokotylen und Dikotylen“ (Historya rozwoju zarodka jedno i dwuliścieniowych) z 18 tablicami, w r. 1868 Hanstein ogłosił w zbiorowem piśmie wydanem na pamiątkę jubileuszu uniwersytetu w Bon pracę, którą zadał stanowczy cios teoryi Hofmeistra o wzroście wyższych roślin za pomocą jednéj komórki wierzchołkowéj i udowodnił, że już w meristematycznéj tkance wierzchołków wegetatywnych istnieje przeciwieństwo naskorka kóry i drewna (dermatogen, periblem i plerom), że więc

każda z tych części ma wzrost samodzielny. W obecnéj pracy o rozwoju zarodka Hanstein wykazuje że przeciwieństwo to ustala się już przy pierwszych dzieleniach zapłodnionego jajka a tém samém w zarodku dojrzałego nasienia zawsze już istnieje. Obok tego ważnego rezultatu, cały rozwój zarodku na kilku przykładach z różnych familij jedno i dwuliściennych roślin jak najdokładniej jest przeprowadzony. Te prace Hansteina stanowią niewątpliwie w ostatnich paru latach, najważniejsze na polu morfologii roślin odkrycia.

Zeszyt II, zawiera Pfitzer'a „Untersuchungen über Bau und Entwickelung der Baccillariaeen (Diatomaeen) (Poszukiwania nad budową i rozwojem Diatomeów) z 6 kolorowanemi rycinami. Przypominamy iż diatomeae stanowią jedną z owych wątpliwych grup, które botanicy do roślin mianowicie do wodorostów, zoologowie do zwierząt zaliczają. Haekel umieścił je w państwie protistów czyli pratworków.

Zeszyt III, Reinke „Untersuchungen über Wachstumsgeschichte und Morphologie der Phanerogamen-Wurzel“ (Poszukiwania nad sposobem wzrostu i morfologiją korzeni jawnopłciowych roślin.

Zeszyt IV, Pfeffer „Die Entwickelung des Keimes der Gattung Sellaginella“ (Rozwój zarodka rodzaju Sellaginella) z 6 tablicami. Dwa ostatnie zeszyty wyszły dopiero w ostatnich tygodniach.

Ferdinand Cohn we Wrocławiu wydaje „Beiträge zur Biologie der Pflanzen“ (Przyczynki do bijologii roślin). Dotąd wyszedł jeden zeszyt, w końcu roku zeszłego; zawiera:

Schrötera „Die Pflanzenparasiten aus der Gattung Synchitirum“ (Pasożyty roślinne z rodzaju Synchitrium).

Lebert i Cohn „Ueber die Fäule der Cactusstämme“ (O gniciu pni kaktusowych), to gnicie spowodowane jest przez grzybek peronospora cactorum podobny według autora do peronospora infestans, który jak wiadomo jest przyczyną zarazy kartofli.

Cohn „Ueber eine neue Pilzkrankheit der Erdraupen.“

Schröter „Ueber die Stammfäule der Pandaneen“ (O gniciu pni pandenowców). Powodem dwa grzybki melauconium pandani i nectaria pandani, które prawdopodobnie stanowią jeden gatunek w różnych stadyach rozwoju.

Cohn „Ueber Brunnenfaden“ (Crenotrix polyspora). O nitkach studziennych z uwagami o analizie mikroskopowéj wód studziennych. Ten nowy wodorost z rodziny oscilarineów a zbliżający się do florideów znaleziony został przez Cohna w wodzie studziennéj koło Wrocławia w miejscu gdzie panował tyfus.

Julius Sachs, w Würzburgu wydaje „Arbeiten des botanischen Instytuts in Würzburg“ (Prace instytutu botanicznego w Würzburgu). Dotąd wyszedł jeden zeszyt na początku r. b. z dwoma pracami Pfeffera:

1. „Die Wirkung farbigen Lichtes auf die Zerstezung der Kohlensäure in Pflanzen.“ Działanie światła kolorowego na rozkład kwasu węglowego przez rośliny. Praca niezmiernie interesująca, literatura przedmiotu wyczerpnięta (pominięto tylko najnowszą pracę Prillieux, jak to wytknął Baraniecki w Bot. Zeit. N. 13); metoda doświadczeń nic nie pozostawia do życzenia, za błąd poczytalibyśmy tylko, że w obliczeniach ogólnych rezultatów nie uwzględniono różnic indywidualnych między roślinami, a przez to zdaniem naszem zbyt pospiesznie zawyrokowano że „każda barwa ma właściwy

jakościowy wpływ na czynność assymilacyjną, która zostaje tą samą, zarówno wtedy gdy odnośne promienie w odosobnieniu lub w skombinowaniu z innemi na zielone części rośliny działają."

2. „Studien über Symmetrie und specifische Wachstumssursachen." (Studya nad symetryą i specyficznemi przyczynami wzrostu).. Są to badania głównie nad warunkami wyrastania włosków korzeniowych przy kiełkowaniu pączków zarodkowych wątrobnicy marchantia polymorpha. Pewne komorki, z bezbarwną zawartością na około całego pączka, mogą przy korzystnych okolicznościach we włoski korzeniowe wyrastać, ale pod warunkiem iż temu nie przeszkadza przeciwny kierunek działania siły ciężkości. Zetknięcie z ciałem stałém ułatwia wyrastanie włosków i czyni je możliwem nawet przy przeciwném działaniu siły ciężkości. Symetrya dwustronna ustala się dopiero w bocznych gałąziach pączka wyrastających.

Czwartém czasopismem, którego pierwszy zeszyt wyszedł przed kilku tygodniami, jest „Mittheilungen aus dem Gesammtgebiete der Botanik" wydawane w Lipsku przez tamtejszego profesora Schenka i Luersena. Treść tego zeszytu jest nam jeszcze nie znana.

Roczników Pringsheim'a (Jahrbücher für wissenschaftliche Botanik), wyszło w roku b., dwa zeszyty jako zeszyt I i II tomu VIII. Zeszyt I zawiera:

K n y „Beiträge zur Entwickelungsgeschichte der Farnkraüter." (Przyczynki do historyi rozwoju paproci). Opisuje rozwój prothalium, antheridiów i archegoniów u osmunda regalis i wskazuje na różnice między tą a innemi gruppami paproci głównie w powstawaniu pierwszego włoska korzeniowego, (który tu nie jest utworem bocznym ale utworzony jest przez pierwszy podział w kiełkującym zarodniku), w budowie prothalium i rozwoju antheridiów.

P f i t z e r, (docent w Bon) „Beiträge zur Kenntniss der Hautgewebe der Pflanzen," (Przyczynki do znajomości tkanki skórnej u roślin)). Daje historyą rozwoju wodnistéj tkanki skórnej pieprzowatych i begoniowych roślin i przychodzi do wniosku, że ona tu uważaną być winna za warstwy naskórka, tak że te rośliny mają naskórek wielowarstwowy, gdyż powstaje ona przez dzielenie się pierwotnie pojedynczéj warstwy komórek naskórka; u innych roślin jak n.p. Bromeliaceae podobna tkanka skórna powstaje z tkanki zasadniczéj i tu nazwać ją należy tkanką podnaskórkową (hypoderma).

N. I. C. M ü l l e r (docent w Heidelbergu). *Die Anatomie und die Mechanik der Spaltöfnung.* (Anatomia i mechanizm szparek.) Biorąc za punkt wyjścia prace Mohla w Bot. Zeit. 1856, bada warunki otwierania się i zamykania szparek u różnych roślin.

Dr. J. P e y r i t s c h, *Ueber Bildungsabweichungen bei Cruciferen.* (O potwornościach u roślin krzyżowych.) Opisuje różne nienormalności w kwiecie roślin krzyżowych, a głównie w budowie zawiązka owocowego.

Dr. G r e g o r K r a u s. *Die Entstehung der Farbstoffkörper in den Beeren von Solanum Pseudocapsicum.* (Powstawanie ciałek barwnikowych w jagodach solanun pseudocapsicum). Dochodzi do wniosku że wszystkie te ciałka, tak okrągłe jak i wrzecionowate, powstają z przeobrażenia się ziarnek zieleni.

Zeszyt II obejmuje trzy prace:

Dr. A. D o d e l. *Der Uebergang des Dicotylen-Stengels in die Pfahl-Wurzel.* (Przejście łodygi dwulistniowej w główny korzeń). Wiadomo jak

u dwuliścieniowych roślin hypocotyle nieznacznie w korzonek przechodzi, a jednak różnice na wzroście korzonka i łodyżki są widoczne, bo gdy w pierwszym tworzenie się wiązek w łukno naczynnych postępuje centrypetalnie t.j. od zewnątrz ku wewnątrz, w ostatniej centryfugalnie od wewnątrz ku zewnątrz; ważnem więc jest pytanie, w jaki sposób łodyżka w korzonek przechodzi? Praca niniejsza zajmuje się wyłącznie zwyczajną fasolą (phaseolus multiflorus), lecz autor obiecuje później podać także obrobienie tej kwestyi u innych roślin.

Dr. S. W. Pfeffer (docent w Marburgu) „Zur Blüttenentwickelung der Primulaceen und Ampelideen.“ (Rozwój kwiatów u primulaceae i ampelideae). U obu familij pręciki są przeciwległe płatkom korony. Były między autorami kontrowersye, czy pręciki czy też płatki korony u pierwiosnkowych wprzód się rozwijają. Pfeffer wykazał u Lysimachia quadrifolia, że po utworzeniu się listków kielicha powstaje drugi okołek listków, które on nazywa primordia, że te listki dają po pewnym czasie na zewnątrz gałązki z których powstają płatki korony, same zaś rozwijają się w pręciki. Więc tu płatki korony są grzbietowemi odnogami pręcików, a nie stanowią samodzielnego okółka.

U ampelideae powstają najprzód płatki korony a później jako samodzielny okółek pręciki.

B. Frank. (docent w Lipsku.) „Ueber die Veränderungen der Lage der Chlorophyllkörner und des Protoplasmas in der Zelle und deren innere und äussere Ursache.“ (Zmiany położenia gałeczek zieleni i protoplasmy w komórce i ich wewnętrzne i zewnętrzne przyczyny). W téj obszernéj pracy z pomiędzy różnych ruchów zieleni, Frank zajmuje się tylko t. z. wędrówkami gałeczek zieleni, które objawiają się w tém, że w jednéj i téj samej komórce, gałeczki zieleni zbierają się raz przy ściankach stanowiących powierzchnią organu lub graniczących z przestworami między komórkowemi, drugi raz przy ściankach oddzielających komórki od komórek sąsiednich. Pierwszy stan zowie Frank epistrophą drugi apostrophą. Frank badał różne warunki, przy których jeden lub drugi stan ma miejsce, przekonał się iż epistropha jest wyrazem siły i żywotności, apostropha słabości komórki. To też normalnie w młodych komórkach jest epistropha, w starych apostropha. Brak światła, znaczniejsze obniżenie temperatury, odciągnięcie wody, mechaniczne zniszczenie związku między komórkami, powodują apostrophę.

Te ruchy gałeczek zieleni nie są czynne ale bierne, spowodowane przez odpowiedni ruch protoplasmy w któréj są zawieszone. Przyczynę tych ruchów zgodnie z piękną teoryą Hofmeistra widzi Frank w zmianie zdolności imbibicyjnej protoplasmy, zmniejszanie się objętości gałeczek zieleni w ciemności, wzkazujące na zmniejszenie się zdolności imbibicyjnéj, może nawet służyć za poparcie Hofmeistrowskiéj teoryi ruchów protoplasmatycznych.

Z więcéj interesujących prac zamieszczonych w Botanische Zeitung z ubiegłego 1871 r. możemy wymienić:

A. de Bary (profesor w Halli.) „Ueber die Wachsüberzüge der Epidermis.“ (O powłóczkach woskowych naskórka.) Opisuje różne formy pod jakiemi występuje wosk roślinny na zewnętrznych ściankach komórek naskórka.

Wolf und Zimmermann. „Scheiden die Pilze Amoniak aus?“ (Czy grzyby wydzielają z siebie amonijak?) Dochodzą do wniosku że podania o wydzielaniu amonijaku przez grzyby polegały na tem, że brano do do-

świadczeń grzyby które już rozkładać się zaczynały, bo grzyby w pełném zdrowiu amonijaku nie wydzielają.

Göppert, (profesor we Wrocławiu.) „Wann stirbt die durch Frost getödtete Pflanze, zur Zeit des Gefrierens oder im Moment des Auftauens?“ (Czy przemarznięta roślina umiera w czasie zamarzania, czy odtajania?) Okazało się że śmierć następuje przy marznięciu.

Fridrich Hildebrand. „Experimente an einigen trimorphen Oxalis-Arten.“ (Doświadczenia z niektóremi trimorficznemi gatunkami szczawiku). Okazało się że tylko tak zwane legitymiczne opylenie może wywołać zapłodnienie, to jest tylko pylniki, stojące w pewnym kwiecie na tej saméj wysokości co blizna w drugim kwiecie, mogą ten ostatni zapłodnić. Każde inne opylenie nie wywiera żadnego skutku. Wyjątki bardzo nieliczne.

Solm-Laubach. „Ueber einige geformte Vorkomnisse oxalsauren Kalkes in lebenden Zellmembranen.“ (Opisuje kryształki szczawianu wapnia nie w zawartości ale w błonie komórkowéj, występujące szczególniéj w błonach komórek łyka wielu roślin iglastych, jako też w ściankach naskórka tychże roślin). U roślin okrytonasiennych kryształki takie tylko wyjątkowo się zdarzają w naskórku niektórych gatunków mesembryanthemów i sempervivum.

Batalin. „Ueber Wirkung des Lichtes auf die Entwickelung der Blätter.“ (Działanie światła na rozwój liści). Dochodzi do rezultatu iż w ciemności liście nierozwijają się; dla tego, że komórki nie mogą się dzielić, nie zaś dla braku krochmalu, który jakoby bez wpływu światła w błonnik przejść nie mógł — jak to utrzymywał Kraus.

Z prac naszych rodaków możemy zacytować Janczewskiego: „Morphologische Untersuchungen über Ascobolus furfuraceus.“ Bot. Zeit. N. 17 i 18. Drukowane także w rocznikach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego p. t. „Poszukiwania morfologiczne nad miotnikiem otrębiastym.“

Rostafińskiego: „Beobachtungen über Paarung von Schwärmsporen.“ Bot. Zeit. N. 46. (Obserwacye nad kopulacyą zarodników ruchomych). Wiadomo że Pringsheim pierwszy zrobił te obserwacye przed dwoma laty u Pandorina Morum, Cramer widział to u Ulotrix zonata; Rostafiński daje nam teraz trzecią tego rodzaju obserwacyą u Chlamydomonas multifiliis. Obserwacye Veltena jako błędnie pojmowane nie wchodzą w rachubę. G.

Biblijografija Polska

z roku 1871.

Chcieliśmy podać czytelnikom naszym o ile to być może dokładny rys biblijograficzny polski z roku 1871. Ale mimo największego starania nie zdołaliśmy zgromadzić wszystkich potrzebnych wiadomości tak o dziełach wydanych, jak i innych szczegółów niezbędnych dla biblijografii i statystyki biblijograficznéj. Niektórzy z panów właścicieli drukarń nie raczyli nawet odpisać na nasze kilkokrotne wezwania; inni nadesłali nam ogólne katalogi nakładów swoich, bez wymienienia lat, kiedy zostały wydane.

Winniśmy tu oświadczyć publicznie najczulszą naszą wdzięczność znakomitemu naszemu biblijografowi, tak chlubnie znanemu z prac swoich, a z taką gorliwością popierającemu wszelkie w tej dziedzinie wiedzy usiłowania, Dr. Karolowi Estreicherowi. Niemniéj wdzięczni jesteśmy p.p. Gebetnerowi i Wolfowi w Warszawie, p.p. Gubrynowiczowi i Schmittowi we Lwowie i p.p. Żupańskiemu i Richterowi w Poznaniu, którzy nam pośpieszyć raczyli z chętną pomocą.

Korzystając tedy z wiadomości udzielonych przez wyżéj wymienione osoby, jak równie śledząc pilnie za inseratami dzienników i skazówkami biblijograficznemi wydawanemi w Warszawie i zagranicą, zdołaliśmy zgromadzić 591 tytułów dzieł polskich wydanych w r. 1871. Nadto w ciągu tegoż roku wychodziło 83 pisma czasowe, chociaż niektóre z nich niedożyły do końca roku. Razem więc mamy 674 tytuły.

Jeden rok życia piśmiennictwa polskiego nie jest dostateczny dla badań statystycznych i wyrokowań o ruchu i działalności pracowników polskich. Wszelako i dane chociażby z jednego roku malują poniekąd ten ruch, a następnie stale zgromadzane przez lat kilka mogą się stać bogatym materjałem dla przyszłych badaczów.

Statystyka tedy biblijograficzna podaje nam następujęce dane:

Z ogólnéj liczby wyżéj wskazanych tytułów, podług działów wypada:

Dzieł treści religijnej	Oryginalnych	42.	Przekładów	13.	Razem	55.	Autorów	35.	Tłumaczów	10.	Razem	45.
Filozoficznych i pedagogicznych	—	21.	—	6.	—	27.	—	20.	—	5.	—	25.
Prawnych i administracyjnych	—	29.	—	—	—	29.	—	22.	—	—	—	22.
Ekonomicznych, gospodarczych i przemysłowych	—	34.	—	1.	—	35.	—	30.	—	1.	—	31.
Nauk przyrodzonych	—	15.	—	11.	—	26.	—	14.	—	13.	—	27.
Medycznych	—	12.	—	10.	—	22.	—	9.	—	7.	—	16.
Historycznych, archeologicznych biblijograficznych, życiorysów	—	55.	—	6.	—	61.	—	51.	—	4.	—	55.
Filologicznych i lingwistycznych	—	11.	—	2.	—	13.	—	8.	—	2.	—	10.
Geograficznych, statystycznych, etnograficznych	—	12.	—	—	—	12.	—	12.	—	—	—	12.
Matematycznych	—	5.	—	2.	—	7.	—	10.	—	3.	—	13.
Rymowanych	—	42.	—	5.	—	47.	—	27.	—	5.	—	32.
Belletrystycznych	—	87.	—	35.	—	122.	—	54.	—	21.	—	75.
Z dziedziny sztuk pięknych	—	2.	—	—	—	2.	—	2.	—	—	—	2.
Broszur polemicznych, odezw, sprawozdań, okolicznościowych	—	62.	1.	—	—	63.	—	50.	—	—	—	50.
Książek dla młodego wieku	—	30.	—	10.	—	40.	—	23.	—	3.	—	26.
Kalendarzów	—	30.	—	—	—	30.	—	30.	—	—	—	30.
Czasopism	—	83.	—	—	—	83.	Licząc w przecięciu po 4 na każde	332.	—	—	—	332.
Razem	—	572.	—	102.	—	674.	—	729.	—	74.	—	803.

Wyżéj przytoczone dzieła i czasopisma wychodziły w 31 miastach, a mianowicie:

W Cesarstwie Rossyjskiem i Królestwie Polskiem, czasopism 35, dzieł 156. — W Państwie Austryackiem czasopism 33, dzieł 319. — W Państwie Pruskiem czasopism 14, dzieł 82. — Nad to dzieł za granicą 34 i Czasopismo 1. Co do ilości dzieł najwięcéj wyszło w Krakowie, bo 151, w Warszawie zaś 149; ale podług tomów i ilości stronic góruje Warszawa. W Krakowie bowiem wyszło 160 tomów zawierających 21,487 stronic, a w Warszawie chociaż tyleż tomów, t. j. 160, ale stronic 28,608.

Podajemy tu szczegółowy wykaz dzieł podług ich treści oraz liczby pracowników w każdém z miejsc gdzie wychodziły:

1.) W Warszawie:

	oryg.	tłum.	Aut.	Tłum.
Dzieła religijne	8.	5.	4.	2.
Dzieła filozoficzne	4.	3.	4.	2.
Prawo i administracya	11.	—	9.	—
Ekonomja	2.	1.	2.	1.
Gospodarstwo	15.	—	13.	—
Nauki przyrodzone	2.	9.	2.	9.
Medycyna	5.	9.	4.	8.
Historya, archeologja, życiorysy	9.	4.	10.	3.
Literatura: *a)* Poezya	9.	4.	5.	4.
b) Powieści i romanse pamiętniki, utwory dramatyczne, podróże	18.	12.	15.	12.
Książki elementarne i dla młodego wieku	9.	3.	6.	2.
Kalendarze	7.	—	—	—
Razem	99.	50.	74.	43.
	149.			

2.) W Kaliszu:

Powieść	—	1.	—	—

3.) W Piotrkowie:

Rocznik	1.	—	2.	—

4.) W Wilnie:

Dzieła religijne	3.	1.	3.	1.
Hydrografija	1.	—	1.	—
Razem	4.	1.	4.	1.
	5.			

5.) We Lwowie:

Filozofia i pedagogika	7.	—	6.	—
Prawo i admistracya	5.	—	6.	—
Ekonomija	3.	—	3.	—
Gospodarstwo	4.	—	5.	—

Nauki przyrodzone	oryg. 2.	tłum. 1.	Aut. 2.	Tłum. 2.
Matematyka	2.	1.	2.	1.
Medycyna	2.	—	1.	—
Historya, archeologija, życiorysy	12.	—	12.	—
Geografija, statystyka	5.	—	5.	—
Poezye	9.	1.	6.	1.
Powieści i romanse, utwory dramatyczne, pamiętniki, podróże	23.	11.	15.	7.
Broszury polemiczne, odezwy it.d.	31.	—	26.	—
Nauka języków	2.	2.	2.	2.
Książki elementarne i dla młodego wieku	2.	—	2.	—
Kalendarze i roczniki	9.	—	—	—
Razem	118.	16.	93.	13.
	134			

6.) W Krakowie:

Dzieła religijne	13.	3.	12.	3.
Dzieła filozoficzne	3.	1.	3.	1.
Prawo i administracya	11.	—	8.	—
Ekonomija	2.	—	2.	—
Gospodarstwo	1.	—	1.	—
Nauki przyrodzone	10.	1.	9.	2.
Medycyna	4.	1.	4.	1.
Historya, archeologija, bibliografija, życiorysy	21.	—	19.	—
Geografija, statystyka, etnografija	3.	—	3.	—
Sztuki piękne	2.	—	2.	—
Poezye	8.	—	7.	—
Powieści i romanse, utwory dramatyczne, pamiętniki, podróże	27.	6.	27.	5.
Nauka języków	4.	—	3.	—
Książki elementarne i dla młodego wieku	7.	—	5.	—
Broszury polemiczne, sprawozdania, odezwy i t. d.	18.	1.	15.	1.
Kalendarze	4.	—	—	—
Razem	138.	13.	106.	13.
	151.			

7.) W Rzeszowie:

Dzieła religijne	2.	—	2.	—
Nauki przyrodnicze	1.	—	1.	—
Gospodarstwo	3.	—	2.	—
Nauka języków	2.	—	2.	—
Literatura	1.	—	1.	—
Elementarne	—	1.	—	1.
Razem	9.	1.	8.	1.
	10.		9.	

	oryg.	tłum.	Aut.	Tłum.
8.) W Tarnowie:				
Pedagogika	1.	—	1.	—
Okolicznościowe	4.	—	4.	—
9.) W Stanisławowie:				
Filozoficzne	1.	—	1.	—
Poezye	3.	—	2.	—
Razem	4.	—	3.	—
10.) W Bochni:				
Dzieła religijne	1.	—	1.	—
Geograficzne	1.	—	1.	—
Poezye	4.	—	2.	—
Mowa	1.	—	1.	—
Razem	7.	—	5.	—
11.) W Wadowicach:				
Literatura	1.	2.	1.	2.
Weterynarne	1.	—	1.	—
Razem	2.	2.	2.	2.
	4.			
12.) W Jaśle:				
Historyczne	1.	—	1.	—
13.) W Sanoku:				
Poezye	1.	—	—	(przedruk)
14.) W Cieszynie:				
Kalendarz	1.	—	—	—
15.) W Czerniowcach:				
Ekonomiczne	1.	—	1.	—
16.) W Poznaniu:				
Dzieła religijne	4.	4.	4.	4.
Filozoficzne	3.	2.	3.	2.
Ekonomiczne i gospodarcze	2.	—	2.	—
Filologiczne	2.	—	1.	—
Prawnicze	2.	—	2.	—
Matematyczne	1.	—	1.	—
Medyczne	1.	—	1.	—
Poezye	4.	—	4.	—
Powieści i dramata	12.	3.	10.	2.
Historya	8.	1.	8.	1.
Książki elementarne i dla młodego wieku	8.	—	7.	—
Broszury polemiczne	6.	—	6.	—
Kalendarze	3.	—	—	—
Razem	56.	10.	49.	9.
	66.			

17.) W Toruniu:

	oryg.	tłum.	Aut.	Tłum.
Pedagogiczne	1.	—	1.	—
Sennik	1.	—	1.	—
Kalendarz	1.	—	1.	—

18.) W Bydgoszczy:

Kalendarz	1.	—	—	—

19.) W Niemiec. Piekarach:

Kalendarz	1.	—	1.	—

20.) W Pelplinie:

Dzieł religijnych	5.	—	4.	—

21.) W Gnieźnie:

Dzieł religijnych	1.	—	1.	—
Matematycznych	—	1.	—	1.
Kalendarz	1.	—	1.	—

22.) Śremie:

Matematyczne	1.	—	1.	—
Rocznik	1.	—	1.	—

23.) W Grodzisku:

Dzieło religijne	1.	—	1.	—

24.) W Chełmnie: Czasopismo.

25.) W Katowicach: Czasopismo.

26.) W Królewskiej Hucie: Czasopismo.

27.) W Lipsku:

Dzieło religijne	1.	—	1.	—
Literatura	5.	—	5.	—
Książki elementarne dla młodego wieku	—	6.	—	—
Razem	6.	6.	6.	—
	12.			

28.) W Paryżu:

Dzieła historyczne	4.	1.	3.	1.
Literatura	3.	—	2.	—
Matematyka	1.	—	1.	—
Odezwa	1.	—	1.	—
Razem	9.	1.	7.	1.
	10.			

29.) W Wiedniu:

Dzieła religijne	3.	—	3.	—
Dzieła elementarne	4.	—	4.	—
Razem	7.	—	7.	—

30.) W Dreźnie:

Pamiętniki	oryg.	3.	tłum. —	Aut.	2.	Tłum. —	
Archeologiczno-etnograficzne		1.	—		1.	—	
Razem		4.	—		3.	—	

31.) W Berlinie:

Dzieło filozoficzne	1.	—	1.	—

Widzimy więc, że literatura nadobna wszędzie górowała; następnie w Warszawie przemagającą jest liczba dzieł prawnych, ekonomicznych i gospodarczych; we Lwowie znaczna liczba dzieł historycznych, ale najwięcéj broszur polemicznych; w Krakowie dzieł historycznych, religijnych, polemicznych broszur; w Poznaniu również historycznych. Pod względem nauk przyrodzonych pierwszeństwo trzyma Kraków.

Liczbę pracujących wykazaliśmy 803, z tych tylko 74 tłumaczów. — Liczba pracowników na polu naukowem i literackiem niezawodnie jest daleko większą — bo każdy dziennik ma kilku i kilkunastu kollaboratorów, oprócz stałych pracowników, których liczbę na każdy dziennik podaliśmy tylko 4. — Co do dzieł rymowanych mamy 32, belletrystów 76; ale pocieszającą jest rzeczą, że następnie największa liczba, bo 55, poświęcających się historyi i ją posiłkującym naukom. Autorów rozmaitych broszur, we Lwowie i Krakowie, aż 42. Najsłabiej są reprezentowane działy nauk filologicznych i matematycznych.

CZASOPISMA POLSKIE
wydawane w roku 1871.

W Warszawie.

Pisma miesięczne:

1. Biblioteka Warszawska. 2. Muzeum sztuki europejskiéj. 3. Przegląd sądowy.

Zeszytowe w nieokreślonych terminach:

4. Ekonomista.

Dwutygodniowe: 5. Kronika rodzinna.

Tygodniowe:

6. Przegląd katolicki. 7. Przegląd tygodniowy. 8. Korespondent Rolniczy. 9. Merkury. 10. Gazeta lekarska. 11. Gazeta handlowa. 12. Tygodnik romansów i powieści. 13. Izraelita.

Tygodniowe illustrowane:

14. Tygodnik illustrowany. 15. Kłosy. 16. Bluszcz (dla kobiet). 17. Opiekun domowy. 18. Przyjaciel dzieci. 19. Kuryer świąteczny. 20. Gazeta rolnicza. 21. Wędrowiec. 22. Zorza. 23. Tygodnik mód. 24. Kolce (humorystyczne). 25. Mucha (humorystyczne).

Codzienne:

26. Dziennik Warszawski. 27. Gazeta Warszawska. 28. Gazeta polska. 29. Gazeta policyjna. 30. Kuryer codzienny. 31. Kuryer Warszawski

W Kaliszu: Kaliszanin.

W Kielcach: Gazeta kielecka.

W Lublinie: Kuryer Lubelski.

W Łodzi: Gazeta Łodźka.

We Lwowie:

1. Dziennik Polski. 2. Gazeta Narodowa. 3. Gazeta Lwowska. 4. Słowianin (dwutygodniowy). 5. Gazeta miejska.

Pisma literackie:

6. Przyjaciel domowy. 7. Strzecha (czterotygodniowe illustrowane). 8. Przegląd Lwowski (miesięczne). 9. Kurjer Teatralny (wychodzi w dnie przedstawień polskich).

Pismo humorystyczne: 10. Szczutek.

Pismo dla dzieci: 11. Opiekun naszych dzieci.

Pismo dla ludu: 12. Dzwonek. 13. Tygodnik Niedzielny. 14. Chata.

Pisma specyalne:

15. Prawnik. 16. Rękodzielnik (dwutygodniowe). 17. Rolnik (miesięczne illustrowane). 18. Przyrodnik (kwartalne). 19. Szkoła (tygodniowe). 20. Biblioteka stenograficzna. 21. Stenograf. [1])

W Krakowie.

1. Rocznik Tow. Nauk Krakowskiego.

Miesięczne:

2. Przegląd Polski. 3. Przewodnik ekonomiczny. 4. Warownia krzyża.

Dwutygodniowe:

5. Włościanin. 6. Zagroda. 7. Djabeł (humorystyczne). 8. Coś (humorystyczne).

Codzienne:

9. Czas. 10. Kraj. 11. Afisz teatralny (z działem literackim).

W Cieszynie. Gwiazdka Cieszyńska.

W Poznaniu.

1. Rocznik sceny polskiej w W. X. Pozn. 2. Rocznik Towarzystwa Przyjaciół nauk. 3. Dziennik Poznański (codzienne). 4. Orędownik (3 razy na tydzień). 5. Sobótka (tygodniowe illustrowane). 6. Tygodnik katolicki. 7. Tygodnik Wielkopolski. 8. Ziemianin (tygodniowe).

W Chełmnie. 1. Przyjaciel dzieci i młodzieży. 2. Przyjaciel ludu.

W Toruniu. Gazeta Toruńska (codzienna).

W Królewskiej Hucie. Katolik.

W Katowicach. Prawda (tygodniowe).

W Niemieckich Piekarach. Zwiastun Górno-Szląski.

W Dreźnie. Tydzień.

---

[1]) **Pisma ruskie we Lwowie.**

1. Hospodar. 2. Uczytiel. 3. Slowo. 4. Osnowa. 5. Łastiwka. 6. Sion.

DZIEŁA
wydane po polsku w r. 1871:

Warszawa.

Anczyc Wł. L. Pierwsza książeczka dla dziatek, które już elementarz skończyły, z wielu drzewor.

Bałucki Michał. Żydówka, powieść z ostatnich lat., str. 291.

Baudon Adolf. Rozmyślania praktyczne na miesiąc świętego Józefa. Dzieło zatwierdzone przez I. E. Kardynała Morlota, arcybiskupa paryskiego. Z 5go wydania francuskiego, przełożył I. Ł. str. 262.

Biblioteka Ordynacyi Krasińskich. Rok 1871. Akta podkanclerskie Franciszka Krasińskiego 1569—1573. Wyd. Wł. Hr. Krasiński, objaśnił przypiskami Wł. Chomętowski. Cz. IIIcia, str. 4. 503. XXV i 33.

Beneden Van P. J. Anatomija porównawcza; przełożył z fran. Zygmunt Zanożyński. Poszyt I, II. str. 1—80.

Boduszyński Stanisław. O zabójstwie ze stanowiska Teoryi i Prawodawstw obowiązujących, str. 260 (II).

Bogucki Adolf. Krótki podręczny regulamin hodowli jedwabników. Na arkuszu z kol. ryc.

— Jedwabnictwo nasze i obce. Dwa odczyty na rzecz Tow. Dobroczynności. str. 61.

Born I. F. Eugenia czyli tajemnice zamku Tuileries.

— Tajemnice stolicy świata cz. grzesznica i pokutnica. Romans, przekład z niem.

Brühl Rob. Tablica nawozów sposobem graficznym ułożona, wykazująca ile rośliny powszechnie uprawiane wyczerpują z gruntu części mineralnych i jak ubytek ten dla utrzymania równowagi zastąpić sztucznemi nawozami, podług niem. wydania Dr. G. Heppe, obliczono na miarę i wagę krajową, str. 16 i tabl.

Byron Lord. Sardanapal; tragedya, przekład Fryd. Krauzego. Wyd. Red. Bib. War., str. 132.

Chevalier Michał. Wpływ swobód ekonomicznych na postęp społeczeństwa, przełożył z franc. St. Czarnowski. Wyd. 2gie, str. 24.

Cicero, M. T. Sen Scypiona. (Somnium Scipionis), z łacińskiego przełożył i uwagami objaśnił, oraz poglądem historycznym na rozwój filozofii rzymskiej uzupełnił Hen. Sadowski, str. 72.

Cichowski Roman. Opis pługów i narzędzi rolniczych, wedle własnego pomysłu wykonanych, wraz ze sposobem ich użycia, str. 24.

Ćwierczakiewicz Łuc. Jedyne praktyczne przepisy wszelkich zapasów spiżarnianych oraz pieczenia ciast. Wyd. 6te, przejrzane i pomnożone, str. V i 179.

— O gospodarstwie domowém. Odczyt I, miany w Zakładzie nauk, sztuk i rękodzieł dla kobiét. str. 24.

Ćwierczakiewicz Łuc. 365 obiadów za 5 złotych, przez autorkę jedynych praktycznych przepisów z dodatkiem 120 obiadów postnych bez ryb. Wyd. 8me poprawne i powiększone, str. LXI i 312.

Dąbrowski Ludwik. Kwestja gorzelnicza, ze względu na nową ustawę, która od 1 Lipca 1872 r. wejdzie w wykonanie, z wykazaniem rachunkowym wpływu gorzelnictwa na podniesienie bez pomocy kapitału, zaniedbanego gospodarstwa bezłąkowego.

Dickens i Collins. Bez wyjścia. Powieść, przełożył z angielskiego Stanisław Boduszyński, str. 135.

Dmochowski, F. S. O życiu i pismach Kazim. Brodzińskiego. str. 44.

Dobrski, K.. Dopełnienie do przekładu siódmego wyd. Patologii i terapii szczegółowej Dra. T. Niemeyr'a według 8go wyd. oryginału niem. z r. 1871., str. 29 i II.

Dobrzański, Mirosław. Wstępne akordy, str. 84.

Drewnowski Fran. Pogląd na przemysł browarny w Królestwie Polskiém ze stanowiska ziemiańskiego i rolniczo-fabrycznego, str. II i 89.

Dumas, Aleksander syn. Antonina, przełożył St. B...a, poszyt 1—5.

Dzieje inkwizycyi hiszpańskiéj. Tłómaczenie z francuskiego, str. 281 i III.

Dierżanowski, Wiktor. Przewodnik Warszawski informacyjno-adresowy na rok 1871. Rok 3ci str. 4, niel. 184, 142 i 60 ogłoszeń.

Emerson, R. W. Przedstawiciele ludzkości, tłumaczył Józef Siell.... Zeszyt I, str. 80.

Emmens, Edw. Najnowsze wychowanie, cel jego i warunki, zbiór odczytów professorów angielskich: Tyndalla. Henfry, Pedgeta, Emmens'a, Massona, Faraday'a, na obronę wychowania naukowego, przełożył I. R., str. 198 i II.

Fabian, Alex. Farmacya. Przekład dzieła Prof. Dr. Adolfa Duflos'a. Tomu 1go cz. IIga, str. 321—480, z 20 drzeworytami.

Felicyan, Odgłosy z gór. Poezye, str. 88.

Figuier Ludwik. Historya Roślin. Dzieło ozdobione 415 wizerunkami z natury wykonanemi, z franc. przełoż., objaśnił i licznemi dodatkami powiększył, autor Flory Polskiej (Jakób Waga) T. I. str. XXIII, 322, spis przedm. XIV, (I.) T. II, str. 742. XL. (I). T. III, 2 kartki tyt. niel., str. 258. LXXIII. 10. (I).

Fizyologia. Przekład dzieła F. C. Donders'a: „Physiologie des Menschen." Cz. I. „Die Ernährung" p. A. Fabiana i A. Stockmana. Uzupełniony p. prof. Dr. H. Hoyer'a. Tomu Igo zeszyt Iszy (z 50 drzeworytami w tekscie). str. 160.

Galen, Filip. Czarodziejka z Argentières. Powieść, przełożył z niem. Edward Sulicki, str. 288.

Gembarzewski, Kazimierz. O pokucie kościelnéj w prawie karném. str. 24.

Fredro, Alexander hr., Komedye. Wyd. 4te, z portretem autora. T. I, str. XVIII i 282; t. II, str. 274; t. III, str.

Gerwinus, Szekspir, przekład Wandy Grabowskiéj. (Oddruk z Biblioteki Warsz.), str. 86.

Gimnastyka racyonalna, jako część dyetetyki ze stanowiska lekarskiego historyczno-krytycznie i praktycznie opracowana przez autora Dyetetyki dzieci. Z 96 w tekscie umieszczonemi drzeworytami. Część I, str. VIII, 174 i rejestr. Część II, str. 116 i rejestr.

Haffner. Kąpiel z krwi. Zeszyt 1szy.

— Materyalizm nowoczesny. Z oryginału niem. przełożył Wł. M., str. 92.

Heinrich Dr. Alex. Historya medycyny. Przekład dzieła Dr. Haesera: „Lehrbuch der Geschichte der Medizin" 1867: Tomu 1go zeszyt 1szy, str. 1—160.

Heurich, Jan. Przewodnik dla cieśli, obejmujący cały zakres ciesielstwa, z 299 drzewor. w tekscie, podług najlepszych dzieł obcych, z zastosowaniem się do potrzeb i zwyczajów krajowych, str. VII, 278 i III.

Heylman, Aug. Zbiór rozpraw jurysprudencyjnych, poszyt II, str. 156 i VIII.

Historya cudownych podróży pewnego Araba. Wyjątek z Tysiąca i jednéj nocy, str. 112.

Hoffmann. Zagrzebani w śniegu, powiastka. Przekład przez St. M. Rzętkowskiego, z rycinami, str. 156.

Jachowicz, S. Bajki i powiastki. Wyd. 8me, 3 tomy. T. Iszy, str. 138 i VI; IIgi, str. 197 i XVII; IIIci, str. 216 i XXIX.

Jagielski Dr. Wiktor. Kumys i jego użycie w medycynie, tłum. z angiel. Dr. Jan Kwaśnicki, str. 51.

Jastrzębowski, Wojciech. Klucz do układu przyrodzonego roślin rosnących na przestrzeni ziemi rozciągającéj się między Karpatami i morzem Baltyckiém. Ułożony na wzór klucza La Marka i De Candolla, str. 49.

— Ostatni owoc siedmdziesięcioletniéj pracy. Tom 1 i 2.

Józef z Mazowsza. Kobiety i mężczyźni, powieść, str. 534.

Izdebska, Wł. Wianek. Dziełko poświęcone dorastającéj młodzieży, zawierające: powieści, obrazki wierszem i prozą, komedyjki, opowiadania i wspomnienia historyczne, z rycinami, str. 253.

Kalendarz ludowy z obrazkami (Redakcyi Zorzy) na r. 1872.

Kalendarz handlowy na r. 1871, wydany staraniem i nakładem Redakcyi Gazety handlowéj. Rok 3ci.

Kalendarz lekarski na rok 1871. Wyd. Red. „Gazety lekarskiéj." Rok 2gi, str. XXIV, 212,10.

Kalendarz rolniczy, wydany staraniem Adama Mieczyńskiego na rok zwyczajny 1871, (z 20 drzew. w tekscie) 2 tomy. Cz. I notatki. Cz. II, str. 221 i XLIII.

Kalendarz illustrowany Jana Jaworskiego, na rok przestępny 1872.

Kalendarz rodzinny, na rok 1872.

Karłowicz, Dr. Jan. Poradnik dla zbierających rzeczy ludowe, str. 13.

Karpiński, Józef. Pytania prawne przez dziewiąty Departament Rządzącego Senatu w roku 1869 roztrzygnięte, w Sprawozdaniu z czynności IX Departamentu w T. VII, zeszycie II. Przeglądu Sądowego zamieszczonem, str. 31.

Karwacki Dr. Alex. Ogrodnictwo warzywne, drzew owocowych i krzewów jagodowych, oraz użyteczność tychże, str. 220.

Kempis, Tomasz. O naśladowaniu Jezusa Chrystusa, ksiąg czworo, według tłomaczenia X. A. J., str. 590.

Klin. Horacego pieśni miłosne, str. IV, 12.

Kochanki Augusta II, króla polskiego, zwanego: „Mocny," spolszczył M. J., str. 106.

Kondratowicz Ludwik. Poezye. (Syrokomla Władysław) Tom I, II, III, IV.

Kosa, kartki humorystyczno-satyryczne, pod redakcyą i nakładem M. Dzikowskiego, str. 36.

Kraszewski I. J. Dzieci wieku, powieść, 2 tomy. T. I, str. 334, T. II, str. 292.

— Mogilna, obrazek współczesny. Nakład księg. Mich. Glücksberga.

Książeczki dla dzieci, in 4-to. Z efektowemi kolorowemi rycinami: 1. Trzy kotki. 2. Ryszard Whittington i jego kot. 3. Krasnogłówka (baśń). 4. Zabawka moralna z 24 rycinami.

Książka do modlitwy dla dzieci rzymsko-katolickich. Wyd. 3cie poprawne i pomnożone, str. 249 i V.

Laforet, Dr. Dzieje filozofii starożytnéj. Z oryg. franc. przełożył Dr. Wł. Miłkowski. T. I, zeszyt 1 i 2, str. 1—160.

Lemonnier, Kam. Sedan, tłumaczył Filip Sulimierski, str. 186.

Leske, Marya. Mała krawcowa dla lalek, str. 6, z tabl.

Levittoux, Dr. H. O Newralgiach i sposobie ich leczenia.

Liza. Powieść z angielskiego, str. 45. Nakł. księg. Mich. Glücksberga.

Lubowski, Edward. Aktorka, powieść, str. 427.

Maciejowski, W. A. Przegląd najnowszych prawodawstw Słowian, w kilku odrębnych artykułach przedstawiony. Artykuł 1szy zawiera: Przegląd historyczno-krytyczny prawa cywilnego ruskiego dziś obowiązującego, z uwzględnieniem tak nazwanych Dygestów ruskich, str. VII i 162.

Marrené Walerja. (Morzkowska), Bożek Miljon. Powieść.

Mayne Reid. Na spodzie okrętu, cz. Podróż młodego marynarza wśród ciemności. Ozdob. 12ma drzew. z chromolit., tłum. Jan Chęciński.

Mayzel, Dr. Wacław. Anatomia praktyczna. Przekład dzieła Prof. Dr. Budge'go: „Anleitung zu den Präparirübungen." (z drzeworytami w tekscie.), str. VIII, 462 i II.

Miklaszewski, Walenty. Kilka słów o wykonaniu kary, str. 44.

— O pozbawieniu wolności obwinionych o spełnienie przestępstwa, str. 23.

Módlmy się, czyli zbiór krótkiego nabożeństwa na wszystkie większe uroczystości. Z rycinami kolor. Wyd. 4te, przejrzane i powiększone. Osobne wydanie dla mężczyzn i kobiet, str. 480.

Moniuszko, Stan. Pamiętnik do nauki harmonii, str. 88.

Mostowski, Adolf. Komedye oryginalne wierszem, str. 195.

Nabożeństwo na wielki post, zawierające: Drogę krzyżową, Gorzkie żale, oraz pieśni i litanią o męce Jezusa Chrystusa, str. 96.

Najpiękniejsze powieści z 1001 nocy, podług A. L. Grimma.

Nowosielski, T. Skarbonka umysłowa dla grzecznych dzieci, zawierająca: bajeczki, powiastki, nauczki i rozmaite wierszyki, str. 142 i II.

Ochorowicz, Jul. Psychologiczne pytania XIX w. III. O wolności woli, str. 140 i 3 niel.

Orzeszkowa, Eliza. Cnotliwi, powieść, str. 407.

Orzeszkowa Eliza. Pamiętnik Wacławy. Ze wspomień młodej panny, ułożony w formie powieści. 2 tomy w 4ch częściach.

Ostroga. Kartki humorystyczno-satyryczne, str. 44.

Ostrowski, Edward. Weterynarya gospodarcza. Nauka leczenia zwierząt domowych, wykładana w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie, str. 176 i V.

Pamiętnik Teatrów Warszawskich za rok 1870. Rok 1szy. Wyd. Stan. Goślicki, str. 179, III i 2 rozkłady miejsc.

Petoefie, Janosz Witeż. Przekład z oryginału madziarskiego przez Sewerynę z Żochowskich D., str. 40.

Papłoński, Jan. Zasady wychowania domowego, odczyt publiczny. Wyd. 2gie, str. 19.

Pląskowski, Dr. Kazuistyka psychiatryczna. Utopienie dziecka w szale pijackim przelotnym (Delirium furibundum) z chwilową utratą samowiedzy. Dochodzenie sądowo-lekarskie o wątpliwym stanie umysłu, w sprawie Jana S. obwinionego o utopienie 4ro-letniéj swéj córki. (Odbitka z Gazety lekarskiéj.)

— Kazuistyka psychiatryczna. Zabójstwo własnego dziecka przez uduszenie, czy było rozmyślne, czy w obłąkaniu spełnione? Dochodzenie sądowo-lekarskie w sprawie przeciwko Franciszce K. o dzieciobójstwo obwinionéj. (Odbitka z gazety lekarskiéj.), str. 11.

Prażmowska, Ter. Nie w porę, powieść, str. 160.

Przyborowski, Walery. Życie za marzenie. Romans, str. 132.

Przyrębel, Bron. Pogląd na kwestyę ludowéj oświaty, odbitka z Ekonomisty, str. 68.

Quain-Hoffmann. Anatomia opisana ciała ludzkiego. Przetł. Kaź. Gurbski. Tom 1szy, zeszyt IIgi, (z 81 drzew. w tekscie.) str. 161—320.

Rakowski, ks. Fr. Nauka chrześciańska z dzieł ks. Leonharda niegdyś biskupa Pelteńskiego nowo zebrana i ułożona. Cz. Isza. O wierze, str. 106.

— Dopełnienie katechetycznego wykładu nauki religii dla młodzieży wyznania rzymsko-katolickiego, str. 29.

Ramoszyński, Jan. Zasady pszczolnictwa, obejmujące w sobie naukę o życiu pszczoły, ulu ramowym i jego częściach, przepisy prowadzenia pasieki rojnéj i miodowéj, o chorobach pszczół i inne ogólne wiadomości dla pszczolarzy potrzebne, str. 240 i XII.

Robinzon Szwajcarski, z ostatniego wydania francuskiego, przerobionego przez P. J. Stahl'a, przełożył Jan Chęciński, z 12ma rycinami, str. 480.

Rocznik sądowy na rok 1871, str. XIV i 264.

Rodziszewski, T. Zabawka moralna. Wierszyki w obrazkach napisane dla dzieci.

Rogalski, Leon. Historya literatury polskiéj, 2 tomy. I, str. 2 niel. i 596. II, str. 814 i 41 Skorowidza.

Rosenberg-Lipiński. O uprawie roli. Wyd. 2gie.

Roszkowski Gustaw. O poselstwach dyplomatycznych i konsulatach.

— O stanowisku szkoły historycznéj w nauce prawa.

Rudnicki, Dr. Wład. Suchoty płucne i gruźlica, z odczytów klinicznych Prof. Oppolzer'a tłum., str. 72.

Rzążewski, Adam. Studya nad literaturą polską XVIIgo i XVIIIgo wieku, do czasów panowania St. Augusta. I. Hyeronim Wespazyjan Nieczuja z Kochowa Kochowski, str. 3 niel. i 148.

Sarcey. Oblężenie Paryża. Podług ósméj edycyi francuskiéj przełożył Filip Sulimierski, str. 407.

Sawicz-Zabłocki, Wojn. Kaz. Prawdopodobna historya. Poemat. Dwuwiersze i ucinki, str. II i 114.

Segur. Uczta święta, o częstéj Komunii, przekład z francuskiego, str. 72.

Sęk, Teodor. Bitwa poemat, str. 47.

Słowacki, Jul. Jan Bielecki, powieść oparta na podaniu historyczném, str. 32.

— Marya Stuart, dramat historyczny w 5ciu aktach, str. 104.

— Mazepa, tragedya w 5ciu aktach, str. 100.

Sommer, Dr. Fel. Nauka o chorobach dzieci (Pediatrya). Podług dzieła Vogel'a: „Lehrbuch der Kinderkrankheiten“ opracowana. T. 1szy, zeszyt 1szy, (z 31 drzew. w tekscie.) str. 1—320.

Strassle. Historja Naturalna, krótko zebrana. Wyd. 2gie. Z 10 tabl.

Struve, Prof. Dr. Henryk. O teatrze i jego znaczeniu dla życia społecznego. Wykład publiczny czytany w sali ratusza w Warszawie, dnia 13 marca 1871 r., str. 18.

Suchodolski, Ludwik i Jan Pietraszka. Przewodnik praktyczny dla ziemian posiadających machiny i narzędzia rolnicze. Dr. A. Przybylskiego str. 43.

Świeżawski, E. Zarysy badań krytycznych nad dziejami, historyografią i mitologią od wieku XV; zeszyt 1 i 2. W druk. Czerwińskiego i Spółki. str. 142.

Szekspir, W. Tymon z Aten. Tragedya w 5ciu aktach, przekład Edwarda Lubowskiego, str. III i 79.

Taczanowski, Dr. Bron. Laryngoskopia i Rynoskopia, z 23ma drzeworytami w tekscie, str. II i 119.

Turgieniew, Jan. Dym. powieść, str. 249.

— Ojcowie i dzieci, powieść z r. 1861, str. 276.

Tyszyński, Alex. Dwie Świtezianki, czyli rzut oka na ostatni okres poezyi polskiéj, str. 30.

Ułanecki, ks. Stanisław. Najświętsza Panna w Lourdes od r. 1858 łaskami słynąca. Z franc. treściwie zebrał. str. 256.

Walewski, Juliusz. O stosunku prawnym wyłączności majątkowéj między małżonkami, według kodeksu cywilnego polskiego (art. 191—206). str. 96.

Wejnert. Alex. Zabytki dawnych urządzeń sądowych miasta Warszawy, część 3cia, przedruk z Przeglądu Sądowego, str. 76.

Weitzenblut. Leopold. Szkic higieniczny. Mężatka i matka czyli przepisy zachowania się dla kobiet w stanie brzemiennym, oraz pielęgnowania dzieci nowonarodzonych, str. 75.

Wieczory czwartkowe. Opowiadania o cudach przyrody i znakomitszych odkryciach naukowych, młodocianemu wiekowi poświęcone p. starego przyjaciela dzieci. Z 30tu drzew. str. 448 i rejestr.

Wielbij duszo moja Pana. Książka do Nabożeństwa i pobożnego rozmyślania, ułożona przez ks. Prokopa kapucyna.

Virchow, Rudolf. Ludzka i małpia czaszka, odczyt, przełożył Bolesław L., str. 26.

Witkowski, Dr. Stanisław. Badanie i semiotyka moczu (Uroscopia). Przekład dzieł C. Neubauera i I. Vogla: „Anleitung zur qualitativen u. quantitativen Analyse des Harns". Wiesbaden, 1867. Wyd. 5te z 31 drzew. w tekscie i 4 tab., str. VI i 375.

Zacharjasiewicz Jan. Człowiek bez jutra, powieść, 2 tomy.

Zanożyński, Zygmunt. Projekta ulepszeń i wynalazków w mechanice, technice, fizyce i chemii. Zeszyt I. Perpetuum mobile, Lokomotywy bez tłoków, kierunek balonów, str. 16.

Zbigniew (pani Sadowska). Niecnota, powieść. W druku Józefa Sikorskiego.

Zdanowicz, Alex. Historya powszechna dla młodzieży ułożona. Dzieje starożytne od najdawniejszych czasów do upadku zachodniego państwa rzymskiego; wyd. 2gie, przejrzał i uzupełnił Wojciech Grochowski, str. II i 501.

Zientarski, Rom. Śpiewnik kościelny (Cantionale ecclesiasticum), obejmujący pieśni, hymny, antyfony, nieszpory, etc. str. 199 i 2 rejestr.

Zimmermann, Dr. W. F. A. Dziwy Świata pierwotnego czyli kolebka wszechświata, przełożył z 23go wyd. oryginalnego, T. Dziekoński. Z 268 drzew. Wyd. 2gie. Poszyt 1—8, str. 1—256.

Złoty ołtarzyk dla małych dziatek.

Kalisz.

Hugo, Wiktor. Han z Islandyi, powieść w 3ch tomach, przełożył z fran. Jan Tański, 16;, t. I, str. 167, II, str. 184, str. 175.

Piotrków.

Rocznik na rok zwyczajny 1871, wydany przez A. Porębskiego i K. Filipowskiego, rok I, 8o, str. 145.

Wilno.

Buszyński Ignacy. Dubissa, główna rzeka w dawném księstwie Żmujdzkiém, dziś w gubernii Kowieńskiej. Z mappą téj rzeki 8o, str. 59.

Ogród różany, w którym zawiera się duch nabożeństwa i religii ku pożytkowi duchownemu wszystkim pobożnym katolikom służący, p. ś.p. X. Jakóba Falkowskiego ułożony. Wyd. nowe popraw. i pomnożone 8o, str. XXIV i 671. Dr. I. Zawadzkiego.

Rok kościelny, czyli książka domowa katolików. Zawierająca: 1) Nauki o przedmiocie, celu i główniejszych obrzędach przedniejszych uroczystości kościelnych. 2) Ewangelie i Lekcye, poprzedzone krótkiém ich objaśnieniem, na niedziele i święta całego roku. 3) Dr. I. Zawadzkiego, prosty wykład nauki chrześciańskiej rzymsko-katolickiego kościoła przez X. S. K. 2 tomy 8o. T. I, str. 320; II, str. 396. 1870 (recte 1871).

Słownik Obrzędowy ułożony podług najlepszych źródeł przez X. S. S. D. 12o, str. 293. Dr. I. Zawadzkiego.

Wywód Prawdy Chrześciańskiej ze stanowiska Filozofii, Dogmatu i Historyi. Z franc. dzieła Aug. Nicolasa wyd. pod tyt.: Badania Filozoficzne

o Chrystyanizmie, przełoż. E. Tomasz Massalski. 8o. T. I, str. 410. T. II, str. 424. 1870. (wyszło w 1871.) Dr. I. Zawadzkiego.

Lwów.

Bankructwo naszych firm politycznych. Przez N. O. str. 16.
Biblioteka narodowa: V. Bałucki. Życie wśród Ruin. VI i VII. Giller. Z wygnania. 2 tomy. VIII i IX. Kaczkowski, Z. Żydowscy. 2 tomy.

Biblioteka najciekawszych Powieści i Romansów:

Tom XIII, XIV, XV. Massimo d' Azeglio, Nicolò dé Lapi przełożył z włosk. Ajo. tom I str. 199, tom II str. 191, tom III str. 183.
Tom XVI. M. W. Hohola, Powieści mniejsze z rossyjskiego, str. 180.
Tom XVII, XVIII Opactwo Carrów. Z angielsk. część pierw: Zamek Carrów str. 275, część druga Kwiat Aloesu str. 242.
Tom XIX. Pablo de los Rios, Juan. Dygnitarze, oryginalny romans meksykański, z hiszpańskiego przełożył S. W.; przytém: Caballero Fernan: Łukasz Garcia, Paz i Luz, powieści andaluzyjskie, str. 221.
Tom. XX. Kraszewski, J. I. Piękna Pani. Powieść-studyum, str. 147.
Tom XXI. Collins, Wilkie. O zmroku. Przekład z angiel. przez A. D.....ę, str. 324
Tom XXII. Goeransson, Kiellmann. Synowie Barona cz. anioł z ulicy Westerlang. Z szwedzkiego przełożył B. Sz., str. 216.
Tom XXIII. Kraszewski, J. I. Na cmentarzu, na wulkanie. Powieść współczesna, str. 218.
Tom XXIV. Żona męża próżnego, przez Zofię Maryą Schwartz ze szwedzk. przełożył B. Sz., str. 208.
Tom XXV i XXVI. Gaboriau, Emil. Akta kryminalne podl. 112. Powieść z frac. 2 tomy. I, str., II, str. 252.
Tom XXVII. Bersezio, Wiktor. Rina według współczesnego romansu włoskiego Wikt. Bersezio napisał Ajo, str. 239.

Biblioteka teatralna Lwowska:

Zeszyt VII. Radcy pana Radcy, komedya w 3ch aktach p. Bałuckiego, str. 125.
Zeszyt VIII. Po wystawie paryskiéj. Fraszka dramatyczna w 1 akcie przez Aurelego Urbańskiego, str. 54.
Zeszyt IX. Zawierucha. Komedya w 1 akcie oryginalnie napisana p. Władysława Hr. Koziebrodzkiego, str. 80.

Bielski, Józef. Lekarz i chory, studyum, str. 29.
— Homeopatya dzisiejsza, str. 42 i 2 niel.
Bluszcz. Kalendarzyk damski na rok przestępny 1872. str. 93 i 35.
Bławatek. Kalendarzyk damski na r. 1871. Rok II. str. 144.
Bolesławita, B. Czarna perełka. Powieść, str. 259.

Brodziński, Kaź. Wiesław, sielanka; i Zieliński Gustaw: Kirgiz, powieść. 16a, str. 78.
Biblia Królowéj Zofii Żony Jagiełły, z kodeksu Szaroszpatackiego nakładem księcia Jerzego Henryka Lubomirskiego wydana przez Ant. Małeckiego, str. L. 349. 1. Z podobiznami.
Borejko, M., i Ta. Cza., Sekretarz i Adwokat domowy, str. 1—192.
Borkowski L. D. Mowa sejmowa posła Samborskiego, str. 15.
Borkowski, Witold. Stosunki rodzinne, dramat w 5ciu aktach.
Bosko, nowy czarnoksiężnik, bez aparatów, uzupełniony i powiększony i t. d., str. 64.
Buława, Ernest. Izaak. Mysterium z dziejów biblijnych. str. 40.
Chlebowski, Stan. Odpowiedź panu Dr. Wojciechowi Urbańskiemu na jego recenzyę Fizyki Stan. Chlebowskiego.
Chotomski, Wład. hr. Powitanie Wielkopolan, Szlązaków i Krakowian w gościnę przybyłych do Lwowa dnia 13. Sierpnia 1871 r., str. 7.
Czartoryski, Jerzy ks. Uwagi o polityce polskiéj w Austryi, str. 61 i 1.
Dębicki, Z. Ludwik. Europa w chwili pogromu, str. 36.
Dobieszewska, Józefa z Szmigielskich. Odczyty publiczne w sali ratuszowéj miasta stołecznego Lwowa, miane na wezwanie sekcyi Lwowskiéj Tow. pedagogicznego galicyjskiego. Wychowanie kobiét w obec dzisiejszych dążeń społecznych, str. 173.
Dobieszewski, Dr. Zygmunt. Stan szpitali powszechnych w Galicyi w r. 1871. Sprawozdanie, str. III i 131.
Dwie Zosie. Obrazek z czasów spółczesnych w 3ch aktach, p. W. W. str. 78.
Fabian, Dr. Oskar. O zbieżności i rozbieżności szeregów nieskończonych, str. 18.
Feydeau, E., Hrabina Chalis. Powieść z franc. p. W. G. 1872., str 199.
Francya i Polska i przyczyny ich upadku przez E. F. str. 15.
Gente Ruthenus, natione Polonus. Podstawa do zgody w narodzie, str. 50.
Gergowicz, Edmund Saturnin. Mitologia słowiańska w zarysie, 1872. Nakładem ks. Tomasza Świecha.
Głos starego Kołtuna w sprawie Bezburmistrzowia Lwowskiego roku zbawienia 1871, str. 7.
Haeckel, Dr. Ernest. Dzieje utworzenia przyrody, tłum. z 2. wyd. niem. p. Jana Czarneckiego i L. Masłowskiego. T. I. str. XV i 216. T. II. str. 319.
Haliczanin. Kalendarz powsz. zastos. do potrzeb wszystkich mieszkańców Galicyi i Chochlika noworocznik humoryst.-satyr. na r. 1871. Rocznik XIX., str. 104.
Haliczanin, nowy, Kalendarz powszechny na r. 1872. str. 96.
Hołowkiewcz, Emil. Las głównym czynnikiem dobrobytu narodowego i moralnego uszlachetnienia człowieka, str. 32.
Jasieński, Dr. Henr., Stoletnia dzierżawa, str. 45 i 1.
Jedność, Kalendarz powszechny na r. p. 1872, wyd. star. Towarz. wzajemnej pomocy oficyalistów prywatnych. Z drzew. str. 62.
Jeż, T. T., Opowiadanie Stasia. Powiastka. Wyd. „Mrówki.“ str. 173.
Kalendarz powieściowy na r. 1872. Rocznik I.

Kalendarz powszechny galicyjski gospod., domowy i sprawunkowy na rok 1872, str. 88.

Kalendarz ścienny na rok 1872. Plakat, u Winiarza.

Kalicki, B. Opowiadania z dziejów Polski. Cz. I. Epoka piastowska, str. 3. 258 i 2.

Kampania, ostatnia, delegacyi naszéj we Wiedniu i jéj rezultat, przez K. L. str. 15.

Katalog dubletów i nakładów Biblioteki zakładu narodowego Imienia Ossolińskich we Lwowie. str. 128

Kraszewskiego, I. J. Zbiór powieści. Treść: I—IV. Dwa światy. Powieść V. Chata za wsią, 1872. I, str. 142; II, 136; III, 160; IV, 160; V, 106.

Księża i Teologowie. Dziennika polskiego, st. 15.

Kto jest naszym wrogiem? przez G. H. str. 16.

Książka do czytania dla wyższych klas szkół elementarnych. Wyd. 3 popr. str. 176.

Kucharka polska. Zawierająca szkołę gotowania tanich, smacznych i zdrowych obiadów. Zebrane przez Florentynę i Wandę. Cz. II. Wyd. 2. str. 160.

Kwestya ruska. str. 96.

Liberalizm Wiédeński na Wszechnicy Krakowskiéj. Przez X. Z. G. str. 20.

Limanowski, Bolosł. O kwestyi robotniczéj, str. 29.

Lubieniecki, Julian. Dokładna praktyczna nauka dla pasieczników, 2gie wyd. popraw. i pomn. p. Konstantego Kluczenkę. T. 1szy, str. VIII i 301, 3niel. i XVIII Tabl. T. 2gi str. ...

Lwowianin, Kalendarz powszechny na rok 1872, str. 104.

Łoziński, Wład. Z estetyki i z życia. 8o maj. str. 216, z 2ma ryc.

Madejski, Edward. Plan i cel zakładu gimnastycznego, (t. z. organopatycznego) powstać mającego we Lwowie, str. 15.

Mieczkowski, Domicjan. Sielanki ziemianina polskiego. str. VII i 231.

Mocnik, Dr. Franc., Początki geometryi w połączeniu z rysunkiem dla użytku szkół niższych realnych i wyższych ludowych. Z 14. wyd. niem. na język polski przeł. Edm. Bączalski. Zeszyt I. str. 78.

Moderanci w obec kościoła, narodu i dziejowéj przeszłości p. X. Z. G. red. „Przeglądu Lwowskiego.“ str. 37.

Munk, M., Nauka języka polskiego dla szkół ludowych ułożona, str. VI i 165.

Myśli kilka o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych, przez A. D., str. III, 237 i 2 niel.

Narzymski, Józef. Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach. Obrazek sceniczny w 2 aktach, str. 72.

Noskowski, Władysław. Kultura lnu w Belgii, 1 kart. tyt., str. 74.

Nowakowski, Dr. F. O Przestankach między godzinami w szkole, str. 13.

— O Elementarzu komisyi edukacyjnéj z roku 1785. Odczyt na V walnem zgromadzeniu Tow. Pedagogiczn. we Lwowie dnia 18 Lipca 1871, str. 34.

Oczapowski, J. B. Opodatkowanie cudzodziemców w dopełnieniu i rozwinięciu §. 266, II tomu. Umiejętności skarbowéj Rau'a, str. 14.

Pamiątka 25-letniéj rocznicy, wstąpienia na Stolicę Apostolską Ojca św. Piusa IX. Dnia 6 Czerwca 1871; Wyd. X. Edward Podolski. Red. „Przeglądu Lwowskiego.“ str. 60.

Ploetz, K., Metoda najnowsza i najpraktyczniejsza nauczenia się języka francuzkiego i t. d. 1872. Cz. I. str. 96.

Pogląd na czasy i prace Grzegorza Piramowicza. Wykład ks. Romana z Pawłowic miany w Paryżu 3 lutego w 1870 r. str. 59.

Polacy w Wiedniu. Komedya parlamentarna w 5 odsłonach bez zakończenia p. C. D., str. 15.

Porządek jazdy osobowych i mieszanych pociągów na c. k. uprzyw. gal. kolei Karola Ludwika i c. k. uprzyw. Lwowsko-Czerniowiecko-Jasskiéj kolei, str. 16.

Projekt ustawy o księgach hipotecznych w Galicyi i W. ks. Krak, str. 26.

Projekt ustawy o sądach pokoju dla Królestw Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Ks. Krak., str. 21.

Przewodnik po mieście Lwowie. Z 7 litograf., str. 67.

Przypomnienie kilku poezyj, dawniéj powszechnie znanych, dziś rzadkich. 1872. Nakład i druk K. Pillera.

Rewolucya i reakcja cz. Paryż i Wersal p. J. I., str. 15.

Robertson, T., Kurs praktyczny, teoretyczny, analityczny języka francuzkiego, szereg lekcyi polsko-francuskich, bez pomocy nauczyciela, cz. 1sza, str. 370

Rozbitki. Przyczynek do historyi naszych stronnictw politycznych. Przez A. B., str. 15.

Rosenberg-Lipiński. Wykład teoryi uprawy ziemi. Wyd. 2gie pomnożone, z 4ma rycinami, str. 335.

Sawaszkiewicz, Leopold Lew. Porównanie wypraw na Moskwę Żółkiewskiego i Napoleona. Wyd. „Mrówki.“ str. 96.

Schneider, Antoni. Encyklopedyja do krajoznawstwa Galicyi pod względem historycznym, statystycznym, topograficznym, orograficznym, etnograficznym, handlowym, przemysłowym, sfragistycznym etc. Tom I. str. 403 i III.

Sennik loteryjny w obrazach, str. 32.

Sennik, nowy ułożony i dopełniony według niezawodnych wskazówek, na podstawie długoletnich badań i t. d., str. 115 i 12.

Seredyński, Dr. Wład. Akademia umiejętności w Krakowie, str. 37.

Skiba, Wołody. Pod jednym dachem. Powieść. str. 221.

Somolewicz, Dr. Zygmunt. O karności szkolnéj w Prusiech, a u nas. str. 32.

Sowiński, Leonard, Słowo bytu. Zarys prawdy powszechnéj. Wyd. „Mrówki.“ str. 39.

Sprawozdanie sejmowe Sejmu galic.

Sprawozdanie z czynności Towarzystwa pedagogicznego za czas od 7 Lipca 1870 r. do 7 Lipca 1871, podane przez zarząd główny do wiadomości członków na V. walném zgromadzeniu tegoż Towarzystwa odbytém we Lwowie w połowie Lipca 1871, str. 16.

Stachurski, Paulin. Opowieści stepowe, str. 194

Stanecki, Dr. Tom., Fizyka dla użytku szkół średnich napisana. Cz. I, str. 131.

Stecki, Tadeusz Jerzy. Stary dwór. Powieść, str. 284.

Stecki, Tadeusz Jerzy. Wołyń pod względem statystycznym, historycznym i archeologicznym. T. IIgi str. VI. 472. (I.) i Tab. Geneal. (Wyd. Budkiewicza księgarza w Żytomierzu.)
Strutyński, Julius hr., Pani Kasztelanowa Trocka. Pamiętnik Berlicza Sasa, str. 244.
Supiński, Józef. Siedem wieczorów. Opowiadanie z życia społecznego. Dr. zakł. nar. im. Ossolińskich, str. 120.
Szekspir, W. Król Lear, tragedya w 5ciu aktach, przekład Adama Pługa, str. 224.
Święcicki, Paulin. Odmiana zaimków, rzecz językowo-porównawcza, str. 30.
Szematyzm królestwa Galicyi i Lodomeryi z wielkiém księstwem Krakowskiém na r. 1871. II, str. XXIX i 743.
Szkoły ludowe, przymusowe. Wniosek na Sejmie P. Leona Chrzanowskiego. „Czas" i „Dziennik Poznański." Przez ks. Z. G. str. 22.
Szulc, Dr. Kazimierz. Kwestja socjalna i sposób jéj załatwienia równie korzystny dla robotników jak i właścicieli.
Teka Tromtadraty. I. Mamelucy i Mameluczki przez Pośmieciuszka z nad Pełtwi. str. 32.
Treter. Polacy i Sławianizm, str. 14.
Tretiak, Józef Trzywdar. Królewska para. Powieść historyczna. Nakł. Gust. Brudnickiego, str. 110.
Uderski, E. O robotach z cementu. Rozprawa podana do Rady miasta Lwowa. Z 4 drzewor, str. 33.
Urbański, Dr. Wojciech. W sprawach szkolnych. IV. Dr. J. Dobrzańskiego i K. Gromana, str. 28.
Ustawa o urządzeniu gmin i o ordynacyi wyborczéj dla gmin. Ustawa o obszarach dworskich. Ustawa o reprezentacyi powiatowéj i o ordynacyi wyborczéj powiatowéj. Wyd. urzędowe, str. 107.
Wasilewska, Felicja. Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Odczyt. str. 21.
Wiślicki, Adam. Podręczna encyklopedya powszechna; w 2ch tomach z Atlasem, str. 1—64.
Wilkońska, Paulina z L., Za posagiem. Powieść w 2 cz. Wyd. „Mrówki," str. 278.
Wisłocki, Dr. Wład. Uwagi nad pierwszym zeszytem Bibliografii pana Karola Estreichera, str. 47.
Wołowski, Bronisł. Polacy w rewolucyi paryskiéj, kilka szczegółów odsłaniających kulisy rządu wersalskiego, str. 62.
Zbiór Krakowiaków (1000) śpiewanych przy różnych zabawach salonowych i towarzyskich, str. 256.
Zbrożek, Piotr. O jenerale Józefie Bemie, str. 46.
— Bartosz z Trębowli. (Wierszem), str. 34.
— Popiel i Piast, str. 39.
Zgórski, Dr. Alfred. Ostatni odczyt publiczny dla kobiet z historyi wieków średnich, str. 16.
Zamorski, Bronisław. Polska od 1807 do 1815. Studjum historyczne. str. 219.
Zapiski polityczne. Rok 1871. Zeszyt 7, str. 16. Zeszyt 8, str. 16.
Zasady z roku 1789, str. 20.

Zjazd polski we Lwowie p. Ł. M., str. 14.
Zwierzyniec obrazowy zastosowany do wykładu zoologii, 42 Tablic litografowanych rycin, z Tekstem objaśniającym, 3 zeszyty.

Kraków.

Alth, Prof. Dr. Rzecz o ropie i wosku ziemnym w Galicyi, str. 38.
Anczyc, Władysł. Sprawozdanie z projektu uporządkowauia m. Krakowa i pożyczki na ten cel proponowanéj wypracowane przez komitet wydelegowany z koła obywateli Krakowskich. W druk. „Kraju.“ str. 24.
Antoniewicz, ks. Karol. Droga krzyżowa. Z Rycinami Stacyi. str. 107.
— Nauki i Mowy przygodne miane w Krakowie, str. 212 (II).
Apostolstwo Serca Jezusowego, czyli apostolstwo modlitwy. Święte sprzymierzenie z sercem Jezusa Pana dla uproszenia zbawienia dusz i tryumfu kościoła. Druk „Czasu“ str. 15.
Baraniecki. Kurs wyższy nauk handlowych przy Muzeum-Techniczno-Przemysłowem Krakowskiem. Rok 1871 — 1872. Program w drukarni „Czasu“ Winc. Kirchmajera, 1 arkusz.
— Wykłady popularne dla kobiet w salach Muzeum Techniczno-Przemysłowego Krakowskiego, 1 arkusz.
Bartoszewicz, Julian, jego żywot i prace, str. 46.
Bednarski W. Pogadanki gospodarskie, str. 49. Druk. Jaworskiego.
Bełcikowski, Adam. Dwaj Radziwiłłowie. Komedya w 5ciu aktach, str. 187.
— Irydion Krasińskiego. Prelekcja publiczna i t. d. Wyd. „Kraju,“ str. 37.
Biesiadecki, Dr. Alfr. Poszukiwania dokonane w Zakładzie patologiczno-anatomicznym Uniw. Jag. w roku 1870. Druk. Uniw., str. V. 145.
Bogiem a prawdą. Powieść z ostatnich czasów, str. 306.
Bośniacki Zyg. Iwonicz w czasie pory kąpielowéj w r. 1870. Sprawozdanie lekarskie. Druk. Uniw. str. 39.
Bractwo św. Maryi Magdaleny patronki potrzebujących grzeszników. Druk. Uniw., str. 21.
Brodowicz, M. I. Polne Kwiatki w Druk. Uniwers. Jagielloń., str. 151.
— Przegląd ogólny swojego zawodu lekarskiego i nauczycielskiego. Druk. Uniw. XX, 131, Allegata, str. 198, IV i 23 tab.
Buchowski, Adam. O sprawie roboczéj po wsiach. Czcionk. druk. „Kraju,“ str. 17.
Burzyński, Prof. Dr. Piotr., Prawo polskie prywatne napisane i poświęcone pamięci ubiegłych w r. 1864 pięciuset lat istnienia Uniw. Krak. T. II, str. 556.
Chłędowski Kazim. Skrupuły-Powieść. Druk. „Kraju.“ str. 320.
Chmielewski, Józef. Stopnie wieku. (z Hoffmana), str. 66.
— Zbiór pieśni dla szkół ludowych klas wyższych. Muzyka Karola Niemczyka.
— Zagadki, zgłoskówki, łamigłówki, rebusy dla grzecznych i pilnych dzieci, str. VIII i 152.
Chotomski. Wiwat Kraków w postępie, a postęp w Krakowie, Druk. Jaworsk. str. 9.

Chrzanowski, Jenerał Wojciech. Pisma wojskowo-polityczne podawane Rządom polskiemu, angielskiemu, francuskiemu, tureckiemu i piemonckiemu w okresie czasu od 1830 do 1856 r., wydał i objaśnił zarysami współczesnych zdarzeń dziejowych Leon Chrzanowski. Tom 1, str. 229.

Cywiński, Mieczysław. Kilka dni we Włoszech, str. 16.

Czaplicki, F. M. Wład. Obraz Syberyi, str. 4 i 205

— Pamiętniki Autora Czarnej księgi, str. XII i 411.

Czerny Dr. Franc. Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra Jagiellończyków (1492—1506) spisał na podstawie źródeł. str. 140.

Czyrniański, Prof. Dr. E. Odpowiedź na ocenę chemicznej teoryi, opartej na ruchach wirowych niedziałek, przez Dr. Bronisł. Radziszewskiego, str. 29.

Döllingeryada. Poemat bohaterski, druk. „Kraju,“ str. 16.

Dietel, Józef Dr. med. prezes miasta. Projekt uporządkowania miasta Krakowa w ogólnych zarysach, Druk. „Czasu,“ str. 20.

Dzieduszycki, Wojciech hr. Fantazye. str. 126.

Ehrenberg. Wykład bajek Krasickiego wraz z teatrem tychże. Do tego dołączony przedruk łacińskiego przekładu Bajek i przypowieści przez Markwarta. (nakładem Towarzystwa nauk. Krak. z fundacyi Księcia I. B. Lubomirskiego), str. 276.

Engeström, Wawrz. bar. Obrazki z podróży. Szwecya. Odczyty literackie, miane w Dreźnie. Wyd. „Kraju.“

Estreicher, K. Biblijografija polska. Zeszyt 3, str. 233—400.

— 1400 pism peryodycznych i zbiorowych, abecadłowo zestawił. Wyd. w 30 egzemplarzach, str. 27.

— Józef Ignacy Kraszewski. Przypomnienie czterdziestolecia zasług piśmienniczych i pracy, str. 12.

(Faleński.) Syn Gwiazdy, dramat w 3 aktach przez Felicyana osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego,“ str. 77.

Gaume, X. J., Katechizm mały zebrany z dzieła: Zasady i całość wiary katolickiej. Tom. IX. Przekł. z franc. podł. 6. wyd. parysk., str. 372.

Gondek, ks. Fel. Siedm grzechów głównych. III, Nieczystość, IV, Obżarstwo, str. 180 i 2 niel.

— Wspomnienia z pielgrzymki do Ziemi świętej w r. 1859 odbytej str. 280.

Grajnert, Józef. Dziwne przygody Lorka Szlązaka, opowiadania z dziejów z 4ma obrazkami, str. 69.

— Historya o sławnym Gabryelu Hołubku. Opowiadania z dziejów polskich, str. 47.

Grudziński, Stanisław. Idealista, poemat fantastyczny. Dr. W. Korneckiego i Spółki.

Gryf, Felicyan. Dwa szkice powieściowe; odbitka z „Kraju,“ str. 96 i 77.

Hoffmann, Franc. Guwernantka. Powiastka dla młodzieży z niem. przeł. Wm. Sarnecki, str. 181.

Jachowicz, St. Bajki i powiastki w illustrowanej edycyi z 24 drzeworytami, rysunki I. Kossaka, W. Gersona, H. Pikarda, K. Pilatego. Wyd. Czytelni ludowej, str. XX i 184.

Irena czyli Chrześcianie za Domicyana. Powieść oryginalna p. M. G., str. 247, u Wł. Jaworskiego.

Józef z Bochni. Dziwne spotkanie, str. 25.

Józef z Bochni. Wdzięczność sieroty, str. 16.
Józefczyk, Andrzej. Fizyka dla szkół początkowych Crügera, opracowana przez A. J. Druk. Uniw., str 109, IV.
Kalendarz dla rodzin katolickich na rok 1871. Rok 18ty, u Wł. Jaworskiego, str. 96.
Kalendarz Józefa Czecha na rok 1871.
Kalendarz kieszonkowy na rok 1872, str. 8.
Kalinka, ks. Waleryan. Przegrana Francyi i przyszłość Europy. str. 3, 54 i 1.
Kaznodzieja katolicki obejmuje kazania ks. Goliana, Jasińskiego, Leona Kapucyna, Walczyńskiego i Wierciszewskiego. Nakład Jaworskiego. VIII zeszytów, str. 948.
Klasyfikacya uczniów C. K. czterechklasowej szkoły przy kościele św. Barbary w Krakowie po ukończeniu drugiego półrocza 1871. — W druk. „Kraju“ $1\frac{1}{2}$ ark.
Klasyfikacya uczniów i uczenic szkoły ludowéj miejskiéj w parafii św. Szczepana w Krakowie, w druk. „Kraju,“ 1 ark. Szkoła ta założoną została przez ks. Macieja de Miechow kanonika Krakow. w r. 1501.
Klaczko, Julian. Notatki z Podróży. Odbicie z „Przeglądu Polskiego,“ str. 54.
Kolberg, Oskar. Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podanie, przysłowia, obrzędy i t. d. Serya V, z ryc. i drzew. (Krakowskie) cz. 1sza. str. VIII. 384 i 1 drzeworyt kol.
Kochanowski, Maryan, Korwin. Ostatnie poezye (wyd. pośmiertne), str. 195.
Kopernicki, Izydor. Anatomiczno-antropologiczne postrzeżenia nad murzynem. osobne odbicie z XLI. T. Rocz. Tow. N. Kr., str. 26.
Koziebrodzki, hr. Władysł. Klaudya, szkic dramatyczny w 2 akt. str. 71.
— Po ślubie. Komedyja w 1 akcie, str. 68.
Kraszewski, I. J. Sto djabłów. Mozajka z czasów czteroletniego sejmu. 2 tomy. I, str. 279, II. str. 315.
Kremer, Józef. O zadaniu młodzieży polskiéj kształcącéj się w Uniw. Jagiell. Mowa Rektora Uniwersyt. przy imatrikulacyi dnia 16 Grud. 1870 r. str. 48.
Latinik, Antoni. Jeografia Galicyi dla szkół ludowych z osobną odpowiednią mapą działkową, str. 56.
Kruk, Kalasanty. Album fotograficzne. Cz. II, wyd. „Kraju,“ str 160.
Leśniewski, Jan. Próbki. Poezye, str. 94.
Liebig, Justus. Wiedza zastosowana do rolnictwa i fizyologii. Tom wstępny, str. XVI i 139.
Łuszczkiewicz, Władysław. Rzeźba kamienna Krakowska XIV. wieku jéj zabytki i artystyczne znaczenie, z 4ma tabl. lit. str. 24. Objaśń. Tab. 1.
Marchal, O. Ostatnie chwile rewolucyonisty na śmierć skazanego podczas zamachu stanu Napoleona IIIgo. Z 19go franc. wydania na język polski przełoż. X. Wład. M. str. 64.
Mazur, Jan. Ultramontanie (nasi) czyli uwagi nad broszurami: nasi moderanci ks. Z. G. i przegrana Francyi ks. Kalinki, str. 31.
Moimir. Marta. Wielki los, str. 197.

Newmann, W. O. Kalista czyli obraz historyczny z IIIgo wieku, przekład Eleonory Ziemięckiéj, str. 413.

Obrazki historyczne z życia świętobliwych, błogosławionych, zasłużonych krajowi cnotą, nauką, odwagą i męztwem Polaków i Polek. Książeczka V. Spisał ks. W. Michna, str. 83. — Ks. VI. (napisał I. Grajnert.), str. 102.

Oczapowski, I. B. Ogólne i szczególne źródła Fizyologii politycznéj czyli nauki o naturze Państwa. str. XVI.

Odpowiedź na obronę żydów umieszczona w dzienniku „Djabeł“ z dnia 7go listopada r. b. No. 57, i legenda o kandydacie na Djabła. Z dewizą: Non multa sed multum. Nakładem autora. Drukiem Fr. Ksaw. Pobudkiewicza. 1871, 8o. str. 19.

Olszewki. Rozbiór chemiczny wód studziennych i rzecznych Krakowskich, str. 36.

O sprawie ruskiéj. Wyd. „Kraju,“ str. 70.

Ostaszewski, Teofil. Moje dobre chęci czyli powiastki i bajki i t. d. Zeszyt 2, str. VIII i 64.

Pamiątka pierwszéj komunii i nauka o Sakramencie Bierzmowania z dodaniem Rad wytrwałości oraz zbioru modlitw najużywańszych, str 448.

Pawlikowski Mieczysław. Ultramontanie i Moderanci, odbitka z „Kraju,“ str. 60.

Pękalski, P. Uwagi nad podaniem starodawnéj pieśni: „Bogarodzica,“ św. Wojciechowi przyznanéj, str. 32.

Pietkiewicz, Apolinary. Meteorologia, str. VII i 600.

Pietraszkiewicz, Ksaw. O potrzebie i pożytku nauk przyrodniczych w ruchu powszechnéj cywilizacyi. Odczyt. str. 16.

Piliński, Tadeusz. Bezkrólowie po Zygmuncie Auguście i elekcya króla Henryka, z przedmową hr. St. Tarnowskiego, prof. przy Uniw. Jagiellońskim, 1872. (recte 1871).

Pol, Wincenty. Obrazy z życia i natury, Serya II z mappą i trzema tablicami, str. 267.

Przygody małéj Wandzi. Powiastka dla dzieci od lat 5ciu do 10ciu, z 6ma kolorow. ryc., napisał A. Ł., str. 48.

Plotki i prawdy spisane przez Pseudonima. (odbitka z „Kraju.“ str. 214 (I).

Reben, E. Gramatyka języka niem., według najnowszych niemieckich dzieł gramatycznych, dla użytku młodzieży polskiéj ułożona. Cz. 2. Składnia. Wierszowanie, str. 184 i 2 niel.

— Odpowiedź ks. Janocie na jego artykuł umieszczony w „Szkole“ pod tytuł: „Jeszcze kilka słów o polskiém tłumaczeniu gramatyki niemieckiéj.“ S. Schoecera, str. 55.

Regułka. Bractwa św. Tomasza z Akwinu Doktora kościoła. Patrona anielskiéj czystości, wyznawcy zakonu S. O. Dominika. str. 23.

Rocznik C. K. Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Poszyt 3ci Tom XIXty. Dział nauk przyrodniczych i matematycznych, str. 416.

Roszkowski, Dr. Gustaw. O istocie i znaczeniu filozofii prawa, str. 69.

— Pogląd na naukę Fr. K. Savigny ze stanowiska filozofii prawa str. 108.

— O metodzie wykładu filozofii prawa. Prelekcya publiczna habilitacyjna, osobne odbicie z „Przeglądu Polsk.“ str. 19.

Roszkowski, Dr. Gustaw. Program Wykładów Filozofii Prawa, str. 14 (II).

Rychlicki Franc. Tadeusz Kościuszko i Rozbiór Polski, str. 515.

Sabowski, Wład. Bucik-humoreska, str. 158.

— Józef Hauke — Bosak. Rys bijograficzny. Według materyałów zebranych p. Zygm. Kolumnę, str. 100.

— Kręte drogi. Powieść. Wyd. „Mrówki," str. 263.

Scupoli, ks. Waw. Wojna duchowna, czyli nauka poznania, pokonania samego siebie i dojścia do prawdziwéj doskonałości Chrześciańskiéj, przekład z francuzkiego, str. 298.

Siemieński, Lucyan. Religijność i mistyka w życiu i poezyach Adama Mickiewicza. Studium, str. 151.

— Wacław Rzewuski i przygody jego w Arabii, opowiedziane z pism pozostałych po nim, str. 123.

Skobel, Prof. Dr. F. K. O skażeniu języka polskiego w dziennikach i w mowie potoczonéj, osobliwie w Galicyi. Spostrzeżenia i uwagi. Wydanie drugie, powiększone, str. VIII i 102.

Sowiński, Leonard. Satyra, str. 47.

Sozański, A. Niektóre pisma. T. IIgi. (Pierwszy tom wyszedł w Lipsku w r. 1861). W dr. „Kraju."

Spektator, Walenty. „Wielka i mała polityka Galicyi. Dopełnienie 1sze. O wychowaniu publicznèm, st. 47.

Spis wykładów odbywać się mających w c. k. Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie 12 i 15, w druk. Uniw.

Sprawozdanie c. k. Dyrekcyi Gimnazyalnéj przy św. Annie w Krakowie z roku szkolnego 1871, str. 24.

— c. k. Dyrekcyi Gimnaz. św. Jacka w Krakowie z roku szkolnego 1871, str. 34.

— Komissyi fiziograficznéj c. k. Towarzystwa naukowego Krakowskiego, tom 5ty str. 172, w druk. Uniw.

— Dyrekcyi Towarzystwa Zaliczkowego dla Miasta Krakowa oraz dla powiatów Krakowskiego i Chrzanowskiego w mieście Krakowie założonego z dopełnionéj czynności za rok pierwszy t. j. od 3 stycz. do 31 grud. 1870 r. (obejmujące zarazem spis członków.), str. 9.

— Komitetu Towarzystwa akademickiego Wzajemnéj pomocy na Uniw. Jagiell. z czynności w roku $18^{70}/_{71}$, str. 19.

— Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie z czynności dziesiątego roku (obejmujące zarazem spis Delegatów Towarzystwa), str. 110.

— z czynności Krakowskiego oddziału pedagogicznego za czas od 29 czerwca 1870 r., do końca czerwca 1871, str. 14.

Statut spółki akcyjnéj młynów Królewskich w Krakowie, str. 16.

Suchecki. Modlitwy Wacława. Zabytek mowy staropolskiéj odkryty przez Alex. Hr. Przezdzieckiego. Wiadomość o nich z rozbiorem filologicznym i lingwistycznym podaje Henryk Suchecki, str. 35.

Sulerzycki, Natalis. Pamiętniki. Tom 1, str. 221.

Świtkowski, August. Wypisy francuskie do użytku młodzieży polskiej. Z dodatkiem Słowniczka francusko-polskiego, str. 347.

Szczepański, Alfred. Z wieku XVI. Wielka wojna o wolność i niepodległość, według najnowszych badań. Odczyt publ. i t. d., str. 41.

Szekspir. Zimowa Powieść (Winter's Tale), przełożył G. E. (Ehrenberg.) (osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“), str. 121.

Szymański, Dr. R., Uwagi nad kwestyą wyborów w Prusach Zachodnich i W. Ks. Pozn. z powodu wyborów listopadowych do Sejmu Pruskiego.

Tajemnice Krakowa. Powieść, str. 146.

Tarnowski, Dr. Stan. Romans polski w początku XIXgo wieku. Prelekcya.

Theorema et praxis, to jest: Rozważne i sprawne ratowanie chorych, pomaganie umierającym, posilenie konających. Dla informacyi kapłanom poczynającym koło chorych pracować, przed tym włoskim p. X. Józefa Ant Marschesello Franciszkana a teraz: In Theoretica Łacińskim, in practica metodo ojczystym językiem p. jednego Franciszkana Konwentu Krak. opisane u P. 1754. W Krakowie, str. 135 i 6 niel.

Tołstoj, A. K. hr. Car Borys Fiodorowicz Godunów, tragedya w 5ciu aktach, str. 158.

Turski, I. K. Skradziony talar. Obrazek dramatyczny w 3ch aktach dla uczniów gimnazyalnych na majówki, str. 40.

Tyszkiewicz, hr. Eustachy. Nasze strony, obrazek litewski, str. 32.

Ulanecki Stan. Miesiąc Serca — Miesiąc Czerwiec poświęcony czci Najsłodszego Serca Jezusowego z dodaniem 3 dni Lipca dla wyrażenia w 33 dniach nabożeństwa okresu 33 lat widzialnego życia Pana Jezusa na ziemi, str. 287.

Ventura de Raulica. Niewiasty ewangeliczne. — Homilie, przełożył ks. Zyg. Golian, b. Kazn. kat. Krak. Nakładem Jaworskiego. Zeszyt 8 i 9, str. 162.

Walewski, Antoni. Historya wyzwolonéj rzeczypospolitej wpadającéj pod jarzmo domowe, za panowania Jana Kazimierza (1655—1660). Tom 1szy, str, 39, 332. LXXXIV i XIV.

Wiadomość (krótka) o początku i użyciu błogosław. chleba, str. 4.

Wianeczek Majowy Najś. Boga Rodzicy Maryi. U Jaworskiego str. 35.

Wielogłowski, Walery. Kraków przed 40tu laty. Wyd. pośmiertne. str. VI i 298.

Wierciszewski. ks. Wład. Wykład nauki wiary kościoła Katolickiego. str. 171 i III.

Wisemann, Kardynał. Fabiola. Powieść z czasów prześladowania chrześcian w roku 302, str. 395.

Wodzicki: Zapiski ornithologiczne. Kukułka właściwa (cuculus canorus Lin.) (osobne odbicie z „Przeglądu Polskiego“), str. 157.

Wojczyński Antoni. Żydzi w Polsce w zastosowaniu do obecnego przeistoczenia w Krakowie starożytnéj budowy Sukiennic na dom czynszowy, str. 55.

Wujek, ks. Jak. Czyściec to jest: Zdrowa a gruntowna nauka o modlitwach, o mszach, y jałmużnach za zmarłe wierne; y o mękach Czyscowych po śmierci. teraz nowo zebrana y wydana. W Poznaniu drukował Jan Wolrab roku 1579. str. 285 i III.

Zakład zdrojowo-kąpielowy w Szczawnicy. Druk. „Czasu,“ str. 27.

Zaleski Bronisław. Rzym jako stolica państwa Włoskiego. str. 231.

Zarewicz Ludwik. Zakon Kamedułów, jego fundacye i dziejowe wspomnienia w Polsce i Litwie. Przeważnie według źródeł rękopiśmiennych archiwu O. O. Kamedułów w Bielanach przy Krakowie. str. 232.

Zarys organizacyi władz administracyjnych dla Galicyi. Projekt. str. 41.

Zarząd Towarzystwa i Delegacyi Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie. str. 20.

Zielonacki, Dr. Józefat. Pandekta cz. Wykład prawa prywatnego rzymskiego, o ile ono jest podstawą prawodawstw nowszych. Wyd. 2. 2 tomy. T. I, str. V, 3 i 275; II, str. XII i 436.

Zdania z różnych gałęzi prawa i umiejętności politycznych. Obrona na stopień Doktora prawa Piotra Hubal Dobrzańskiego. str. 7.

Źródła do dziejów Kurlandyi i Semigalji z czasów Karola królewicza polskiego, księcia Saskiego, z autentycznych korespondencyi ogłoszone p. E. T. str. 134.

Żebrawski, Teofil. O pieczęciach dawnéj Polski i Litwy. Zeszyt 2gi, str. 43—69 i rozmaitości str. 31—56; i tabl. 17—24 i rozmaitości tabl. III—IX.

Rzeszów.

Nakładem i drukiem Księgarni Jana A. Pelara:

Bugno, Mikołaj. Najnowszy Sekretarz czyli wzory Listów w różnych przedmiotach, oraz podań, cessyi, kwitów, świadectw, testamentów, kontraktów, i t.d., str. 112, IV.

Lercel, Władysł., Przykłady do tłómaczenia, z języka łacińskiego na polski i z polskiego na łaciński, str. 152.

Lorenz, Józef. Nauka dla ludu o zasadach prawa i rozumnéj społeczności, z niemieckiego przełożył W. Tarłowski.

Ładnowskiego, A. Fraszki. — Wydanie wtóre.

Misky, Wład. Uprawa roślin gospodarskich.

— Rozprawki treści gospodarskiej.

Morawski, Szcz., Światek boży i życie na nim. str. 224. I.

Puchalski, Franc. Poradnik gospodarski. str. 48.

Tyc, Ant. Dzieje starego i nowego przymierza dla użytku szkolnéj młodzieży. Część I. Wyd. 4te.

Weissenbach, Wład. Zdrój pociechy czyli ćwiczenia pobożne dla arcybractwa „Paska rzemiennego.“

Tarnów.

Gabryelski, Edward. Wady w obecnym ustroju szkół ludowych. Odczyt, str. 23.

Król, ks. Michał. Oda przy uroczystości 50-letniego urzędowania kapłańskiego którą obchodził szczęśliwie 24 września 1871 I. W. ks. J. A. Pukalski biskup Tarnowski, ½ ark.

Maniewski, ks. Konstanty. Oda na uroczystość 50 letniego kapłaństwa którą obchodził w dniu 15 paźd. 1871. I. Eksc. I. W. Najprzewielebniejszy Józef Alojzy Baron Pukalski, ½ arkusza.

Rusinowski Anastazy. Na dzień złotego ślubu z oblubienicą Chrystusową Jego Biskupiej Mości Józefa Aloizego Barona Pukalskiego biskupa Tarnowskiego, 1/2 ark.
Wiersz I. W. Najp. ks. Józefowi Aloizemu Baronowi Pukalskiemu, biskupowi Tarnowskiemu prałatowi domowemu Ojca św. 1/2 ark. (Z powodu 50 letniego jubileuszu kapłaństwa.) Od stowarzyszenia rękodzielników m. Tarnowa uniżenie ofiarowany.

Stanisławów.

Hankiewicz, Dr. Klemens. Życie, pisma i system filozoficzny Bron. Trentowskiego, str. 24.
Podróż po światach gwiazdzistych; wierszem przez D. P.
Warrago-Russy w 5ciu pieśniach historycznych. Przez I. W. str. 31.
Więcowiny, operetka narodowa przez I. W. W druk. Jana Dankiewicza.

Bochnia.

Bellinger, J. Krótki rys geografii w dwóch kursach. str. VIII i 88.
Habura Franc. Mowa przy odsłonięciu pomnika Kazimierzowi Wielkiému wystawionego przez obywateli Bochni dnia 29 Maja r. 1871. (w drugi dzień Zielonych Świąt). str. 32.
Ostrzeszewicz, Faustyn. Pan Maciej, (wierszem).
— Powieść Adela, (wierszem).
— Flonderki, (wierszem).
Śpiewak, wesoły z nad Raby i t. d. p. A. M., str. IV 276 i VIII.
Tajemnice Różańca żywego z ofiarowaniami. str. 45.

Wadowice.

Krakowiaki, najnowsze. str. 143.
O leczeniu chorób koni, bydła, świń, owiec i psów, wyd. 3cie powiększone, str. VIII i 176.
Robinzon Kruzoe nowy, czyli skutki nieposłuszeństwa zupełnie nowo i treściwie dla użytku polskiéj młodzieży ułożony i do oryginału zastosowany, str. 168.
Schmid, Krzysztof. Pisanki wielkanocne. Powiastka etc. przepolszczona p. E. W. Wyd. 3. str. 76.

Jasło.

Mysłowski, M. N. Dzieje miasta Brzostku od czasów najdawniejszych istnienia i założenia tego miasta aż po r. 1870, zebrał na podstawie dokumentów w archiwie miejskiém. str. 9.

Sanok.

Krasickiego, Ign., Bajki i przypowieści. Dr. Karola Pollaka. str. 76.

Cieszyn.

Kalendarz polski na rok Pański 1871, nakładem Karola Prochaski.

Czerniowce.

Chotomski, Bolesł., hr. Przyczyny niepowodzeń przemysłowo-handlowych towarzystw akcyjnych w Galicyi. str. 22.

Poznań.

Bełza, Wład. Poezje. Wyd. nowe, str. 159. Nakład I. K. Żupańskiego. Czcionkami W. Dectera i spółki.

Bodzantowicz. Boje Polskie i przygody żołnierskie, str. XLVII i 415. Czcionkami J. I. Kraszewskiego.

Bokiewicz. Hygiena popularna cz. nauka zachowania zdrowia, str. 258.

Bratkowski, St. Rady dla młodych Polek z okoliczności pisania listów, str. 96. Dr. T. H. Daszkiewicza.

Brzeski, M. Obrazkowy elementarz nauki pisania i czytania. W ks. I. K. Żupańskiego.

Brzeziński, A. Na Piotrowy Jubileusz Piusa IX Papieża, kazanie miane w Górce duchownéj. 8o, str. 6.

Chłapowski, Stanisław. Sprawozdanie z udziału w czynnościach poselskich na sejmie w Berlinie z r. 1871, przesłane wyborcom powiatów Kościańskiego i Bukowskiego, str. 7.

Conscience, Henryk. Choroba wyobraźni. Z flamandzkiego. Wyd. ks. I. Stagraczyński. 8o, str. 135.

Czytelnia chrześciańska Nr. 8. Relikwie męki Pańskiéj. 8o, str. 28.

Delert, X. I. B. Historya kościoła św. katolickiego. Wyd. 3cie, znacznie pomnożone, w 2ch tomach. Tom 1szy 8o, str. 470. Czcionkami A. Kamińskiego i spółki.

Drużbicki, X. Kasper S. J. Szkoła doskonałości chrześciańskiéj, przetłumaczył z łacińskiego na polski język X. Antoni Brzeziński. 8o, str. XXVII i 351. Czcionkami T. H. Daszkiewicza.

Duchowieństwo i agitacya wyborcza, 16o, str. 16.

— w sprawie wyborów. Odbitka z Tyg. Kat. N. 7. 8o, str. 16.

Estkowski, Ewaryst. Pisma dla dzieci i młodzieży. Tom 1 i 2gi. Szkółka dla dzieci. 8o, str. 200 i 200. Dr. Daszkiewicza.

Fay Karol. Dziennik oficera armii nadreńskiéj, z mappą wykazującą wojskowe działania pod Metz'em. Podług 3go wyd. przełożył Edmund Callier, 8o maj. str. VIII i 282. Nakład i druk Lud. Merzbacha.

Haza Wojciech z Radlic. O dzienniku poznańskim i różnych jeszcze rzeczach.

Hanani czyli ostatnie dni Jerozolimy. Z francuskiego.

Historya o dwóch parach zakochanych i o położeniu trzeciéj, podsłuchana i spisana przez O. Narzymskiego i Wł Sabowskiego. Pozory mylą. Odgrzewana powiastka napisał O. Narzymski 12o, str. 96, 28.

Hymn do Boga. Na pamiątkę stuletniéj rocznicy rozbioru Polski.

Jackowski Maxymilian. Ułomności nasze narodowe i społeczne oraz środki ku sprostowaniu tychże, u I. K. Żupańskiego.

Jagielski M. Tabele redukcyi do zaprowadzenia nowego obrachunku zboża i olejnych siemian per 2000 funtów, 8o, str. 40.

Jerzykowski, Antoni. Zadania do tłumaczenia z polskiego na łaciński dla średnich klas. Oddział 1szy. Wyd, 2gie przejrz. i popraw. 8o, str. VII, 200.

Kalendarz polski i gospodarski dla W. Ks.Poznańskiego na rok 1872.

Katy i ofiary komuny Paryzkiej ze źródeł autentycznych francuskich, zebrał i wydał L. R., str. 342. Dr. Tytusa Daszkiewicza.

Kolęda na rok 1872, z wielu drzeworytami.

Kosiński, K. Książka do czytania dla katolickich szkół elementarnych, 4te wyd. z 36 drzeworytami, 8o, str. 352.

— Książka do początkowego czytania dla szkół tak polskich jako też i niemieckich. 8o, str. 112.

Kraszewski, J. I. Pałac i folwark, obrazy naszych czasów. 8o, str. 236.

List otwarty, jako odpowiedź na rozprawę, umieszczoną w Tygodniku Katolickim Nr 21, pod napisem Peplin 11 maja, wystosowany do pisarza tej rozprawy w szczególności, a do czytelników Tyg. Kat. i innych światłych mężów wogólności, 8o, str. 32.

Łoziński, Wład. Historya siwego włosa. 8o, str. 162. Nakł. Tygod. Wielkopolsk. Dr. Mersbacha.

Martin, ks. Dr. Konrad. Katolicka nauka wiary, przetłumaczył z niem. ks. St. Kubowicz, 8o. Tom 1szy, str. VIII, 387 i XI, tom IIgi, str. 197 i VIII.

Mensz I. Łączność szkoły z kościołem, słów kilka dla obrońców i przyjaciół szkół konfesyjnych. 8o, str. 42.

Merzbach, Henryk. Strzaskana Lutnia. Z wspomnień z ostatniego powstania. Nakładem „Tygodnika Wielkopolskiego.“

Modrzyński, A. Wykład rachunków dziesiętnych w zastosowaniu do nowych miar i wag, str. 41.

Morawski, Teodor. Dzieje narodu polskiego w krótkości zebrane dla matek i niższych nauczycieli. T. IIgi, Jagiełłowie, str. 489. T. III i IV, królowie obieralni, str. 608 i 345. Czcionkami J. I. Kraszewskiego.

Mosbach August. Bolesław chrobry. 8o, str. 26.

Narzymski, Józef. Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach. Obrazek sceniczny w 2ch aktach. 8o, str. 72.

Nauka Czytania i pisania. Wypracowana z polecenia Towarzystwa pedagogicznego w Poznaniu. Wyd. setne ósme. 8o, str. 80.

Nehring W. O Psałterzu Floryańskim łacińsko - polsko - niemieckim w szczególności o polskim jego dziele. 8o maj. str. 126. Czcionkami Grosse Burtha i spółki we Wrocławiu.

Niemcewicz, Julian Ursyn. Pamiętniki. 1809—1820. Poraz pierwszy z autografów wydane. Tomów 2. 8o maj. str. 436. XV. 45.

Obrazki z życia wiejskiego przez I. Z . . . ą 8o, str. 78.

Pawlicki, Stefan. Antropologia przedhistoryczna i chronologia Mojżesza. Odpowiedź na rozprawę Dra Libelta: „Mieszkania nawodne przedhistoryczne. 8o, str. 35.

Plato. Dzieła Platona. Tom 2gi zawierający Prawa zeszyt 1szy przekład z Greckiego Ant. Bronikowskiego, 2 kartki niel. str. 146.

Rejewski Dr. Warunki fundamentalne dobrobytu i organizacyi finansowo społecznej oraz wykaz szczegółowych przyczyn, dla których zakładanie trzeba rozpocząć od banków zabezpieczeń na życie, a nie od banków zabezpieczeń od ognia. 8o, str. 56. Dr. T. H. Daszkiewicza.

Rocznik Towarzystw przemysłowych. Staraniem Tow. Przem. w Poznaniu. 8o, str. 68.

Roger, E. O. Teatr amatorski. Dziełko podręczne dla amatorów, wykazujące praktyczny sposób budowania sceny i t. d. 8o, str. 42.

Rymarkiewicz, Jan. Wzory prozy. Wyd. 3cie. 8o maj, str. VI i 482.

Signori, Alfons św. Rozmyślania ku czci św. Józefa karmiciela dzieciątka Jezus przez ks. L. B. Delerta Tłum. z włoskiego, 12, str. 31. Druk i nakład. T. H. Daszkiewicza.

Skiba, Wołody. Pod jednym dachem, powieść, 8o, str. 221.

Słowacki I. Genezis z Ducha. Modlitwa z rękopismu J. Słow·, dotąd nie drukowana.

Sosnowski, Max. Edward. Kilka poezyi. 8o, str. 80. Druk T. H. Daszkiewicza.

Stagraczyński, X. J. Godzina śmierci. Czytanie na każdy miesiąc w roku dla wszystkich stanów. Z obrazkami. Wyd. 2gie popraw. 8o, str. 108.

Tomicki, X. Symforian. Ustawa z dnia 3 maja 1791 wydana, 8o, str. 192. Dr. T. H. Daszkiewicza.

— Wawrzyniec czyli moc religii, powieść z angielskiego. 8o, str. 144.

Turski, J. K. Nieszczęsny legat, powieść spółczesna. 8o, str. 204. Dr. Lud. Merzbacha.

Urodzenie. Dramat w 3 aktach z prologiem. (Śpiew z muzyką M. Zawadzkiego.)

Ustawy Spółki akcyjnéj pod firmą Teatr polski w ogrodzie Potockiego w Poznaniu, str. 12.

Wartenberg X. T. Petycye Parkowskie. Odpowiedź Dziennikowi. Odbitka z Tyg. katolickiego. 8o, str. 12.

Wilkońska, z L. Paulina. Fata Morgana. Powieść. 2 tomy.

— Powieść w roku 1863. 2 tomy.

Wojna o pannę. Obrazek z małomiejskich stosunków W. X. Poznańskiego, skreślił I. M. 8o, str. 186. Dr. L. Merzbacha.

Wspomnienia przez A M. 8o, str. 20. Dr. N. Kamieńskiego.

Wybór uabożeństwa najpotrzebniejszego z książek approbowanych wyjęte. Wyd. 5te.

— rzeczy zabawnych i pożytecznych dla młodzieży polskiéj, ułożony p. L. R. Tom I, 8o, str. 337.

Zasady Gierylsa, czyli łatwy i praktyczny sposób nauczenia się gry téj w krótkim czasie napisał A. L** 12o, str. 46.

Zgoda duchowieństwa z narodem, napisał XIX, str. 70. u L. Merzbacha.

Toruń.

Rakowicz F. T. Ochronka Buchwałdska Instrukcya do zakładania, utrzymywania, prowadzenia tanich ochronek ludowych wypracowana z polecenia Dyrekcyi Towarzystwa Nauk. Pomocy dla dziewcząt polskich, str. 16. Druk I. Buszczyńskiego.

Sennik czyli wróżenie ze snów na przeszło 1500 przypadków służące z różnych starodawnych ksiąg zebrane i porządkiem abecadłowym dla rozrywki i zabawy ciekawych ludzi ogłoszone przez przyjaciela zabobonów, 2gie wyd. popr. i pomn. 8o. str. 54.

S i e r p — P o l a c z k a. Kalendarz katolicko-polski z drzeworytami na rok przestępny 1872 z wykazem wszystkich jarmarków w W. Ks. Poznańskim, Prusach Wschodnich i Zachodnich, jako też i Szląsku i t. d. 16o, str. 100.

Bydgoszcz.

Ś n i e g o c k i. Kalendarz rolniczy na rok Pański 1871. Rok III.

Pelplin.

B l o z y u s z, L u d w i k. Ustawy życia pobożnego. 18o, str. 176.

C z y t a n i a k a t o l i c k i e. Serya I. Tom VI. Namowy Ducha św. przez O. Jana Morawskiego T. J. Część IIIcia, str. 327—469, VIII.

— Serya I. Tom VII. Solch Stanisław X. T. J. Nauka o częstem używaniu Najśw. Sakramentu i sto sposobów uczczenia P. Jezusa w przenajśw. Sakramencie. 12o, str. 158.

— Serya I. Tom VIII. Nauka o przygotowaniu się do świętobliwéj śmierci przez O. Kaspra Drużbickiego T. J. z życiorysem autora. 8o, str. 126.

— Serya I. Tom IXty. Karta Duchowna. Książka do nabożeństwa ułożona przez. W. O. Marcina Laterny Kapłana T. J. pomnożona i na nowo wydana przez H. I. T. J. 8o, str. 983.

J a c k o w s k i, H. ks. S. J. Rozważ to dobrze. Myśli zbawienne dla dobrych i złych. (Pamiątka Missyi.) 12o, str. 131.

Gniezno.

I g e l G. Nowe miary i wagi w sposób nader łatwy do pojmowania podług niemiec. wydania A. Woldta opracował. 32o, str. 32.

K a l e n d a r z na rok przestępny 1872. (Ścienny.) Dr. i nakład F. B. Langego.

K o m i t s h, X. H i l a r y. Żywot św. Jadwigi. księżny szląskiéj i polskiéj, patronki Królestwa Polskiego. 8o. str. 380.

Śrem.

R o c z n i k sceny polskiéj w W. X. Pozn. i Prusach Zachodnich. 8o, str. 32.

V o g t, A. Krótka nauka rachunków w sposób elementarny wyłożona. Wyd. 3cie, 8o, str. 96.

Grodzisk.

G r e g o r o w i c z, M i k o ł a j. Serdeczne modły, czyli nabożeństwo dla prawowiernych katolików w biegu całego roku, porządkiem zebrał i ułożył. 12o, str. XXIV i 330.

Niemieckie Piekary.

K a c z y ń s k i e g o, J ó z e f a. Podarunek na kolędę dla małych i dużych, wierszem.

Lipsk.

Biblioteka Pisarzy Polskich:

Tom 60—61. Goszczyński, Seweryn. Dzieła.
62. Olizar, Narcyz. Pamiętniki.
63. Gordon, Józef. Gdy się było młodym. Wspomnienia z wędrówki po szerokim świecie.
64—65. Czajkowski, Michał. Pisma. T. X, XI.

Kasprowicz, E. Ł. Wianek nabożeństwa dla dzieci polskich 32o.
Zbiór baśni dla dzieci. Z kolor. obrazkami. (oddzielne książeczki.) I. Czapeczka czerwona z 6 kolor. obrak. II. Kopciuszek. III. Kot Mądry. IV. Królewna śpiąca. V. Rycerz Sinobrody. VI. Tomcio paluch.
Z teki Mameluka galicyjskiego. ułożył Kulik z nad Wisły, str. 107.

Paryż.

Bolesne przeczucie i marzenia (wierszem).
Cycero M. T. Mowy Marka Tulliusza Cycerona przełożone p. E. Rykaczewskiego. T. I, str. XXXIX. 578. (I). T. II. 2 kart. tył. 586. T. III. str. 602.
Do inteligencji rossyjskiéj Polak, Dr. Martinet, str. 48.
Giller A., Historya powstania narodu polskiego z 1861—64, 8o, L. IV, str. 443.
Mickiewicz Ad. Historya Polska w głównych jéj zarysach. — 1 T. in 8o, maj.
— Korespondencya. Tom I. str. 363, in 8o. maj.
Odezwy Kościuszki i Raporta. (w Bibl. ludowéj Nr. 61—65.)
Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu. Tom I. Paryż, nakładem Biblioteki Kórnickiéj (hr. Jana Działyńskiego.) 1871 in 4o, str. IX i 186. — Poważna ta publikacya następujące mieści artykuły: Od Redakcyi — Ustawa Towarzystwa Nauk ścisłych. — O sprężystości ciał stałych jednorodnych przez Wł. Gosiewskiego. — O funkcyach jednorodnych i jednogatunkowych przez Wł. Gosiewskiego. — Dowód na twierdzenie Hessego o wyznaczniku funkcyjnym, napisał Wawrzyniec Żmurko. Przyczynek do teoryi największości i najmniejszości funkcyi wielu zmiennych, napisał Wawrzyniec Żmurko. — O względnościach wykreślonych zachodzących między rzutami systemów geometrycznych, napisał Jan Nep. Franke. — O niektórych własnościach pewnego rodzaju funkcyi jednéj zmiennéj urojonéj, przez Wł. Trzaskę. — O pewném zastósowaniu wyznaczników funkcyjnych napisał Wł. Trzaska. — O nakreśleniu do trzech kół dawnych leżących na powierzchni jednéj kuli czwartego koła stycznego leżącego na téjże powierzchni, przez Wł. Trzaskę. — Rozbiór krytyczny dzieł p. G. H. Niewęgłowskiego napisał Adolf Sągajło: studyum 1 arytmetyka. — 2 geometrya. — Program przedstawionego do konkursu przez Towarzystwo Nauk ścisłych zadania: Ocenienie prac matematycznych H. Wrońskiego. — O funkcyach jednoczesnych i jednogatunkowych przez Wł. Gosiewskiego. — Nota do twierdzeń.
Rettel, Leonard, Cyryl i Metody. Streszczenie najnowszych poszukiwań, str. 216.

Światomir Henryk. Napoleon III. Poemat heroikomiczny w 20tu pieśniach.

Wiedeń.

Elementarz polski dla dzieci niemieckich, str. 83.
Ewangielie, lekcye i listy na wszystkie Niedziele i Uroczystości całego roku i t. d., str. 216.
Książka druga, do czytania i nauki języka polskiego dla szkół ludowych, str. 256 i 67.
Katechizm wielki dla katolickich szkół ludowych, str. 163.
Łza Chrystusa. Przez Podtatrzanina, str. 116.
Seredyński, Hip., Nauka czytania poprzedzona pisaniem. Elementarz dla szkół początkowych ułożony z polecenia krajowéj Rady szkolnéj, str. 151. Toż samo — wyd. 2gie str. 119.
Wojnarski Wojciech. Początki języka niemieckiego dla wyższych klas szkół ludowych, zeszyt I, str. 80.

Drezno.

Biblioteka pamiętników i podróży, wyd. p. J. I. Kraszewskiego:
Tom IV. Notaty, Generała brygady Wielkopolskiéj kawaleryi narodowéj z lat 1775—1778, z rękopismów spisane, 16, str. 166 i VII.
— V. Bukar, Seweryn. Pamiętniki, 8o, str. VIII i 224.
— VI. Pamiętniki wojenne, 1792—1812, 8o, str. XVI i 268.
Tyszkiewicz, Hr. Konstanty. Wilija i jéj brzegi, pod względem hydrograficznym, historycznym, archeologicznym i etnograficznym. Wyd. illustrowane, 4o, str. 362.

Berlin.

Forster Karol. Ludowi Polskiemu zdrowe rady z pola myślicieli zebrane.

Korespondencye, Kronika i Rozmaitości.

Warszawa, dnia 28 grudnia 1871.

(M) Zbyt mało pozostawiliście mi czasu na to, iżbym z zadania, jakie na mnie wkładacie, jak na teraz przynajmniéj, był w stanie w zupełnie zadawalniający wywiązać się sposób. Powiadacie, że tam u was trudno wiedzieć co się w naszym kraju na prawdę dzieje, i żądacie, abym w téj pierwszéj korespondencyi w ogólnych przynajmniéj zarysach zapoznał was z tą całością życia naszego społeczeństwa. Że prawdy o stanie rzeczy u nas nie wiécie, zupełnie się temu nie dziwię; bo i jakąż drogą ona do was dostać się miała? Peryodyczna prasa tutejsza mogła wam dać poznać jednę tylko stronę tego, cobyście wiedzieć chcieli — mianowicie, mogła wam dać materyał do budowania wniosków, o naszym umysłowym, a właściwiéj tylko artystyczno-literackim ruchu. Miejscowych kwestyj socyalno-ekonomicznéj natury, stanowiących jądro społecznego życia pisma nasze bardzo mało — nic prawie nie tykają. Co do korespondencyj pojawiających się w szpaltach waszych tam galicyjskich czasopism a z kraju naszego datowanych, tym nie bardzo zapewne dajecie wiarę. Rzadko ja zaprawdę czytuję wasze dzienniki, bo to u nas owoc zakazany; ale jednakże nie są mi one obce zupełnie. Otóż po dokładnéj rozwadze następującą o owych „korespondencyach z Królestwa polskiego“ wyrobiłem sobie opinią.

Od lat stu przeszło narodowość polska gdzieś daleko na zachód poséła swe myśli i wyczekuje stamtąd zbawienia. Nie tu miejsce rozbierać jaka była historyczna geneza tego kierunku narodowego naszego życia; to tylko pewna, że z niego spłynęły na nas tysiączne nieszczęścia i klęski, a już najwyższą z tych plag, a ze wszystkiemi innemi bądź bezpośrednio, bądź pośrednio pozostającą w związku, jest mania bawienia się w „wielką politykę“. Ta rozliczne przechodziła fazy, ostatecznie jednak przyjęła barwy trochę machiawelskie

z zasadą: „cel uświęca środki". Owóż zdaje mi się jakoby korespondencye waszych czasopism najczęściéj hołdujących bez zaprzeczenia „wielkiéj polityce" w imię tylko co wzmiankowanéj zasady nieraz dopuszczały się niektórych niezgodności z prawdą. W każdym razie rzeczą jest niezawodną, że w korespondencyach owych przeważną rolę odgrywa polityczna tendencya, nie zaś chęć bezstronnego badania i zapoznawania się z rzeczywistym stanem naszych stosunków. U nas, dzięki Bogu, już przecie politykowanie poczyna trochę z mody wychodzić, a choć Gazeta warszawska i Gazeta polska, piszą po dawnemu ogromne polityczne artykuły, i trzy piąte co najmniéj części potężnych szpalt swoich zapełniają wiadomościami ze wszystkich państw Europy, a nawet z Ameryki i innych części świata, to przecież tego wszystkiego prawie nikt nie czyta. Dawniéj, ba, nie bardzo dawno nawet, szlachta, officyaliści, kupcy, rzemieślnicy, stróże, przekupki, młodzież ucząca się, kobiéty, słowem wszyscy o jakichś w polityce europejskiéj rozprawiali zawikłaniach; wyraz wojna — miał tajemniczą siłę otwiérania uszu i przyspieszania uderzeń serca. Dzisiaj on już pośród nas najczęściéj wzruszenie ramionami wywołuje. Na ustach zawisł u wszystkich inny — stokroć miléj w uszach brzmiący a tak z tamtym sprzeczny wyraz — „praca". Aczkolwiek nie można powiedzieć, iżby każdy co tego powszechnego teraz hasła używa, miał prawo zastósować go wprost do swoich zwyczajnych i nadzwyczajnych zajęć, to przecież zwrot ku lepszemu widoczny. Z radością zaznaczyć nam wypada, że lud wiejski coraz bardziéj pracowitym się staje i na dobro własne coraz oględniejszym; że szlachta na wsi gospodarstwa coraz to więcéj pilnuje, na jarmarki się nie włóczy i w karty nie zgrywa; że młodzież szlachecka szlacheckich pozbywa się przesądów i już ani handlem ani rzemiosłem nie gardzi. Ten ostatni fakt wielce zaiste jest znaczącym; i sam jeden za zwiastuna nowych, lepszych może czasów mógłby być uważany. Prawie z każdym dniem posłyszeć u nas można, że ten i ów potomek klejnotem herbowym opatrzonego domu poszedł na naukę do téj lub owéj fabryki, lub gdzieś do szkoły rzemieślniczéj wstępuje; że młody urzędnik w godzinach pozabiurowych częstuje publiczność towarem we własnym lub spółkowym swoim sklepie. Banki: handlowy i dyskontowy, Towarzystwo ubezpieczeń, biura tutejszego króla bankierów i przemysłowców — Kronenberga roją się tłumami pracującéj tam wysoko urodzonéj i prawdziwie nieraz wysoko wykształconéj młodzieży. A znajdziecie ich — tych potomków dumnych wojewodów, kasztelanów, butnych starostów, panków i półpanków wszelakiego gatunku i koloru i w fabrykach żelaznych Lilpopa, Ostrowskiego i innych, i w zakładzie Welijaminowa, i w gar-

barniach na Lesznie i w niejednym sklepie w środku miasta. Coraz to częściej spodziewajcie się spotkać u nas dziedzica obszernych włości, który mając kilku synów jednego z nich tylko na gospodarza kieruje a innych innym poświęca zawodom. Jeżeli zresztą nie czynem, to słowem przynajmniej występuje na jaw coraz to większa liczba wyznawców nowych pojęć i czysto nowoczesnych na życie poglądów. To też jest nadzieja, że spółeczeństwo nasze, dzięki temu kierunkowi w usposobieniach wkrótce uleczy się zupełnie z ran które wczasie gry w mrzonki wielkiej polityki poniosło.

Faktem jest, że na skutek uwłaszczenia przez ukaz z 2 marca 1864 r. dokonanego, dobrobyt klasy włościańskiej, tej najważniejszéj bo liczebnie największej części narodu zyskał trwałe podstawy, i wzrósł znakomicie. Instytucya samorządu gminnego kształci umysł naszego chłopa, więcéj pewno niż zaprowadzone dziś powszechnie po wsiach szkoły elementarne. W tych ostatnich nauczą go może czytać — przy pierwszéj z pewnością nauczy się myśleć. Obłożenie wódki wysoką akcyzą (przeszło rubla płaci się z garnca) i ograniczenie liczby szynków po wsiach znakomicie wpłynęło na zmniejszenie się pijaństwa w klasie włościańskiéj.

Zmniejszyła się liczba pasożytów spółecznych, a dodać należy że walki ultramontanów z liberalnemi, na które tak bardzo cierpią i tak wiele sił a czasu marnują niektóre katolickie kraje, u nas są prawie nieznane. Księża świeccy uposażenia mają w pieniądzach. Już dziś u nas nie dla chleba, ale z powołania młodzież do seminaryów wstępuje. Duchowieństwo po parafiach więcéj ma obecnie czasu dla pełnienia obowiązków kapłańskich, i rzeczywiście gorliwiéj je pełni.

Same reformy które w swoim czasie tyle wywołały krzyku i tak bardzo oburzały naszą publiczność, w gruncie rzeczy, niektóre przynajmniej, nie jedną przyniosły nam korzyść. Bo umiano z nich korzystać i do potrzeb miejscowych zastosować. W końcu trzeba i to dodać, że nietyle na zasady tych reform narzekała publiczność, ile na sposób wykonania ich zbyt szorstki, gwałtowny, a często niechęcią jawnie tchnący, odstraszał umysły od trzeźwego na rzeczy poglądu, i niepozwalał rzczywistéj dopatrzeć się prawdy. Spłynęły ztąd nie małe na nas nieszczęścia, których pozostałością w czasach dzisiejszych i to pozostałością bardzo szkodliwą, jest ogólny zwyczaj narzekania i utyskiwania na ciężką niedolę kraju. Chorobliwe to usposobienie tak u nas powszechne, w najrozmaitszych przejawia się postaciach a zazwyczaj ten skutek przynosi, że dotknięte niém subjectum gorzknieje, kwasi się i z założonemi rękami lepszych wyczekuje czasów. Na szczęście, młodzież nasza coraz to mniej daje do siebie

przystępu téj pladze: co raz to bardziéj rozpowszechnia się wśród niéj przekonanie, że praca i wytrwałość najnieurodzajniejsze niwy w bujne zamienić może pola; że korzystać z czasu i wyciągać wszelkie możliwe korzyści z danego położenia lepiéj zawsze, niż marzyć, narzekać i nic nie robić. Wprawdzie tu, w samej Warszawie istnieje jeszcze nie mało młodych bajronistów i próżniaków; nie z jednéj piersi dobywa się jęk boleści, którego przyczyną — pustka w głowie i w sercu, zazwyczaj z inną pustką — próżnią kieszeni w ścisłym zostająca związku; niejedne usta umieszczone w równie pustéj głowie, ponad równie pustem sercem ale nad niepustą kieszenią, powtarzają, że w kraju naszym dla młodego człowieka karyera zamknięta a właściciel tego wszystkiego marnuje czas, siły i pieniądze na zabawy i rozpustę: ale liczba tych niefortunnych okazów z dniem każdym się zmniejsza. Szeregi marzycieli-bajronistów i próżniaczej złotéj młodzieży rzednieją coraz więcej. Oczy większości odwracają się od różnego rodzaju mrzonek, a coraz wyraźniéj kierują swe spojrzenia ku źródłom wszelkiego zdrowego społecznego życia — ku nauce i przemysłowi.

Z prawdziwą przyjemnością zaznaczyć musimy fakt, że ruch przemysłowo-handlowy wzmaga się nieustannie. Za dowód niechaj wam służy tutaj olbrzymi wzrost fakryk Lilpopa i Raua, które już teraz nie same narzędzia rolnicze wyrabiają, ale oraz budują ogromną liczbę wagonów, i fabrykują żelazo na mosty. Dalej założenie fabryki Woroncowa-Welijaminowa zajmującéj się na wielką skalę produkcyą przyrządów telegraficznych, wag i innych narzędzi. Liczba młynów amerykańskich i parowych w całym kraju rośnie ciągle; niektórym, sam mógłbym wam wymienić kilka, bardzo dobrze się powodzi. Nie mały z tąd zysk dla rolnictwa i hodowli inwentarza, bo w kraju zostają otręby, które dawniej za granicę z surowym produktem wychodzić musiały. Zboże też na miejscu lepiej można spieniężyć w takich młynach niż na zagraniczny export. Założenie i potężny wzrost banków handlowego i dyskontowego w Warszawie świadczą także dobrze o ruchu handlowo-przemysłowym. Akcye obu tych instytucyj stoją po nad nominalną wartość. Kurs akcyi kolei Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgowskiej podniósł się znacznie w ostatnich czasach — papiéry kolei tak zwanej Fabryczno-Łodzkiej stoją ciągle prawie bardzo dobrze. Wprzyszłości w korespondencyach z Warszawy poznacie bliżéj cały ten ruch handlowy i przemysłowy w kraju naszym — na dzisiaj ograniczyć się muszę tylko na skonstatowaniu faktu — że ruch ten istnieje i że wzrasta ciągle.

Ekonomiczne położenie rolnictwa tutejszego samo mogłoby dostarczyć materyału do napisania obszernego stydyum. I otém chciał-

bym wam w przyszłości i to i owo powiedzieć, na teraz zaznaczam tylko fakt, że w skutek reformy włościańskiéj gospodarstwo nasze wejść musiało na zupełnie nową drogę — racyonalną, umiejętną. Już dziś ustępuje coraz więcej pojęcie jakoby stan gospodarza wiejskiego był jedyném stanowiskiem dla człowieka dobrze urodzonego i dobrze wychowanego: natomiast powszechne uznanie znajdzie myśl, że nie jest to żadne uprzywilejowane stanowisko ale po prostu fach specyalny — rzemiosło. Dawniéj ogół naszych wiejskich gospodarzy trzymał się rutyny tylko — uprawiał rolę jak ją uprawiali przodkowie i — jak jeszcze teraz czasem utrzymuje, dobrze mu się działo. Tak, — ale czyż to było właściwie gospodarstwo? Szlachcic sprzedawał tylko robociznę swoich włościan w postaci produktu — ziemia małą lub żadną przynosiła rentę. To też nie dziw, że przy takim systemie gospodarstwo rolne w skutek reformy włościańskiej gwałtowne przejść musiało przesilenie. Kryzys ta dziś jeszcze ciągle uczuwać się daje. Obywatele wiejscy zalegają raty Towarzstwa kredytowego i plączą się w długi — subhastye, przymusowa sprzedaż przez Towarzystwo są na porządku dziennym. Ale czy kraj pod względem ekonomicznym tak bardzo na tém cierpi? Przejście większych własności z rąk nieudolnych dzisiejszych właścicieli do rąk ludzi gospodarstwo jako specyalność fachową, a nie jako stanowisko traktujących, nader jest pożądanem — a dziś u nas tylko ci ostatni mają za sobą prawdopodobieństwo utrzymania się przy własności. Smutny przeto peryod przesilenia prędzéj czy później skończyć się musi, a przy współdziałaniu Towarzystwa kredytowego ziemskiego, które w r. 1869 nową, wielce racyonalną zyskało ustawę; przy oddziaływaniu ruchu jaki obecnie w życiu handlowo-przemysłowém istnieje, ufać potrzeba, że ta fatalna kryzys i prędko i dobrze przeminie. Skutkiem owego przesilenia cena ziemi w większych własnościach spadła niezmiernie. Sam mógłbym wam wymienić nie jeden taki majątek, za który przed r. 1864 dawano miliony, a który teraz w drodze przymusowéj sprzedany za trzecią, ba — i mniejszą czasami część dawnéj ceny poszedł. Pozbawione komunikacyj i otworów zbytowych lubelskie, stosunkowo najwięcej ucierpiało. Wszelako w ostatnich czasach okazywać się już poczyna niejakie w tym względzie polepszenie. Z drugiéj strony, ziemia w ręku włościan będąca znakomicie podniosła się w cenie. W kieleckiej gub. na połndniu za morgę ziemi płacą chłopi po tysiąc złp. i więcéj; a liczba nabywców między niemi coraz bardziej rośnie. Niektórzy z właścicieli większych majątków bardzo dobrze wychodzą na sprzedarzy gruntów włościanom. Bodaj takich jak najwięcéj było! A żebyście wiedzieli jak teraz nasi włościanie z każdego kawałeczka gruntu ko-

rzystać pragną — jak skopują parowy, jak równają doły, trzebią krzaki i zarośla, orzą odłogi i t. d. Własność czyni pracowitszym, u nich przynajmniej.

Co do ruchu umysłowego—objawów w nauce i sztuce, i tu także zwrot ku lepszemu widoczny. Młodzież garnie się do nauki, w uniwersytecie pracują. Wprawdzie na nasz mały kraj zbyt wielki procent młodych ludzi kieruje się na uczonych — Uniwersytet liczy około tysiąca studentów. Lepiej byłoby może gdyby zamiast tego więcéj u nas zajmowano się naukami technicznemi. Gdyby jednak w kraju naszym istniała jaka politechniczna szkoła, niezawodnie połowa dzisiejszych słuchaczy warszawskiej wszechnicy do niej by się przeniosła. Nie tworzyłby się tak jak to ma miejsce obecnie proletaryat naukowy. Kraj nasz jak na teraz przynajmniej, nie jest w stanie zużytkować sił umysłowych, jakiemi go obdarza uniwersytet. I tak weźmy np. wydział prawniczy. Ten za istnienia szkoły głównéj liczył raz około 600 słuchaczy. — Obecnie po lekarskim najliczniej jeszcze jest uczęszczany. Jakież stąd następstwa? Oto 260 aplikantów sądowych marnuje swe umysłowe siły i młodzieńczy zapał w ciągłém oczekiwaniu posady. A iluż to z téj liczby walczyć musi z tysiącem trudności, aby zarobić na kawałek powszedniego chleba; iluż poniża się moralnie w ciągłém gonieniu za protekcyą i wyzyskiwaniu stosunków celem pochwycenia nędznéj jakiéj posadki. Wielu znowu przygniecionych potrzebą chwili zaniechać musi rezultatów mozolnej kilkoletniej pracy, i bierze się do zajęć nie mających żadnego związku z traktowaną przez nich naukową specyalnością. Sam liczę między znajomemi magistrów prawa i administracyi trudniących się guwernerką, magistrów nauk filologiczno-historycznych co pracują w kantorach handlowych i t. d. Toć nauka jak wszystko w życiu spółeczném winna być pożyteczną, a pożyteczną być może tylko wtedy, gdy z niej bezpośrednio płyną jakieś korzyści, gdy praktyczne przynosi rezultaty. Uczyć się jedynie dla własnéj wiadomości — to się podobno na nic nie zdało. Jeźli takim studyom towarzyszy materyalna nędza, jeźli młody człowiek po kilkoletnich studyach ujrzy że dotychczasowa praca jego marnuje się bezowocnie, żal ściska jego serce, duch miota się gorączkowo i — bajronista gotowy.

W związku z tym trochę nienaturalnym popędem do mało produkcyjnych studyów, zostają po części objawy naszego peryodycznego piśmiennictwa. Ileż tu bezpotrzebnie marnuje się papiéru i drukarskiej massy; ile sił umysłowych trwonimy na wypełnianiu szpalt naszych czasopism kwiatkami, czasem nawet bezbarwnemi i bezwonnemi. Już to ruch na polu peryodycznej prassy u nas ogromny. Od nowego roku w saméj Warszawie wychodzić będzie

ze czterdzieści czasopism, a obok tego i miasta gubernialne: Kalisz, Radom, Kielce i Lublin mają już swoje Kuryery i Gazety.

Czy te wszystkie pisma utrzymają się w przyszłości? Prawdopodobnie, że nie. Zdaje się, że nowe, mają za sobą więcéj prawdopopobieństwa w tym względzie niż dawne; daje się bowiem silnie uczuwać potrzeba odmłodzenia redakcyj. Dawne popadły w ospałość i odrętwiałość, z któréj trudno im wybrnąć. Społeczeństwo już się odmłodniło — pisma owe żyją życiem dawniejszém. Niektóre z nich utrzymują się jedynie nałogiem nawyknienia swoich prenumeratorów. I tak np. kilka razy na wsi ujrzawszy na stole jeden z bardzo rozpowszechnionych tutaj dzienników politycznych, zapytywałem prenumeratorów, czy ów dziennik cały czytają. „Eh — któżby znowu to wszystko czytał“ — była zawsze odpowiedź.

W dalszéj rozmowie dowiadywałem się, że gazetę trzymać trzeba, bo jakżeby żyć na wsi bez gazety, ale że zaledwie może jedna z dwunastu szpalt i fejleton bywają czytane. A przecież te dzienniki polityczne są wcale nie tanie. Pytam się — jaki pożytek ztąd, że redakcya wypełni drukiem wielki arkusz papieru, kiedy zaledwie dwunasta część tego wszystkiego jest czytana? Lepiéjby może było zmniejszyć format, i — pismo tańszém uczynić, albo dawać artykuły, coby każdego zainteresować mogły. — Ciekawym objawem na polu peryodycznego piśmiennictwa jest ulubiony przez uczącą się młodzież „Przegląd tygodniowy“. Pisemko to przeważnie negatywnéj wartości, z nadzwyczajną zaciekłością napada na inne czasopisma żądając od nich sumienności, pracy i większego kwantum treści w tém co piszą. Nie można się téż dziwić, że zaczepiane pisma wielką dla Przeglądu pałają nienawiścią, gdyż nie pozwala on im spokojnie zasypiać, marzyć i — ziéwać. Cokolwiek tu u nas mówią o Przeglądzie, nie można mu pewnych odmówić zasług. Choć sam przez się pozytywnie nie tworzy nic — jest jednak bodźcem do pracy dla innych. Że takie pismo jest tu u nas na czasie, świadczy najlepiéj ten fakt, że „Przeglądowi“ z każdym kwartałem przybywa prenumeratorów. — Pism belletrystycznych nie mało u nas. Najbardziéj może żywotném z nich — „Wędrowiec“. Jego „Nowości“ zaznajamiają publiczność z wynalazkami, odkryciami, bibliografią społczesną, podają niektóre statystyczne daty itp.

Największą liczbę czytelników i abonentów liczą zapewne „Kłosy“. Dzieł oryginalnych bardzo mało wychodzi — poznajomią was z niemi przeglądy i bibliografia. Do udatnych prac zaliczyć należy książeczkę p. t.: „O Wolności woli“ — przez Juliana Ochorowicza młodego i zdolnego kandydata tutejszego uniwersytetu napisaną. Ochorowicz, jak przeważna liczba młodzieży poświęcającéj

się u nas nauce, jest pozytywistą. Kierunek ten, jak również ów ruch na polu piśmiennictwa peryodycznego świadczy, że społeczeństwo nasze stało się młodém, że tendencye czasu széroki doń przystęp znalazły.

Popularyzowanie wiedzy i przelewanie wiadomości w massy widocznie stało się u nas jak w całéj Europie potrzebą czasu. Inaczéj trudnoby sobie wytłumaczyć przyszło możliwość powstawania i istnienia tak wielkiéj liczby czasopism.

W dziedzinie sztuki ruch nie wielki za wyłączeniem muzyki. Poetów brak prawie zupełny, choć dużo drukuje się poezyj, a z nich niektóre dość udatne nawet. — Teatr kwitnie, choć nie kwitnie wcale sztuka dramatyczna. Aktorów mamy wybornych — publiczność szaleje za niemi. Gra artystów scenicznych więcéj interesuje naszą publiczność niż treść, którą słyszy ze sceny. — Jednéj tylko muzyce trochę pomyślniejsza świéci gwiazda. Instytut muzyczny pod dyrekcyą Kątskiego i świeżo założone Towarzystwo muzyczne, krzewi zamiłowanie muzyki, i kształci zmysł estetyczny Warszawian lubiących żyć w państwie Euterpy. Dawniéj muzyki klasycznéj nie lubiano u nas — muzyki kwartetowéj (Kammermusik) nie znano wcale. — Dziś i jedno i drugie się zmieniło. Publiczność entuzyazmuje się słuchając utworów Bethowena, Haydna, Mozarta itd. To téż kiedy dawniéj bez sądu klaskano każdéj pięknéj śpiewaczce, a każdego Włocha na scenie Wielkiéj Opery z zapałem przyjmowano — dziś na fałszywe tony ucho publiczności drażliwsze — już sądzą, nie uwielbiają tylko. Znajdą się wprawdzie frenetyczne oklaski, ale téż i zimne lodowate przyjęcie ścisło krew w żyłach nie jednego zbyt odważnego wirtuoza.

Sztuki plastyczne niezbyt się ruszają. Towarzystwo zachęty sztuk pięknych nie wiele zbudowało i w chwili obecnéj nie wiele podobno robi. Publiczności naszéj brak muzeów, w którychby zmysł estetyczny dla tych sztuk ukształcić mogła, to téż mało one wzbudzają u nas entuzyazmu. Muzykę arcymistrzów nowożytnéj sztuki już dawniéj dawał nam tu poznać Bilse w swoich koncertach w Szwajcarskiéj Dolinie. — Rzeźbę i malarstwo znamy tylko ze słyszenia i ze sztychów. Produkcye krajowe zbyt nieliczne. Malarstwo jest wyłącznie rodzajowém — przebija w niém prawie wyłącznie kierunek liryczny, i to nawet wtedy, gdy obraz historyczne przedstawia postacie. Przykładem Barbara Simmlera, najznakomitszy utwór w dziedzinie naszego malarstwa czasów ostatnich. Malarstwa historycznego w ścisłém słowa znaczeniu prawie zupełnie nam brakuje. Na jego polu robił niejakie usiłowania Gerson.

Architektura liczy u nas kilku zdolnych przedstawicieli, ale w ostatnich czasach prócz kilku ładnych konkursowych planów nie stworzyła nic wielkiego.

Wspaniały gmach przy rogu ulic Królewskiéj i Mazowieckiéj, którego wybudowanie Kronenberga podobno milion kosztowało rubli, jest pomysłu jakiegoś zagranicznego architekta. Nie miałem sposobności rozmawiać o nim ze specyalistami; mnie wydaje się styl jego trochę ciężkim. Kosztowny i architektonicznemi ozdobami przeładowany dach jakby przygniatał drugie piętro ku ziemi. W każdym razie jest to gmach bardzo wspaniały i bardzo przyozdabia dzielnicę, w któréj stoi. — Pałac, o którym mówimy mieści w sobie biura Kronenberga. Potęga finansowa w pysznych ramach! prawdziwie jak w dziewiętnastym wieku. Jakże małemi teraz i blademi wydają się pałace dawnych magnatów naszych!

Społeczeństwo idzie naprzód — kto nie dąży za niém — ginie. Walka o byt....

Zakończyć już muszę, bo mię już kilka godzin tylko oddziela od chwili, w któréj list mój na skrzydłach pary ku wam ulecieć winien. Nie myślcież, abym miał pretensyę do tego, iżbym w tych kilku stronnicach odmalował wam całość naszego społecznego życia— wiele pominąłem, wiele może i przeoczyłem. W przyszłości usterki te poprawię, jeźli zdołam. Tymczasem — bywajcie zdrowi i źle o nas tutaj nie myślcie.

ALEKSANDER hrabia PRZEZDZIECKI.

Doktor filozofii.

PRZEZ

Jana ze Śliwina.

W listopadzie, kiedyśmy się krzątali o założenie niniejszego Pisma, przybył do Krakowa Aleksander hrabia Przezdziecki. W pierwszéj rozmowie o tém wydawnictwie, z rzadką, a jemu tak właściwą uprzejmością, oświadczył chęć wspierania naszego przedsięwzięcia. Wyliczył nawet kilka prac swoich historycznych, które miał dokończyć i dać do naszego Pisma. — Mój Boże! któż się mógł spodziewać, że te nadzieje tak prędko znikną, że pismo nasze ozdobić będziemy mogli tylko jedną pracą [1]) tego nieodżałowanego męża! Zacne, zasłużone nazwisko jego podaliśmy na liście współpracowników, a dziś musimy już je wykreślić z liczby żyjących.

Aleksander hr. Przezdziecki urodził się dnia 29 lipca r. 1814 w rodzinnéj wsi Czarnym Ostrowiu, na Podolu, gdzie ojciec jego, możny obywatel, przez lat wiele piastował godność marszałka szlachty gub. podolskiéj. Kształcił się w liceum Krzemienieckiém, a następnie w uniwersytecie Berlińskim.

Z Berlina przeniósł się Przezdziecki do Petersburga, gdzie czas jakiś pracował w ministeryum spraw zagranicznych, następnie zaś wypadki przerzuciły go w głąb Rosyi. Pracował tam w biurze gubernatora cywilnego. Powrócił wreszcie na Podole i wyłącznie poświęcił się pracy naukowéj, a wytrwał w niéj aż do śmierci.

Jeszcze będąc w Berlinie przedsięwziął podróże naukowe w cza-

[1]) W następnym tomie zamieścimy ustęp z dziejów Jagiellonek — dotąd nigdzie nie drukowany, p. t.: „Do czasów Zygmunta I“.

sie wakacyj. Jednę z nich ogłosił później drukiem. W Petersburgu napisał po francuzku dramat historyczny: „Don Sebastian de Portugal“; grany z niemałém powodzeniem na scenie petersburskiéj po raz pierwszy dnia 18 stycznia 1836 r., a następnie na scenie paryzkiéj. Po francuzku też, w późniejszych latach, ogłosił przekład swój, jednéj z najpiękniejszych powieści Kraszewskiego: „Świat i Poeta“, a nadto kilka innych dziełek pod pseudonimem Noira, który przybrał z powodu rodzinnego „Czarnego Ostrowia“.

Po powrocie do domu poznał się Przezdziecki z Kraszewskim, Grabowskim, Hołowińskim, Rzewuskim, ówczesnymi koryfeuszami literatury. Najbliższe wszakże stosunki wiązały go z Kraszewskim. Wiadomo, jak wielki wpływ wywierała niezmordowana działalność ostatniego na piśmiennictwo ówczesne. Przezdziecki uległ temu wpływowi, zarzucił francuzczyznę i prawie wyłącznie oddał się badaniom historycznym i archeologicznym, nie spoczął przez lat prawie 40, a umierając w 57 roku życia, zostawił tyle dowodów swéj pracy, poświęcenia się i miłości dla nauki, na które innemu i wiekuby nie starczyło.

Badania historyczne, etnograficzne, archeologiczne Przezdziecki najpierwiej zaczął ogłaszać w Atheneum Kraszewskiego, i był aż do końca istnienia tego pisma najczynniejszym jego współpracownikiem. Później ogłaszał niekiedy swoje prace w Bibliotece Warszawskiéj i innych pomniejszych pismach.

Z odrębnych pism jego wyszły: w r. 1836 w Warszawie — „Szwecya, wspomnienia jesienne z r. 1833“; drugie wydanie w Wilnie w r. 1841.—„Podole, Wołyń, Ukraina, obrazy miejsc i czasów“, w Wilnie, w r. 1841, 2 tomy. — „Próby dramatyczne polskie“, tamże 1841.—W r. 1843—1844 ogłosił w Wilnie razem z Michałem Grabowskim i znakomitym badaczem dziejów ojczystych Mikołajem Malinowskim „Źródła do dziejów polskich“ w 2 tomach.—W r. 1844 „Jadwiga, dramat historyczny“ w Wilnie. — W r. 1850 w Warszawie „Wiadomości bibliograficzne o rękopismach po bibliotekach i archiwach zagranicznych“.—W r. 1851 „Paweł z Przemankowa“.— W r. 1852 „Listy Annibala z Kapuy“.—W r. 1853 „O Polakach w Bononii i Padwie“. — W tymże roku — „Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach“. — W tym też roku rozpoczął razem z Edwardem Rastowieckim wydanie „Wzorów sztuki średniowiecznéj z epoki odrodzenia w dawnéj Polsce“. — W r. 1854 — „Życie domowe Jadwigi i Jagiełły“. — W r. 1856 — „Mikołaj Władysław Przezdziecki. — W r. 1859 — (w Poznaniu) „Ofiary, komedya przepolszczona.— W r. 1861 „O włóczni zwanéj św. Maurycego.— W r. 1862 wydał „Kronikę Kadłubka“ z tłumaczeniem polskiém.

Jeszcze w r. 1848 rozpoczął wydawnictwo wszystkich dzieł Długosza, w którém sam podjął najtrudniejszą pracę, tj. wyśledzenie, ocenienie i opisanie rękopismów różnych dzieł tego kronikarza znajdujących się w odpisach w archiwach i bibliotekach po całéj Europie rozrzuconych. Spis tych kodeksów i opis wydał Przezdziecki po polsku w Krakowie i w Warszawie; w roku zaś 1870 ogłosił po francuzku i po niemiecku [1]) w celu zyskania dopełnień od uczonych Europejskich. Nikt jednak z biblijografów niemieckich i francuzkich dodać czegokolwiek do zupełnego wykazu niemógł. Dowodem to, jak sumienną była praca Przezdzieckiego, która wymagała szerokich stosunków, niezmordowanych podróży i ogromnego nakładu. Ustalenie tekstu dziejów podług znalezionych przez siebie autografów powierzył Przezdziecki uczonemu Żegocie Paulemu, zaś administracyą wydawnictwa oddał prof. Łepkowskiemu. Odezwa, którą zakreślił rozmiary wydawnictwa, powinna być i dziś programem do skończenia tego tak szerokich zakresów przedsięwzięcia [2]).

---

[1]) Enumération et Description tommaire de 64 manuscript I, 6 fragm. 10 obreges etc. 1870. — Po niemiecku tegoż roku w Intelligenz Blatt zum Serapeum. Nr. 7—8.

[2]) Podług téj odezwy wydawnictwo dzieł Długosza zamierzał Przezdziecki rozłożyć na następujące podziały:

1) Wydanie nowe Historyi t. j. poprawienie edycyi lipskiéj przez porównanie najdawniejszych i najlepszych rękopisów, mianowicie Rzymskiego, Wilanowskiego, Krakowskiego, Kórnickich itd.

2) Wyjaśnienie źródeł, z których czerpał Długosz i poprawienie w przypiskach błędów chronologicznych i genealogicznych.

3) Wydanie żywotów arcybiskupów gnieznieńskich, biskupów krakowskich i innych jakieby się znaleźć mogły, z manuskryptów Bibliotek warszawskich, krakowskich, lwowskich itd.

4) Wydanie nowe żywotów biskupów poznańskich i wrocławskich poprawione z rękopisów.

5) Wydanie żywota św. Kingi z rękopisu Starosądeckiego.

6) Wydanie nowe żywota św. Stanisława.

7) Wydanie tak ważnego dla geografii krajowéj „Libri Beneficiorum", za dozwoleniem Prześwietnéj kapitnły krakowskiéj, w archiwum któréj przechowuje się jedyny rękopis téj szacownéj pracy Długosza.

8) Wydanie nowe „Clenodia", „Banderia Cruciferorum" i pomniejszych dziełek, z porównaniem najlepszych rękopisów.

9) Odszukanie i wydrukowanie listów i mów Długosza, w porządku archeologicznym.

10) Napisanie żywota Długosza po polsku, z dodaniem do niego tekstu łacińskiego.

11) Przetłómaczenie „Historyi", „Żywotów i listów" na język polski.

12) Trudnienie się drukiem i korrektą całego dzieła, które będzie obejmowało od 900 do 1000 arkuszy druku, w 4 tomach in folio w językach łacińskim i polskim.

W wykonaniu zakreślonego planu wyszło 3 tomy „Libri beneficiorum“ i 5 tomów przekładu dziejów dokonanego przez prof. Dra Karola Mecherzyńskiego. Pierwszy tom oryginalnego tekstu dziejów był już w druku zupełnie gotowy w chwili śmierci wydawcy, tak dalece, że po śmierci znaleziono na stoliku przedmowę w korrekcie do druku przez niego zatwierdzoną.

Koszta wydawnictwa wyniosły dotąd około 30 tysięcy zł. reńskich, z których ledwo trzecia część powrócona została.

Jego chętną ofiarą zachowane od zatracenia nader ważne materyały, zebrane do dziejów naszych z archiwum Watykańskiego przez ks. Theinera. Przy udziale p. Jana Koźmiana wydał on w r. 1860—1864 wielkie cztery tomy tego olbrzymiego dzieła p. t.: „Vetera monumenta Poloniae et Lithuaniae“.

Jego też wyłącznym kosztem wyszły ostatnie 3 tomy, (8my, 9ty i 10ty) „Historyi Literatury polskiéj“, przez Michała Wiszniewskiego, z niektóremi uzupełnieniami z własnych materyałów, w liczbie których, w imię prawdy i bezstronności historycznéj, nie zawahał się ogłosić po raz pierwszy drukiem list sławnego księcia Leona Sapiehy do arcybiskupa unickiego Józefata Kuncewicza, ten ważny, choć nader smutny przyczynek do dziejów panowania Zygmunta III. Wydawnictwo dzieł Wiszniewskiego przyprawiło Przezdzieckiego o wielkie straty. Gdy od ś. p. K. Macewicza, dziedzica rękopismów owego słynnego profesora uniw. Jagiellońskiego, nabył pomieniony rękopis Historyi Literatury przygotowany do tomów kończących dzieje na czasach jemu współczeznych za 36,000 zł. p., kwota ta zwiększona kosztem wydawnictwa 3ch wymienionych tomów, wcale się nie wróciła; owszem, jak nam dobrze wiadomo, cały nakład wszystkich 10 tomów sprzedał zmarły antykwaryuszowi Iglowi za 1000 r. s. w tym tylko celu, aby nie butwiały dzieła zasłużonego pisarza. Rękopisma zaś wszystkie po Wiszniewskim, które służyły za materyał do tomów wydanych i do tych, które jeszcze ogłosić wypadało, testamentem przekazał Przezdziecki Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, którą to wolę spełnił już syn jego hr. Konstanty.

Wzorów sztuki średniowiecznéj wyszły 2 serye ogromne po 24 zeszyty każda i 14 zeszytów seryi trzeciéj. Pod względem wspaniałości wydania, wyboru i liczby przedmiotów, „Wzory“ nietylko

---

13) Zamówienie ryciny portretu Długosza, widoku domów i kościołów jego fundacyi, podobizn jego pisma i wizrunku przyszłego grobowca.

14) Postawienie pomnika grobowego na zwłokach Długosza.

15) Wybicie medalu pamiątkowego na uwieńczenie całego dzieła poświęconego pamięci Długosza.

nie ustępują, ale w wielu razach przewyższają nawet najznakomitsze wydawnictwa tego rodzaju za granicą. Większą część objaśnień do Wzorów pisał sam Przezdziecki, i w ogóle pod koniec wydania baron Rastowiecki złożony niemocą, nie brał wcale udziału.—XV i XVI zeszyty nadesłane zostały Przezdzieckiemu w korrekcie przed samą już jego śmiercią.

W r. 1867 wydał „Bogarodzicę“, pieśń św. Kazimierza.

Najważniejszém atoli pomnikowém dziełem, jako sumienną pracą historyczną, pozostaną zawsze jego „Jagiellonki“, dla których jako materyał głównie służyły autentyczne listy córek Zygmunta I, oraz wiele innych nieznanych dotąd materyałów własną pracą po archiwach europejskich uzbiéranych. Pierwszy tom wyszedł w r. 1868. Dla dokończenia piątego tomu właśnie zamieszkał był na tę zimę w Krakowie i tu miał go wkrótce drukiem ogłosić.

Początek studyów około zebrania listów Jagiellonek charakteryzuje tę szczególną troskliwość w badaniach, w jakiéj Przezdziecki nie miał prawie sobie równego. W grudniu 1855 r. na drodze z Berlina do Kolonii, między Magdeburgiem a Brunświkiem, kolej żelazna wyrzuciła go, że tak powiem, przypadkowo, w Wolfenbüttel. Wypadało przesiedzieć tu parę godzin. Przezdziecki niecierpliwi się, a dla zabicia czasu idzie na miasto, ażali jakich ciekawych zabytków nie znajdzie. Wstąpił do starego bardzo kościoła, dziś protestanckiego, i jakże wielkie było jego zdziwienie, kiedy tu najniespodzianiéj natrafia na pomnik Zofii Jagiellonki, spoczywającéj w grobie podkościelnym. — Pociąg już dawno ruszył, a Przezdziecki siedział jeszcze przy grobie. Zostawiony przypadkiem w Wolfenbüttel, nie chce tracić napróżno czasu, idzie do archiwum książęcego, udaje się do archiwisty, lecz ten wręcz mu zapowiada, że tu nie ma nic godnego do widzenia; że wprawdzie są stare jakieś papiery, ale niezrozumiałe, bo po turecku pisane. Przezdziecki prosi jednak o ich pokazanie — i cóż? był to właśnie plik listów owéj Zofii, córki Zygmunta starego. Zagrzązł tedy Przezdziecki w Wolfenbüttel, a nie odjechał, aż nie zrejestrował i nie spisał wszystkich listów, dla zrobienia zaś dokładnych odpisów sprowadził Dra Kazimierza hr. Krasickiego, studenta uniw. (dziś posła w Berlinie z W. Ks. Poznańskiego).

Taki był początek studyów nad Jagiellonkami. Był to węzeł z którego gorliwość jego rozplątała bogaty materyał, zupełnie nieznany w naszych dziejach. Odtąd zaczęły się wycieczki w najrozmaitsze strony, jedynie w celu zbierania listów Jagiellonek. Znalazł gdzie list, a list ciekawy — uważa, że musiała być odpowiedź, bez któréj rzecz zostaje niewyjaśnioną. List znaleziony dajmy w Niemczech — odpowiedź mogła być w Kopenhadze — rusza więc tam,

szuka i znajduje. Taką to koleją przypadek nasunął myśl, a niezłomna energia i miłość nauki dopomogły ją urzeczywistnić i zrodziły jedno z najpiękniejszych dzieł naszéj historycznéj literatury!

Dla braku dat potrzebnych pominąć tu musimy udział Przezdzieckiego w wydawnictwach pod firmą Klukowskiego w Warszawie, nakłady jego na drukarnią tamże istniejącą; podtrzymywanie funduszem Biblioteki Warszawskiéj, i wiele innych przedsiewzięć literackich, przez niego hojnie wspieranych. Wiadomo wszakże, że w r. 1855 wydawał Gazetę Codzienną w Warszawie, w któréj umieszczał wiele własnych artykułów, jak np. ciekawe listy z podróży z Gdańska, z Trzemeszna, Poznania, Gniezna, Torunia, Kruszwicy, Strzelna, Mogilna, Kolonii, Amsterdamu i z innych miast Europy, gdzie po archiwach znajdował rzeczy historyą obchodzące. Podobne relacye z podróży oprócz w Gazecie Codziennéj, drukował téż w Gazecie Warszawskiéj, w Bibliotece Warszawskiéj i innych pismach. Ważniejsze zaś sprawozdania i rozprawy ogłaszał w Rocznikach Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Po za wykazem badań, studyów, literackich zajęć Przezdzieckiego, to jest prac drukiem ogłoszonych, jest jeszcze mnóstwo robót archeologicznych, rzeczy dokonanych ofiarą, czynem, nie zaś piórem. Do takich należą naprzykład poszukiwanie grobu Bolesława Wstydliwego, upamiętnienie w St. Gilles wspomnienia o Bolesławie Krzywoustym ofiarowaniem do tamtejszego kościoła arcydzieła Froment Meurice, owego Celliniego czasów dzisiejszych, odnowienie monumentu Bolesława śmiałego w Ossyach (w Karyntyi pod Alpami, niedaleko Clagenfurth, pomiędzy Villach i Sanct-Veit), zrestaurowanie sarkofagu królowéj Ryxy w Kolonii i wiele podobnych robót; co oprócz nakładu, potrzebowały trudu podróży, badawczego śledzenia, krytycznych studyów, a nadewszystko téj gorliwości, dla któréj nie było prawie granicy, między pomyśleć, zamierzyć, a zrobić.

Widzimy więc jak wiele zrobił Przezdziecki dla literatury, dla historyi i archeologii, jak sumiennie i gorliwie pracował przez lat prawie 40 (od r. 1833), jak wiele łożył na wydawnictwa, podróże naukowe, wspieranie przedsiewzięć literackich. Pod tym względem, w ostatnich czasach był to jedyny u nas mecenas, którego hojność, ofiarność i osobista praca przewyższyły nawet zasługi wielce zasłużonych i znakomitych poprzedników, Raczyńskiego i Działyńskiego.

Poślubiwszy naukę, a przedewszystkiem badania i wyjaśnienia historyczne, nie żałował ani czasu, ani zdrowia, ani pieniędzy. Z latami gorączkowa ta działalność, jakby przeczuwając blizki jéj zakres, wzrastała z dniem każdym. Gościem prawie był w domu.... Podróżował po całéj Europie, a nie było archiwu, klasztoru, biblio-

teki, którychby nie zwiedził, nie przewertował akt, katalogów dla wydobycia materyałów dziejowych. Jakoż Wiedeń, Berlin, Paryż, Rzym, Neapol, Wenecya, Padwa, Bononia, niemal wszystkie znaczniejsze miasta niemieckie dostarczyły mu materyałów historycznych nieznanych dotąd, zużytkował z każdego, obrobił krytycznie i podał do publicznéj wiadomości.

Poważne prace i badanie nie zrobiły z Przezdzieckiego zimnego pedanta. Umiał on zachować młodość uczuć, pojęcie piękna i szczególne zamiłowanie do sztuki dramatycznéj, Owszem, nawet w ostatnich latach, dla wytchnienia pisywał jeszcze dla sceny. Tak w roku 1866 wydał w Paryżu pod swoim pseudonymem Alexandra de Noirville dramat p. t. *Deux Reines de France*, w roku zaś 1868 dnia 23 Stycznia grano na scenie krakowskiéj komedję jego *Nazajutrz po balu*, która drukowaną niebyła, ale gazety miejscowe podnosiły jéj zalety.

Życie i prace naukowe Przezdzieckiego nie dadzą się określić w ciasnych ramach wspomnienia pośmiertnego. Wymagają one osobnéj pracy, szczegółowego rozbioru, aby i pamięć zmarłego zacnego męża dostojnie była uczczoną i ludziom żyjącym za przykład i wzór do naśladowauia posłużyć mogły. Naszem zadaniem było tylko po krótce określić stanowisko, jakie zajmował pośród nas Przezdziecki, jako uczony, jako mecenas piśmiennictwa.

Ale myliłby się ten, ktoby sądził, że na tem tylko polega zasługa Przezdzieckiego. Miłował on naukę, zaprzysiągł jéj wiarę, a żadne pociski, burze i przewroty, żadne osobiste straty, niezmusiły go nigdy do złamania téj wiary, nie wstrzymały i ofiarności na cele naukowe. Są to zasługi wielkie, które wywołały wdzięczność i uwielbienie rodaków.

Po zatem wszystkiem, po za uczonym, mecenasem, nakładcą bogatych wydań, widzimy jeszcze Przezdzieckiego, jako człowieka. A czy to w działalności naukowéj i literackiéj, czy jako obywatela możnego dóbr ziemskich i miejskich, czy jako członka wielu, bo niemal wszystkich ważniejszych korporacyi naukowych w Europie, czy wreszcie jako człowieka towarzyskiego, zawsze i wszędzie widzimy w nim człowieka wysokich cnót, prawości charakteru, dziwnéj słodyczy i uprzejmości, a duszy tak pięknéj, tak harmonijnéj z życiem, zawsze uczynnem dla wszystkich i wszystkiego co zacne i godne.

Pojmując zadanie nauki i obowiązek pracownika naukowego w najszerszych rozmiarach, zawsze był gotów do pomocy, a nawet że tak powiemy posługi naukowéj. Widzieliśmy tego dowody nawet w ostatnich tygodniach przed śmiercią, bo nie tylko że sam miał publiczne prelekcye, ale stawał i w zastępstwie p. Lucyana Siemień-

skiego z powodu jego choroby — następnie zaś miał jęszcze uczestniczyć 20 grudnia w prelekcyi publicznéj WincentegoPola, dla odczytania rozprawy jego, ale tą razą wyręczyć go musiał p. Antoni Zaleski; Przezdziecki bowiem już był złożony śmiertelną chorobą.

Jak wielką była, jak górującą była w Przezdzieckim miłość bliźniego, zaparcie się siebie, jak zacną była zawsze szczera i szlachetna chęć niesienia pomocy, możnaby podać wiele przykładów.

Od r. 1860 Przezdziecki uczestniczył we wszystkich kongresach antropologiczno-archeologicznych. Tak w roku 1860 w Kopenhadze; w r. 1867 w Antwerpii; w r. 1868 w Bonn i w 1871 w Bononii. Na wszystkich 4 reprezentował Towarzystwo naukowe Krakowskie. Sprawozdanie z pierwszych dwóch ogłoszone w Bibliotece Warszawskiej, zaś z drugich dwóch w Rocznikach Tow. Nauk. Krak. Na pierwszych dwóch był zarazem delegatem Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. W roku przeszłym jadąc do Bononii, wstąpił poprzednio do Czeszewa w Poznańskiem do znakomitego naszego Dra Karola Libelta i razem z nim badał czeszewskie mieszkania nadwodne.

W listopadzie przybył do Krakowa. Zdrów był zupełnie, i z zapałem młodzieńca oddał się pracy nad wykończeniem V tomu Jagiellonek. Widzieliśmy go pełzającego po podłodze w jednéj prywatnéj bibliotece dla wyszukania dzieł mu potrzebnych. a niepozwolił aby go wyręczono. Godną podziwienia była jego skromność: nie wiedział czego, szukał źródła, radził się, badał. A zawsze sam, nie chcąc się nikim posługiwać, nie z pychy, ażeby samemu sobie być winnym rezultat poszukiwań, ale z téj wrodzonéj delikatności, ażeby kogokolwiek trudzić dla siebie. W pracach jego historycznych wybitną stroną była zawsze niezależność w poglądach, śmiałość w wypowiedzeniu prawdy. Nie obwijał on jéj w bawełnę, nie kręcił się w kółko, ażeby rzecz zagmatwać i prawdy niewypowiedzieć, jak to czynią niektórzy nasi uczeni, ulegając względom prywatnym, a nie czując, że prawda historyczna chociażby najszczelniéj pajęczyną pokryta, dla oka badawczego zawsze się wydobędzie na wierzch. Sumiennym był i bezstronnym w pracach i badaniach swoich historycznych Przeździecki i przez to właśnie prace jego tchną taką prostotą, taką naturą i życiem. Jak w życiu był prawdziwy, tak i w pracach jego przedewszystkiem świeci prawda.

Uczestniczył we wszystkich posiedzeniach Towarzystwa naukowego w celu przeobrażenia tegoż w akademię i brał udział w niektórych obradach.

Na posiedzeniu oddziału archeologii i sztuk pięknych w Towarzystwie naukowém, d. 16 listopada zdał szczegółową sprawę z czynności swojéj, jako reprezentant Tow. Naukowego na kongresie ar-

cheologów w Bononii, jak również i z czynności samego kongresu. Ciekawe to sprawozdanie będzie wydrukowanem w „Roczniku Towarzystwa“. Okazał też przywieziony ze sobą bogaty zbiór broszur odnoszących się do najświeższych badań na polu archeologii przedhistorycznéj — oraz zbiór wykopalisk, który przedstawiał na kongresie. Następnie to samo sprawozdanie, w skróceniu, odczytał w sali muzeum technologiczno-przemysłowego, w obec licznie zgromadzonéj publiczności; przed rozpoczęciem zaś, w krótkiem, ale treściwem przemówieniu podniósł zasługi założyciela muzeum, Dra Andrzeja Baranieckiego, oraz użyteczność podobnego zakładu dla miasta i kraju. To pełne słodyczy a prawdy głębokiéj przemówienie, ten hołd uznania publicznie oddany zacnemu dyrektorowi muzeum przez takiego znakomitego, jak Przezdziecki znawcę, do głębi poruszyło obecnych, szczególniéj zaś zwykłych słuchaczów obojéj płci odczytów w téj sali licznie zgromadzonych. Tylko człowiek, który sam na tyle czci zarobił, drugiemu cześć oddać potrafi!

D. 7. Grudnia Przezdziecki miał odczyt na korzyść ubogich uczniów szkoły sztuk pięknych, w sali Radnéj Magistratu o królowéj Elżbiecie, pierwszéj żonie Zygmunta Augusta, córce króla Ferdynanda, a siostrzenicy cesarza Karola. Zebrani słuchacze oglądali przytem przedstawiony przez prelegata tryptyk królewnéj Zofii Jagiellonki, siostry Zygmunta starego, żony Fryderyka z Hohenzollernów, burgrabiego Norymberskiego, pierwszego księcia Pruskiego; następnie rysunek pomnika Izabelli Jagielonki, córki Zygmunta i Bony, wdowy po Janie Zopolyi królu Węgierskim, pochowanéj w Białymgrodzie, w ziemi Siedmiogrodzkiéj. Grobowiec jéj nie był znany dotąd, ale Przezdziecki odkrył go w roku przeszłym; obecnie z polecenia jego fotografowany u K. Bayera w Warszawie ozdobił Vty tom Jagiellonek.

W kilka dni potem, 11 grudnia, p. Siemieński, na którego wypadała koléj odczytu w tejże sali: „o malarstwie religijnem w XV wieku“, dotknięty chorobą oczu uprosił Przezdzieckiego, aby go zastąpił. Pośpieszył Przezdziecki i z tą przysługą dla dobra kształcącéj się młodzi, a po odczytaniu przekładu p. Siemieńskiego (Filomena św. Bonawentury) podał kilka nieznanych szczegółów o Barbarze Radziwiłłównie, uzupełniających obraz Barbary, jako jeden z najpiękniejszych ustępów Jagiellonek.

Tak zawsze ochoczo, tak gorliwie, krzątał się koło prac swoich i usług publicznych. Pracował z wysileniem prawie. Jagiellonki, spokojności mu nie dawały. Sam mówił, że nawet we śnie ich widział. Zdawało się, zdrów zupełnie, pełen siły i energii. A śmierć była już tak blizko! — 17 grudnia, w niedzielę, już leżał w łóżku,

z którego nie powstał. Leczyli najlepsi lekarze Krakowa. Przyjaciele nie odstępowali ani na chwilę. Przyjechał brat, hr. Mieczysław, a później syn starszy, hr. Konstanty. W następną niedzielę, zdawało się jeszcze o tyle miał się dobrze, że lekarze zapewnili brata, iż niema niebezpieczeństwa, i ten odjechał do Lwowa.

We wtorek, 26 grudnia, zrana, nie było już żadnéj nadziei. O godzinie 12téj przyjął ostatnie namaszczenie, a kapłan jeszcze wierzyć nie chciał, gdy go silnie ścisnął za rękę, że już tak blizki koniec. — O 4tej po południu oddał ducha Bogu.

Żona zmarłego złożona chorobą w Heidelbergu, przybyć nie mogła. Syn młodszy hr. Gustaw na wiadomość o śmierci ojca, pomimo ciężkiéj choroby przybył z Warszawy do Krakowa, lecz tu na nowo zaniemógł.

Umarł w gmachu zwanym „Krzysztofory“ w Rynku.

Dnia 30 grudnia o godzinie 9téj rano, kondukt wyruszył z Krzysztoforów do kościoła N. Panny Maryi. Młodzież akademicka, wraz z p. Wł. Łuszczkiewiczem, dyrektorem szkoły sztuk pięknych, oraz p. St. Zarańskim sekretarzem Tow. naukowego, pomimo ciężaru podwójnéj metalowéj trumny, zanieśli ją aż do kościoła.

O godzinie 12, taż sama młodzież zaniosła trumnę na cmentarz, u wrót którego wzięli ją na swe barki prezes Tow. naukowego prof. Dr. Józef Majer, professorowie uniwersytetu, uczeni, literaci.

Pokój jego zacnéj duszy!

I oby jego życie pełne cnót i zasług, jego szlachetna działalność dla dobra nauki, ta dziwna słodycz i uprzejmość charakteru, ta prawda i spokój, które mu przyświecały w każdym kroku, a które jednały mu cześć i uwielbienie we wszystkich warstwach społecznych, bo ś. p. Przezdziecki umiał być wyrozumiałym dla przekonań niezgodnych z jego przekonaniami, oby, powiadamy, to życie piękne znalazło naśladowców! A młodzi synowie zmarłego, niech będą godni świetnego imienia jakie im zostawił znakomity ojciec i w *czynach*, w kierunku prac i usiłowań, uszanują pamięć ojca!

Żona zmarłego, niedarmo córka znakomitego ojca, bo Konstantego hr. Tyzenhauza, znanego ornitologa, przyjaciela Humboldta, już dała dowody swéj czci i uwielbienia dla pamięci męża, bo téż nie mogła godniéj jéj uczcić, jak w chwilach najcięższéj boleści i będąc sama złożona chorobą, pamiętając o niedokończonych pracach zmarłego. Jeszcze zwłoki jego leżały na katafalku, kiedy otrzymano telegram, którym oświadczyła postanowienie doprowadzić do końca wszystkie rozpoczęte przez niego wydawnictwa, oraz publikacyą rękopismów po nim pozostałych.

Cześć jéj za to!

Wiemy, że i synowie oświadczyli te same poczciwe zamiary.

Dziś już otworzono testament zmarłego w Warszawie. Testament ten zawiera szczegółowe rozporządzenia względem rozpoczętych przez niego wydawnictw, ażeby te do końca doprowadzonemi były. Ś. p. Przezdziecki przeznaczył Dra Józefa Łepkowskiego, na kierownika naukowego wszystkich wydawnictw.

Zaszczyt to wielki dla prof. Łepkowskiego. Być kierownikiem w dokończeniu prac, tak znakomitych, jak śp. Przezdzieckiego, to chlubna nagroda w publiczném uznaniu zasług prof. Łepkowskiego, jakie położył będąc przez lat kilkadziesiąt jego pomocnikiem we wszystkich ważniejszych przedsięwzięciach naukowych, a będąc téż stałym i szczerym przyjacielem i wielbicielem zmarłego, czego szczególne dał dowody w ostatnich chwilach jego życia. Wielka téż i odpowiedzialność cięży dziś na prof. Łepkowskim, bo jego usiłowania, jego gorliwość niejako przedłużać nam będą życie Przezdzieckiego, a jak to życie było owocne, a zacne — niechże i pozagrobowa jego działalność będzie owocną i zacną. Powtarzamy więc, że dziś wielka odpowiedzialność leży na prof. Łepkowskim.

Miejmy nadzieję, że się godnie wywiąże z tak chlubnego zadania.

Pomijając majątkowe rozporządzenia, które nie należąc do rzeczy publicznéj, w zakres naszego wspomnienia nie wkraczają, dodamy tylko, że Dominikin, mistrzowskie przedstawienie ostatniéj komunii św. Hieronima, arcydzieło, na które patrzał zmarły w chwili, kiedy mu ksiądz prałat Aleksander Ważyński ostatnie sakramenta udzielał; przeznaczył jako klejnot, sto lat w familii Przezdzieckich będący, najstarszemu synowi hr. Konstantemu. Ołtarzyk po Zofii Jagiellonce oddał żonie swojéj. Bibliotekę, bogatą w cenne i rzadkie dzieła oddał téż starszemu synowi. Ruiny zamku w „Ojcowie", ukochane ustronie, do którego przez kilka lat z przyjemnością na wytchnienie z dalekich podróży powracał, przekazał młodszemu synowi hr. Gustawowi. Exekutorami testamentu, w którym i o wiernych sługach swoich nie zapomniał, ustanowił braci swoich Karola i Mieczysława hr. Przezdzieckich, oraz brata żony Rajnolda hr. Tyzenhauza.

Zbiór starożytności po ś. p. Przezdzieckim, jak się dowiadujemy z dzienników, odziedziczy gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego, któremu już za życia przedmioty te odkazał.

Względem złożenia zwłok po śmierci nie znaleziono w testamencie rozporządzenia żadnego. Sądzono więc, że najlepiéj tam je zostawić, gdzie im Bóg przeznaczył. W Krakowie téż zmarły zbu-

dował ku pamięci matki swojéj, Adelaidy z hr. Olizarów hr. Przezdzieckiéj, podczaszanki litewskiéj, kaplicę przy kościele Dominikańskim, poświęconą w r. 1857. Tam po uzyskaniu zezwolenia władz, złożone zostanie ciało nieboszczyka, a pomnik jego zachowa na długie czasy pamięć miłośnika zabytków ojczystych.

Staraliśmy się zebrać najdokładniejszą wiadomość o wydawnictwach przez Przezdzieckiego dotąd prowadzonych. Podajemy tu szczegóły zaczerpnięte ze źródeł najpewniejszych:

1) Dzieł Długosza wydano dotąd tomów 8, a mianowicie 3 tomy „Liber Beneficiorum“ i 5 tomów przekładu Dziejów. Tłumaczenie Dziejów ma liczenie tomów rozpoczęte od tomu II ogólnego zbioru, a zatem obejmuje tomy II, III, IV, V i VI. —Liber Beneficiorum zajmuje VII, VIII i IX. — W I tomie, dotąd niewydanym, ogłoszone być mają żywoty Arcybiskupów Gnieznieńskich, biskupów krakowskich, żywot św. Kunegundy, żywot św. Stanisława, Clenodia, oraz bibliografija samegoż Długosza z krytycznym poglądem na jego dzieła. Ta ostatnia najtrudniejsza praca miała być wedle pierwotnego zamiaru przez ś. p. biskupa Łętowskiego napisaną, następnie zamierzali wziąść na siebie jéj obrobienie ś. p. A. Butowski, a późniéj A. Bielowski. Wreszcie zamierzył dokonać sam Przezdziecki do czego w ostatnich latach materyał zbierać począł. Jakoż znalazły się w tekach jego odpisy listów i mów Długoszowych, oraz drobne wiadomości z zapisków archiwalnych, Długosza się tyczących. Wreszcie notaty o kościołach, kaplicach, bursach przez Długosza stawianych; o pamiątkach po nim pozostałych. Z wydaniem tego pierwszego tomu ogólnego zbioru połączył Przezdziecki drugą jeszcze myśl — postawienia pomnika nad zwłokami Długosza i uczczenie zasług jego pamiątkowym medalem, którego wybicie zostawione było do chwili wydania owego I tomu, aby wykonaniem tych ostatnich projektów, wydawnictwo całe zakończyć.— Z tekstu łacińskiego Dziejów ukończony już został, jak wspominaliśmy, tom I, który ma być obecnie prenumeratorom wydany. Do tego tomu jeszcze sam Przezdziecki przedmowę napisał. Pozostaje zatém do wydania, oprócz I tomu wstępnego, jeszcze pięć tomów tekstu łacińskiego Kroniki, czyli razem tomów sześć.

Słyszeliśmy, że kierujący Wydawnictwem chcąc tak kosztowne dzieło zrobić przystępném dla mniéj zamożnych, zamierza urządzić, iżby każdy tom pojedyńczo mógł być sprzedawany po 3 ruble, czyli

20 złotych polskich, przez co byłaby możność rozłożenia całości na lat kilka.

2) „Dzieło o Jagiellonkach“, którego wydawnictwo rozpoczętém zostało w r. 1868, wyszło 4 tomy (które wraz z fotografijami kosztują w „Wydawnictwie“ złr. 16). Tom V o tyle został przez zmarłego przygotowany, że tekst główny, tj. zbiór nowo odszukanych listów jest zupełnie gotowy. Znalazły się téż i wstępy do cztérech oddziałów. Wstępy te, czyli poglądy streszczają przedmiot, a zarazem wykazują zdobycze historyczne, jakie z materyału tego wynikają. Brak takich wstępów jeszcze do siedmiu oddziałów (bo wszystkich 11). Wszakże uważalibyśmy za najwłaściwsze, zostawić te 7 działów bez przedwstępnych poglądów, ogłaszając same listy.

3) „Wzory sztuki średniowiecznéj“, których wydawnictwo po sparaliżowaniu barona Rastawieckiego oddane zostało ze względu na stronę nakładową p. M. Fajansowi, z obowiązkiem ukończenia seryi III, przedstawiają obecnie 16 zeszytów téjże seryi, już wykończonych. Pozostaje zatem do wydania 8 zeszytów, do których notatki do tekstu znajdują się w tekach pozostałych po Przezdzieckim, rysunki zaś już rozporządzone i w znacznéj części w chromolitografii Fajansa wykonane.

4) „Modlitwy Wacława“, zabytek staréj polszczyzny z XV stulecia odkryte przez Przezdzieckiego w bibliotece uniwersyteckiéj Peszteńskiéj, przez niegoż całkowicie odpisane i do wydania przygotowane. Manuskrypt ten jeszcze za życia Przezdzieckiego oddany został przez niego panu Lucyanowi Malinowskiemu, w celu obrobienia pod względem lingwistycznym. Słyszeliśmy, że to dzieło najzupełniéj prawie wykończone, najbliższe jest wydania.

5) Sprawozdanie z kongresu w Bononii już wyszło w osobnych odbitkach (z Rocznika Tow. nauk.). Z prac téj kategoryi są, jak słyszymy, w rękopismach gotowe sprawozdania z badań w Bninie, Czeszewie, Zakrzewie, Grabówku, nadto rzecz o bożkach pogańskich słowiańskich, spis wykopalisk przedhistorycznych na ziemiach dawnéj Polski, materyały do szczegółowego studyum o runach słowiańskich, wreszcie plan do mapy archeologicznéj. — Jeżeli dodać do tego zbioru pomniejsze prace, rozrzucone po czasopismach, a szczególnie rozprawy w Rocznikach Tow. nauk. [1]) — złożyłoby to spory tom, którego wydanie byłoby nader pożądane.

---

[1]) Tak n. p.: O dwóch odpisach pieśni „Boga Rodzica“ i rękopiśmie Historyi polskiéj Herburta — (uzupełnienie rozprawy w r. 1866 w Warszawie wydanej) — 1869 — Rocznik Tow. Nauk. krak. tom XXXVIII, 337. — Sprawozdanie z kongresu archeologicznego odbytego w Bonn dnia

6) Wspominaliśmy wyżéj o podróży do Szwecyi, dziele, którém Przezdziecki swój zawód literacki rozpoczął. Dodać winniśmy, że we 38 lat po wydaniu téj pierwszéj pracy odwiedził Przezdziecki znów Danię i Szwecyę z okazyi kongresu w Kopenhadze i zamierzył wydać nowe wspomnienia z wycieczki, zbogacone wypisami archiwalnemi, tyczącemi się sprawy Radziejowskiego. Niewyrobione te studya, zawierają podobno tyle ważnych, a prawie dokładnie zredagowanych ustępów, że choćby jako materyał, wydane być mogą.

7) W Londynie kosztem państwa przedsięwzięto olbrzymie wydawnictwo wykazu wszystkich dzieł i rozpraw, jakie wyszły na całym świecie w przedmiocie sztuk pięknych i archeologii. Publikacya ta ma tytuł: *Universal Catalogue of Books, on Art.* (Dotąd skończono do lit. joty). Do owego tedy wielkiego dzieła wezwany był Przezdziecki na referenta oddziału polskiego, do czego zaprosiwszy do współudziału wielu znanych bibliografów polskich z różnych działów objętych katalogiem przedmiotów, zgromadził bogaty materyał, w znacznéj części już do Londynu odesłany, w dalszym zaś ciągu uzupełnienia wymagający.

8) Do wiadomości bibliograficznych o rękopismach zawierających rzeczy polskie, a znajdujących się w archiwach zagranicznych znalazły się, jak słyszeliśmy, w tekach zmarłego bogate materyały, posłużyć mogące do drugiego uzupełnionego wydania dzieła pod tym tytułem ogłoszonego w r. 1850 w Warszawie.

14—21 września 1868 r. połączone z wiadomością o starożytnościach prylwickich — tamże, 384. — Sprawozdanie o rozprawie Jakuba Malinowskiego o pobycie Kazimierza I w klasztorze Benedyktynów w Clugny w końcu pierwszéj połowy XI wieku, tom XL, 1869, 177. — Wykopaliska na wyspie jeziora Lednicy pod Gnieznem (tamże, 276).

Towarzystwo Naukowe Krakowskie. Kiedy w dniu 16 maja 1868 dostojny prezes tego Towarzystwa Dr. Józef Majer w przemówieniu swojem na publicznym obchodzie 50letniego istnienia tegoż Towarzystwa, zapytywał obecnych członków: „jaka będzie przyszłość Towarzystwa? któż to przewidzieć potrafi!“ — nie przeczuwał, że we cztery lata z łona tegoż Towarzystwa ma się utworzyć Akademia umiejętności. Możemy to jednak dziś już uważać za fakt dokonany. 54-letnia działalność Towarzystwa i obfite plony jakie wydała, szczególnie z zakresu nauk matemacznych, przyrodniczych i lekarskich, z uwzględnieniem potrzeb krajowych, zwróciła na siebie uwagę i uznanie zjednała i po za granicami kraju. W skutek reskryptu Cesarza o utworzeniu Akademii umiejętności z siedzibą w Krakowie, oraz rozporządzeń ministeryum oświecenia, ułożony został projekt statutu przyszłej Akademii i przez prezesa podany pod uwagę ogólnego zgromadzenia całego Towarzystwa. W listopadzie roku zeszłego na 7 ogólnych zebraniach członków obradowano nad tym statutem; 24 zaś listopada odczytano protokół ze wszystkich posiedzeń, po uchwaleniu którego, statut przesłany został drogą właściwą wraz z budżetem dla uzyskania uchwały cesarskiej. Potrzeby niezbędne przyszłej Akademii wykazane w budżecie, wynoszą 30000 złr. rocznie.

Na témże posiedzeniu Zgromadzenie jednomyślnie zatwierdziło dotychczasowy zarząd Towarzystwa naukowego do czasu ostatecznego przeobrażenia go w Akademiję.

Dnia 28 stycznia Jego ces. król. Apost. Mość raczył zatwierdzić uchwalony przez towarzystwo projekt statutów Akademii umiejętności w Krakowie.

Akademia zostaje pod opieką N. Pana. Protektorem zaś mianował Cesarz brata swego J. Wys. Arcyksięcia Karola Ludwika, a zastępcą tegoż, radcę tajnego Alfreda hrabiego Potockiego.

Równocześnie J. C. M. raczył nowo założonej akademii ofiarować w darze 20,000 złr. z własnej szkatuły.

W ciągu roku 1871 czynność Towarzystwa naukowego jak i lat ubiegłych była gorliwą, przedewszystkiem mając na względzie potrzeby krajowe. Każdy wydział odbywał co miesiąc posiedzenia (z wyjątkiem miesięcy wakacyjnych), a na każdem odczytano jedną lub dwie, niekiedy i więcéj rozpraw. Wydział tylko archeologiczny i sztuk pięknych miał zaledwo trzy posiedzenia w ciągu całego roku.

XLI i XLII (18 i 19 pocztu 3go) tomy Roczników Towarzystwa za rok 1871 już są w druku i wkrótce wyjdą z pod prasy. Wyszedł też t. V Sprawozdań rocznych komisyi fizyograficznej za r. 1871.

Mówiąc o czynności oddziału Archeologii i Sztuk pięknych, niepodobna nam niewymienić zamiaru podjęcia restauracyi grobów i trumien królewskich, oraz ich pomników na Wawelu, zamiaru od lat kilku już istniejącego, a dotąd do skutku niedoprowadzonego. Projekt ten o tyle tylko w r. 1871 zyskał, że z Rady miasta Krakowa uzyskano 6200 guldenów jako pozostałość ze składek złożonych na pogrzeb zwłok Kazimierza W., które

na powyższy cel przeznaczone zostały. — Oddział archeologiczny przedsięwziął też wydawnictwo albumu fotodrukowanego starożytności i zabytków sztuki dochowanych w Krakowie. Słyszeliśmy, że zeszyt 1 już wykończony w pracowni p. K. Bayera w Warszawie.

Zbiory Towarzystwa naukowego, w oddziale archeologicznym uzyskały w roku ubiegłym więcej darów, niż w latach poprzednich. Przeważa tam pamiątkowość, zabytki historyczne, przedewszystkiem ojczyste. Zbiory te istniejące od r. 1848, kiedy muzeum Towarzystwa zasłynęło zyskanym posągiem Światowita [1]), a które następnie uświetniły się w r. 1858 znakomitą wystawą starożytności, — nie mają dotąd katalogu drukowanego. Sądzimy wszakże, że album starożytności, którego wydawnictwo obecnie Towarzystwo rozpoczęło, stanie się z czasem illustrowanym katalogiem tego cennego muzeum. Wątpić też nienależy, że przeznaczony przez Sejm galicyjski fundusz na poparcie poszukiwań archeologicznych zgromadzi do tego gabinetu wykopaliska, które często w Galicyi dawaćby mogły powód do studjów na rozleglejszą skalę przedsięwziętych.

Z rozpraw czytanych na posiedzeniach oddziału archeol. w r. 1871 wymieniamy pracę prof. Łuszczkiewicza o najstarszych rzeźbach w Krakowie, oraz na ostatniém posiedzeniu, sprawozdanie Aleksandra hr. Przezdzieckiego z kongresu w Bononii, gdzie reprezentował Towarzystwo krakowskie, jak również o rezultatach wycieczek jego w Poznańskie. Kto śledził od lat wielu czynności tego oddziału, wie, że ich duszą był zmarły, a jedyny z członków, który łączył badania krajowe z temi rezultatami jakie nauka zyskiwała w Europie. Bolesną poniosło stratę Towarzystwo naukowe ze śmiercią hr. Przezdzieckiego, a niecierpliwie oczekujemy, kiedy też Towarzystwo zechce uczcić pamięć swojego zasłużonego członka wspomnieniem pośmiertnem, jak to już uczyniło poznańskie Towarzystwo przyjaciół nauk zaraz po zgonie ś. p. Przezdzieckiego.

Gabinet archeologiczny przy uniwersytecie Jagiellońskim. W r. 1866 w miejscu docentury utworzoną została przy uniwersytecie Jagiellońskim katedra archeologii. Mianowany profesorem Dr. Łepkowski w tym samym prawie dniu pomyślał o utworzeniu gabinetu archeologicznego, pomocnego do wykładów. Jeźli nie łatwo u nas zgromadzić muzeum pamiątek ojczystych, to tém trudniejszém się wydało, aby bez znacznych funduszów i stałego uposażenia stworzyć gabinet zawierający, nie już to tylko czemby go ofiarność publiczna obdarzyła, ale zabytki zgóry oznaczone, bo objaśniające odpowiednie działy wykładu. Władze przeznaczyły na ten cel jednorazowo 300 guldenów. Tej kwoty użył Dr. Łepkowski na sporządzenie pomyślonych przez niego tablic archeologicznych t. j. wielkich rysunków zestawionych w każdej kategoryi przedmiotów; tak np. bożki pogańskie, znalezione w ziemiach słowiańskich; alfabety runiczne; alfabety kartograficzne; znaki porcelany; monogramata artystów; charaktery budowli drewnianych u nas i t. d. Tablic takich zestawił i ich wykończenie polecił przeszło

---

[1]) Piszemy Światowit, a nie Światowid, jak pisza niektórzy. Światowit składa sie z dwóch pierwiastków: Swente — święty i wit — światło t. j, święte światło, albo święty światły jako bóg wszystkich bogów, najpotężniejszy, pierwszy z bogów, za jakiego uważały Światowita nadbałtyccy Słowianie.

60. — Pomysł to piękny, a naukową doniosłość tego pomocniczego do archeologii środka oceniono na kongresie w Bononii, gdzie ś. p. hr. Przezdziecki tę myśl prof. Łepkowskiego wyłożył. — To było zawiązkiem gabinetu, do którego niebawnie przybyły zabytki z palafitu czeszewskiego z Wielkopolski, następnie paręset popielnic i naczyń grobowych ofiarowanych przez posła Kantaka z Dobieszewka w Poznańskiem. Wreszcie bogaty dar Edwarda barona Rastawieckiego, ofiarowany w r. 1869, a składający się z 400 przeszło przedmiotów, szczególnie sreber i porcelan starych. Był to niejako fundament, na którym energia kierującego zbiorem mogła już budować przyszłe muzeum, któremu rozgłos publiczny świetność obiecywał. Oprócz wielu pomniejszych darów, czynnie popierających nową instytucyę, pominąć trudno imiona ważniejszych darodawców: A hr. Przezdzieckiego, I. J. Kraszewskiego, Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, Seweryna hr. Mielżyńskiego, K. Bayera, K. hr. Czarneckiego, T. Żebrawskiego; I. N. Sadowskiego, Glogiera, Szybalskiego, St. Górskiego, T. Donimirskiego, Ratulda, Choszarda B. Domaradzkiego, Rzeczniowskiego, Hłuszaninowej, Umińskiego, B. Podczaszyńskiego i w. in. Na powiększenie zbiorów muzeum znacznie wpłynęło odstąpienie dlań zabytków archeologicznych, jakie się znalazły w innych gabinetach Uniwersytetu Jagiellońskiego, szczególnie gabinetów zoologicznego i mineralogicznego. — Wreszcie dar Władysława księcia Czartoryskiego, niedawno otrzymany, uzupełnia braki jakie się okazywały tam, gdzie łączyć wypadało zabytki słowiańskie z przeszłością klasyczną.

Dziś gabinet archeologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego liczy do 3000 przedmiotów, między któremi popielnic z grobów pogańskich jest około 500, etrusków i innych zabytków ceramiki do 300, okazy wszystkich prawie znanych w nauce palafitów, terramare, kamieni z Persepolis z klinowemi napisami, oraz do 100 okazów przedmiotów krzemiennych. Z działu starożytności z czasów nam bliższych są, jak wspomnieliśmy srebra z w. XVII, majoliki włoskie, szkła weneckie, emalije, wzory kaflów misternie polewanych, bronzy rzymskie, porcelany serbskie i saskie, pamiątki po Wicie Stwoszu i t. d. Co do związku reprezentacyi działów naukowych potrzebnem było, a w oryginalnych okazach przedstawioném być nie mogło, ma zbiór w fotografijach, w rysunkach, w odlewach i zestawieniu na wspomnionych tablicach.

Sale dotąd jeszcze nieurządzone. Pośpiech rozrostu gabinetu zapewne stawał temu na przeszkodzie. Niema jeszcze potrzebnych witryn i kroksztynów. Pomieszczenie gabinetu w dolnych izbach Collegium Jagellonicum, niezbyt jasnych, a wcale nieprzestronnych, ma tę chyba dogodność że daje bezpieczeństwo drogocennym przedmiotom złożonym w izbach sklepionych, z oknami okratowanemi i żelaznemi okiennicami zamkniętemi. U nas gdzie tyle zbiorów zniszczyły wojny i pożary, okoliczność ta jest nader ważną.

Niektórzy mają za złe professorowi Łepkowskiemu utworzenie gabinetu przy uniwersytecie, oddzielnie od zbiorów Towarzystwa Naukowego, uważając w tem rozdwojenie sił, które raczej skupiać by wypadało. Niezagłębiając się, dziś przynajmniej, o ile ten zarzut ma w sobie słuszności, — niemożemy, w imię sprawiedliwości, nieprzyznać zasługę niepospolitej energii Dra Łepkowskiego, z jaką się krzątał około zgromadzenia zbiorów. Godzi się wszakże ażebyśmy podnieśli tu konieczność zrobienia i ogłoszenia jak najprędzej katalogów i dopuszczenia publiczności

do zwiedzania tego, co darami swoimi stworzyła. Dzielimy też słuszne nalegania w sprawie rychłego otwarcia gabinetu, niesądząc ażeby trudniejszem było sprawienie witryn, jak nagromadzenie 3000 przedmiotów w terminie tak krótkim. W końcu, zbiór robiony dziś, kiedy już tyle gabinetów świetnie w Europie urządzono, powinienby nawet w rzeczowem ustawieniu i ułożeniu odpowiadać wymaganiom dzisiejszym. Sądzimy przeto, że nie będzie zbytecznem zwrócić uwagę na praktyczność układu, przedstawiającego dzieje pracy ludzkiéj i przemysłu, co tak świetnie okazała powszechna wystawa paryska. Wiedeń i Monachium poszły już za tym przykładem. Nic też naturalniejszego nie może być w układzie zbioru, nad wykazanie tego rozwoju ducha ludzkiego, jak człowiek doskonalił dzieła swoje postępując w wyrobie od glinianéj popielnicy aż do etrusków, majolików i serbskiéj porcelany.

W listopadzie i grudniu odbyło się w sali Radnej Magistratu Krakowskiego **sześć prelekcyi z dziedziny sztuki** na dochód uczniów szkoły sztuk pięknych. Program tych odczytów był następujący: 1. O znawstwie w dziedzinie dzieł sztuk przeszłości. Prelekcya wstępna, Prof. W. Łuszczkiewicza. 2. O sztycharstwie, Antoniego Zaleskiego. 3. O medalach i kameach, W. Rudzkiego. 4. O królowéj Elżbiecie, Al. hr. Przezdzieckiego. 5. O artystycznych usiłowaniach najnowszych czasów, W. Pola. 6. W zastępstwie p. Lucyana Siemieńskiego, Al. hr. Przezdziecki odczytał przekład Siemieńskiego (poemat Filomena), a następnie podał kilka nieznanych szczegółów o Barbarze Radziwiłłownie z własnych studyów.

Wszystkie prawie odczyty illustrowane były wystawą, zastosowaną do treści wykładu. Niektóre z tych wystaw, szczególnie na odczycie p.p. Zaleskiego i Rudzkiego były nader bogate i umiejętnie dobrane. Wystawa rycin i starych sztychów ze zbioru p. Zaleskiego i innych, jak również na odczycie p. Rudzkiego zbiór medali, jako próbki téj sztuki w odlewach i w oryginałach, kilka pięknych plakiet ze zbioru p. Rudzkiego, oraz własne jego doskonale wykonane, a mogące walczyć z najznakomitszemi arcydziełami, — zwracały na siebie szczególną uwagę publiczności.

W ogóle odczyty te nader miłe zrobiły wrażenie, a żałować tylko można, że zakres ich był tak krótki. Nie każde bo też miasto, nawet z większych pochlubić się może tak znakomitymi znawcami sztuki.

W Grudniu też, w sali Towarzystwa Naukowego odbyły się **odczyty na dochód Towarzystwa wzajemnéj pomocy** uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego, w następującym porządku: 1. Józef Szujski: Pielgrzymkę Ottona IIIgo do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. 2. Dr. Gustaw Roszkowski: O komunizmie i socyalizmie. 3. Adam Bełcikowski: Gustaw i Werter. 4. Dr. Maksymilian Machalski: O Stowarzyszeniu międzynarodowem. 5. Stanisław hr. Tarnowski: O „Wacławie“ Garczyńskiego. 6. Dr Julian Dunajewski: „Główne zasady renty.“ 7. Dr. Wincenty Pol: „O wykładzie literatury polskiéj.“

Wykład nader ciekawy Dra Machlskiego d. 13 grudnia uzupełniał niejako odczyt Dra Roszkowskiego o komunizmie i socyalizmie, który podajemy w niniejszym tomie, a na który prelegent ciągle się odwoływał. Dla tego uważamy za stosowne powiedzieć słów kilka o tym wykładzie Dra Machalskiego.

„Stowarzyszenie międzynarodowe“ podług wykładu Dra Machalskiego bierze swój początek w pojęciach, do których inicyatywę dał jeszcze Bakon, wprowadzając kierunek realny do filozofii. Następnie określając organizacyę samego stowarzyszenia. Dr. Machalski dowodził, że Internationale nie jest jednem wyłącznem, odrębnie istniejącem stowarzyszeniem, ale zbiorem stowarzyszeń robotników we wszystkich państwach Europy, połączonych z sobą jednością idei, i ulegających władzy, przebywającej w Londynie. Jest to zorganizowana walka pracy z kapitałem, która wiąże ze sobą klasę robotników, proletaryat całego świata, dążący do całkowitego przetworzenia organizacyi społecznéj i politycznéj. Internationale wypiera się idei ojczyzny, domaga się zniesienia własności osobistéj, prawa dziedziczenia, religii i małżeństwa. Jako środek do osiągnięcia tych celów uważa głównie bezrobocia popierane ze wspólnéj kasy stowarzyszonych; następnie kongres, których było już trzy: w Brukselli, Bazylei i Genewie; daléj dzienniki i pisma wydawane we wszystkich językach i krajach, a popierające cele stowarzyszeń międzynarodowych. Stowarzyszenie to jest rozgałązione po całéj Europie. Jako sprawa socyalna, nie zna granic państw i tem samem zagraża bytowi i ustrojowi politycznemu wszystkich organizmów dziś istniejących, dążąc do zupełnego ich przeobrażenia.

Dnia 14 listopada umarł w Krakowie, Dr. Jan Szlachtowski, były profesor literatury polskiéj w Uniwersytecie lwowskim, znany biblijograf. Opracowywał on właśnie w ostatnich czasach biblijografiją polską z w. XVI. Był też kustoszem zakładu Ossolińskich, a w r. 1850 redaktorem i wydawcą Pamiętnika literackiego tygodniowego, którego wszło 29 numerów, prawie wszystkie jego pióra. Kronika Marcina Galla wydrukowana w XI tomie Monumenta Germanae Pertza, jak również Kadłubka przez niego krytycznie do druku przygotowane. Dr. Szlachtowski uczestniczył także razem z Bielowskim w wydaniu Monumentum Poloniae historicae. Na ostatniem posiedzeniu wydziału nauk moralnych Towarz. Nauk. Dr. Estreicher odczytał sumiennie i pięknie napisany życiorys tego zasłużonego męża.

Nakładem wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych wyszła w Krakowie nowa praca Prof. Dra. J. Łepkowskiego p. t. „Sztuka, Zarys jéj dziejów, zarazem podręcznik dla uczących się i przewodnik dla podróżujących ze 104 drzeworytami. W następnym tomie podany o tem dziele sprawozdanie.

Teatr Krakowski. Im mieszkańcy jakiego kraju stoją na wyższym stopniu wykształcenia, im wykształcenie to jest ogólniejszem, tém więcéj okazują zamiłowania do teatru; tém troskliwsi są o podniesienie i rozwój téj instytucyi; tém bardziéj zajmują się jéj losami; tém usilniéj starają się ażeby utrzymać ją w najświetniejszym o ile można stanie.

Nie będziemy tu wdawać się w ogólniki o pożytkach wypływających z teatru dla społeczeństwa, bo te są wszystkim znane — ani też o powodach wzniecających zamiłowanie sceny w ogólności.

U nas zamiłowania głębokiego i prawdziwego teatru, jako też i znawstwa jest jeszcze bardzo mało. U nas teatr jest jeszcze uważanym za jakąś dość kosztowną, a niekoniecznie potrzebną zabawkę — coś w rodzaju

sztuk konnych, lub łamanych, albo popisów kuglarskich, wyjąwszy Warszawy, gdzie (pominąwszy już wielką ludność ułatwiającą utrzymanie teatru), kwitnie prawdziwe zamiłowanie teatru i gdzie dobry i dobrze odegrany utwór sceniczny, można kilka, a nawet kilkanaście razy przedstawić; wszystkie inne miasta, nie wyjmując Lwowa i Krakowa, nie mają szczerego i wytrwałego zamiłowania sceny. Świadczą o tem chwilowe powodzenia przedsiębiorców, którzy chociażby wszelkich sił dokładali do podniesienia teatru, po niejakim czasie, widząc się opuszczonymi przez publiczność, sami opuszczają ręce i porzucają niewdzięczny zawód, który im mało zadowolenia a wiele goryczy przyniósł i częstokroć o znaczne przyprawił materyalne straty.

Publiczność nasza, z wyjątkiem znakomitej mniejszości, niema nie tylko jak powiedzieliśmy prawdziwego zamiłowania, ale nie odznacza się nawet znawstwem, chociaż ma ogromne do niego pretensye. Powoduje się ona zazwyczaj każdém zdaniem, a najczęściej idzie za zdaniem pierwszego lepszego dziennika, nieumiejąc nawet zdać sobie sprawy, czy sąd tego dziennika jest gruntowny i wytrawny? czy płochy i lekki? Niechaj sztuka przedstawiona podoba się najbardziej, niech dozna najlepszego przyjęcia — jeżeli ją nazajutrz który z dzienników zgani, publiczność oburzać się będzie na to, czemu wczoraj sama przyklaskiwała. Niech który z dzienników domaga się przedstawiania arcydzieł dramatycznych — publiczność podnosi natychmiast krzyk o te arcydzieła. Znaczna jéj część nierozumie, nudzi się na Hamlecie, Makbecie, Królu Janie, Wallensteinie — poziewa, wymyka ukradkiem z teatru przed końcem sztuki, ale mimo to domaga się, aby je grano. Niech który dziennik żąda przedstawień komedyi Fredry, publiczność wtóruje tym żądaniom i po mistrzowskiém wypracowaniu przez reżyseryę i aktorów gry której, z tych komedyi — drugi raz na jéj przedstawienie nie przyjdzie, tłumacząc się że jéj ma już zadosyć.

Znaczna część téj publiczności, mianowicie też dzisiejszy parter, jest podobna młodzikowi, który pozuje się na dojrzałego męża, na człowieka obeznanego ze światem, na człowieka, który bardzo wiele już widział, który życiem się znudził i dla którego już nic nowego ani dziwnego niema. Część ta publiczności troskliwie szuka w dziennikach recepty, jako w danym razie ma się zachować w teatrze; jeżeli napotka artykuł w którym prawią, że nie należy przerywać brawem scen zajmujących, to chociażby artysta grał po mistrzowsku, przyjmie tę grę obojętnie i chłodno — najwznioślejsza myśl najgorętsze słowo, niezbudzi jéj z lodowatego letargu, bo lęka się, ażeby jéj nieznawstwa niezarzucono. — Owszem, jeżeli znawcy prawdziwi, porwani prawdą i talentem gry zaczną bić brawo — uważa sobie za obowięzek sykać, ażeby skarcić wybryk niewłaściwy.

Ta sama jednak część publiczności za pierwszym lepszym konceptem, dwuznacznikiem; na widok artysty źle po scenie chodzącego — na widok kapelusza włożonego krzywo, wpada w śmiech homeryczny i zapomina o przybranéj pozie. Ta sama część publiczności podnosząca dziś pod niebiosa talent znakomitego artysty, jutro będzie gotowa zaprzeczyć mu wszelkich zdolności, jeżeli jakiemu pseudo-krytykowi spodoba się zarzucać mu np. chodzenie szerokiemi krokami, jak niedaleko szukając mieliśmy przykład na Wallensteinie.

W obec tak wymagającéj a niewyrobionéj w znacznéj części publiczności, stanowisko teatru w Krakowie jest niepewne, powodzenie zawsze

chwilowe i zmienne, a przecież teatr to jedyna rozrywka umysłowa, dostępna dla ogółu. — teatr to jedyne miejsce gdzie po całodziennéj pracy wypocząć i pokrzepić się można — gdzie wielu, bardzo wielu z nas skorzystać może umysłowo.

Położenie teatru polskiego w ogóle jest bardzo ciężkie. Oprócz stałych scen w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu istnieje kilka towarzystw prowincyonalnych, które walcząc o chleb codzienny, smutny swój byt z dnia na dzień przewlekają. Galicya to nie Francya, Niemcy, Anglia i Włochy gdzie teatra na setki się liczą — gdzie usiłowania rządów współubiegają się z zabiegami prywatnych o podnoszenie sceny do stopnia jak największéj świetności. Gdzież wyrabiać się mają ci artyści, o których wciąż Kraków dopomina się? Trudno, ażeby który z celniejszych porzucił świetniejsze i pewniejsze stanowisko w Warszawie, a choćby i Lwowie, dla zamienienia go na niepewną i chwiejną pozycyę w Krakowie? Gdzież więc przedsiębierca krakowskiego teatru, czy to Meciszewski, Skorupka lub Koźmian szukać mają tych gieniuszów, o których wciąż wołają w Krakowie. Czy w prowincyonalnych teatrach, gdzie często bieda uciska aktora, gdzie co dzień w nowéj musi roli wystąpić — gdzie niema czasu nie tylko wypracować, ale nawet zastanowić się nad nią, — może się artysta wyrobić? A jednak z tamtąd tylko Kraków może zapełniać kadry zastępu dramatycznego. Czy Kraków może zdobyć się i opłacić szkołę dramatyczną? czy czuje nawet potrzebę jéj założenia i utrzymania? Czy publiczność żądając coraz nowych sztuk daje czas miejscowym aktorom do pracowania odpowiednio do swych wymagań?

Chcąc mieć dobry teatr, potrzeba mu dać czas do wyrobienia się, potrzeba mieć prawdziwe zamiłowanie do sztuki, potrzeba zapatrywać się na tę instytucyę ze stanowiska przyjaznego, nastręczać jéj środki do podniesienia się, małe niedokładności pomijać pobłażaniem, wymagania zbyteczne powściągnąć, a za lada pierwszą lepszą sposobnością nieodwracać się z lekceważeniem i pogardą i niedopuszczać, ażeby scena po chwilowem podniesieniu się znowu upadała.

Kierunek teatru obecny, pod jakim od października scena krakowska zostaje, jest starannym i umiejętnym. Z jednéj strony przedsiębiorca wykształcony, z teatrem już dobrze obeznany, dokładający starań, ażeby teatr podnieść, nie już środkami zewnętrznemi, ale doborem repertoaru, wystawą arcydzieł, unikaniem jak dotąd sztucznie skleconych ale w gruncie przegniłych utworów dramatycznych najnowszéj szkoły francuskiéj; z drugiéj strony reżysser, jeden z najpierwszych polskich artystów dramatycznych, wyborny znawca i wykonawca téj trudnej sztuki — starają się o popchnięcie teatru na nowe tory. Ludzi takich wszelkiemi siłami podtrzymywać należy. — Z jednéj strony publiczność, z drugiej strony krytyka, powinny się tu rządzić chęcią niesienia im pomocy w odrodzeniu teatru. Sympatye i antypatye do osób niepowinny powodować zdaniem ludzi dbających o dobro sceny, ale właśnie to jéj prawdziwe dobro. Należy, znalazłszy w kierownikach ludzi chętnych i zdolnych, dopomagać im do podniesienia teatru, ułatwiać i umożebnić trudne ich zadanie, dać czas do wyrobienia zdolnych artystów i nie stawiać zapor, ani zbyt wielkich wymagań. Wytrawna krytyka śledząc pilnie i zalet i usterków kierownictwa sceny i wykonywania sztuk przedstawianych, udzielać powinna swoich rad przyjaznych, ale nie dyskredytować teatru. Trudno jest dojść do dobrego teatru, ale bardzo go łatwo zbu-

rzyć, zwłaszcza u nas, gdzie wielu jest takich, którzy pretekstu tylko szukają, aby się pozbyć obowiązku wspierania instytucyi narodowéj i powrócić do zielonego stolika lub ulubionéj knajpki.

Gdybyśmy w dzisiejszych kierownikach widzieli prostych spekulantów, ludzi bez wykształcenia, znawstwa i dobrych chęci dla teatru, exploatujących i publiczność i aktorów, bez wyższego celu — gdybyśmy widzieli teatr w stanie nędznym, jaki już kilkakrotnie z powodu indeferentyzmu publiczności w sprawach teatralnych, miewaliśmy w Krakowie, to pierwsi wystąpilibyśmy nie przeciw, zawsze drogiéj dla nas instytucyi, ale przeciwko złym kierownikom i domagalibyśmy się ich zmiany. Ale dzisiaj pytamy czy od czasów Meciszewskiego był Kraków w szczęśliwszém pod tym względem położeniu? Pytamy czy można zarzucić co kierownictwu?

Tymczasem krytyka nieraz usilnie szuka usterków, a pomija strony dodatnie. Niezważając, że czteromiesięczne prowadzenie teatru nie mogło dać czasu do wyrobienia okrągłej gry, w świeżo, w znacznéj części zrekrutowaném towarzystwie — nie dając czasu do wyrobienia sztuk, jak Otello, Hamlet, Wallenstein, Konfederaci, domaga się niepodobieństw, lub też fałszywém zrozumieniem i pojęciem sztuki, krzywi zdanie grających i prowadzi ich na błędne drogi.

Niemało nas zadziwiło anathema rzucone przez recenzenta jednego z dzienników na Córkę Pułku. Recenzent znać chciał, ażeby opera nasza od razu stanęła na wysokości teatrów San-Carlo, San-Felice, Della Scalla, a przynajmniéj Kärnthner-Thor. My przeciwnie, cieszymy się niemało, że choć jedna lepsza opera wyszła dobrze i okrągło na scenie krakowskiéj. Nazwyczajeni do Offenbacha — niemając za co pojechać do stolic Europejskich dla słyszenia wybornéj opery, któréj śpiewaków opłaca się miesięcznie tysiącami, nie uważamy na pewne niedostatki w metodzie, ale patrzymy z przyjemnością na zapełniony teatr słuchaczami spragnionemi muzyki, z pociechą widzimy Izraelitów, którzy operą wciągają się do bywania w teatrze i tam oswajają się z czystemi tonami ojczystéj mowy. Przyjmujemy to chętnie na co stać ubogi Kraków i mamy nadzieję, że usiłowania Dyrektora opery i operetki, połączone z usiłowaniami artystów, zapełnią nam z czasem wcale miłe wieczory. Szanowny krytyk Przeglądu, tak niechętny operze Krakowskiéj, niech na niéj niebywa, ale niech od zamiłowania muzyki publiczności nieodstręcza, aby zaś mu nasza skromna operka niemiłego niepozostawiła wrażenia — niech pojedzie na parę tygodni do której z stolic niemieckich, a tam niezawodnie pozbędzie się reminiscencyi Córki Pułku, odśpiewanéj przez nie pierwszorzędnych, ale przynajmniej polskich śpiewaków.

Przedstawienia arcydzieł Szekspira, Szyllera i Mickiewicza, które może niewypadły tak, jakby sobie nietylko znawcy gruntowi, ale sami kierownicy teatru życzyli, jedynie dla braku potrzebnego do wypróbowania czasu. Przedstawienie wzorowe kilku sztuk wyborowych Fredry; postęp znaczny w grze ogólnej; staranie o zewnętrzne przybory sceny; powstanie komissyi teatralnej do sądzenia sztuk i mającéj głos doradczy we wszystkich kwestyach teatralnych; pomnożenie towarzystwa dramatycznego: wszystko to świadczy; że jesteśmy na dobréj drodze, że od publiczności i krytyki zależy, aby było lepiéj; że Kraków może mieć, lepszy nawet teatr, aniżeli jego środki i ludność na to pozwalają, byle tylko wspomagać scenę narodową i nieodma-

28*

wiać jej serdecznej sympatyi, jak długo na drodze obranej i w kierunku dotychczasowym zarząd teatru postępować będzie i wytrwać zdoła.

Oto nasze zapatrywania, które tu szczerze i śmiało wypowiadamy. Jedynie zamiłowanie sceny i życzliwość dla niej natchnęły nam te uwagi. Patrząc na kierownictwo teatru powtarzamy, nierządźmy się ani sympatyami ani antypatyami względem osób go prowadzących, niechcemy nawet wiedzieć kto nim kieruje, ale z starań, zabiegów i da Bóg dobrych w przyszłości owoców wyprowadzamy nasze wnioski.

Oecnienie szczegółowe osób do towarzystwa teatru krakowskiego należących, jako też i sztuk w nim grywanych zostawiany na czas późniejszy.

W Petersburgu w Grudniu odbył się **kongres archeologiczny** pod prezydencyą hr. Uwarowa, prezesa Towarzystwa-Archeologicznego w Moskwie. Ciekawą jest rzeczą, że p. Pawiński na jednem z posiedzeń kongresu dowodził, iż Światowit znajdujący się w muzeum tutejszego Towarzystwa Naukowego, jest podrobiony! — Pomówimy o tém szczegółowo w drugim tomie. — Następny kongres ma się odbyć w Kijowie.

Gazeta Warszawska podaje następujące nader ciekawe statystyczne dane o **Instytucie muzycznym** w Warszawie:

Od założenia w 1861 po rok ubiegły 1871 przez szkołę tę przeszło uczniów 211, uczennic 221, razem 432 zapisanych, z których jednak nie wszyscy kurs całkowity kończyli, w téj cyfrze bowiem znajduje się dość znaczna liczba takich, którzy dla rozmaitych powodów pobierali naukę po lat dwa, po roku, a nawet po kilka miesięcy. Na tę ogólną cyfrę rozmaite lata tak się składały:

W roku 1861 było zapisanych uczniów 60, uczennic 48, razem 108.
W roku 1862 nowych uczniów nic nie przybyło „ 105.
W roku 1863 przybyło nowych 10, uczniów i 18 uczennic „ 133.
W roku 1864 przybył uczeń 1, uczennic 16 „ 150.
W roku 1865 przybyło uczniów 18, uczennic 3 „ 171.
W roku 1866 przybyło uczniów 27, uczennic 7 „ 205.
W r. 1867 (półrocze I) przybyło uczniów 17, uczennic 12 „ 234.

W r. 1868 (półrocze II) było w ogóle uczniów 68, z tych nowo zapisanych 18 uczniów, 28 uczennic, w tym roku bowiem zaszły zmiany w warunkach bytu Instytutu i kursa przez czas jakiś były wstrzymane z powodu wyczerpania dawnych funduszów i braku nowych, aż do ich wyjednania istnienie Instytutu było wątpliwe.

W roku 1869 przybyło uczniów 21, uczennic 27, było razem 109.
W roku 1870 przybyło uczniów 18, uczennic 23, „ 126.
W roku 1871 przybyło uczniów 21, uczennic 39, „ 157.

Summując te cyfry przybywających uczniów i uczennic, otrzymujemy powyższą cyfrę 433. Z téj cyfry tylko 214 uczniów i uczennic przeszło tak kurs konserwatoryum, że mogli otrzymać odpowiednie patenta, reszta albo nie mogła ukończyć kursu, albo jeszcze się uczy. Z owych 214 uczniów i uczennic 99, to jest blizko połowa otrzymała rozmaite posady rządowe lub w ogóle stałe, 61 otrzymało patenta z zupełnego ukończenia kursów koserwatoryum, 54 zyskało patenta na nauczycieli. (Oprócz tego Instytut wydał 131 świadectw kwalifikacyjnych na nauczycieli muzyki osobom prywatnym).

Szkoły obowiązkiem jest nauka, zapewnianie chleba uczniom nie do niej należy; jednakże kiedy się mówi o pożytku szkoły, owa łatwość zyskania chleba nie może być zupełnie z oka spuszczaną. Pod tym ostatnim względem Instytut rzeczywiście niemało zrobił, dając blisko połowie uczniów, którzy kurs skończyli, utrzymanie stałe (posady), jakkolwiek ono może być skromne, dając reszcie kończących Instytut natychmiastowy środek zarobku, z którego wielu przyzwoite ma utrzymanie.

Posiadamy tu spis uczniów, którzy zyskali owe posady rządowe lub inne stałe. Posady te różnie są płatne, od 800 rubli, które pobiera p. T. Dietz jako kapelmistrz pułkowy, od 600 rs. łącznie z mieszkaniem, jakie pobiera pięciu nauczycieli w szkołach pedagogicznych, do skromnych płac, jakie w orkiestrze Wielkiego Teatru pobierają drudzy skrzypkowie, chórzyści lub nareszcie organiści po naszych kościołach. Posady te jednak nie przeszkadzają im do poprawy swego bytu, pracą w swym zawodzie dodatkową, która nieraz łatwo korzystniejszą być może niż owe posady stałe.

Uczniów i uczennic wyszłych z Konserwatoryum warszawskiego i pracujących w muzycznym zawodzie spotykamy rozrzuconych po różnych stronach, jakkolwiek większa ich część skupia się w Warszawie i w Królestwie.

W szkołach rządowych spotykamy ich jedenastu, z tych panna Gordziałkowska nauczycielka w Instytucie Panien w Mohylewie ma podobno bardzo korzystne stanowisko. W Konserwatoryum samém znalazło pomieszczenie 4, w orkiestrze Wielkiego Teatru 11 (pomiędzy tymi p. Górski jako pierwszy skrzypek); organistami przy różnych kościołach jest 26 (z tych jedenastu w Warszawie); w chórach tutejszéj katedry otrzymuje stałą pensyę uczniów 10, uczennic 5. Na rozmaitych scenach zagranicznych występowało lub występuje 10 uczniów lub uczennic, z tych niektóre z wielkiém powodzeniem, jak pani Jakowicka (Friderici), panna Paschalis (we Włoszech), Baranowska (Palma — we Włoszech) panny Szwarcer i Czujko (we Włoszech), p. Ostrowski (w Paryżu), Dresler (w Berlinie) etc.

Spotykamy daléj uczniów konserwatoryum w Rostowie nad Donem (Halman flecista w tamecznéj orkiestrze teatralnéj), w Moskwie Paszkowski, pomocnik klassy wyższéj fortepianu, etc. Ze szczególniejszém zaznaczeniem wspomnieć jednak musimy o dwóch uczniach, o młodym Antonim Stolpem, który jest dziś nauczycielem fortepianu w Konserwatoryum berlińskiém i o p. Gustawie Jankiewiczu, który jest dyrektorem muzyki i organistą w katedrze Panny Maryi w Gdańsku z płacą roczną 1200 talarów, oraz dyrektorem w dwóch tamecznych stowarzyszeniach muzycznych. Przed kilkunastu jeszcze dniami czytaliśmy w gdańskich dziennikach wielkie pochwały oddawane panu Jankiewiczowi z powodu uroczystości muzykalnéj w tamecznym kościele św. Piotra i Pawła. Wiedząc jak Niemcy są trudni w oddawaniu sprawiedliwości ludziom, których nazwiska kończą się na s k i lub i c z, wiedząc też, że pomiędzy nimi gruntowne znawstwo muzyki zwłaszcza kościelnéj bardzo często się spotyka, musimy wnioskować, że p. Jankiewicz złożył dowody niepospolitego talentu i nauki, kiedy go nietylko pochwałami osypują, ale mu oddali nie z dowolnéj nominacyi, tylko z kokursu, posadę stosunkowo wysoko jak na tameczne stosunki płatną.

Przy dzisiejszym rozwoju piśmiennictwa, zdarzają się bardzo często niedogodności i przerwy w wykonaniu terminowych robót. Niestety doświadczamy i my tego w Krakowie. Dla tego to notujemy tu znakomity an-

gielski wynalazek, o którym nie tylko u nas, ale nawet w Niemczech nic prawie nie wiedzą.

W Anglji istnieje już **machina do składania druku** najzupełniej udoskonalona i wybornie się sprawiająca. Oddawna pracowano nod wynalezieniem machiny, któraby zdołała szybcej składać czcionki niż zecerzy. Usiłowania były bezowocne. W ostatnich jednak czasach Mackie anglik, zbudował machinę, która wytrzymała wszystkie próby, składa ona w stosunku 12,000 czcionek na godzinę, a więc starczy za 10 dobrych zecerów. Urządzona na większą skalę, może składać na raz pięcioma odmiennemi charakterami, w każdym po 40,000 czcionek na godzinę.

Zasadą nowego wynalazku jest systemat używany oddawna w machinach tkackich Jacquarda. Tam dla otrzymania deseniu, sporządza się model na papierze zaopatrzonym w stosownie wycięte dziurki, które regulują w miarę potrzeby zmianę nici różnokolorowych. W machinie zecerskiej Mackiego, pasek papierowy za pomocą przyrządu zwanego przedziurawiaczem (perforator) przedziurawia się za uderzeniem w klawisze. Klawiszów jest 16 i robota na nich idzie prędzej niż stenografja. Poprzedziurawiany pasek idzie do machiny właściwie składającej. Dziurki w pasku służą do wyszukania odpowiednich przegródek, do kierowania sztyfcikami zabierającemi czcionki, oraz justunkiem, wreszcie dziurki owe regulują bieg paska. Jedno z największych pism angielskich „Warrington Guardian“ wychodzące w Warrington, a którego numer obejmuje 72 do 96 dużych kolumn, składa się już za pomocą machiny Mackiego.

ZAWIADOMIENIE O WYDAWNICTWIE

Przeglądu Lekarskiego

z Dwutygodnikiem higieny publicznéj krajowéj.

Gdy stosownie do oświadczenia ogłoszonego przez dotychczasowy Komitet redakcyjny **„Przeglądu lekarskiego“** w nrze 49 tego pisma, ze względu na okres przeobrażenia, w który wstąpiło Towarzystwo naukowe krakowskie, z końcem r. b. komitet rzeczony ma się rozwiązać i **„Przegląd lekarski“** przestanie być wydawanym przez Oddział nauk przyrodniczych i lekarskich Towarzystwa nauk. krak.; podpisani, w przekonaniu o istotnéj potrzebie utrzymania w Krakowie pisma lekarskiego tygodniowego, postanowili własném staraniem wydawać daléj rzeczone pismo, **począwszy od dnia 1go stycznia 1872 r.**, do czego przystępują tém chętniéj, ile że Towarzystwo naukowe przelało na nich całkowicie prawo, jakie miało do tego czasopisma.

Dziesięcioletnie już istnienie **„Przeglądu lekarskiego“** uwalniałoby nas po części od ogłaszania szczegółowego programu naszego pisma; ponieważ jednak w rozkładzie i obszerności niektórych części czasopisma zamierzamy wprowadzić pewne zmiany, przeto pozwalamy sobie wyliczyć główne działy, z których nadal składać się będzie **„Przegląd lekarski.“**

I. Spostrzeżenia i doświadczenia z klinik i innych zakładów lekarskich Uniwersytetu krakowskiego. Pod tym względem mamy zapewnione łaskawe współpracownictwo: *a)* co do klinik i zakładów medycyny praktycznéj:

WW. JJ. PP. Prof. Bryka, Dyrektora kliniki chirurgicznéj; Madurowicza, Dyrektora kliniki położniczéj; Biesiadeckiego, Dyrektora zakładu anatomii patologicznéj i kliniki doświadczennéj; Rydla, Dyr. kliniki okulistycznéj; Rosnera, Dyr. kliniki chorób skórnych i kiłowych; Stopczańskiego, Dyr. zakładu chemii patologicznéj; Jakubowskiego, Dra. Docenta chorób dzieci; Pareńskiego, Dra. zastępcy Profesora kliniki lekarskiéj: *b)* co do zakładów medycyny teoretycznéj:

WW. JJ. PP. Prof. Piotrowskiego, Dyrektora zakładu fizyologicznego; Teichmanna, Dyrektora zakładu anatomii opisowéj.

W tém miejscu z wdzięcznością oświadczamy, że światłą swą radą i doświadczeniem pod względem ogólnego kierunku naszego pisma obiecali łaskawie nas nadal wspierać JWW. JJPP. Prof. Skobel i Prof. Majer, tudzież W. JP. Dr. Oettinger, którzy przez lat 10, od samego zawiązku „Przeglądu lekarskiego“ należeli do jego Redakcyi.

II. Inne artykuły oryginalne, zarówno ogólniéjszéj treści, jakoteż spostrzeżenia szpitalne i z praktyki prywatnéj, kazuistyka sądowo-lekarska i td.

W tym dziale mamy między innemi przyrzeczone łaskawe współpracownictwo: WW. JJPP. DDr. Domańskiego, Kluczenki, Korczyńskiego, Obalińskiego i Zarewicza z Krakowa; Molendzińskiego i Riegera ze Lwowa; Kaczorowskiego, Mateckiego, Ossowickiego i Świderskiego z Poznania; wreszcie Dra Hofmokla, Docenta Uniwersytetu w Wiedniu.

III. Wykłady kliniczne, tudzież artykuły oryginalne lub tłumaczone, obznajmiające z najnowszemi wynikami badań naukowych.

IV. Sprawozdania z posiedzeń towarzystw przyrodniczo-lekarskich.

V. Wyciągi z pism lekarskich, obejmujące obraz postępów współczesnych nauki lekarskiéj, ugrupowane według głównych gałęzi teoretycznych i praktycznych, a mianowicie: 1) Sprawozdania o postępach Fizyologii ze szczególnym względem na praktykę lekarską podawać będzie Prof. Piotrowski. 2) Z Anatomii patologicznéj i Patologii ogólnéj Prof. Biesiadecki. 3) Z Farmakologii, Terapii ogólnéj, Balneologii i Dyetetyki Prof. Skobel i Dr. Lutostański. 4) Z Patologii wewnętrznéj DDr. Al. Kremer, Oettinger i Pareński. 5) Z Chorób skórnych i kiłowych Prof. Rosner. 6) Z Chirurgii DDr. Kluczenko i Ściborowski. 7) Z Okulistyki Prof. Rydel i Dr. Buszek. 8) Z Położnictwa i chorób kobiét Prof. Madurowicz. 9) Z Chorób dzieci Dr. Jakubowski. 10) Z Medycyny sądowéj i Toksykologii Prof. Janikowski. 11) Z Psychiatryi Dr. Grabowski.

VI. Dział Krytyki i Bibliografii lekarskiéj, w którym nadal zamieszczać będziemy:

a) Rozbiory dzieł lekarskich polskich, tudzież znakomitszych utworów samodzielnych literatury lekarskiéj zagranicznéj.

b) Przegląd bibliograficzny, tj. treściwe wiadomości o dziełach najnowszych.

VII. Odcinek, obejmujący sprawozdania i korespondencye o rzeczach lekarskich lub społeczno-lekarskich, wiadomości z dziejów Medycyny krajowéj, życiorysy znakomitych lekarzy, sprawozdania z podróży naukowych, opisy szpitalów i rozprawy ogólniejszéj treści, nie mające bezpośredniego związku z praktyką lekarską.

VIII. Wiadomości urzędowe.

IX. Kronika i rozmaitości.

X. Nekrologia.

XI. Korespondencye od Redakcyi, obejmujące treściwe odpowiedzi na wystosowane do niéj zapytania co do dzieł lekarskich, narzędzi itp.

XII. Ogłoszenia płatne.

XIII. Nareszcie, co się tyczy **Spraw zdrowia powszechnego,** ponieważ dział tak ważny wymaga obszerniejszego opracowania, przeto obok „Przeglądu lekarskiego" wydawać będziemy osobny dodatek, poświęcony wyłącznie tego rodzaju sprawom, p. n.:

DWUTYGODNIK HIGIENY PUBLICZNÉJ KRAJOWÉJ.

Dodatek ten obejmować będzie: 1) Artykuły oryginalne o sprawach krajowéj administracyi, mających związek z policyą lekarską czyli Higieną publiczną i Higieną społeczną, jako téż o urządzeniach mających bezpośrednią styczność z tą gałęzią umiejętności lekarkiéj. 2) Artykuły dotyczące spraw stanu lekarskiego. 3) Artykuły lub tłumaczenia obznajmiające z najnowszemi wynikami badań naukowych w téj dziedzinie. 4) Ustawy zdrowotne (sanitarne). 5) Przyczynki do statystki krajowéj lekarskiéj. 6) Wiadomości potoczne.

Współpracownictwo w Dwutygodniku przyrzekli nam między innymi Dr. Grabowski w Krakowie, Dr. Opolski we Lwowie i Dr. Rolle w Kamieńcu.

Kraków dnia 9 grudnia 1871.

Dr. Janikowski
Profesor w Uniwersytecie krak.

Dr. Lutostański
Członek komisyi sanitarnéj m. Krakowa.

„Przegląd lekarski" wychodzić będzie co tydzień, w sobotę, w objętości arkusza, **w formacie powiększonym z dodatkiem dwutygodniowym** w objętości przynajmniéj pół arkusza.

Przedpłata na „Przegląd lekarski" z Dwutygodnikiem higieny publicznéj krajowéj wynosi, jak dotychczas na sam Przegląd: w Krakowie: rocznie złr. 6; półrocznie złr. 3; kwartalnie złr. 1 cent. 50 w. a.; w granicach monarchii rakusko-węgierskiéj wraz z przesyłką pocztową: rocznie złr. 6 cent. 60; półrocznie złr. 3 cent. 30; kwartalnie złr. 1 cent. 80 w. a. Za granicą doliczają się koszta przesyłki.

„Przegląd lekarski" ma debit pocztowy w Królestwie Polskiém i Cesarstwie rosyjskiém; chcąc sobie tam zapewnić pewny i regularny odbiór, należy go prenumerować koniecznie w najbliższym urzędzie pocztowym.

Przedpłata na sam Dwutygodnik higieny publicznéj krajowéj wynosi w Krakowie: rocznie złr. 2; półrocznie złr. 1 w. a.; w granicach monarchii rakusko-węgierskiéj wraz z przesyłką pocztową: rocznie złr. 2 cent. 30; półrocznie złr. 1 cent. 15 w. a.

Przedpłatę na **Przegląd lekarski z Dwutygodnikiem higieny publ. kraj.,** tudzież na sam **Dwutygodnik higieny publ. kraj.** przyjmuje Redakcya **„Przeglądu lekarskiego" w Krakowie, Mały Rynek, nr. 431.** tudzież Ekspedycya miejscowa w księgarni D. E. Friedleina w Krakowie.

Sposób najdogodniejszy i najtańszy przesyłania przedpłaty jest dla mieszkańców monarchii austryacko-węgierkiéj za pomocą przekazów pocztowych.